

— MISTRZOWIE SF I FANTASY —

NIK PIERUMOW

Imperium
ponad wszystko
tom I

**Czaszka
na rękawie**



PIERUMOW NIK

Imperium ponad wszystko 01:

Czaszka na rekawie

NIK PIERUMOW
Czierep na rękawie
Imperium ponad wszystko tom 1
Przekład: Ewa Skórska
Wydanie oryginalne: 2003



Wydanie polskie: 2004

--Co z ciebie za bydlę -- powtórzyła Dalka.

Nie zareagowałem. Za wydmami słońce powoli zniżało się ku zachodowi, morze pociemniało, w oddali zaśnily ogniki przywódców wielorybiego stada. Dzisiaj jest ich noc, migotaniem przywołują samice, wzywają, by oddały się miłości...

--Aż mnie trzęsie na samą myśl, że... że z tobą spałam -- usłyszałem. Z chłodu w głosie Dalki mógłby skorzystać średniej wielkości statek-przetwórnia. -- Wstrętny lizydupa, gnida imperatorska! Że też ojciec nie wypędził cię z domu...

Ojciec mnie wypędził, ale Dalka jeszcze o tym nie wiedziała.

Zaszeleścił piasek, odruchowo napiąłem mięśnie -- Dalka miała taki temperament, że mogłem spodziewać się wszystkiego, nawet kopniaka w skroń.

Świszczący suwaka. Dalka ubierała się szybko, mamrocząc pod nosem słowa, które jej mamę, nauczycielkę rosyjskiego, przyprawiłyby o ból głowy.

--Zdrajca -- rzuciła na pożegnanie.

W milczeniu patrzyłem na morze.

Daleko, bardzo daleko, na samej granicy widzialności, ogromny wieloryb wyrzucił z wody swoje stutrzydziestotonowe cielsko, rozłożył połyskujące płetwy, zakreślił łuk i runął do wody, wzbijając obłok płonących iskier. Jak pięknie... Kiedy znowu to zobaczę?

Za moimi plecami zawyły turbiny helikoptera Dalki. Miałem wrażenie, że nawet maszyna ciska pod moim adresem niewybredne przekleństwa.

No i dobrze. Teraz i tak nie mogę niczego odkręcić. Dokumenty złożone i podpisane, zaliczka pobrana. Na piasku leży zmięty niedbale plamisty kombinezon desantu imperialnego -- i czarna tarcza ze srebrną czaszką na lewym rękawie.

„Nie ma się dokąd cofać, za nami Moskwa”. „Ale oddając Moskwę, nie oddajemy Rosji”, jak powiedział niegdyś książę smoleński Michał Kutuzow...

Wieloryby figlowały w wodzie, ich ciała rozświetlały fale. Noc miłości...

Ciekawe swoją drogą, na co liczyłem, zapraszając Dalkę na „naszą” wyspę? Chciałem na pożegnanie pobaraszkować z nią na piasku? Czy naprawdę myślałem, że mnie zrozumie? Że powie: „Brawo, stary, tak właśnie było trzeba”?

Jasne, że nie. Takie słowa nie przeszłyby Dalce przez gardło. W końcu była członkiem międzynarodowej brygady Bandera Rossa, na której czele stała słynna terrorystka Dariana Dark. Na Darianę polowała niegdyś cała imperialna służba bezpieczeństwa...

Nie powinienem był liczyć, że Dalka mi wybaczy czy przynajmniej zrozumie. W jej oczach -- i nie tylko w jej -- teraz, zawsze i na wieki wieków jestem parszywym zdrajcą. Imperialnym... tego... lizybutem. Oczywiście nikt nie ośmieli się rzucić czegoś takiego w twarz mojemu ojcu. Miałby pojedynek jak w banku, a nikt nie mógł się równać z ojcem w walce na rapiery. Sąsiedzi nie przegapią okazji, żeby sobie poplotkować, ale...

Słońce musnęło wodę dolną krawędzią tarczy; purpurowe płomienie sunęły wzdłuż niedosiężnej linii, za którą, jak wierzyłem w dzieciństwie, słońce ma swój dom i żonę, która każdego wieczoru czeka na jego powrót po ciężkiej pracy...

Czas na mnie. Dalka odleciała i jedyne, co mi pozostawało, to obserwować miłosne figle wielorybów. Skoro z moich własnych nic nie wyszło...

Już czas. Nie ma sensu tu siedzieć. Palce dotknęły szyi, musnęły wiszący obok krzyżyka malutki skórzany woreczek. Wymacały w nim klucz. Nie rozstanę się z tym kluczem nigdy i za nic. Niewiele mam takich rzeczy, ale to właśnie one wiążą mnie z prawdziwym życiem.

Wstałem, podniosłem kombinezon i buty. Trzeba przyznać, że buty okazały się pierwsza klasa. Niby nic nie ważą, a jak w bójce takim oberwiesz, to ho, ho. Nie uwierają, nie przemiekają, nie palą się, niestraszny im żaden kwas. Porządne niemieckie obuwie, produkowane w Nowej Bawarii. Na czym jak na czym, ale na żołnierskim wyposażeniu Szwabów się znajdują...

Mój helikopter stał dziwnie przekrzywiony na lewy bok. Wyteżyłem wzrok i gwizdnąłem z wrażenia. Przecięta opona -- można się było tego spodziewać. Pożegnalny prezent od Dalki. Pal licho, opona to nie główna turbina, jakoś doleczę i wyląduję.

Na punkcie zbornym mam się stawić jutro o świcie. Maszynę zostawię w stolicy, ojciec ją zabierze albo bracia. Helikopter nie będzie mi już potrzebny ani żadna inna rzecz z cywila. Upłynie trochę czasu, a moje dotychczasowe życie wyda mi się rajem. Będzie na mnie wrzeszczał sierżant, będą mnie zmuszać do szorowania podłóg szczoteczką do zębów, do trenowania chwytów bronią o trzeciej w nocy albo do polerowania butów do blasku absolutnego, ze sprawdzaniem lumenometrem ich zdolności odblaskowych. Kretyn podporucznik, żeby się wykazać na poligonie, pogoni nas na bagna pełne najróżniejszych gadów, a potem wystawi na ogień własnej artylerii. Jak powszechnie wiadomo, w czasie manewrów używa się ostrych pocisków -- skoro ktoś miał pecha, to trudno, krewni otrzymają rekompensatę. Będę się dusił w źle dopasowanej masce przeciwgazowej, rzygał, siedząc w stalowym brzuchu bwp, będą mnie zrzucać do ogarniętych buntem miast, a ja będę przez nie kroczył, zostawiając za sobą trupy i zgliszcza -- „ku przestrodze”.

Będę nosił na ramieniu emblemat 3. Dywizji Desantowej Totenkopf. Kiedyś, dawno temu, nosiła ona nazwę 3. Dywizji Pancerniej SS, zyskując sławę właśnie pod tym emblematem -- srebrna czaszka na czarnej heraldycznej tarczy. I jeszcze *GOTT MIT UNS* na blaszce pasa.

Trupia Główka zdobyła swoją złą sławę nie tylko na polach bitew. Utworzono ją w październiku 1939 z czterech istniejących wówczas pułków ochronnych, działających w „miejscach, których nazwy nie wymagały i nigdy wymagać nie będą przekładów ni wyjaśnień”: pułk Oberbayern -- Dachau, Brandenburg -- Buchenwald, Thuringen -- Sachsenhausen, Ostmark -- Mauthausen. Później dołączył do nich piąty pułk -- Dietrich Eckhardt. Na czele dywizji stał Theodor Eicke, inspektor obozów koncentracyjnych

i oddziałów ochronnych SS. Sformowana w Dachau (uprzednio „oczyszczonym” z

więźniów) dywizja chrzest bojowy przeszła we Francji, szesnastego maja 1940 roku. Następnie przerzucono ją z rezerwy armii jako wsparcie 15. Korpusu Pancernego generała Hotha. Dwudziestego pierwszego maja pod Cambrai Trupia Główka omal nie padła trupem naprawdę - - flanki Totenkopf i 7. Pancerna Dywizja zostały odepchnięte przez sto trzydzieści kontratakujących alianckich czołgów. Zanim ciężka artyleria i pikujące bombowce odparły ten desperacki atak, wielu żołnierzy Trupiej Główki uciekło w panice.

...Odbiją to sobie później na jeńcach -- na żołnierzach Królewskiego Pułku Norfolk, wziętych do niewoli po zaciętej walce. Tracąc w tym starciu siedemnastu ludzi, esesmani wpadli w szal. Około stu wziętych do niewoli Anglików rozstrzelano z cekaemów na komendę obersturmführera SS Fritza Knohleina, za co ten z kolei został po wojnie powieszony.

A później...

Później szli przez kraje nadbałtyckie. Nigdy nie byłem na Ziemi, ale historię tamtych dni studiowałem dokładnie, z numerami pułków włącznie. Pierwszego czerwca na Litwie czołowy batalion Trupiej Główki startł się z oddziałami 42. Dywizji Strzeleckiej. Tracąc dziesięciu zabitych i stu rannych, Niemcy przeszli do defensywy. Zimą 1942 roku Trupia Główka wraz z pięcioma dywizjami została otoczona pod miastem, którego nazwa brzmi niemal jak muzyka -- pod Demianskiem. Ze straconych w czasie *Drang nach Osten* dwunastu tysięcy ludzi ponad połowa poległa pod Demianskiem.

Potem, potem, potem... Potem wydarzy się jeszcze wiele rzeczy. Potem będzie jeszcze Kursk, Budapeszt, Wiedeń, gdzie Totenkopf zakończy swoją niesławną drogę.

Wiele lat później, gdy te nazwy znowu pojawiają się w oficjalnych dokumentach, Nowe Imperium podejmie próbę wybielenia czarnego konia. Wiele symboli zostanie usuniętych, między innymi SS w nazwie oraz słynni ober-, sturmbann- i inni führerzy. Zamieni się je na zwykłe stopnie.

Tego i wielu innych rzeczy nauczyłem się na pamięć. Imperium, Keiserreich, nie zdążyło wyczyścić prywatnych księgozbiorów. A mój ojciec, dziadek i pradziadek gromadzili dzieła historyczne we wszystkich dostępnych formach. Studiowałem je pilnie, ponieważ w dywizji, utworzonej pierwotnie ze strażników obozowych, będą nam oczywiście wmawiać coś zupełnie innego...

A ja wstępuję do tych szeregów.

Tak trzeba. Na tych Trupich Główkach, Leibstandartach, Vikingach, Das Reichach i innym plugastwie opiera się Imperium, któremu od teraz służę. A Dalka?... Bóg z nią. Każdy dokonuje swojego wyboru, codziennie, co chwila. Ona też wybrała.

Jej brygady międzynarodowe są oczywiście bardzo romantyczne, a w czerwonej opasce na czole jest Dalce do twarzy, ale nie miałem wątpliwości -- wystarczy, by członkowie brygad zrobili jeden fałszywy ruch, a zostaną załatwieni bez drgnienia powiek. Imperium nie będzie się przejmować, że organizacja brygad międzynarodowych jest legalna i działa za zgodą władz planety i administracji Imperium, a nawet wydaje dwie gazety: tradycyjną -- papierową i podstawową, sieciową.

To prawda, że wieloma brygadami (między innymi szóstą, do której należała Dalka) kierowali ludzie, których trudno byłoby podejrzewać o sympatie do Imperium. Weźmy choćby Darianę Dark. Pochodzi z niezależnej planety, na której mieszkają „nowi purytanie”, a w swoim czasie walczyła z wojskami imperialnymi na Kaledonii, uczestniczyła w powstaniach nad

Bosforem i w Żłobinie. Później wycofała się z czynnego ruchu oporu, podpisała osobisty pokój z Imperium i zajęła się walką moralną. Została dowódcą 6. Brygady międzynarodowych -- ze sztabem na Iwoldze, głównej planecie naszego Ósmego Sektora.

Dalka od dawna próbowała ściągnąć mnie na te ich spotkania, a ja ciągle robiłem uniki, podając jak najszlachetniejsze przyczyny, co doprowadzało ją do pasji. Po prostu nie mogłem się tam pokazać! Z takim hakiem nie tylko do desantu, ale nawet do imperialnego batalionu budowlanego by mnie nie wzięli.

Silniki helikoptera uruchamiałem z pewną obawą. Jeśli rozwścieczona Dalka zdążyła przeciąć oponę, mogła też wrzucić kamień do osłony turbosprężarki.

Wbrew najgorszym przeczuciom podniosłem maszynę w powietrze, zrobiłem pożegnalny krąg nad wyspą, laguną, wielorybami wydmuchującymi tęczowe fontanny i wziąłem kurs na Nowy Sewastopol.

Do miasta dotarłem o zmroku. Woda w Północnej Zatoce połyskiwała błękitem -- widocznie do portu wpłynęła lawica tęczowych pstrągów morskich, które z ziemskimi praprzodkami łączyła jedynie nazwa. Lśniły purpurowe, złociste i szmaragdowe światła na masztach, płonęły oślepiające miraży nad dzielnicą rozrywki, solidnie i równo paliły się szyldy wielkich supersamów. Dalej na wschód, w rejonie baterii numer 30, którą imperialni z nieznanymi mi przyczyn nazywali Fortem Maksyma Gorkiego (co oni w nim takiego znaleźli? Nuda i dłużyzny, nie mogłem tego przeczytać nawet po groźbą kocowy), wybuchły fajerwerki -- pewnie z okazji czyichś urodzin albo wesela. Swego czasu chciałem urządzić takie fajerwerki dla Dalki... Zacisnąłem zęby. Po co to teraz wspominać...

Przebrałem się w helikopterze. Cywilne ciuchy, stare sandały -- spacerek w imperialnym kombinezonie po nocnym Sewastopolu byłby dość niebezpieczny, mimo wszelkich wysiłków komendanta i patroli.

Wylądowałem na placu publicznym. Ojciec wynajmował dla nas hangar, ale teraz wołałem się tam nie pokazywać. Nie mógłbym spojrzeć w oczy technikom. Drazen nie tylko nie podałby mi ręki, ale pewnie spróbowalby urwać głowę. Siergiej, Zdenek, Miczo -- tak samo. Lepiej się tam nie pojawiać.

Helikopter zastygł przechylony. Trzeba będzie wymienić oba koła. Bęben też pewnie jest załatwiony.

Starszawy mechanik z trzema złotymi naszywkami -- trzydzieści lat nienagannej służby -- wziął ode mnie klucze i pozwolił się podpisać, nie patrząc mi w oczy. Też już wie?...

Zapłaciłem i szybko wyszedłem.

Została mi tylko jedna noc -- ostatnia noc wolności. Mogę pójść do dzielnicy rozrywki, zabawić się w wirtualce albo machnąć ręką na przyzwoitość i zgodnie z tradycją wszystkich idących na wojnę (a jakąś wojnę na pewno sobie znajdziemy) poszukać zapomnienia w płatnych kobiecych objęciach.

Rozmyślając tak, dotarłem do postoju taksówek. Beżowych samochodów z tradycyjną szachownicą -- symbolem taksówek -- stało niewiele. Mieszkańcy Nowego Krymu to ludzie porządni i prawomyślni, nie lubią pośpiechu i krzątania, nie mają też ochoty na przejażdżki po nocy. Od tego jest dzień, żeby załatwić swoje sprawy.

--Dokąd jedziemy, przyjacielu? -- zaczął mnie kierowca.

Pokręciłem głową i przyspieszyłem kroku. Nie mam dokąd jechać w tym mieście. Nie

kusiły mnie ani piwiarnie, ani bary, ani burdele czy wirtualka. Dlatego też, z workiem na ramieniu, skierowałem się do punktu werbunkowego. Nie potrzebowałem tych ostatnich godzin wolności. Nie będą mi mówić, kiedy mam przyjść. Sam wybiorę swój czas.

Od lądowiska do punktu werbunkowego było prawie trzy godziny drogi piechotą, ale jakoś nie odczułem odległości. Przestałem zauważać, co się wokół mnie dzieje. Widziałem tylko twarze. Mama, ojciec, dziadek, babcia... Dalka... bracia, siostry... Byłem najstarszy i niepodzielny majorat po ojcu przeszedłby na mnie, a teraz będzie nim zarządzał Georgij. Może to i dobra decyzja. Georgij zawsze lubił zajmować się interesami, czyli gospodarstwem na morskich plantacjach i przetwórną ryb. Netto i brutto brzmiały dla niego jak muzyka, a zwiększenie o jeden procent żywotności narybku delikatesowych dennych pelzaków doprowadzało go do stanów niemal orgastycznych. Ojciec miał rację. Dla rodziny tak będzie lepiej.

Wspomnienia. Wspomnienia są nieuniknione, zwłaszcza gdy twoje życie zmienia się gwałtownie i nieodwracalnie.

...Zebrała się cała rodzina, nawet młodsze rodzeństwo. Wchodząc do domu, napotkałem spojrzenie najmłodszej siostrzyczki, Taniuszki, ślicznej jedenastoletniej istotki o blond loczkach i błękitnych oczach. Teraz te oczka patrzyły ze zdumieniem i przestraciem. Tania nie wiedziała, co się dzieje, dlaczego oderwano ją od zabawy z koleżankami i zmuszono do siedzenia na dziwnym, niespodziewanym obiedzie rodzinnym, który nie wróżył niczego wesołego.

Ojciec siedział u szczytu stołu, nie patrząc na mnie i z rozdrażnieniem obracając w palcach widelec. Na drugim końcu zastygła mama, niczym statuetka z kości słoniowej. Patrząc na dziewczęcą figurę tej drobnej kobietki, trudno było przypuścić, że urodziła dziesięcioro dzieci...

A oto Georgij, mój brat, prawa ręka ojca w interesach. Patrzy w podłogę, nie podnosi na mnie wzroku.

Lena, trzecia siostra. Też prawa ręka, ale mamy. Wiecznie zajmowała się maluchami, wcale nie trzeba było jej do tego zaganiać -- wołała dzieci niż lalki. Teraz drżą jej wargi, jeszcze chwila i się rozplacze.

Swieta. Staromodne, okrągłe szkła okularów w archaicznej metalowej oprawce. Palce nerwowo skubią koronkowe mankiety czarnej prostej sukienki -- najwyraźniej siostrę ściągnięto z jakiegoś zebrania.

Łarion. Jeszcze dzieciak, ale spojrzenie jak u wilczka.

Przyszedłem jako ostatni. Wiadomość, którą dostałem rano, głosiła, że rodzina zbiera się o piątej. Przybyłem punktualnie, ale pozostali widocznie pojawili się wcześniej. Może podano im wcześniejszą godzinę?

Nikt na mnie nie spojrział. Nawet ojciec.

--Wzięłem na siebie trud poinformowania pozostałych o twojej decyzji -- rzekł.

Staralem się, by wzruszenie ramionami wypadło obojętnie.

--Może raczej należało z tym poczekać?

Chciałem, żeby mój głos zabrzmiał twardo i niewzruszenie, ale nic z tego nie wyszło. Gdy ojciec jest rozgniewany, ciężko się z nim rozmawia.

--Nie. -- Tym razem podniósł oczy, wydawały się białe ze złości. -- Nie ma na co czekać, nie ma sensu tego odkładać. Zhańbilesz całą rodzinę, nas wszystkich. Nie mówię tego do ciebie.

W niczym ci to nie pomoże, niczego nie naprawi. Mówię do pozostałych, w nadziei że zdołam wtłoczyć im do głowy choć trochę rozumu.

--Co to za przedstawienie, ojcze? -- podniosłem głos. -- Jeśli nawet nie podoba ci się moja decyzja...

--Twoja decyzja?! -- ryknął ojciec. -- Zdrada ma być twoją decyzją?! Wstępujesz na służbę do tych... do tych... -- potrząsnął pięścią, nie znajdując odpowiedniego słowa.

--Jesteśmy obywatelami Imperium, ojcze. Nowy Krym podpisał traktat. Nie pamiętasz, że widnieje tam również twój podpis?...

--I sądzisz, że zdołamy się z tym pogodzić? Gdybyśmy wtedy nie podpisali traktatu, dziś na miejscu Sewastopola byłaby pustynia radioaktywna! Nie istniałoby żadne z was, ani ty, ani twoje rodzeństwo!

Mogłem tylko wzruszyć ramionami. Pochwyciłem kątem oka spojrzenie Taniuszki -- pełne lez błękitne oczy przypominały jeziora.

Mama siedziała bez ruchu, w milczeniu patrząc na swój lśniący pusty talerz. Na stole stała odświętna zastawa, wyjmowana jedynie na wyjątkowe okazje.

Więc to też była wyjątkowa okazja...

Ojciec wziął głęboki oddech, chwycił karafkę z wodą, nalał do kryształowego kieliszka i wypił głośno. Mocno postawił kieliszek na stole i znowu podniósł na mnie wzrok, a ja znowu tego nie wytrzymałem.

--Postanowiliśmy... -- Ojcu zagrały mięśnie szczęk. Nieźle się trzymał jak na swoje czterdzieści pięć lat (mama urodziła mnie jako osiemnastoletnia dziewczyna, ojciec był od niej dwa lata starszy). Nigdy nie zajmował się kulturystyką, a mógłby załatwić dowolnego mięśniaka czy karatekę. -- Postanowiliśmy, że nie ma tu dla ciebie miejsca.

Mama drgnęła. Świeta zdjęła okulary i zaczęła zawzięcie przecierać czyste szkła. Drżały jej palce.

Znowu wzruszyłem ramionami.

--Nie możesz mi niczego udowodnić, ojcze.

--Nie ma tu dla ciebie miejsca -- ojciec niemal wyskandował każde słowo. -- I nie jesteś już pierwszym spadkobiercą. Podpiszesz dobrowolną rezygnację ze spadku i przekazesz Georgijowi swoją część akcji rodzinnych.

--Nie masz prawa...

--Mam. Zgodnie z prawem niepodzielności majoratu -- poinformował mnie zjadliwie.

--Jura... -- wyszeptała żałośnie mama.

--O co ci chodzi? Zdradził nas! Zdradził i zaprzedał! Niech zarządza Georgij. I tak jest w tym lepszy.

--Czy mogę coś powiedzieć? -- rozległ się dźwięczny głos Leny. -- Czy może to przedstawienie dla trzech aktorów?

Ojciec rzucił jej niezadowolone spojrzenie.

--Mów, tylko się nie zapędzaj.

--Dlaczego nie pozwolicie wypowiedzieć się Rusowi? Skoro podjął taką decyzję, na pewno miał ważne powody! -- Błagalne spojrzenie na mnie: „No, przestań milczeć, no, powiedz coś, powiedz, że to nie tak, że to nieporozumienie!”

Niestety, kochana siostrzyczko. To nie jest nieporozumienie.

Wstępuję do armii imperialnej. I rzeczywiście nie ma już dla mnie miejsca wśród was. Ojciec należał do elitarnego kręgu najbogatszych przetwórców rybnych Nowego Krymu. Wydawałoby się, że pokój z Imperium, dobre stosunki z wojskowymi, rynki zbytu i tak dalej, i tak dalej są mu niezbędne jak powietrze. A mimo to... Jeszcze niedawno stał na czele bojowego skrzydła Rosyjskiej Armii Oporu -- aż do podpisania traktatu pokojowego. Na jego podstawie Nowy Krym „dobrowolnie” wszedł w skład Imperium, wszyscy mieszkańcy planety po niezbyt długim „okresie próbnym” mieli otrzymać imperialne prawa obywatelskie, planeta zaś -- prawo do wystawienia przedstawicielstwa w Reichstagu, w wyższej izbie (dwóch deputowanych) i miejsce w Bundestagu (proporcjonalnie do liczby ludności, nie mniej niż jedno).

Tak też się stało. Najpierw trwała wojna -- prawdziwa wojna partyzancka. A potem, nieoczekiwanie, wśród najbardziej nieprzejednanych radykałów pojawił się ruch „umiarkowanych”, wzywających do zawarcia pokoju z Imperium. Co najdziwniejsze, udało im się dopiąć swego. Wojna partyzancka się skończyła, Nowy Krym podpisał traktat, a my otrzymaliśmy obywatelstwo...

Wszystko to było zasługą niedużej grupy ludzi, nadal mieniących się „umiarkowanymi”, na czele których stał mój czcigodny ojciec -- do niedawna przywódca „nieprzejednanych”. Był trochę młodszy niż ja teraz. Byłem już wtedy na świecie.

Ale zdaniem ojca to, co zrobił wówczas on sam, nie miało nic wspólnego z moją obecną decyzją.

--No cóż, ojcze. -- Znowu wzruszyłem ramionami. -- Popelniasz błąd, ale udowodnię ci, że jestem lepszym synem niż ty ojcem. Daj dokumenty. Podpiszę, co zechcesz.

--Nie tutaj -- zasyczał, rzucając mi ciężkie spojrzenie. -- Nie tutaj. Jutro, w Izbie Handlowej. W obecności wymaganych świadków. Wszystko musi się odbyć jak należy. Pamiętaj, że nie będzie już odwrotu. Majorat przejdzie na Georgija i jego potomków. To dobry syn i prawdziwy Rosjanin. Nie to, co... -- ojciec skrzywił się.

Widziałem, jak Georgij drgnął i wcisnął głowę w ramiona. Naprawdę był urodzonym handlowcem, prawdziwym znawcą gospodarstwa morskiego, absolwentem wydziału biologicznego naszego uniwersytetu (podobnie jak ja), a teraz miał otrzymać stopień w administracji handlowej. A przy tym zawsze mieliśmy doskonały kontakt. Georgij jest ode mnie młodszy o niecałe dwa lata; w dzieciństwie, ku powszechnemu zdumieniu, nigdy się nie klóciliśmy, bawiliśmy się razem i wszystkim dzieliliśmy -- wszystkim prócz dziewcząt. Mamy odmienny gust. Ja lubiłem długonogie blondynki, Georgij -- pulchne brunetki...

--Możesz odejść -- oznajmił ojciec. -- Tylko... tylko zdejmij krzyżyk.

--Tato! -- wykrzyknęły jednocześnie Swieta i Lena.

--Milczeć! -- warknął ojciec. -- Niczego nie rozumiecie, sroki! Jak on teraz może być prawosławnym!

--Siostrzyczki... nie denerwujcie go niepotrzebnie. -- Powoli rozpiąłem kołnierzyk. -- Niech będzie tak, jak chce. Bóg mi świadkiem, że nie odstąpiłem od naszej wiary. A czy będę nosił krzyżyk... To przecież nieistotne.

Położyłem złoty krzyżyk na brzegu stołu. Nie miałem tu już nic do roboty. Te nieliczne rzeczy, które chciałem zachować, ukryłem w bezpiecznym miejscu, a o resztę się nie martwiłem. Chyba że książki... Ale książki ostatecznie mogę sobie odkupić.

--Żegnajcie -- powiedziałem, odwróciłem się i ruszyłem do drzwi.

Dopiero wtedy Taniuszka rozplakała się na cały głos.

Punkt werbunkowy mieścił się w samym centrum Nowego Sewastopola. Wystarczyło przejść przez plac od strony Dumy Miejskiej i kancelarii mera. Niegdyś stał tu stary szpital, jeden z pierwszych zbudowanych na Nowym Krymie. Imperialowie wysadzili szpital w powietrze, wybudowali za miastem ogromny kompleks szpitalny, a na placu pojawił się Sztab Garnizonu Sił Zbrojnych Imperium, planeta Nowy Krym. Na fasadzie wisiał drapieżny jednogłowy orzeł z rozpostartymi skrzydłami, usadowiony na rzymskim wieńcu laurowym, wewnątrz którego wschodziło słońce. Imperialowie wzniesli budynek z ciężkiego czerwonego granitu. W gładkich ścianach odbijały się światła kołyszących się na wietrze pomarańczowych latarni. Potężne przypory wybiegały do przodu, okna, wąskie niczym otwory strzelnicze, zerkwały podejrzliwie na okoliczne domy -- już nie tak wypolerowane i zadbane.

Naprzeciwno, na ukos od katedry Świętego Księcia Aleksandra Newskiego, mieścił się budynek Dumy i Magistratu. Z dwugłowym orłem na fasadzie i biało-niebiesko-czerwoną flagą. Na piersi orła widniała tarcza ze stojącym na dwóch łapach niedźwiedziem. Po bokach umieszczono mniejsze herby -- Święty Jerzy ze smokiem, Pogoń Białej Rusi oraz Tryzub-Sokół Rurykowiczów -- herb Małej Rusi.

Patrząc na krzyże soboru, przeżegnałem się odruchowo i szybko odwróciłem wzrok.

Jak niewiele nam pozostało... Z wielkiego niegdyś narodu, z Imperium -- Rosyjskiego Imperium, ciągnącego się od Odry do Jukonu, od Nowej Ziemi do Gór Turkiestańskich -- po wstrząsach i burzach została nam tylko ta jedna jedyna planetka. Jest jeszcze oczywiście Sławutycz i Wolny Don, ale na nich są wyłącznie kopalnie. I sto razy mniej ludzi niż na Nowym Krymie.

Zawsze można powiedzieć, że jedna planeta to mimo wszystko więcej niż jedna szósta kontynentu, ale jedna planeta, nawet taka jak Nowy Krym, to tyle, co jedna gubernia niegdyjszej Rosji...

Wszystko roztrwoniliśmy i zatrzymaliśmy się na ostatniej granicy, za którą była już tylko przepaść. Nieważne, czy zginiemy od kuli wroga, czy spadając w otchłań.

Zatrzymaliśmy się i przez jakiś czas staliśmy wyprostowani, nie kłaniając się kulom. Byliśmy wolni. Przynajmniej dopóki z popiołu i chaosu nie wyłoniło się Nowe Imperium, które zaczęło głosić *Gott mit uns*.

Padł nasz ostatni bastion.

Są tacy, którzy walczą do dziś. Kilkanaście odległych, ubogich planet, na których żyją sekty fanatyków albo nacjonaści, na tyle szaleni, iż nawet Imperialowie wolą walczyć z nimi pieniędzmi, a nie bronią -- wprowadzając sankcje ekonomiczne, odgradzając ich clami i barierami handlowymi. Niedawno jedna z niepokornych planet poprosiła o łaskę: do imperialnego senatu wpłynęła prośba o przyjęcie jej w skład Imperium.

Prośba została natychmiast przyjęta.

Inne planety jeszcze się trzymały.

Znowu napłynęły wspomnienia.

Jakby to było wczoraj...

Mam trzynaście lat. Do szkoły przysłano świeży transport podręczników, zaaprobowanych przez najwyższą instancję. Wśród nich były również książki do historii. W swoim czasie Imperium zaczęło się troszczyć o unifikację procesu wychowawczego w celu zmniejszenia

tendencji odśrodkowych. Jednolity program. Jednolite ideologiczne punkty orientacyjne. Jednolite wychowanie. Jednolita ludzka rasa. Jednolite Imperium, będące, rzecz jasna, *über alles!*

Do tej pory pamiętam wzgardliwy uśmiech naszej nauczycielki historii, Niny Stiepanownej. Żartem nazywaliśmy ją między sobą Stiepanida, a ona się obrażała, w szkole, w której pracowała wcześniej, nazywano ją czule Nineczka. Stiepanida trzymała książkę w kolorowej połyskliwej okładce jak jakiegoś ohydneho owada, na przykład karalucha czy, dajmy na to, zdechłego szczura.

Stała przed milczącą klasą niczym posąg i nikt, nawet urwis Paszka Konstantinow, nie odważył się odezwać do sąsiada.

--Dzieci -- odezwała się półgłosem Nina Stiepanowna, nie odrywając wzroku od książki. -- Nie omawialiśmy jeszcze poważnie wojny ojczyźnianej. Powinniśmy przejść do niej za dwa lata, w dziewiątej klasie. Ale widzę, że musimy się tym zająć natychmiast. Wszystko, co napisano w tej książce, jest kłamstwem. Książkę napisali nasi wrogowie, którzy chcą, byśmy wyrosli na uległych poddanych. Ale my, Rosjanie, nigdy nie byliśmy posłuszni. W tym podręczniku zamieszczono wiele kłamstw, wiele rzeczy zręcznie ukryto. Standardowe testy będziecie musieli zdawać na podstawie materiałów zawartych w tym podręczniku, więc tak czy inaczej trzeba będzie wkuwać. To nic. Zacznę wyklądać wam nowy przedmiot: historię prawdy. Niech podniosą ręce ci, którzy mają w domu relikwie... listy z frontu, stare książki, zdjęcia...

Powoli podniosła się jedna ręka. Saszka Fiodorow. Druga -- Kola Andriejew. Alka Wecper, moja sąsiadka z ławki. Irka Andriejewa, najładniejsza dziewczynka w klasie. I jeszcze, jeszcze, jeszcze... Jasnowłosa prymuska Masza Smirnowa. I druga Smirnowa -- Natasza. Rękę podniosła Ania Knoring, Lena Budrin, Jula Pinus...

Prawie wszyscy. Niemal w każdej rodzinie zachowały się Listy. Właśnie Listy -- zatopione w przezroczystym plastiku z napisem *na wieczne przechowanie*. Sporo zdążyliśmy zrobić w tych ostatnich dniach...

--Słuchajcie -- kontynuowała Nina Stiepanowna -- oto, co napisano w tym, przepraszam za wyrażenie, podręczniku... -- Obrzuciła nas wszystkim baczny spojrzeniem. Nagle dodała gwałtownie: -- Mam nadzieję, że sami rozumiecie, co macie mówić, jeśli nagle zajrzy do nas inspekcja... -- i mrugnęła do nas jak spiskowiec.

Nina Stiepanowna nie bała się nikogo i niczego i w końcu musiała za to zapłacić. Okazało się, że była do końca związana z „niepokornymi”, z tymi, którzy jeszcze po podpisaniu traktatu z Imperium za pomocą zdalnie sterowanych fugasów wysadzali w powietrze opancerzone transportery z czarno-białymi krzyżami. Nasza Stiepanida była ich łącznikiem i przechowywała w domu broń oraz materiały wybuchowe. Jeden z ostatnich wyroków, jakie wydano w sprawach o zbrojny opór, zapadł właśnie w jej sprawie. Dostała dwadzieścia lat katorgi na Swaargu. W ciągu całego procesu nie powiedziała ani jednego słowa, nie odpowiedziała na żadne pytanie. Odmówiła również zwrócenia się do cesarza z prośbą o ulaskawienie, mimo że wszyscy Imperialowie powtarzali, jak bardzo Jego Wysokość jest zmartwiony tą sprawą i że czeka wyłącznie na pretekst, by móc okazać łaskę starej nauczycielce. Przecież jej zesłanie zostanie fatalnie przyjęte przez opinię publiczną metropolii, nie mówiąc już o niedawno przyłączonych planetach.

Ale Nina Stiepanowna o nic nie prosiła i wyruszyła na katorgę -- dumna i uparta.

Niezłomna. Świadoma, że już nie wróci...

Ale wtedy do tego było jeszcze bardzo daleko. Wtedy czytała nam fragmenty przysłanego podręcznika:

Nigdy Rzesza Niemiecka ani naród niemiecki nie były wrogiem innych narodów. Armia niemiecka walczyła z nieuczciwymi politykami, którzy wciągnęli swoje narody do strasznej wojny. W celu jak najszybszego przerwania cierpień ludzi po obu stronach frontu oficerowie Sztabu Generalnego stworzyli teorię blitzkriegu. Pozwalała ona na szybkie otoczenie armii przeciwnika i zmuszenie jej do poddania się bez niepotrzebnego przelewu krwi. Weźmy na przykład operację armii niemieckiej na Półwyspie Bałkańskim...

Nigdy naród niemiecki nie żywił nienawiści do wielkiego narodu rosyjskiego, który nieraz był jego sojusznikiem -- na przykład w czasie wojny wyzwolenczej 1813-1815 lub podczas wojny francusko-pruskiej 1870 roku... Również w czasie II wojny światowej naród niemiecki nie walczył z narodem rosyjskim. Wojna toczyła się przeciwko reżymowi komunistycznemu, temu reżymowi, który wyrządził niezliczone krzywdy swoim własnym obywatelom, okradł robotników, odebrał ziemię chłopom i zniszczył inteligencję, bo nie zgadzała się z jego polityką...

I tak dalej, i temu podobne. Łgarstwa przemieszane z prawdą to najstraszniejszy rodzaj kłamstwa...

Ale my znaleźliśmy prawdę. Wiedzieliśmy, kto doszedł do Berlina, mieliśmy świadomość, że wojna nie zakończyła się w wyniku tajnych negocjacji pełnomocników w Bernie, których efektem było podpisanie traktatu pokojowego w Poczdamie, co zdeterminowało przyszłe zjednoczenie Wielkich Niemiec. Pamiętamy naszą flagę w kolorze krwi, powiewającą nad szarymi kopułami pokonanej stolicy...

I nie zapomnimy o tym, póki żyjemy. Dopóty jesteście Rosjanami, dopóki pamiętamy.

Wokół sztabu imperialnego dzień i noc spacerowały patrole, chyba tylko dla zasady. Westchnąłem i ruszyłem prosto do wejścia. Drzwi były dwukrotnie wyższe od człowieka -- rzeźbiony dąb, polerowany brąz, wypisz, wymaluj eksponat muzealny.

Imperium jest tam, gdzie jego armia. To znaczy, że wszędzie, gdzie na wietrze powiewa sztandar Imperium z ponurym orłem, powinna stacjonować piechota tegoż Imperium. Prawda stara jak świat.

Na Nowym Krymie nie ma zbyt wielu mieszkańców, nie ulokowano tu więc dywizji, korpusu czy pułku. Pozostawiono tylko batalion desantowo-szturmowy Tannenberg, wchodzący w skład 3. Dywizji Desantowej Trupia Główka, w której od dziś miałem służyć.

Żołnierze i oficerowie batalionu Tannenberg słynęli jako specjaliści od walk z partyzantami.

Pocieszające było tylko to, że batalion Tannenberg był właśnie batalionem. *Bataillon*, a nie *Abteilung*.*

Nic dziwnego, że otworzono u nas punkt werbunkowy -- nowych żołnierzy należy szukać tam, gdzie straciło się starych.

Początkowo werbownicy ulokowali się w przytulnym domku, oddzielnie od sztabu. W pierwszych dniach willę regularnie obrzucano prezerwatywami z farbą -- potężny żołnierz z oddziałów szturmowych w kamizelce kuloodpornej, z mannlicherem w poprzek potężnej piersi, z krzywym uśmiechem uchylał się przed lecącymi w jego stronę barwnymi pociskami. Okrzyki

tlumu go nie wzruszały.

W końcu ludziom znudziło się to zajęcie i zajęli się innymi sprawami. Przecież Imperium też musiało jeść i pić, a że lubiło jadać smacznie, ceny na nasze ryby, kraby, ośmiornice, kalmary i tak dalej, zaczęły powoli, acz nieuchronnie rosnać. Imperium płaciło bez szemrania.

A punkt werbunkowy działał sobie spokojnie, nikomu nie wadząc. Imperium nie wprowadziło u nas obowiązku służby wojskowej, podobno wystarczali ochotnicy z innych planet.

W jakiś czas później Imperialowie zbudowali nowy sztab, gdzie przeniesiono również punkt werbunkowy.

I oto dziś to ja miałem podejść do drzwi z dębu i brązu.

Wewnętrzne szklane drzwi rozsunęły się, wpuszczając mnie do środka. Od dawna nie wystawiają tu posterunku -- okazał się zbędny. Nikt już niczym nie rzuca w okna. Każda zabawa może w końcu zbrzydnąć...

Imperialowie wprowadzili za to całodobowe patrole, zajmujące się głównie sprawdzaniem przepustek żołnierzy Imperium. Pilnowanie ludności Nowego Krymu nie należało do ich obowiązków.

W środku było chłodno i pusto. Na ścianie widniał orzeł z wieńcem i słońcem, między oknami zaś, nad pustymi biurkami wisiały -- nie, nie żadne tam krzykliwe propagandowe plakaty, lecz hologramy sprzętu wojskowego: czołgi, statki, samoloty szturmowe i bombowce w walce. Niektóre nawet zestrzelone czy rozbite.

Czołgi, które zjechały do rowów... samoloty szturmowe wbite w ziemię... a wokół nich pełno spalonych pojazdów wroga.

Pod jednym ze zdjęć widniał (nie wiedzieć czemu w języku rosyjskim, a nie ogólnoimperialnym) podpis: Ginę, lecz się nie poddaję!

Na zdjęciu ciężki Pz.Kpfw VII znieruchomiał z zadartą wysoko lufą działa. Na płytach pancerza naliczyłem dwanaście dziur -- widać strzelali do niego z bliskiej odległości, gdy nie zostało już śladu po tarczy siłowej i aktywnym pancerzu. Gąsienice zniszczono wybuchami, koła wyrwało z osi i rozrzuciło, boki pokryła tłusta sadza. Ale kampfwagen nie eksplodował. Wokół niego zastygło kilkanaście maszyn wroga, rozerwanych bezpośrednimi trafieniami sześciocalowych pocisków i rakiet królewskiego tygrysa.

Zdjęcie było całkiem niezłe. Nawet w chwili klęski König-Tiger wydawał się tak majestatyczny i groźny, że mimo woli człowiek zaczynał myśleć: jeśli już ginąć, to właśnie tak, siedząc przy drążkach sterowniczych, gdy wokół ciebie płoną szczątki nieprzyjacielskich maszyn...

Werbownicy odwracali kota ogonem, ale w taki sposób, że trudno było zarzucić im kłamstwo. Mówili: „To prawda, nasi ludzie też giną. Ale zobaczcie, jak giną! Oto śmierć godna mężczyzny i wojownika. Dał z siebie wszystko. Kto może zrobić więcej, niechaj zrobi”.

Cóż, taki koniec zapewne jest lepszy niż śmierć od Alzheimerera.

Pod niektórymi hologramami zauważyłem krótkie notatki drobną czcionką. Pod królewskim tygrysem, który przykuł moją uwagę, napisano: Czołg 503. Samodzielnego Batalionu Pancernego, zniszczony w heroicznej walce podczas likwidacji incydentu w Żłobinie. Albo tutaj, niżej: Samoloty szturmowe He-129 bis przystępują do zdławienia punktów ogniowych przeciwnika. Likwidacja konsekwencji incydentu w Utrechcie.

Dla nich to tylko „incydenty”. Nie powstania, nie bunty, wyłącznie incydenty lub wydarzenia. Tragiczne wydarzenia w cieśninie Bosfor jedynie zwarty szeregi obywateli Wielkiego Imperium wokół Jego Wysokości Cesarza...

Przy wielkim szarym biurku, pod portretem Jego Wysokości Wilhelma III, siedziała blondynka w czarnym galowym mundurze porucznika, z akselbantem, szerokimi srebrzystymi pagonami i dwiema rozetkami. Stopień porucznika wojsk desantowych odpowiadał kapitanowi piechoty czy pancerniaków, a więc...

Po lewej stronie munduru zauważyłem podwójny rząd baretek. Cały zestaw. „Za przelanie krwi”, „Za odwagę”, „Męstwo i honor” trzeciego stopnia... i tak dalej. Wreszcie coś interesującego...

„Za zdobycie Utrechtu” -- to znaczy, że nasza pani porucznik uczestniczyła w tłumieniu największego od czasu powstania Imperium buntu wojskowego, dobrze przygotowanego i przeprowadzonego. Cóż, z holenderską solidnością.

Podobno na miejscu Utrechtu nie ma teraz nawet ruin. Podobno Tannenberg nie wziął ani jednego jeńca. Co się stało z miejscową ludnością -- nie mówię o buntownikach, lecz o całej reszcie cywili schowanych w piwnicach, z przerażeniem czekających, jak się to wszystko skończy -- nikt dokładnie nie wie.

Podobno sprzedano ich Obcym.

Przylapałem się na myśli, że podczas gdy oglądałem szczegółowo regalia pani porucznik -- pagony, naszywki i tak dalej -- nawet do głowy mi nie przyszło, żeby przyjrzeć się jej oczom. Ocenić, czy jest ładna, czy nie. Do licha, nie spojrzałem nawet, jakie ma nogi!... Jakby nie siedziała przede mną kobieta, lecz manekin z witryny magazynu mundurów wojskowych Słońce i Laur.

--Czego pan sobie życzy, obywatelu? -- usłyszałem chłodny głos.

„Obywatelu”. Tak, tak, dziesięć lat temu posłuszny Nowy Krym zasłużył na prawo obywatelstwa w Imperium. Owszem, od czasu do czasu patrolom zdarzały się nieszczęśliwe pomyłki... Ale, jak to się mówi, były to odosobnione przypadki, wyjątki potwierdzające regułę. Wiele planet w bliższej i dalszej okolicy korzystało z tego przywileju. Na Becie Kruka do dziś trwa okupacja, na Sigmie Wozu właśnie poluzowano reżym do „częściowej utraty praw”... Stamtąd też biorą do wojska, ale podobno tamci poborowi długo nie pożyją. Rzuca się ich w najbardziej gorące miejsca. Za to ci, którzy zdołali się wyróżnić, robią karierę.

--Życzę sobie... eee... wyrażam dobrowolne życzenie wstąpienia w szeregi walecznych Imperialnych Sił Zbrojnych -- powiedziałem, starając się, żeby nie brzmiało to zbyt idiotycznie. Oczy pani porucznik obejrzałem sobie dopiero teraz. Ładne oczy. Duże, szare, tylko dziwnie chłodne.

Pani porucznik przechyliła lekko głowę, przyglądając mi się ze zdumieniem -- tak wzgardliwym zdumieniem, jakbym ośmielił się w jej obecności wygłosić jakieś niedopuszczalne bezeceństwo. Nie wiem, co sobie pomyślała, ale raczyła wstać zza biurka, podejść do mnie i przyjrzeć mi się uważnie. Patrzyłem na nią, myśląc jednocześnie, że w razie czego ta kobieta zawiąże mnie w potrójny węzeł marynarski tak szybko, że nawet nie zdążę pisać.

Średnio przyjemna myśl.

--Dlaczego nie miałbyś wyjść i utopić się w tym waszym wspaniałym morzu, obywatelu? -- zapytała spokojnie. -- W ten sposób zaoszczędziłbyś skarbowi Imperium sporo marek.

Przyznaję, że mnie zatkalo. Mrugałem raz za razem i milczałem.

Pani porucznik obeszła mnie dookoła, a na jej twarzy malowała się taka pogarda, jakby miała przed sobą górę wielorybich ekskrementów. Mam na myśli oczywiście wieloryba ziemnowodnego.

--Przyłażą tu tacy -- odezwała się pani porucznik tonem handlarki z naszego Priwoza, zwracając się nie do mnie, lecz do wiszącego na ścianie orła z wieńcem i słońcem. -- Ani rozumu, ani charakteru, ani mięśni! Każdy chciałby się załapać na imperialne utrzymanie! Tylko dlaczego ja mam tracić czas na takich osłów?...

Prawdopodobnie przypuszczała, że po tych słowach zaczerwienię się jak burak, uszy mi spurpurowieją, a potem poczerwieją, uschną, zwiną się w trąbki, odpadną i pofruną z wiatrem. A ja sam czym prędzej opuszczę pomieszczenie, grzecznie zamykając za sobą drzwi z tamtej strony.

Ale ja nie miałem zamiaru się stąd wynosić. Mrugałem, czerwieniłem się, ale nie wychodziłem.

Pani porucznik odczekała dwie, może nawet trzy minuty, a w końcu wściekłym ruchem wyszarpnęła szufladę z biurka i z obrzydzeniem rzuciła na stół trzy blankiety: czerwony, biały i żółty.

--Wypełnij -- wycedziła przez zęby. -- Ja przez ten czas opowiem ci, co cię czeka, obywatelu. W końcu Imperium mi za to płaci.

Wziąłem się do roboty, a pani porucznik zaczęła przemierzać pokój długimi krokami, metodycznie, i martwym głosem opowiadać o czekających mnie koszmarach -- skoro już jestem na tyle głupi, by decydować się na służbę u Jego Wysokości. Można by pomyśleć, że biedaczka musi opowiadać o tym dwadzieścia razy dziennie! A przecież doskonale wiedziałem, że w ciągu stosunkowo niedługiego okresu przynależności Nowego Krymu do Imperium zaciągnęło się jedynie pięciu mężczyzn.

Ja byłem szósty.

Nic, tylko powieszą mój hologram na tablicy zasłużonych obywateli.

Obóz treningowy Tannenberga mieścił się na naszej największej i najbardziej wysuniętej na północ wyspie. Gdy zaczęto zasiedlać Nowy Krym, wyspę pół żartem, pół serio nazwano Syberią i ta nazwa przyłgnęła do niej na zawsze. Mało kto pamiętał, że oficjalna nazwa brzmiała: Wyspa Admirala Nachimowa, i właśnie ona widniała na imperialnych mapach. Na naszych, miejscowych, wydawanych na Nowym Krymie, w poprzek całego zielono-brązowego wygiętego smoka ciągnął się napis: Syberia.

Syberia była słabo zasiedlona. Kilka małych miasteczek, może z tysiąc farm. Jedyne na Nowym Krymie łańcuch górski wzdłuż północnego wybrzeża. Trochę lasów -- zwykłych lasów, a nie tropikalnej dżungli, którą na terenie obecnego Nowego Sewastopola zastali pierwsi przybysze na planetę.

Tannenberg utrzymywał w stolicy Nowego Krymu jedną kompanię, podzieloną na plutony i drużyny, bazujące we wszystkich ważnych punktach; do tego dochodziła jeszcze 5. Kompania Szkoleniowa, stacjonująca właśnie w syberyjskim obozie treningowym. Tam również mieścił się sztab wojsk wsparcia, pluton inżynieryjny, plutony łączności, kompania ciężkiego uzbrojenia oraz pluton medyczny. Imperialowie nie robili tajemnicy z rozmieszczenia swoich sił, każdy chłopiec na Nowym Krymie wiedział, gdzie są te oddziały i ile ich jest.

W tej otwartości było coś nienaturalnego. Czy tak powinni zachowywać się zwycięzcy na podbitej planecie? Inna sprawa, że sama planeta nie pałała bynajmniej chęcią wyzwolenia...

Tak zwani patrioci mogli pogardzać mną za to, że wstąpiłem na służbę imperialną, ale żaden nie zdobyłby się na to, żeby na przykład zastrzelić żołnierza z patrolu.

Z Nowego Sewastopola poleciałem zwykłym rejsem Stołecznych Linii Lotniczych. Werbownicy zarezerwowali mi miejsce na liniowcu i osiem godzin później stałem już na betonowym lądowisku Władosybirsk, miasteczka pełniącego rolę ośrodka administracyjnego wyspy. Stąd zabrano mnie helikopterem wojskowym. Byłem jedynym rekrutem na pokładzie. Naprzeciwko mnie siedział drab z pagonami starszego sierżanta sztabowego -- czarne tło, srebrzysta obwódka, trzy srebrne rozetki. W armii imperialnej to już prawie stopień oficerski.

Drab nazywał się Klaus Maria Pferzgentakl i miał sformować 5. Pluton Kompanii Szkoleniowej Tannenberga. Pozostałych rekrutów miał dowieźć „Margrow”, stary transportowiec, wożący teraz z planety na planetę imperialne mięso armatnie.

Skąd to wiedziałem? Gdy helikopter oderwał się od ziemi, starszy sierżant sztabowy opowiedział mi o wszystkim, tym samym beznamiętnym głosem, którym wygłaszał zasady bezpieczeństwa lotu.

Dowiedziałem się też, że obecni rekruci to absolutne gówno. Nie nadają się do niczego, nawet na żywe tarcze. Padają jak muchy. Nie zdążysz nic z takimi zrobić. Nie można ich nawet porządnie ukarać -- zaraz się wieszają, topią, rzucają na drut kolczasty, rzecz jasna pod napięciem. A potem on, uczciwy sierżant Pferz... i tak dalej musi skrobać z asfaltu ich gówniane kiszki, bo pozostałe ofermi bledną, rzygają i masowo tracą przytomność, niczym mniszki na widok gołego faceta. I w żaden sposób, ani szpicrutą, ani batem, ani nawet sikawką nie sposób przywrócić ich do przytomności.

Zdaniem sierżanta, nastaly straszne czasy. Do czego to doszło, żeby lecieć helikopterem po jednego jedynego rekruta, i to jeszcze z planety, na której jest tylko woda i te cholerne wieloryby, od których jemu, uczciwemu starszemu sierżantowi Imperium, rzygać się chce.

Milczałem. Rekrut, jeszcze nawet nie szeregowiec, nie powinien odzywać się nie pytany. Siedziałem więc z wytrzeszczonymi oczami i zgodnie z regulaminem milczałem. Słuchałem.

Wychodziło na to, że wpadłem jak śliwka w kompot. Rekrut nie ma żadnych praw. Można go zabić na poligonie i nikt nie zostanie za to ukarany. Oto nieszczęśliwy wypadek w sytuacji podwyższonego ryzyka. Rekruta można zmusić do wykonania każdego, najbardziej idiotycznego rozkazu, a on nie może poskarżyć się stojącemu wyżej dowódcy. O rozkazach się nie dyskutuje, rozkazy się wykonuje.

Zapewne sierżant spodziewał się zobaczyć w moich oczach przerażenie. Może liczył, że się rozplacę i będę błagał o zerwanie kontraktu -- błękitną kopertę z imperialnym orłem, w której spoczywały moje dokumenty, sierżant jakby specjalnie trzymał na wierzchu. Prawdopodobnie był to ostatni moment, kiedy mogłem się rozmyślić -- ojciec mówił mi, że takie rzeczy się zdarzały. Niedoszły rekrut mógł wrócić do domu, musiał tylko zapłacić za paliwo helikoptera.

Ale ja milczałem. Nie powiedziałem nawet: „Proszę o pozwolenie odezwania się, panie sierżancie”.

W końcu jednak nastala chwila, gdy pan Klaus Maria Jak Mu Tam skończył swoją przemowę, zmęczony wyliczaniem nieszczęść i dopustów bożych, jakie spadną na moją głowę.

Zabębnił palcami pod twardym siedzeniu, podkręcił wąsa, odchrząknął.

Nadal milczałem. Rekrutowi nie wolno otwierać ust bez wyraźnego rozkazu.

Sierżant z uśmiechem sięgnął do kieszeni bluzy po cygaro, starannie odciął koniuszek, pstryknął zapalniczką, zaciągnął się i wydmuchał dym -- oczywiście prosto w moją twarz. Jego ruchy były tak precyzyjne, jakby zapalenie cygara wchodziło w skład musztry.

--Zezwalam na zwrócenie się do mnie, rekrucie -- wycedził w końcu, otulając się szarym dymem.

--Ośmielam się zameldować, panie starszy sierżancie, że nie wiem, z czym miałbym się zwrócić! -- wypaliłem z wytrzeszczonymi oczami.

--Nie wiesz, nie wiesz, kiju krymski? -- przedrzeźniał mnie Klaus Maria. -- Skoro tak, to ja cię o coś zapytam, jako twój przyszły przełożony. Po co wstąpiłeś na służbę imperialną, rekrucie? Przeglądałem twoje dossier. Pochodzisz z bogatej rodziny. Tatuś mógł ci odpalać wyższe kieszonkowe niż mój roczny żołd. Miałeś wolność, śliczne dziewczyny w zasięgu ręki, a przed sobą świetlaną przyszłość jako główny spadkobierca. A ty zaciągasz się do wojska. Możesz być pewien, że dostaniesz tu w skórę i to nieraz. Na cholere ci to, rekrucie? Nie pytam z czystej ciekawości. Może przyjdzie nam razem walczyć, nawzajem osłaniać swoje tyłki. Jakoś nie bawi mnie perspektywa, że mój tylek zostanie podziurawiony przez jakiegoś zasmarkanego rebelianta tylko dlatego, że ty leżałeś nieprzytomny z pełnymi gaciami. Pytanie jest jasne, rekrucie? Odpowiadaj!

Nie mogłem tego zignorować.

--Proszę o pozwolenie udzielenia odpowiedzi, panie starszy sierżancie!

--Tępotą krymska! Dałem ci rozkaz udzielenia odpowiedzi! Gadaj!

--Ośmielam się zameldować, panie starszy sierżancie, że pragnę służyć Imperium. Czuję powołanie do służby wojskowej i marzę o otrzymaniu stopnia oficerskiego. Imperium nie czyni poborowym przeszkód ze względu na pochodzenie.

--Śpiewasz jak z nut. -- Kolejny kłęb dymu w twarz. -- Zostaw te brednie dla panienek w punktach werbunkowych. Ciężko zarabiają na chleb i dlatego gotowe są kupić każdy kit. Ale ja, Klaus Maria Pferzegentakl, widziałem już tylu rekrutów, ilu ty w ciągu całego swojego życia nie zobaczysz. I dobrze wiem, kiedy się mnie nabiera, a kiedy wali prawdę. Więc mów mi tu, rekrucie, jak na spowiedzi. Powtarzam: moja skóra jest dla mnie najważniejsza. Nie mam ochoty wystawiać jej na kule z powodu czyjejś głupoty, tchórzostwa czy zdrady. Mów prawdę, rekrucie. Co cię tu przywiało?

--Ośmielam się zameldować, panie starszy sierżancie, że nie mam już zaszczytu być spadkobiercą niepodzielnego majoratu -- zameldowałem. -- Mój szanowny ojciec uznał za stosowne postawić na czele rodzinnego interesu mojego brata.

--Hm... -- sierżant zmrużył oczy. -- Tak już lepiej... Pamiętaj, że wszystko sprawdzimy, więc postaraj się nie łgać. Przekazanie majoratu zostało, jak rozumiem, przeprowadzone jak najbardziej legalnie, w obecności świadków i tak dalej?

--Tak jest, panie starszy sierżancie!

--A dlaczegóż to twój szanowny tatuś zostawił najstarszego syna bez grosza? Pileś, rznąłeś w karty, uganiałeś się za spódniczkami?

--Melduję, że nie, panie starszy sierżancie!

--Więc?

--Mój brat ma szczególne predyspozycje do prowadzenia interesów, panie starszy sierżancie. Mnie to nudzi. Nie potrafiłbym zarządzać własnością rodziny na odpowiednim poziomie, panie starszy sierżancie. A mam sporo rodzeństwa, dziewczęta potrzebują posagu, chłopcom trzeba opłacić dobre studia...

--O to, to -- mruknął sierżant. -- Dobre studia... Wy, bogacze, wszyscy jesteście tacy sami. Dziękuję Jego Wysokości Cesarzowi, że mnie o takie rzeczy głowa nie boli. Ja swoim chłopcom wysłużyłem imperialne stypendium. W porządku, rekrucie, załóżmy, że kupiłem twoją odpowiedź. To dobrze, gdy rekrut nie ma dokąd wracać. A co jest dobre dla Tannenberga, jest dobre również dla mnie. W porządku, rekrucie. Możecie usiąść w pozycji „spocznij”. Wkrótce będziemy na miejscu.

Nie wiem, czy mi uwierzył, czy nie, ale skończył przesłuchanie. Gdy helikopter miał wirnikiem powietrze, kierując się w stronę obozu treningowego Syberia, sierżant palił cygaro za cygarem.

Obóz treningowy na Syberii nie różnił się niczym od setek tysięcy takich obozów na innych planetach. Standardowe baraki, pomalowane w zielone plamy i podobne do siebie jak dwie krople wody, całość otoczona drutem kolczastym i tak dalej. Każdy, kto był w wojsku, potrafi dośpiewać sobie całą resztę.

Po prysznicu i przeglądzie lekarskim pogonili mnie do szefa kompanii. Stanowisko to zajmował najemnik Niemiec w podeszłym wieku, do którego zwracano się Michael. Jako dodatek do zestawu, który mi wręczono w punkcie werbunkowym, dostałem mundur i to, o dziwo, nowy, a nie używany i znoszony.

--Kto by tam dla was nastarczył -- mruczał szef kompanii. -- Palicie te ciuchy na sobie, czy co?...

Stary Michael miał absolutną rację. Wszystko się na nas paliło. Czy może inaczej -- wszystko starannie na nas palono.

--Raz, dwa, trzy, cztery, równaj krok! Zborowsky, plecy! Rigland, postawa! Kelchau, wciągnij brzuch! Kelchau, brzuch, mówię, pókiś cały!... Raz, dwa, trzy, cztery, równaj! Na ramięęęę brooń!... Stado ciężarnych małp, a nie rekruci. To tak się wykonuje komendę „na ramię broń” w marszu? Razdwakriak, jak należy regulaminowo wykonać wspomnianą komendę?

--Melduję posłusznie, panie starszy sierżancie, że moje nazwisko brzmi Rosdwokrak!

--Milczeć! Rekrucie Razdwakriak, jeśli powiedziałem, że twoje zasrane nazwisko, które zasługuje tylko na to, żeby je drukować na srajtaśmie, brzmi Razdwakriak, to znaczy, że tak właśnie jest! Dwie służby poza kolejnością. Czyszczenie kibli. Czemu milczysz, rekrucie? Zapomniałeś, co się odpowiada? Odświeżyć ci pamięć, dorzucić kilka dyżurów?

--Przepraszam, panie starszy sierżancie, tak jest, dwie służby poza...

--Trzy. Za tępotę.

--Tak jest, panie starszy sierżancie, trzy służby poza kolejnością...

--Już lepiej. To co tam w temacie komendy „na ramię broń”, Razdwakriak?

--Eee... Melduję posłusznie, panie starszy sierżancie, że komendę „na ramię broń” w marszu wykonuje się w trzech etapach. Etap pierwszy...

--Do szeregu, małpy kudłate, do szeregu! Szereg twórz! Równaj do prawego! Baaa...czność! Marsz! Dobrze, lepiej, znacznie lepiej. A teraz drużyna, śpiew!

Drużyna śpiew... Łatwo powiedzieć. Tylko jak śpiewać to gównno, które nie zmieniło się przez te wszystkie lata?

--Potrzebujesz specjalnego zaproszenia, Fatiejew? -- rozlega się ryk starszego sierżanta.

Włączam się więc do śpiewu razem ze wszystkimi.

Die Fahne hoch die Reihen fest geschlossen

S.A. marschirt mit ruhigfestem Schritt

Kam'raden die Rotfront und Reaktion erschossen

Marschier'n im Geist in unsern Reihen mit...*

Mam ochotę wypłukać porządnie usta, najlepiej czymś zjadliwie antyseptycznym.

Pięćdziesiąt potężnych gardel ryczy jak stado bawołów, rekompensując sobie intensywnością brzmienia absolutny brak słuchu i głosu. Inna sprawa, że prawdopodobnie tylko ja w całym plutonie rozumiem, co to za pieśń i dlaczego żaden zdrowy na umyśle człowiek nie śpiewałby jej dobrowolnie.

Die Strasse frei den braunen Batallionen,

Die Strasse frei dem Sturmabteilungsmann

Es schau'n aufs Hackenkrenz voll Hoffnung schon Millionen

Der Tag für Freiheit und für Brot bricht an.

I tak dalej, i temu podobne. Chociaż dalej już nie jest tak interesująco. O, już lepsza jest ta:

Es braust ein Ruf wie Donnerhall,

wie Schwertgeklirr und Wogenprall:

Zum Rhein, zum Rhein, zum deutschen Rhein

Wer will des Stromes Hüter sein?

Lieb Vaterland sollst ruhig sein

fest steht und treu die Wacht, die Wacht am Rhein!*

Oczywiście, współczesny oficjalny język imperialny nie jest tożsamy z ówczesnym niemieckim. Zmuszano nas do uczenia się trzech języków: klasyczny niemiecki, przeciwko któremu nic nie miałem (Schillera, Goethego, Heinego po prostu trzeba czytać w oryginale), i ogólnoimperialny, bez którego ani rusz -- wprawdzie wykładowcy uniwersytetu na Nowym Krymie na przekór wszystkim edyktom i rozkazom nadal wykładają po rosyjsku, ale jeśli wydostaniesz się ze swojej planety... Esperanto nie przyjęło się jako język uniwersalny, ale jego też się uczyliśmy. Na kilku planetach stał się nawet językiem oficjalnym.

Zwalilem się na pryczę. Czulem mdłości, miałem zawroty głowy i wrazenie, że już nigdy nie wstanę. Nigdy bym nie przypuścił, że okażę się takim słabeuszem. Trenowałem i ćwiczyłem od zawsze i wydawało mi się, że normy imperialne odwałę śpiewająco, przecież powinny być obliczone na nowicjuszy, którzy nie trzymali w ręku nic cięższego od widelca.

Gdzie tam! Zdaje się, że te normy specjalnie ustanowiono na poziomie „niewykonalne”. Proszę bardzo, kto zdoła na dzień dobry zrobić sto pompek albo podciągnąć się pięćdziesiąt razy na drążku?

Ale ból fizyczny i słabość to głupstwo -- dopóki się wierzy w swoją sprawę. A ja wierzyłem i wierzę.

Normy imperialne ustanowiono najwidoczniej w jednym jedynym celu -- udowodnić nowicjuszom, że są do niczego. Może wtedy zaczną szanować starych wojaków, którzy

swobodnie wypełniali przerażające nas normy.

Zacząłem się przyzwyczajać. Do wszystkiego można przywyknąć, zwłaszcza jeśli nie ma odwrotu. Nie dostawałem żadnych listów. Przyjaciele odwrócili się ode mnie, a Dalka... z nią też wszystko było jasne. Nie brałem przepustek i zapisałem się na nadprogramowe zajęcia walki wręcz, które w niedzielę prowadził nasz starszy sierżant sztabowy Klaus Maria. Pozostali rekruci rozkoszowali się niedzielną wolnością, a w każdym razie jej iluzją. Nieopodal bazy treningowej istniało niewielkie miasteczko wojskowe z tymi nieskomplikowanymi przyjemnościami, które Imperium uznało za właściwe dla swoich żołnierzy. Rozrywki wirtualne wszelkiego rodzaju, stare, dobre kasyno, no i oczywiście panienki. Poczulem dumę na wieść, że dziwki przywożono tu z innych, biedniejszych planet. Żadna dziewczyna z Nowego Krymu nie skusiła się na imperialne pieniądze...

Dziewcząt było dużo, na każdy gust. Wysokie i niskie, zgrabne i przyjemnie krągłe, milczące i śmieszki, blondynki, brunetki, szatynki i rude, podobno były też ze dwie łyse dla mężczyzn o wysublimowanym guście. Od żołnierzy każda z nich brała zaświadczenie o „wykonaniu usługi”, które to zaświadczenie przedstawiała potem w kancelarii bazy -- w celu otrzymania należnego wynagrodzenia „zgodnie z obecnym prawodawstwem”. Z drugiej strony, nie pozwalało to paniąkom uchylać się od płacenia podatków (trzy razy niższych niż te, które płacili pozostali obywatele Imperium).

Nie korzystałem z tych rozrywek. Po piątej niedzieli, spędzonej w koszarach w sali gimnastycznej, dostałem rozkaz stawienia się u psychologa politycznego naszej kompanii. U pani psycholog.

Był poniedziałek, dzień ciężki i męczący. Sprawdziłem, czy buty i guziki mają odpowiedni stopień połysku, czy znaczek na berecie oraz blacha na pasie są wystarczająco wypolerowane, i poszedłem „stawić się”. Z jednej strony niczego dobrego po tym wezwaniu się nie spodziewałem, z drugiej zaś, nie tak łatwo było mnie zagać. Nie miałem żadnych nagan czy upomnień, za to aż dwa podziękowania za osiągnięcia w treningu. Dyscypliny nie łamię, z sierżantem Klausem Marią nie dyskutuję -- w odróżnieniu od rekruta Rosdwokraka, który przy każdej okazji przypominał sierżantowi, jak brzmi jego nazwisko, i dlatego bez przerwy czyścił kible.

Nie miałem się czego bać. A mimo to dręczyły mnie jak najgorsze przeczucia.

Zastukałem (zgodnie z regulaminem: trzy umiarkowanie mocne stuknięcia), usłyszałem: „Wejść!” i otworzyłem drzwi.

Pani kapitan była istnym babochłopem. Wysoka i barczysta, z monumentalną, jakby wykutą z marmuru twarzą o regularnych rysach, wymarzoną do roli Walkirii w nowym imperatorskim Teatrze im. Ryszarda Wagnera. Miała na sobie dopasowany mundur z rzędami baretek, i to nie za wysługę lat, lecz bojowych, jakie można zdobyć wyłącznie w ogniu walki. Takich odznaczeń nie dostaje się nawet za dopieszczanie samego Imperatora.

--Pani kapitan, rekrut Fatiejew melduje się na rozkaz...

--Spocznij! -- zakomenderowała pani kapitan głosem, jakim należałoby obwieszczać Ragnarök*. -- *Spocznij, rekrucie. Możesz usiąść. Wprawdzie wezwanie było oficjalne, ale rozmowa taka nie będzie. Przynajmniej na razie.*

Usiadłem na brzeżku twardego krzesła z miną absolutnej gotowości -- wszystko jedno na co.

--Czy z tobą jest coś nie w porządku, rekrucie? -- zapytała Walkiria, świdrując mnie spojrzeniem czysto aryjskich, szarobłękitnych oczu. -- Jak przebiega służba?

Mój regulaminowy raport, że służba przebiega mi dobrze, skarg nie mam i ze wszystkiego jestem zadowolony, pani kapitan przerwała niedbałym machnięciem ręki.

--Dajmy temu spokój, rekrucie. Wiem dobrze, że przez pierwszy miesiąc służby nie otrzymałeś ani jednej nagany, za to aż dwa podziękowania. Chcę cię o coś zapytać jako psycholog polityczny, oficer odpowiadający za moralny stan kompanii. Dlaczego nie odwiedzasz dziewcząt, rekrucie? Dlaczego rezygnujesz z przepustek, zagwarantowanych regulaminem? To nie jest normalne, rekrucie, i to właśnie mnie niepokoi. Widzę, że jesteś zdumiony. Dobrze. Ponieważ wyglądasz na niegłupiego chłopca, powiem ci coś. Badania imperialnych psychologów wojskowych wskazują na negatywną zależność wszystkich wskaźników żołnierza od jego fizjologicznego zaspokojenia. Wyrażając się prościej: żołnierz, który nie pieprzy panienek, to zły żołnierz. Żołnierz z problemami.

Żołnierz, którego napięcie nie znajduje rozładowania i w efekcie prowadzi do załamania. Tannenberg tego nie potrzebuje. Przejrzałam twoje ankiety, rekrucie. Scharakteryzowałeś się jako osobnik heteroseksualny, ze standardowymi preferencjami. Czyli zgodnie z twoimi własnymi zapewnieniami, nie gustujesz ani w staruszkach, ani w lolitkach, ani w chłopcach. O co więc chodzi, rekrucie? Absolutnie bym nie chciała, żebyś pewnego pięknego dnia dostał świra i otworzył ogień do swoich towarzyszy. Czy to jasne, rekrucie? Czekam na odpowiedź. I nie próbuj wykręcać się stwierdzeniem, że to twoja prywatna sprawa. W batalionie Tannenberg rekruci nie mają spraw prywatnych. Dosłużysz się sierżanta, to będziesz miał coś takiego. A na razie czekam na odpowiedź.

Siedziałem sztywno, jakbym kij połknął, i zgodnie z regulaminem pozeralem zwierzchnictwo wzrokiem.

--Melduję posłusznie, pani kapitan, że w cywilu miałem dziewczynę...

--Wiem. -- Pani kapitan nie odrywała ode mnie uważnego wzroku. -- Dalia Dżamajte. Prawosławna. Poddana Imperium. Aktywny członek brygady międzynarodowej. Plik kryminalny czysty. Niepewna politycznie, ale niewymagająca specjalnego nadzoru. Nie wytrzeszczaj tak oczu, rekrucie, doskonale wiesz, że taką kategorię mają wszyscy obywatele Imperium pochodzenia nowokrymskiego, z wyjątkiem tych, którzy udowodnili swoją wierność tronowi i Jego Wysokości. Słucham dalej.

--Melduję posłusznie, pani kapitan, że się pokłóciliśmy. Nie chcę jej zdradzać... z przypadkowymi znajomymi. Mam nadzieję, że uda mi się doprowadzić do pogodzenia.

--Aha... -- Teraz wzrok pani kapitan stał się wręcz drapieżny. -- Masz nadzieję, że ci się uda... I myślisz, że normalna dla każdego mężczyzny w twoim wieku poligamia byłaby w tej kwestii przeszkodą?

--Tak jest, pani kapitan! -- wyskandowałem.

--A może wynika to z twoich przekonań religijnych? -- zastanawiała się głośno. -- Nie znalazłam w prawosławiu niczego potępiającego nierząd... mam na myśli, że nic nie różni pod tym względem prawosławia od innych wyznań.

--Melduję, że nie wynika to z mojej religijności, pani kapitan! -- szczeptałem. -- To skutek wychowania. Takie są przekonania moich rodziców. Dopóki ma się nadzieję na pogodzenie, nie powinno się... Sama pani rozumie.

--Rozumiem. -- Pani kapitan skinęła chłodno głową. -- Muszę ci powiedzieć, rekrucie, że wcale mi się to nie podoba. Nie mam zamiaru czekać, aż sperma tryśnie ci uszami i dostaniesz świra z powodu abstynencji seksualnej. Twoje funkcjonowanie jako pełnowartościowej jednostki bojowej w składzie Tannenberg wymaga równowagi psychofizycznej, a czegoś takiego bez regularnego życia płciowego osiągnąć nie można. Takie są oficjalne poglądy Akademii Psychologii Wojskowej, a ja mam zamiar skrupulatnie przestrzegać ustalonych przez nią wytycznych. Jednym słowem, życzę sobie, żeby w następny poniedziałek wpłynął do księgowości blankiet z twoim podpisem. Jeśli nie wpłynie, pretensje będziesz mógł mieć wyłącznie do siebie. Wszystko jasne, rekrucie? Znasz naszą zasadę: „Nie umiesz -- nauczymy, nie zechcesz -- zmusimy”.

Siedziałem bez ruchu, nadal wytrzeszczając oczy, i gdy pani kapitan skończyła, wrzasnąłem:

--Tak jest, pani kapitan, rozkaz zostanie wykonany, pani kapitan! Czy mogę odejść?

--Poczekaj. Wrzeszczysz, aż uszy puchną. Chyba się nie zrozumieliśmy, rekrucie.

Powtarzam: swoje problemy powinieneś zostawić w cywilu, nie ciągnąć ich tutaj. Armia od tego jest armią, żeby można było zacząć wszystko od początku. To nie rozkaz, lecz dobra rada. Obawiam się, że jej nie posłuchasz, ale daję ją mimo wszystko, żeby mieć czyste sumienie. Wszystko jasne, rekrucie? Widzę, że kiwasz głową. No to w lewo zwrot, za drzwi marsz i żebyś pamiętał, że w przyszłym tygodniu sprawdzę w księgowości...

Przywykałem. Mimo wszystko nie byłem cherlakiem, ściągniętym do Tannenberg a z biedniejszych planet -- w szeregu stałem na prawej flance. Wyższe wykształcenie też się przydawało -- nasz uniwersytet nie mógł się wprawdzie równać ze stołecznymi uczelniami imperialnymi, ale mieliśmy dobrych wykładowców, a ja skończyłem studia z wyróżnieniem. A że większość moich towarzyszy w plutonie nie ukończyła nawet szkoły średniej, chcąc nie chcąc musiałem pomagać starszemu sierżantowi Klausowi Marii Jak Mu Tam, ponieważ zaliczenie jest, jak wiadomo, „według ostatniego”.

Strzelać umiałem i lubilem od dziecka, pływałem jak ryba, niczym się pod tym względem nie różniąc od rówieśników. Odkryłem również tajemnicę przetrwania w szeregu: musisz wierzyć we wszystko, co robisz i traktować to z ogromną powagą. W przeciwnym razie pochłonie cię nieuniknione wojskowe rozpręczenie. „Żołnierz jest stojakiem przyporządkowanym do broni” -- tak, jeśli się nie mylę, zwykł mawiać Fryderyk Wielki, król pruski, który wielokrotnie dostawał łupnia od wojsk rosyjskich, co współcześni historycy albo przemilczali, albo zrzucali winę na „niejednoznaczność źródeł”.

Rzecz jasna, w następny poniedziałek do księgowości wpłynęło odpowiednio wypełnione zaświadczenie o odpowiednich usługach. Rzecz jasna, między mną a dziewczyną nic nie było. Powiedziałem jej wprost, że jestem zmęczony i po prostu chciałbym pobyć kilka godzin w ciszy i spokoju, posiedzieć przy filiżance herbaty. Nic więcej. Miałem nadzieję, że Tannenberg nie dowie się, jak naprawdę spędzam czas. Dziewczyna chyba nie doniesie -- jaki miałaby w tym interes? Nic nie robi, ogląda sobie operę mydlaną, a pieniądze płyną, i to niemałe. Kto by zrezygnował z takiej okazji?

W poniedziałek starszy sierżant sztabowy urządził nam dwudziestokilometrowy marsz w pełnym umundurowaniu. Jak zwykle, zaliczenie było „według ostatniego”. Oczywiście przez trzy ostatnie kilometry taszczyłem Razdwakriaka na własnych plecach.

Po marszu, gdy wyczłapaliśmy już z łaźni, zostałem wezwany przez naszego podporucznika, dowódcę 5. plutonu Szkoleniowego.

Rozkaz natychmiastowego stawienia się przekazał mi rekrut z drugiego plutonu, dodając, że mam się pospieszyć, bo porucznik czeka na mnie na torze przeszkód. Rekrutowi oznajmiającemu mi tę nowinę aż się gęba śmiała. Wiedziałem, że koledzy z plutonu uważają mnie za pupilka dowódcy -- bo nie mogli mi dorównać ani na bieżni, ani na strzelnicy, ani na drążku.

Pobiegnę „się stawić”.

Porucznik stał obok błotnistego rowu i żuł źdźbło trawy. Nie był w zwykłym mundurze, jaki noszą niemal wszyscy oficerowie kompanii szkoleniowej, lecz w polowych drelichach, które dowódca zakłada wtedy, gdy chce coś robić razem ze swoimi żołnierzami.

Zgodnie z regulaminem, w odległości sześciu metrów od oficera przeszedłem na krok marszowy, wbijając obcasy w ziemię tak, że błoto bryzgało. Podrzuciłem dłoń do beretu, zameldowałem się.

--Spocznij, rekrucie -- powiedział porucznik. Wypluł źdźbło, założył ręce za plecami. -- Przejrzałem twój formularz, rekrucie. Bardzo chwalebnie, przyznaję, bardzo chwalebnie. Wszystko zaliczone na celujący z plusem. W naszej kompanii od dawna nie było takiego rekruta. Powinieneś mieć zdjęcie w czasopiśmie „Imperialny Komandos”. Słyszałeś o takim? Oto idealne miejsce dla ciebie.

Nigdy nie daj po sobie poznać, że zrozumiałeś ironię czy ukryty sens wypowiedzi. Jesteś rekrutem, żołnierzem, automatem. Stojakiem dostawionym do karabinu. Zachowuj się odpowiednio do tego.

Wytrzeszczyłem oczy i pożerając nimi zwierzchnika, wypaliłem:

--Dziękuję, panie poruczniku!

Ale dowódca zacisnął usta w wąską białą linię i uniósł brew.

--Rekrucie -- wycedził. -- Nie udawajcie skończonego idioty. Człowiek z wyższym wykształceniem i najwyższymi notami po prostu nie może być idiotą. To prawda, jesteś idealnym żołnierzem. Inni dowódcy plutonów zazdroszczą mi takiego rekruta aż do bólu. Ale mnie gnębi brzydkie podejrzenie, że rozmawiam z człowiekiem, który wstąpił w szeregi Imperialnych Sił Zbrojnych w charakterze szpiega.

Nadal usilnie wytrzeszczałem oczy.

--Czemu milczysz, rekrucie? Połknąłeś język?

--Melduję posłusznie, panie poruczniku, że nie wiem, o czym mam mówić! Nie zadał mi pan żadnego pytania, panie poruczniku.

--Ty łobuzie! -- Na twarzy oficera pojawił się uśmiech. -- Masz rację, nie zadałem pytania. Dyplomu uniwersyteckiego nie da się ukryć. A oto pytanie: czy potrafisz udowodnić, że wstąpiłeś w nasze szeregi w celach innych niż wywrotowe?

--Melduję, że nie potrafię, panie poruczniku -- zaraportowałem. -- Ośmielam się zameldować, panie poruczniku, że nie można udowodnić istnienia tego, czego nie ma. I dokładnie tak samo nie można udowodnić braku istnienia. Staram się być dobrym rekrutem, to wszystko. Jak pan porucznik zapewne wie, nie jestem już spadkobiercą rodzinnego interesu, więc nie pozostaje mi nic innego, jak szukać szczęścia w innych miejscach. Za takie właśnie miejsce uważam Imperium, panie poruczniku.

--Wiem, że twój ojciec pozbawił cię spadku -- skinął głową porucznik. -- Wydział specjalny sprawdził to bardzo dokładnie. Rzeczywiście, zostałeś wykreślony ze wszystkich dokumentów. Akcje przeniesiono na twojego brata, Georgija. Wszystko się zgadza. Ale jesteś człowiekiem wykształconym, masz doświadczenie. Dlaczego nie zacząłeś pracować gdzie indziej? Na Nowym Krymie jest wiele świetnie prosperujących gospodarstw morskich, nawet jeśli nie są tak ogromne, jak latyfundium twojego szanownego tatusia.

--Ośmielam się zauważyć, że nikt nie przyjąłby mnie do pracy, panie poruczniku. Gdyby to uczynił, znieważylby całą moją rodzinę. A z moim szanownym tatusiem ludzie wolą żyć w zgodzie, dlatego uznali, że on wie lepiej. Skoro więc on nie powierzył mi zarządzania rodzinnym interesem, dlaczego mieliby to zrobić inni?

--Brzmi rozsądnie -- skinął głową porucznik. -- Ale nie musisz być od razu głównym zarządcą. Mógłbyś zacząć od dołu, udowodnić, wyróżnić się, może wtedy twój ojciec zmieniłby zdanie.

--Panie poruczniku... ja... mnie handel nudzi. Nie chcę chlapać się w sadzawkach ani liczyć narybku. Wolę rybę w postaci smażonej lub gotowanej, byle nie żywą i pływającą.

Porucznik znowu pokiwał głową.

--Dobrze, rekrucie. Załóżmy, że mnie przekonałeś. Dopóki nie mam wyraźnych dowodów zdrady, nie oddam cię wydziałowi bezpieczeństwa. A oni aż się rwą do działania. Z tymi swoimi metodami...

W jego głosie zadźwięczała pogarda -- odwieczna pogarda oficera bojowego, nieważne jakiej armii, do tajniaków i wywiadowców wszelkiej maści i kalibru.

--Naprawdę jesteś dobrym rekrutem -- rzekł, patrząc mi w oczy. -- Jesteś dobrym żołnierzem i obyś nie stał się kiepskim szpiegiem.

Szyfrogram 1

Salim do Bakłana

Przybyłem. Urządziłem się. Salim.

Szyfrogram 2

Nie podejmować żadnych kroków aż do specjalnego rozkazu.

Szukać kontaktów na górze. Bakłan.

Gdybym powiedział, że koledzy mnie nie lubili, byłby to eufemizm. Oni mnie nienawidzili. Za co? Za wszystko. Że mogłem zrobić pięćdziesiąt pompek bez zadyszki, wykonać trzydzieści razy „stanie z przewrotu”, podczas gdy innym udawało się to najwyżej trzy razy. Że nigdy się nie myliłem podczas rozkładania i składania karabinu szturmowego, a na strzelnicy wyrabiałem dziewięćdziesiąt punktów na sto z maksymalnej odległości. Staralem się nie tracić czujności. „Kocówa” ma to do siebie, że nawet mistrz świata w walce wręcz sobie nie poradzi, a ja mistrzem świata nie byłem.

W kompanii szkoleniowej Tannenberga było pięć plutonów po pięćdziesięciu pięciu rekrutów w każdym. Pięćdziesięciu pięciu rekrutów, starszy sierżant sztabowy i sierżant, jego zastępca. W każdym plutonie pięć drużyn po dziesięciu ludzi plus dowódca, zazwyczaj w stopniu kaprała, otrzymujący piętnastoprocentowy dodatek do żołdu i mający prawo do dwóch dodatkowych dni przepustki. Wystarczająco dużo przywilejów, żeby ubiegać się o to stanowisko.

W Tannenbergu przede wszystkim zdumiał mnie kompletny brak „czystych Aryjczyków”

wśród szeregowców naszego plutonu, podczas gdy listy oficerów aż się roily od baronów i innych „von”. Okazało się jednak, że Imperialowie stanowili ponad połowę batalionu.

Większość z nich miała przed nazwiskiem „von” -- po prostu w ten nieskomplikowany sposób zaczynali karierę wojskową. Ze zdumieniem odkryłem, że bez dwóch lat służby nawet najbardziej arystokratycznego arystokraty nie przyjmą do żadnej szkoły wojskowej. Było też sporo prostych chłopaków z „narodu rdzennego” -- jak brzmiała oficjalna nazwa w informatorach imperialnych. Wyraźnie szykowali się do zrobienia kariery na modłę Klausego Marii, to znaczy do zdobycia stopnia sierżanta. Na tym tle nasz pluton bardzo się wyróżniał, no i oczywiście wiecznie ciągnął się w ogonie wszystkich wskaźników. Jasnowłosi i szaroccy Imperialowie, ci z „von” i bez „von”, byli nie od macochy. Z całego naszego plutonu tylko ja mogłem stanąć z nimi w szranki. No i może jeszcze ze dwóch innych -- z pochodzenia Czechów czy Polaków. Wprawdzie sami nie mieli pewności co do swojego miejsca urodzenia, za to jednego byli pewni: mnie nie trawili. Wszystkie krzywdy, wyrządzone ich krajom (gdym na Ziemi istniał jeszcze podział na państwa) przez Rosję, mieli wyryte w pamięci i ochoczo o nich opowiadali. Poza tym w naszym plutonie byli również niedożywieni Azjaci, którzy nadal „nie nabrali masy mięśniowej”, jak zwykły mawiać herr starszy sierżant.

Służba biegła swoją koleją. W gruncie rzeczy można by to potraktować jak zawody sportowe, rzecz jednak w tym, że dla mnie stawka była znacznie wyższa. Z łatwością wybiłem się ponad pozostałych członków mojej drużyny i szybko otrzymałem stopień starszego szeregowego -- wąski srebrzysty pasek w poprzek czarnego pagonu. Za tak zwane „sukcesy w przygotowaniu bojowym i politycznym”.

To było nasze pierwsze zadanie. Chodziło o pokonanie toru przeszkód, ale bynajmniej nie tego zwyczajnego, treningowego. Pokonanie nowego toru w pojedynkę było niemożliwością. Przed nami, aż do samego horyzontu, ciągnął się istny labirynt przeszkód -- głębokie rowy, wypełnione rzadkim błotem; zwęglone szkielety budynków z ogniem buzującym w pustych otworach okien (trzeba przyznać, że nie żalowali napalmu); pajęczyny drutu kolczastego i sterczące na środku pola skały, których zgodnie z zasadami gry nie można ominąć. Było też bagno, nad którym unosiła się zielona mgielka oparów -- kawałek słynnych „żywych” bagien Deltę Smoka, do których można podejść jedynie po „wysokotemperaturowej ogniowej obróbce aż do poziomu gwarantowanego wypalenia substancji organicznych”, oraz fragment dżungli, której pochodzenia nie rozpoznałem. No i oczywiście drewniane sześciometrowe ściany, liny zwisające z żelaznych belek, mnóstwo krat, kałuże płonącej ropy i inne rozrywki. Odniosłem wrażenie, że na pagórku dostrzegłem zabetonowane stanowisko cekaemu, ale szybko odrzuciłem tę myśl jako zbyt idiotyczną. Przecież Tannenberga nie wysyłałby swoich rekrutów pod ogień zaporowy!

--Pluutooon! Na moją komendę! -- rozległ się nad moim uchem głos starszego sierżanta. -- Drużynami, zgodnie z listą... Ustawić się!

Trzeba przyznać, że nie na darmo nas nekali. Prawie nikt nie wpadał na kolegów, nie zahaczały o siebie karabiny, żaden nie oberwał w nos rurą granatnika; ba, nawet udało nam się ustawić według wzrostu!

Ale Herr Klaus Maria pozostał niezadowolony.

--Stado cierpiących na zatwardzenie hipopotamów! -- wrzasnął.

--Wstyd i hańba! Słuchajcie, mandryle hemoroidowe. Macie przed sobą tor przeszkód.

Dystans dziesięć kilometrów. Czas dwie godziny. Zaliczenie według ostatniego. Otrzymaliście standardowy zestaw wyposażenia komandosa imperialnego, którym w najlepszym razie zostanie jeden z was. Karabin szturmowy Kurtz model 98 albo Mannlicher r-5 z granatnikiem kaliber 55, pięć magazynków i dwieście pocisków w paczkach. Do tego dziesięć granatów, uniwersalny nóż desantowy, toporek, mała saperka, kotwiczka pięciolapa z linką, pakiet medyczny, urządzenie nadawczo-odbiorcze, celownik na hełm oraz indywidualne środki ochrony: wbudowana w hełm maska do oddychania i kombinezon kuloodporny. Wykorzystując to oraz inne podręczne środki wedle własnego uznania, drużyny mają pokonać tor. Oddział, który pokona go pierwszy, otrzymuje dodatkowy dzień wolny i może natychmiast ruszać na dziewczynki, jeśli oczywiście zmieści się w czasie. Drużyna, która przyjdzie ostatnia, przez tydzień szoruje kible i oddaje pięć procent miesięcznego żołdu zwycięzcom.

Ktoś chciał jęknąć, chyba Razdwakriak, ale opanował się pod groźnym spojrzeniem sierżanta.

--Jak pewnie rozumiecie, orangutany, dostaliście ostrą amunicję. Granaty też są autentyczne. Jeśli się, cymbały, nawzajem powystrzelacie, pretensje będziecie mogli mieć wyłącznie do siebie. A Imperium zaoszczędzi sporą sumkę, wypłacając waszym krewnym tylko jednorazową rekompensatę, zamiast co miesiąc bulić za wasze żalotne próby pozostania przy życiu na imperialnej służbie. Spodziewajcie się przeszkód -- sierżant krwiożerczo podkreślił wąsa -- które również będą używać ostrych pocisków. Nie przewiduje się za to żadnych głośnych efektów specjalnych. Możecie palić i wysadzać w powietrze wszystko, co tylko zdołacie. Wszystkie chwytaki dozwolone. Cel główny: pokonać dystans. Jak to na wojnie, moje drogie szympanasy. Wszystko jasne? Na tor... ustawić się!

Naszej piątej drużynie przypadła „dróżka” z brzegu. Pięć tras oddzielono od siebie masywnymi, pokrytymi darnią wałami, zwieńczonymi drutem kolczastym.

--Absolutny zakaz przechodzenia na sąsiednią trasę pod karą zdjecia z toru ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Nie wolno wam też wracać. W przypadku zranienia należy działać odpowiednio do sytuacji, kurs pierwszej pomocy przeszliście, pakiety medyczne macie. Pamiętajcie, trąby, że na wojnie nie zawsze można liczyć na sanitariuszy, nie mówiąc już o tym, że często nie ma możliwości wyniesienia rannego w bezpieczne miejsce. Może się też okazać, że pod waszym dowództwem są kompletnie zieloni ochotnicy. To znaczy, że uczyć musicie się szybko. Wszystko jasne? Na miejsce... uwaga... marsz!

Ruszyliśmy. Każda jedenastoosobowa drużyna miała własny „korytarz”. Na razie bieгло się łatwo, ale mieliśmy przed sobą dziesięć kilometrów, a dzień zapowiadał się gorący. Nie było sensu, żebyśmy szli jak burza -- wygraają ci, którzy zachowają siły na finisz, a nie ci, którzy obejmą prowadzenie na starcie. To nie maraton.

Zgodnie z zasadą pecha, Razdwakriak znalazł się w tej samej drużynie co ja i od razu ruszył z kopyta, wzbijając tumany kurzu. W ślad z nim pomknęli pozostali -- skośnooki Chang, ciemnoskórzy Surendra i Dżonamani, a także Deneb Fomalhaut Glinka (chyba Czech), melancholijny Fin Mikki Varialainen, Rumun Keos Tazescu, Turek Fatih, irański Ormianin Nazarian i klasyczny afrykański Murzyn, który pierwszego dnia dostał ksywkę Makumba.

Cale towarzystwo zostawiło mnie daleko z tyłu. Idioci. Widocznie ostatni marsz na zaliczenie niczego ich nie nauczył. Z ciężkim plecakiem łatwiej szybko iść niż biec. Musiałem im o tym przypomnieć.

Posłuchali. Teraz szli obok mnie, niemal noga w nogę. Nazarian co chwila zerkał na przyrząd ustawiony na odliczanie metrów i minut: pozostało 9700 metrów... 1 godzina 57 minut...

Na pierwszą przeszkodę natknęliśmy się pół kilometra od startu. Zaczęliśmy nieźle, szliśmy szybko, sto pięćdziesiąt metrów na minutę, więc mieliśmy spory zapas. Na razie wszyscy, łącznie z Razdwakriakiem, nieźle sobie radzili.

W pewnym momencie rozdzielające trasy wały rozsunęły się.

Na środku wolnej przestrzeni widniał pagórek -- najwyraźniej sztuczny -- z tym stanowiskiem cekaemu, które dostrzegłem na starcie. Wylecieliśmy zza zakrętu hurmą i ledwie zdążyłem krzyknąć „padnij!”, gdy z przodu zagrzmiało, w czarnej dziurze otworu strzelniczego pojawił się błysk i powietrze nad naszymi głowami przeszła długa seria pocisków smugowych. Pewnie dlatego smugowych, żeby od razu było jasne: to nie żarty. Cóż, w to akurat nie wątpiłem.

Cała drużyna zaryła nosami w zakurzoną trawę. Cekaem zaterkotał znowu, kreśląc drogę przed nami linią szarych fontann i wyraźnie zaznaczając granicę, której przekroczyć nie wolno.

Makumba albo nie zrozumiał, albo poczuł się jak bohater -- skoczył do przodu z rykiem godnym króla dżungli. Karabin w jego ręku zatańczył i szarpnął -- Murzyn strzelał mniej więcej w stronę otworu strzelniczego. Nie wiem po co; nawet przy założeniu, że zdołałby trafić, niewiele by to dało -- przy cekaemie najprawdopodobniej stał robot, dla którego nasze kule były niczym śrut dla słonia.

Kolejna seria powinna była przeciąć pechowego Makumbę na pół, ale w ostatniej chwili zdążyłem powalić go na ziemię, obrywając przy okazji w głowę potężnym makumbowskim butem numer 46.

--Leż, kretynie! -- ryknąłem na niego. -- Leż i nie przeszkadzaj!

Byłem pewien, że się obrazi, ale co mogłem zrobić?

Leżąc na boku, gorączkowo przeladowałem granatnik. Czas, czas, czas! Nie mamy czasu na regularne oblężenie.

Wystrzeliłem granat, niemal nie celując. Tuż przed otworem strzelniczym pojawiła się chmura czarnogranatowego dymu, tak gęstego, że można by go kroić. Dymne granaty desantowe to naprawdę świetna rzecz. Doskonale blokują optyczne, podczerwone i radarowe systemy naprowadzania. Chmura nie utrzyma się długo, musimy zdążyć...

--Naprzód! -- wrzasnąłem. -- Biegiem, jeden za drugim! Do martwej strefy! Tam nas nie dosięgnie! Kriak, Mikki, Chang, Surendra... na lewo! Pozostali na prawo, do końca! Zejść z dwusiecznej! -- Mówiłem oczywiście o dwusiecznej kąta sektora ostrzału.

Cekaem zaterkotał znowu, chaotycznie kołysząc lufą to w prawo, to w lewo. Strumień pocisków smugowych walił w drogę, wyginając się niczym szpicruta. Ciekawe, ilu z nas mogłoby tu zostać na zawsze?

Ale chłopcy, chwała Bogurodzicy, opiekunce naszej, nie zawiedli. Rozbiegli się na boki, jak myszy przed kotem. Wyczekałem moment, gdy strumień kul mnie ominął i skoczyłem do przodu.

Obok mnie znalazł się Dżonamani, który puścił jeszcze jeden granat dymny. To nie było konieczne, tym bardziej że powinniśmy oszczędzać pociski, bo nikt nie wiedział, co nas jeszcze czeka.

Przebiegliśmy kawalek i padliśmy plackiem na ziemię. Coś z gwizdem przeleciało nad naszymi głowami, niczym kosa nad trawą. Chwilę później wdarliśmy się w chmurę. Przycisnąłem do ust maskę przeciwgazową, szturchnąłem Dżonamaniego, który miał zamiar biec bez maski. We dwóch znaleźliśmy się obok otworu strzelniczego -- wpakowałem granat prosto w czarną dziurę. Dżonamani też chciał wystrzelić, ale uświadomiłem sobie, że jego granat uderzy w betonową ścianę i ledwie zdążyłem podbić mu mannlicera. Odgłos wybuchu dobiegł z dołu. W przeciwnym razie ogłuszyłoby nas i poharatało odłamkami -- granat był prawdziwy, bojowy. Cekaem umilkł. Z otworu strzelniczego zaczął walić gęsty czarny dym, najwyraźniej z pocisków zapalających.

Nie wiem, jakim cudem udało mi się zebrać chłopców. Wszyscy byli porządnie wystraszeni, tylko Dżonamani chodził dumny jak paw -- zdążył zapomnieć, że o mało nie załatwił nas obu.

--Bardzo dobrze, chłopcy -- wysapałem. -- Oby tak dalej...

--Co oni, kompletnie zgłupieli? -- wrzasnął cienko Fatih. -- Chcą nas wybić do nogi? Kto ma ochotę, niech idzie dalej, ja mam dość! Wynoszę się stąd i zrywam kontrakt! Jeszcze mi tylko brakowało, żebym zdechl od kuli swoich!

--Nie wygłupiaj się! -- przerwałem mu. -- Nigdzie się stąd nie ruszysz, zaliczają według ostatniego, zapomniałeś? Jak się stąd wydostaniemy, będziesz mógł się wynieść do diabła. Ale dopóki idziemy jako drużyna, zapomnij o tym. Dobrze mówię, chłopaki?

Po chwili wahania poparli mnie zgodnym mručeniem, które wcale nie ucieszyło Fatiha.

Ktoś inny na jego miejscu już by ochłonął, ale nie Fatih. Buzująca adrenalina podpowiedziała mu tylko jedno rozwiązanie -- wycelować karabin w mój brzuch. Twarz miał białą, w oczach szaleństwo.

Dżonamani i Surendra zawiśli mu na ramionach, Keos kopnął nogą karabin. Kula poszła w niebo. Fatih runął na ziemię i nieoczekiwanie zaczął wyć.

--Dobra, wstawaj -- powiedziałem jakby nigdy nic. -- Szkoda czasu. I tak straciliśmy niepotrzebnie pięć minut.

Hindusi podnieśli Fatiha, który jak dziecko rozmazywał pięściami lzy po brudnych policzkach.

Karabin mu zabrałem.

Biegliśmy dalej. Nasz tor minął kolejny zakręt i zaczęło się na całego. Labirynt min przeciwozłogowych, drut kolczasty, płonąca ropa na ziemi. Chłopcy, trochę zaskoczeni liczbą i różnorodnością przeszkód, doszli do wniosku, że najlepiej będzie przedzierać się pojedynczo.

--Stójcie! -- wrzasnąłem.

Okolone drutem kolczastym miny umieszczono zbyt blisko siebie, żeby można było przedostać się między nimi. Stracilibyśmy na to zbyt wiele czasu. Znacznie prościej przetrzucić coś ponad nimi i, pomagając sobie nawzajem, pokonać przeszkodę górą.

Z braku desek użyliśmy kawalków dykty, znalezionych na brzegu toru. Parami, trzymając się za ręce, drużyna zaczęła pokonywać labirynt.

Traf chciał, że szedłem razem z Fatihem. Chłopak zdążył się już uspokoić, ale nadal patrzył na mnie ze złością.

--Nie rób głupstw -- ostrzegłem. -- Jak przejdziemy tor, to proszę bardzo. Jeśli zechcesz, będziemy się bić. Ale potem, dobra? Na mnie możesz się wściekać do woli, ale nie wystawiaj chłopców. Przecież oni nie mają z tym nic wspólnego, no nie?

Turek ponuro skinął głową.

Szliśmy dalej. Po labiryncie trafiliśmy na szkielet zrujnowanego domu, w którym szalał ogień. To już nie była nafta, lecz najprawdziwszy napalm.

I znowu klucz do sukcesu tkwił w tym, żeby pokonać przeszkodę całą grupą -- podrzucając na górę najlżejszego, który potem pomoże pozostałym. Niby proste, ale gdyby każdy chciał działać na własną rękę, nigdy nie wyrobilibyśmy się w czasie.

Cekaem odezwał się w momencie, gdy do przejścia pozostała nam wąska, przekrzywiona żelazna belka. Pod nią, cztery metry niżej, płasał wesolo czarno-rudy płomień.

--Napalm pół na pół z oponami -- zauważył melancholijnie Surendra, najbardziej powściągliwy z całej drużyny. -- Upadek nie będzie przyjemny.

Terkot, seria pocisków, lecą ostre betonowe odłamki. Chłopcy skulili się za półmetrową ścianą, jedyną osłoną przed kulami. Zauważyłem, że pierwsza seria poszła ponad naszymi głowami, dopiero potem zaczęli walić na serio.

„Kto się nie schował, ten kryje!”

Stanowisko cekaemu umieszczono idealnie -- za stertą cegieł i stosem dwuteowników, przemienionych jakąś potworną siłą w korkociągi. Jedyna droga do wyjścia z labiryntu przebiegała dokładnie przez środek sektora ostrzału. Żeby wysłać naszą drużynę na wieczny spoczynek, wystarczyłaby jedna dobrze wymierzona seria.

Makumba wypalił z granatnika -- jedyny widomy efekt był taki, że cekaem sypał na nas ołów przez dobre pięć minut.

Używanie granatów dymnych nie miało sensu. Drogi okrężnej nie ma, pod nami jest ogień, nad nami niebo, po bokach pustka. I tylko wąski pas żelaznej belki -- naprzód, ku wolności. W tej chwili świat poza granicami toru wydawał się niemal rajem. Jak przejść przez belkę, jeśli pociski cekaemu krzeszą iskry z jej stalowych boków?

I wtedy mnie olśniło. Dziesięć słabych uderzeń to nie to samo co jedno mocne. Niby banał, ale czasem najtrudniej znaleźć najprostsze rozwiązanie.

--Chłopcy, musimy strzelić jednocześnie -- oznajmiłem. -- W tamten kąt. Jeśli wszyscy trafimy...

Nikt nie protestował.

Straciliśmy sześć minut, żeby wszystko zrobić jak trzeba, sprawdzając linię celu według promienia celownika laserowego na helmie. Co chwila chowaliśmy głowy, cekaem najwyraźniej nie musiał oszczędzać pocisków.

--Na trzy -- zakomenderowałem. -- Wszyscy razem. Raz... dwa... trzy!

Wszystkie granatniki odezwały się jednocześnie. Dziesięć granatów walnęło w podstawę ściany, szczęśliwie zwisającej nad stanowiskiem cekaemu. W niszy rozległ się wybuch i ściana runęła, grzebiąc pod rumowiskiem cekaem oraz stertę osłaniającego go metalu.

Drużyna wrzasnęła zgodnie: „Hoch, hoch, hoch, heil!”. Najgłośniej wrzeszczał Makumba.

Teraz przejście po belce było już dziecinnie proste. Obawiałem się jeszcze tylko jednego -- że starszy sierżant zaminował ją, abyśmy mogli się lepiej „rozerwać”.

Potem były zwykłe przeszkody, które szybciej pokonuje się w pojedynkę. Oczywiście, musieliśmy pomagać Razdwakriakowi i Fatihowi -- Turek był wprawdzie dumny, ale słaby. Najlepiej trzymał się potężny Makumba. Gdy Kriak zaczął padać z nóg, zapytał po prostu:

--Co robimy, dowódcu?

Dowódca. Słowo zostało wypowiedziane.

Najciężej było na bagnie. Do tej pory miałem nadzieję, że pociski dali nam ot, tak w ramach dodatkowego obciążenia, w celu spotęgowania wrażenia realizmu, stworzenia sytuacji „maksymalnie zbliżonej do bojowej”. Nadzieje okazały się płonne. Na bagnach roilo się od drapieźnych i zębatach przedstawicieli fauny. Jak poinformował nas Makumba, byli tu również przedstawiciele gatunku *Vagina dentata* (Murzyn wyraził swoje przypuszczenie w nieco prostszym języku).

Przed nami była wąska ścieżka, a może raczej mostek z czarnych przegniłych desek i połączonych ze sobą starych opon samochodowych, gdzieś wyposażony w „poręcz” z zardzewiałego drutu kolczastego. Pod spodem była podejrzanie spokojna czarna woda.

Zerknąłem na zegarek. Do przejścia pozostało ponad trzy kilometry, a czas uciekał. Mieliśmy jeszcze trzydzieści trzy minuty.

--Powiązać się -- zakomenderowałem. -- Jeśli któryś spadnie, utrzymamy go. -- Dziwne, że ta prosta myśl przyszła do głowy tylko mnie... Chociaż jeśli wziąć pod uwagę, że sześciu członków mojej drużyny urodziło się w ogromnych metropoliach i żaden z nich nie chodził ani w góry, ani na...

Moje rozmyślenia przerwał głośny plusk. W tym samym momencie powietrze przeszył huk wystrzałów. Mannlicher to potężna broń -- niestety, bardzo głośna.

Drużyna strzelała do zębatej paszczy wielkości walizki, która wynurzyła się z pobliskiej kałuży. Przez chwilę myślałem, że to tylko nieszkodliwy fantom, ale strzępy mięsa i wachlarze krwawych rozprysków były zbyt realistyczne.

Stworzenie zamknęło paszczę z głośnym kłapnięciem i skryło się w ciemnych głębinach. Chłopcy walili ile sił, woda bulgotała od kul, a efekt żaden.

--Ja-ja-ja tam nie pó-pó-pójdę -- zaszczekał zębami Razdwakriak. -- Ró-róbcie co chcecie, nie-nie pó-pójdę i ko-koniec.

--Wystawisz nas wszystkich! -- wrzasnął Keos.

--Przecież nie będziemy cię nieść! -- krzyknął zwykle spokojny Mikki.

--Prędzej czy później będziemy -- rozwałem złudzenia Fina -- więc co za różnica, od którego miejsca? Kilometr wcześniej, kilometr później...

Oczywiście przesadzałem. Dla wszystkich było jasne, że im dłużej Kriak utrzyma się na własnych nogach, tym większe mamy szanse zmieścić się w czasie. Ale nie mieliśmy innego wyjścia. Do Razdwakriaka już nic nie docierało.

Uderzyłem precyzyjnie, ale mocno w ten wskazany przez Klause Marię punkt, który wyłącza człowieka na godzinę albo dłużej. Kriak wrzasnął i oklapł.

--Tak będzie lepiej -- wyjaśniłem zastygłej w osłupieniu drużynie. -- Bez gniewu i emocji. Niech odpocznie. Ja go będę niósł.

--Nie, dowódco -- sprzeciwił się Makumba. -- Zrobimy nosze.

--Właśnie! -- poparł Murzyna Keos i od razu zamachnął się toporkiem.

Minutę później byliśmy już w drodze. Zostało nam około tysiąca siedmiuset trzydziestu sekund.

Kłopoty zaczęły się w momencie pokonywania pierwszego zakrętu bagiennej „ścieżki”. Pośród zarośli ciągnął się łańcuch potężnych kół traktorowych, niemal zupełnie zanurzonych. Pierwsza dwójka, Keos i Mikki, ledwie zdążyła przebiec dziesięć metrów, gdy woda wokół nich

zawrzała i na „tor” zaczęły wpełzać dziesiątki winnych, węzowych ciał długości i grubości ludzkiej ręki. Najszybsze zdążyły wczepić się w buty i spodnie chłopców.

--Aaa! -- zawył Keos, rozpaczliwie strzelając pod własne nogi.

Drużyna wsparła go huraganowym ogniem, odcinającym stwory od „trasy”. Część węzowych ciał wypłynęła na powierzchnię czarnego bagna, inne szybko tonęły, porozrywane pociskami.

Podskakując i wrzeszcząc, Mikki i Keos wbiegli na małą wysepkę. Węże poniosły ogromne straty i chyba zrozumiały, że pora się wycofać. Kilka najbardziej żarłocznych podążyło w naszą stronę, ale szybko zostały zamienione w krwawą miazgę. Mannlichery nie zawiodły.

Oslaniając się nawzajem, drużyna grupkami ruszyła w głąb bagna. Po węzach natknęliśmy się na dziwne, włochate aligatory, potem były żywe drapieżne liany, a jeszcze później...

W sumie nic specjalnie ciekawego. Zbiliśmy się w ciasną, najeżoną lufami grupę i waliliśmy do wszystkiego, co się ruszało. Wkrótce musieliśmy zacząć oszczędzać pociski.

Za bagnami zaczął się asfalt i czołgi. Stare, spisane na straty grosstraktory i dziwaczne maszyny, poskładane z zespawanych arkuszy blachy pancernej, w których z pewnym trudem rozpoznałem samoróbki powstańców z Utrechtu i Uppsali. No proszę, jeszcze działają...

Mogliśmy zrobić tylko jedno: utworzyć pierścień obronny w szczęśliwie znalezionych ruinach jakiegoś domu.

Czołgi otworzyły ogień, strzelając do nas najprawdziwszymi bojowymi stuściomilimetroowymi pociskami. To był szok.

Drużyna zaczęła krzyczeć. Nawet ja nie spodziewałem po sierżancie takiej podłości. Siedem czołgów -- trzy „grossy” i cztery powstańcze. Grosstraktory są dość wolne, ale w razie potrzeby zdolają zmiażdżyć osłaniające nas ściany, nawet nie odwracając wieżyczek.

Nic dziwnego, że nadal z nich korzystają...

Mikki trafił „grossa” granatem, ale czołg jechał dalej, jakby nigdy nic.

Siedem. Dużo.

Poczułem, że boli mnie brzuch. Fatih jęknął, niemal zupełnie zagłuszony przez ryk nadciągających stalowych żółwi.

Mieliśmy zbyt słabe miotacze, z takimi nie idzie się na czołgi. Jedyne wrażliwe miejsce -- gąsienice -- było osłonięte pancernymi nadburciami.

Pocisk wybuchł tuż obok naszej kryjówki. Na chwilę ogłuchłem. Siedem czołgów sunęło na nas ze wszystkich stron i nie miałem wątpliwości, że rozwałkują nas na placek bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Jak to było? „Nieszczęśliwy wypadek w sytuacji podwyższonego ryzyka...”

--Dowódco! Co robimy, dowódco? -- krzyknął Makumba.

A co możemy zrobić? Nie mamy ani granatów przeciwpancernych, ani min, ani nawet gazu bojowego... Gazu? Gazu!

--Wszyscy, którzy mają jeszcze granaty dymne, do mnie! -- wrzasnałem.

Granatów było osiem.

Leżąc plackiem w rumowisku cegieł, liczyliśmy sekundy i wsłuchiwaaliśmy się w wycie przegrzanych silników. Gdy czołgi podeszły bardzo blisko, wydałem rozkaz:

--Ognia!

Pomiędzy dwoma „grossami” wybuchła chmura dymu, w którą wskoczyliśmy, licząc, że

obsługa cekaemów nie zareaguje wystarczająco szybko.

Nie zareagowali. Gdy wypadłem z chmury, przede mną zamajaczył potężny tył jednego z grosstraktorów. Nadal tępo parł naprzód.

Szkoda, że nie mamy butelek z mieszanką zapalającą, niezapomnianym koktajlem Mołotowa... Moglibyśmy rzucić je na kratownice osłony silnika.

Gdyby czółgom towarzyszyła piechota, bylibyśmy martwi. Ale piechoty nie było.

Ostatni kilometr nie przyniósł już żadnych niespodzianek, za to musieliśmy pokonać go biegiem -- do upływu dwóch godzin pozostało sześć minut. Niby sporo, ale nie po takim treningu...

Ciężko dysząc, spoceni, zabłoceni i okopceni, przebiegliśmy linię mety. Witał nas podporucznik i sierżant oraz trzy oddziały lekarzy.

„Czerwone krzyże” od razu skierowały się do leżącego na noszach Razdwakriaka.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na zegarek. Zmieściliśmy się. Przyszliśmy czterdzieści pięć sekund przed upływem czasu. I chyba byliśmy pierwsi. Nie widziałem żadnych innych rekrutów.

--Gratuluję -- powiedział spokojnie porucznik. -- Gratuluję, panowie rekruci. Wprawdzie wasz czas daleki jest od rekordu kompanii szkoleniowej, ale przyszlicie pierwsi. I zmieścicie się w czasie. Gratuluję.

Rzuciłem podejrzliwe spojrzenie na pozostałych i skinąłem im głową. Na trzecie skinienie drużyna ryknęła regulaminowe: „Ku chwale Imperium!”

Razdwakriak otworzył oczy.

--Wszystko dobrze, Kriak -- nad noszami pochylił się Keos. -- Przyszliśmy pierwsi. I zmieściliśmy się w czasie.

--A... a co mnie stuknęło? -- zapytał słabym głosem Kriak.

--To ja tak pechowo skoczyłem -- odezwałem się. -- Wybacz, Kriak. Tak wyszło...

--Cisza! -- ryknął starszy sierżant. -- Drużyna dostaje urlop. A ty, rekrucie -- palec herr Klausa Marii wycelował we mnie -- ty, rekrucie...

--On już nie jest rekrutem, sierżancie -- rzekł tym samym spokojnym głosem podporucznik. -- Właśnie został kapralem i dowódcą tej drużyny. Zobaczymy, jak sobie poradzisz, Fatiejew.

Zostałem dowódcą. Rozstałem się ze srebrnym paskiem starszego szeregowego i zamiast niego na rękawie bluzy, tuż pod wyszczerzoną trupią główką, pojawiła się trójkątna naszywka kaprała.

Chłopcy poklepywali mnie po ramieniu i gratulowali -- wszyscy, nawet Fatih. Lody zostały przełamane. „Pupilek dowódcy” doprowadził ich do mety jako zwycięzców -- i w dodatku żywych.

--Całkiem nieźle, kapralu -- porucznik podszedł do mnie i wyciągnął dłoń. -- Całkiem nieźle.

Uścisnąłem jego rękę -- mocną, węzlastą, absolutnie nieprzypominającą wypiełgnowanej dłoni panicza. Uścisnąłem dłoń wroga. Dłoń Imperiala. Jednego z tych, którzy odebrali wolność mojej ojczyźnie. Uścisnąłem mu rękę.

Wkrótce potem przyszła kolej na zapoznanie się ze sprzętem desantowym. Uczyli nas strzelania ze wszystkiego, co tylko ma lufę, naprowadzanie czy przynajmniej coś w tym guście, oraz prowadzenia wszystkiego, co posiada koła, gaśienice albo coś, co można by do nich

porównać. Klaus Maria oczywiście ciągle się na nas wściekał, zapewniając nam, prócz zwykłego szkolenia, również tradycyjne rozrywki w rodzaju szorowania kibli szczoteczkami do zębów.

Mijały cztery miesiące, odkąd włożyłem czarny mundur Trupiej Główni. Znosiłem wszelkie szykany i powoli się przyzwyczajałem. Szeregi rekrutów przerzedziły się -- dwóch poległo na pamiętnym „dystansie”, jeden wpadł na kradzieży i został odesłany na Swaarg, planetę dla katorżników, dwóch innych, absolutnie nienadających się do desantu, przeniesiono do pomocniczych oddziałów tyłowych. Podobno nie było tam prawie wcale musztry jako takiej, za to zmuszano do pracy od świtu do nocy, w dodatku za marne grosze.

A ja dowodziłem drużyną. Gdyby to była normalna kadrowa kompania (gdzie praktycznie najniższym stopniem jest kapral), stanowisko dowódcy powinien objąć co najmniej sierżant. Ale to była kompania szkoleniowa.

Nastąpiła pora nocnych alarmów, strzelania, kierowania czołgami i niekończących się ćwiczeń w labiryntach na wpół zburzonych betonowych pudełek, imitujących budynki miejskie. Napalmu, jak zwykle, nie żałowano. Naszymi przeciwnikami były wprowadzone automaty, ale za to uzbrojone po zęby. Strzelały z broni słabszej niż nasza, nie miały pocisków rozpryskowych ani kul z przesuniętym środkiem ciężkości, ale i tak rannych nie brakowało, nawet mimo doskonałych kevlarowych kombinezonów. Jeden rekrut z drugiego plutonu zginął, gdy dostał pociskiem w twarz.

Oczywiście w prawdziwych walkach ulicznych, gdy przeciwnik rozpaczliwie walczy o każdy dom, strzela ci w plecy zza każdego rogu i z każdej studzienki kanalizacyjnej, takie straty uznano by za drobiazg. Gdyby to była prawdziwa walka, połowa kompanii poległaby pierwszego dnia. Wciąż zbyt mało umieliśmy.

Życie stawało się rutyną. Przywykaliśmy do świstu prawdziwych kul nad głową. Człowiek potrafi przyzwyczać się do wszystkiego. Nawet do służenia wrogowi swojej ojczyzny.

--Rekrucie Razdwakriak!

--Tak jest, panie starszy sierżancie sztabowy!

--Powiedzcie nam, rekrucie Razdwakriak, na czym polega moralna przewaga poddanych Imperium nad mieszkańcami tak zwanych planet niezależnych?

--Eee... moralna... eee... przewaga poddanych Imperium nad mieszkańcami tak zwanych planet niezależnych...

--Doskonale pamiętam, jakich słów użyłem, zadając pytanie, rekrucie Razdwakriak.

Odpowiadaj. A jeśli nie umiesz, tępy kaczorze, to gadaj od razu, dostaniesz dwa dyżury i nie będziesz marnował mojego cennego czasu. A więc?

--Yyy... moralna przewaga polega na tym, że mieszkańcy Imperium... eee... są jednością. Oni... eee... mają dostęp... eee... do wszystkich bogactw zdobytych przez cywilizację ludzi... i... i czują się jak... jak wspólnota.

--Więc moralna przewaga poddanych Imperium polega wyłącznie na jedności?

--Nie, panie starszy sierżancie sztabowy. Nie tylko. Polega również... eee... na... na wielkim duchu...

--Siadaj, Razdwakriak. Jesteś, byłeś i będziesz kaczoorem. Kapralu Fatiejew! Twoja kolej. Skoro podopieczni nie mają bladego pojęcia o zagadnieniu...

--Tak jest. Pozwoli pan, że odpowiem, panie sierżancie?

--Odpowiadaj, kapralu. I szczerze ci radzę, żeby ta odpowiedź wypadła lepiej niż

odpowieź Razdwakriaka.

--Tak jest. Moralna przewaga obywateli Imperium polega, po pierwsze, na jedności ludzkiej rasy, po drugie, na posiadaniu moralnego kręgosłupa, jakim jest wierność panującemu domowi Imperatorskiemu, po trzecie, na wspólnej kulturowej, ekonomicznej i ideologicznej przestrzeni, po czwarte, na poczuciu bezpieczeństwa, i wreszcie po piąte, na poczuciu dumy z potężnego mocarstwa, budzącego strach nawet u Obcych.

--Całkiem nieźle, kapralu. Całkiem nieźle. Od razu widać, żeś się uczył. To dlaczego nie kontrolujesz swoich podwładnych? Tym razem ci wybaczam, ale jeśli Razdwakriak nadal będzie tak bredził, sam pójdziesz szorować kible. Czy to jasne, kapralu?

--Tak jest, panie...

--Dość. Nie traćmy czasu. Rekrucie Makumba! Na czym polega wyższość imperialnego kształtu rządów w porównaniu z tak zwaną demokracją, określaną, zgodnie z ostatnimi wytycznymi Głównego Zarządu Politycznego, jako ochlokracja? Przy okazji możesz podać definicję ochlokracji*.

--Panowie rekruci -- podporucznik zawsze zwracał się do nas w ten sposób, pozostawiając egzotycznych przedstawicieli fauny afrykańskiej Klausowi Marii, który się w nich lubował. -- Dzisiaj powinienem wyjaśnić wam główne zadania Imperatorskich Sił Zbrojnych. Skoro jednak, o ile wiem, dobrowolnie wstąpiliście w nasze szeregi i powinniście mieć ogólne wyobrażenie o tychże zadaniach, będę dziś mówił o czymś innym. Ale najpierw obejrzyjcie film.

Pstryknął włącznikiem; okna zasłoniły żaluzje i zapłonął wielki ekran.

--Patrzcie uważnie, panowie rekruci -- mówił dalej porucznik, podchodząc do ściany. -- Porozmawiamy po projekcji.

Na ekranie pojawił się obraz -- obca planeta mniej więcej ziemskiego typu. Przed nami rozciągały się bagna. Czarna woda, pokryta zielonym dywanem lilii wodnych z wielkimi, mięsistymi kielichami we wszystkich kolorach tęczy, aż do ciemnogramatowego. Widzieliśmy duże pływające wyspy, utworzone pewnie przez sploty korzeni, na których sterczały krótkie, grube pnie dziwacznych palm. Nad bagnami latały jakieś skrzydlate jaszczurki, z wody wysuwały się co chwila zębate paszcze drapieżników, próbujących schwytać zdobycz. Po wyspach biegały nieduże zwierzątka, trochę przypominające dziobaki.

Nic interesującego, chociaż z drugiej strony... Planeta o atmosferze tlenowej i łagodnym klimacie... Kolejna przyjemna kolonia jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Zwłaszcza tym, którzy zamierzają pośród lodów.

--Patrzcie uważnie -- przypomniał porucznik, choć i tak nikt nie odrywał wzroku od ekranu.

Niebo miało ten odcień seledynu, który ziemskie niebo przybiera tuż przed świtem. Na tle tego seledynowego nieba, nad odległą smugą, która mogła być lasem, pojawiły się ciemne punkty. Było ich bardzo dużo. Rozleciały się w różne strony i w końcu pozostało tylko dwanaście sztuk, które nadal zmierzały w stronę obiektywu kamery. Jak się okazało, były to maszyny latające wielkości mniej więcej naszego transportera opancerzonego. Pod podwoziami płonęły dysze, krótkie skrzydła sterczały na boki. Jedna z maszyn zawisa nad czarną wodą i po pochylni wysypały się z niej istoty przypominające stalowe ośmiornice. Każde ze stworzeń było zakute w coś na kształt połyskującego metalicznie gorsetu.

„Ośmiornice” wpadły do wody i zaczęły szybko płynąć, rozsuwając zielony dywan roślin. Najwyraźniej nie obawiały się drapieżnych istot tamtejszych wód.

Kamera nadal bacznie obserwowała ośmiorniczy desant. Zobaczyliśmy sporą wyspę, na której rosły już normalne drzewa, a nie udręczone bagnami karzelki.

Nagle wśród ciemnych zarośli coś błysnęło, rozległ się głośny trzask i na środku bagna wystrzelił w górę słup wody, piany i zmielonych liści. Razem z wodą wyrzuciło jedną ośmiornicę. Macki bezsilnie mlóciły powietrze.

Pozostała część desantu zareagowała natychmiast. Głowy ośmiornic zanurzyły się pod wodę, nad powierzchnią zostały tylko macki, ściskające coś w rodzaju panzerfaustów. Po chwili zgrubienia odpadły z „prowadnic” i to, co można by nazwać raketami, wystrzeliło do przodu, nie zostawiając jednak za sobą żadnego śladu.

Kilka sekund później w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą były drzewa, wybuchnął płomień i wzbil się w niebo. Trwało to tylko chwilę -- płomień zgasł szybko, sam z siebie, ale z wyspy nie oddano już więcej żadnego strzału. Ośmiornice ukryły się w zaroślach.

Nagranie zostało przerwane. Wznowiono je, gdy desant Obcych ruszył z powrotem, pędząc jeńców -- pokryte sierścią istoty, niejasno kojarzące się z gorylami. O ile zdołałem zrozumieć, ośmiornice nie poniosły żadnych strat. „Komandos”, który zginął od pierwszego (i jedyne) wystrzału, był jedyną ofiarą.

--Tak właśnie walczą nasi dalecy sąsiedzi -- odezwał się porucznik. -- Nazywamy ich octopusami, a ich fonetyczna nazwa własna brzmi Dbigu.

Dbigu... Słyszałem o nich. Inni rekruci chyba też.

--Jedna jedyna salwa z lekkiej broni indywidualnej. Właściwie żadnych zniszczeń i żadnego oporu. Oto z jakim wrogiem przyjdzie się nam zetknąć, panowie rekruci. Dbigu to tylko przykład. Są jeszcze istoty skrzydlate, ziemnowodne, inne... Przejdziecie specjalny kurs. Wyprzedzili nas o całe stulecia. Rasa ludzi może mieć tylko nadzieję, że na naszym desancie oraz na mężczyznach i kobietach w mundurach *Feldgrau* Obcy połamią sobie zęby. To nie pancerz, nie stal czy ogień, lecz my, noszący na rękawach emblematy słynnych dywizji, musimy dać odpór Obcym, niezależnie od tego, jakiej broni użyją. Naród Imperium w nas wierzy i nie mamy prawa zawieść tego zaufania.

Szczególnie spodobał mi się ten kawałek o „emblematach słynnych dywizji”.

Lubimy przypisywać Obcym niewiarygodną potęgę -- cudowna broń, niewyobrażalna technika, supertrwale materiały... Ale to nie tak. Cały kosmos składa się z tych samych elementów, nieważne, czy to nasza galaktyka, czy Mgławica Andromedy. I ani my, ani Obcy nie potrafimy złamać istniejących praw bytu. I w tym cała nasza nadzieja.

Co wiemy o Obcych? Że jest ich wielu, że niektórzy z nich wyprzedzili nas o całe wieki, a są też tacy, którzy do tej pory trwają w szczęśliwej niewiedzy epoki kamienia łupanego. Ci, którzy zostawili nas daleko w tyle, zajęci swoimi niezrozumiałymi dla nas sprawami, nie zwracają na nas uwagi. Kilka z ich cywilizacji dorównuje nam pod względem techniki kosmicznej i przewyższa nas pod każdym innym. Ich rozwój przebiegał równomiernie, my zaś zrobiliśmy potężny skok i wyszliśmy w hiperprzestrzeń, zanim *Homo sapiens* zaczął być zdolny do przyjęcia odmiennego obrazu świata.

Za bardzo się pospieszyliśmy. Odkrywając hiperprzestrzeń, zaniedbaliśmy pozostałe gałęzie wiedzy i oddaliliśmy się od galaktycznych standardów tych Obcych, którzy rozwijali się harmonijnie.

To był nasz największy problem -- zbyt wcześnie wyszliśmy w kosmos. Przecież jedyne, co mamy, to silniki termojądrowe. Żadnych laserów i blasterów, żadnych robotów bojowych czy innych bajerów. Ogromne statki, przecinające przestrzeń, pochłaniające kolosalną ilość energii -- i nic więcej. Cała reszta -- genetyka, medycyna, socjologia -- została w tyle. Nasze mikroukłady są za duże, komputery zbyt powolne, a sztuczna inteligencja nadal pozostaje w sferze wymysłów futurologów. Nawet w epoce podboju galaktyki nasza broń pozostała niezmienną od czasów Iwana Groźnego -- stary, dobry proch, stare, dobre kule. Pociski, rakiety samonaprowadzające, czołgi, helikoptery. No i oczywiście żołnierze.

Wyjątek z podręcznika historii politycznej:

Obecnie Imperium ludzi jest tworem federalnym. Do dziś w wyłącznym posiadaniu

Imperium znajdują się następujące systemy gwiazdne: Syriusz (A i B), Rigel Centauri, Procyon, Wega, Capella, Arktur, Regulus, Polluks, Sigma Draconis (...) tworzące jakby nieregularną kulę o średnicy około stu lat świetlnych...

Tej niedzieli znowu poszedłem do miasta -- po zakończeniu treningu z sierżantem Klausem Marią, który najwyraźniej zaczął mnie odróżniać od pozostałych rekrutów. W każdym razie przestał zasypywać mnie jadowitymi żarcikami, a zaczął rzeczowo wyjaśniać każdy chwyt, demonstrując go kilkakrotnie. Następnie zmuszał mnie do powtarzania, dopóki nie był zadowolony z efektu -- gdy zdołałem zablokować jego cios albo przebić osłonę. Trzeba przyznać, że był z niego rzetelny nauczyciel.

Dostałem przepustkę i powoli szedłem Newskim, jak nazwałem główną uliczkę wojskowego miasteczka, utworzonego wokół bazy. Stały tu standardowe dwu -- i trzypiętrowe domy z fasadami noszącymi piętno rozpaczliwego wysiłku architektów, by nadać im cień indywidualności. Jasno oświetlone partery, gdzie mieściły się bary i knajpy, nasi nazywali „ostatnią rubieżą”. Ulicami niespiesznie przechadzali się panowie oficerowie z małżonkami -- zapewne wybierali się do klubu.

Baza i miasteczko były stanowczo za duże jak na potrzeby jednej kompanii szkoleniowej, składającej się z pięciu plutonów. Prócz nas mieścił się tu również sztab, kompania ciężkiego uzbrojenia, stacjonowali łącznościowcy, saperzy, oddział medyczny i tak dalej -- w sumie około czterystu żołnierzy, włączając rekrutów i trzydziestu oficerów. Inna sprawa, że w tej bazie często pojawiały się inne oddziały batalionu. Teraz na przykład stacjonowała cała 3. Kompania -- prawdziwa bojowa kompania, zebrana tu w celu przeprowadzenia jakichś ćwiczeń oraz zdania nieznanym mi testów.

Dziewczynki przesiadywały w barach, nie pokazując się na ulicy, żeby nie urazić swoim widokiem czcigodnych pań oficerowych, przykładowych żon i odpowiedzialnych matek.

Dzisiaj chodziło mi tylko o jedno -- znaleźć partnerkę, z którą mógłbym spokojnie spędzić resztę wieczoru. W torbie miałem *Prochorowkę* Güntera Glantza -- książkę z oficjalną pieczęcią biblioteki batalionowej, zaakceptowaną do rozprowadzania. Panowie rekruci powinni przecież mieć pojęcie o heroicznym bitwach poprzedników 3. Desantowej w tych niezbyt odległych czasach, gdy nosiła ona nazwę 3. Dywizja Pancerna SS Trupia Główna. I jeśli ta dywizja nie zdołała odnieść pod rosyjską wsią Prochorowką* [miażdżającego zwycięstwa, to stało się tak wyłącznie z powodu rozpoczynającego się desantu aliantów na Sycylii...](#)

Nie musiałem długo szukać Gilvy -- siedziała w tym samym barze, w którym zobaczyłem ją po raz pierwszy. Największym powodzeniem u rekrutów cieszyły się pulchne dziewczęta, dlatego panienek o obfitych kształtach było nieproporcjonalnie dużo.

Gilvy wyraźnie się nudziła. Siedziała na wysokim stolku barowym, zakładając nogę na nogę tak, żeby zademonstrować wystające spod spódniczki podwiązki, i kołysała czarnym pantofelkiem na nieprawdopodobnie wysokim obcasie. Przed sobą miała spotniały kieliszek ze sznappsem. Chyba jeszcze nie zdążyła się napić.

--Cześć, Gilvy.

Odwróciła się, uśmiechnęła i odrzuciła z czoła i oczu jasną grzywkę.

--O, Rus, sie masz. No, no! Co ja widzę? Awans! Kapral? Gratuluję, gratuluję, brawo! Wiesz, coś takiego trzeba koniecznie opić! Przy okazji, nie wiesz, czemu tu dzisiaj tak cicho?

Rozejrzałem się. Bar był rzeczywiście prawie pusty. Ostatnim razem nie było gdzie szpilki

wetknąć.

--Podobno 1. 2. i 5. pluton ma nocne zajęcia -- powiedziałem, siadając obok niej. -- Jakaś pilna sprawa.

--A wy?

--A nas na razie zostawili w spokoju. Napijesz się czegoś?

--O, zawsze i z przyjemnością. -- Gilvy obrzuciła bar roztargnionym spojrzeniem. Stojący na tle pyzaty i smukłych butelek barman natychmiast się skoncentrował; wypisz, wymaluj gotowy do skoku tygrys.

Tiger, tiger burning bright

In the forests of the night

What immortal hand or eye

*Wrought that dreadful simmetry?**

--Co, co? -- zdumiała się Gilvy.

--Taki wiersz -- wyjaśniłem.

--Po jakiemu to? Niby podobne, a nic nie rozumiem...

--Po angielsku.

--Coś takiego... To angielski też znasz?

--Mhm. Co w tym dziwnego? Tyle dobrych książek napisano w tym języku...

--Jak to? Nie tłumaczyli ich na wspólny?

--Nie wszystkie. Blake'a na przykład nie.

--Eee... Rus -- przestraszyła się Gilvy. -- Chyba mi nie powiesz, że...

--No coś ty, nie jest zabroniony -- uspokoiłem ją szybko. -- Za kogo ty mnie masz?

--A kto was tam, Rosjan, wie, wszyscy jak jeden mąż jesteście szurnięci -- wymamrotała. -

- Dobra. Fajnie, że znasz angielski. A ja jakoś nie miałam okazji... -- westchnęła.

Zdumiało mnie to. Wiedziałem, że „dziewczyнки” nie mają zwyczaju narzekać na swój los, w końcu i tak nieźle im się powodziło.

--No nic, może jeszcze nadgonię -- dodała szybko z udawaną werwą. -- Myślisz, że dlaczego tu jestem? Zbieram na studia... Słuchaj, po co mamy tu siedzieć i nabijać kabzę Fredowi? Może pójdziemy do mnie?

Położyłem na barze dwie monety jednomarkowe i wstałem. Barman Fred odprowadził mnie nieprzyjaznym spojrzeniem. Żeby tylko nie miał potem pretensji do Gilvy, że nie naciągnęła wojaka na kilka drinków...

Gilvy mieszkała dosłownie dwa kroki od baru, w małym dwupokojowym mieszkanku, czystym i wymuskany, w którym kurz osiadał wyłącznie wtedy, gdy mu na to pozwolono, i tylko w uprzednio oznakowanych miejscach. Wszędzie leżały ręcznie robione kolorowe dywaniki i chodniczki -- Gilvy poświęcała tym robótkom cały wolny czas.

--Napijesz się herbaty? -- krzyknęła, znikając w kuchni.

--Jasne -- odparłem, wyjmując książkę. -- I daj od razu ten blankiet usług...

Gilvy wyszła z kuchni i dziwnie na mnie popatrzyła.

--Znowu przyszedłeś do mnie jak do czytelnicy?

Skinąłem głową.

--Hm... -- wzruszyła ramionami, wracając do kuchni. -- Jak sobie chcesz...

--Za chwilę leci *Władca duszy* -- powiedziałem, zerkając do programu kablówki, leżącego

na stoliczku pod lustrem.

Gilvy mruknęła coś niezrozumiale. Gdy po chwili zagwizdał czajnik, wszedłem do kuchni, już delektując się przedsmakiem chwili, gdy z filiżanką gorącej herbaty w ręku siadę do interesującej lektury, mimo że co chwila miałem ochotę spierać się z autorem książki i protestować przeciwko każdemu słowu.

--Dziękuję -- wziąłem filiżankę z rąk Gilvy. Obok talerzyka spoczywała szarobłękitna karta ewidencji usług intymnych, Gilvy Patters, osobisty numer ogólnobywatelski... numer WUC... osobisty numer IWS...

Szybko wstawiłem w odpowiednich miejscach (obok nazw usług) ptaszki i krzyżyki, podpisałem się zamasyście i umieściłem w kwadracikach po lewej stronie swój numer wojskowy. Wszystko w porządku. Gilvy otrzyma najwyższą stawkę.

--Dziękuję -- powiedziała, obrzucając mnie dziwnym spojrzeniem.

Nie przywiązywałem wagi do jej humorów, w końcu chciałem tylko posiedzieć w ciszy i spokoju i przy szemrzącym telewizorze poczytać interesującą książkę, popijając gorącą herbatę z -- słowo daję! -- konfiturami! Konfitury Gilvy wyłożyła na talerzyk ze starodawnego szklanego słoika, jakich się od dawna nie produkuje.

--Sama robiłaś? -- nie powstrzymałem się od pytania.

--Aha. Spróbuj. Babcia mnie nauczyła. Podobno całkiem nieźle mi wychodzą. Spróbowałem.

--Starania babci nie poszły na marne -- zauważyłem. -- Pyszne, Gilvy. Naprawdę znakomite. Wspaniale maliny...

--Dziękuję -- Gilvy zarumieniła się. -- No to ja... tego... pójdę sobie, tak?

--Oczywiście. Jak chcesz, to włącz sobie telewizor, nie będzie mi przeszkadzał.

--A ja?

--Co -- ty?

--Ja też nie będę ci przeszkadzać?

--Niby dlaczego? -- zdumiałem się. -- Oczywiście, że nie. Uniosła brwi, ale nic nie powiedziała i poszła do pokoju. Napilem się herbaty i otworzyłem książkę.

Wieczorem, 11 lipca 1943 roku 5. Gwardyjska Armia Pancerna skoncentrowała swoje siły w rejonie kontruderzenia. Dowodzący frontem Woroneskim marszałek Watutin wzmacnił armię generała Rotmistrowa 2. Gwardyjskim Korpusem Pancernym, 2. Korpusem Pancernym, 1529. Pułkiem Samochodowo-artyleryjskim, 522. i 148. Haubicowymi Pułkami Artyleryjskimi, 148. i 93. Armatnimi Pułkami Artyleryjskimi oraz 16. i 80. Gwardyjskimi Pułkami Moździerzy. Po powrocie do sztabu 11 lipca, generał Rotmistrow przekazał swoim oddziałom rozkaz Watutina, który brzmiał: „12 lipca o świcie, współdziałając z 1. Armią Pancerną i 5. Armią Gwardyjską, zadać przeciwnikowi decydujący cios celem rozgromienia go na południowy zachód od Prochorowki, i pod koniec dnia wyjść na linię Czerwona Dubrawa-Jakowlewo.

Chciałbym tam być, w tym piekle i huku pancernych salw. Piąta Gwardyjska Armia Pancerna podążająca do samobójczego ataku -- co najmniej dwie piąte maszyn (trzydzieści dziewięć procent) stanowiły lekkie T-70, dla ciężkich tygrysów, panter i T-IV stanowiące zagrożenie jedynie z odległości strzału z pistoletu.

Liczba czołgów w korpusach pancernych 5. Gwardyjskiej Armii Pancerniej na dzień 11 lipca:

18. Korpus Pancerny: Churchill -21; T-34 -- 103, T-60 i T-70 -- 63;

29. Korpus Pancerny: KW -- 1, T-34 -- 130, T-60 i T-70 -- 85, SU-76-9, SU-122-12...

233 trzydziestkiczwórki i 148 lekkich czołgów niemal bezużytecznych, nawet w bliskiej walce...

Tam umierali moi przodkowie. Na koszmarnych trzydziestkachczwórkach z jeszcze koszmarniejszą optyką -- przeciwko doskonałym maszynom bojowym Rzeszy, zdolnym do zniszczenia rosyjskich czołgów z odległości dwóch kilometrów, wobec żalonych pięciuset metrów, z których lufa T-34 mogła pokonać niemiecki pancerz...

Piąta Gwardyjska straciła w tej walce trzy czwarte swoich czołgów, ale zadanie wykonała. Wojska Rzeszy nie przeszły do Prochorowki. I nawet jeśli Glantz poniewczasie zapewnia, że korpus pancerny SS nie miał zamiaru atakować... Ja znam prawdę.

Herbata w filiżance szybko się skończyła. Jak dobrze, że można po prostu wyciągnąć rękę po imbryk i...

--Rus! -- usłyszałem stłumiony głos Gilvy.

Odwrociłem się. Nie powiem, że osłupiałem -- w końcu nie jestem nastolatkiem -- ale byłem porządnie zaskoczony.

Gilvy stała w drzwiach, jak powiedziałby pisarz -- „w negliżu”, choć ja wolę zwykle określenie: półnaga. Stała w tych wszystkich nieodłącznych podwiązkach, pasach, pończoszках i innych drobiazgach damskiej bielizny, których nazwy nigdy mnie nie interesowały. Dalka, na przykład, nie nosiła nawet stanika.

Najwidoczniej Gilvy, podobnie jak pani kapitan-psycholog, działała na podstawie podręczników Akademii Psychologii Wojskowej. Zapewne wszystkie te frymuśne koronkowe elementy miały mnie podniecić. No cóż, może z punktu widzenia podręczników nie jestem normalny, ale we mnie taki widok budzi zażenowanie, aż do podkurczania palców u stóp.

--Podobam ci się? -- zapytała Gilvy, wyginając się kokieteryjnie. -- Może jednak odłożysz książkę i zajmiemy się czymś przyjemniejszym?

--Gilvy -- zacząłem ostrożnie, nie zamykając książki. -- Wyjaśnij mi, na co ci to? Przecież poprzednim razem wszystko było w porządku. Po co to całe przedstawienie? Można by pomyśleć, że omdlewasz z pożądania. Mój Boże, Gilvy, przecież ja doskonale wiem, jaką masz ciężką, męczącą pracę. Kolejny rekrut w twoim łóżku to przecież nic przyjemnego. Moim zdaniem, powinnaś się cieszyć, że nic od ciebie nie chcę...

--Myślisz, że mnie cieszy, jak widzę, że patrzysz na mnie jak na kawałek drewna? -- wybuchła nieoczekiwanie. -- Że wolałbyś, żeby mnie tu w ogóle nie było?

--Gilvy, przepraszam... -- wstałem. -- Nie chciałem cię urazić.

Skrzywiła się.

--Nie chciałeś, nie chciałeś... Po prostu jest mi przykro, że w ogóle dla ciebie nie istnieję. Raz na sto lat trafi się fajny chłopak, no i...

--Skąd pewność, że jestem fajny? Fajny zdążyłby już pewnie ze dwa, a może nawet trzy razy...

--Akurat! -- Gilvy machnęła ręką, roześmiała się. -- Cienkie bolki. Sam honor i nic więcej. A każdy chce, żeby mu mówić, jaki jest dobry, i że mógłby w ciągu jednej nocy uszczęśliwić sto dziewczę. Uszczęśliwiłeś kiedyś dziewczę, Rus?

--Jakoś sobie nie przypominam -- powiedziałem i oboje parsknęliśmy śmiechem.

Przyjemnie się z nią rozmawiało i żartowało. Nawet pan sierżant Klaus Maria w mojej opowieści nie wyglądał jak potwór (choć za takiego uważali go wszyscy rekruci), lecz jak zabawny kawalarz.

--Klaus Maria? Sierżant? -- Gilvy zmarszczyła czoło, coś sobie przypominając. -- Ale przecież... No, jak to... jedna koleżanka mi opowiadała... Wszedł, dzielny i śmiały, cała pierś w orderach, morda pokryta szramami. A potem -- Gilvy parsknęła śmiechem -- potem nagle mówi: „Zwiąż mi ręce pończochą, każ mi klęknąć, osiodłaj mnie i chłostaj po gołym tyłku ile sił”. Wyobrażasz sobie?

Niezbyt w to wierzyłem, ale mimo wszystko roześmiałem się. To pewnie też można było znaleźć w jakimś podręczniku -- rekruci powinni śmiać się ze zwierzchnictwa w celu odreagowania, żeby któregoś pięknego dnia jakiś rekrut nie wpakował w to zwierzchnictwo całego magazynku.

Wyśmialiśmy się i znowu napiliśmy herbaty.

--Zazdroszczę twojej dziewczynie -- powiedziała nagle Gilvy. -- Gdybym to ja miała takiego chłopaka... Inna go prawie gwałci, a on nic... Czemu tak się na ciebie wściekła? Powiesz mi? Ja i tak nikomu nie zdradzę. Zresztą nie bywam w waszych stronach, wiem, że tam nie lubią Imperialów...

--Właśnie za to mnie... tego... rzuciła -- palnąłem.

--Za to, że poszedłeś do wojska?

--Tak.

--Co za kre... ale głupia -- poprawiła się szybko Gilvy. -- Przecież Imperium i armia to w porządku! U nas na planecie wszyscy lubią wojskowych.

--Skąd pochodzisz?

--Trzecia Zeta Żuka. Zanim przyszli do nas Imperiale, było nam bardzo ciężko. Nawet sobie nie wyobrażasz jak! Lordowie wszystko zagarnęli dla siebie: tytuły, majątki, tutaj nie wchodzi, tam się nie pchaj, nie wsadzaj swojej prostackiej gęby między arystokratyczne towarzystwo, prawo pierwszej nocy...

--A nie przypisali was czasem do ziemi?

--Wszystko do tego zmierzało. Lordowie urządzali najazdy na siebie nawzajem, palili i grabili, chłopów brali w niewolę, a baby przywiązywali do plotu, spódnice na głowy i dalej, dzielna drużyno, zabaw się! Przelecały wszystkie i ruszają dalej. A potem przyszła armia... u nas wylądowała właśnie Totenkopf. Zaprowadzili porządek w ciągu trzech dni. Lordów, którzy stawiali opór, powywieszali bez sądu i dochodzenia. Jeśli któryś uciekł do lasu, wyznaczali nagrodę, tropili przy pomocy miejscowych, otaczali i brali. Jak któryś dał się złapać z bronią, kończył na gałęzi. Jeśli się poddał... katorga i pozbawienie praw. Szybko zrozumiałam: jeśli chcesz, żeby ci było dobrze, po pierwsze, trzymaj się Imperium, po drugie armii. Wojskowi to porządni ludzie. Nawet jeśli lubią, żeby im wiązać ręce pończochami -- zachichotała. -- Kiedy się zaciągałam, od razu powiedziałam: wyślijcie mnie tam, gdzie stacjonuje Trupia Główka. No i trafiłam tutaj.

--Ale przecież to ciężka praca...

--Ciężka? Dać raz czy drugi chłopakowi, który być może jutro uratuje moją siostrę przed drużynnikiem barona, jeśli się znowu zbuntują? Widziałam, jak walczyli, jak płonęli w czołgach, gdy kolumna trafiła w zasadzkę... Nie rozśmieszaj mnie, Rus. A cała reszta... Od tego są

lekarze i psychologowie. Dobrzy lekarze. Będę normalna. Będę miała normalne życie. Będę potrafiła kochać, będę przeżywała normalny orgazm, będę miała dzieci. I nikt się o niczym nie dowie. Wersja oficjalna brzmi: służba w oddziałach pomocniczych. Mamy tu różne kursy i szkolenia. Uczą nas, czego tylko chcemy... obsługi komputerów, korzystania z sieci, zapoznają z biotechnologią i różnymi takimi. A jak ktoś zacznie złośliwie komentować, że wiadomo, co to za „oddziały pomocnicze”, będę umiała odpowiedzieć. I to tak, że mu w pięty pójdzie.

Wróciłem do koszar, wiedząc, że jeszcze wrócę do tej dziewczyny.

I tak zostaliśmy przyjaciółmi. Spędzałem z Gilvy każdą swoją przepustkę.

Wycie syreny szarpało nerwy, wytrącając mnie z porannego snu. Ocknąłem się i spadłem jak kamień -- ze względu na stopień i stanowisko dowódcy drużyny należała mi się uprzywilejowana prycza na górze. Wprawdzie powód, dla którego uznawano ją za lepszą od dolnej, był poza moim zrozumieniem, ale łamanie tradycji oraz sikanie pod wiatr zawsze uważałem za głupotę. Byłem tu nie po to, żeby ustanawiać nowe zwyczaje.

--Alarm! -- wrzasnął metaliczny głos. -- Alarm bojowy! Trzy krzyżyki! Tryb wylot! Wylot natychmiastowy!...

„Trzy krzyżyki” i „tryb wylot” oznaczały, że cały skład osobowy desantowo-szturmowego batalionu Tannenberg ładuje się do transporterów i startuje. I to z pełnym regulaminowym wyposażeniem i sprzętem bojowym. W bazie zostaje tylko kilka osób z personelu dyżurnego. Teraz uważają się za nieszczęśliwszych ludzi w całym wszechświecie, a później może się okazać, że mieli wyjątkowy fart.

Moja drużyna w pełnym składzie ruszyła do zbrojowni. Z przeciwka pędził sierżant Klaus Maria -- twarz czerwoną usta wykrzywione, a wzrok taki, że lepiej nie patrzeć, aby nie wpaść w stres i załamanie nerwowe.

--Panie starszy sierżancie...

--Powstanie! -- ryknął. -- Powstanie na Zecie-5! Obcy się zbuntowali!

Zeta-5! Teraz już zrozumiałem, dlaczego nas zerwali -- jesteśmy planetą najbliższą Zety. Typ ziemski, atmosfera tlenowa, bogata flora i fauna, łagodny klimat, sporo lądów (w odróżnieniu od mojej planety), wystarczająco dużo mórz i oceanów. Bajka. Co prawda, zaczęto ją oswajać całkiem niedawno, gdy ludzie stali się dość bezczelni, by zaryzykować osiedlenie się na planecie pod boki Obcych.

Na Zecie-5 byli Obcy. Oczywiście, nie żadni władcy gwiazdnych posiadłości w rejonie Denebu czy Jądra Galaktyki. Bardziej pospolici Obcy, zaryzykowałbym nawet określenie „prymitywni”, którzy dopiero niedawno wyszli z epoki żelaza i właśnie zaczęli kształtować własne związki plemienne.

Wtedy przybyliśmy my, ludzie.

I nadaliśmy im pogardliwą nazwę „lemury”.

Ci pokryci miękką sierścią, wielkoocy mieszkańcy nieprzebytych dziewiczych lasów, w których zajmowali środkowe poziomy korony drzew, naprawdę przypominali lemury. Na ziemi uprawiali niewielkie poletka, spulchniając je gałęziami: żelazo było dla nich zbyt rzadkie i zbyt drogie. Żyli we wspólnotach plemiennych. Zнали ogień, ale nie lubili go; byli wegetarianami, jadali surowe owoce i warzywa. Byli też najlepszymi tropicielami i łowcami, jakich znali ludzie.

I te spokojne, ciche lemury miałyby się zbuntować? Przecież nie walczyły nawet między sobą! Konflikty rozwiązywano tam na drodze rytualnych pojedynków, w których nie

przelewano nawet kropli krwi. Wprawdzie uznawaliśmy lemury za potencjalnych przeciwników, (jak wszystkich Obcych, koegzystujących na planetach z ludźmi), ale nigdy nie zwracaliśmy na nie szczególnej uwagi. Nikt nie wierzył, że na Zecie-5 może dojść do konfliktu. Lemury miały swoje lasy, do niczego niepotrzebne kolonistom -- eksport drewna w warunkach kosmosu z góry skazany jest na klęskę. Poza tym na planecie było dość równin i rzecznych dolin, gdzie koloniści uprawiali pola i zakładali sady -- na Zecie-5 doskonale aklimatyzowały się najdziwniejsze rośliny. Marzenie genetyka.

Zastanawiałem się nad ewentualnymi powodami lemurzego buntu. Nigdy nie słyszałem, żeby ludzie robili z lemurów niewolników albo gnębili w jakikolwiek inny sposób -- zwłaszcza że samo odnalezienie tych zwinnych mieszkańców nieprzebytych ostępów było niezwykle trudne.

Coś nieprawdopodobnego. Już prędzej uwierzyłbym w zmasowany atak bardziej rozwiniętych i agresywnych ras, tak podobnych do nas w swoim niepowstrzymanym dążeniu do ekspansji. Nieważna cena, gdy chodzi o zagarnięcie jak największej przestrzeni życiowej.

Ale lemury?

Nie pozwolono mi oddawać się rozmyślaniom. Syreny wyły, reflektory oślepiały, my bieглиśmy do transporterów. Już dawno nie wzbijały się w powietrze wszystkie naraz, z całą kompanią żołnierzy i ciężkim uzbrojeniem w swoim wnętrzu...

Imperialne statki i transportowce budowano z rozmachem. Skoro jest taka możliwość, dlaczego nie przewozić żołnierzy w warunkach zbliżonych do normalnych? Nie zawalając ładowni aż po dach, nie upychając ich tak, jak my upychamy krewetki w próżniowych kontenerach. Na każdą drużynę przypadła całkiem przyzwoita kajuta.

Rzecz jasna, wszystkimi tymi wygodami mieliśmy się cieszyć dopiero na statku pokonującym przestrzeń, który, nie mogąc startować z planety, wisiał na orbicie. Krążownik dalekiego kosmosu był gigantyczną machiną, żadne silniki nie uniosłyby z powierzchni takiego potwora.

Na pierwsze takie olbrzymy załogę dostarczały wahadłowce o prymitywnych silnikach raketowych na paliwo ciekłe. Potem pojawiły się silniki atomowe, nieco lepsze, pozostawiające w atmosferze radioaktywny ślad, jak po niewielkim wybuchu jądrowym o mocy siedmiu kiloton.

Korzystano z nich powszechnie, gdy budowano „pogromców przestrzeni”, statki, na których ludzkość dosięgła gwiazd i stwierdziła, że planety o atmosferze tlenowej, z białkową formą życia nie są aż tak unikatowe, jak się początkowo zdawało. Choć oczywiście trafiały się znacznie rzadziej niż bezużyteczne giganty gazowe w rodzaju Jowisza, z których nadal nie nauczyliśmy się ciągnąć korzyści. Może z czasem się nauczymy...

Nadal lataliśmy przez przestrzeń, mimo że teoretycznie potrafiliśmy uzasadnić istnienie „krecich nor w przestrzeni”, „naturalnych hipertuneli”, łączących ze sobą systemy gwiazdne. Tyle że nie nauczyliśmy się jeszcze włączyć do tych „nor”.

Powoli, bardzo powoli poradziliśmy sobie z brudnymi, pełnymi ciężkich izotopów wyrzutniami wahadłowców jądrowych. Na jednym z takich wahadłowców, nie wiedzieć czemu pomalowanym w zielono-brązowe plamy, właśnie wznosiliśmy się na orbitę -- ku „Meronie” elitarnemu, szybkiemu kliperowi, dumie Tannenberga i całej słynnej dywizji Trupia Główka. Niewielki, ale szybki -- jak się okazało, nawet w hiperprzestrzeni masa ma duże znaczenie.

Właśnie tutaj, na „Meronie”, po raz pierwszy zobaczyłem i usłyszałem majora Joachima von Vallensteina -- dowódcę Tannenberga. Przemówił do nas, gdy jęczące od przeciążeń

reaktory rozdarły oporną materię przestrzeni i klipier wszedł w skok.

Na ekranach migotały gwiazdy -- to komputery pokazywały symulację lotu z prędkością nadświatłą, jakbyśmy zmierzali przysłowiowym pociągami z przysłowiowego punktu A do punktu B. Od Nowego Krymu do Zety-5.

Joachim von Vallenstein mówił krótkimi, energicznymi zdaniami; oczami wyobraźni widziałem, jak przechadza się po mostku, rąbiąc powietrze kantem dłoni.

--Soldaten! Heute haben wir eine wichtige Pflicht zu erfüllen. Wir müssen unsere Reichgenossen vom Feindhüten...

Żołnierze! Mamy dziś do wykonania bardzo ważne zadanie. Musimy ochronić uczciwych i prawych obywateli naszego Wielkiego Imperium, przed bezczelnymi i zbrodnymi zapędami Obcych. Na planecie Zeta-5 rozpoczął się bunt. Lemury ośmieliły się przelać krew naszych współbraci. Naszym obowiązkiem jest ratowanie bezbronnych i umieszczenie ocalałych w bezpiecznym miejscu. Musimy dać aborygenom taką nauczkę, żeby zapamiętali raz na zawsze nie zadzierajcie z ludźmi, bo wojna z nimi oznacza dla was kłopoty i śmierć w męczarniach. Bunt musi zostać stłumiony w zarodku. Nikomu nie wolno bezkarnie przelewać ludzkiej krwi. Nasz emblemat musi budzić strach. Nieważne, kto stoi za buntem lemurów -- to ich ręce trzymały broń, zabijającą starców, kobiety i dzieci. A kiedy ukarzymy wykonawców, bez wątpienia nie tylko dowiemy się, kto popchnął tych nieszczęsnych dzikusów do zbrodni, ale również wyrzemy zemstę na prowodyrach. Za Imperium! Za Jego Wysokość Cesarza! Za całą naszą rasę! Hoch, hoch, hoch heil! Sieg Heil!!

Przedziały klipera zadrżały od zgodnego ryku setek gardel, wyjących w upojeniu: *Sieg Heil!*

Ja też krzychałem. Chociaż skręcało mnie z obrzydzenia.

„Merona” cięła przestrzeń, wyciskając z reaktorów ile się dało. W komputerowych „oknach” migotały gwiazdy. Mieliśmy przed sobą czterdzieści godzin szalonego lotu.

Moja drużyna byczyła się na kojach. Niektórzy znudzeni patrzyli w sufit, inni gapili się na ślicznotki z rozkładówek czasopisma „Imperialny Komandos”, jeszcze inni grali na pieniądze w bitwę morską. Karty na pokładzie były surowo zabronione.

I wszyscy się denerwowali.

Mikki starał się zachować niewzruszony spokój i modlił się po niemiecku. Hindusi przyjęli pozycję lotosu i patrzyli sobie nawzajem w oczy. Fatih miotał się po kubryku niczym lew w klatce.

--Siadaj, Turku, przestań się wreszcie kręcić -- rzucił z rozdrażnieniem Makumba, który grał w okręty z Razdwakriakiem. -- I tak się rzygać chce...

I zaraz ugryzł się w język. Przejawianie takich emocji tuż przed bitwą było niegodne imperialnego komandosa.

Udałem, że pogrążony w lekturze nie usłyszałem tej wypowiedzi. Szczerze mówiąc, zamiast czytać, powinienem porozmawiać ze swoimi ludźmi, podnosząc w nich ducha bojowego, wzbudzając gotowość oddania życia za ukochanego monarchę.

--Jakoś mnie mdli -- westchnął Keos, odrzucając na bok „Komandosa”. Półnaga ślicznotka zastygła, spoglądając z zagiętej strony jednym okiem. -- Chyba zaraz puszcze pawia. Panie kapralu! Co regulamin mówi o nieodpartym pragnieniu wyrzycania się przed walką? Ile mnie to będzie kosztowało?

--Pięćdziesiąt marek -- powiedziałem, nie odrywając wzroku od książki. -- Wypisać ci pokwitowanie?

--Przecież jeszcze nie rzygam!

--To się zamknij. Nie jesteś babą.

--Babą, babą... -- warknął ze złością Rumun. -- Jeszcze zobaczymy, kto z nas okaże się babą pod zatrutymi dzidami.

--Spokój -- powiedziałem, zerkając na Keosa znad otwartej książki. -- Nikt nie wysyła nas na poszukiwanie lemurów do lasu. Przynajmniej nie wcześniej niż przyleci artyleria, a lotnicy oczyszczą lasy napalmem.

--Słyszałem, że te dranie chowają się pod ziemią -- rzucił Makumba. -- A potem wylażą z tuneli i rzucają się na ludzi...

Wstałem. Moja drużyna naprawdę potrzebowała rozmowy i podniesienia morale. Pójście do walki z takimi jęczącymi typkami oznaczałoby skazanie siebie i innych na śmierć. A ja muszę, muszę wykonać ten pierwszy bojowy rozkaz. I to wykonać na celująco, wyróżnić się...

--Bez względu na to, skąd wyjdą, nie wejdą z powrotem -- podsumował melancholijnie Chang. Wykonywał jakieś gesty, chyba coś w rodzaju ćwiczeń oddechowych. Uważałem go za najlepszego żołnierza w drużynie; już zdążył dosłużyć się paska na pagonach. -- Po co ci dali karabin, Makumba? Żebyś zaspokoił dziewczynki, jak ci małego nie starczy?

Makumba wściekł się. Z braku innych widocznych zalet, był bardzo dumny z długości swojego członka. Zapędził nawet w kosi róg naszych żołnierzy z intendentury -- nie mogli dopasować rozmiaru „środków profilaktycznych”. Poszukiwaniom tychże środków towarzyszyła korespondencja, tak oficjalna, że jej lektura była absolutnie niemożliwa -- dostawało się kolki ze śmiechu.

--Cicho! -- warknąłem, wstając z koi. -- Makumba, spróbuj ochłonąć. Chang, nie zaczepiaj go. Jeszcze mi tylko tego brakowało, żeby was bronić przed trybunałem. Pamiętajcie, co grozi za bójkę w trybie bojowym?

--Swaarg -- rzucił ponuro Nazarian. -- Nie chciałbym się tam znaleźć...

--A co, już tam byłeś? -- podpuścił go natychmiast Glinka.

Nazarian rzucił Czechowi gniewne spojrzenie, ale nic nie powiedział. Podniósł rzucone przez Keosa czasopismo i zaszeleścił stronami.

Wiedziałem, że Nazarian był na Swaargu. Co prawda nie w charakterze więźnia -- bo w takim wypadku nie wzięliby go do wojska -- lecz odwiedzającego. Przyjeżdżał na widzenia do siostry. Dziewczyna wplątała się w jakiś studencki spisek i dostała dziesięć lat na podstawie artykułu „niepowiadomienie władz”. Drażliwa imperialna Temida nie znalazła żadnych dowodów jej uczestnictwa w przygotowaniu napadu na miejscowego gauleitera, czyli generała-gubernatora.

--Cicho, chłopaki -- powtórzyłem już spokojnie. -- Nic na to nie poradzimy. Wzięłeś się za robotę, to nie mów, że koszula bliższa ciału -- skompilowałem na oczekaniu dwa powiedzonka. -- Tam naprawdę giną ludzie. Dzieci, dziewczyny, bezbronne staruszki. A my co, nie jesteśmy mężczyznami? Nie jesteśmy ludźmi?

--I jeszcze do tego forsa... -- dorzucił głośnym szeptem Razdwakriak.

--I jeszcze do tego forsa -- przyznałem. -- Dlaczego nie mielibyśmy wykonać zadania, które jest ze wszech miar słuszne i za które w dodatku nam zapłacą? Co to dla nas takie

lemury? Czyżby były sprytniejsze od nas? Przecież nie jesteśmy idiotami, żeby pchać się do lasu, no nie?

Na pięć godzin przed lądowaniem przeprowadzono ostatni instruktaż. Każdy pluton zebrał się wokół komputerowej mapy miejsca lądowania ze wskazanym najbliższym zadaniem.

Był z nami nasz podporucznik i jeszcze jeden oficer, w skórzanej kurtce bez pagonów i emblematów na rękawie i w czarnym berecie, jaki noszą czolgiści. Człowiek znikąd. Twarz czysto aryjska. Władczy podbródek ze szramą, zimne szare oczy i krótkie jasne włosy, widoczne spod beretu. Przybysz usiadł z boku i słuchał, nie wtrącając się i nie przerywając porucznikowi.

Od razu mi się nie spodobał. Było w nim coś z niezapomnianej Geheime Staatspolizei. W dodatku przyglądał mi się badawczo. Tylko mnie.

--Zadanie przedstawia się następująco -- zaczął spokojnie i chłodno podporucznik. -- Pluton ląduje nieopodal wsi Krimmensholm. Drużyny zajmują wieś. Lemury macie ignorować dopóty, dopóki one ignorują was. Posiadamy informacje, że nie powinny atakować desantu. Nie jesteśmy ani sędziami, ani oprawcami. Naszym zadaniem jest zapewnienie bezpieczeństwa ludności cywilnej, która ma opuścić Krimmensholm. Zostanie ewakuowana. My zapewniamy osłonę. W przypadku ataku aborygenów formujemy pierścień obronny i ostrzeliwujemy się aż do zakończenia załadunku cywilów. Zwiad nie przewiduje zmasowanego ataku lemurów na naszym odcinku. Działamy spokojnie i z rozważą. Pamiętajcie, że mamy krążowniki, a lemury nie dysponują nie tylko ciężkim uzbrojeniem, ale w ogóle żadną bronią palną. Mogą liczyć jedynie na swoją liczebność. A co może być lepszego dla karabinów maszynowych niż przeciwnik atakujący zwartym szykiem?

Porucznik wyraźnie starał się nas pokrzepić. Wczorajsi rekruci mieli przed sobą pierwszą prawdziwą walkę i strasznie się bali. To oczywiście było zupełnie naturalne i zrozumiałe, ale bynajmniej nie poprawiało porucznikowi humoru. Z takimi żołnierzami trzeba by mieć oczy dookoła głowy, żeby jednocześnie pilnować przeciwnika i niedojdy Razdwakriaka.

--Zajęcie Krimmensholmu przeprowadzamy według schematu dwa B. -- Podporucznik wyciągnął rękę. -- Drużyny wchodzi do wsi z czterech stron... tutaj, tutaj, tutaj i tutaj. Przesuwamy się w stronę kościoła. Silne ogniska oporu omijać, drobne tłumić własnymi siłami. Podaję definicję: za silne uznaje się ognisko, którego stłumienie zajmie więcej niż trzy minuty.

„Schemat dwa B” zakładał obecność przyjaźnie nastawionej ludności; oznaczał, że nie musisz się bać, że zza uchylonych okiennic sympatyczna piegowata dziewczynka z warkoczykami wpakuje ci w plecy stalową strzałę z naciągniętej dorosłymi rękami kuszy.

--Przemieszczanie się i wstępny zwiad przeprowadzić, skupiając się na zasadniczej kwestii -- ciągnął tymczasem podporucznik. -- Po upewnieniu się, że we wsi nie ma czynnych ognisk oporu, przystępujemy do drugiej fazy operacji: ewakuacji imperialnych obywateli, którzy znaleźli się w strefie buntu. Wtedy należy starannie obejrzeć każdy dom i każdą piwnicę. Szczególną uwagę zwracać na dzieci, które mogły się wystraszyć, uciec, ukryć. Wszystko jasne, desancie? Mam nadzieję, że nie zawiedziecie. To wszystko, koniec instruktażu. *Gott mit uns!*

--*Gott mit uns!* -- wrzasnął pluton.

Lądowaliśmy. Zrzucali nas na szalupach transportowca, trzema kursami. Nic szczególnego, tylko strasznie trzęsie i kiwa. Razdwakriak oczywiście zwiomotał.

Siedzieliśmy przypięci pasami. Silniki wyły tak, jakby miały się za chwilę rozpaść. Po lądowaniu niedaleko Krimmensholmu zostanie potężna wypalona plama, w dodatku radioaktywna. Myśmy się nałykali tabletek, ale nie mogliśmy przecież wydać takich tabletek cywilom..

Gruchnęliśmy o ziemię z taką siłą, jakby nieszczęsna szalupa miała rozpaść się na kawałki. Ale imperialna stal wytrzymała, choć wszystkie możliwe przeguby żałośnie zazgrzytały.

--Pluton! -- zakomenderował zimno podporucznik, oglądając własne paznokcie, jakby spodziewał się zobaczyć na nich coś niezwykle interesującego. -- Wstajemy, panowie.

Ruszyliśmy.

Szerokie drzwi otworzyły się i wypadły na zewnątrz. Zalało nas światło słońca -- tutejsza gwiazda należy do tej samej klasy spektralnej, co nasze słońce. Niebo było błękitne, trawa zielona, pnie drzew brązowe. Tutaj, w pobliżu ludzkiego osiedla, roślinność była ziemska, widocznie koloniści nie chcieli przebywać wśród obcych nieprzyjaznych zarośli. Topole i wiązy doskonale zaadaptowały się na żyznych czarnoziemach Zety-5, a lemury nie miały nic przeciwko ich obecności...

A tu nagle bunt.

Już z daleka było jasne, że we wsi zdarzyło się nieszczęście. Na długiej cienkiej iglicy wieży miejscowego kościoła łopotąła czarna flaga -- w średniowieczu powiewające nad zamkami i miastami czarne płachty oznaczały dżumę. Nieopodal widać było płynące w górę słupy dymu -- coś się paliło, ale płomień nie ogarnął jeszcze większych przestrzeni. Nie mogliśmy nie wykorzystać takiego momentu.

Drużyna szybko i sprawnie uformowała pierścień, nawet Razdwakriakowi udało się nie zaczepić o nikogo i nie walnąć sąsiada kolbą w twarz.

Zgodnie z rozkazem mieliśmy wejść do Krimmensholmu od strony północnej, szalupa zaś wylądowała na południu. Musieliśmy więc obejść wieś, a nie zrzucili razem z nami panczerzy. W pierwszej fali poszła maksymalna liczba żołnierzy i jak najmniej ciężkiego sprzętu. Sprzęt zrzucą, gdy piechota już zajmie teren.

--Biegiem! -- krzyknął sierżant, który szedł z nami.

Żeby to ja wiedział, po co...

Szczerze mówiąc, nie rozumiałem sensu obchodzenia wsi dookoła. Skoro mieliśmy jak najszybciej zapewnić bezpieczeństwo ludności cywilnej, to czekanie, aż wszystkie drużyny wyjdą na wyznaczone pozycje, było idiotyczną stratą czasu. Wieś należało po prostu zająć, bez zbyteńnego deliberowania.

Jak się wkrótce okazało, myliłem się.

Wokół Krimmensholmu ciągnęły się pola uprawne, poprzecinane regularnymi prostokątami kwitnących sadów. Teraz była wiosna, a dokładnie sezon kwitnienia.

Z wielu drzew owocowych bezlitośnie oblamano gałęzie; trawę pokrywały kobierce postrzępionych bladoróżowych i śnieżnobiałych płatków. Niskie ogrodzenia były przewracane albo rozniesione w drzazgi.

Na pierwszego lemura natknęliśmy się dość szybko. Leżał na plecach, lewą stronę czaszki miał zmiażdżoną, sierść na mordce posklejaną krwią. Ogromną ranę zadano jakimś tępym i ciężkim narzędziem, może palką. W małych zręcznych łapkach martwy lemur ścisnął broń -- prymitywną dzidę zakończoną grotem z kości jakiegoś zwierzęcia.

Tak, z taką bronią za bardzo nam nie zaszkodzą...

Godzinę później znaleźliśmy następnego martwego lemura. Z jego piersi sterczały trójzębne chłopskie widły, których, jak widać, nawet w erze podboju kosmosu nie udało się niczym zastąpić. Pięć metrów dalej leżał właściciel widel, a raczej to, co z niego zostało.

Głowę miał oderwaną, tkanki miękkie na piersi i brzuchu wyjedzone aż do kości. To samo na biodrach i łydkach. Można by pomyśleć, że buszowały tu szczury, które, spłoszone, nie zdołały dokończyć swojego upiornego dzieła.

Twarzy nie było w ogóle. Rozpoznanie zabitego mogło być możliwe jedynie dzięki żetonowi z numerem.

--Kapralu, zaprotokolować -- polecił lodowatym tonem Klaus Maria.

Podniosłem aparat i zrobiłem kilka zdjęć. Lemur z widłami. Martwy chłop. Obaj razem.

Potem pochyliłem się nad ciałem. Ku mojemu zdumieniu łańcuszek z numerem znikł. Może spadł w ferworze walki -- ziemia wokół ciała była stratowana i zryta.

--Nie tracić czasu! -- krzyknął na nas sierżant. -- Zimnym towarem zajmiemy się po oczyszczeniu terenu.

Ruszyliśmy dalej. Obejrzałem się -- Razdwakriak pozieleniał na twarzy, Fatih wyglądał nie lepiej. Pozostali mieli obłąd w oczach. Rekruci zobaczyli coś takiego po raz pierwszy. Ja też. Ale ja miałem nad nimi pewną przewagę.

--Krok szerzej! -- warknął Klaus Maria. -- Kapralu, nie spać! Miejcie oczy otwarte, węzłaste pytony!

Nie zdążyliśmy wykonać tej komendy, z gęstwiny kwitnącego sadu, z odległości dziesięciu kroków spadła na nas kłująca chmura strzał.

Imperialny desant nie na darmo nosi na sobie dziesięć kilogramów pancerza. Opuszczane plastikowe osłony hełmów wytrzymują uderzenie pocisku pistoletowego z bliskiej odległości, a z dużej -- nawet strzał z automatu.

Możemy się nie bać. Jesteśmy bezpieczni.

Przynajmniej teoretycznie.

Ale mimo wszystko było to straszne. Ostry świst, gluche uderzenie w pierś i ręce same podrzucają mannlicher, palec odruchowo naciska spust, wachlarz ołowiu tnie zarośla, a ciało przywiera do ziemi. Strzały lecą nad nami.

Po mojej lewej stronie ktoś zawył. Wystrzelałem magazynek i zerknąłem w bok -- wieczny nieudacznik Razdwakriak oberwał w nogę. Ostrze strzały weszło między płytkami pancerza. Cholera, przecież na pewno jest zatrute...

Drużyna odpowiadała ogniem, leciał deszcz ściętych kulami gałęzi i liści. Sierżant Klaus Maria też leżał plackiem na ziemi i strzelał zawzięcie. Nikt nie komenderował ludźmi.

Nacisnąłem guzik komunikatora.

--„Jedynka”, tu „Czwórka”. Wpadliśmy w zasadzkę, ostrzelali nas z łuków, mam jednego ранego.

--„Czwórka”, nie zawracajcie sobie głowy głupstwami. Zlikwidujcie opór granatami i naprzód. Słyszycie? Tylko naprzód! We wsi jest gorąco...

--„Jedynka” zrozumiałem was.

Potrzebowałem pięciu sekund, żeby się rozejrzeć. Strzały leciały tylko z jednej strony, jeszcze nie zdążyli nas otoczyć. Nie wiedzieliśmy, czy przeciwnik poniósł jakieś straty -- trupy

nie leżały na widoku.

--Granaty! -- zakomenderowałem. -- Mikki i Fatih! Pod tamtą jabłoń! Surendra, Dżonamani! Bardziej w prawo! Glinka, Makumba! Jeszcze bardziej w prawo! Keos i Chang...

--Zrozumieliśmy, dowódco! -- odpowiedział zdyscyplinowany Chińczyk.

Przeturlałem się do nieszczęsnego Razdwakriaka, przywarłem do ziemi, wbilem mu strzykawkę z analgetykiem i rozprulem nożem nogawkę.

Rana wyglądała parszywie. Grot na pewno był kościany, więc prawdopodobnie zostanie w ciele, jeśli szarpnę...

Otworzyłem apteczkę i w tym momencie drużyna zgodnie strzeliła granatami.

Podcięta jabłoń wleciała i spadła z bezradnie rozrzuconymi gałęziami. Drzazgi i grudki ziemi trysnęły we wszystkie strony. Z krzaku agrestu wyskoczył rozcięty od gardła do krocza lemur i upadł, rozrzucając wnętrzności wokół siebie.

Strzały przestały lecieć.

--Drużyna, rozejrzeć się! -- zarządziłem, pospiesznie opatrując ranę Razdwakriaka uniwersalnym antidotum. -- Mikki, Makumba, nosze...

--Długo się tu będziemy grzebać, kapralu? -- warknął ze złością Klaus Maria, wstając i odwracając się plecami do zniszczonego sadu. -- Wstawać i naprzód! Razdwakriak, znowu wszystko przez ciebie?!

Chłopcy zaczęli się ruszać szybciej. Wielu ze strachem patrzyło na zakrwawioną nogę Kriaka. Analgetyk już działał -- Razdwakriak nie wyl i nie jęczał z bólu, tylko z niezwykłym zdumieniem oglądał sterczący z nogi drewniany opierzony belt.

--Nie będziemy go ciągnąć ze sobą -- sierżant pochylił się nad Kriakiem. -- Rana nie jest śmiertelna. Zrobileś, co mogłeś, kapralu. Niech ta oferma włączy piszczyk i czeka na lapiduchów. Nie będziemy się pakować z noszami pod strzały!

Dziesięć podpucha. Wiemy, jak sobie z czymś takim radzić...

--Melduję, że to niemożliwe, panie starszy sierżancie! -- szczeptałem zgodnie z regulaminem. -- Desant nie porzuca swoich! Nawet na chwilę.

Klaus Maria skrzywił się.

--Myślisz, że cię sprawdzam, chłopcze? Nie. To rozkaz. Lekko ranny komandos może się sam o siebie zatroszczyć, a jeśli nie potrafi, to nie jest komandosem, tylko szmatą. A my w Tannenbergu nie potrzebujemy szmat. Będziesz tu sterczał czy może jednak wykonasz rozkaz? I tak straciłem na ciebie za dużo czasu. Wszystko dlatego, że jestem nie tylko sierżantem, ale w dodatku... *Donnerwetter*... starszym mistrzem i opiekunem.

Zerknąłem w bok, napotkałem obląkane spojrzenie Razdwakriaka i... zasalutowałem sierżantowi.

--Zostawić nosze! Kontynuujemy pochód. Kriak, włącz sygnał. Sanitariusze cię zabiorą.

Nieszczęsny kaczor zatrząsał się jak w gorączce i głośno pociągnął nosem.

Środki przeciwbólowe zadziałały, prawie nie czuł bólu, ale perspektywa pozostania samemu najwyraźniej go nie zachwycała. Zgromiony surowym spojrzeniem starszego sierżanta nie ośmielił się jednak odezwać.

Drużyna, zredukowana do dziesięciu osób, wkroczyła do Krimmensholmu.

Dom z krytym gontami dachem, pobielone ściany... Z maniackalnym uporem naśladowano tu tak zwany tyrolski styl.

W otwartych na oścież drzwiach, na wysokim ceglanym ganku leżał martwy człowiek -- na wznak, z rozrzuconymi rękami. Zagięte palce dłoni nie wypuściły gwintowanego mauzera, na który zezwalano kolonistom. Na schodkach leżało z pół tuzina wystrzelanych mosiężnych gilz. Trawa i ścieżka były zachlapanie krwią, ale ciało nie zauważyliśmy, widocznie napastnicy zabrali zabitych i rannych.

Sierżant znowu spojrział na mnie znacząco. Wydałem rozkaz -- Mikki i Makumba wbiegli do domu, przechodząc nad trupem. Nasze zadanie brzmiało „ewakuować żywych”, a nie „grzebać martwych”.

--Pusto! -- krzyknął chwilę później Makumba, wysuwając głowę przez okno.

Jeden dom, drugi, trzeci... Wszędzie pusto. Kilka na wpół zjedzonych ludzkich trupów. Na żadnym nie znaleźliśmy numerów rozpoznawczych, jakby celem lemurów było zabranie wszystkich. Nie zobaczyliśmy też ani jednego lemurzego ciała. Też zabrali?

Żaden z kolonistów nie poddał się bez walki, wszyscy martwi leżeli z bronią w rękach. Jeszcze jedna zagadka -- dlaczego lemury zabrały imperialne żetony, a zostawiły całkiem niezłe karabiny? Czyżby nie potrzebowały broni palnej?

Zwykły kapral nie zaprzętałby sobie tym głowy. Niech się nad tym głowi wywiad, w końcu to im za to płacą, i to niezłe. Ale ja nie byłem zwykłym kapralem.

Żetony. Znaczkę imperialnego obywatelstwa. Hologram twarzy, mikrochip zawierający te informacje o właścicielu znaczka, które mogłyby zainteresować kompetentne organy. Podobno nie można ich podrobić. Czego nie dojrzy oko, rozpoznają skanery. Więc komu są potrzebne te żetony?

Wymyśliłem, że znaczki jakimś cudem zostaną podrobione i szpiegzy Obcych będą swobodnie spacerować po naszych miastach i wsiach.

--Dowódco! -- wrzasnął w komunikatorze Fatih. -- Dzieci, dowódco!

Fatih, Mikki i obaj Hindusi właśnie przeszukiwali kolejny dom. Reszta drużyny osłaniała ich, na wszelki wypadek.

--Rodzice?

--Martwi, niech ich Allah prowadzi.

--Gdzie znalazłeś dzieci?

--Schowały się w piwnicy. Ktoś zamknął drzwi od zewnątrz. Zaczęły krzyczeć...

--A co, tak głośno tupaliście, że aż w piwnicy było słyhać? -- wściekłem się. Nie ma co, wspaniali komandos!

--Nie... Postanowiliśmy zawołać -- usłyszałem głos Mikkiego. -- Przepraszam, panie kapralu, to był mój pomysł...

--Zamiast się drzeć, trzeba było zdjąć klódki -- warknąłem. -- Pamiętajcie, co mówił podporucznik?...

Turek i Fin umilkli zawstydzeni.

--Dobra, dajcie tu dzieciaki. Dorośli nie mają żetonów?

--Nie, panie kapralu -- zameldował Fatih. -- Żetony zdjęte, trupy obgryzione.

--Przykryj je czymś, żeby dzieci nie zobaczyły.

--Tak jest!

Ten nieskomplikowany pomysł chyba nie przyszedł Fatihowi do głowy.

Wkrótce pojawił się Mikki, niosąc dwójkę dzieci -- ośmioletniego chłopca i mniej więcej

pięcioletnią dziewczynkę w sukieneczce, pasiastych podkolanówkach i czerwonej czapeczce -- wypisz, wymaluj Czerwony Kapturek.

Dziewczynka płakała, rozmazując łzy drobną piąstką, chłopiec szarpał Mikkiego za pasek od hełmu i powtarzał jak nakręcony:

--Gdzie mama? Mama, panie żołnierzu... Ja muszę do mamy... Tata mi kazał, jak wychodził...

Już nauczono go zwracać się do obcych „proszę pana”...

--Peter, tu jest nasz kapral. -- Mikki ostrożnie postawił chłopca na ziemi. Dziewczynka została na rękach Fina, przytulając zapłakaną buzię do pancernego naramiennika.

--Panie kapralu -- chłopiec od razu się rozjaśnił, jakbym był dla niego samym Panem Bogiem. -- Panie kapralu, nazywam się Peter. Peter Staufenmann. Mieszkaliśmy tu z tatą i mamą i jeszcze z moją siostrzyczką, Steffi... Ale ona jest mała i nic nie rozumie. Panie kapralu, ja muszę do mamy...

Po jaką cholereę Mikki mnie w to wrobił? Co ja powiem temu chłopcu, koloniście, przyszłej podporze Imperium, przedstawicielowi narodu panów? Że jego rodzice nie żyją, że leżą w tamtym domu, wypatroszeni i zjedzeni?

Przelknąłem ślinę. Chyba łatwiej byłoby mi odeprzeć prawdziwy atak lemurów.

--Peter... ja... muszę ci coś powiedzieć. Chłopcze, jesteś bardzo dzielny... ty... tego... -- Nagle ochryplem. -- Peter, twoi rodzice zginęli. Zginęli w walce. Ratowali was. Aż do końca...

Chłopiec usiadł. Po prostu usiadł, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Twarz mu się wykrzywiła, brwi, jakby złamane na pół, zsunęły się nad nosem. Nie rozplakał się, nie jęknął -- trudno opisać dźwięk, który wyrwał się z jego piersi. Tak krzyczy zając, gdy uszatego biedaka dogania sfora psów. Wszystko od razu zrozumiał i zaczął krzyczeć. A zdawałoby się, że dzieci w jego wieku powinny nieźle znieść taką stratę, bo nie do końca zdają sobie sprawę z tego, co się stało.

Bzdura. Ten chłopiec zrozumiał wszystko w jednej chwili.

Leżał skulony na ziemi, przyciskając pięści do twarzy, a my staliśmy wokół niego, potężni komandosi w pancerzach, ze srebrną czaszką na tle czarnej heraldycznej tarczy, i nie wiedzieliśmy, co robić. Popatrzyłem na Mikkiego i pomyślałem, że ten flegmatyczny Fin też wolałby się znaleźć pod ostrzałem, niż patrzeć na cierpiące dziecko.

Sierżant również milczał.

--Drużyna... -- odchrząknąłem, oczyszczając ściśnięte gardło. -- Nie zatrzymywać się! Mikki i Fatih, odpowiadacie za te dzieci głową. Jeśli coś im się stanie, rozstrzelam was osobiście. Niech mnie potem sądzą...

To nie było potrzebne. Chłopcy i tak nie pozwolą, by dzieciom spadł choć włos z głowy.

Nie znałem przeszłości Mikkiego i Fatiha. Wiedziałem tylko, że obaj pochodzili z ogromnych miast-państw -- megapolis, pokrywających niemal całą powierzchnię planety. Obaj wyrosli na hydroponice i syntaminach. Obaj wcześniej trafili tam, skąd droga prowadzi albo do walecznych Imperialnych Sił Zbrojnych, zawsze gotowych chronić twój tyłek, albo na dno. Gdyby zdążyli zostać kryminalistami albo dealerami narkotyków, po prostu nie przeszliby przez sito oddziałów bezpieczeństwa wewnętrznego. Ale na pewno należeli do band. Armia na takie rzeczy patrzy przez palce, tym bardziej że tacy ochotnicy, wstępując w szeregi armii, już znają zapach prochu i potrafią nieźle strzelać.

Ale i tak nie ma gwarancji, że gdy zrobi się naprawdę gorąco, Mikki i Fatih nie odrzucą dzieci na bok i nie zaczną martwić się o własną skórę...

O tym właśnie myślałem, wypowiadając te groźne słowa o odpowiedzialności i tak dalej. Z jakiegoś powodu byłem jednak pewien, że chłopcy staną na wysokości zadania.

--Nie zatrzymujemy się, kapralu, nie zatrzymujemy się! -- warknął Klaus Maria, przypominając mi, kto tu rządzi. -- Ile domów zostało do przejścia?

Dużo. Machnąłem ręką i drużyna poszła za mną. Wtedy chłopiec, skulony na rękach Mikkiego, nagle spojrział mi prosto w oczy.

Nadal był w szoku, i właściwie powinienem dać mu porządną dawkę trankwilizatora, ale zwrócił się do mnie regulaminowo, jakby był rekrutem pod moim dowództwem.

--Panie kapralu... Tam jeszcze zostały Mary i Grechem, i jeszcze Paul i Max...

--Gdzie? Potrafisz pokazać?

--O tam, panie kapralu. Za tym domem, gdzie się zawsze bawiliśmy... tam jest stara piwnica, panie kapralu...

Jak na ośmioletniego chłopca, który właśnie stracił rodziców, trzymał się podejrzenie dobrze.

--Chang, Surendra, Dżonamani! Szybko! Wyciągnąć dzieci i wracać!

Chłopcy wrzasnęli: „Tak jest!” i pobiegli we wskazanym kierunku.

Połączyłem się ze sztabem, zameldowałem o sytuacji. Podporucznik chłodno zalecił mi „przyspieszenie posuwania się naprzód, skontrolowanie wszystkich przypadków zaginięcia obywateli Imperium oraz podjęcie wszelkich możliwych kroków w celu zapewnienia bezpieczeństwa nieletnim”.

Czułem, że najrozsądniej byłoby jak najszybciej skończyć robotę i zjeżdżać stąd. Miałem wyjątkowo parszywe przeczucia.

Chłopiec jakby się uspokoił.

--A ja jeszcze wiem, gdzie mogła się ukryć Marta -- przypomniał sobie i pokazał stronę przeciwną do tej, w którą przed chwilą udało się trzech moich żołnierzy.

W tym momencie pomyślałem, że za chwilę nie zostanie mi w ogóle ludzi. Kaczor pewnie leży tam, gdzie leżał, czekając na sanitariuszy; trzech wyruszyło po dzieci; Mikki i Fatih trzymają maluchy na rękach, co czyni ich niezdolnymi do walki... Mannlicher to niezła broń, ale trzymać go jedną ręką i strzelać mogą tylko prawdziwi zawodowcy, jakimi ani ja, ani mój Fin nie byliśmy.

Zaledwie czterech zdolnych do prowadzenia walki. I wszyscy dziwnie zdekoncentrowani, jakby przytłoczeni strachem, śmiercią i, co najważniejsze, niewiadomą. Oczywiście był z nami sierżant, który sam jeden mógłby zastąpić w walce całą moją drużynę, ale...

--Skupcie się, chłopcy -- rzucilem. -- Nigdzie się nie ruszamy, czekamy, aż wrócą pozostali. Pozostali...

W chwilę później wydarzyło się jednocześnie mnóstwo rzeczy.

Najpierw ożył komunikator i usłyszałem straszny krzyk opanowanego zazwyczaj Surendry:

--Zasadzka! Zasa...

Trzask wystrzałów i wrzaski zagłuszone przez elektronikę.

Potem obok siebie usłyszałem charczenie Mikkiego i stłumiony okrzyk Fatiha.

Obaj stali plecami do mnie -- nie widziałem ich twarzy, za to zobaczyłem brązową mackę, zaciskającą się na szyi Fina.

I wtedy z okien pobliskich domów posypały się strzały.

Nazarian upadł na wznak; biedak nie zdążył zasłonić twarzy plastikową osłoną i strzała wbiła mu się w policzek. Keos był przezorniejszy -- wskoczył do rowu i jego karabin już wypluwał strumień ognia.

Sierżant Klaus Maria nie zawiódł; w końcu był zawodowcem i, jak się okazało, nie na darmo nosił za plecami drugi karabin, krótkiego adlera. Teraz z obu walił w okna tak, że z framug leciały drzazgi. Lemur zachwiał się i runął w dół. Zamiast głowy miał krwawą miazgę, ale strzały z łap nie wypuścił...

A ja, skamieniały z przerażenia, wpatrywałem się w Mikkiego. A raczej w chłopca, który jeszcze przed chwilą siedział potulnie na rękach komandosa.

Teraz zamiast rąk chłopiec miał brązowe, pokryte śluzem macki, zaciskające się na szyi Fina. Mikki już charczał.

Strzeliłem. Nie zastanawiałem się, co właściwie widzę, czy przypadkiem nie zwariowałem i czy nie jest to chytra prowokacja lemurów z użyciem nieznanymi mi halucynogenów.

Pocisk mannlicera, ciężki, wyposażony w dodatkowy rdzeń i nacięty płaszcz, przeszedł przez głowę Petera. A raczej przeszedł przez nią rdzeń, rozerwany płaszcz zaś został w środku.

Głowa pękła niczym przejrzały arbuz. Na płytce chodnika (chodniki we wsi były ułożone z przysłowiową niemiecką starannością) trysnęła czarna ciecz.

Drugi mój strzał przeznaczony był dla dziewczynki, duszącej Fatiha. Glinka też do niej strzelił; zobaczyłem, jak z piersi dziewczynki tryska snop krwawych bryzgów, bo kula weszła w plecy. Mój pocisk przestrzelił jej głowę.

Okazało się, że ciężkie pociski standardowego wojskowego kaliber 7 i 9 są bardzo skuteczne na to nieznane plugastwo.

Nie zdążyłem nic więcej zrobić. Nie zdołałem nawet podać ręki Mikkiemu, żeby pomóc mu wstać. W mój hełm uderzyło kilka strzał, więc wskoczyłem do rowu obok Keosa i opróżniłem kilka magazynków.

--Chang! Surendra! Dżonamani!

--Dowódco! -- to Surendra.

--Meldujcie!

--Straszne gówno. Przycisnęli nas. Te dzieci...

--Wiem! Dawaj namiar! Co z resztą?

--Dżonamani jest ranny, Chang też. Te potwory... chyba wystrzelaliśmy. Mają w głowie czarny płyn, dowódco. Lemury są ze wszystkich stron. Chyba chcą nas wziąć żywcem...

--Wiem. Zaraz wyślę do ciebie Makumbę i Keosa. Wyciągniecie rannych. Trzymajcie się!

--Trzymamy... Dobrze, że strzały nie przebijają pancerza.

--Użyj granatów, Surendra!

--Tak jest, dowódco!

Przełączyłem komunikator.

--Keos, Makumba! Na namiar Surendry biegiem marsz. Chang i Dżonamani są ranni. Wyciągnijcie ich.

--Jak tam, kapralu, spodnie suche? -- usłyszałem głos sierżanta.

--Melduję, że tak, panie...

--Cicho bądź. Dobrze zrobiłeś, że wysłałeś po chłopców. Na twoim miejscu połączyłbym się jeszcze z porucznikiem.

To był rozsądny pomysł. Wezwałem sztab.

Porucznik odpowiedział od razu.

--„Czwórka” co u ciebie? Melduj.

--Tak jest. Zostaliśmy zaatakowani... Mutanty udające dzieci. Mam czterech rannych.

Porucznik pomilczał chwilę, w końcu zaklął.

--„Czwórka” nie wy jeden. Pozostałe drużyny również. Nie potrafię wam pomóc. Zadanie wykonajcie w miarę możliwości. Kontynuować poszukiwania obywateli Imperium bez względu na okoliczności. Grafiki operacji pozostaje bez zmian. Koniec połączenia.

Łatwo mu powiedzieć „bez względu na okoliczności”. Jak odróżnić obywateli Imperium od tych potworów? Brać każdego znalezionego na ręce i czekać, aż zacznie cię dusić?

A właśnie... Jak mogły dusić moich chłopców? Gardło komandosa osłonięte jest giętkim, wysokim kołnierzem z kevlaru. Zaciskać go można, ale nie sposób udusić człowieka. Kołnierz okazywał się szczególnie przydatny w walkach z partyzantami, bo zdarzali się amatorzy zarzucania żołnierzom garoty na szyję.

--Zuch jesteś, że nie poprosiłeś o wsparcie -- usłyszałem głos Klausa Marii. Lemury tymczasem przestały zasypywać nas strzałami, widocznie zrozumiały bezsens tego zajęcia. -- Porucznik nie lubi podwładnych, którzy kwękają i żądają kompanii czołgów, gdy tylko zaczyna się robić gorąco.

--Dziękuję, panie...

--Możesz się do mnie zwracać po prostu „sierżancie” -- laskawie okazał wspaniałomyślność pan starszy sierżant sztabowy.

--Tak jest, sierżancie. Surendra! Surendra, odpowiedz!

--Dowódco, widzimy ich! -- odezwał się zamiast Hindusa Keos. -- Leżą. Surendrze sterczy strzała spod helmu.

--Psiakrew! A przeciwnik?

--Strzela... -- wycedził przez zęby Rumun i w następnej chwili usłyszałem terkot mannlichera.

Nie miałem już ludzi, których mógłbym posłać jako wsparcie. Przy mnie został tylko ranny Nazarian.

Wprawdzie lemury się wycofały, ale kto wie, na jak długo? Wszystkie okna okolicznych domów, z których strzelano, były rozbite, ściany pokryły się bliznami, w niektórych miejscach leniwie unosił się dym -- tam, gdzie wpadły rzucone przez sierżanta granaty.

Nazarian jęczał cicho.

--Jęczy, to będzie żył -- zauważył Klaus Maria, zręcznie podczołgując się do Ormianina. -- No, no, kapralu, nie śpij.

--Dowódco! -- odezwał się Makumba w komunikatorze. -- Ciągniemy ich, wszystkich trzech. Sierściuchy się wycofały. Trochę przetrzepaliśmy im skórę... ale z Surendrą jest źle. Chang ma się lepiej, nawet nogami przebiera.

--Namiar macie stabilny? Dojdziecie?

--Dojdziemy, dowódco -- wychrypiał Keos.

Rzuciłem szybkie spojrzenie na ciała leżące pośrodku drogi. Chłopiec i dziewczynka. Głowy strzaskane, czarny śluz rozplywa się na płytach chodnikowych. Ręce niby ludzkie, ale zakończone brązowymi mackami. Wzdrygnąłem się.

Miałem ochotę zwymiotować, ale w końcu nie po to mianowano mnie kapralem.

Zawijając oba ciała w folię, tak żeby nic nie wysączało się na zewnątrz, wrzuciłem je do worka na plecach. Znowu napotkałem aprobujące spojrzenie sierżanta.

Wkrótce pokazali się Keos i Makumba. Chang rzeczywiście jako tako szedł, podtrzymywany przez Rumuna; obu Hindusów niósł na sobie potężny Makumba. Opatrywanie rannych zajęło nam trochę czasu. Chang wstrzyknął sobie po kolei środek przeciwbólowy, uniwersalne antidotum i stymulator. W efekcie wprawdzie z trudem, ale mógł człapać o własnych siłach. Pozostałych ułożyliśmy dwójkami na zaimprovizowanych noszach. Tym razem nawet sierżant nic nie powiedział, mimo że drużyna zmieniła się w chodzący szpital polowy. Mieliśmy sześciu rannych.

Na nogach trzymałem się ja, Makumba, Keos i Glinka, oraz, rzecz jasna, pan sierżant. Makumba niósł Mikkiego.

W normalnej sytuacji należałoby jak najszybciej przetransportować rannych w bezpieczne miejsce i wrócić do wykonywania zadania. Ale po tym, co się stało, chyba wszyscy stwierdzili, że bezpiecznych miejsc po prostu w okolicy nie ma.

Znowu połączyłem się z porucznikiem. Tym razem bez wahania wysłał do mnie sanitariuszy. Cóż, drużyna inwalidów miałaby pewien problem z wykonaniem zadania. Wytrwać do końca i bronić się do ostatniego pocisku -- proszę bardzo, ale prowadzić poszukiwania -- niekoniecznie.

Czekając na sanitariuszy, zdążyliśmy przeszukać kilka następnych domów. Klaus Maria nalegał, żebyśmy zajrzeli również do tych, z których obrzucano nas strzałami.

Co było robić, poszliśmy.

Mogę powiedzieć tylko jedno -- trupy, obojętne czyje, to odrażająca sprawa. Posiekane kulami i odłamkami granatów lemury, rozerwane na pół, z wypadającymi wnętrznościami i strzaskanymi czaszkami, stanowią niezbyt przyjemny widok. Znaleźliśmy również kilku martwych kolonistów (wszyscy jak jeden mąż bez żetonów), ale nic więcej.

Dopiero gdy oddział medyków zabrał rannych i zredukowana

o połowę drużyna ruszyła dalej, zaczęła się prawdziwa zabawa. Pozostali chłopcy z naszego plutonu byli już blisko i gdy rozpoczęła się strzelanina, od razu rzucili się w naszą stronę. Nim dobiegli, sierżant zdążył wpaść do zamaskowanego dołu-pułapki, a na nas ze wszystkich stron posypały się już nie strzały, lecz kamienie i krótkie, ciężkie belty, wypuszczane z prawdziwych kusz. Lemury były wszędzie: na dachach, wewnątrz domów, za szopami

i stodołami, na wierzchołkach drzew. Zebrali tu tylu strzelców i procarzy, że zrobiło się całkiem gorąco. Z dołu sierżant ryczał jak rannyłoś. Keos oberwał w osłonę helmu potężnym pociskiem z procy. Plastik od środka zabarwił się na czerwono.

Będąc teraz we trzech, ja, Makumba i Glinka pewnie spróbowalibyśmy wycofać się za jakieś ukrycie, ale przez sierżanta musieliśmy sterczeć na środku jak na patelni.

Czech i Murzyn strzelali we wszystkie strony; ja podbiegiem do dziury, która wchłonęła

sierżanta i włączyłem latarkę. Na dnie zobaczyłem żywy kłęb włochatych ciał -- Klaus Maria dosłownie zniknął pod lemurami. Od czasu do czasu któryś z lemurów wpadał na żelazną pięść sierżanta i odrzucało go do tyłu, jednak liczba włochatych przeciwników nie zmniejszała się zauważalnie. Nie mogąc strzelić -- mannlicher z takiej odległości przebija kombinezon na wylot -- krzyknąłem:

--Maska, panie sierżancie! Maska!

W odpowiedzi z komunikatora posypały się wściekle przekleństwa.

Co innego mogłem zrobić? Zostawał mi tylko gaz. Z taką masą lemurów nawet Klaus Maria sobie nie poradzi, po prostu go zmiążdżą.

Wrzuciłem do jamy granat gazowy, mając nadzieję, że maska sierżanta jest dobrze dopasowana i zgodnie z regulaminem nie będzie podnosił osłony -- nasze helmy nie są dostosowane do pracy w otwartym kosmosie. Nie są hermetyczne.

Gdy pojawiła się chmura gęstego dymu, kłęb lemurów rozpadł się na pojedyncze sztuki. Rzuciłem w dół linę z kotwiczką; lina była wprawdzie cienka, za to pan sierżant miał niepowtarzalną okazję wykazać się swoją klasą.

Klaus Maria rzeczywiście wyskoczył z pułapki jak na skrzydłach. W tył jego helmu uderzyła i z brzękiem odpadła strzała -- miałem wrażenie, że belt jest wyposażony w stalowy grot. Ciekawe, skąd się wzięła stal u włochatych mieszkańców tutejszych lasów?

Mnie też trafili -- dwoma pociskami z procy. Nawet przez pancerz odczułem je dość boleśnie. Rzuciliśmy się biegiem do kryjówki, a za nami, ostrzeliwując się w biegu, pędzili Keos i Makumba. Gdy dobiegliśmy do muru, który zdawał się nam ratunkiem, mur runął w naszą stronę.

To był porządny, kamienny mur, a za nim coś w rodzaju garażu -- za to z niespodziewaną zawartością.

Ani ja, ani Keos, ani nawet sierżant, nie mówiąc już o Makumbie, nie widzieliśmy nigdy niczego podobnego.

Skłębiona masa brązowych macek. Wysunięta do przodu ni to krokodyla, ni to rybia paszcza. Po obu stronach para zielonych oczu. Na dole coś w rodzaju ślimaczej stopy. Takich potworów czyhało tam co najmniej dziesięć, garaż był nimi wypełniony po dach. Keos, który biegł najszybciej, z rozpędu wpadł prosto w stęsknione objęcia macek.

Aż mnie skręciło z obrzydzenia na widok tych ohydnych brązowych ciał. W chwilę później ja i Klaus Maria otworzyliśmy ogień. Nasze mannlichery wypuły strumienie ołowiu, a kule z cmokaniem wbiły się w miękkie ciało, pokryte grubą warstwą połyskującego w świetle śluzu.

Na plac za naszymi plecami wpadły oddziały wsparcia, a wtedy ściany garażu zaczęły się przewracać jedna po drugiej. Dopiero teraz zauważyłem, że trzymały się tylko na słowo honoru.

Zaatakowały nas bestie, których nie wymyśliłaby najbardziej chora wyobraźnia. Wyglądały mniej więcej tak, jakby ktoś chciał się na własne oczy przekonać, co mu wyjdzie z krzyżówki jeża z wężem. A może raczej z anakondy z jeżozwierzem i kajmanem jednocześnie, z dodatkiem smoczycich łap.

Keos wrzeszczał. Nie trwało to długo. Paszcze nie przebiły pancerza, ale zgmiotły chłopca tak, że przecięły go niemal na pół. Jedyнным efektem naszych strzałów było to, że jedno brązowe cielsko spłynęło pod nasze nogi i znieruchomiało.

--Granaty! -- ryknął Klaus Maria.

Wystrzeliłem bez wahania. Keos już nie żył. A jeśli nawet żył, nie mogliśmy nic dla niego zrobić. Muszę wyjść cało z tego starcia. Na Nowym Krymie bez wahania rzuciłbym się na te potwory z gołymi rękami, ale tutaj... tutaj muszę przeżyć. Honor i cała reszta nie mają tu żadnego zastosowania.

Granaty wybuchły nie od razu. Widocznie były to zapalniki z opóźnieniem -- wybuch następował, gdy pocisk zdążył już wejść w głąb paskudnego cielska. Efekt był wstrząsający.

Wybuchy rozrywały na strzępy ociekające śluzem ciała. Spalone kawałki kości sterczały dziwnie i żałośnie. Makumba omal nie z wymiotował.

Inne oddziały, pojawiające się w różnych końcach placu, też wzięły się do roboty. W naszą stronę napływał strumień potwornych, groteskowych ciał. Brązowa, rozpelzająca się szybko masa. Zielone, śmierdzące kałuże, rżenie, ciamkanie, bulgotanie. Któryś z bardziej doświadczonych komandosów użył granatnika i termiczne pociski wypaliły wszystko w promieniu dziesięciu metrów.

Ale ja miałem inne problemy. Razem z Klausem Marią próbowaliśmy wyciągnąć Keosa. Nieszczęsnego Rumuna rozcięło prawie na pół, nie pomógł mu ani pancerz, ani włożona dodatkowo kamizelka. Wytlukliśmy stwory w garażu, tym samym prawie pozbawiając się amunicji. W ładownicach pokazało się dno. Po chwili wahania zużyłem ostatni granat -- stwór, który wspiał się na dach (ogromna modliszka z długimi, wygiętymi spiralnie antenami), rozpadł się na drobne kawałki.

I nagle, całkiem nieoczekiwanie, atak dobiegł końca. Ocalałe bestie się wycofały. Pochowały się również lemury. Pluton w pełnym składzie-jeśli nie liczyć kilku zabitych i rannych -- zebrał się w samym sercu Krimmensholmu.

Rzecz jasna, sztab Tannenberga stawał na głowie. Rzecz jasna, wydano nam rozkaz, byśmy za wszelką cenę utrzymali pole bitwy do czasu, aż mądrale ze sztabu batalionu -- czyli wywiad, kontrwywiad oraz eksperci wszelkiej maści -- przybędą na miejsce i zorientują się, w czym rzecz.

Byliśmy jedynymi żołnierzami, którzy zetknęli się z tym... hm... fenomenem. Pozostałe kompanie i plutony wykonały zadanie bez większych problemów. Oni naprawdę ratowali cywilów. Nasz pluton po prostu miał pecha. Ani jednego uratowanego obywatela Imperium. Ani jednego.

Pod wieczór przybyły pierwsze transportowce z ciężkim sprzętem. Oczywiście, nie były to królewskie tygrysy (o nich mogliśmy najwyżej pomarzyć), ale cieszyliśmy się nawet ze skromnych bwp. Ich siła ognia nie ustępowała średniej wielkości czołgowi, a zdolność pokonywania przeszkód terenowych była nawet wyższa. Pancerz nie wytrzymałby wprawdzie ataku artylerii przeciwpancernej, ale lemury czegoś takiego nie posiadały.

--No i co, kapralu? -- powiedział pan sierżant zapalając swoje słynne cygaro. -- Szliśmy niby równo i siedliśmy dupą w gówno. Melduj. Jak drużyna?

--Ze składu ubyło siedmiu ludzi, panie sierżancie. Jeden nie żyje. Ciężko ranni, potrzebujący natychmiastowej hospitalizacji: zero. Lekko ranni, którym można udzielić pomocy w warunkach polowych: sześciu.

--Jak tam twój Kaczor? -- zainteresował się posępnie sierżant.

--Zabrali go sanitariusze -- zaraportowałem rażno. -- Stan zadowolający. Może chodzić w

gorsecie, panie sierżancie.

--A chłopcy, których to paskudztwo złapało za gardła?

--Najgorzej z Dżonamanim, Surendra ma głęboką ranę twarzy. Strzała przebiła osłonę helmu.

--Czekajcie no, sierżancie. Jak strzała mogła przebić osłonę? Co wy mi tu pieprzycie? Przecież osłona odbija nawet pocisk!

--Melduję, że nie wiem, panie sierżancie. Wstępne oględziny wykazały nie przebicie, lecz dziurę termiczną, pancerny plastik po prostu się stopił...

--Hm... Zameldowałeś o tym jajogłowym, kapralu?

--Tak jest, w czasie pierwszego przesłuchania.

--I co oni na to?

--Powiedzieli, że to niemożliwe, panie sierżancie.

--Niczego innego się po tych darmozjadach nie spodziewałem. Dobrze, kapralu, możecie wrócić do swoich ludzi. Przekażę swoją opinię na wasz temat porucznikowi... bardzo pozytywną opinię.

--Ku chwale Imperium, panie starszy...

--Dosyć, kapralu. Nie jesteśmy na placu apelowym. Zachowaliście się dobrze. Pewnie, że szkoda tego twojego chłopaka. Byłby z niego dobry komandos. Przyznaję, że wołałbym zobaczyć na jego miejscu Kaczora. Z niego i tak nie będzie żadnego pożytku.

--Melduję posłusznie, panie sierżancie, że szeregowy Rosdwokrak to dobry i sumienny żołnierz, i na pewno nie zhańbi...

--Bronisz swoich, kapralu? Słusznie. Ale i tak na twoim miejscu przerzuciłbym Razdwakriaka do batalionu budowlanego. To, że nikt przez niego nie zginął, było wyłącznie zbiegiem okoliczności. Nie wiem, czy długo będziemy mieli tyle szczęścia.

Nic nie powiedziałem. Wyciągnąłem się jak struna, zasalutowałem i poprosiłem o pozwolenie oddalenia się.

--Dobra, dobra -- sierżant skinął ponuro głową. -- I pogadaj z Makumbą. Coś mi się widzi, że tej nocy spać nie będziemy.

Nie mylił się.

Poszedłem do swoich chłopców. Dzięki wysiłkom lekarzy trzymali się całkiem nieźle. Nawet Kaczor przestał jęczeć.

Ciało Keosa, umieszczone w czarnym plastikowym worku, wypełnionym obojętnym gazem, miało zostać odesłane na Nowy Krym. Imperialny desant w ogóle, a Tannenberg w szczególności troszczył się o to, by żaden poległy nie został na polu bitwy. Żeby potem jego ciało można było pochować ze wszystkimi honorami. Zgodnie ze zwyczajami wielu armii starego świata, gdy istniały jeszcze różne państwa i prawdziwa Rosja, poległego pośmiertnie awansowano. Keos wyruszył na tamten świat jako starszy sierżant sztabowy, czyli po śmierci zrównał się z samym Klausem Marią, wzorem, że tak powiem, imperialnego wojaka...

Rumun zginął, wpadając z rozpędu na brązowe macki, więc sprawę przedstawiono tak, jakby zasłonił własnym ciałem bezpośredniego dowódcę, czyli mnie, i stojącego wyżej zwierzchnika, czyli starszego sierżanta. Za coś takiego mógł dostać żołnierski Żelazny Krzyż czwartego stopnia z dębowymi liśćmi. Wojskowi dowcipnisie nazywali to odznaczenie „cierniowym oczkiem”.

Keos otrzyma krzyż pośmiertnie. Teraz jego rodzina, jeśli ją miał, dostanie prawo do podwójnej emerytury, jego imię zaś zostanie wykute na ogromnej marmurowej płycie, gdzie skrupulatny Tannenberg umieszcza nazwiska wszystkich swoich poległych i wszystkich odznaczonych. Trzeba przyznać, że lista odznaczonych pośmiertnie stała się w pewnym momencie demoralizująco długa. Ale to już było znacznie później.

Tę noc spędziliśmy, jak to mówią, „na kościach”. Pluton dostał zakaz opuszczania Krimmensholmu. Wraz z przybyłymi samochodami opancerzonymi mieliśmy utrzymać wieś, dopóki straty nie przekroczą poziomu „założonej celowości”.

Zalogi bwp razem z nami kopały rowy, półgłosem wymyślając dekownikom, którzy nie wpadli na to, żeby do drugiej fali ciężkiego sprzętu dołączyć buldożery. Schrony też musieliśmy kopać ręcznie.

Wieczorem inżynierowie uruchomili generator połowy i Krimmensholm oraz okolice zaalało jasne, rażąco białe światło. Padł rozkaz, by nie oszczędzać reflektorów. Lemury prowadziły nocny tryb życia, a snopy oślepiającego blasku miały przeszkodzić im w ewentualnym ataku.

Na co czekaliśmy? Chyba tylko na przyłot załogi bezpieczeństwa wewnętrznego, czyli kontrwywiadu. Tak się złożyło, pewnie w wyniku rozgrywek w aparacie wyższego szczebla, że kontrwywiad zajmował się nie tylko trywialnym łapaniem szpiegów Obcych (pewnie na skutek zbyt małej liczby tychże -- ani razu nie słyszałem o zdemaskowaniu choćby jednego prawdziwego szpiega. Spiskami i powstaniem wewnątrz Imperium zajmowało się gestapo). W gestii kontrwywiadu leżało między innymi badanie „wypadków niewyjaśnionych”. Z czymś takim mieliśmy do czynienia właśnie tutaj, w Krimmensholmie.

W nocy, gdy nasze kombinezony stały się już mokre od potu, a łopaty wypadły ze zmęczonych rąk, z łaski dowództwa przedstawiono nam ogólny przebieg operacji. „Lemur”.

Pozostałe oddziały Tannenberg, które wylądowały w innych zagrożonych miejscach planety, z powodzeniem przeprowadziły ewakuację cywili. Batalion nie odniósł niemal żadnych strat, jeśli nie liczyć kilku lekko rannych. Wszystkie ataki lemurów zostały odparte z ogromnymi stratami wśród napastników. Tak się dziwnie złożyło, że z tym nieznanym koszmarem zetknęły się nie cztery doskonale przygotowane kompanie kadrowe, lecz właśnie my -- kompania szkoleniowa, która zgodnie z obowiązującymi regulami w ogóle nie zostałaby włączona do akcji, gdyby nie zaszły „nieprzewidziane okoliczności, zagrażające życiu i zdrowiu znacznej liczby obywateli Imperium”.

Moi chłopcy powoli dochodzili do siebie po przeżytych szoku. Na nogach trzymaliśmy się tylko ja, Makumba i Glinka, i to my musieliśmy machać łopatami za całą drużynę.

Było już dobrze po północy, a przydzielony nam odcinek okopów nie został wykopany nawet do połowy. Nic dziwnego -- w końcu jak trzech facetów ma sobie poradzić z robotą dla dziesięciu?

A jednak byłem wstrząśnięty, gdy pan sierżant bez zbędnych wyjaśnień po prostu stanął obok mnie i splunął, wbijając zaostrzoną łopatę w oporną, poprzecinaną tysiącami korzeni glebę Zety-5. Na moją próbę wyprostowania się na baczność odpowiedział wzgardliwym machnięciem ręki i równie wzgardliwym burknięciem. Pracował, trzeba przyznać, za trzech, więc nad ranem, gdy wpadł na kontrolę pomocnik sztabu batalionu (przyleciał do nas razem z bwp), nasz okop wyglądał całkiem przyzwoicie. W każdym razie nie dostaliśmy nagany.

Rano, gdy ostatecznie opadliśmy z sił, zezwolono nam na odpoczynek. Ciała dwójki dzieci

zostały do tego czasu zabrane, i czekały w zamrażarce na przyłot szych i ekspertów z kontrwywiadu.

Aż dziw bierze, do czego zdolna jest piechota, jeśli wręczy się jej łopaty i rozkaże kopać „od tego miejsca aż do rana”. W ciągu jednej nocy wokół Krimmensholmu pojawił się prawdziwy pas umocnień. Ulice i przejścia między domami osłaniał dodatkowo drut kolczasty, przez który nasz przewidujący podporucznik kazał puścić prąd z generatora. Domy na skraju wsi zmieniły się w najprawdziwsze twierdze z gniazdami cekaemów, stanowiskami snajperów (ich obecność wydawała mi się zbędna) i utworzonymi z wypchanych ziemią worków kaponierami dla moździerzy lub ciężkich granatników. Bwp zastygły w okopach, zadzierając w górę lufy dział; w razie czego miały prowadzić ogień z zasłoniętych pozycji.

Na sen dano nam cztery godziny -- niespotykana hojność w warunkach bojowych -- po czym zerwano nas bez litości. W nocy, dzięki staraniom lekarzy, wrócili Mikki i Fatih; inni, z ranami od strzał, nie wyszli tak szybko. Tak jak się spodziewałem, groty strzał lemurów były zatrute, a uniwersalne antidotum kiepsko radziło sobie z tą trucizną. Surendra miał jakieś poważne uszkodzenia i czekał go stacjonarny szpital wojskowy.

Liczebność mojej drużyny wzrosła do pięciu ludzi, wkrótce powinni wyrzucić z oddziału medycznego również Razdwakriaka. Co prawda, w starciu było z niego tyle pożytku co kot napłakał, ale przynajmniej mógł kopać!

--Wstawaj, kapralu! -- pochylił się nade mną pan sierżant. -- Wstawaj, chcę z tobą pogadać... ludzie Joachima.

Joachim von Darkmoore, dwudziesty siódmy baron Darkmoore, stał na czele imperialnego kontrwywiadu.

Mikki, Makumba i Glinka wyglądali na przerażonych.

Zerwałem się na równe nogi, poprawiłem kombinezon, chuchnąłem na znaczek, przetarłem go rękawem i włożyłem hełm. Mimochodem odciągnąłem zamek mannlichera. Zajrzałem do nasady zamka, czy nie jest czasem zakopconą. Mogą sprawdzić, czy umiem dbać o broń... Początkowo miałem nie brać pancerza, ale potem pomyślałem, że jeśli mam stanąć w „pełnym rynsztunku bojowym”, to bez pancerza ani rusz.

W towarzystwie ponurego Klaus Marii (dzielny sierżant, podobnie jak wielu bojowych żołnierzy i oficerów, nie lubił tajniaków wszelkiej maści, solidaryzując się w tym z naszym podporucznikiem, który uprzedzał mnie, że bym z dobrego żołnierza nie stał się kiepskim szpiegiem) poszedłem, żeby „się stawić”.

„Ludzi Joachima” było dużo i mieli ze sobą mnóstwo najróżniejszej aparatury w wielkich metalowych skrzyniach. Co za operatywność... Widocznie wisieli gdzieś na orbicie w oczekiwaniu na takie właśnie wydarzenie. Doczekali się.

Klaus Maria zsalutował i zameldował nas.

--Jest pan wolny, sierżancie -- rzekł powściągliwie rosły mężczyzna w czarnym kombinezonie z wąskimi pagonami, takimi, jakie ma piechota. Stopień miał niezbyt wysoki -- kapitan, ale, jak wiadomo, w wywiadzie stopnie liczy się inaczej. Ten kapitan dorównywał zapewne pułkownikowi zwykłych wojsk albo majorowi wojsk desantowych...

--Kapralu! -- popatrzył na mnie, a ja natychmiast się skoncentrowałem. Z kimś, kto ma takie oczy, nie ma żartów. Taki bez chwili wahania strzeli ci nie tylko w twarz, ale i w plecy. Będzie torturował kobiety i dzieci. Dla niego istnieje tylko jedno pojęcie: efektywność,

mniejsza o środki. Nic dziwnego, że tego rodzaju organizacje pozostały jedynie na nielicznych, formalnie niepodległych planetach. -- Opowiedzcie mi, jak to było, kapralu. Ze wszystkimi szczegółami. I nie stójcie jak manekin. Nie jesteście na placu apelowym. Możecie usiąść. Palicie?

--Dziękuję, panie kapitanie, nie.

--Bardzo rozsądnie. -- Pstryknięcie zamykanej papierońnicy, złotej i masywnej, wartej pewnie tyle, co dobry sportowy samochód. -- Słucham. Uprzedzam, kapralu, że nasza rozmowa jest nagrywana. Dla nas ważny jest każdy szczegół. Zaczynajcie, kapralu.

Zacząłem. Kapitan słuchał uważnie, nie przerywał, nie zadawał pytań i chyba nawet nie mrugnął okiem.

Gdy skończyłem opisem śmierci Keosa, tajniak w milczeniu skinął głową i wyłączył nagrywanie.

--Piękna opowieść, kapralu. Od razu można poznać ukończone studia uniwersyteckie na Nowym Krymie. Tam tradycyjnie zwraca się uwagę na retorykę i wystąpienia publiczne. Profesor Obruczew nadal wyklada psycholingwistykę?

--Tak jest.

--Kiedy będziecie na przepustce, proszę łaskawie przekazać staruszkowi moje pozdrowienia -- rzucił niedbale kapitan. Jego koledzy w głębi pokoju przez cały ten czas krzątali się w milczeniu przy jakichś elektronicznych blokach, mrugających różnokolorowymi światełkami. -- Spróbujcie jeszcze raz, możliwie jak najdokładniej opisać moment, w którym zrozumieliście, że wasi żołnierze trzymają na rękach nie dzieci, lecz... powiedzmy, potwory.

Zacząłem opisywać. Jeszcze raz. Jak najdokładniej.

--Wyrazu ich twarzy, mam na myśli... hm... potwory, nie zauważyliście?

--Melduję, że nie. Szeregowi Fatih Ismail i Mikki Varialainen stali bokiem do mnie. Twarzy dzie... potworów nie widziałem.

--Nawet gdy strzelaliście?

--Nawet wtedy. Potem już nie patrzyłem.

--Wasze kule roztrzaskały im czaszki -- oznajmił w zadumie kontrwywiadowca. -- Doskonała reakcja, kapralu, gratuluję celności. I to bez celownika na helmie, mam rację?

--Tak jest. Strzelałem z podrzutu, panie kapitanie.

Zazwyczaj oficerowie imperialni w rozmowie z szeregowymi czy sierżantami po jednym czy dwóch zdaniach dawali rozkaz „bez rang” i rozmowa prowadzona była po prostu na „wy”. Ale temu tajniakowi tytułowanie sprawiało nieukrywaną przyjemność. Niedawno awansowany, czy co? Jeszcze się nie osłuchał?

--Doskonale władacie bronią -- zauważył zimno mój rozmówca. Czyżby wezwał mnie, żeby mi prawić komplementy? -- Powiedzcie mi, kapralu, nie mieliście wątpliwości co do swoich działań? Nie dopuszczaliście myśli, że padliście ofiarą ataku halucynogennego? Przecież nie użyliście maski!

--Melduję, że nie używałem maski i nie miałem wątpliwości. Widziałem, że moi żołnierze są duszeni. Nie miałem czasu na ustalanie, czy to halucynacje, czy nie, panie kapitanie. Nie mogłem zakładać, że...

--Rozumiem -- przerwał mi tajniak z nieprzeniknioną twarzą. -- Możecie odejść, kapralu. Powiem wam tylko jedno, na pożegnanie. Nie zabiliście potworów. Zabiliście najwyklesze

dzieci. Przeprowadziliśmy wszystkie możliwe i niemożliwe testy, wzięliśmy też pod uwagę ewentualność permanentnego oddziaływania psychotronicznego. Niczego nie stwierdzono. To był zwykły chłopiec i zwyczajna dziewczynka.

Ziemia zakolysała mi się pod nogami, twarz zapłonęła i mimo woli zacisnąłem pięści. Tajniak obserwował moją reakcję z wyraźnym zadowoleniem. Czekał, co powiem. Ale przecież nie zadał mi żadnego pytania. O nic mnie nie oskarżał. Nie mam na co odpowiadać. Jeśli to były zwyczajne dzieci, kto w takim razie dusił Mikkiego i Fatiha? Czy cały personel oddziału medycznego też miał halucynacje?!

--Dziękuję, panie kapitanie, że uznał pan za stosowne podzielić się ze mną tymi informacjami. Zapewne są ściśle tajne, doceniam więc pańskie zaufanie i postaram się zasłużyć na nie również później.

Jego twarz ledwie zauważalnie drgnęła. Spodziewał się po mnie wszystkiego, ale nie podobnego oświadczenia. Ale „człowiek Joachima” też umiał przyjąć cios.

--Faktycznie, informacje są utajnione. Nie jesteście zainteresowani, dlaczego nie zostaliście oddani pod sąd za zabójstwo nieletnich obywateli Imperium?

--Jak mniemam, panie kapitanie, żołnierze mojej drużyny potwierdzili moją opowieść. Prócz tego iluzja... jeśli była to iluzja... nie rozwiała się po moim wystrzale.

--Doskonale się trzymacie, kapralu -- wycedził kapitan. -- Macie rację, przesłuchaliśmy innych, gdy spaliście -- uśmiechnął się. -- Wszyscy jak jeden mąż potwierdzili waszą wersję. Szczególnie wymowny był pan Varialainen. To znaczy, że wy, i nie tylko wy, ale również nieszczęsne dzieci, znaleźliście się pod wpływem bardzo silnej hipnozy. Teraz badamy mechanizm tego oddziaływania. Czy było ono psychotroniczne, chemiczne, czy może jeszcze inne. Ale to już nie leży w waszej kompetencji, kapralu. -- Tajniak wstał. -- Jak zapewne rozumiecie, wszystko, o czym rozmawialiśmy, musi pozostać w absolutnej tajemnicy.

--Tak jest, panie kapitanie!

--Możecie odejść, kapralu -- tajniak odwrócił się do mnie plecami.

„Takie buty” -- jak mawiał ten sam profesor Obruczew, zasłużony naukowiec, członek Imperatorskiej Akademii Nauk, którego od dawna z uporem próbowały ściągnąć do siebie najlepsze uniwersytety pełnoprawnych planet i który z nie mniejszym uporem odrzucał wszystkie zaproszenia. Wolął pozostać skromnym kierownikiem niewielkiej katedry w małym, prowincjonalnym uniwersytecie, którego dyplom dopiero od niedawna zaczęto uznawać w Imperium...

Pod pancerzem lał się ze mnie pot. Dzieci. Halucynacje. Szramy na szyi Mikkiego i Fatiha to też pewnie halucynacja. Powinienem był zapytać tajniaka, czy zadanie takich ran ludzkimi rękami, szczególnie rękami dziecka, jest w ogóle możliwe, nawet jeśli to dziecko jest w transie hipnotycznym. Skąd wzięłoby taką siłę? Czyżby wchodziły w grę zagadkowe rezerwy ludzkiego organizmu, o których tak lubią rozpisywać się brukowce? Nie wierzę. Niemożliwe. Ten typ z Abwehry po prostu z jakichś nieznanych mi powodów mnie sprawdzał. Może chciał zobaczyć, jak zareaguję na tę wiadomość. Dlaczego, po co -- to już nie mój problem. Nie miałem najmniejszej ochoty stawać na drodze tych typów.

Chłopcom oczywiście niczego nie powiem. I to wcale nie z powodu obietnicy, jaką dałem tajniakowi. Żeby przeżyć to, co się tu dzieje, potrzebna mi była zdolna do walki drużyna. Nie miałem zamiaru umierać przez ich głupotę, tchórzostwo czy niepewność. Do naszego schronu,

gdzie już zdążono dowieźć żarcie, podszedłem jakby nigdy nic. Nieszczęśliwy wypadek, wmawiałem sobie. Nieprzewidziana okoliczność. Nie mogłem się przed nią uchronić. Nie mogłem, powtarzałem w duchu. Nie mogłem. Wyrzucić to z głowy. Nie myśleć. Koniec.

--Dowódco! -- ryknął ekspansywny Makumba, wymachując moim kociolkiem i ryzykując wylanie jego zawartości na ziemię. -- Dowódco, zachowałem twoją... pańską rację!

--Jedź, Makumba, i podziel się z chłopakami, jeśli ktoś ma ochotę wrębać coś jeszcze. -- Mnie jedzenie stanęłoby w gardle.

--Suchary też podzielić? -- zapytał z nadzieją Murzyn.

--Suchary zostaw -- próbowałem słuchać głosu rozsądku. Do wieczora było daleko, następne żarcie przywiozą nieprędko, a trudno walczyć, gdy kiszki marsza grają.

Tego dnia był ze mnie kiepski dowódca. Najpierw pan sierżant opieprzył mnie za niesprawdzenie „stanu powierzonej podwładnym broni” i dowalił za „nieodpowiedni wygląd drużyny”, a później diabli nadali kolejnego „kontrolera” ze sztabu batalionu. Ponad wszelką wątpliwość gość uważał się za bohatera, przeprowadzając „polową inspekcję wojsk w czasie działań bojowych”. Przed totalną klęską uratował mnie tylko nasz podporucznik, który zjawił się w samą porę. Pewnie sam miał ochotę zrobić pogrom, ale widząc, że jego ludzi trzepie jakiś tam sztabowy goguś, od razu się wściekł.

--Panie kapitanie!...

--Ach, to pan, poruczniku. Co to za burdel w plutonie? Jak takiemu szympansowi można było powierzyć dowodzenie drużyną? Popatrzcie tylko: niepodszyte kołnierzyki, mundur pomięty, dwa znaczki stracone, nie mówiąc już o...

--Panie kapitanie, moi ludzie niedawno wrócili z pola walki.

--Walka miała miejsce wczoraj, panie poruczniku. Imperialny komandos tym się różni od zwykłego *Feldgrau*, że od razu po walce może iść na przegląd choćby do Jego Wysokości! Walka nie może być pretekstem do niedbalstwa. Najpierw niepodszyte kołnierzyki, potem ładownice, jeszcze dojdzie do tego, że w obsadach zamków zaczną skakać żaby! Trzy dni paki dla tej nieudanej parodii imperialnego kaprała, poruczniku.

--Tak jest, trzy dni paki -- w głosie porucznika zgrzytnęła stal. -- Jednak pozwolę sobie nie zgodzić się z pańską decyzją, panie kapitanie i będę zmuszony zwrócić się pańskiego przełożonego, majora Joachima von Vallensteina. Aż do jego decyzji rozkaz o areszcie kaprała nie ma mocy prawnej.

Twarz gogusia wykrzywił grymas, ale co mógł zrobić? Podporucznik sporo ryzykował -- gdyby dowódca batalionu potwierdził decyzję sztabowego kapitana, areszt czekałby również podporucznika.

Oficerowie zaszalutowali sobie w milczeniu i goguś odmaszerował.

--Kapralu Fatiejew! -- Podporucznik przysiadł na brzegu okopu. -- Wiem, że to, o czym rozmawiał z tobą typ z ISS*, jest ściśle tajne, ale jeśli przez ciebie wezmą się za mój pluton, pożałujesz, że się urodziłeś.

--Melduję, że tak się nie stanie, panie poruczniku. Zapewniam pana, że nie wezmą się za nasz pluton. Sprawa dotyczy mnie i tylko mnie, panie poruczniku.

--Mam nadzieję -- burknął porucznik, wstając. Już odchodząc, nagle odwrócił głowę: -- Wiedz, że dam ci najlepszą rekomendację, jaką tylko mogę. Czuję, że będą nam potrzebni prawdziwi żołnierze. I to już niedługo. Nie dziękuj, kapralu. Nie robię tego dla twoich pięknych

oczu. Potrzebuję takich jak ty. Jasne?

--Tak jest! -- Postarałem się, żeby zabrzmiało to bardzo służbiście.

Do końca dnia nie wydarzyło się nic interesującego. Po aktywnej rehabilitacji polowej, napakowani stymulatorami i innymi świństwami, jeden po drugim zameldowali się wszyscy moi chłopcy. Prócz, rzecz jasna, nieżyjącego Keosa, którego ciało czekało na wysłanie na orbitę, i Surendry, którego przetransportowali do szpitala. Jego stopiony kask stał się zdobyczą tajniaków. My, pionki, mogliśmy tylko czekać.

Czołgiści wjechali wozami bojowymi do naszych okopów, a my pomagaliśmy je zamaskować. Potem zmusiłem swoich zabijaków do porządnego wyczyszczenia broni i „przeprowadzenia indywidualnego dopasowania oporządzenia”.

Było jasne, że zetknęliśmy się z jakimiś nieznanymi formami życia o dziwacznych kształtach, prawdopodobnie niezdolnymi do przeżycia w środowisku naturalnym. Formami, które nie były endemiczne dla danej planety. Świat zwierzęcy Zety-5 zbadano dawno temu, i to dość dokładnie; niczego podobnego nigdy tu nie było. To by znaczyło, że ktoś przerzucił tu te potwory -- tylko po co? Czy to miał być początek wojny z Obcymi, której tak się zawsze baliśmy? Do tej pory wszystkie wojny z Imperium były cywilnymi wojnami w granicach ludzkiej rasy. Nigdy dotąd nie stykaliśmy się z Obcymi w otwartej walce. Symulatory i inne rzeczy pozostawały jedynie symulatorami i... innymi rzeczami.

Muszę powiedzieć, że od tych przemyśleń zrobiło mi się wyjątkowo nieprzyjemnie. Musiałem zaciskać zęby, żeby nimi nie dzwonić. Nie mogłem sobie na to pozwolić; gdyby moi chłopcy, i tak już nieźle spietrani, zobaczyli, że ich dowódca się boi, ostatecznie straciliby ducha bojowego. A ja nie chciałem umierać dlatego, że „odpadki Imperium”, jak zapewne wyraziłby się o nich mój ojciec, trzęsą portkami.

Oczywiście zasypali mnie pytaniami. Kapral to w końcu nie pan sierżant, który jest prawie oficerem, kapral to taki sam żołnierz jak oni, tylko odrobinę wznoszący się nad masą desantowców.

Żaden z chłopców nie miał ukończonych więcej niż osiem klas. Ze szkolnych kursów biologii pamiętali jedynie, jak się kroi żaby. Czym jest DNA i geny, wiedział tylko Glinka.

--Broń biologiczna, chłopaki -- oznajmiałem. -- Stwory specjalnie stworzone do walki. Żyją bardzo krótko, ale wszystkie ich układy działają na granicy i lub tuż poza granicą możliwości. Mówiąc obrazowo, same się spalają. Takie bestie nie żyją długo. Chciałbym obejrzeć ich genom...

--Dowódco, a lemury? -- zapytał Makumba. Moich historii o genach, enhancerach i eukariontach słuchał z szeroko rozdziawionymi ustami. -- One to też atrapy, tylko do walki?

--Lemury nie -- odparłem po chwili namysłu. -- Lemury żyją tu od wieków. Ale te brązowe stworzenia, w które waliliśmy na placu, owszem. A ci, którzy je tu wrzucili, to idioci.

--Dlaczego, dowódco? -- zapytali chórem Makumba, Glinka i Chang.

--Dlatego, że z dużymi stworami łatwiej walczyć. Możemy załatwić je kulami albo granatami, a nas przed nimi chroni... powinien chronić pancierz -- poprawiłem się, przypominając sobie nieszczęsnego Keosa. -- Gdybyśmy tu zastali rój pszczoł z jadowitymi żądłami... albo mrówki... nie dałoby się z nimi walczyć. Ich kryjówki trzeba by wypalać ogniem. A po co nam spalona planeta? Na Zecie-5 mieszkali ludzie i dobrze by było, gdyby mogli mieszkać nadal. Zrzucenie termojądrowych bomb to nie problem, ale spróbuj zwyciężyć normalnie!

--Co, kapralu, prowadzisz pogadankę z żołnierzami? -- usłyszałem nad swoim uchem głos sierżanta. Klaus Maria Pferzegotakl miał do perfekcji opanowane bezszelestne poruszanie się; bardzo ważna umiejętność dla przełożonego, który pragnie wiedzieć, czym żyją powierzone mu „węzlaste pytony” i „hemoroidalne orangutany”.

Zerwaliśmy się na równe nogi.

--Spocznij, drużyno. No więc, kapralu? Opowiadasz chłopcom historyjki? Nie przeszkadzaj sobie, chętnie posłucham. -- Klaus Maria bezceremonialnie usiadł na przewróconej skrzynce i zajął się gilotynowaniem swojego nieodłącznego cygara.

--Ośmielę się zameldować, panie sierżancie, że odpowiadałem na pytania szeregowych o naturze napotkanego przez nas przeciwnika!

--Bardzo interesujące, kapralu. I cóż takiego im powiedziałaś?

--Że mamy do czynienia z bronią biologiczną nowego typu, panie sierżancie.

Prawdopodobnie zastosowano tu klonowanie na wielką skalę, zmasowane, ukierunkowane mutacje i przyspieszony metabolizm. U tych wojowników, jak sądzę, nie występuje funkcja reprodukcyjna, podobnie jak u os czy też...

--Poczekaj no, kapralu. Wiem, że skończyłeś studia -- palące się cygaro Klausowi Marii zakreśliło szeroki łuk -- a z twojej wypowiedzi rozumiem tylko pojedyncze słowa. Powiedz no nam prościej, żeby każdy rozumiał, co tu jest właściwie grane.

Powtórzyłem prostymi słowami. Wygłosiłem swoją opinię o jadowitych osach czy innych owadach. -- Nietrudno znaleźć toksynę śmiertelną dla człowieka...

--Racja, niech to jasny szlag trafi -- sierżant splunął. -- W coś dużego łatwiej trafić i z kulą w środku taki stwór, jak pokazuje doświadczenie, zazwyczaj wyciąga kopyta. Do chmury komarów nie da się strzelać. *Donnerwetter*, kapralu, za takie dyskusje można by cię oskarżyć o szerzenie nastrojów defetystycznych i rozkład morale żołnierzy...

--Myślę, panie sierżancie, że lepiej, aby żołnierze znali prawdę i byli przygotowani na najgorsze...

--Jak już będziesz siedział w sztabie, kapralu, wtedy możesz sobie wprowadzać swoje definicje. A na razie posłuchaj, co ci powiem. -- Klaus Maria machnął ręką, każąc nam się przysunąć i zniżył głos: -- To wszystko prawda, ale dobrze by było, żeby te opinie nie wyszły poza ten schron, małpiszony pustogłowe. Ja jestem z wami, pan porucznik też, ale gdyby usłyszał to jakiś goguś z bezpieki... Wtedy już po was. Pan porucznik powinien się dowiedzieć i pozostali oficerowie też... ale nie ci, którzy wycierają spodnie o stolki w sztabie. Wszystko jasne? Krótko mówiąc, trzymać język za zębami, bo inaczej sam go wam wyrwę! Już wy mnie, świńskie ogony, dobrze znacie. Znaliśmy. Nikt nie wątpił w szczerść słów pana sierżanta.

Nazajutrz dowództwo Tannenberga zdecydowało, że trzymanie całego plutonu jako ochrony pustej wsi nie ma sensu. Na planecie było jeszcze sporo osiedli wymagających natychmiastowej ewakuacji. Do „akcji poskramiania”, jak wyraziła się psycholog polityczny naszej kompanii, pamiętna Walkiria, kapitan von Schulze, batalion przystąpi później. Jak zostanie zapewnione bezpieczeństwo wszystkich cywili.

Czołgiści, którzy już zdążyli się tu zadomowić, z przekleństwami na ustach przystąpili do demontażu swojego „gospodarstwa”. Nie przerzucono jeszcze na planetę wystarczającej liczby ciężkich helikopterów i nasz pluton miał przed sobą dwustukilometrową drogę do niewielkiego miasteczka Ingelsberg, dziwnym zbiegiem okoliczności nieobjętego pierwszym

atakem lemurów. Zdaje się, że nasz przeciwnik działał na żywioł, nie martwiąc się o plany strategiczne. Dowództwo starało się rozciągnąć szeregi Tannenberg na całą planetę, czy raczej próbowało osłonić tereny zasiedlone, skąd dochodziły doniesienia o powstaniach i ofiarach. W Ingelsbergu było ponad pięć tysięcy mieszkańców; istniały tam niewielkie zakłady zajmujące się przetwórstwem produktów okolicznych ferm. Z tego, co wiedziałem, na czele tamtejszej milicji stanął teraz kapitan rezerwy, a lemury nie podeszły jeszcze na odległość strzału. A jednak, mimo pozornego spokoju, rozkaz był jasny -- „ewakuować wszystkich cywili”. Potem można będzie przystąpić do karczowania terenu z chwastów.

Granica lasu szybko się przybliżała. To był najzwyczajniejszy ziemski las -- jak wspomniałem, nasze wiązy, dęby, lipy i graby bardzo dobrze się tu przyjęły, z powodzeniem wypierając roślinność endemiczną. Chciałbym wiedzieć, co o tym myśleli nasi kosmaci przeciwnicy, czy też ich „panowie”, jeśli tacy w ogóle istnieli.

Na razie „nasze” lasy zajmowały na Zecie-5 bardzo niewielki procent powierzchni. Dopiero za kilkaset lat będzie można zacząć poważnie mówić o wypieraniu. Ale jeśli dla lemurów był to wystarczający powód, żeby przelać krew „ciemieńców”?...

--Panie kapralu, czy będziemy jechać przez te lasy? -- zapytał żałośnie Makumba, siedząc na pancerzu naszego bwp, który z rykiem kierował się w stronę zarośli.

--Innej drogi nie ma, Makumba.

--Wybiją nas tu do nogi.

--Nie jęcz. Strzały nie przebija pancerza.

--Wykopią wilczy dół...

--Wy w tej swojej dżungli też tak robiliście, jak już pozłaziliście z drzew? -- rzucił ze złością Nazarian.

W naszym przedziale trzęsło jak diabli, ale za to było czym oddychać -- konstruktorzy nie pożałowali forsy na układy filtrowentylacyjne. Przed nami, wzbijając tumany kurzu, jechały dwa bwp. Długie, żółte woale pyłu podchwytywał wiatr, unosząc je na bok, do równiarki. Nawet drogi budowano tu na starą modłę. Któryś z naszych włączył owiew na wewnętrzny obieg. Nie wsysaliśmy powietrza z zewnątrz.

--Makumba, spokój! Nazar, dwa karne dyżury jak tylko dojedziemy na miejsce -- warknąłem, tłumiąc awanturę w zarodku. -- Uspokójcie się! Kompletnie wam odbiło?...

Co za kretyni. Przecież dobrze wiedzą, co ich czeka za bójkę. Próbowałem im to wytłumaczyć na „Meronie”. Widocznie wtedy wypadło niezbyt przekonująco. Będę musiał powtórzyć.

Nazarian i Makumba siedzieli bardzo blisko mnie i najlepsze, co mogłem zrobić, to stuknąć ich helmami. Zrobiło to spore wrażenie. Obaj jednocześnie przygryźli sobie języki.

--I bardzo dobrze -- powiedziałem z przekonaniem. -- Nie klócić mi się tu, jasne? Dzisiaj wszyscy...

Nie zdążyłem wymyślić, co „wszyscy dzisiaj”, bo w pobliżu coś zatrzeszczało, zagrzecotało, silnik bwp zawył jak śmiertelnie ranny koń, a w komunikatorze rozległy się bluzgi kierowcy, który gwałtownie skręcił i teraz miażdżył gąsienicami młody lasek.

--Otworzyć ambrazury, świńskie psy! -- wrzasnąłem, mimo woli przechodząc na żargon pana sierżanta.

--Pluton! -- usłyszałem w słuchawkach głos podporucznika. -- Lemury! Lemu...

I w tym momencie zapanowała grobowa cisza. W komunikatorze nie było słycać nawet zwykłego statycznego szumu -- jakby ktoś zatkał mi uszy watą i to tak szczelnie, że pewnie przegapiłbym nawet trąby Sądu Ostatecznego.

Nasz bwp zatrzymał się z głośnym zgrzytem. Miałem wrażenie, jakbyśmy z rozpędu wjechali na stalowe zęby brony, jakie widziałem w muzeach sieciowych.

--Dowódco? -- Chang zajrzał pod daszek mojego helmu. -- Panie kapralu!

--Nie ruszać się z miejsc -- powiedziałem strasznym głosem. -- Meldować o sytuacji!

Drużyna zameldowała rażno, że wszystko w porządku, zabitych i rannych nie ma, widocznych uszkodzeń również. Nieważne, jakie wydam rozkazy, grunt, żeby nikt nie wyczuł mojego zakłopotania. Łączności nie ma, przeciwnik nie wiadomo gdzie, wystarczy, żebyśmy wysunęli się spod osłony pancerza...

Przełączyłem komunikator.

--Hej, woźnico tej chabety! Długo jeszcze będziemy zapuszczać korzenie? Po coś wjechał w krzaki?

Cisza. Od kabiny z kierowcą dzieli nas przegroda z lukiem, teraz zamkniętym na głucho.

--Załoga?

Nadal nic. Silnik pracuje, ale na małych obrotach. Spróbowałem wyjrzeć przez ambrazurę i znowu nic nie zobaczyłem. Wziąłem się w garść.

--Dżonamani! Chang! Dolny luk!

Chłopcy wypełnili polecenie bez szemrania. W takich sytuacjach największym szczęściem jest wiara, że człowiek, który wydaje rozkazy, wie co robi.

Dolny luk dał się łatwo otworzyć. Rzecz jasna, nie było pod nami żadnej „brony”.

--Nazar! Karabin!

Wierny MG-242. Nazarian wyśliznął się przez właz, za nim natychmiast pospieszył jego karabin i drugi członek obsługi -- Dżonamani.

--Oslaniajcie nas -- polecilem i wyszedłem na zewnątrz. Kolejna próba połączenia się z podporucznikiem czy innymi drużynami nic nie dała. Pountierali tam wszyscy, czy co? Szlag ich nagły trafił?

Trawa pod żelaznym brzuchem bwp była naszą, ziemską, całkiem zwyczajną trawą. To znaczy, że jeszcze byliśmy w granicach „swojego” terytorium. Tak naprawdę lemury powinny go unikać... Ale zdążyliśmy się już przekonać, jak unikają.

Pozostałe samochody wyglądały na nieuszkodzone, ale silnik działał tylko w naszym. Dziwne.

--Chang, za mną! Reszta trzyma się zarośli, szczególnie uważając na gałęzie! Jak się coś ruszy, strzelać natychmiast!

Nie martwiłem się już o ewentualne straty, wyrządzone ekosystemowi Zety-5.

Celownik na helmie przełączyłem na tryb bojowy. Jak się zastanowić, taki celownik to niezła rzecz. Działa jednocześnie w obszarze podczerwieni i widzialności, reaguje na ruch, potrafi wychwycić cel i dawać wskazówki, jeśli w twoim wyposażeniu bojowym jest samonaprowadzanie. Pokazuje również, w co trafi twoja kula, jeśli teraz naciśniesz spust, jak polecą granat, oblicza wyprzedzenie i w ogóle robi mnóstwo pożytecznych rzeczy. Teraz interesował mnie właśnie tryb termiczny.

Nie zdziwiło mnie, gdy celownik nie znalazł w okolicy nic, prócz nieostygłych jeszcze

silników bwp.

Komunikator nadal milczał.

Podczołgałem się do samochodu porucznika. Obok mnie sapał Chang. Był prawdopodobnie najlepszym żołnierzem w mojej drużynie, ale robił tyle hałasu... Gdyby lemury chciały, już dawno oberwalibyśmy w tylek.

Wokół nas nie było nic. Ani ruchu, ani dźwięku -- jakby cały świat zapadł w śpiączkę.

Wczołgałem się pod samochód porucznika. Włazy pozamykane. Nikomu nie przyszło do głowy, że może zająć potrzeba otwarcia ich od zewnątrz.

--Poruczniku? -- zawołałem, nie od razu uświadamiając sobie, że opuściłem sakramentalne „pan”. Zastukałem w dno rękojeścią noża. Potem jeszcze raz, głośniejsze. Nic. Należało się tego spodziewać.

Za mną zaklął półgłosem Chang. Po chińsku.

--Nie da rady, trzeba będzie ciąć -- odwróciłem się do niego. -- Wracamy, spróbujemy otworzyć nasz luk do kierowcy.

Też nie będzie łatwo...

--Może spróbujemy z innymi, panie kapralu?

--Bez sensu. Czymś ich załatwili... To jakby eksplodowały dwie bomby gazowe. Zaczepiło pierwszego i ostatniego, nam się udało...

--My mieliśmy zablokowany dopływ powietrza.

--To dlaczego się nie udusiliśmy, jak już wyszliśmy na zewnątrz? -- spytałem zjadliwie.

--Melduję posłusznie, że nie wiem, panie kapralu!

--Otóż to. Ja też nie wiem..

Nieruchomy las nadal milczał. Nie podobało mi się to. Na wojnie takie rzeczy nie powinny mieć miejsca. Wprawdzie do tej pory nie brałem udziału w prawdziwej walce, ale nawet w czasie manewrów tak nie bywało.

Chłopcy krzżeli się przy luku prowadzącym do przedziału załogi. Zgodnie z regulaminem był zamknięty, ale nie zablokowany. Po dziesięciu minutach nieprzerwanych kwiecistych przekleństw (w czym prym wiódł Chang) pancerna kłapa wreszcie skapitulowała.

Na wszelki wypadek poleciłem założyć maski.

Załoga była na swoim miejscu. Chwała Bogu, bo już zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem wszyscy nie zniknęli w wyniku działania nieznanymi mi czarów. Głowa kierowcy spoczywała na drążkach sterowniczych, dowódca załogi zwisał z wieżyczki, celowniczy zsunął się ze swojego żelaznego siedzenia na podłogę.

Poczułem chłód w piersi. Wszyscy zginęli? W jednej chwili? To dlaczego my ocaleliśmy?...

Stojący z mną Nazarian wydał stłumiony okrzyk.

Ale już chwilę później kierowca się poruszył. Odwrócił głowę i popatrzył na nas mętym wzrokiem.

--Chłopaki, co jest?

Starszy sierżant sztabowy, dowódca bwp też się ocknął. Oszolomiony pokręcił głową, jakby sprawdzał, czy jest na swoim miejscu.

--Co się stało, kapralu?

Opowiedziałem w dwóch słowach. Sierżant zaklął i nacisnął przycisk radiostacji, wzywając podporucznika.

Przez kilka chwil w eterze panowała absolutna cisza. Nie było nawet szumów. A potem...

Bluzgi, którymi sypnął podporucznik, wzbudziły mój nieklamany podziw. W moim wyobrażeniu tak przeklinać mógł jedynie zasłużony bosman floty handlowej. Podporucznik wymienił wszystkich bliższych i dalszych ewolucyjnych krewnych lemurów, podał ich wszystkich możliwych i niemożliwych partnerów seksualnych i bynajmniej na tym nie poprzestał.

Rozumiałem go. Pluton przeżył wyłącznie przez przypadek. Mogli nas zwyczajnie wybić do nogi. W tym celu nie trzeba było nawet ciąć pancerzy naszych bwp. Wystarczyło rozpaść pod brzuchami samochodów ogniska, a powyskakiwalibyśmy sami. A gdyby skończyły się nam pociski... myślę o swojej drużynie.

Befehlspanzer porucznika zaryczał i wyjechał na drogę. Za nim, niczym prosięta za maciorą, ruszyły inne wozy. Nasz również.*

--Czy mogę o coś zapytać, panie sierżancie? -- Chciałem przecież zrozumieć, co się stało.

--Nie -- uciął sierżant. -- Później, kapralu. Nie czas na pogaduszki... A ty patrz, gdzie jedziesz! -- naskoczył na Bogu ducha winnego kierowcę. -- Chcesz się wpakować do rowu?

Bwp ma to do siebie, że z łatwością wyjeżdża z dowolnego rowu, ale kierowca nic nie powiedział, świadom, że lepiej nie drażnić teraz sierżanta.

--Tak jest! -- zaryczał. Komunikatory stłumiły ten wrzask, w przeciwnym razie byśmy ogłuchli.

--Pluton! -- huknął z kolei podporucznik. -- Zachować odstęp!...

Wróciłem do swoich. Machnąłem ręką, dając do zrozumienia, że nie ma o czym gadać.

Mieliśmy przed sobą kawał drogi, i chociaż nie była to najlepsza pora na rozmyślania, mimo wszystko zacząłem się zastanawiać nad tym, co nas spotkało.

To nie mógł być atak, bo napastnicy po prostu zlikwidowaliby cały pluton. Lemury potrafią walczyć. Widziałem na własne oczy. A te... te stwory, które załatwiły Keosa, też by nie przegapiły takiej okazji. Atak odpada.

Ewentualność numer dwa -- ostrzeżenie; mało prawdopodobna, ale na razie jej nie odrzucamy. Ksenopsychologia, mimo całej pychy Imperialów, była na razie wielką niewiadomą.

I wreszcie wariant trzeci i najbardziej realny, choć kompletnie idiotyczny. Zetknęliśmy się z czymś niewytłumaczalnym. Z czymś, co nie pasowało do naszych wyobrażeń o świecie. Do tej pory w naszych konstrukcjach i systemach nic nie szwankowało, a prawa fizyki działały jednakowo dobrze na Ziemi i na Nowym Krymie, ale przecież istnieje minimalne prawdopodobieństwo, że to jakaś lokalna fluktuacja... specyfika kontinuum czasoprzestrzennego... Mógłbym wymienić dużo mądrych słów, tylko po co?

Nie chciałem wierzyć w ten trzeci wariant. Nie miałem ochoty stykać się z niewyjaśnionymi zjawiskami na tej planecie. Może była to żywa istota, a może przeleciał „cichy anioł”. A może przeciwnie, przemknął duch nieczysty.

Przeżegnałem się odruchowo i ukradkiem splunąłem przez lewe ramię.

Nasze z lekka oszołomione *Kraftfahrtruppen**, czyli dzielni i nieugięci *Panzer-Grenadiere*n, podążali wytyczonym przez dowództwo kursem. Nie wiem, o czym rozmawiali żołnierze w innych samochodach. Mogłem się tylko domyślać...

Moi chłopcy znowu upadli na duchu, zaczęły im się zwidywać różne strachy, a Nazarian specjalnie zaczął opowiadać straszne historyjki w rodzaju nieśmiertelnych dziecinnych bajd o Czerwonej Ręce i Czarnym Prześcieradle. Musiałem wlepić mu dodatkowy dyżur. Poskutkowało.

Od czasu do czasu podporucznik wykrzykiwał coś dziarskiego z komunikatora, widocznie też troszcząc się o „podtrzymanie ducha bojowego oddziałów, powierzonych jego dowództwu”.

Dwieście kilometrów dzielące nas od Ingelsberga mieliśmy zgodnie z planem przejechać w ciągu dziesięciu godzin i porucznik zapewniał, że zmieścimy się w czasie, choćby miał nas osobiście rozstrzelać albo oddać pod trybunał za „przestępczy brak gorliwości”. Dwadzieścia kilometrów na godzinę po trudnym i nieznanym terenie -- każdy inteligentny czolgista uznałby to za dobry żart.

A jednak dojechaliśmy, choć pluton przyplacił to tempo zdrowiem -- trzęsło niemiłosiernie, nic więc dziwnego, że wszyscy rzygali jak koty. W końcu, zielonkawi na twarzy, ale w pełnej gotowości przelania krwi za ukochanego monarchę. Imperium i całą ludzkość, ustawiliśmy się w Ingelsbergu na placu przed ratuszem. Właściwie była to piętrowa stodoła, zbudowana z prefabrykatów, w której swoją siedzibę miała władza miejska, ale koloniści z czysto niemieckim uporem nazywali tę budowlę *Burghalle*.

Do Ingelsbergu miały przybyć również dwa inne plutony naszej kompanii, ale ich czekała znacznie dłuższa droga -- odpowiednio trzysta i czterysta kilometrów.

Mieliśmy zapewnić porządek i bezpieczeństwo w czasie ewakuacji ludności. Subordynowani koloniści już ustawili się na placu -- obok każdej rodziny stał niewielki srebrzysty kontener, w którym mieścił się cały dozwolony dobytek. Ludzie spoglądali na nas spode łba -- nikt nie miał ochoty porzucać swojego przestronnego i przytulnego domu na rzecz klatki „wewnętrznych planet”, gdzie często nie można się wyprostować bez ryzyka rozwalenia sobie głowy o zbyt niski sufit. A tak zwana „norma sanitarna” wynosiła cztery metry kwadratowe na osobę, z uwzględnieniem „poziomu rozwoju, jaki osiągnęły środki higieny i ochrony zdrowia”.

Ale koloniści należeli do rasy panów i nie protestowali. Słynna niemiecka dyscyplina. Tyle razy Anglicy, Francuzi i Rosjanie spuszczały im manto, a oni za każdym razem się podnosili. I powstając ostatni raz, w końcu zwyciężyli.

Kapitan rezerwy, dowódca oddziałów ochotniczych, zerkał na nas ze zrozumiałą zazdrością. Nic dziwnego -- koloniści mieli prawo do noszenia broni, w mieście były arsenały z „zabawkami” poważniejszymi niż broń myśliwska i lekkie pistolety; pod bronią była w milicji niemal cała męska część populacji Ingelsberga, od lat piętnastu do sześćdziesięciu pięciu, co dawało około półtora tysiąca ludzi. A tu wpada pół setki komandosów i domaga się rozpoczęcia natychmiastowej ewakuacji!

--Cywile są tu bezpieczniejsi niż gdziekolwiek indziej -- kapitan dał wyraz swojemu niezadowoleniu specjalnie podnosząc głos, żeby usłyszał go nasz porucznik.

Ten nawet nie uniósł brwi. Dostaliśmy rozkaz i tylko to się liczyło. A każdy, kto sprzeciwia się wykonaniu rozkazów dowództwa, jest wrogiem, z którym należy odpowiednio postępować,

nie bacząc na jego przynależność biologiczną czy wygląd zewnętrzny.

Podporucznik musiał mieć to wypisane na twarzy, ponieważ nikt, prócz kapitana, nie ważył się otwarcie zaprotestować. Koloniści zebrali się na placu i pokornie czekali na transport.

Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiałem, w jakim celu nas tu przysłano. Na czym polegało nasze zadanie -- na chronieniu pustych domów? Karaniu ewentualnych maruderów? A może to miasteczko miało być naszą bazą w czasie operacji poskramiania lemurów?

--Dowódcy drużyn do mnie! -- rozkazał podporucznik, nie używając komunikatora. Widocznie chciał, aby koloniści zrozumieli, że Imperialne Siły Zbrojne trwają na posterunku, ani na chwilę nie tracąc czujności.

Stawiliśmy się natychmiast. Czterech kaprali, zrzędzeniem losu wyniesionych ponad pozostałych towarzyszy. O tak, już się wyróżniliśmy. Już sądziliśmy, że mamy prawo wydawać rozkazy i posyłać ludzi na śmierć.

--Panowie kaprale! -- Tym razem podporucznik nie zlekceważył zamkniętego „dowódczego” kanału łączności. Staliśmy ramię przy ramieniu, na jego rozkaz nikt nie rozstawał się z maskami do oddychania i nie podnosił osłon hełmów. Koloniści patrzyli na nas jak na ostatnich idiotów, ale nic nie mówili. -- Panowie kaprale, teraz, gdy jesteśmy już na miejscu, mogę przekazać wam rozkaz dowództwa. Jest wprawdzie ściśle tajny, ale nie wątpię, że potraficie dochować tajemnicy, jak przystało na komandosów.

Porucznik nie myślał w tej chwili o tym, że jesteśmy zwykłymi niezaprzysiężonymi żołnierzami kompanii szkoleniowej, którzy, zgodnie z bojowym harmonogramem Tannenberga, powinni pozostać w bazach tyłowych.

Sierżant Klaus Maria też zapomniał o „malpisonach” i całym swoim egzotycznym zoo. Teraz, w walce, wszyscy byliśmy równi wobec Boga, mimo rozmaitych symboli wiary i różnorodnych modlitw.

--Rozkaz Oberkommando des Heeres: wieczorem i nocą w rejonie Ingelsberga może dojść do ataku sporych sił przeciwnika. Zadanie plutonu: zapewnić bezpieczeństwo osób cywilnych i aż do nadejścia rezerw utrzymać przyczółek, na którym będzie mogła wylądować szalupa ewakuacyjna.

Oberkommando des Heeres. Wojskowe dowództwo naczelne. To, panowie, nie jakiś tam major Joachim Vallenstein, dowódca Tannenberga, i nawet nie generał dywizji Pris, dowodzący całą 3. Dywizją Desantową Trupia Główka. Mierz wyżej! To już prawdziwa arystokracja, niemal samo podnóże tronu.

--Posiadany transport kosmiczny -- kontynuował porucznik obojętnym tonem, wyraźnie odtwarzając rozkaz z pamięci -- pozwoli na rozpoczęcie ewakuacji osób cywilnych nie wcześniej niż za siedemdziesiąt dwie godziny. Odpowiedzialnością za bezpieczeństwo poddanych Imperium obarcza się... aha, to chyba jasne, kogo -- dokończył. -- Jak zwykle mnie, jako dowódcę pododdziału bojowego Imperialnych Sił Zbrojnych, oraz tego błazna -- podporucznik skinął głową w stronę nadętego ekskapitana -- czyli przedstawiciela miejscowych legalnych formacji zbrojnych. Jedynym nadającym się do obrony budynkiem jest stojący na uboczu miejscowy ośrodek kultury. To już nie budownictwo płytowe, ale solidna budowla. Sale biblioteki, czytelnicy, teatru, kina i całej reszty są wystarczająco przestronne. Szalupy zdolają wylądować, jedna przy drugiej, obok ośrodka. Ile czasu mamy się tu utrzymać, to już wiecie. Do dzieła, panowie. Czolgistami zajmę się sam. A wy, panowie kaprale, po przybyciu na miejsce

otrzymacie sektor obrony, stworzycie mapę pola rażenia, wskażecie każdemu żołnierzowi jego punkty orientacyjne, przeprowadzicie instruktaż i tak dalej. Cywile wyruszą natychmiast. Musimy się spieszyć. Panowie kaprale, do drużyn biegiem marsz!

Wykonaliśmy polecenie. Nikt nie odezwał się nawet słowem. Jeśli wywiad mówi, że sierściuchy koncentrują się, żeby zaatakować dużymi siłami, może to oznaczać tylko jedno -- krwawą łaźnię. I to nie tylko dla atakujących.

Pluton ruszył. Maszerowaliśmy przez wymarłe uliczki Ingelsberga -- czyste, schludne uliczki, gdzie nikt nigdy nie śmiecił, nie palił w miejscach do tego nieprzeznaczonych i nie zostawiał niedopalków na chodnikach i klombach. Równo przystrzyżone żywopłoty, idealne sześciany i kule koron drzew, wysypane piaskiem dróżki, gipsowe krasnale tkwiące w ogródkach w swoich czerwonych i zielonych czapczkach, wymyślne skrzynki na listy -- w kształcie ptaków, smoków i innych postaci bajkowych albo, przeciwnie, bardzo modernistyczne, na przykład poruszające się i mówiące roboty. Nigdzie nie zaszczekał pies, nigdzie nie miauknął zapomniany kot -- mieszkańcy Ingelsberga ewakuowali się z niemieckim pedantyzmem i dokładnością.

Strumień ludzi płynął ulicą w ślad za nami. Wprawdzie ekskapitan nasze przybycie przyjął z rezerwą i chłodem, nie odważył się jednak otwarcie sabotować rozkazu naczelnego dowództwa. I trzeba przyznać, że umiał utrzymać porządek.

Ludzie prowadzili dzieci za ręce, pomagali starszkom, sprawdzając raz po raz, czy ktoś się nie zgubił albo nie został w tyle. Na ich twarzach widać było niepokój, a zarazem determinację, jaką prędeż spodziewałbym się zobaczyć u moich rodaków, gdyby przyszło nam walczyć na śmierć i życie -- na przykład z Imperialami, gdyby w swoim czasie gorące głowy zwyciężyły na Nowym Krymie i pertraktacje z Imperium zostały zerwane...

Tutejszy ośrodek kultury, który początkowo miałem ochotę nazwać wiejskim klubem, rzeczywiście wyglądał bardzo solidnie i mógłby być chlubą niejednego miasta na Wewnętrznych Planetach, nie mówiąc już o matce Ziemi. Monumentalny budynek z granitu i miejscowego kamienia, do złudzenia przypominającego marmur. Budowniczowie, nieograniczeni brakiem gruntu, mieli spore pole do popisu -- budynek był długi, szeroki i płaski, tylko trzypiętrowy. Stworzono go wyraźnie na wyrost, dla obecnego Ingelsberga zdawał się zbyt ogromny i pompatyczny. Gdyby mieszkało tu dziesięć razy tyle ludzi, byłby w sam raz.

Widocznie Zeta-5 nie cierpiała nędzy, skoro mogła, bez subsydiów i kredytów, wystawić w jednym ze swoich miasteczek taką budowlę. Nowemu Sewastopolowi też by nie zaszkodził nowy teatr i biblioteka...

Oczywiście, Zeta-5, podobnie jak wszystkie „nowe kolonie”, korzystała ze sporych przywilejów. Podatki były tu bardzo niskie, właściwie żadne, do skarbu Imperium szły jakieś okruchy. Niemal wszystko zostawało na planecie, a budownictwo w ogóle było wolne od podatków. Podobno korzystało z tego wiele dużych firm.

Dębowe kanapy, miękkie chodniki, żyrandole z brązu... Wyposażenie wewnątrz było utrzymane w pompatycznym nowoimperialnym stylu, który wolnościowi krytycy łączyli z „mocarstwowym monumentalizmem” III Rzeszy. Przy okazji, teraz mamy IV Rzeszę, piątej podobno już nie będzie.

Kapitan wraz z pomocnikami-ochotnikami zaczął rozmieszczać ludzi w salach. Kobiety i dzieci ulokowano w głębokich piwnicach, istnych katakumbach, przeznaczonych podobno do

przechowywania księgozbiorów, na centrum komputerowe i magazyny teatralne (chciałbym zobaczyć dekoracje, które mieliby tam przechowywać -- w sam raz dla Opery Imperatorskiej im. Ryszarda Wagnera).

Młodzi i zdrowi mężczyźni zostali na górze; mieli pomagać nam w przygotowywaniu budynku do obrony.

Koloniści poruszali się jak automaty. Żadne dziecko nie rozplakało się w czasie rozstania; jeśli nawet pociechy wisiały ojcu na rękach, posłusznie puszczały, gdy tylko zabrzmiał rozkaz i Hans, Friedrich czy Paul zaczynali się delikatnie uwalniać z dziecięcych objęć.

Ośrodek kultury najwyraźniej budowano na twierdzą. Zamiast ogromnych okien -- wąskie otwory strzelnicze. Zamiast szklanych sufitów -- ciężkie betonowe sklepienia, zdolne pewnie wytrzymać bezpośrednie trafienie pocisku czterocalowej haubicy. Panujący wewnątrz nastrój daleki był od uroczystej podniosłości czy radosnej ekscytacji. Pomyślałem, że gdybym był chłopcem, do takiego teatru czy biblioteki nie zaciągnęliby mnie nawet końmi. Ale teraz było to nam bardzo na rękę.

Moja drużyna dostała wschodni sektor obrony, czyli ścianę budynku zwróconą ku wschodowi. Weszliśmy na drugie piętro. Tutaj od szczytu do szczytu ciągnął się długi, szeroki korytarz z wygodnymi pozycjami strzeleckimi. Wszystkie podejścia do czytelnicy z naszej strony ostrzeliwane były na kilometr, jak usłudze oznajmił mi komputer sprzężony z celownikiem na helmie.

Westchnąłem i zacząłem rozstawiać chłopców -- dziesięciu na niemal dwieście metrów korytarza. Ustawiliśmy oba cekaemy, dwa ciężkie „trzmiele”, następnie zasapani cywile przytachali przesyłkę od czołgistów: stacjonarny miotacz ognia typu Muspell*. [Prawdopodobnie tylko ja doceniłem czarny humor twórców tej broni, bo jako jedyny w drużynie czytałem Eddę. Pozostali nigdy o niej nie słyszeli, chociaż heroiczne mity przodków były lekturą obowiązkową. Nie ma co, moi chłopcy mieli wspaniałych nauczycieli...](#)

Zrobiłem mapę ogniową, skopiowałem wyrzuconą przez komputer mapę mojego sektora, wskazałem chłopcom punkty orientacyjne, sprawdziłem celowniki. Tylko celownik Changa ustawiony był na prawidłową odległość; co się działo z mannlicherem Razdwakriaka, nie chcę nawet mówić.

Do otworów strzelniczych podciągnęliśmy worki z piaskiem, przezornie przygotowane przez ekskapitana. Fachman, o niczym nie zapomniał... Chylę czoło, mimo że należy do narodu panów.

Na podwórku podporucznik rozstawił kuchnię polową i kazał otworzyć wszystkie pakiety z żywnością. Mieliśmy przecież utrzymać pozycję przez siedemdziesiąt dwie godziny, albo sterczeć tu, umierając z nudów, jeśli wywiad się pomylił.

--Do chrzanu z taką wojną -- mrucał Fatih, dojadając rozdaną na krótko przed północą „późną kolację”. -- Po jaką cholere w ogóle nas tu przywiało? Co tu jest do roboty? Bronić tych idiotów? Gdyby się nie wtrącali do spraw lemurów, nie byłoby żadnego powstania...

--To się nazywa pchać się pod nóż -- zauważył posępnie Nazarian.

--Pamiętasz, że masz do wypełnienia trzy dyżury? -- zapytałem znacząco.

--Melduję, że pamiętam, panie kapralu! -- odparł Nazar, podkreślając drwiąco mój niewysoki stopień.

--W takim razie biegiem marsz. Możesz sobie wyobrazić, co się tam wyrabia w toaletach.

--Panie kapralu! -- teraz w błagalnym głosie Nazara nie zauważyłem nawet cienia drwiny, ale byłem nieugięty.

Zapadł zmrok. Na rozkaz podporucznika czołgści wciągnęli na płaski dach osiem potężnych reflektorów. W Ingelsbergu był ciężki sprzęt budowlany: buldożery, koparki, zgarniarki; to one cały wieczór kopały głęboki rów przeciwczołgowy, otaczając pierścieniem naszą kryjówkę. Wypadło całkiem niezłe. Naprzeciwko każdego z czterech wyjść ułożono plastikową nawierzchnię, którą w razie czego można było szybko zdjąć albo wysadzić.

Tym razem nie musieliśmy ręcznie kopać osłon dla bwp. Załatwiły to za nas buldożery i koparki.

Byliśmy przygotowani do walki, mieliśmy łączność ze sztabem... Czego jeszcze potrzebują żołnierze, ulokowani w twierdzy? Tylko jednego -- pewności, że działają w słusznej sprawie.

Ale z tym akurat mieliśmy pewne problemy.

Wiadomo było, że moi chłopcy są w wojsku od niedawna. A jednocześnie ktoś uznał, że są gotowi do walki.

Jeśli dojdzie do starcia, muszę przeżyć, pomyślałem. Za wszelką cenę. Nawet jeśli zginie cała moja drużyna: fajtlapa Razdwakriak, porywczy Fatih, snobistyczny Nazar, prostoduszny Makumba, flegmatyczny Mikki i cała reszta -- ja muszę przeżyć i wrócić. Nie jestem tu po to, żeby oddać życie za umiłowanego monarchę. To naprawdę nieważne, że majorat przeszedł na Georgija...

Moje siostry, pomyślałem. Lena, Swieta... Taniuszka. Czy kiedykolwiek mi wybaczą? Dla nich jestem zdrajcą, Tani też już pewnie nakładły do głowy...

Zacisnąłem pięści.

Ktoś za to zapłaci, pomyślałem. Pozwólcie mi się tylko stąd wydostać, a zapłacicie mi za to. I to tak, że wszyscy wasi kapitanowie i gauleiterzy będą wrzeszczeć z przerażenia.

Ludzie na tej planecie to tylko kolejny stopień. Tylko wytrych. Jedyne, jaki mam. Nie mogę go złamać, bo nie będę miał drugiego podejścia.

Był środek nocy, gdy wreszcie zmorzył mnie sen.

Śniła mi się Dalka. Uśmiechnięta, prawie naga w skąpym kostiumie bikini, stała na białym piasku koralowej plaży. Morze ostrożnie muskało brzeg białym językiem piany, a patrząc ponad linią przyboju, można było zobaczyć gigantyczne cielska trzech oswojonych wielorybów przewodników mlecznych stad. Morze obok naszej laguny jest głębokie, dno gwałtownie spada w dół, widać różnobarwne krzewy koralowców, migotanie małych rybek, pelzaki na dnie, których nikt nie rusza, żeby nie uszczuplić rezerw i nie zakłócić równowagi ekologicznej; na eksport od dawna idą te wyhodowane na rybach farmach...

Dalka śmieje się głośno, a ja nagle przypominam sobie, że nie powinno mnie tu być. Teraz jestem Imperialem, komandosem, więc cała ta planeta powinna być dla mnie co najmniej podejrzana.

A Dalka ciągle się śmieje i zaczyna biec do mnie przez pas przyboju. Dopiero teraz zauważam, że stoję w pełnym rynsztunku bojowym: pancerz, mannlicher, hełm, buty... Po co mi to wszystko na plaży?

--Dalka! -- krzyczę i ruszam w jej stronę. Już się na mnie nie gniewa, to wspaniale, cudownie, wiedziałem, że zrozumie, musiała zrozumieć, przecież naprawdę się kochaliśmy, przecież...

Dalka dostrzega mnie; widzę, jak jej twarz nieruchomieje. Jeszcze biegnie, ale teraz przypomina postrzelonego ptaka -- za chwilę martwy kłębek piór spadnie na czekające kamienie.

Robi unik, przebiega obok mnie i... rzuca się na szyję jakiemuś chłopcu za moimi plecami. Chłopak jest muskularny i opalony, chyba wygląda lepiej ode mnie, ale...

Stop! Przecież ja znam tego chłopca! Mój rodzony brat Georgij bezczelnie zabiera mi dziewczynę!

--Gosza, ty lajdaku! -- krzyczę i rzucając się ku niemu. Ale zanim zdążam do nich dobiec, Dalka pochyla się gwałtownie i nie biorąc zamachu, wbija mi w wątrobę zaostrzoną ostrogę.

Ból i ciemność.

Budzę się z bólu. W uszach wycie sygnalizacji alarmowej. Nasz przezorny podporucznik nie zapomniał ustawić jej na cały regulator, żeby brzmiała niczym trąby archanielskie.

--Dowódco! -- drze się Makumba, zagłuszając nawet wycie syren. Na dworze ciemna noc. Niebo zasnuwane chmurami, nie widać żadnego z trzech księżyców Zety-5. Jest tylko jasne światło reflektorów. I ze wszystkich stron żywy, poruszający się dywan, pełznący do naszej „twierdzy”.

W kilku miejscach w mieście wybuchł pożar. Kto podpalił? I dlaczego?

--Na miejsca! -- zawylem. -- Obsługa, nie spać! Do roboty! Znacne punkty orientacyjne! Ognia!

Niemal w tej samej chwili identyczną komendę usłyszałem w komunikatorze.

Huknęło działo jednego bwp, potem następnego i jeszcze jednego. Na samym środku nadciągającej lawiny wyrosły słupy i pióropusze wybuchów, poleciały strzępy ciał napastników. Zerknąłem w celownik. Można by pomyśleć, że zebrały się tu lemury z całej planety. Były ich setki, jeśli nie tysiące. Nigdy w życiu nie widziałem nic podobnego. W Krimmensholmie działały bardziej inteligentnie, a tu ciągnęły tabunami, prosto na nasz ogień zaporowy.

Odezwały się cekaemy. Nasz MG strzelał pociskami smugowymi, po szeregach atakujących przeszła jakby kosa śmierci. Pewnie każda kula znalazła swój cel, a wiele z nich przeszło trzy lub cztery ciała, nim utraciły swoją zabójczą siłę.

Zaterkotały oba „trzmiele”, granaty odłamkowe rozerwały się w gęstwie napastników, ale lemury nie zwracały uwagi na nasz ogień, jakby zapominając, czym jest śmierć. Jakby wszystkim jednocześnie wyłączono instynkt samozachowawczy. Potrząsając swoimi zabawkowymi włóczniami, wyjący tłum kudłatych, przypominających pluszaki lemurów doszedł do samego rowu. Ile ich zginęło na przedpolach, chyba nikt nie umiałby powiedzieć. Ale wyrwy w szeregach napastników natychmiast uzupełniały niewyczerpalne strumienie nowych kudlaczy, wylaniających się zza domów na peryferiach Ingelsberga.

To niemożliwe. Lemury są rozsądne i ostrożne. Przecież nie tak dawno walczyły zupełnie inaczej. Używały strzał i strzelały z ukrycia. A teraz pędzą do przodu niczym oszalale lemingi, które chcą się utopić.

Ani ja, ani moi chłopcy, ani nawet, jak sądzę, pan porucznik nie widzieliśmy dotąd niczego podobnego. Mogły tu być tysiące, setki tysięcy lemurów. Żadne lasy, żadne działki leśne nie mogłyby wykarmić takich tłumów. Z jakiego inkubatora wyskoczyły? I kto, jeśli można się tak wyrazić, je rozmnożył?

Puste plastikowe magazynki leciały na boki. Pluły ogniem samobieżne działa pancerne, ale

wybuchy pocisków jedynie na krótką chwilę oczyszczały niewielką przestrzeń w szeregach napastników. Właściwie moglibyśmy w ogóle nie strzelać -- co za różnica. Zabijaliśmy lemury całymi setkami, a na miejscu trupów pojawiały się tysiące.

Brązowa fala doszła do rowu. Rów był porządny, miejscami jego głębokość dochodziła do trzech metrów, ale to nie powstrzymało lemurów. Z piskiem i wyciem pierwsze szeregi z rozbiegu skoczyły w dół. Spadały, łamały sobie kości, dusiły się, miażdżone spadającymi z góry ciałami, ale żaden się nie zatrzymał, żaden nie pomyślał o odwrocie. Pierwsze szeregi spełniały swoją rolę kamikadze. Drgające, zakrwawione ciała wypełniały rów z przerażającą szybkością.

Ten, kto zorganizował ten atak, nie liczył się ze stratami, a może po prostu nie znał słowa „straty”. Nie interesowała go śmierć tysięcy zabawnych puszystych stworków. Jedyne, co go interesowało, to my.

Chłopcy strzelali do rowu, kule wzbijały krwawe fontanny. Bwp odwróciły wieżyczki i strzelały wzdłuż wykopu, zmiatając wszystko, co było na jego szczycie. Żadnego efektu. Wydawało się, że teraz lemury mogłyby powstrzymać jedynie bomba atomowa. I nie wątpię, że dowództwo wydałoby taki rozkaz orbitalnym bombardierom, gdyby razem z nami nie było tu pięciu tysięcy cywili. Oberkommando *des Heeres* mogło nie szczędzić najemników, pościąganych z różnych krańców Imperium, ale obywatele rasy panów mimo wszystko traktowali inaczej.

Plunął miotacz ognia. Chłopcy nie potrzebowali szczegółowych rozkazów. Cała moja praca, wszystkie ogniowe mapy, cała wojskowa mądrość okazały się kompletnie nieprzydatne. Strzelaj do podsuwającego się żywego wału i to wszystko. I módl się, żeby ten przypływ ustał, nim skończą ci się pociski.

Ognista struga, długi język płomieni, który wyglądał, jakby wyskoczył z paszczy baśniowego smoka, liznął pierwsze szeregi lemurzego wojska. Płynny ogień rozpływał się po ziemi i wszystko, czego dotknął, płonęło również. Myślałem, że przynajmniej ta płonąca zasłona powstrzyma lemury, ale gdzie tam! Brązowe szeregi rzuciły się na ścianę ognia z tą samą determinacją, z jaką ich poprzednicy zasypali nasz rów własnymi ciałami.

Nie powstrzymają ich ani kule, ani pociski, ani ogień.

Z tupotem biegli do nas cywile, kładli się przy otworach strzelniczych i otwierali ogień.

Zaledwie kilka minut upłynęło od chwili, gdy zobaczyliśmy napastników, a oni już wypełnili całą przestrzeń wokół naszej twierdzy, pokonali rów i teraz od murów budynku dzieliło ich najwyżej dwadzieścia metrów. Wszystkie okna parteru były osłonięte ciężkimi kratami i stalowymi okiennicami (kolejny dowód na to, że „ośrodek kultury” budowano jako cytadelę, w której będzie można przetrwać oblężenie), ale nie sądziłem, by ten fakt mógł powstrzymać oszalałych aborygenów Zety-5. Chyba są w stanie przegryźć żelazo zębami...

Widziałem, jak z nieruchomego bwp wyskakiwali czołgiści z oblędem w oczach. Pewnie zdążyli wystrzelać cały zapas amunicji (ich działo było wyposażone w automatyczne ładowanie) i teraz nie mieli po co tu siedzieć. Lemury po prostu zasypią samochody swoimi ciałami, a wtedy nawet najpotężniejszy silnik nie przesunie tego żywego ciężaru.

Czołgiści rzucili się biegiem do uchylonych drzwi. Pewnie cały pluton rezerwowy z porucznikiem na czele tylko czeka, żeby zatrzaskać drzwi tuż przed nosem lemurów.

--Chang! Odetnij bydlaki! Miotacz ognia! Zrób zasłonę za plecami naszych! -- zakomenderowałem.

Nawet nieźle to wyszło. Strumień kul i płynnego ognia odciął klin lemurów, które z samobójczą determinacją rzuciły się w pogoń za czołgistami. Chłopcy zdążyli przeskoczyć w ostatniej chwili.

Chciałem wierzyć, że inne załogi miały tyle samo szczęścia.

--Nie dawajcie się, chłopcy! -- wrzasnął, nietypowo jak na przedstawiciela swojego narodu, cywil obok mnie, który wysunięty przez otwór strzelniczy, strzelał w dół ze śrutówki. Przelotnie pomyślałem, że taka broń jest rzeczywiście idealna przeciwko małym lemurom...

Mimo wszystko udało nam się powstrzymać je na krótką chwilę. Lufy cekaemów się przegrzały, operatorom miotaczy ognia skończyła się mieszanka zapalająca, podłogę zaścielał dywan wystrzelanych łusek, a lemury ciągle parły do przodu i mój zbyt mądry celownik wariował od nieprawdopodobnej masy celów...

Głos porucznika rozległ się w słuchawkach w samą porę:

--Do wszystkich! Porzucić otwory strzelnicze, powtarzam, porzucić otwory strzelnicze i schodzić na dół! Wszyscy na dół, do piwnic! Zamknąć za sobą wszystkie drzwi, jakie tylko zdołacie! Na „pięć” wszyscy biegną na dół! Zaczynam odliczanie: jeden... dwa... trzy...

--Wycofujemy się! -- krzyknąłem do swojej drużyny i cywili. -- Rozkaz porucznika!

Moja drużyna wykonała polecenie od razu, jakby tylko na to czekali. Trudno mieć do nich pretensje -- widok napływających żywych fal każdego mógł doprowadzić, do szaleństwa.

Na dół, na dół, na dół! Wycie i pisk lemurów słyhać było przez wszystkie ściany i przepierzenia. Brązowe morze z rozpędu uderzyło w zbudowaną ręką człowieka skałę, zakolysało się, zapluskało...

Teraz zaczną wchodzić na górę, pomyślałem. Zbudują żywe piramidy i zaczną się wspinać. A może wystarczą im drobne występy w ścianach? Dlaczego zręczni, gibcy, prawie nic nieważący mieszkańcy olbrzymich lasów, w których gigantyczne drzewa przyjmują na swoje barki ciężar nieboskłonu, nie mieliby wspiąć się na niezbyt wysokie drugie piętro? A potem... potem wcisną się do środka. Pewnie utrzymalibyśmy się jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu skończyłaby się nam amunicja. Wystarczy, żeby lemury przedarły się w jednym miejscu, a będzie po wszystkim...

Biegliśmy na dół, ja ostatni, Razdwakriaka posłałem jako pierwszego. Zdecydowanie nie miałem ochoty wyciągać tego fajtlapy z małych, chwytliwych lemurzych łapek.

Porucznik powitał nas na progu. Trzeba przyznać, że piwnica była zamykana na bardzo solidne drzwi, wzmocnione grubymi żelaznymi okuciami -- takich nie da się tak od razu wyważyć, nie można się przez nie przebić.

--Na dół, kapralu, na dół! Cała drużyna na dół!

Więc można zejść jeszcze niżej?

Okazało się, że można -- był tutaj schron. Przestronny, głęboki schron z prawdziwego zdarzenia, znajdujący się co najmniej dwadzieścia metrów pod powierzchnią gruntu. Można tu było pomieścić wszystkich mieszkańców Ingelsberga i jeszcze zostawało dużo miejsca.

Drzwi, którymi zamknięto podziemie, nie przyniosłyby wstydu żadnemu schronowi przeciwatomowemu. Ile pieniędzy na to poszło? A może Zeta-5 nie była zwykłą farmerską planetą, oswajaną i zasiedlaną w oparciu o *Homestead Act*?*

W końcu udało nam się złapać oddech.

Porucznik kazał sprawdzić obecność. Okazało się, że byli wszyscy, nawet czołgiści,

których właściwie spisałem już na straty.

--Chłopcy -- zaczął bez zbędnych ceremonii porucznik. -- Sztab na górze -- wskazał dłonią sufit -- kazał nam przerwać odpieranie ataku, zabarykadować się w schronie i czekać na dalsze rozkazy. Zrobili zdjęcia z satelity. Wynika z nich, że cały Ingelsberg wypełniony jest lemurami. Według ocen szacunkowych, jest ich tu co najmniej kilka milionów.

Któryś z komandosów wydał zdławiony okrzyk.

--Ja też nie wierzyłem -- przyznał się porucznik. Teraz już nie przeszkadzał mu tak ostentacyjny brak ducha bojowego. -- Kilka milionów... Przecież według danych ekspertów tyle lemurów nie było na całej planecie. Więc co, przyleciały na skrzydłach? Przeczolgały się pod ziemią? Krótko mówiąc, teraz to nieważne, chłopcy. Nie będę nic przed wami ukrywał... Sztab zdecydował, że nastął odpowiedni moment, żeby skończyć z całym tym lemurzym powstaniem. Rozumiecie, w jaki sposób?

No tak, pomyślałem. Faktycznie, z punktu widzenia abstrakcyjnej strategii to idealne rozwiązanie. Kilka milionów wrogów i tylko pół setki własnych żołnierzy. No i pięć tysięcy cywili, ale to pewnie mieściło się w granicach dopuszczalnych strat.

Idealna decyzja. Ale jak głupio...

--Tak jest, chodzi o bombę -- rzekł porucznik. -- Uruchamiany jest pierwszy bombowiec, na kliperze nie ma rakiet o wystarczającej mocy. Bombowiec przeleci nad nami i zrzuci swój ładunek. To będzie wybuch powietrzny, około stu kiloton. Sztab uważa, że to wystarczy. Zgodnie z założeniem, schron powinien wytrzymać. Projektowano go na dwieście kiloton.

Razdwakriak zamęczał cienkim głosem i o mało nie zemdlął. Dobrze, że z dwóch stron podtrzymali go Chang i Makumba. Ładnie byśmy wyglądali...

--Zostajemy tutaj -- podsumował porucznik. -- Po... po eksterminacji wrogich form życia będziemy musieli dostarczyć cywili na miejsce ewakuacji. Ale to nastąpi dopiero za siedemdziesiąt dwie godziny. Zgromadzono tu miesięczne zapasy wody i żywności. System filtrów działa bez zarzutu. Możecie odpoczywać, żołnierze. To rozkaz! Wszystko jasne? W drodze wyjątku zezwalam na grę w karty.

Bezczynne czekanie, aż zrzucą na ciebie stukilotonowy ładunek atomowy to średnia przyjemność. W dodatku miejscowi cywile przyczepili się do nas jak rzep do psiego ogona: czemu porzuciliśmy otwory strzelnicze, nudzili, na co teraz czekamy? Porucznik kategorycznie zabronił nam informować ich o tym, co ma się stać, aby uniknąć paniki. W końcu zostawili nas w spokoju.

Moi chłopcy byli w stanie takiego marazmu i przygnębienia, że żaden nawet nie zerkał na dziewczyny, które nieśmiało -- boczkiem, boczkiem -- zaczęły podsuwać się do bohaterskich komandosów. Nawet Makumba, wielki amator płci pięknej, który dzielnie wypełniał, a nawet przekraczał wszystkie możliwe normy życia seksualnego, ustanowione przez psychologów w rodzaju pani Schulze, miał posępną minę i siedział ze zwieszoną głową.

Próbowałem odpędzić ponure myśli. Przecież nie było najważniejsze, czy te ściany wytrzymają cios. Mogliśmy się także udusić, dostać śmiertelną dawkę promieniowania... Nie chciałem o tym myśleć. Zabroniłem sobie o tym myśleć. Zamiast tego...

Zamiast tego chciałem przywołać w myślach obraz Dalki, ale nie zdążyłem zatopić się w marzeniach.

--Kapralu!

--Tak, panie poruczniku?

--Tylko bez szarżowania, Rus. -- Porucznik usiadł na twardej ławce obok mnie. Starannie, precyzyjnie położył hełm. Regulaminowo wkręcił i zamocował celownik. Odniosłem wrażenie, że robi to wszystko, żeby zająć czymś ręce, żeby nie dopuścić do świadomości tego przerażenia, które zdławi cię w tej samej chwili, w której mu na to pozwolisz.

--Tak jest, bez szarżowania! -- odpowiedziałem z gotowością.

Lubiłem tego porucznika. Nie powinienem darzyć wroga sympatią, to było niesłuszne i niepotrzebne, ale on był naprawdę dobrym oficerem, który potrafił traktować swoich ludzi po ludzku.

--Rus, ty jeden z całego mojego plutonu masz wyższe wykształcenie -- powiedział cicho porucznik. -- Ja wprawdzie ukończyłem Imperialną Akademię Desantową, ale biologię, a zwłaszcza ksenobiologię, wykładano nam w dużym skrócie. A wiem, że to twoja specjalizacja. Mam rację?

--Tak jest, tylko ja specjalizowałem się raczej w morskich zwierzętach...

--To nieistotne. Specjalizowałeś się w morskich, połapiesz się i tutaj. Różnica nie jest duża, nawet ja to rozumiem. Co myślisz o tym wszystkim, z czym się tu zetknęliśmy? Nigdy nie walczyłem z Obcymi. Przy tłumieniu buntów nie zdobywa się zbyt dużego doświadczenia -- uśmiechnął się krzywo.

O, w mordę. Co za ton, co za laskawość! Arystokracie zmiękla rura. Próbuje obronić się przed strachem, szuka ratunku w inteligentnej dyskusji, w przeciwnym razie mózg zagotowałby mu się z przerażenia i wyparował przez uszy.

--To wojna biologiczna, panie...

--Już powiedziałem, bez szarż. Nazywam się Rudolf, jeśli zapomniałeś, Rus.

--Przepraszam... Rudolfie. Mamy tu do czynienia z wojną biologiczną. Jeśli sztab się nie myli, ktoś... albo coś kontroluje całą rasę lemurów. Kontroluje do tego stopnia, że może stłumić nawet najbardziej elementarne instynkty. Ale to nie wszystko. Te stworzenia, które widzieliśmy na placu w Krimmenscholmie, to sztuczne twory, których przeznaczeniem jest walka. Są zbyt niefunkcjonalne. Krótki czas życia, bardzo szybki metabolizm. Stworzenia-pochodnie. Zostały poddane próbie i zawiodły. Teraz, jak sądzę, nieznani nam mądrale zmieniają taktykę.

--W jaki sposób?

--Bardzo prosty, Rudolfie. Zrozumieją, że wysyłanie do walki pancernych gigantów z kłami i mackami nie ma sensu. Ich twory są wrażliwe na kule i pociski. Już teraz posłali przeciwko nam wyłącznie lemury, bo mogli ich zebrać milionową armię. Potem będą jakieś zmutowane zębate szczury. Im mniejsze istoty, tym trudniej je trafić, w tym większej liczbie można je poprowadzić do walki. Ale szczury nie będą ostatnim słowem.

--A co? -- Porucznik naprawdę się zainteresował, na chwilę zapominając o wiszących nad nami stu kilotonach.

--Nie wiem. Coś bardzo małego.

--Bojowe szczepy bakterii? Wirusy?

--Możliwe, chociaż z takim wrogiem umiemy walczyć od dawna. Szczepionki, antidotum... nie tak łatwo nas pokonać. Poradziliśmy sobie z drapieżną mikrosferą na kilkudziesięciu planetach, poradzimy sobie również tutaj, nawet jeśli na początku poniesiemy straty.

--Wymyśliłeś, co to będzie?

--Nie jestem nimi, Rudolfie, ale na ich miejscu zdecydowałbym się na owady. Osy.

Pszczoły. Szerszenie. Mrówki. Nietrudno wyposażyć je w truciznę czy nawet kombinację trucizn. Takie toksyny to już nie to samo, co wirusy. Nie ma antidotum na cyjanek czy kwas pruski. Wystarczy nieco zmodyfikować jadowite gruczoły jadowe i oto otrzymujemy pszczołę, której użądlenie jest śmiertelne i żadna szczepionka, żadna odtrutka nie pomoże. Nikt nie będzie strzelał do roju szerszeni z karabinu.

--Można z miotacza ognia... -- zauważył stropiony porucznik. Moje słowa poważnie go poruszyły.

--Oczywiście. Dobry strzelec zdoła spalić lecący rój. A co, jeśli chmary owadów będą nadlatywać ze wszystkich stron? Można też użyć pestycydów i defoliantów, można niszczyć gniazda i kolonie w początkowych stadiach... Ale to tylko półśrodki. Jeśli oni do tego dojdą, będzie nam ciężko. Działania bojowe da się przeprowadzać jedynie w kombinezonach o wysokim stopniu ochrony czy czymś w tym rodzaju.

--No, no, nieźle kraczesz... -- warknął porucznik. -- Osy, trzmiele... -- Widać było, że dodaje sobie otuchy.

--Może będą to karaluchy, pająki albo małe jaszczurki. Jednym słowem, coś na tyle małego, by nasza broń okazała się nieskuteczna.

--Ale przecież można je otruć, prawda?

--Prawda. Ale co wtedy stanie się z planetą, na której użyje się trucizny na taką skalę? Obawiam się, że byłaby kompletnie bezużyteczna dla ludzi.

--Zgadza się -- powiedział przeciągle porucznik. -- Niezła teoria, Rus. Masz łeb na karku, nic dziwnego, że sierżant cię chwali.

--Dziękuję... Rudolfie.

Porucznik zerknął na zegarek.

--Bombowiec wychodzi na cel. Jeśli oczywiście nie zszedł z kursu. -- Popatrzył na mnie. -- Wierzysz w Boga, Rus?

--Wierzę. Mam zaszczyt być prawosławnym, panie poruczniku.

Rudolf uśmiechnął się sarkastycznie.

--W takim razie pomódl się do niego. Najbardziej żarliwie. Po rosyjsku. Kto wie, może to pomoże. -- Na jego komunikatorze rozbłysły światelka: czerwone, żółte, czerwone.

--Zaczynamy odliczanie. -- Porucznik pobladł, ale trzymał się twardo. Poczulem potworne napięcie i pomyślałem, że zaraz trzasną mi mięśnie.

Znowu migotanie komunikatora porucznika. Czerwony, czerwony, czerwony.

--Zrzucili... -- wyszeptał porucznik. -- No, trzymajmy się... Twarze chłopców białaly w półmroku schronu. Wszyscy zamarli, tylko w odległych pomieszczeniach nadal hałasowali rozgrzani niedawną walką cywile. Niczego nie podejrzewali. Chociaż... jak mogli niczego nie podejrzewać? Przecież nie są idiotami...

Ta myśl zajęła mnie na krótką chwilę.

A potem usłyszałem, jak porucznik odlicza -- ledwie słyszalnie, samymi wargami.

--Trzydzieści jeden, trzydzieści, dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia osiem...

Razdwakriak otworzył usta, utkwil w suficie szeroko otwarte oczy.

--Dwadzieścia pięć, dwadzieścia cztery, dwadzieścia trzy...

Makumba porusza poszarzałymi wargami, chyba się modli.

--Dwadzieścia, dziewiętnaście, osiemnaście...

Glinka splótł palce, wcisnął w nie czoło, jakby liczył, że to go ochroni.

--Piętnaście, czternaście, trzynaście...

--Panie, zachowaj nas i ochroń... -- wyrwało mi się po rosyjsku. -- Panie, zachowaj i ochroń dzieci swoje, jak ratowałeś je w czasach dawnych...

--Trzy. Dwa. Jeden -- wyskandował porucznik spokojnym głosem.

Ręka olbrzyma uderzyła w gigantyczny bęben wielkości planety. Druga ręka tego samego olbrzyma potrząsnęła pancernym pudełkiem ze zbitymi w gromadkę ludźmi, zupełnie jak chłopiec potrząsa pudełeczkiem z żukami. Pękły lampy, rozpadając się na deszcz ostrych odłamków, wszystko wokół wypełniło się gryzącym pyłem, zawyły kompresory, przepompowując powietrze przez dławiące się filtry...

A potem wszystko ucichło i w strasznej ciszy, jaka zapanowała, słychać było tylko wyężoną pracę jęczących pod podłogą maszyn. Aż do końca starały się nas uratować.

Jeszcze nie wierząc w to, że żyjemy, rzuciłem spojrzenie na zgięcie ręki, gdzie cicho i spokojnie tykał licznik.

Dwadzieścia mikrorentgenów na godzinę to sześciokrotne przekroczenie normy, ale mimo wszystko nie dawka śmiertelna. Więc jednak schron wytrzymał. Budując go, Imperialowie wykonali kawał solidnej roboty.

--Już po wszystkim, panowie. -- Porucznik wstał. Już nie był Rudolfem. Znowu był porucznikiem.

Tłum cywili ożył z krzykiem. Wszyscy wrzeszczeli, niektórzy rzucili się w naszą stronę, wymachując pięściami.

Szczęknęły odbezpieczone karabiny.

--Spokojnie, panowie, spokojnie. -- Porucznik był blady, ale trzymał się nieźle. -- Bardzo żałuję, że nie mogłem poinformować was o tym wcześniej, ale taki był rozkaz najwyższego dowództwa. Niedawno przeprowadzono skoncentrowane skanowanie okolicy. Okazało się, że powstrzymanie powstania innymi środkami jest niemożliwe. Musimy tu pozostać do czasu, aż przedostaną się do nas załogi ratunkowe. Następnie przeprowadzimy całkowitą i powszechną ewakuację. Rekompensaty za starty majątkowe i premie ubezpieczeniowe będą wypłacane zgodnie z prawem, w trybie przyspieszonym. Jeszcze raz proszę wszystkich o zachowanie spokoju. A także... w imieniu Imperialnych Sił Zbrojnych, w imieniu dowództwa i swoim własnym, jako starszy oficer pragnę państwa przeprosić. Uwierzcie, nie było innego wyjścia. Ci, którzy stali obok nas przy otworach strzelniczych... Oni widzieli i nie pozwolą mi skłamać. Lemurów nie dałoby się powstrzymać. Dlatego postanowiliśmy, że lepiej stracić miasto niż pięć tysięcy ludzi. Dowództwo zaryzykowało. Wierzyli w waszych inżynierów i robotników i nie zawiedli się. Żyjemy. Teraz pozostaje nam tylko trochę poczekać.

Oczywiście nikogo to nie uspokoiło. Znaleźli się tacy, którzy musieli dać wyraz swojemu niezadowoleniu. Co prawda, nie rzucali się z pięściami czy nożami. Po prostu krzyczeli i przeklinali, ale wraz z upływem czasu krzyki i przekleństwa były zastępowane pytaniami.

Jak szybko wypłacą rekompensatę? Czy straty poniesione w interesach podlegają zadośćuczynieniu, na przykład te wynikłe z zerwanych kontraktów i utraconych zysków? Czy ci, którzy zdecydują się urządzić na nowej planecie, otrzymają zwrot kosztów?

Czas dłużyl się w nieskończoność, jak czarny, bezdenny, niewidoczny strumień -- przepływał przez nas, przez nasze pancerze, nasze kości, razem z sączącym się promieniowaniem, które powoli, lecz nieuchronnie rosło. Ocenilem, że za trzy doby dojdzie do jednego, dwóch milirentgenów na godzinę -- niby nic strasznego, ale też żadna przyjemność. O tym, co działo się na górze, nie chciałem nawet myśleć. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, jak się stąd wydostaniemy -- na miejscu Ingelsberga powstała teraz najprawdziwsza „gorąca strefa”, pełna ciężkich izotopów i świecąca tysiącami rentgenów. Wejście wyżej równałoby się śmierci. Mieliśmy na sobie tylko lekkie pancerze, nie wzięliśmy prawdziwej, ciężkiej „zbroi”, której nie strasza żadna radiacja, choćby nawet w epicentrum.

A co zrobią cywile? Dezaktywacja zajmie Bóg wie ile czasu. Brygady ratunkowe w czołgach o podwyższonej ochronie podejda wprawdzie do schronu, ale będą jeszcze musiały rozbierać gruzy. Jak wyprowadzić stąd pięć tysięcy ludzi?

--Kapralu! -- Głos porucznika był zimny i skoncentrowany. Im szybciej zapomnę o tym, że niedawno chciał, bym zwracał się do niego po imieniu, tym dla mnie lepiej. -- Zbierzcie swoich ludzi. Pamiętajcie, że bez względu na sytuację pozostajemy oddziałem Imperialnych Sił Zbrojnych i mamy obowiązek dać odpowiedni przykład. -- Wydawało mi się, że nie przemawia do mnie człowiek, lecz robot. -- Nikt nie powinien snuć się bez zajęcia. Podzielcie ludzi na dwójki i zacznijcie obchód przedziałów. Określcie wszystkie możliwe uszkodzenia, szczególnie uwagę zwracając na systemy wentylacji i regeneracji powietrza. Wszystkie pęknięcia ścian należy starannie udokumentować, a następnie przygotować mieszankę cementową do ich zaplombowania. Wszystko jasne? Wykonać!

Bacne, zimne spojrzenie i zaciśnięte wargi. Żołnierz nie powinien pozostawać sam na sam ze swoimi myślami. Trzeba go zająć pracą, najlepiej nieważną i bezsensowną, niczym nieśmiertelne „kopanie okopów od tego miejsca aż do wieczornej kontroli”.

Odpowiedziałem: „Tak jest!”, Zasalutowałem i poszedłem zachęcić moich chłopców do „kopania okopów od tego miejsca aż do wieczornej kontroli”.

Przylapałem się na tym, że nie myślę już o swojej drużynie jak o wrogach czy najemnikach obcej armii, okupującej moją ojczyznę. A przecież tak niedawno „chłopcami” nazywałem tylko swoich rodaków z Nowego Krymu.

Pospiesznie wyjaśniłem im nasze zadanie. Oczywiście zaczęli się burzyć; w końcu nie jestem porucznikiem i przy mnie mogą się ciskać. Nawet mimo perspektywy karnego szorowania kibli. Ale mimo wszystko pracowaliśmy jak szaleni -- wszyscy, nawet niezbyt rozgarnięty Razdwakriak zrozumieli, że jeśli się czymś nie zajmiemy, tylko patrzeć, jak zwariujemy. Przecież mogli o nas po prostu zapomnieć. Mogli zdecydować, że dla elitarnych imperialnych oddziałów ratunkowych ryzyko jest zbyt duże -- zazwyczaj je oszczędzano i nie rzucano do akcji na pierwsze żądanie tych, którzy przeżyli katastrofę. Mogły nie wytrzymać filtry. Mogły pęknąć baki z wodą. Mogły...

Ze złością przerwałem te destrukcyjne rozważania. To się nazywa myślenie negatywne, a myślenie negatywne jest niecelowe i do niczego nas nie prowadzi. Szukajmy lepiej szczelin w ścianach. Przy całej swojej bezmyślności było to najlepsze zajęcie dla mózgu.

Tak upłynęły trzy dni. Z trudem tłumiliśmy eksplozje szaleństwa wśród cywili. Szybko wyszło na jaw, że pancerne drzwi schronu przekrzywiły się i zaklinowały, więc nie ma mowy, żebyśmy wydostali się stąd o własnych siłach. Wśród mieszkańców Ingelsberga byli ludzie

cierpiący na klaustrofobię i wiadomość, że nie zdołamy sami opuścić schronu, spowodowała takie ataki, że lepiej byłoby zastrzelić nieszczęśników od razu -- żadne trunkwilizatory czy narkotyki nie mogły im pomóc.

W miarę możliwości starałem się, żeby moja drużyna nie próżnowała i z całą stanowczością tłumilem w zarodku rozmowy w stylu: „Panie kapralu, a czy na pewno nas stąd wyciągną?...” Pewnie, że w swoim czasie wszyscy nasłuchali się niezliczonych opowieści pod wspólnym tytułem: „Desant nie zostawia swoich”, ale heroiczne historie to jedno, a znalezienie w epicentrum stukilotonowego wybuchu to zupełnie co innego.

Porucznik próbował połączyć się ze sztabem, ale bezskutecznie. Zewnętrzne anteny zmiotło, a sygnał jego własnego komunikatora nie mógł przebić się przez dziesiątki metrów gruntu, pancerza i betonu.

Mogliśmy tylko czekać.

Minęły trzy dni. Potem jeszcze jeden. Potem kolejny. Pięć tysięcy ludzi za naszymi plecami stopniowo wpadało w obłąd. Powolna śmierć w podziemiach nie jest najprzyjemniejszym sposobem rozstania się z tym światem, możecie mi wierzyć na słowo.

Porucznik nie pozwalał nam wylegiwać się na podłodze i zmuszał do przerabiania wszelkich możliwych odmian walki wręcz, ale posępni, przygnębieni żołnierze niemrawo wykonywali polecenia i ruszali się jak muchy w smole. Nadzieja gasła w nich zbyt szybko; nie przywykli liczyć na nadzieję.

W naszym plutonie byli chłopcy z najróżniejszych zakątków wszechświata, z najdalszych krańców Imperium, którzy liczyli na niezły żold i rozmaite pożytki płynące z wysługi lat. Jedni, jak Glinka, liczyli na to, że zdołają pomóc swojej rodzinie, do tej pory nieposiadającej obywatelstwa imperialnego. Inni wierzyli, że uda im się odłożyć choć trochę pieniędzy i po odświadczeniu otworzyć własny interes. A Makumba szeptem wyjawiał mi (gdy już złożyłem straszną przysięgę, że będę milczał jak grób), że musi wykupić jakichś swoich dalekich, ale bardzo ważnych dla niego krewnych z długów. Jego ojczysta planeta dawno i bez większych problemów weszła w skład Imperium, dzięki czemu uniknęła czystki, jaka miała miejsce na planecie Gilvy. Zbuntowanych lordów na jej planecie po prostu powywieszano, na planecie Makumby zaś wodzowie klanów nadal doskonale prosperowali, przenosząc się jedynie ze skromnych mieszkań do ekskluzywnych biur z lustrzanymi oknami. Średniowieczny system niewolnictwa za długi i więzienia dla niewypłacalnych dłużników funkcjonował nadal bez zarzutu.

...Przychodzili do mnie jeden po drugim przerażeni, stropieni żołnierze Imperium, którzy już powąchaliby prochu, ale jeszcze nie umieliby iść po trupach, przechodzić obojętnie nad zwłokami ani dobijać z zimną krwią śmiertelnie rannych.

Szukali pociechy w rozmowie. Opowiadali nieskomplikowane historie swojego życia. Tak pewnie zachowywali się rycerze przed swoją ostatnią walką, gdy ordy pogan podeszły do Świątynnej Góry i ostatnie drogi odwrotu zostały odcięte. Wtedy wśród obrońców świątyni nie było ani jednego kapłana, więc rycerze spowiadali się sobie nawzajem, niczym pierwsi chrześcijanie w lochach Koloseum przed wyjściem na arenę.

Dowiedziałem się, że Fatih był w trzech bandach młodzieżowych (nic zaskakującego) i boi się, że w ostatniej bójce na dyskotecy zabił swojego przeciwnika, waląc go po głowie kawałkiem rury. Usłyszałem, że siostra Dżonamaniego zgodziła się wziąć ślub z wyrachowania,

by pozostała część rodziny (jedenaścioro dzieci) nie umarła z głodu; imperialna zapomoga nie wystarczała, aby przeżyć. Opanowany Chang zwierzył mi się, że ledwie uniknął na swojej planecie zaszczytnego, choć dość uciążliwego stanowiska głównego kata miejskiego -- jego rodacy nadal święcie wierzyli w słusność starodawnego prawa „oko za oko”.

A wszystko to działo się pod nosem imperialnych generał-gubernatorów i gauleiterów, czasem nawet na Wewnętrznych Planetach, na których władza Jego Wysokości Cesarza została ustanowiona dawno temu. To właśnie z pomocą armii tych planet grupa oficerów zaczęła tworzyć współczesne Imperium, którego obywatelem mam zaszczyt być.

Rozmawialiśmy, bo nic innego nie mogliśmy robić. Mikki z goryczą wyznał mi, jak bardzo żałuje, że jest ateistą -- gdyby wierzył w Boga, może śmierć nie wydawałaby mu się taka straszna. Nazarian przeciwnie, wykrzykiwał bluźnierstwa i twierdził, że już samo siedzenie w tej zasypanej piwnicy jest w stanie zmienić najbardziej żarliwego katolika w wojującego bezbożnika.

Ja również snulem opowieści, ale w przeciwieństwie do moich żołnierzy nie spowiadałem się. Mówiłem o ludziach, którzy szli na śmierć z radością i dumą, ponieważ wierzyli w słusność sprawy, za którą ginęli. Podawałem przykłady. Przytaczałem fakty historyczne, których praktycznie żaden z nich nie znał. Nie dziwiło mnie to. Bijmingaliew, jeden z rekrutów naszego plutonu, początkowo nie znał nawet tabliczki mnożenia.

Opowiadałem też o naszej wojnie, o której zbyt wielu historyków IV Rzeszy wołało zapomnieć albo też przedstawiało ją w zupełnie innym świetle. Co to dla nich znaczyło zmienić czy ocenzurować książki i podręczniki? Zakończyć wojnę w roku 1943 od narodzin Chrystusa, od razu po desancie wojsk alianckich na Sycylii i bitwie pod Kurskiem? Napisać, że został zawarty pokój, a w Niemczech pojawiła się nowa władza?

Przy obecnym poziomie techniki podrobienie dokumentów nie jest żadną sztuką, zwłaszcza wtedy, gdy ludzie chcą wierzyć w bajki. Tym bardziej chce w nie wierzyć pokonana niegdyś rasa panów... Cała ta wojna była przecież tak dawno. Nie ma już żadnych żyjących świadków i niewielu jest ludzi, którzy do dziś przechowują zatopione w plastiku listy krewnych, w rodzaju: „Doszliśmy do Berlina”... Nietrudno odebrać ludziom książki, nietrudno zniszczyć pliki. Wszystkie archiwa mają teraz formę elektroniczną -- wystarczy na jakiś czas uniemożliwić dostęp do pewnych dokumentów i zastąpić je innymi. Tylko tyle -- i przeszłość ulega nieodwracalnej zmianie. Posąg rosyjskiego żołnierza, stojący w starym parku Treptow w imperialnej stolicy, zniszczono tak dawno temu, że trudno nawet dotrzeć do jego zdjęć.

I myśl nagle jak eksplozja: a jeśli to nie tylko moja fantazja, jeśli ten przewrotny plan jest faktycznie realizowany?

Wspaniały temat do przemyśleń w naszej sytuacji. Zresztą nieoczekiwanie ta gra mnie wciągnęła. Nie krótkotrwale i codzienne przekształcanie prawdy, jak w starej i nie wiedzieć czemu niezakazanej powieści Orwella, lecz dogłębne, prawdziwe zmiany. Tworzenie wydarzeń, których nie było. Fantomowe wojny. Nieistniejący bohaterowie. Do licha, jeśli się do tego zabiorą imperialni politycy, to Moskwa zostanie wzięta już w 1761 roku przez niepokonane wojska króla Prus, Fryderyka II Hohenzollerna... A można iść jeszcze głębiej. Można wyprowadzić dzisiejsze Imperium z wszechświatowego mocarstwa „nadmudzi”, ostatecznie uformowanego pod koniec II wojny światowej, zakończonej, rzecz jasna, błyskotliwym zwycięstwem tychże nadmudzi. Przecież już teraz w programie szkolnym o końcu wojny

wspomina się mętnie, przelotnie, i ogólnikowo, a podręcznik szybko przeskakuje do Wielkiego Zjednoczenia Niemiec i wojen bałkańskich, zakończonych dzięki męstwu i waleczności zreformowanej Bundeswehry.

Ile czasu zajęłoby zmienienie całej historii?... Jeśli już na początku XXI wieku wielu Amerykanów, naszych -- przypomnijmy -- sojuszników w tamtej wonie, szczerze wierzyło, że ich przeciwnikami byli nie tylko Niemcy, ale również Rosjanie?

Współczesne książki... Niby mówi się w nich prawdę, ale tak sformułowaną, że uczeń zamyka podręcznik głęboko przekonany, że tak naprawdę wydarzyło się dokładne przeciwieństwo tego, o czym dopiero co czytał.

O dziwo, właśnie takie myśli pomogły mi przetrwać beczynne siedzenie w piwnicy. Pod koniec musieliśmy wiązać i układać na podłodze tych cywili, którzy przestali już nad sobą panować. Trzeba zresztą przyznać, że eskapitan oraz nasz sierżant trzymali się doskonale i pewnie gdyby nie oni, doszłoby do krwawej rzezi. Pięść Klausego Marii działała na kolonistów w iście magiczny sposób. Spory wpływ miało również to, że sierżant, jako jeden z nielicznych w naszych szeregach, również należał do narodu panów.

Szóstego dnia usłyszeliśmy huk rozwalanych ruin. Przebijająca się do nas ekspedycja ratunkowa.

Ponieważ po Ingelsbergu została tylko wielka radioaktywna plama, ciężkie czołgi saperskie podciągnęły coś w rodzaju betonowego pudełka, które ustawiono przed rozwalonym wyjściem ze schronu. W pudełku leżała ogromna sterta skafandrów w różnych rozmiarach. Pewnie pościągali z całej floty, żeby starczyło dla wszystkich.

Po zakończeniu tych przygotowań wyciągnęli nas wreszcie z ruin.

Widok słońca wywołał u komandosów zdumiewające reakcje -- jedni płakali, inni modlili się na kolanach, jeszcze inni histerycznie chichotali... W całym plutonie zimną krew zachowało jedynie czterech ludzi: porucznik, starszy sierżant, szeregowy Chang i wasz pokorny sługa.

A tego, co się działo z mieszkańcami Ingelsberga, nie sposób opisać słowami. Zresztą nie warto. Nie należy aż tak przywiązywać się do życia i cieszyć z ratunku.

Gdy zbliżaliśmy się do wypalonego, radioaktywnego lasu, pochwyciłem baczne spojrzenie porucznika.

Teren, na którym do niedawna stało miasto, robił wrażenie. Nie zostało nic. Kompletnie nic. Ognista fala zmiotła domy i drzewa, wypaliła drogi, spopieliała wszystko, co się dało. Nasz „ośrodek kultury” z zewnątrz przypominał jezioro stopionej cegły -- można by pomyśleć, że piloci bombowców specjalnie w niego celowali.

Armia lemurów przestała istnieć. Moc stu tysięcy ton trotylu w postaci czystego ognia jądrowego -- przed czymś takim trudno się bronić.

Popielisko zostało za nami, a oddziały cywili już rozstawiały wokół kordony, już spieszyły do „gorącej strefy” dezaktywatory w ciężkich kombinezonach, wyłożonych ze wszystkich stron ołowiem, i czołgi, opancerzone na sposób starodawnych monitorów. Nie mieliśmy tu nic do roboty -- sąsiednie lasy opustoszały i żaden zwiad nie zdołałby znaleźć tu nawet jednego lemura. Potwory również gdzieś się ukryły.

Podczas gdy my siedzieliśmy pod ruinami, flota zdążyła przerzucić niemal cały korpus armii. Trzy pełnokrwiste świeże dywizje, dwa pułki artyleryjskie, dwa pułki saperów, specjalny pułk antyradiacyjny, budowniczy, lekarze, miejscowi traperzy i tak dalej, i tak dalej.

Tannenberg otrzymał rozkaz „wycofania się do miejsca stacjonowania”. Bunt -- jeśli to był bunt -- wygasł jakby sam z siebie. Niewielka liczba obywateli Imperium, osiedlonych na Zecie-5, została wywieziona. Rozpoczęto budowę miasteczek wojskowych. Od dziś będzie tu stacjonował duży garnizon.

Nie obeszło się oczywiście bez wręczania „wisiorków” na mundury, czyli odznaczeń.

Batalion stał na uroczystym apelu. Tuż za naszymi plecami tkwiły szalupy pomalowane na maskujący zielony kolor. Na orbicie czekała na nas „Merona” i odpoczynek.

Nie zmieniliśmy kombinezonów polowych na mundury galowe. Zdjęliśmy tylko pancerze.

W mundurze galowym był jedynie dowódca pułku, major... przepraszam, już nie major, lecz podpułkownik Joachim von Vallenstein. Obok niego stał poczet sztandarowy; na wietrze Zety-5 rozwiewał się czerwony sztandar z białym kręgiem. Orzeł z wieńcem i słońcem rozpościerał dumnie skrzydła.

Warta honorowa przemaszerowała twardym krokiem i w otoczeniu wyprężonych na baczność oficerów świty pojawił się sam pan generał armii Paul Hausser, dowodzący 2. Korpusem Desantowym, w skład którego wchodziły dywizje Leibstandarte, Totenkopf i Das Reich. Obok niego szli dowódcy dywizji: generał brygady Witz, generał dywizji Krüger i dowódca naszej słynnej Totenkopf generał Priss.

Dziwne. Z tego, co wiedziałem, 2. Korpus Desantowy nie lądował na Zecie-5. Flota przerzuciła tu 48. Korpus Zmotoryzowany pod dowództwem generała armii Ottona von Knobelsdorffa, w składzie 3. i 11. Dywizji Pancernej plus dywizja piechoty zmechanizowanej Grossdeutschland, oraz te pułki, o których już wspominałem. I tymi siłami planowali bronić całej planety? Przecież w tym celu niezbędne są prawdziwe dywizje obronne, jak słynna Galicja, a nie czolgiści, którzy może i umieją zdobywać umocnione przez buntowników miasta w rodzaju Utrechtu, ale są kompletnie bezradni w wojnie partyzanckiej.

Zresztą to już nie moja sprawa. Mam współczuć tym bandytom w *Feldgrau*? Im więcej ich polegnie, tym lepiej dla Nowego Krymu i wszystkich tych, którzy marzą o wolności.

Padła komenda: „Baczność!” i „Równaj!”, generałowie oraz ich świta zatrzymali się naprzeciwko sztandaru Tannenbergera i zaszalutowali mu. Następnie odwrócili się w naszą stronę.

Hausser, szczupły, siwowłosy mężczyzna o twarzy poprzecinanej bruzdami zmarszczek głębokimi niczym rowy przeciwczołgowe, zrobił krok do przodu.

--*Soldaten!* Wojownicy Tannenbergera! Wierni służby Jego Cesarskiej Wysokości! Chciałbym wam podziękować za rzetelną służbę! Zetknęliście się z przeciwnikiem mającym wielokrotną przewagę liczebną i nie zhańbiliście sztandarów Imperium, które powiewają dziś nad waszymi szeregami...

Ho, ho, pomyślałem. Górne tony. Łopoczą i trzepoczą, powiewają i rozwiewają się. Ciekawe, czy był na świecie choć jeden dowódca, który umiał porozmawiać ze swoimi żołnierzami po ludzku? Pewnie nawet słynny Juliusz Cezar przed szeregami swojego ukochanego 10. Żelaznego Legionu wygłaszał równie nadęte bzdury.

Żołnierze bywają miłośnikami. Szkoda tylko, że ich miłosierdzie nie jest ukierunkowane na tych, co trzeba.

Wygłoszono jeszcze wiele różnych głupot. Słuchałem, a mięśnie mi kamieniały z nienawiści. Nie potrafiłem już nienawidzić Makumby, Changa, Dżonamani czy Mikkiego, ale tego imperialnego bydlaka z plecionymi generalskimi pagonami na mundurze polowym,

włożonym jakby specjalnie po to, żeby zakpić z nas, szeregowców, którzy odwalili swoją robotę, nienawidziłem nienawiścią krystalicznie czystą.

Zaczęto wykrzykiwać nazwiska. Do generalów podszedł gorliwy adiutant ze skrzyneczką, w której leżały odznaczenia.

Pierwsze nazwisko...

--Kapral Ruslan Fatiejew!

To ja. To moje nazwisko. W języku ogólnomperialnym brzmiące dziwacznie, ale jednak moje. Nogi same zaczęły wystukiwać kroki na betonowych płytach lądowiska. Oto ja, Rus, zatrzymuję się dwa metry przed przyglądającym mi się z lekkim uśmiechem Hausserem i wyrzucam rękę w starym pozdrowieniu, które przetrwało do naszych czasów z epoki legionów Wielkiego Rzymu.

--Kapral Fatiejew! Za męstwo i opanowanie w czasie wykonywania obowiązku wojskowego oraz za odwagę Żelazny Krzyż trzeciego stopnia z dębowymi liśćmi oraz przedterminowe przyznanie stopnia starszego kaprała.

General Hausser patrzył na mnie. Ja patrzyłem na niego. Nie miałem przy sobie broni, ale przysięgam, przysięgam!, że zabiłbym go gołymi rękami, jego i trzech pozostałych generalów, zanim zdążyliby podziurawić mnie kulami. Więc dlaczego tego nie robię? Dlaczego wbrew sobie odpowiadam: „Ku chwale Jego Wysokości Cesarza i Wielkiego Imperium?” Dlaczego nie chwytam za wyciągniętą do mnie rękę z odrażającym żelastwem i nie wykręcam jej tak, by zatrzęszczały wszystkie kości? Mogę to zrobić. Potrafię. Nauki Klausa Marii nie poszły w las...

Nic takiego nie robię. Salutuję w odpowiedzi na „gratuluje, żołnierzu”, odwracam się na pięcie i wracam do szeregu. Po prawej stronie bluzy w takt moich kroków kołysze się czarny żelazny krzyż z cienką białą obwódką. Brązowe liście dębu otaczają go z dołu i boków.

Wysokie odznaczenie imperialne. Od razu trzeci stopień. Zazwyczaj na początek dają czwarty. Jeszcze jedna trójkątna naszywka na rękawie. Starsi kaprale to kręgosłup armii...

Co z tobą, Rus, czyżbyś był z tego dumny? Dumny z odznaczeń, które wręczają ci wrogowie?

Opowiedz. Odpowiedz samemu sobie. Czego się boisz, czego wstydzisz? Nie usłyszysz cię nikt prócz Pana Boga. Milczysz, Rus? Milczysz...

Odnaczono wielu żołnierzy, między innymi podporucznika. Z mojej drużyny krzyż czwartego stopnia bez liści przypięto Changowi; Mikki i Fatih dostali medale „Za odwagę” wraz ze stopniem starszego szeregowego. Nasz pluton wyróżniono najbardziej. Nic dziwnego. Nie wszyscy mieli okazję siedzieć pięć dni pod gruzami.

W drodze do domu załoga „Merony” zafundowała nam piwo. Dużo piwa. Można się było nawet upić, chociaż lepiej zachować zapal na Syberię i „dziewczynki”. Za walkę należy nam się niezła sumka, zapewne skarbnik Tannenberga z isticie niemiecką punktualnością już zasilil nasze konta. Kolejne prawo desantu -- pieniądze nie są przetrzymywane nawet o jeden dzień. Gdy żołnierz stawia stopę na ziemi swojej bazy, żołd już na niego czeka. Będzie miał się za co bawić.

Cała moja drużyna chodziła na rzesach. Bez namysłu mianowałem Changa swoim zastępcą i napisałem wniosek o przyznanie mu stopnia kaprała, który nasz porucznik podpisał zdumiewająco szybko. Chang z chińskim spokojem przejął ster władzy, a mnie...mnie wezwał do siebie dowódca batalionu, podpułkownik Joachim von Vallenstein.

Tu już musiałem wystąpić w mundurze galowym klasy A.

W przestronnej, urządzonej po spartańsku kajucie Vallensteina siedział mój porucznik, świeżo upieczony podpułkownik i znany mi już z Krimmensholmu tajniak. Ostatnim razem miał pagony kapitana, teraz nosił zwykły czarny kombinezon wojsk pancernych, bez żadnych dystynkcji.

--Starszy kapral Fatiejew melduje się na rozkaz!

--Spocznij. -- Vallenstein wstał, obszedł stół dokoła i popatrzył mi prosto w oczy. --

Gratuluje odznaczenia, żołnierzu.

--Ku chwale Imperium, panie pułkowniku!

--Obejdziemy się bez szarż, Fatiejew. Siadaj. Daleś się poznać jako prawdziwy komandos.

W ślad za twoim porucznikiem powtarzam: potrzeba nam więcej takich żołnierzy. Wtedy Imperium nie bałoby się już żadnych Obcych. -- Vallenstein klepnął mnie po ramieniu. -- Siadaj. Chcemy posłuchać twoich przemyśleń na temat stworów, z którymi zetknęliśmy się na Zecie-5. Tajniak z aprobatą skinął głową.

--Mów, Fatiejew. Doszliśmy do podobnych wniosków, ale zawsze staramy się wysłuchać świadków. Co opowiadałeś o wojnie biologicznej?

Zerknąłem na porucznika, który kiwnął głową.

Nie wdawałem się w szczegóły. Powiedziałem, że według mnie najprawdopodobniej zetknęliśmy się z przeciwnikiem używającym broni biologicznej. Wyspecjalizowane organizmy ze zdolnością do reprodukcji, generalnie przestawiony metabolizm, nowy typ regulacji genowej, najprawdopodobniej także nieznanne nam enzymy plus niewielki indywidualny „zapas trwałości” każdego tworów. Innymi słowy, szybkie spalanie się. Żołnierze-jednodniówki. Pojedynczy osobnik nie ma szans na zdobycie doświadczenia, wiedzę akumuluje cała populacja. Mimo woli przypomniałem sobie modliszkowate stworzenie, które postrzeliłem z granatnika. Z uwagi na jego długie anteny samo nasuwało się określenie „celowniczy”.

Wspomniałem też, że jeśli nasz przeciwnik jest zdolny do uzupełniania wiedzy (a w to nie wątpię), pójdzie drogą miniaturyzacji swoich „środków bojowych”. Być może zejdzie aż do wirusów i bakterii patogennych, ale najprawdopodobniej poprzestanie na poziomie pszczoł, os albo trzmieli.

Słuchali mnie bardzo uważnie, nie przerywając. Von Vallenstein z zadowoleniem popatrywał na tajniaka, jakby chciał powiedzieć: „Proszę, jakich mam kaprali, na oko nawet by człowiek nie pomyślał, że to Rosjanin”.

--A co z dziećmi? -- zapytał tajniak, gdy doczekał się wreszcie końca mojej wypowiedzi. -- Dziećmi, które zastrzeliłeś w Krimmensholmie? Jak wpisują się w twój obraz psychotroniczne zdolności przeciwnika?

Pokręciłem głową. Historia z dziećmi faktycznie nie pasowała do żadnej teorii. Jeśli dzieci były prawdziwe, a macki po prostu nam się przywidziały, to dlaczego przeciwnik nie wydał nam rozkazu przy użyciu hipnozy, byśmy się nawzajem powystrzelali? Po co takie kombinacje? Uniwersalne prawo strategii to prostota i racjonalizm. Racjonalizmu w tym konkretnym przypadku nie widziałem.

--Mamy pewne przypuszczenia -- oznajmił tajniak, zakładając nogę na nogę. Zobaczyłem, że Vallenstein się skrzywił. -- Po pierwsze... powiedzcie mi, kapralu, nie zastanawialiście się nad tym, że to nie dzieci znajdowały się pod mentalną kontrolą i to nie im nasz nieprzyjaciel

wydał niewerbalny rozkaz na bardzo wysokim poziomie, lecz tobie i twojej drużynie? Że to wam polecono, byście zobaczyli to, co zobaczyliście?

Wzruszyłem ramionami.

--Panie kapitanie, można nam wmówić, że dziecko ma macki zamiast rąk. Ale nie wierzę, by dziecięce ręce zdołały przebić kevlarowy kołnierz pancerza. Niełatwo przeciąć go nawet garotą.

--A więc?... -- zachęcił mnie delikatnie tajniak.

Porucznik chrząknął znacząco. Von Vallenstein sposepniał, nie kryjąc swoich emocji.

--A więc nie wierzę, że te dzieci były dziećmi -- dokończyłem twardo. -- Dlaczego nie założyć, że...

--Nie zapędzajcie się, kapralu -- ściągnął brwi tajniak. -- Nie chciałeś przecież powiedzieć, że wyciągnęliśmy takie, a nie inne wnioski, ponieważ nasz... -- uśmiechnął się krwiożerczo - ...nasz nieprzyjaciel zniekształcił wskazania przyrządów oraz wyniki testów, żebyśmy uznali potwory za ciała niewinnych dzieci?

Pomyślałem, że na tę naukową dysputę miejsce wybrano dość niefortunnie.

--Melduję, że nie wiem, panie kapitanie! Mówiłem to, co myślę. -- Podniosłem głowę i wytrzeszczyłem oczy, wszystko zgodnie z regulaminem.

--Hm, Karl... -- Vallenstein również chrząknął.

--Tak, Joachimie? -- Tajniak odwrócił się gwałtownie. -- Dzieci nie żyją. Ich rodzice już złożyli prośbę o ukaranie winnych. Jak inaczej mam im wyjaśnić śmierć dzieci od kul?! Lemury nie mają broni palnej. Ty, kapralu -- w głosie kapitana zadźwięczała stal -- pochodzisz z Nowego Krymu. Jesteś jednostką niepewną, podobnie jak wszyscy twoi, eee... rodacy. Moim zdaniem, zabiłeś te dzieci celowo, powodowany nienawiścią do narodu panów, podpory naszego wspaniałego Imperium.

--Kapitanie! -- W głosie Vallensteina również szczęknęła stal. -- Jeśli stawia pan zarzuty mojemu kapralowi...

--Gdybym stawiał mu jakiegokolwiek zarzuty, panie pułkowniku, rozmowa toczyłaby się w innych warunkach i w innym miejscu -- odciął się ponuro tajniak. -- Po prostu muszę sprawdzić moje założenia. Zdaje się, że uprzedzałem pana o tym, prawda? -- Owszem, ale...

--W takim razie pozwoli pan, pułkowniku, że dokończę. Co ty na to, kapralu? Nadal obstajesz przy swoim? Naprawdę mogę cię oskarżyć, a wtedy...

Demonstracyjnie położył na stole niklowane kajdanki. Stary model, od dawna nie używa się takich w wojsku.

--Panie kapitanie, jestem niewinny. Ale nie wątpię, że postąpi pan tak, jak każe panu obowiązek poddanego Imperium i honor oficera.

Bezpieka, tajniacy i inna swolocz bardzo lubi, gdy przypomina się im o honorze oficera. W takich wypadkach łatwo ukryć tchórzostwo pod maską szlachetności i miłosierdzia.

Ale temu tajniakowi można było zarzucić wiele rzeczy, tylko nie tchórzostwo. Jediną reakcją na moją wzniosłą tyradę był nikły uśmiech.

--Kapralu, dochodzenie w twojej sprawie już jest w toku, nie możemy przecież ignorować próśb poddanych naszego Imperium. Sądzę, że będziemy jeszcze mieli okazję porozmawiać. Na razie możesz odejść. Zastanów się dobrze, co powiesz śledczym po powrocie do bazy. Jesteś wolny.

--Kapralu, zostańcie -- odezwał się lodowatym tonem Vallenstein. -- Kapitanie, mam wrażenie, że obowiązki wymagają pańskiej natychmiastowej obecności w dziale analitycznym. Nie ośmielę się dłużej pana zatrzymywać.

Spodziewałem się, że tajniak wpadnie w furję i zacznie grozić Vallensteinowi konsekwencjami, ale kapitan tylko się roześmiał.

--Oczywiście, panie pułkowniku. Oczywiście. Zwłaszcza że dowiedziałem się już wszystkiego, czego chciałem. -- Sięgnął do kieszeni i wyjął płaskie, szare pudełeczko mrugające kolorowymi diodami. -- Ależ nie, panowie, proszę się nie niepokoić, nasza rozmowa nie była nagrywana. To nie rejestrator, to jedynie tester. Interesował mnie wasz kapral. A teraz pozwólcie, że się oddalę. Panie pułkowniku... panie poruczniku... -- podrzucił rękę w geście pozdrowienia i wyszedł.

Przez kilka chwil w kajucie panowała absolutna -- żeby nie powiedzieć grobowa -- cisza. Von Vallenstein z udręką kręcił szyją, jakby nieznośnie cisnął go wykrochmalony kołnierzyk. Jeszcze nigdy nie widziałem, by dowódca pułku był niechlujnie czy niedbale ubrany. Nawet pancerz polowy nosił tak, jakby to był frak. Porucznik siedział z taką miną, jakby właśnie wymknął mu się przestępca, szykujący zamach na świętą osobę Jego Wysokości Cesarza.

--Kapralu -- odezwał się w końcu Vallenstein. -- Nie podoba mi się ta historia.

--Melduję, panie pułkowniku, że mnie również.

--Nie jestem jeszcze pułkownikiem, więc darujmy sobie te pochlebstwa, mój drogi. Zaslubiłeś na Żelazny Krzyż i walczyłeś jak prawdziwy komandos. Ale co to za historia z tymi dziećmi? Czytałem raporty, kontrwywiad uprzejmie przesłał mi kopie. Zapoznałem się z twoimi zeznaniami. Ale nie rozumiem, po co Karłowi potrzebna była ta scena.

--Sprawdzał... -- zaczął porucznik.

--Sprawdzał, sprawdzał... Ale co? Czy kapral go zaatakuje? Słuchaj, Rus, jesteś dobrym żołnierzem, a ja nie przepadam za typkami z kontrwywiadu. Wiedzą o tym i moi ludzie w Tannenbergu, i tajniacy. I dlatego będę cię osłaniał. Ale powiedz, czy wtedy, we wsi... Byłeś absolutnie pewien, że masz do czynienia z potworami?

--Tak jest. Każde inne wyjaśnienie natrafia na brzytwę Okhama i dlatego nie może być poddane poważnej analizie.

Podpułkownik i porucznik popatrzyli na siebie.

--Uważasz, że kontrwywiad popełnił błąd w testach? -- zapytał powoli Vallenstein.

Pozwoliłem sobie na wzruszenie ramionami.

--Być może wszyscy jesteśmy obiektem jakiejś tajnej operacji służb bezpieczeństwa, do której nie ma dostępu nawet pan, panie pułkowniku.

Vallenstein parsknął.

--Sprytnie, kapralu... Dobra, wracaj do służby i niczego się nie bój. Ja ci wierzę i na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Jeśli ktoś podnosi rękę na moich żołnierzach, automatycznie staje się moim wrogiem, a z wrogami należy postępować zgodnie z regulaminem, to znaczy likwidować, jeśli stawiają opór. Możesz odejść. Poruczniku, czuwaj nad kapralem. Tajniacy nie mają w moim batalionie nic do roboty.

Wstałem i zasalutowałem.

--Możesz odejść, kapralu -- powtórzył Vallenstein. -- Dobrze zacząłeś służbę i życzę ci, byś kontynuował ją w tym samym duchu.

W milczeniu sklonilem głowę.

Wyszedłem z kajuty. Drzwi zamknęły się za mną z sykiem. Nie zdążyłem zrobić nawet kilku kroków, gdy...

Usłyszałem głosy dobiegające z kajuty przez dźwiękoszczelne ściany i izolację. Vallenstein i porucznik rozmawiali o mnie.

--Rudi! Zrozumiałeś, dlaczego Karl...

--Sprawdzał go, Joachimie.

Między sobą oficerowie Tannenberga rzeczywiście nie używali stopni, niezależnie od zasług, wieku czy pozycji społecznej.

--Masz mnie za idiotę? To oczywiste, że go sprawdzał. Pytanie brzmi: po co?

--Fatiejew jest Rosjaninem z Nowego Krymu. To podejrzana planeta, Joachimie.

Vallenstein prychnął.

--Tyle to i ja wiem. A nawet, zaufaj mi, znacznie więcej. O co Karl może go podejrzewać?

--Na Nowym Krymie od dawna krążą pogłoski o zorganizowanym podziemiu...

--Może jeszcze zaczniesz mnie uczyć, jak dowodzić batalionem, co, Rudi? Komu kładą szyfrogramy na biurku, tobie czy mnie? Wiem o podziemiu. O tych ich bojowych drużynach też wiem. To nieuniknione, ale na razie niegroźne. Para idzie w gwizdek. Gdybyśmy zaczęli aresztowania, od razu zdobędą aureolę męczenników. Wiesz przecież, jak to jest.

--Może wśród podejrzanych był ojciec Fatiejewa?

--No, nareszcie mam okazję ci udowodnić, że lepiej być dowódcą batalionu niż dowódcą plutonu! -- uśmiechnął się Vallenstein. -- Jego ojciec jest czysty. Jurij Fatiejew dostarcza nam produkty morskie wysokiej jakości po niskiej cenie. Nie stara się wkraść w nasze łaski, nie próbuje zdobyć zaufania. Zwyczajnie prowadzi interes. Jeśli nie zapomniałeś, Rudi, właśnie dzięki „umiarkowanym”, na których czele stał Fatiejew, udało nam się uniknąć wojny partyzanckiej na tej planecie. Nie. Fatiejewowi seniorowi potrzebne są kontakty, protektorzy, plecy... Nie ma go na listach podejrzanych. Podobnie jak Rusłana Fatiejewa, Rudi.

--Miło mi to słyszeć...

--Karl wie o tym nie gorzej od nas. A jednak...

--...urządza cyrk.

--No właśnie. Zaczyna od spokojnej rozmowy, a potem...

--Może sprawa rzeczywiście jest związana z Krimmenscholmem?

--W jaki sposób?

--A jeśli Karl i jemu podobni już zdecydowali, że Fatiejew i jego drużyna faktycznie byli pod kontrolą Obcych? I znajdują się pod tą kontrolą po dziś dzień?

--Myślisz, że wtedy by milczał? Dlaczego prosił, żeby nie zapraszać Möchbaua? Dlaczego tylko my? Dowódca twojej 5. Kompanii miał wręcz obowiązek uczestniczyć w takiej rozmowie.

--Kapitan Möchbau nie lubi kontrwywiadu jeszcze bardziej niż my...

--Zalóżmy. A więc sugerujesz, że Fatiejew znajduje się pod kontrolą i kontrwywiad pracuje nad taką wersją? -- Nie przychodzi mi do głowy nic innego, Joachimie.

Coś pstryknęło, szczęknięło, jakby zatrzaśnięto niedomknięte drzwi, i głosy umilkły. Stałem na korytarzu, chwiejąc się jak pijany. Jak to możliwe. Przecież żadne głosy nie mogą przebić się przez ceramiczny pancerz! To nie mieści się w granicach zdrowego rozsądku i żadna wysublimowana metafizyka tu nie pomoże.

Albo drzwi do kajuty rzeczywiście były niedomknięte, albo... Nie, druga możliwość nie wchodzi w grę. Kontrwywiad nie urządzałby takich sztuczek, porucznik i pułkownik mieliby się z pyszna, gdyby takie rozmowy dotarły do kogo trzeba...

Przyznaję, że spodziewałem się po kapitanie wszystkiego najgorszego. Zachowywał się wyjątkowo paskudnie. Zaczął niby normalnie, a skończył... Próbowałem porozmawiać o tym z porucznikiem, ale Rudolf był posepny. Nawet nie powiedział „bez szarż”, co było widomą oznaką podłego humoru.

A jednak na moją głowę nie spadły żadne gromy. Jedyne pan sierżant, odznaczony Medalem Męstwo i Honor drugiego stopnia (dodatek do posiadanego już odznaczenia trzeciego stopnia), postanowił profilaktycznie nade mną popracować, żebym przypadkiem nie wbił się w pychę po nieoczekiwanym awansie. Chwilowo pod względem liczby dyżurów wychowawczych przegoniłem nawet biednego Razdwakriaka, który jako żołnierz ranny w walce, otrzymał odpowiednie odznaczenie, w żołnierskim żargonie nazywane „kość w pysku”.

Ale szorowanie toalet jakoś mnie nie ruszało. Ciągle wracałem myślą do tego, co usłyszałem na korytarzu, i ciągle nie mogłem znaleźć żadnego racjonalnego wytłumaczenia, prócz najbardziej oczywistego -- niedomknięte drzwi.

Nie ukrywam, że nasuwały mi się również inne wyjaśnienia, ale z uporem je od siebie odganiałem.

„Merona” dotarła do Nowego Krymu zgodnie z planem. Podczas skoku nic się nie stało, reaktory się nie przegrzały, nie zaczęła szwankować osłona, nie zaatakował nas myśliwiec Obcych. Wyszliśmy w zwykłą przestrzeń kilka godzin drogi od mojej ojczystej planety.

Tam już na nas czekano. Lokalna telesieć zasypywała nas telegramami i gratulacjami. Dziękowali nam politycy, biznesmeni i bankierzy -- wszyscy ci, których na Nowym Krymie zaliczano do umiarkowanych stronników pokojowej integracji z Imperium. Z obawą oczekiwałem na wystąpienie ojca, ale Bóg strzegł. Ogłoszono, że „lider unijnej większości w Dumie Nowego Krymu, deputowany Jurij Fatiejew, przebywa obecnie w podróży służbowej i jest chwilowo niedostępny”.

Potem było lądowanie. „Merona” została na orbicie, zbyt ciężka i niezgrabna, w dodatku zostawiająca radioaktywny ślad, co nie pozwalało jej lądować na powierzchni planety.

Klaus Maria sprawdził nas osobiście, zanim pluton opuścił szalupę transportową. --Zaplanowano uroczysty przemarsz, małpy pawianowate -- huczał, przechadzając się wzdłuż szeregu. -- Pierwszy w waszym życiu przemarsz w szeregach batalionu, pod sztandarem, z oddawaniem honorów komisarzowi naszego sektora, panu Todtowi. Jeśli choć jeden świński ryj zmyli krok albo będzie nie dość wysoko wyciągał nogi, niech się od razu powiesi. Zgnoję go osobiście.

Nie zwracałem uwagi na tę przemowę. Idiota Klaus nie mógł mi przeszkodzić. Jeśli będzie trzeba, zostanę mistrzem batalionu w czyszczeniu kibli. Może nawet mistrzem dywizji albo korpusu. To nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, co zobaczyłem i zrozumiałem tam, na zagubionej planetce Zecie-5.

Zdażyłem już porozmawiać z kilkoma żołnierzami. Moja drużyna wpatrywała się we mnie jak w obraz, na nich mogłem polegać. Ostrożne rozmowy z chłopcami z innych plutonów uzupełniły ostatnie wydarzenia o nowe szczegóły.

Nasz pluton faktycznie miał wyjątkowego pecha. To właśnie my wpadliśmy na potwory. To

właśnie my znaleźliśmy się w Ingelsbergu, gdy zaczął się atak lemurów. Innym przypadły w udziale bardziej rutynowe zajęcia. Ale w niektórych momentach opowieści były zgodne -- żaden z zabitych kolonistów nie miał identyfikatora, wszystkie znalezione ciała nosiły ślady pożerania. Lemury to wegetarianie. Nikt nigdy nie widział, by jadły mięso. Czyli albo coś zmusiło je do zmiany przyzwyczajień, albo cała nasza dotychczasowa wiedza na ich temat była błędna. A że lemury znano od dawna i skrupulatnie zbadano, należałoby założyć, że albo pracownicy ulokowanej na Zecie-5 stacji ksenobiologicznej znajdowali się pod kloszem, izolującym ich od prawdziwego oblicza planety, albo...

Szczerze mówiąc, wolałem wariant pierwszy. Wówczas mielibyśmy jeszcze jakieś szanse.

Niemal wszędzie opór lemurów udało się łatwo stłumić. I wszędzie nad walkę wręcz lemury przedkładały kusze, łuki i proce, co było bardzo rozsądne. Natrafiając na ogień zaporowy (a kadrowe kompanie Tannenberga przerastały nas nie tyle o głowę, co o pięć głów) lemury wycofywały się od razu. Owszem, ponosiły straty, ale były to straty nieporównywalne do tego, co spotkało je pod Ingelsbergiem.

Zdaniem żołnierzy, była to zwyczajna operacja. I gdyby nie potwory, oblężenie i bombardowanie schronu, zobaczyłbym Żelazny Krzyż jak ucho od śledzia.

Przeklęte żelastwo parzyło mnie w pierś.

Urządzili nam uroczyste powitanie. Z tej okazji na Newskim po raz pierwszy złamano niepisaną tradycję -- „dziewczynkom” również pozwolono nas witać i teraz stały obok czcigodnych żon oficerów, piszcząc, skacząc, wymachując rękami i rzucając nam pod nogi kwiaty.

Z okazji święta i z powodu obecności pań oficerowych, „dziewczynki” ubrały się skromnie, ale moja drużyna i tak gapiała się na nie, rozbierając bezwstydnie wzrokiem. Na szczęście działo się to w znacznej odległości od trybuny, na której sterczała monumentalna postać komisarza (wielka szycha, jeden na dziesięć zamieszkanych planet, włączając nieszczęsną Zetę-5).

Usłyszałem wściekły syk Klausa Marii i warknąłem na swoich. Nie poskutkowało. Szczególnie udzielał się Razdwakriak, wytrzeszczając gały na młodą, wysoką dziewczynę o kształtach tak bujnych, że biedny Kriak nie sięgałby jej nawet do ramienia. Teraz ślinił się i wrzeszczał coś w rodzaju: „Kochanie, gołąbeczku, koteczku!”

Musiałem złamać szereg i dać Kaczorowi kuksańca w bok. To wreszcie podziałało. Jak powiedziano w pewnej mądrej starej książce: „W historii ludzkości przemoc rozwiązała więcej konfliktów niż wszystkie pozostałe metody razem wzięte”.

Staralem się odpędzić od siebie myśli o Gilvy, ale i tak szukałem jej wzrokiem w tłumie. Liczyłem, że wyjdzie na Newski i to nie dla któregoś ze swoich stałych klientów, ale właśnie dla mnie. Stęskniłem się za nią. Jeśli mam być szczery, wszystkie słynne podręczniki psychologów nie wydawały mi się już takie głupie. Czego może potrzebować żołnierz po walce, jak nie mocnego alkoholu i kobiecych pieszczot?

Ale Gilvy nie było nigdzie widać.

Szliśmy twardym krokiem pod jasnym wzrokiem komisarza. Do chłopców dotarło w końcu, jakie nieprzyjemności mogą ich czekać za niedbalstwo i maszerowali jak należy, chyba nawet nie gorzej od kadrowych kompanii.

Kucharze nie pożałowali dla nas racji żywnościowych -- obiad był wspaniały. Zresztą mięso armatnie trzeba czasem odkarmić, żeby nie popsulo się przed czasem.

Chłopcy z drużyny cieszyli się jak dzieci. O poległym Keosie nikt już nie pamiętał. On był martwy, ale my żyliśmy!

Czego innego można się spodziewać po „armii życia, żołnierzach zła”? Dorastających na peryferiach imperialnych megapolis, przywykłych, że niemal codziennie giną współnicy z gangu, a żeby przeżyć, trzeba zabijać? Przyzwyczajonych do walk o kolejną ulicę, gdzie właśnie ty możesz sprzedawać narkotyki, gdzie właśnie ty będziesz ściągtał haracz z drobnych handlarzy, którzy zgodnie z tradycją objeżdżają okolice w swoich niepozornych furgonetkach, sprzedając lody, owoce czy stare ubrania?

Gdy wróciliśmy do koszar, sierżant oznajmił, że po wykonaniu wyznaczonego zadania wszyscy otrzymujemy urlop. Do koszar możemy wrócić dopiero pojutrze po południu. Jak spędzimy ten czas, to nasza prywatna, szympansia sprawa. Możemy we własnym łóżku, możemy gdzie indziej. Wszystko jasne? No to rozejść się! Po urlopie złożymy przysięgę i zostaniemy pełnoprawnymi komandosami, choć, zdaniem sierżanta, ponad połowa z nas absolutnie na to nie zasłużyła...

Żaden z moich chłopców nie wysiłił się na nic więcej jak na „dziewczynki”. Początkowo chciałem polecieć do Dalki i spróbować... właściwie czego? Ale po głębszym namyśle odrzuciłem ten wariant.

Dalka nie należała do kobiet, które łatwo wybaczały.

Nogi same poniosły mnie w ślad za radośnie przekrzykującym się tłumem wczorajszych rekrutów -- przeszliśmy chrzest bojowy i zdobyliśmy prawo do przedterminowej przysięgi. Już właściwie byliśmy komandosami, a cała ta przysięga to tylko formalność.

Rzęsiście oświetlony Newski tętnił życiem. Wielu oficerów przebrało się w cywilne ciuchy, kobiety paradowały w eleganckich sukniach, grała orkiestra batalionowa, a przed otwartymi drzwiami barów i knajpek zaczynały się tańce. Dzisiaj wszyscy byli równi i nawet czupurne panie kapitanowe czy majorowe zniżały się do rozmów z prostymi żołnierzami. Batalion wrócił do domu i tylko to się liczyło.

Moja drużyna rozplynęła się jak poranna mgła. Podzieleni na pary i trójki, imperialni komandosi wpadali do otwartych na oścież spelunek.

A ja szedłem ulicą, zerkając na oświetlone okna i bawiących się ludzi. Teraz nie przypominali już żołnierzy, wyglądali raczej na przebierańców, którzy dla hecy włożyli drelichy.

Nie chciałem się do tego przyznać nawet przed sobą, ale ciągle szukałem wzrokiem Gilvy i tak długo, nie mogąc się zdecydować na zanurkowanie w głąb tłumy, dopóki nie usłyszałem:

--Rus!

To była ona. W obcisłych spodniach do kolan i w krótkiej bluzeczce -- miała co pokazać. Aż dziw, że tak atrakcyjna dziewczyna nie znalazła sobie lepszego miejsca na ojczystej planecie czy na którejś z Wewnętrznych -- przecież tam podobne zawody były opłacane znacznie szcudrzej, i to wcale nie ze skąpego imperialnego skarbu.

--Cześć, Rus -- uśmiechnęła się niezręcznie, nerwowo poprawiając starannie ułożone włosy. -- Cieszę się, że ty... że jesteś cały i że wróciłeś. Nudziliśmy się tu bez was. Żony oficerów już chodziły po ścianach.

--Witaj, Gilvy. To nic, panie oficerowe to nie lemury. Nie ugryzą.

--A co, lemury gryzły? -- spytała ze współczuciem, biorąc mnie pod rękę.

--Gryzły -- przyznałem się. -- Z moich chłopaków zginął Keos, może go...

--Keos? Tazescu? Przychodził do Marii, mojej kumpelki, mówiła, że to fajny chłopak...

--Niech mu ziemia lekką będzie -- powiedziałem. Keos był tego samego wyznania co ja, trzeba będzie dać za niego na mszę.

--On zginął, ale my żyjemy -- powiedziała Gilvy, przytulając się do mnie. -- My żyjemy i inni twoi chłopcy też wrócili... Pójdziemy gdzieś?

--Dokąd?

--Gdzie moi... gdzie inni nas nie zobaczą -- dokończyła niezręcznie. -- Chodźmy do mnie. Poszliśmy.

--Wiesz, że już nie jestem „dziewczynką”?

--Poważnie? -- stropilem się.

--Aha. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że mamy tu różne kursy i szkolenia? Skończyłam kurs komputerowy i złożyłam podanie, żeby przyjęli mnie do sztabu batalionu. Na dowolne stanowisko.

--I co... dawno to było?

--Dawno. Z miesiąc temu. Przecież wiesz, że to Tannenberg, tutaj nie biorą każdego. Sprawdzali mnie... normalka.

--I co, przyjęli cię w końcu? Zresztą skoro odeszłaś z... hm... tego... to widocznie przyjęli, tak?

Skinęła głową.

--Dużo dziewcząt tam pracuje, te, które zgadzają się na mniejsze pieniądze -- zachichotała. -- Przecież wiesz, że z wami, żołnierzami, biedna dziewczyna uczciwie nie zarobi. Skoro się zwolniłam, to już po wszystkim, mam inny numer WUC i już nie wypełniam blankietów. Ale to nic -- oznajmiła z entuzjazmem. -- Jak będę się starać, w sztabie też mogę zrobić karierę. Oficerów jest tam mało, bo nie cierpią tej roboty. Wszyscy rwą się do walki, chcą dokonywać bohaterskich czynów, więc...

--Cieszę się -- powiedziałem szczerze. -- No cóż, takiej okazji grzech byłoby nie oblać...

--No, coś ty! -- zamachała rękami. -- Będziemy opijać twój powrót! To, że wróciłeś cały i zdrowy, nie podzielony na części i nie w „medycznej konserwie”!

--Tak... To faktycznie przyjemne -- przyznałem.

Było mi z nią dobrze, ale z drugiej strony męczyła mnie jedna rzecz -- ani razu się ze sobą nie przespaliśmy. Przyjaźniliśmy się (na ile było to możliwe przy jej podstawowym zajęciu), ale nic między nami nie było. Nadal dochowywałem wierności Dalce, chociaż ona mnie teraz przeklina i gotowa byłaby zabić.

A Gilvy, prawie ciągnąc mnie za sobą, z ożywieniem paplała, jak to serdecznie przyjęli ją w sztabie, ile tam jest byłych „dziewczynek”, którym nikt nie wypomina przeszłości, a przeciwnie, panuje opinia, że robiły ważną i potrzebną rzecz, bo bez tego żołnierz ani rusz, a to znaczy...

Niegdyś porównywano pióro do bagnetu, przemknęła mi przez głowę niezbyt przyzwoita myśl, czyżby teraz zmobilizowano również waginę?

Gilvy mieszkała tam gdzie przedtem, jej mieszkanie nadal było sterylne czyste, podłogę przykrywały nieśmiertelne dywaniki, nie wyczerpał się również zapas domowych konfitur. Wszystko było tak samo jak wtedy, gdy przychodziłem do niej, znajdując tu cichą przystań. Nie

chciałem tego tracić, ale cóż, Gilvy nie należała już do „dziewczynek”, a to znaczy, że szarobłękitne blankiety „usług intymnych” będzie wypełniał ktoś inny. Skrzywiłem się na samą myśl.

--Co się stało? -- spłoszyła się od razu.

Wyjaśniłem.

--Głuptasie... Porozmawiam z Marią, na pewno się zgodzi. Poczekaj, chcesz powiedzieć, że skoro potrzebny ci tylko podpis pod blankietem, to już nie będziesz mnie odwiedzał?

--Oczywiście, że będę -- zreflektowałem się. -- Czy myślisz, że mógłbym zrezygnować z takich konfitur?

--To moja ostatnia nadzieja...

Siedzieliśmy, pijąc herbatę za herbatą i cały czas pojadając konfitury. W jakimś sensie ta „nowa” Gilvy, pełnoprawnie nosząca na rękawie srebrną czaszkę, była mi bliższa. Teraz mogłem z nią otwarcie rozmawiać na temat oficerów, rozkazów czy żołnierskich nowinek.

Pytała mnie o Zetę-5, a ja opowiadałem. Tak bardzo chciałem z kimś o tym pogadać! O zabitych dzieciach czy też potworach, które przyjęły ich postać. A może to były dzieci, zamienione w potwory przez nieznaną siłę? Tkwiło to we mnie niczym cierń w jątrzącej się ranie i teraz wyrzucałem z siebie słowa, jak ciało wyrzucałoby wbity pod skórę ostry kawałek drzazgi.

Opowiadałem o Krimmensholmie i identyfikatorach kolonistów. O rannym Razdwakriaku, o Mikkim i Fatihu, o nieżyjącym Keosie, o brązowych, ociekających śluzem, ohydnych ciałach. O potężnych szczękach miażdżących ciało mojego żołnierza. O stworzeniu na dachu, poruszającym długimi antenami, zanim rozerwał je na strzępy mój granat. Mówiłem też o tym, że moja drużyna, podobnie jak cała 5. Kompania Tannenberga, to komandosi tylko z nazwy i że dowolne oddziały ochotnicze poradziłyby sobie równie dobrze.

Gilvy wydawała okrzyki, przyciskała dłonie do twarzy, zamykała oczy. Słuchała mnie, jak starożytni Grecy słuchali Homera czy dumni Rzymianie Owidiusza i Wergiliusza.

--A porucznik jak? W porządku? A Klaus Maria? Nadaje się do czegoś, czy tylko do chłostania go po tyłku? A czołgiści? W porządku czy do kitu? A jak się okazało, że zrzucą bombę, to co, wszyscy wleźli pod ławki?

I tak dalej...

A ja mówiłem. Potrzebowałem tego. Znacznie bardziej niż seksu. Skoro już o tym mowa, to Gilvy nie zaproponowała mi, żebyśmy poszli do łóżka. Spytała wprost:

--Gdzie masz zamiar dzisiaj nocować?

--W koszarach -- wzruszyłem ramionami. Nie miałem wyboru. Przecież nie zjawię się w Nowym Sewastopolu, gdzie zna mnie każdy pies, w mundurze imperialnych wojsk, z przekłętą czaszką na rękawie!

--Daj spokój. Pościelę ci tutaj. -- Podeszła do kanapy. -- Nie czerwień się tak, nie będę się do ciebie przystawiać. -- Roześmiała się i ten śmiech zabrzmiał prawie naturalnie. -- Jutro wszyscy mają dzień wolny. Ja też nie muszę iść do sztabu. Możemy się wyspać. Kiedy ostatni raz się wyspałeś, co, Rus? Tak, żeby nikt cię nie budził, nie wrzeszczał nad uchem: „Wstawać, małpiszony!”?

--Czasem mi się wydaje, że dawne czasy to tylko złudzenie. Mam wrażenie, że jestem w wojsku od urodzenia -- odpowiedziałem tym samym żartobliwym tonem.

Zostałem u niej na noc. Nie spaliliśmy ze sobą. Drzwi do swojej sypialni Gilvy zamknęła od środka.

Cały następny dzień spędziłem w sali treningowej i siłowni. Potem poszedłem na strzelnicę. Dobrze, że nie żalowali nam naboju. Każdy żołnierz batalionu o każdej porze (jeśli tylko nie miał innych zajęć) mógł tu przyjść i strzelać do upojenia.

Najskrytsze marzenie każdego chłopczyka. I tych, którzy nigdy nie dorośli.

--Dobra robota, kapralu -- zadudnił za moimi plecami głos pana sierżanta. --

Dziewięćdziesiąt na sto z pięćdziesięciu metrów. Całkiem niezłe. Założymy się o sto imperialnych marek, że ja wystrzelam dziewięćdziesiąt pięć?

--Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, panie sierżancie. A sto marek to dla mnie zbyt dużo -- uśmiechnąłem się, próbując sprowadzić wszystko do żartu.

--A niech cię! Masz rację, po prostu straciłbyś sto marek, kapralu -- zaśmiał się sierżant. -- W takim razie załóżmy się inaczej: jeśli ty wystrzelasz dziewięćdziesiąt pięć punktów, będę ci winien dwieście marek.

--A jeśli nie wystrzelam, panie sierżancie?

--Postawisz mi piwo w Starej Piwiarni. Umowa stoi?

--Tak jest! -- podrzuciłem mannlichera.

Kule poszły razem, strzelałem na wydechu, nie spiesząc się. Karabin był dobrze skalibrowany, brałem nieco niżej i troszkę bardziej w lewo od muszki, mannlicher zazwyczaj zadziera trochę w prawo i do góry.

Przy czwartym strzale trochę przedobrzyłem, pewnie nie wyszło więcej niż osiem. Za to pierwsze trzy warte były co najmniej dziewięć każdy. Odetchnąłem głęboko i ostrożnie poruszyłem lufą. Myli się ten, kto uważa, że karabin powinien leżeć w rękach jak przylutowany. Może tak właśnie strzelają prawdziwi zawodowi snajperzy, ale ja zawsze strzelałem z biegu, gdy lufa jest trochę rozkołysana, a zadanie strzelca polega na tym, by wyczuć szóstym zmysłem, w którym momencie nacisnąć spust.

Z piątego, szóstego i siódmego strzału byłem zadowolony. Szybko, na wdechu, dobrze. Ósmy znowu przekombinowałem. I to tak głupio, że omal nie cisnąłem karabinem o ziemię. Sierżant był wrogiem, a jednak zależało mi na jego opinii i nie chciałem się zhańbić.

Przy ostatnich dwóch zmusiłem się do zapomnienia, że jestem na strzelnicy, że mam na rękawie przeklętą srebrną czaszkę i że obok mnie tkwi starszy sierżant -- prawdziwy zawodowy morderca, który osobiście palił zbuntowane miasta, być może własnoręcznie torturował buntowników i zabijał, nie mówiąc już o banalnych gwałtach.

Przez chwilę wydawało mi się, że widzę jego uśmiechniętą gębę na tarczy z dykty, i ostatnie dwie kule posłałem szybko, jedną po drugiej, prawie serią.

--No co, popatrzymy? -- usłyszałem głos Klausa Marii. -- Szybko się uwinąłeś... Myślałem, że będziesz dłużej celował. Żebyś tylko nie przesadził z pośpiechem... Nie wiesz, ile potrafię wypić piwa, szczególnie gdy regulamin pozwala -- zarechotał. Widocznie miał to być błyskotliwy dowcip.

Na strzelnicy było mało ludzi i tarczę musieliśmy podciągnąć sami.

--O w mordę -- powiedział tylko Pferzgentakl, gdy zobaczył tarczę z bliska. Zamiast dziesiątki na środku ziała wielka dziura. Prócz niej były jeszcze dwie małe -- dziewiątka i ósemka.

Dziewięćdziesiąt siedem.

Pan sierżant bez słowa sięgnął do kieszeni i wyjął portfel.

--Trzymaj, kapralu. Zasłużyłeś. Jak widzę takiego strzelca w swoim plutonie, to nie żal mi dwóch setek, nawet z własnej kieszeni. Krótko mówiąc, kapralu, skoro jesteś taki dobry, od dziś będziesz moim zastępcą od przygotowania strzeleckiego. Jasne? I żeby za dwa miesiące Razdwakriak wystrzelił co najmniej osiemdziesiąt pięć!

W końcu udało mi się odczepić od sierżanta i poszedłem do koszar. Czulem się podle, bo jego pochwała sprawiła mi przyjemność. A przecież Klaus Maria był moim wrogiem. Nigdy nie powinienem zapominać o tym, że jestem otoczony wrogami. Przybyłem tu, żeby zrobić karierę, ale muszę stale pamiętać, wśród kontynuatorów jakich tradycji służę.

To ja wybrałem sobie swój los. Ja i nikt inny. A przecież zawsze pojawia się pokusa, żeby obwiniać o swoje nieszczęścia kogoś innego. My, Rosjanie, wręcz z tego słyniemy... Może dlatego zostało nam tak mało planet. Wolny Don, Sławutycz -- i to wszystko. Ale to planety-kopalnie, jeśli nawet coś tam rośnie, to tylko w oranżeriach; w kopalniach jest promieniowanie i w ogóle żyje się tam ciężko. Wprawdzie nie ustawiono jeszcze kopuł osłaniających, ale to nawet gorzej. Jednak to właśnie te planety walczyły, gdy Imperium chciało je zagarnąć, i to walczyły ze znacznie większym zapalem niż na przykład my. Po dziś dzień trwa tam okupacja i dopiero rok temu zezwolono mieszkańcom na swobodne przemieszczanie się w granicach naszego sektora. Wewnętrzne Planety, nie mówiąc już o Ziemi, są dla nich zamknięte naглуcho.

A Dalka i jej brygady... nic dobrego z tych zabaw nie będzie. Skończy się na tym, że ześlą ją na Swaarg. Nie rozstrzelają, bo wojskowe sądy polowe zniesiono u nas dawno temu, zresztą prawdopodobnie aresztowano by podczas przygotowania aktu terrorystycznego, a nie dokonywania go. Takie przestępstwo nie zasługiwało na karę śmierci. Poza tym wszyscy wiedzą, że stary cesarz nie cierpi najwyższego wymiaru kary i niemal zawsze wykorzystuje prawo łaski, zamieniając rozstrzelanie na dożywotnią katorgę.

Nie wiadomo, co gorsze...

Wróciłem do pustych koszar. Niskie sklepienia, słabe światło dyżurnych lamp. Pozostaliśmy dzikusami. Z jednej strony podbijamy kosmos, pchamy się na inne planety, a z drugiej nie wyszliśmy poza żarówkę. A jeśli na podbijanych planetach spotkamy się kiedyś z czymś w rodzaju stworów z Zety-5, gorzko tego pożałujemy.

Drzemie czas w żelaznej kołysce,

Smoki czuwają nad płytkim snem...

Sam sobie przerwałem. Po co wspominać głupie wierszyki z dzieciństwa, które kiedyś wydawały się szczerze i płynące z serca? A co teraz? Teraz już żaden mój czyn nie płynie z serca. Jestem obcy wśród obcych i obcy wśród swoich. I nic nie mogę na to poradzić.

„Rób, co możesz, a co ma być, to będzie”.

Nie mogę na tym poprzestać. Po co wtedy wstępowałbym do wojska i udawał równego chłopca? Nawet w duchu nie mogę zadeklamować swoich własnych wierszy...

Szyfrogram 3

Salim do Bakłana

Zgodnie z informacjami przekazanymi przez wiarygodne źródła, w czasie ekspedycji karnej na Zecie-5 Tannenberga zetknął się ze znacznymi siłami biomofrów. Powtarzam: zostały

stwierdzone znaczne siły biomofrów. Najprawdopodobniej nastąpiła spontaniczna, nieukierunkowana metamorfoza. Na planetę przerzucono 48. Zmotoryzowany Korpus generała armii Otto von Knobelsdorffa w składzie 3. i 11. Dywizja i Dywizja Grossdeutschland. Według danych oficjalnych, batalion Tannenberg jest w trakcie urlopu. Straty batalionów -- jeden zabity i około czterdziestu lekko rannych.

Szyfrogram 4

Baklan do Salima

Dziękujemy za cenne informacje. Dołóżcie wszelkich starań i znajdźcie informatorów w sztabie batalionu.

Centrala postanowiła wzmocnić obsadę na waszym odcinku. W najbliższym czasie zostanie skierowany do was nowy pracownik. Przekaze wam dalsze instrukcje, których nie można powierzyć nawet temu kanałowi.

Wiadomości imperialne.

Obraz -- wiejskie domy, powybijane szyby w oknach, otwarte na oścież drzwi, często wyrwane z zawiasów, na ścianach ślady ognia. Widać niewielki kościół, wieża do potowy spalona, sterczą stalowe żebra szkieletu. Z górnych okien kościoła sączy się leniwie ciężki, ścielący się po ziemi czarny dym. Spoza kadru słychać rażny i jednocześnie surowy głos komentatora; kamera przesuwa się powoli, pozwalając widzom obejrzeć wszystkie szczegóły.

--Jesteśmy we wsi Pommelsdorf, planeta Zeta-5, Ósmy Sektor. Niedawno zakończono tu operację poskramiania aborygenów, którzy bez najmniejszego powodu zaatakowali pokojowe osady naszych dzielnych kolonistów. Jak państwo widzicie, wszędzie są ślady niedawnej walki. Na ziemi leżą strzały i włócznie; to broń zbuntowanych tubylców, potocznie zwanych lemurami. Na szczęście waleczny desant imperialny zdążył w samą porę. Rozmawiamy z porucznikiem Paulem Fleishnerem, dowódcą N-skiej Kompanii, biorącej udział w operacji zaprowadzenia porządku na Zecie-5. Prosimy, panie poruczniku!

W kadrze pojawia się drab z pagonami podporucznika. Jest ubrany w plamisty kombinezon, przez pierś ma przewieszony karabin szturmowy. Na lewej stronie piersi podporucznika widnieje Krzyż Żelazny.

--Dzień dobry, Paul. Co pan może powiedzieć naszym widzom o operacji w tej wsi? Jak rozwijały się wydarzenia?

--Gdy tylko dostaliśmy sygnał, że w tym rejonie dochodzi do ataków na spokojnych mieszkańców, natychmiast przybyliśmy. Lemury są na tyle przebiegłe, że udają osobniki słabe i bezbronne. To tylko maska. W rzeczywistości są okrutnymi ludożercami. Niektórzy z nieszczęsnych kolonistów zostali zjedzeni żywcem.

--Co za koszmar! Ale co było dalej?

--Przybyliśmy tutaj... to znaczy do wsi, i zaczęliśmy przeczesywać okolicę. Wszędzie natrafialiśmy na ciała rozszarpanych ludzi...

W kadrze pozbawiony głowy trup. Pierś, ręce, biodra zamienione w krwawą masę. Chyba nawet widać kości.

--Przepraszamy gorąco naszych widzów, że jesteśmy zmuszeni do pokazywania takich rzeczy. Ale tak wygląda surowa prawda i musimy ją poznać, żeby jeszcze bardziej zewrzeć szeregi wokół naszego uwielbianego Imperatora, Jego Wysokości Cesarza, ponieważ tylko jedność pomoże nam, ludziom, wywalczyć to, co nam się prawnie należy! Przepraszam, Paul, za

tę dygresję... Więc co było dalej?

--Przeczესując wieś, znaleźliśmy wielu ludzi, którzy jeszcze żyli. Nasi koloniści ostrzeliwali się do ostatniego naboju...

Zmiana kadru. Otwór okna, wybite szyby, wyrwana futryna. Przewieszony przez parapet martwy mężczyzna. Pod oknem leży broń, która wypadła mu z ręki. Kamera pokazuje kilka leżących na trawniku wystrzelanych łusek.

--Jak powiedziałem, ostrzeliwali się do ostatniego pocisku. I wielu zdołało utrzymać się do chwili naszego przybycia. Tych uratowaliśmy...

Tłum komandosów przemieszany z cywilami. Ludzie są rozemocjonowani, jakaś dziewczyna płacze, obejmując żołnierza; starsza kobieta ze łzami w oczach gładzi innego komandosa po policzku jak syna; surowy, niemłody mężczyzna klepie trzeciego po ramieniu. Czwarty żołnierz trzyma na ręku dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę. Dzieci śmieją się radośnie.

--Niestety, wielu naszych współobywateli poległo. Nie mogliśmy przybyć wcześniej...

--Ale dlaczego w ogóle do tego doszło? Gdzie był garnizon planety? -- mógłby zapytać nasz prawomyślny podatnik. Czy naprawdę nie dało się nic zrobić?

--Proszę tak nie mówić o tutejszym garnizonie. Chłopcy walczyli jak bohaterowie. Ale co można zrobić, jeśli całej planety strzegą jedynie dwa wzmocnione plutony? Uratowali tych, których mogli, kilka tysięcy ludzi. Walczyli jak lwy, ale było ich zbyt mało. Na tym właśnie polega przebiegłość lemurów. Przez całe dziesięciolecia usypiały naszą czujność, udając przyjaciół, dlatego też nie trzymaliśmy na Zecie-5 zbyt dużych sił.

--A jak przebiegała walka? Co może nam pan powiedzieć, nie zdradzając oczywiście tajemnic wojskowych?

--Lemury zaatakowały nas, gdy wyprowadzaliśmy kolonistów do czekających na nich środków transportu. Zasypały nas strzałami, kamieniami, włóczniami... Próbowaly omotać sieciami, schwytać w pułapki... Odpowiedzieliśmy ogniem.

Zbliżenie -- tuzin ciał lemurów, leżących obok jakiegoś domu. Niektóre pozbawione głów lub kończyn.

--Strzelaliśmy, aż rozgrzały się lufy karabinów, ale one nadal atakowały. Dzikusy pewnie napaliły się jakiegoś świństwa albo nażarły trujących grzybów... Oczywiście nie stawiały oporu zbyt długo. Zmiotliśmy je jak śmieci. Na Zecie-5 ludziom nie zagraża już niebezpieczeństwo. Od dziś będzie stacjonował tu duży garnizon. My, ludzie, musimy zachować czujność!

--Dziękuję panu bardzo, Paul. Rodacy! Po raz pierwszy ludzkość zetknęła się z takim wrogiem. Po raz pierwszy starliśmy się z Obcymi. Ale to nie my pierwsi przelaliśmy ich krew. To oni zadali pierwszy cios, podstępny i podły. Odpowiedzieliśmy, pokazując nasze męstwo, naszą jedność, naszą wierność, nie szczędząc życia! Odparliśmy ten najazd. Zeta-5 nadal jest nasza i pozostanie nasza na wieki! A teraz, na cześć zwycięstwa naszych Sił Zbrojnych -- trzykrotne *Sieg Heil!*...

Słysząc *Horst Wessellied*.

--A teraz przechodzimy do innych wiadomości z naszego Wielkiego Imperium...

Przerywnik -- wirująca trójwymiarowa mapa przestrzeni okołosłonecznej. Słysząc uroczystą melodię *Straży na Renie*.

Jak wiadomo, im dalej w las, tym grubszy partyzanci. Krótki urlop dobiegł końca, pan

sierżant powrócił do swojego zwykłego nastroju, a nasze życie weszło w codzienne koleiny. Musztra, zajęcia, testy. Testy, zajęcia, musztra. Swoje odznaczenia zdaliśmy do depozytu i naszyliśmy na kombinezony odpowiednie baretki.

Złożyliśmy przysięgę. Przysięgłem wiernie służyć Imperium. Podobno takie słowa nic nie znaczą. Imperium jest moim wrogiem, a przysięga złożona wrogowi jest tylko wojennym fortelem.

Ale ja traktowałem to inaczej. Nienawidzę tych sztandarów, dokładnych replik poprzednich, pod którymi inni żołnierze, również odziani w *Feldgrau*, spalili połowę Europy, a ich sojusznicy -- połowę Azji. Zbyt dobrze wiem, co robiono w imię tych sztandarów. A teraz przysięgłem, że będę im służył. Nie ma już dla mnie odwrotu. Zresztą wiedziałem o tym od chwili przekroczenia progu punktu werbunkowego. Nie wiedziałem tylko, że będę się tak podle czuł, klękając przed sztandarem z jednogłowym rzymskim orłem. Nie potrafiłem się zmusić, by dotknąć wargami haftowanego jedwabiu.

Teraz byliśmy już szeregowymi i kapralami służby czynnej. Przeformowanie i uzupełnienie Tannenberga dobiegło końca. Batalion był gotów do walki. Pozostawało tylko czekać, dokąd nas wyślą -- po Krimmensholmie i Ingelsbergu nikt nie miał wątpliwości, że jesteśmy u progu wojny.

Życie płynęło niespiesznie i monotonnie. Do mojej drużyny przyjęto nowego rekruta, przysłanego z ostatnim uzupełnieniem. W porównaniu z tym wypłoszem nawet Razdwakriak sprawiał wrażenie męznego komandosa. Bez chwili zastanowienia powierzyłem rekruta właśnie jemu, obiecując, że za wypełnienie norm będą odpowiadali obaj.

W weekendy, jeśli nie miałem dyżuru i nie organizowano nam rozrywek w rodzaju alarmów szkoleniowych, chodziłem do miasteczka. Znalazłem sobie nową przyjaciółkę, Marie, koleżankę Gilvy, i teraz u niej spędzałem wieczory, wstawiając krzyżyki i ptaszki w odpowiednich kwadracikach szarobłękitnego blankietu. Marie, w odróżnieniu od Gilvy, była szczerze zadowolona z mojego braku zainteresowania jej osobą i starała mi się dogodzić pod innymi względami -- poila herbatą, częstowała własnymi wypiekami i nie przeszkadzała.

Z Gilvy spotkałem się kilka razy na neutralnym gruncie. Niby było sympatycznie, ale kiedyś zauważyłem, jak idzie Newskim pod rękę z jakimś wypomadowanym sztabowym podporucznikiem, i przeszła mi ochota na podtrzymywanie znajomości. Czyżbym zaczął być o nią zazdrosny? Zazdrosny o „dziewczynkę”, zwykłą żołnierską dziwkę?

I tak mijał dzień za dniem. Skończyła się zima -- łagodna i ciepła, na naszej planecie nie było prawdziwych zim; minęły lutowe deszcze i nastąpiła wiosna. Niby wszystko szło swoim trybem, ale...

Potrzebowałem walki. Niedługo minie pół roku, odkąd zostałem kapralem. Wystarczy. Nie mogę czekać dwadzieścia lat. Muszę kuć żelazo póki gorące i nie pozwolić przeznaczeniu odetchnąć. W przeciwnym razie cały mój wysiłek pójdzie na marne. Potrzebuję walki, potrzebuję możliwości wyróżnienia się. I to w taki sposób, żeby nie mogli mnie zbyć jakimś tam odznaczeniem.

Ale minął marzec i kwiecień, nastał maj, a żadnymi „kompliakcjami sytuacji międzynarodowej czy wewnętrznej” nawet nie pachniało.

Szyfrogram 5

Salim do Bakłana

Gladiator przybył szczęśliwie. Zaczął się adaptować. Zgodnie z informacjami operacyjnymi sztabu dywizji, wydarzenia na Zecie-5 zaklasyfikowano jako absolutnie tajne z dostępem „Alfa-Omega”. Młodszemu i średniemu składowi oficerskiemu, biorącemu udział w działaniach bojowych, podaje się wersję o powstaniu lemurów, braku dowodów na wpływy z zewnątrz i o „utajonych zdolnościach psychotronicznych aborygenów, przeoczonych w czasie poprzednich, nie dość dokładnych badań”. Pozwala to na wyciągnięcie wniosku, że sekret biomorfów już nie jest sekretem dla najwyższego dowództwa Reichswehry...

Szyfrogram 6

Gladiator do Bakłana

Przystąpiłem do pracy. Pierwszej informacji należy się spodziewać za dwa tygodnie.

Szyfrogram 7

Bakłan do Gladiatora

Zwróćcie szczególną uwagę na przygotowania do ewentualnych działań zbrojnych przeciwko biomorfom. Instrukcje, szkolenia, zajęcia (ze składem osobowym). Raport należy złożyć możliwie jak najszybciej.

Szyfrogram 8

Bakłan do Salima

Dziękuję za uzyskane opracowanie. Otrzymaliście cenne informacje. Kontynuujcie pracę pod kątem wyłowienia różnic pomiędzy oficjalną wersją wydarzeń na Zecie-5 a stanem faktycznym. Szczególne zainteresowanie budzi informacja o potraktowaniu własnych żołnierzy i ludności cywilnej bombą jądrową.

Czerwiec. Ciepłe, nawet gorące syberyjskie lato. Czaszkę na rękawie noszę od wielu miesięcy. I od wielu miesięcy Tannenberg nie robi kompletnie nic.

Po Zecie-5 nie widziałem więcej tamtego tajniaka, który groził mi dochodzeniem. Nie mogłem też nikogo o niego zapytać. Nikt mnie nie zaczepiał, w oddziale byłem ceniony, wygrałem zawody strzeleckie najpierw w plutonie, potem w kompanii, doszedłem nawet do finału batalionu, w którym zająłem drugie miejsce z wynikiem pięciuset sześćdziesięciu siedmiu punktów, przegrywając do zwycięzcy tylko sześcioma punktami.

Makumba też się wyróżnił, co prawda w nieoficjalnej części zawodów. W konkursie na najszybsze zjedzenie podwójnej porcji polowej nikt nie mógł się z nim równać.

Nie twierdzę, oczywiście, że nasze życie było usłane różami. Nocne alarmy, treningi, desanty szkoleniowe, manewry całego batalionu były chlebem powszednim. Istniała też kwestia patrolowania. Teoretycznie 5. Kompania, oficjalnie uznana za kompanię szkoleniową, nie brała udziału w rutynowych działaniach, jednak czasem, gdy do bazy przybywały na urlop inne plutony czy kompanie, używano nas jako zapchajdziury. Zazwyczaj były to rejony znacznie oddalone od Nowego Sewastopola, ale oczywiście, gdy to mój pluton miał kogoś zastąpić, przypadł nam w udziale właśnie Nowy Sewastopol.

Zarówno sierżant, jak i porucznik spoglądali na mnie znacząco w czasie odczytywania rozkazu o tymczasowym patrolowaniu ulic stolicy Nowego Krymu. A ja, zgodnie z regulaminem, wytrzeszczałem oczy i w żaden sposób nie reagowałem na sugestię, że wszyscy chętni mogą pozostać w bazie i zająć się pracami sanitarnymi.

Doskonale pamiętałem zarówno tajniaka, jak i słowa porucznika, że nie warto zostawać kiepskim szpiegiem. To jasne, że w Sewastopolu będą mnie pilnować i obserwować --

przyglądać się, czy nie pobłażam miejscowym, bo może da się udowodnić, że wkręciłem się w szeregi Tannenberg w celu prowadzenia działalności wywrotowej. Byłem świadom tego wszystkiego. Pewnie, że to dziecinna metoda, naiwna i rycerska, ale czasem bywa efektywna. Zazwyczaj wtedy, gdy stosuje się ją wobec naiwnych rycerzy.

Pytanie tylko, czy nie okażę się takim właśnie rycerzem...

Do Nowego Sewastopola przerwaliśmy nas transportowcem imperialnym i wysadzili w bazie wojskowej poza granicami miasta, gdzie stacjonowała kompania garnizonu nowosewastopolskiego. Zapewne Imperialowie mieli powód, by trzymać tu całą kompanię, mimo że Nowemu Krymowi pozostawiono prawo utrzymywania własnej policji kryminalnej i służb porządkowych. Istniał również oddział szczególnego przeznaczenia, oficjalnie mający przeciwdziałać ewentualnemu terroryzmowi. Oddziały te dysponowały całkiem współczesną bronią. Wprawdzie nie mieli jej dużo, ale zawsze to lepsze niż paliki i noże, z którymi, bywało, szli na czołgi zdeterminowani koloniści.

Trzecia Kadrowa Kompania, w której skupiła się stara gwardia, „weterani”, służący co najmniej trzy lata, została wysłana na urlop na Syberię. Nasz pluton przez dziesięć dni miał pełnić ich obowiązki. Po pierwsze, dziesięć dni to nie wieczność, po drugie, patrolowi nigdy nie mieli zbyt wielu problemów. Prócz Tannenberg na planecie były oddziały imperialne, służby tyłowe, szpital polowy, oddziały remontowe i cała ta publika nie gardziła skromnymi przyjemnościami nocnego życia Nowego Sewastopola. Głównym zajęciem patroli było wylapywanie tych z lewymi przepustkami.

Oficerowie sztabowi, lekarze, pielęgniarki i tak dalej nie mieszkali w obrębie miasta, lecz w stworzonej specjalnie dla nich dzielnicy na peryferiach, nieopodal bazy lotniczej. Żeby w razie czego łatwiej im było uciec?

Instruktaż przeprowadzał sam pan sierżant, bardzo przejęty powagą chwili. Odchrząknął i zaczął odczytywać nam odnośny przepis, urozmaicając go swoimi ulubionymi „bydlęcymi żyrafami”, „przerośniętymi słoniami” i „węźlastymi pytonami”.

Na podstawie regulaminu służby patrolowej mieliśmy pilnować, czy imperialni żołnierze przestrzegają regulaminowego umundurowania i czy imperialni żołnierze przestrzegają zasad zachowania w miejscach publicznych.

Jedno i drugie odnosiło się zarówno do szeregowców, jak i do oficerów. Na sugestię niewłaściwie ubranego oficera, że kapral nie ma prawa robić podobnych uwag starszemu stopniem, nie należy reagować, jedynie umieścić ją w raporcie.

Mieliśmy również pilnować porządku publicznego, nie wyręczając w tym miejscowej policji, ale jednak tłumić wybryki chuligańskie, reagować na zachowania antyestetyczne (biedny sierżant musiał się bardzo skupić, żeby wymówić słowo „antyestetyczny”, a na naiwne pytanie Razdwakriaka, na czym owo zachowanie, zdaniem pana sierżanta, miało polegać, dał odpowiedź zwięzłą i jednoznaczną: ten, kto paraduje po ulicy z gołym tyłkiem, zachowuje się antyestetycznie).

Otrzymaliśmy jeszcze inne instrukcje: pilnować, czy nie pojawiają się ulotki, plakaty, postery o treści antyspołecznej i antyimperialnej, krytykujące ustrój społeczny, moralność, ideologię państwa czy też osobę Jego Wysokości Cesarza; tłumić wszystkie nielegalne, czyli niezarejestrowane i niezaprobowane przez zarząd miejski przemarsze, mityngi, zebrania, manifestacje oraz inne formy wyrażania opinii publicznej.

--Czy mogę zadać pytanie, panie sierżancie?

--Proszę, kapralu.

--Wychodzi na to, że jednak zastępujemy policję. Przecież wszelkie mityngi i przemarsze to sprawa zarządu miejskiego, a nie garnizonu imperialnego, prawda?

Klaus Maria prychnął pobłaźliwie.

--Młody jeszcze jesteś, kapralu. Powiem tak: jeśli na zebraniu obrażają Jego Wysokość Cesarza, to znaczy, że jednocześnie obrażają jego wierną armię, a jeśli obrażają armię, to obrażają również Klause Marię Pferzegentakla. A gdy mnie obraża byle kto, ja, uczciwy sierżant, po prostu wychodzę z siebie. -- Uśmiechnął się szeroko, dając do zrozumienia, że ten „byle kto” będzie miał się z pyszna, jeśli tylko znajdzie się na drodze pana sierżanta.

--To znaczy, że możemy interweniować, jeśli zostanie naruszony honor i dobre imię Jego Wysokości?

--Ot, krymski cymbał! Jeszcze chwila, Fatiejew, i pomyślę, że niesłusznie dali ci kaprala. Na dowolnym zbiegowisku, powtarzam, dowolnym zbiegowisku, na który nie zezwolił zarząd miejski, a nawet na tym, na który zezwolił, mogą zacząć obrażać Jego Wysokość. Naszym obowiązkiem jest nie dopuścić, by poddani zniżyli się do tak podłego zachowania, kapralu. Teraz wszystko jasne?

Zasalutowałem i usiadłem bez słowa.

Więcej pytań nie było. Wychodziło na to, że garnizon miał pilnować politycznej poprawności mieszkańców stolicy, która niekoniecznie osiągnęła odpowiedni poziom. W końcu sam przez sześć lat studiowałem na uniwersytecie, słynącym ze swoich tradycji wolnościowych. W traktacie zawartym pomiędzy Nowym Krymem a Imperium znajdował się punkt o niezależności uniwersytetu nowosewastopolskiego, niepodlegającego Imperialnemu Ministerstwu Oświaty. Rektora mianowała rada kuratorów, dziekanów wybierano w drodze wolnego głosowania wykładowców i pracowników naukowych poszczególnych wydziałów. A rada kuratorów, mimo że w jej skład wchodził przedstawiciel administracji imperialnej sektora, podejmowała decyzję przeważającą większością, a nie przez konsensus, więc obecność jednego szarego munduru niczego nie zmieniała.

--Kapralu! -- głos Klause Marii przerwał moje wspomnienia. -- Swoją drużynę rozbijesz na dwie grupy patrolowe. Na czele jednej staniesz sam, na czele drugiej twój zastępca. Zajmiecie się kompleksem studenckich akademików w rejonie ulic Czechowa i Dostojewskiego. Czas patrolowania: cztery godziny, od 20.00 do 24.00. Potem, zgodnie z regulaminem, zjawicie się z meldunkiem w komendanturze. Wszystko jasne? Wykonać, małpy bezogoniaste!

Dzielnica akademicka... Nic gorszego nie mogło się nam trafić. Zwariowali, czy co? Przecież dzisiaj piątek. Studencka brać bawi się po pracowitym tygodniu -- zwłaszcza że jest czerwiec, sesja... I do tego gniazda os, dokąd nie zaglądali nawet nasi liberalni posterunkowi, po cichu tolerując prawa studentów i uznając, że w swojej dzielnicy mogą nawet stać na głowie. Kiedy ja studiowałem, imperialne patrole nam nie przeszkadzały. Porządki się zmieniły, czy co? A może specjalnie tak to urządzili, żeby mnie sprawdzić? Może to sprawka tego słynnego tajniaka?

Odpowiedź na to pytanie można było zdobyć tylko na drodze doświadczenia.

Patrole w Nowym Sewastopolu zawsze nosiły broń, i to nie tylko bojową, ale i policyjną. Gaz łzawiący, shotguny i tak dalej. Mannlichery zarzuciliśmy na plecy, zamki zostawiliśmy

otwarte, żeby nic się nie zdarzyło, nawet przypadkiem.

Ja z Changiem wytyczyliśmy trasę.

--Łączność co pięć minut -- przypomniałem po raz kolejny. -- Jeśli coś się stanie...

--Dowódco, nie przejmuj się tak -- zahuczał w odpowiedzi Makumba, już czując przedsmak zawierania znajomości z sympatycznymi studentkami. Nie chciałem popsuć mu humoru, mówiąc, czego może się spodziewać ze strony owych studentek podczas pierwszej próby zaczepienia którejs z nich.

Dżip wysadził moją grupę i pojechał dalej. Changowi przydzieliłem łatwiejszy odcinek -- same akademiki, gdzie teraz i tak było pusto: rozweseleni studenci i parki, dojrzewające do łózka, pojawią się dopiero po północy.

Sobie zostawiłem to, co najważniejsze: rejon Wścieklicy, jak nazywano niewielką dzielnicę klubów, knajpek, wirtualek i podobnych zakładów. Czerwonych latarni tu, rzecz jasna, nie było. Piwo lało się za to strumieniami, języki się rozwiązywały, krew zaczynała szybciej krążyć w żyłach. Żołnierz Imperium, nawet z opaską patrolowego, nie powinien się tam pojawiać, jeśli nie chce mieć poważnych nieprzyjemności.

A jednak właśnie tam nas wysłano.

--Uwaga, patrol! -- odezwałem się półgłosem do chłopców. Ze mną szedł Dżonamani, który, już zdrowy, wrócił do drużyny, Glinka, Surendra i Razdwakriak. Z Changiem zostali Mikki, Fatih, Nazarian, Makumba i przysłany zamiast poległego Keosa rekrut, który już został zaprzysiężony. -- Trasę znacie. Żadnych rozmów, żadnych żartów, gęby na kłódkę. Jak będziemy przechodzić obok knajp, nawet nie odwracać głowy. Patrzyć przed siebie. Nie ulegać prowokacjom. Niech sobie krzyczą, co chcą. Nie potrzebujemy pobojuwiska. Wszystko jasne?

Pokiwali ponuro głowami. Chyba zaczęli rozumieć, w jakim gównie się znaleźliśmy.

--Pod żadnym pozorem nie łapać za broń. Gdyby przyszło co do czego, walczyć pałkami, walić pięściami, ale w żadnym wypadku nie strzelać. Jak któryś dotknie karabinu, osobiście urwę mu głowę i żaden starszy sierżant mu nie pomoże. Wszystko jasne?

Zrobiłem teatralną przerwę, żeby powaga sytuacji dotarła również do Razdwakriaka, i zakomenderowałem:

--Idziemy.

Ulice dzielnicy studenckiej były jasno oświetlone. Nie było tu ciemnych zaułków; studenci starszych roczników sami organizowali patrole, żeby gwałciciele, złodzieje czy inne typy spod ciemnej gwiazdy nie mogli zbyt swobodnie działać. I rzeczywiście -- nie działali.

Ulice w dzielnicy uniwersyteckiej brukowane były kamieniami. Mimo woli przypomniałem sobie słynne powiedzenie o „bronii proletariatu” i zakląłem pod nosem. Nie miałem ochoty sprawdzać trwałości swojego pancerza w tak prymitywny sposób.

--Dowódco, tu jest całkiem fajnie! -- oznajmił Razdwakriak, obrzucając spojrzeniem oświetlone uliczki, kępy bzu i jaśminu, otwarte drzwi i okna knajp, z których dobiegała muzyka. Każdy bar czy knajpka starała się jakoś wyróżnić, w każdym lokalu grano inną muzykę -- w jednych miejscach uznawano wyłącznie ciężkie brzmienie rocka, w innych co wieczór występowali bardowie, a jeszcze gdzie indziej puszczano jedynie mistyczną „muzykę elfów”.

Na placzkach przed knajpkami i barami, jak zawsze o tej porze, było mnóstwo ludzi. Niewiele się tu zmieniło, najwyżej moda. W tym sezonie wszystkie dziewczęta nosiły jaskrawe bluzeczki, obnażające pępki, a szerokością rozkloszowanych spodni mogły konkurować z

najbardziej wyluzowanymi marynarzami.

Moi chłopcy gapili się na nie, zapominając o moich zaleceniach. Przypomniałem im przez komunikator.

Spokojnym krokiem szliśmy uliczką. Z prawej strony ryczała muzyka w Bojowym Kogucie, z przeciwnej strony ulicy Stary Mag konkurował z nią nieprawdopodobnie wysokimi tonami elfich pieśni. Wiedziałem, że w Starym Magu zazwyczaj spotykali się członkowie brygad, więc chciałem ominąć to miejsce jak najwcześniej, nim studenci rozgrzeją się i zaczną robić głupstwa.

--Równaj krok i nie rozglądać się -- zasyczałem przez komunikator. -- Tu wszystko w porządku. Nikt nie zakłóca spokoju publicznego i nie obraża osoby Jego Wysokości. Spokojnie idziemy dalej...

Nad drzwiami Starego Maga, absolutnie nie przystając do nazwy knajpy, łopotiała czerwona flaga z sierpem i młotem, a nieco niżej widniało nie mniej wyzywające hasło: *No pasaran!*, z niewiadomych powodów napisane cyrylicą.

Nadgorliwy Razdwakriak zaniepokoił się.

--Panie kapralu, ośmielam się zwrócić pańską uwagę...

Powiedział „panie kapralu”, a nie „dowódco”. Kapralem chłopcy nazywali mnie wyłącznie wtedy, gdy chcieli podkreślić oficjalny charakter sprawy.

Co za osioł, pomyślałem. Co ci się tu nie podoba, Kaczorze nieszczęsny? Chcesz, żeby nas wszystkich...

--W porządku, Kaczorze, to flaga brygady międzynarodowej, mają oficjalne pozwolenie.

Boże, spraw, żebyśmy przeszli spokojnie...

Ale Razdwakriak uparł się jak muł.

--Ależ panie kapralu, przecież pan sierżant powiedział wyraźnie...

Nie zdążyłem odpowiedzieć temu idiocie, bo właśnie drzwi Starego Maga otworzyły się na oścież i na opasujący budynek drewniany pomost, na którym zazwyczaj organizowano tańce, wypadła gromada młodzieży. Wiele osób miało na czole czerwone opaski, znak przynależności do brygady.

Sekundę później zobaczyłem Dalkę. Była w zielonej koszulce i czarnych spodenkach, z czerwoną opaską na czole i bez butów. W lewej ręce trzymała otwartą butelkę niedźwiedzia, popularnego piwa, a drugą...

Drugą obejmowała niewysokiego chudzielca, o połowę węższego ode mnie w ramionach, z włosami uczesanymi w popularną wśród nonkonformistów wszystkich epok i narodów fryzurę typu koński ogon.

I może nic by się nie stało, gdyby Dalka mnie nie rozpoznała. Staliśmy w jasno oświetlonym miejscu, byłem zwrócony do niej twarzą, osłonę helmu miałem podniesioną...

--Popatrzcie tylko, szakala do nas przyniosło! -- zawołała na cały głos. -- Imperialny wąż, w dodatku z całą bandą! W pojedynkę się nas boją! Boją się nas, prawda, chłopcy?

Tak naprawdę nie było nic dziwnego w tym, że spotkałem tu Dalkę; w międzynarodowych brygadach była od dawna, a Stary Mag -- też od dawna -- słynął jako ich nieoficjalny sztab. Prawdopodobieństwo, że wpadnę na nią właśnie tutaj, było ogromne... I sędzę, że ten, kto nas tu wysłał, na to właśnie liczył.

--Nie reagować -- powiedziałem szybko. -- Idziemy dalej, chłopcy...

--Ale ona nas obraża! -- oburzyli się głośno Kriak i Hindusi. Glinka skrzywił się, ale nic nie powiedział.

--Gdybyśmy zwracali uwagę na każdy... -- zacząłem i w tym momencie Dalka nie wytrzymała. Wspominałem już, że odznaczała się gorącym temperamentem, a pojęcie „opanowanie” było jej z gruntu obce.

Zrzuciła rękę długowłosego i lekko zbiegła po schodkach. Moi chłopcy wyraźnie się stropili; nie wiedzieli, jak zareagować. Dalka chyba nie miała bronii, no bo gdzie by ją miała schować? Przecież nie pod obcisłą bluzką czy równie obcisłymi spodenkami...

Cios, jaki wyprowadziła w moją twarz, był bardzo profesjonalny. Dalka od dawna trenowała karate i teraz chyba postanowiła wypróbować swoje umiejętności na mnie. To nie był policzek, lecz precyzyjnie wymierzony cios, jakim dobrze wyszkoleni wojownicy łamią nos przeciwnikowi. Taki przeciwnik zostaje wyłączony z walki na skutek szoku bólowego.

Na szczęście zdążyłem złapać ją za rękę i odepchnąć do tyłu. Myślałem, że to ją ostudzi, ale gdzie tam! Dalka zasyczała jak rozzłoszczony kot, nie gorzej od tegoż kota błysnęła oczami i wyraźnie chciała zaatakować znowu.

--Koledzy, przecież to Fatiejew! -- wrzasnął któryś z tyłu. Studia skończyłem jakiś czas temu i nie spodziewałem się spotkać znajomych w dzielnicy uniwersyteckiej, ale widocznie w brygadach byli nie tylko studenci.

--Ten sam Fatiejew, który zapisał się do esesmanów!

„Esesman” to na Nowym Krymie straszna obelga, którą można zmyć jedynie pojedynkiem. Być może jesteśmy jedyną planetą poza oczywiście Heidelbergiem -- z własnym, tolerowanym przez Imperium kodeksem honorowym.

Otaczali nas ze wszystkich stron. Dalka stała tuż przede mną, pierś jej falowała, pięści miała zaciśnięte. Wyraźnie szukała okazji do następnego ataku.

--Rozejść się! -- wrzasnął Razdwakriak, celując do tłumu z shotguna. Członkowie brygady mówili po rosyjsku, więc żaden z moich żołnierzy nie zrozumiał ani słowa -- prócz pierwszego zdania Dalki, specjalnie wykrzykniętego w ogólnoimperialnym.

--Kriak, spokój! -- warknąłem. -- Cała reszta też! Wy tutaj -- obrzuciłem spojrzeniem napierający na nas tłum -- właśnie dokonujecie ataku na żołnierzy patrolu, którzy w obronie własnej nietykalności mają prawo do otworzenia ognia po drugim ostrzeżeniu. To, co teraz mówię, potraktujcie jako pierwsze ostrzeżenie. Drugim będzie strzał pod nogi. Trzeciego ostrzeżenia nie będzie. Załatwimy was wszystkich i zrobimy to w majestacie prawa. Nas odznaczają, a was, jeśli któryś przeżyje, ześlą na Swaarg. Wszystko jasne? Rozejść się!

Dalka zrobiła krok do przodu.

--No, już! Na co czekasz, psie? -- wysunęła wyzywająco podbródek. -- Śmiało! Jestem tu. Strzelaj. No, strzelaj! Chyba nauczyli cię już zabijać bezbronnych?

Pozostawało mi tylko jedno.

--Maski! -- zakomenderowałem krótko.

Otoczyli nas. Dżonamani i Surendra zachowali spokój, ale Kriak spanikował.

--Będę strzelał! -- wrzasnął, jakby nie słysząc mojego rozkazu. O shotgunie zdążył zapomnieć, teraz jego ręce gorączkowo szukały wiszącego na plecach mannlichera.

--Ani mi się waż, Kriak! Maskę włóż!

--Na nich, bracia! Chyba nie stchórzymy?! -- krzyknęła Dalka i rzuciła się na mnie.

Moje ciało zareagowało odruchowo. Chwył, którym tak długo dręczył mnie Klaus Maria, wyszedł mi pokazowo. Odejdźcie do przodu i w lewo, błyskawiczny kontratak na dwóch poziomach -- głowa i okolica nerek. Dodajmy, że na rękach miałem ciężkie rękawice bojowe...

Taki cios, jeśli został wykonany prawidłowo, posyła przeciwnika w głęboki nokaut. Dalnę odrzuciło do tyłu, nogi się pod nią ugięły i upadła na ziemię niczym postrzelony ptak.

Idiota Kriak dopiero teraz wpadł na to, żeby aktywować maskę. Wyciągnąłem zawleczkę granatu gazowego. Imperialny gaz łzawiący to ciekawe urządzenie. Nie można się przed nim osłonić mokrą chusteczką czy prymitywnym respiratorem. Ludzie z wyciem odskoczyli od gęstego białego dymu. Chyba wszyscy doskonale wiedzieli, co to takiego.

Zanurkowałem w gryzącą białą mgłę. Maski działała idealnie, automatycznie wysuwający się celownik pozwalał mi orientować się w kłębach gazu i dzięki temu szybko znalazłem leżącą na ziemi Dalnę. Doskoczyłem i wziąłem ją na ręce. Szybko, zanim dojdzie do silnego poparzenia śluzówek...

Policyjny gaz łzawiący jest bardzo gryzący, ale na szczęście wolno się rozprzestrzenia i szybko ulatnia. Wystarczyło zrobić kilka kroków i już byłem poza białą zasłoną. W komunikatorze odezwali się Kriak i Dżonamani, ale nie zareagowałem. Ostrożnie położyłem Dalnę na trawie. Wiatr wiał w dobrą stronę, chmura tu nie dojdzie. Jeszcze chwila i zanurkowałem ponownie w kłęby gazu.

--Dowódco! Panie kapralu! -- darł się Kriak.

--Spokojnie, chłopcy, spokojnie! -- Jeszcze dwa kroki i już byłem obok nich. -- Nic się nie stało. Kontynuujmy obchód. Zamelduję o zajściu.

Nie wątpiłem, że ta scena była obserwowana. Z daleka, ale za to uważnie. Nie mogłem teraz w niczym uchybić regulaminowi.

Przełączyłem komunikator na częstotliwość komendantury. Krótka, bez zbędnego dramatyizmu, zameldowałem o wydarzeniu.

--Co wy mówicie, kapralu! Atak na imperialny patrol?! Natychmiast wysyłamy...

--Panie poruczniku, nic się nie stało. To sprawa osobista. To tylko... moja dziewczyna. Była dziewczyna, z którą się pokłóciłem. Nikt inny nie podjął żadnych działań zagrażających naszemu życiu. Tylko ona i tylko w stosunku do mnie. Kontynuujemy patrolowanie okolicy.

--Ach, tak... Dziękuję za operatywność... i za szczerą, kapralu. Popieram waszą decyzję o użyciu gazu łzawiącego. To rzeczywiście najlepszy sposób na rozpręczenie tłumu. Kontynuujcie patrolowanie. Meldujcie o sytuacji co dziesięć minut. Bez odbioru.

W tym momencie odezwał się Chang. U niego, tak jak się spodziewałem, wszystko było w porządku. Za naszymi plecami rozwiewała się powoli szczelna chmura gazu.

--Kriak, powieś karabin. Shotguna ze strachu nie zgubiłeś? Dżonamani, popraw mundur. Surendra, z tobą wszystko w porządku? Idziemy dalej, chłopcy. Będziemy się tu kręcić jeszcze cztery godziny...

Wiedziałem, że to zajście nie może się tak po prostu skończyć. Gorące głowy tak szybko nie stygną. No i już za długo nie było na Nowym Krymie żadnych poważniejszych zamieszek. Nigdy wojsko nie znalazło powodu, żeby wtrącić się do tłumienia masowych niepokojów. Tym bardziej nie powinniśmy stwarzać im pretekstu teraz. Nawet jeśli ktoś w sztabie Tannenbergu czy w Geheime Staatspolizei bardzo tego pragnął.

--Równaj krok! -- nakazałem ostro moim podkomendnym. -- Jesteśmy komandosami.

Walczyliśmy z potworami. Przeżyliśmy atak jądrowy. A tutaj zebrało się kilkunastu szczeniaków. Nas jest pięciu. Pięciu facetów, uzbrojonych po zęby, w pancerzach, które przebija nie każda kula. Wyżej głowy! Musimy myśleć nie tylko o tym, że mogą nas zabić, ale o tym, żebyśmy my nikogo nie zabili. Nie sądzę, żeby przypadło to do gustu panu sierżantowi!

Chyba ostatni argument poskutkował najlepiej.

Tymczasem Wścieklica została zaalarmowana. Czulem to fizycznie, całą swoją istotą... Pomyślałem nagle, że przeżywałem już coś takiego, stojąc pod drzwiami kajuty dowódcy na „Meronie”. Teraz było podobnie. Zdawało mi się, że słyszę echo gniewnych głosów, brzęk stalowych rur, dźwięk tłuczonego szkła. Gdzieś ktoś używał łomu. Widocznie chłopcy rozbierali jezdnię, planując użycie tradycyjnej „broni proletariatu”.

Niedobrze. Chyba się nakręcali. Jeśli nie powstrzymamy tych idiotów od razu...

Zamęt wywołany moim granatem powoli ucichał. Wścieklica nie jest duża, ale wiele osób patrzyło na całe zajście z okien, obserwując, jak po jasno oświetlonej ulicy rozplywa się mlecznobiały kleks. Dziękowałem Bogu, że nikt nie rzucił się do walki od razu.

Mijaliśmy restauracje, bary i piwiarnie. Wszędzie z okien i z uchylonych drzwi sterczały głowy ludzi. Odprowadzano nas bacznyimi, nieprzyjaznymi spojrzeniami i muszę przyznać, że nie spodziewałem się tak skoncentrowanej wrogości. Jak się okazało, ludzie mieli lepszą pamięć, niż mi się kiedyś wydawało, gdy miotałem na głowy swoich rodaków gromy i błyskawice, żeby tylko nimi wstrząsnąć. Żadne błyskawice nie były potrzebne. Suchy chrust potrzebował jedynie iskry.

Czekali na nas za zakrętem. Co najmniej trzydziestu zdeterminowanych chłopców i mniej więcej tuzin znacznie bardziej zdeterminowanych dziewczyn. Uzbrojeni byli we wszystko, co im wpadło w ręce -- łomy, młoty, palki i kawałki rur. Nie zabrakło oczywiście klasycznych „tulipanów”, łańcuchów motocyklowych i różnych wschodnich bajerów. Zdażyli nawet owinać twarze białymi szalami, chustkami i czym kto miał. I zaatakowali nas od razu ze wszystkich stron, żeby „przekłete fryce”, czyli my, nie zdołali się spostrzec i chwycić za broń.

Gdyby nie to, że wyczułem ich szóstym zmysłem, byłoby po nas. A tak zdążyłem zakomenderować: „Maski!”, zanim skręciliśmy za róg. Na widok uzbrojonego tłumu bez wahania użyłem drugiego granatu łzawiącego. Sekundę później Surendra i Dżonamani również rzucili granaty, wydzielające wątpliwy aromat bzu. Przerażony Kriak wystrzelił w tłum gumowym pociskiem z shotguna, ale oczywiście nie trafił.

Nie spodziewali się tak błyskawicznej reakcji. Nie mieli żadnego doświadczenia w walce z policją czy z gazami policyjnymi i po prostu rozbiegli się, obrzucając nas niewybrednymi przekleństwami.

Gdy już znaleźli się w bezpiecznej odległości, zaczęli ciskać w nas kamieniami brukowymi. Jeden trafił w osłonę mojego helmu, drugi wałnął Surendrę w ramię.

--Przestańcie! -- krzyknąłem po rosyjsku co sił w płucach.

Bez efektu.

--Bij faszystów! -- dobiegł z zarośli krzyk przerwany kaszlem; gaz robił swoje.

Zacisnąłem zęby. Dalka, moja biedna, głupia, prosta jak rosyjski miecz, nieznaną kompromisów Dalka leżała teraz gdzieś tam na trawie, powalona moją własną pięścią. Ogień płonął mi w piersi i pozorowanie spokoju kosztowało mnie sporo wysiłku.

Smarkaczom brakuje adrenaliny? Nie ma sprawy, zaraz rozwiążemy im ten problem.

Pstryknięcie. Celownik na helmie wysunął się i zaczął działać. W pomarańczowym kręgu zatańczyły cienie, wymachujące rękami, na chybił trafił rzucające kamieniami w chmurę lżawiącego gazu. Staliśmy w środku i teraz nic nam nie groziło, ale...

Podniosłem shotguna. Purpurowy punkt, oznaczający koniec linii celowania, spoczął na prawym ramieniu najbardziej gorliwego z napastników, stojącego w pobliżu chmury. Nacisnąłem spust.

Chłopaka odrzuciło na pięć metrów. Upadł. Jego towarzysze od razu do niego podbiegli i chwycili pod ręce. Ktoś histerycznie wrzasnął: „Zabili!”, ale kolega pochylający się nad rannym szybko machnął ręką, że wszystko w porządku -- żyje.

Na moją komendę strzelili również Surendra i Dżonamani. Spanikowany Razdwakriak zapomniał przeładować broń.

Aż do końca patrolu nikt nas nie niepokoił. Knajpy zamykały się jedna po drugiej, ponure dzieciaki grupkami ciągnęły się w stronę akademików. A my chodziliśmy sobie w kółko, co chwila zerkając na zegarki. Kriak ze strachu omal nie popuścił w spodnie. Biedak uświadomił sobie poniewczasie, że gdyby zastrzelił jakiegoś studenta, wylądowałby na katordze.

Gdy wróciliśmy, w komendanturze huczało jak w ulu. Skąd się tu wzięło trzydziestu policjantów i co najmniej dwa tuziny zaalarmowanych oficerów? Z trudem udało mi się przekonać wszystkich, że panujemy nad sytuacją.

--Kapralu! Będiesz świadkiem i opowiesz wszystko przed administracją miejską -- odwrócił się do mnie komendant.

Tego mi tylko brakowało! Znałem niemal wszystkich członków zarządu miasta. No i oni znali mnie. Wielu z nich często odwiedzało nasz dom, niektórzy byli starymi znajomymi ojca, niektórzy przyjaciółmi rodziny...

Cóż, strzeliłem obcasami i zameldowałem, że mogę pójść choćby zaraz.

--Zaraz to będziesz pisał raport o zajściu -- ostudził mój zapal komendant. -- Twój patrol również. Potrzebujemy jak najwięcej zeznań świadków, żeby pójść z tym do głównego. No, już ja go przycisnę! Z takim materiałem! -- zatarł ręce.

Stałem jak słup soli. Przed oczami miałem obraz przewracającej się Dalki. Jej zamknięte oczy. Nieruchomą twarz. Mogłem tylko mieć nadzieję, że nie zdążyła nałykać się gazu.

W komendanturze trzymali nas do północy. Składaliśmy zeznania, a mnie zmuszono do napisania szczegółowego raportu. Spisano protokół „zużycia czterech granatów gazowych typu policyjnego, model G-8, wypełnienie -- gaz o krótkotrwałym działaniu drażniącym”... i tak dalej.

Następnego dnia rano wezwał mnie nasz dowódca kompanii, kapitan Möchbau, ten, który, zdaniem dowódcy Tannenberga, nie znosił tajniaków. Nie wiem, czy naprawdę tak ich nie lubił, w każdym razie mój stary znajomy z bezpieki już u niego siedział. Był również porucznik Rudolf. Spodziewałem się ponurego grymasu na twarzy tego ostatniego, ale wyglądał jakby nic się nie stało.

Nie spałem przez całą noc, czy raczej te ostatnie godziny przed świtem. Imię Dalki huczało mi w mózgu, niczym czarna pileczka kauczukowa uderzając o kości czaszki, odbijając się, uderzając znowu i tak bez końca. Co ja narobiłem? Kim się stałem? Nikt nie budził we mnie zwierzęcia, zrobiłem to sam. Na własne życzenie. Przecież mogłem się uchylić. Sportowe karate Dalki nie mogło się równać z bezwzględną szkołą desantowej walki wręcz, łączącej

wszystkie style i kierunki walk, podporządkowanej jednemu celowi -- zabić przeciwnika. W dowolny sposób. W maksymalnie krótkim czasie.

U dowódcy kompanii stawilem się w wypolerowanych do blasku butach, wyprasowanym mundurze i ze wszystkimi akcesoriami.

Möchbau obrzucił mnie długim, zadowolonym spojrzeniem. Wyglądałem jak wzór młodego komandosa.

--Siadaj, kapralu. Nie proponuję papierosa, wiem, że nie palisz. Pan kapitan -- skinięcie w stronę tajniaka -- chciałby z tobą porozmawiać. Nalegałem na swoją obecność w czasie tej rozmowy, jako twój dowódca kompanii. Jak widzisz, dowódca plutonu jest tu również. Z tego samego powodu.

--Jestem gotowy odpowiadać na pytania, panie kapitanie

--Pytania będę zadawał ja -- rzekł tajniak, pochylając się do przodu i patrząc na mnie jak wąż na królika.

Jasne. Jak mógłby się obejść bez ulubionych formulek: „To ja tu jestem od zadawania pytań” albo: „To, że nadal pozostaje pan na wolności, nie jest kwestią pańskiej niewinności, lecz naszego niedopatrzienia”.

--Jestem gotów, panie kapitanie!

--Powiedzcie mi, kapralu... w waszym raporcie, złożonym w komendanturze i być może pisany pod wpływem silnego wzburzenia, nie podaliście wyraźnego powodu starcia z gośćmi zakładu Stary Mag.

--Panie kapitanie, wydawało mi się, że wskazałem przyczynę wystarczająco jasno. Zaczęli nazywać nas...

--Nie trudźcie się, kapralu. Czytałem raport. Moje pytanie brzmi: kto konkretnie zaczął was „nazywać”?

Więc o to chodzi. Pewnie nas obserwowali. Widocznie przyjrżeli się Dalce. No cóż, kolejny dowód, że w naszej sprawie nie sposób pozostać czystym...

--Panie kapitanie... to sprawa osobista.

--Słucham, słucham. -- W głosie tajniaka zadźwięczał metal.

--To była moja dziewczyna. Moja była dziewczyna, z którą rozstałem się na krótko przed wstąpieniem do wojska.

Porucznik i Möchbau popatrzyli na siebie i przysięgłbym, że dostrzegłem w ich oczach wstręt i wzdarcę, jakby chcieli powiedzieć: „Złamał się od razu, nawet nie próbował się zapierać i chronić bliskiej osoby. Ci Rosjanie!”

--No proszę! -- chyba udało mi się zadziwić tajniaka. -- A więc mówicie, że to wasza była dziewczyna, kapralu. Pięknie. Dalia Dżamajte, jeśli się nie mylę?

--Tak jest -- powiedziałem głosem, jakim wypowiada się ostatnie słowa nabożeństwa za spokój duszy zmarłego.

--Doskonale. Idealnie. Wspaniale. Co stało się później, gdy zaatakowała was powtórnie?

--Byłem zmuszony się bronić. Przewróciłem ją.

--Coraz lepiej. Atak na żołnierza Imperialnych Sił Zbrojnych został godnie odparty. Ale dlaczego nie podjęliście żadnych kroków w celu zatrzymania napastnika?

--Panie kapitanie, poinformowałem pana, że to bardzo osobista sprawa. Zaatakowano mnie jako Rusłana Fatiejewa, nie jako żołnierza Imperium.

--Tak, tak, tak... -- kapitan ściągnął brwi. -- Jak każe postępować w takim przypadku regulamin służby wartowniczej i patrolowej, kapralu?

--Chwileczkę, chwileczkę -- skrzywił się Möchbau. -- Jeśli kapral Fatiejew twierdzi, że to sprawa osobista, wówczas...

--Osobista? -- zachnął się kapitan. -- Osobista?! Proszę -- potrząsnął plikiem zapisanych kartek. -- Oto zeznania pozostałych członków patrolu. We wszystkich powtarza się to samo: Dżamajte obrażała ich jako żołnierzy armii imperialnej i...

--Czy prawdziwy komandos ma zwracać uwagę na słowa każdej rozwydrzonej pannicy? -- przerwał mu niezbyt uprzejmie mój dowódca. -- Chce nam pan załatwić nową wojnę partyzancką? Silny nie musi odpowiadać siłą na takie zaczepki, wystarczy, że je wyśmieje. A może wątpi pan, że potrafilibyśmy rozwałkować to miasto na naleśnik?

--Z takimi kapralami jak Fatiejew może się okazać, że to was rozwałkują -- odparł kontrwywiadowca z krzywym uśmiechem.

W życiu bym nie przypuścił, że porucznik straci panowanie nad sobą. Ale on pobladł, wstał gwałtownie i tak samo gwałtownie poprawił mundur.

--Łaskawy panie, obrażając mojego kaprala, obraża pan mnie osobiście. Jako młodszy stopniem nie widzę innego sposobu bronięcia swojego honoru, jak...

--Rudolf! -- huknął Möchbau. -- Siadaj! Jeszcze mi tu pojedynków brakowało. A pan, panie kapitanie...

--A ja zabieram waszego kaprala ze sobą -- uśmiechnął się tajniak.

Teraz pobladł również Möchbau.

--Nakaz aresztowania -- zażądał lodowatym tonem. -- Podpisany przez wojskowego prokuratora naszego sektora. Zrozumiał mnie pan, kapitanie? Nakaz podpisany przez prokuratora wojskowego, a nie przez naczelnika pańskiego wydziału. Bez tego nakazu nie zrobi pan w mojej kompanii nic. Słyszysz pan? Nic!

Tajniak chyba się zmieszał. Formalnie nie był starszy stopniem od Möchbaua i nie miał prawa mu rozkazywać -- żadna ustawa Imperium nie stawiała tajnych służb ponad innymi formacjami wojskowymi. Musiałyby zaistnieć okoliczności nadzwyczajne, a i tak kapitan musiałby mieć odpowiednie pełnomocnictwa i dokumenty -- i to podpisane, jak słusznie zauważył Möchbau, nie przez kontrwywiad. Kontrwywiad nie mógł sam sobie nadać takich uprawnień. Widocznie cesarz zbyt dobrze rozumiał, co stałoby się z jego Imperium, gdyby tajna policja -- bez względu na swoją aktualną nazwę -- otrzymała pełnię władzy.

Tajniak nie poczerwieniał, nie pobladł, nie zaczął sypać czczymi pogrózkami (które w tym konkretnym przypadku mogły nie być czcze). Przez jakiś czas patrzył uważnie w oczy Möchbaua, potem wruszył ramionami, jakby chciał podkreślić, że wyświadcza mu ogromną przysługę.

--Proszę bardzo, panie kapitanie, skoro pan nalega... Dostarczę panu ten nieszczęsny nakaz. Może go pan wtedy powiesić na ścianie albo wykorzystać zgodnie z przeznaczeniem.

Möchbau zmrużył oczy i zrobił krok do przodu. Wiedziałem, że pochodzi ze starodawnego rodu baronów i że jego rodzina ma długie wojskowe tradycje. Słyszał z zimnej krwi, ale teraz miałem wrażenie, że uderzy tajniaka.

--Jeszcze słowo, drogi panie, a ja będę zmuszony wyzwać pana na pojedynek. Jak sądzę, powinien pan natychmiast opuścić powierzone mi oddziały. I radzę panu nie zjawiać się tu bez

odpowiedniego nakazu. O pańskim oburzającym zachowaniu zostaną zaś poinformowane odpowiednie osoby, zgodnie z polowym regulaminem Imperialnych Sił Zbrojnych.

--Jak pan sobie życzy -- rzucił obojętnie tajniak, odwracając się do nas plecami. Znowu wzruszył ramionami i wyszedł, nie mówiąc już ani słowa.

Przez kilka minut panowała cisza.

--A teraz, kapralu -- rzekł Möchbau, kręcąc szyją, jakby cisnął go kołnierzyk -- byłbym wdzięczny, gdybyś opowiedział nam, co się właściwie stało.

--Tak jest, panie kapitanie. Sprawa wyglądała tak: dziewczyna, o której mówiłem... ta Dżamajte... rzeczywiście była na mnie wściekła.

--Jak rozumiem, należy do brygady międzynarodowej? -- zapytał ponuro porucznik.

--Tak jest. Dlatego... dlatego znienawidziła mnie, gdy wstąpiłem na służbę...

--To wiemy -- skinął głową Möchbau.

--I gdy się tak nieoczekiwanie spotkaliśmy... w końcu wybuchła. Ten atak był wymierzony przeciwko mnie, a ja nie mogłem jej tak zostawić...

--To właśnie chciałem usłyszeć -- ku mojemu zdumieniu Möchbau uśmiechnął się z aprobatą. -- To oczywiste, że nie mogłeś porzucić swojej dziewczyny w chmurze gazu. Nawet jeśli ta dziewczyna wpakowała cię w największe kłopoty twojego życia. Szanuję cię za to, kapralu. Dobrze, dajmy temu spokój. Porozmawiam z von Vallensteinem. On też nie lubi, gdy kontrwywiad zabiera mu najlepszych ludzi w pogoni za iluzjami. Możesz odejść, kapralu. Na pewno masz sporo spraw w swojej drużynie. Zezwalam na zajęcie się nimi w trybie natychmiastowym.

Szyfrogram 24

Gladiator do Bakłana

Dotyczy materiałów, o które prosiliście. Informuję, że batalion Tannenberg nie prowadzi żadnego specjalnego przygotowania swoich żołnierzy. Nie opracowuje się nowych instruktaży, a manewry oraz szkolenia taktyczne w kompanii i plutonie prowadzone są w typowy sposób. Należy więc założyć, że naczelne dowództwo wojskowe nie dopuści do rozpowszechnienia informacji o biomorfach i wydarzeniach na Zecie-5 nawet wśród składu oficerskiego elitarnych oddziałów Reichswehry.

Dni mijały, a tajniak z nakazem aresztowania nie przybywał. Za to pojawił się rozkaz wysłania mnie na krótkoterminowe kursy „podnoszenia kwalifikacji młodszej kadry dowódczej”.

Kursy były średnio interesujące. Zwykła wojskowa rutyna. Nowe systemy namierzania celu i kierowania ogniem. Udoskonalone komunikatory, pozwalające dowódcy kierować swoim oddziałem, pojedynczymi ludźmi lub całymi grupami, wyznaczać cele, wskazywać punkty orientacyjne i tak dalej. Nowy system liniowego opracowywania danych o przeciwniku, prosty i wygodny w użyciu. Na osłonę mojego helmu można było na przykład rzucić niemal trójwymiarową mapę okolicy ze wskazaniem pozycji ogniowych wroga. Takie systemy istniały od dawna, ale dopiero teraz udało się je sprowadzić do niedużego formatu. Stosowanie ich nie wymagało już dogłębnej znajomości techniki komputerowej i stopnia „mistrz programowania”.

Baza, w której prowadzono szkolenie, mieściła się wprawdzie na innej planecie, ale bardzo przypominała naszą, syberyjską. Grawitacja była tu wyższa o jakieś dziesięć procent, ale cała reszta niemal identyczna. Nawet „dziewczynki” okazały się bardzo podobne. Nic ciekawego.

Kurs trwał dziesięć tygodni i gdy wróciłem, syberyjskie lato dobiegało końca. Nadchodził wrzesień. Służyłem już prawie rok. Już prawie rok, a do celu było tak samo daleko...

Znowu sobie uświadomiłem, jak bardzo potrzebuję walki.

Ku mojemu zdumieniu drużyna powitała mnie jak ukochanego ojca, który wrócił po długiej nieobecności. Szybko zrozumiałem, dlaczego. Wprawdzie podczas mojej nieobecności formalnym dowódcą był Chang, ale pan sierżant Klaus Maria był jego opiekunem i „załatwił” drużynę tak, że chłopcy ledwie powłóczyli nogami od niekończących się nocnych alarmów i nieoczekiwanych treningów.

Zacząłem zaznajamiać ich z nowymi osiągnięciami techniki. Rutynowa praca. W mojej drużynie nie było już nowicjuszy, służba w Tannenbergu robiła swoje. Nawet Razdwakriak coraz rzadziej sprawiał wrażenie pacjenta kliniki psychiatrycznej, któremu udało się uciec, korzystając z niedbalstwa personelu.

Jak na złość, wiadomości imperialne nie wróżyły żadnej wojennej zawieruchy. Sieci informacyjne przekazywały wiadomości o dużych urodzajach, rosnącym kursie akcji, coraz wyższego popytu na rzadkie produkty delikatesowe i luksusowe artykuły. Wśród „popularnych przysmaków stolicy” figurowały nasze pelzaki, kawior i ośmiornice. Bilans płatniczy Nowego Krymu miał wielkie dodatnie saldo -- procesy „przedsiębiorców, złośliwie uchylających się od podatków”, jak nazywano ich w wiadomościach, znacząco rozszerzyły wpływy podatkowe. Nic ciekawego.

Na nieszczęsnej Zecie-5 też było wszystko w porządku. Czterdziesty Ósmy Korpus w pocie czoła patrolował osiedla kolonistów, a lemury ukryły się w swoich niedostępnych lasach. Zamarł nawet ten niewielki handel wymienny, który istniał między nimi a kolonistami. Ottonowi von Knobelsdorffowi wystarczyło rozumu, żeby nie przeprowadzać ekspedycji karnych. Patetyczne słowa Vallensteina, które padły w czasie lotu na Zetę-5, pozostały jedynie słowami. Wyglądało to tak, jakby wszyscy zgodnie zdecydowali, że nic strasznego czy dziwnego się nie wydarzyło.

No i oczywiście, nigdzie nie wspomniano o potworach, z którymi się tam zetknęliśmy.

Od czasu do czasu widywałem Gilvy. Pracowała pilnie w sztabie, na stanowisku -- jak mawiali złośliwi -- młodszej temperującej ołówki albo starszej obracającej wentylatory. Rozmawialiśmy, ale nic poza tym. Kilka razy widziałem ją z różnymi oficerami. Nie schodziła niżej porucznika...

Nie miałem żadnych wiadomości o Dalce. Sądząc z braku protestów i tym podobnych akcji, żyła. Tak się przynajmniej pocieszałem.

Nie wysyłano nas więcej do patrolowania miasteczka uniwersyteckiego, co jedynie utwierdziło mnie w przekonaniu, że tamten przypadek miał na celu poddanie mnie próbie.

Chciałem kiedyś porozmawiać o tym z dowódcą kompanii, ale ten tylko zmarszczył brwi i uciał rozmowę, oznajmiając, że wszystko ułożyło się jak najlepiej, nikt mnie nie rusza, a cała reszta to już nie moja sprawa. Gdy ostrożnie próbowałem naciskać, usłyszałem lodowate:

--Czy muszę wam przypominać o subordynacji, kapralu?

Oczywiście przez cały ten czas nie dostawałem żadnych listów z domu. Nie miałem zielonego pojęcia, co u nich słyhać. I to było najgorsze.

Szyfrogram 36

Salim do Bakłana

Gładiatorowi przekazano kontakty -- Aryjczyka i Wściekłego. Sobie pozostawiłem Buszmena i Saharę.

Szyfrogram 56

Bakłan do Salima i Gładiatora

W przededniu godziny I proszę o poinformowanie centrali o aktualnym stanie i zdolności bojowej obserwowanych przez was oddziałów.

Wszystko zaczęło się tak jak wtedy, przed Zetą-5. Rażące oczy czerwone błyski lamp alarmowych, wycie syreny, jakby atakowało nas całe stado bombowców. I przerabiane setki razy wyskakiwanie z łóżka, ubieranie się w ciągu czterdziestu pięciu sekund, milczący, skupiony bieg do czekających na polu startowym transportowców...

Z jedną różnicą -- nie byliśmy już nowicjuszami, choć miał to być dopiero nasz drugi desant bojowy.

Tym razem nawet Klaus Maria nie wiedział, o co chodzi. Jedyne, co nam powiedzieli, to że pójdziemy całą eskadrą i zostaniemy wysadzeni razem z ciężkim sprzętem.

--Co jest, znowu lemury? -- zastanawiał się Razdwakriak, gdy znaleźliśmy się na „Meronie” i przestała nam doskwierać nieważkość.

--Mówią coś, Chang? -- odwróciłem się do swojego zastępcy. Wprawdzie szanse, że jakieś okruchy informacji przesączą się do sieci, były mizerne, ale może?

--Pusto, dowódco -- odparł lakonicznie Chińczyk, szybko skanując kanały. -- Wiadomości, rozrywka, show... Nic ciekawego.

--Poczekamy, co powie dowódca batalionu -- zauważył powściągliwy Mikki. -- Przecież nie będzie nas trzymał w niewiedzy bez potrzeby.

To była szczerą prawdą, więc moja drużyna z flegmą starych wyjadaczy czekała, aż dowództwo zechce nas poinformować, gdzie i w imię czego będziemy ginąć. A ja... Gdy przemiął szok nagłego wyrwania ze snu w środku nocy, wyraźnie odniosłem wrażenie lepkiego brudu. Jakbym miał zanurzyć się po uszy w nieczystościach.

Co się dzieje? Dlaczego? Znowu Obcy? Ale na Zecie jest duży garnizon, mają tam korpus zmotoryzowany, pewnie z pięćdziesiąt tysięcy ludzi! Dywizja Grossdeutschland należała, podobnie jak my, do elitarnych oddziałów Reichswehry, zresztą 3. i 11. Dywizja Pancerna też były nie od macochy. Czy obecność naszego batalionu mogła do tego stopnia zmienić sytuację, że musieli zrywać nas w środku nocy?

„Merona” znowu cięła milczący kosmos. Statek miał pozostać na orbicie i trzymano na nim cały zestaw ciężkiego sprzętu -- żeby bez potrzeby nie tracić środków, transportując go z orbity na powierzchnię i z powrotem. Krótko mówiąc, byliśmy uzbrojeni po zęby.

Czas płynął, a Vallenstein milczał. Chłopcy, zaniepokojeni przedłużającym się milczeniem, w końcu nie wytrzymali i zaczęli wysuwać własne sugestie -- jedna bardziej fantastyczna od drugiej.

Męczyliśmy się cztery dni, pozbawieni jakichkolwiek informacji. Łączności z „ziemią” oczywiście nie było, żeby żaden szpieg, gdyby jakiś znalazł się na pokładzie, nie mógł przekazać swoim bezcennych informacji. Pomyślałem, że prawdopodobnie nawet Vallenstein nie znał naszego zadania. Co takiego mogło się wydarzyć, skoro nawet dowództwo zostało zaskoczony, a co najważniejsze, nie wie, jak ma zareagować?

Nic dziwnego, że targaly mną najgorsze przeczucia.

Piątego dnia „Merona” z trzema transportowcami wyszła z hiperprzestrzeni. Tannenberg przybył w pełnym składzie, pozostawiając na Nowym Krymie „niewielką grupę dowódczą”.

Dopiero wtedy, gdy już wszyscy dawno przestali się zakładać o sens i cel naszego zdania, Vallenstein przemówił.

W głosie podpułkownika drgały metaliczne nutki. Trudno było uwierzyć, że mówi do nas człowiek. Fatih wyraził nawet przypuszczenie, że głos dowódcy batalionu poddano komputerowej obróbce.

--*Soldaten*, czeka nas ciężka praca. Na Sylwaniu... -- zrobił przerwę i z wysiłkiem dokończył: -- Na Sylwaniu wybuchło powstanie. Część poddanych Imperium zwróciła się przeciwko władzom. Część... część żołnierzy garnizonu przeszła na stronę rebeliantów. Udało im się przejąć poważne zapasy broni i amunicji. Są... są doskonale przygotowani i umieją się bić. Przygotujcie się do poważnej walki. Ale... -- Vallenstein nie byłby sobą, gdyby nie spróbował nas jakoś zagrzać pod koniec przemowy: -- Ale cieszymy się, że tym razem nie przyjdzie nam walczyć z potworami!

To wszystko. Jak zwykle krótko i niejasno.

Drużyna zahuczała jak pszczele rój.

Sylwania. Kolejny sobowtór Ziemi, podobnie jak Nowy Krym. Niemal identyczny stosunek lądów do mórz. Sylwania przeżywała erę rozkwitu gadów, porównywalnych z naszymi dinozaurami. Niemal wszędzie rosły tam lasy, równie nieprzebyte jak na Zecie-5, nie było jednak rozumnego życia. Kolonię założono dość dawno, ponad sto lat temu, ale ludzie nie wymachiwali tu zbyt gorliwie toporem i nie ingerowali w krajobraz. Koloniści zajęli doliny rzek, pogórza, pagórkowate plateau, wybrzeża oceanu. Sylwania słynęła ze swoich kurortów.

To, że koloniści wznieśli powstanie, było jeszcze bardziej zdumiewające niż bunt pokojowo nastawionych lemurów.

Nieco później porucznik wezwał do siebie wszystkich kaprali. Rudolf wyglądał tak, jakby nie spał całą noc.

--Krótko mówiąc, sprawa wygląda tak -- zaczął bez zbędnych wstępów, wyświetlając dużą trójwymiarową mapę. Zobaczyłem brzeg morza, podchodzące do niego góry i szeroką dolinę rzeki, błękitem i zielenią przecinającą brązowy pas nadmorskiego pasma górskiego. U ujścia rzeki wyrastało miasto.

--Przeciwnik znajduje się tutaj i tutaj -- zaczął porucznik ochryplym głosem. -- Jak widzicie, jest tu most, bez którego nie będziemy mogli się obejść. Znajduje się na jedynej drodze prowadzącej z kosmoportu. Dowództwo nie chce lądować ciężkimi transportowcami poza lądowiskiem. Podobno w ten sposób wyrządzilibyśmy zbyt duże szkody tutejszej przyrodzie. -- Porucznik skrzywił się, wyraźnie dając do zrozumienia, co myśli o całej tej przyrodzie w ogóle i o ludziach podejmujących takie decyzje w szczególności. -- Dlatego Tannenberg ma przeprowadzić desant na północnym i południowym brzegu rzeki. Most jest dobrze umocniony, atakować będziemy z dwóch stron. Plan operacji powstał w oparciu o zasady *Blitzkrieg*; teraz, jak nigdy dotąd, będziemy potrzebowali zgranych, precyzyjnych działań. Kosmoport został zajęty przez spore siły przeciwnika, ale nimi zajmą się inne dywizje. Do nas należy most. Gdy tylko kosmoport zostanie zdobyty, ruszą zwykle oddziały. Powinniśmy zdobyć most, zanim nadejdą. Lotnictwo przerzuca również, więc miejmy nadzieję, że będziemy mogli liczyć na wsparcie z powietrza. Według zdjęć satelitarnych przeciwnik ma stacjonarną

obronę przeciwlotniczą, więc... -- porucznik westchnął --...więc będzie to wojna prowadzona zgodnie ze wszystkimi regulami, chłopcy. Teraz patrzcie uważnie. Oto ich system umocnień...

Powstańcy nie marnowali czasu. Nie dość, że ten most był mostem z prawdziwego zdarzenia -- prawie dwukilometrowy, przerzucony przez głęboki wąwóz (z pięćset metrów głębokości), to po obu jego stronach widać było pajęczynę transzei, okopów, rowów, punktów ogniowych... Pewnie nie zapomnieli również o minach.

--Przed atakiem użyjemy systemów zdalnego rozminowania -- wyjaśnił porucznik, jakby czytał w moich myślach. -- Przygotowanie artyleryjskie tylko na pierwszej linii. Nie możemy ryzykować. Most na pewno jest zaminowany A to znaczy... -- porucznik obrzucił nas przeciągłym spojrzeniem -- to znaczy, że będzie również trzeci atak. Grupa specjalna wylądowała na moście z zadaniem rozbrojenia ładunków. Wolalbym, żeby tę część zadania powierzono mojemu plutonowi, ale niestety nasza kompania atakuje z północy. Teoretycznie przeciwnik nie powinien spodziewać się ataku z tej strony, ale... sami widzieliście jego umocnienia. Jest przygotowany do walki na dwa fronty. Zaatakujemy w nocy. Oto nasz sektor. Każda drużyna odpowiada za unieszkodliwienie swoich punktów ogniowych. Uwaga, kaprale, stawiam zadania drużynom...

--Panie poruczniku, czy mogę zadać pytanie?

--Słucham, Fatiejew, o co chodzi?

--Czy wiadomo, jakie siły bronią mostu? Liczebność, uzbrojenie, a przede wszystkim kto to jest? Ochotnicy, eee... były oddziały imperialne czy może jeszcze ktoś inny?

--Nadalbyś się, Fatiejew, do sztabu generalnego, marnujesz się jako kapral... Liczebność, jak sądzę, około dwóch, trzech tysięcy. Na razie brak dokładniejszych danych. A jeśli chodzi o to, kim oni są... To akurat ustalono bardzo dokładnie. Wciągnęli flagę brygady międzynarodowej, kapralu Fatiejew.

Nogi się pode mną ugięły, pociemniało mi w oczach.

Porucznik popatrzył na mnie ciężko i wrócił do omawiania zadań poszczególnych drużyn.

Do swoich żołnierzy wróciłem z ciężkim sercem. Po pierwsze, mieliśmy szturmować doskonale wyposażone pozycje, przygotowane ze znajomością rzeczy. Po drugie, co było szczególnie ważne dla mnie, będziemy walczyć z brygadami. Znałem tych ludzi jeszcze z okresu związku z Dalką. Jeśli ci tutaj byli tacy sami, będzie nam ciężko. Tannenberg skąpie się we krwi.

Z chłopcami rozmawiałem tylko o naszym zadaniu. Sektor ataku, gniazda cekaemów, na ten odcinek zwrócić szczególną uwagę, tamten pagórek to schron... Możliwe, że mają działko bezodrzutowe. Tu i tu, w tym i tym miejscu wywiad sugeruje obecność miotaczy ognia. Tutaj jest pole minowe. Tam stoją wkopane czołgi. No i oczywiście drut kolczasty, rowy „jeże” i inne cudeńka.

Rozkaz dowództwa brzmi: „zdobyć most przed świtem”. Operacja zacznie się o drugiej w nocy.

Zrzucili nas na kompletnym pustkowiu. Trawiasty step łagodnie spadał ku szumiącej w kamiennym wąwozie rzece. Nad jej korytem widać było mgielkę -- rzekę przecinały progi i wodny pył z kaskad unosił się niemal do krawędzi wąwozu. Zapatrzyłem się na to mimo woli. Pośród stepu sterczały parasole rozłożystych miejscowych drzew. W odróżnieniu od Zety-5, nie hodowano tu ziemskich roślin -- biosfera Sylwanii i tak rozwijała się niemal identycznie jak

ziemska, a miejscowe owoce uważane były za wyjątkowe specjaliały. Nie musieliśmy się nawet immunizować.

Razem z nami wylądowała cała masa wszelkiego sprzętu. Jazda po równym jak stół stepie byłaby nawet dość przyjemna, gdyby w blaszanym brzuchu bwp nie trzęsło tak niemilosiernie. Pod wieczór mieliśmy znaleźć się w rejonie oczekiwania. Około północy -- zbliżyć się na odległość strzału. O drugiej zaatakować.

Nie powinno wydarzyć się nic nieprzewidzianego.

Niestety, nie nauczyliśmy się jeszcze spadać prosto na głowy wrogów. Nie mamy kapsuł, żeby lądować bezpośrednio z kosmosu, ani skafandrów. Jesteśmy takimi samymi żołnierzami, jak ci z XX i XXI wieku. Powinniśmy byli siedzieć spokojnie na matce Ziemi, dochodząc do ładu z ekologią, powoli przedstawiając cywilizację na biologiczną drogę rozwoju...

To był taki interesujący okres... Zapasy gazu i ropy były na wyczerpaniu. Rąbano lasy, ale nie więcej, niż się dało uzupełnić. Dżunglę amazońską uznano za obszar chroniony. Stwierdzono, że lepiej chodzić na piechotę czy jeździć konno, niż zniszczyć płuca planety. Pospiesznie hodowano syntetyzujące metan szczepy bakterii. Znano je już od dawna, należało tylko doprowadzić ich sprawność do poziomu przemysłowego. Przesławiono się na energię jądrową. Ludzie zrozumieli wreszcie, że należy drastycznie ograniczyć konsumpcję, że na luksusowe życie nie wystarczy rezerw planety, a wtedy...

Wtedy odkryliśmy hiperprzestrzeń i dotarliśmy do granic Układu Słonecznego. Błyskawicznie, w ciągu dwustu lat, ludzkość pokonała drogę od posiadania jednej jedynej planety do utworzenia potężnej gwiazdnej cywilizacji.

Szkoda tylko, że ta cywilizacja nie stała się republiką czy choćby konfederacją. Powstało Imperium z Jego Wysokością Cesarzem...

--Fatiejew! Śpisz? -- Głos pana sierżanta przerwał moje filozoficzne rozmyślenia.

--Melduję, że nie, panie...

--Cisza! Gdy przybędziemy na miejsce, twoja drużyna rusza na zwiad. Pan porucznik chce na własne oczy zobaczyć tę ich pierwszą linię.

Noce na Sylnanii są ciemne. Planeta ma wprawdzie trzy małe księżyce, ale światła dają tyle co kot napłakał. Rozciągnęliśmy się w tyralierę i zaczęliśmy się czoięcać. Sierżant nie pozwolił nam nawet na korzystanie z komunikatorów, których, jak zapewniali nas technicy, nie sposób podsłuchać.

Porucznik nie ryzykował i nie podchodził zbyt blisko -- pewnie pamiętał o minach. My też o nich myśleliśmy i przysięgam, że nie były to przyjemne myśli.

Ale, jak już się nieraz okazało, porucznik Rudolf miał głowę na karku. Doszliśmy do niewielkiego pagórka, z którego otwierał się widok na przedmostowe umocnienia rebeliantów.

Wszystkie nasze poczynania nosiły piętno rozpaczliwego pośpiechu. Nie kazano nam „brać języka”, bo musielibyśmy za długo szukać przejścia na polu minowym. Co prawda, gdy podchodziliśmy do pagórka, porucznik zrobił gest oznaczający „możliwy przeciwnik, brać żywcem”. Postawienie na tej górcie punktu obserwacyjnego byłoby ze strony buntowników rozsądnym posunięciem, ale wzniesienie okazało się puste.

Leżeliśmy plackiem na ziemi, a nad nami płynęła ciepła noc. Jakieś stworzenia pokrzykiwały dziwnymi skrzeczającymi głosami, wiał pachnący wietrzyk, a ja pomyślałem sobie, jak wspaniale byłoby leżeć tu z Dalką. Zawsze marzyła o podróżach, o poznawaniu nowych

planet... Nowy Krym to przyjemne miejsce, ale trochę zbyt monotonne -- planeta to jeden wielki ocean z mnóstwem wysp, pokrytych bujnymi tropikalnymi lasami. Gospodarstwa morskie, potężne przetwórnice ryb, dryfujące za lawicami... Jedyne Syberia była trochę inna. Miłośnicy turystyki ekstremalnej jeździli właśnie tam, brygady międzynarodowe zlażyły Syberię wzdłuż i wszerz.

Trzy kilometry przed nami leżała pierwsza linia przeciwnika. Przeciwnika... Przyłapałem się na tym, że myślę jak prawdziwy żołnierz Jego Wysokości Cesarza: powstańcy są przeciwnikami, należy ich zlikwidować. Uśmiechnąłem się gorzko. Najtrudniejsza rzecz w wojsku to pozostać człowiekiem.

Przez noktowizor widać było wyraźnie transzeje i okopy, wyrzuszenia nad betonowymi kołpakami schronów i wieżyczki czołgów, które buntownicy również zaryli w ziemi. Zgodnie z regułami sztuki wojennej, taką obronę należałoby przełamywać ogniem artyleryjskim wspartym ciężkimi czołgami, jednocześnie gnębiąc przeciwnika z powietrza; własne atakujące oddziały osłaniać z helikopterów i tak dalej.

Mieliśmy artylerię, ale nie tak dużo i nie tak ciężką, jakbym chciał. Mieliśmy czołgi -- ale nie były to królewskie tygrysy, zdolne do staranowania każdych umocnień, mieliśmy też kilka helikopterów, ale jeśli obrońcy mostu mają PZRK*, helikoptery będą miały ciężko. Jeszcze ciężiej będzie pilotom i strzelcom.

Nasz sektor ataku wyświetlał się na moim wewnętrznym monitorze na ciemnozielono. Na tym tle jasnoczerwono płonęły betonowe schrony bojowe, jasnobłękitno -- wkopane czołgi, pomarańczowo -- stanowiska karabinów maszynowych, okopy zaś wyglądały jak niebieskie linie. Ten system umocnień był dziełem zawodowców, widać tu było myśl imperialnego korpusu inżynierów wojskowych.

Porucznik chyba myślał o tym samym. Czegoś takiego nie powinien atakować batalion, nawet noszący nazwę desantowo-szturmowego, tylko co najmniej wzmocniony pułk pancerny. Rzucić ludzi na te umocnienia oznaczałoby posłać ich na pewną śmierć i nie wykonać zadania. Krótko mówiąc, byłoby to porywanie się z motyką na słońce.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że tak bardzo potrzebowałem walki. Muszę pięć się w górę po szczeblach kariery, nie mogę się marnować na stanowisku dowódcy drużyny. A przy tym miałem świadomość, że obrońcy tego pieprzonego mostu mogliby zostać moimi przyjaciółmi i towarzyszami w boju...

Nic nie mogłem na to poradzić. Moralność, niemoralność... to tylko słowa. Jeśli jacyś idioci pchają się przed orkiestrę, poświęca się właśnie ich.

--Kapralu -- zawołał mnie szeptem porucznik. Nie przez komunikator, po prostu przysunął się do mnie. -- Myślę, że mamy tylko jedną szansę.

--Nocą, bez wsparcia artyleryjskiego, podejść bardzo blisko i zaatakować? -- zasugerowałem. Nic bardziej szalonego nie przyszło mi do głowy.

--Nie -- uśmiechnął się porucznik. -- Mam lepszy pomysł. I ty mi w tym pomożesz. Twojej drużynie ufam najbardziej.

--Tak jest -- wyszeptalem regulaminowo, nadal nic nie rozumiejąc.

Razem z pozostałymi kapralami zebraliśmy się w rejonie dyslokacji plutonu.

--Czy ktoś ma jakieś pomysły? -- Porucznik popatrzył na nas wyczekująco. -- Dowódca kompanii czeka na wasze sugestie. Atak nie będzie łatwy. Trzeba się wykazać inicjatywą. Fatiejew?

--Jeśli dobrze zrozumiałem, panie poruczniku, bez porządnego wsparcia ogniowego nie damy rady. A więc zaatakować należy tam, gdzie obrony nie ma w ogóle albo jest słaba, czyli wzdłuż koryta rzeki. Podpłynąć do podpór mostu, wspiąć się po nich i zaatakować od tyłu. Dzięki temu przynajmniej unikniemy kontaktu z ciężkim uzbrojeniem z betonowych schronów bojowych.

--Otóż to -- skinął głową porucznik. -- Dobrze kombinujesz. Pomyślałem o tym samym. Jestem pewien, że naszemu dowódcy kompanii też to przyszło do głowy. Co za sens walić głową w ten mur?

Na godzinę przed wyznaczonym terminem ataku dostaliśmy oficjalny rozkaz. Wszystkie mądre głowy myślały jednakowo i w sztabie też zdecydowali, że mamy zbyt mało szans, by atakować doskonale umocnienia przeciwnika. Posłanie do ataku lekkich bwp oznaczałoby stratę sprzętu, dostarczonego tu z takim trudem; sprzętu, który na pewno nam się jeszcze przyda. Czekala nas niejedna regularna walka.

Cała nasza kompania miała zejść na dół, do ryczącej rzeki, dopłynąć do podpór mostu i wspiąć się na górę. Pluton zwiadowczy podlegający batalionowi będzie likwidował zapalniki i materiały wybuchowe, a my mieliśmy posuwać się błyskawicznie do przodu, zejść z mostu i narzucić przeciwnikowi walkę na trzeciej linii obrony. W tym samym czasie powinny uderzyć inne kompanie.

Jak zawsze, w teorii wszystko wyglądało bardzo ładnie i przekonująco.

Włożyliśmy kamizelki ratunkowe, przewiązaliśmy się długimi linami i pluton za plutonem zaczęliśmy schodzić ku rwącej rzece. Pomiedzy kamieniami wzbijały się chmury piany. Niezła atrakcja dla miłośników sportów ekstremalnych, ale jak my mamy to przepłynąć?

--Dalej, dalej, dalej! -- zasyczał porucznik i sam pierwszy wszedł do wody. Rzeka chwyciła go, szarpnęła i pociągnęła -- gdy tylko porucznik wszedł nieco głębiej, prąd zbił go z nóg.

Poszliśmy za nim. Woda nie była wprawdzie lodowata, ale dość rześka, a prąd miotał nami tak, że nie dało się o niczym myśleć. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to odbijać się od potężnych głazów. Fale zalewały nas raz za razem; dobrze, że helmy ciężkiego pancerza są hermetyczne i woda nie może zaszkodzić czulej elektronice.

Na monitorze, rosnąc w zastraszającym tempie, nasuwała się na nas komputerowa symulacja mostu. Prymitywny i toporny, most płonął pomarańczowo na tle ciemnoszarych, schodzących się ścian wąwozu. Ognisty słup podpory był coraz bliżej. Któryś z naszych miał szczęście, rzuciło go o filar i prąd przycisnął nas wszystkich do podpory.

Nie mogliśmy się nawoływać. Komunikatory mieliśmy wyłączone. Każdy martwił się o siebie i tylko Bóg myślał o wszystkich.

Zacząłem się wspinać na próżniowych przyssawkach, umieszczonych na kolanach i nadgarstkach. Spojrzałem w prawo, potem w lewo -- moja drużyna wynurzała się właśnie z kipiącej piany niczym stado diabłów morskich. Musieliśmy teraz wleźć bardzo wysoko.

Syczenie przyssawek, automatycznie nabierających powietrza. Kolejny syk, teraz wytwarzający próżnię. Wchodzę coraz wyżej. Do utrzymania komandosa w pancerzu i kompletnym uzbrojeniu potrzebne są dwie przyssawki, dlatego pelzniemy w górę bardzo powoli. Krok i przystanek, krok i przerwa. Wspinamy się metr po metrze, mając wrażenie, że świat ograniczył się do szarego betonu podpory i ryczącego w dole wodnego piekła.

Wyżej, wyżej, wyżej... Minęła wieczność, czy to tylko złudzenie? Gwiazdy powinny zgasnąć i rozpaść w szary popiół w czasie, gdy pelzniemy w górę, niczym ludzkość po drzewie ewolucji...

Próbowałem przeliczyć swoich chłopców wzrokiem. Chyba są wszyscy... Nie widzę Kriaka i Changa, są za filarem. Chyba wszystko w porządku... chyba... chyba... Powtarzam to słowo jak zaklęcie.

W końcu nad moją głową pojawiają się masywne kształty podłużnych belek. Przytulamy się do mostu niczym jaskółki kryjące się przed burzą. Musimy poczekać na pozostałych. Mamy zaatakować na sygnał.

I wreszcie sygnał -- na ciemnym niebie rozbłysk rakiety. Przerażliwie jasne, martwe białe światło mknie po szarych ścianach wąwozu, a my wrzeszczymy coś kompletnie niezrozumiałego, jeden za drugim wyskakując na most.

Wszyscy zdjęli wodoszczelne pokrowce z mannlicherów. Że też Razdwakriak przy okazji nie umarł ze strachu! Przecież trzymały go tylko przyssawki na kolanach, w dodatku musiał

polegać na ubezpieczających go sąsiadach...

Tak czy inaczej, jesteśmy na moście. Do licha z milczeniem, do licha ze skradaniem się! Wrzeszczę do swojej drużyny, żeby utworzyli tyralierę, biegniemy do przodu, podobnie jak dziesiątki innych, czarnych i mokrych postaci. Nie wiem, czy most jest zaminowany, nie wiem, gdzie są zwiadowcy -- pochwyceni jednym wspólnym porywem, biegniemy do przodu, ku brzegowi.

Boże, miej nas w swojej opiece!

Z naprzeciwnika słychać huk wystrzałów. Wydaje mi się, że płonie cały brzeg, że sama ziemia wystrzeliwuje w moją stronę pociski, bierze mnie na cel, naciska spust i złośliwie czeka, aż kula, którą dostanę w brzuch, zegnije mnie wpół i rzuci na asfalt...

Pamiętam, że jesteśmy w pancerzach; sami je wypróbowaliśmy i wiem, że ochronią nas przed zwykłymi kulami z karabinu. Ale już odezwały się cekaemy. Ognisty ślad pocisków smugowych przeszywa postać, która biegnie z mojej prawej strony, komandos upada, a ja z rozpędu rzucam się na asfalt obok niego. W tym samym czasie nurkuje cała moja drużyna. Jesteśmy bardzo blisko brzegu. Ale cekaem...

--Chang, granat!

Chang unosi się spokojnie i starannie celuje. Na rękojeści jego granatnika zapala się czerwone światełko -- cel został namierzony. W tym momencie jakaś siła odrzuca Changa do tyłu, w powietrzu pojawiają się czerwone bryzgi. Rakiety oświetlające płoną nadal, w ich świetle widzę, że Chang leży na wznak, a z rany na ramieniu płynie krew.

Surendra i Dżonamani robią jednocześnie nieprawdopodobny ruch, coś w rodzaju skoku z pozycji leżącej, i już są obok Changa. Ja łapię granatnik. Czerwona dioda zgasła, zamiast niej mruga żółta -- znak, że cel wyszedł z celownika. Podrzucam broń, nie czując jej ciężaru. Piszczący automat namierzania. Powiększająca dwudziestokrotnie elektronika, posłuszna komendom mojego mikrochipu, zawęża pole widzenia. Widzę cekaem. I to nie zwykły, lecz sparka, czternaście i pół milimetra. Że też Changowi nie urwało ręki!

Nie zauważam ludzi -- zabraniam sobie ich widzieć, dostrzegam tylko cekaem. On nie jest żywy. Można go wysadzić w powietrze. Jak na manewrach.

Nie zabijam ludzi. Niszczę cekaem.

Pół sekundy, żeby pochwyć cel. Płonie czerwona dioda. Odzywa się brzęczyk. Cel został namierzony. Zezwolenie na strzał w trybie samonaprowadzania.

Naciskam spust. Bez uczuć, bez emocji, jak maszyna...

Ognisty ślad. To płonie trudno topliwy napęd granatu -- a z nim czyjeś nadzieje na życie.

Wybuch. Spark znika w morzu płomieni. Celownik noktowizora ślepnie na krótką chwilę, tak wysoka jest temperatura w epicentrum. Na miejscu cekaemu pojawia się dymiący, rozpalony lej, który świeci bielą w podczerwieni.

Wstaję. Dlaczego wszyscy leżą? Naprzód, naprzód, bo wystrzelają nas jak kaczki. Okazali się sprytniejsi od nas, przygotowali się do odparcia ewentualnego ataku z tyłu...

Właściwie powinni byli zniszczyć most. Gdzie ci cholerni zwiadowcy?

--Wstawać! -- chyba krzyczę, ale nie słyszę własnego głosu. Szczypią mnie oczy. To pot czy łzy?

Moja drużyna zrywa się i biegniemy prosto w rozjaśnioną wystrzałami ciemność. Krzyczymy coś, ryk dziesiątków gardel zlewa się w komunikatorze w ogłuszający wrzask.

Podrzucam mannlichera; system naprowadzania pochwył jeszcze jedno stanowisko cekaemu, strzelam, gdy tylko słyszę brzęczyk gotowości. Mój granat nie ma samonaprowadzania, a to znaczy, że karabin przypadkiem został wycelowany prawidłowo. Chip wyliczył trajektorię granatu i dał zgodę na strzał...

Wybuch. Moja drużyna biegnie za mną. Nikt nie został z tyłu, nad Changiem już się pochyla jakiś człowiek z czerwonym krzyżem na mundurze. Wszystko będzie dobrze, przekonuję sam siebie.

W powietrzu aż gęsto od kul. Przewraca się nasz nowicjusz, ten, którego przysłali na miejsce Keosa. Nie zdążam zauważyć, co z nim, widzę tylko rozbitą osłonę helmu i chlustającą krew.

„Zimny ładunek...”

Chłopcy strzelają w ciemność, ciemność strzela do nich. Ktoś pada z lewej i prawej strony, nie wiem kto. Pod nogami kończy się asfalt. Nawierzchnia mostu przechodzi w nawierzchnię szerokiej szosy.

Drut kolczasty. Okopy. Poruszające się postacie. Strzelam serią. Postacie upadają. Kule odrzucają je do tyłu, jak manekiny na strzelnicy.

To nie ludzie, huczy mi w mózgu. To manekiny. Strzelające roboty. Rób swoje, komandosie...

Czarna przepaść schronu. Wrzucam do środka granat ręczny. Głuche uderzenie, drewniane drzwi wypadają z zawiasów. Dopiero teraz zauważam namalowany na nich czerwony krzyż.

To tylko poligon. To tylko manekiny. Nic więcej. Naprzód, komandosi! *Gott mit uns! Für Führer und Vaterland!*

Drużyna idzie za mną. Pancerna kopuła przysypana ziemią. Zwrócona w naszą stronę otwarta gęba wjazdu. Kriak rzuca granat. Z otworu strzelniczego nad naszymi głowami bucha ogień.

Kilka postaci rzuca się na nas tak szybko, że nie zdążamy otworzyć ognia. Na ich karabinach lśnią zamocowane bagnety. Jedna postać znalazła się obok mnie, błyszczące ostrze celuje w mój brzuch -- proszę bardzo, idioto, mam pancerz. Uchylam się i walę kolbą w głowę. Postać upada, kopniakiem odbijam karabin.

Dalej. Dalej. Dalej.

Eksplozje w kilku następnych schronach. Wszędzie przeciwnik rzuca się do walki wręcz. Strzelamy z bardzo bliska. Serie mannlicherów koszą szare postacie, tną je na pół, tryska krew, chlustają wnętrzności. Niewielu naszych przeciwników ma pancerze.

Odzywa się artyleria. Niedaleko, przed nami, wytryskuje ziemia. Lecą jakieś belki, deski... Eksplozje rozlegają się wciąż na nowo. Z ciemności lecą ogniste strzały i rozrywają się tuż przed pozycjami. Saperzy robią przejścia w polach minowych. Wydaje mi się, że rozróżniłam basowy huk silników czołgów -- i rzeczywiście, na środku, nieco z prawej strony, widać sześć albo siedem niskich sylwetek z długimi lufami. Już wdarły się na stanowiska i miażdżą wszystko, co można zmiażdżyć. Jeden z nich otula się dymem, lufa szarpie się w górę i w dół, jak od silnego uderzenia, i zamiera, ale pozostałe nadal prą naprzód.

Nie mam czasu się oglądać. Drużyna idzie zwartą grupą, to dobrze. Oczyszczamy nasz sektor. Mamy duży zapas granatów i nie oszczędzamy ich. Wrzucamy prawie do każdej dziury,

każdego podejrzanego miejsca. Nie ponieśliśmy strat, chociaż Kriaka, Fatiha i Nazariana już nieraz przewracały kule. Pancierz ich uratował. Na razie nikt prócz Changa nie został poważnie ranny.

Czołg wkopany w ziemię. Poważna sprawa. Wali z wszystkich luf, ma nawet miotacz ognia do bliskiej walki. To chyba jakaś egzotyczna konstrukcja. Z trudem gasimy ogień na plecach Razdwakriaka.

Ładuję granatnik Changa -- jakim cudem znalazł się w moich rękach, czyżby zabrał go któryś z chłopców? -- granatem kumulacyjnym i przebijam nim wieżyczkę czołgu. Ten czołg nie ma aktywnego pancerza i nie jest osłonięty polem siłowym. Po uderzeniu pociskiem kumulacyjnym prawdopodobnie nie przeżył nikt z załogi. Na wszelki wypadek wykańczamy go, wrzucając jeszcze przez wypaloną dziurę zapalnik pirotechniczny. Ledwie zdążamy odskoczyć i ukryć się, gdy w czołgu wybucha amunicja.

Odgłosy walki niespodziewanie milkną. Słyszać tylko pojedyncze wystrzały. Oglądam się; most stoi. Z przeciwnej strony biegną ludzie, powiewa nad nimi imperialna flaga z orłem i słońcem. Już po wszystkim.

Zaczynam się trząść. Nagle przestaję widzieć szare, bezosobowe cienie i dostrzegam siedemnastoletniego chłopca, który mnie zaatakował. Czoło przewiązane czerwoną opaską brygady. Bez pancerza, całą pierś ma zalaną krwią, szkarłatne kałuże zakrzepły w fałdach bluzy...

--Kapralu! Fatiejew! -- to ożywa mój komunikator. Porucznik. Czy on nie rozumie, że nie mogę teraz mówić?

--Kapral Fatiejew słucha -- odpowiadam jak automat.

--Melduj.

--Przeszliśmy sektor, panie poruczniku.

--Widzę. Brawo. Przeszedłeś i to bez pomocy. Straty?

--Jeden zabity. Jeden ciężko ranny. Trzech z lekkimi kontuzjami, zdolni do walki.

--Kto jest ranny?

--Chang.

--Cholera! Gdzie to było?

--Na moście. Widziałem, że był przy nim któryś z sanitariuszy.

--Zrozumiałem. Zorientuj się, co zostało zdobyte i zniszczone. Dziękuję za wykonanie zdania. I za doskonały pierwszy strzał. Gdy poderwałeś leżących...

--Panie poruczniku, to nie ja celowałem, to automat.

--Ale to ty stałeś, nie bojąc się kul, póki nie było pewności trafienia. Wyczyściłeś sektor jak się patrzy. Teraz zbierzcie trofea i jeńców, jeśli jakichś znajdziecie. Rannym buntownikom należy udzielić pomocy. Wszystko jasne? Wykonać.

Wykonaliśmy.

Moi chłopcy źle wyglądali. Niemal wszyscy mieli ślady trafień, dobrze, że żadna kula nie przebiła kevlarowego pancerza. Za to uderzone miejsca bardzo bolały.

Rozwinęliśmy tyralierę i zaczęliśmy przeczesywać nasz sektor.

Mnóstwo zabitych i prawie nikogo w mundurze. Niemal wszyscy w cywilnych ciuchach, wielu miało na czole czerwone chustki. Pewnie leży tu cała brygada...

Znosimy broń na stertę. Karabiny to głównie mannlichery i erne, stare modele. Dużo

rannych buntowników. Zbyt dużo...

Czuję, że zaraz eksploduje mi mózg. Jakby ktoś zerwał mi zasłonę z oczu.

Widzę poryte wybuchami pole bitwy, czarny dym, który wali z betonowych schronów bojowych, zniszczone czołgi -- i ciała, wszędzie ciała. Jedne nieruchome, inne jeszcze się ruszają...

I to wszystko nasza robota? Ale przecież ja niczego nie pamiętam... My tylko rzucaliśmy granaty... Kiedy to się mogło stać? Czy naprawdę zabiliśmy ich wszystkich?

Z lewej strony rozlega się jęk; dobiega ze zniszczonego schronu, w którym wybuch rozrzucił belkowanie. Żalony jęk, chyba... kobiecy?

--Wyciągamy? -- zainteresował się Surendra.

--Niech zdycha -- szczyrzy zęby Fatih. -- Buntownik cholerny... dobrze im tak. Już my im pokażemy, co to znaczy urządzać bunt!

Z trudem się hamuję, żeby nie walnąć Turka między oczy.

--Podporucznik polecił udzielać pomocy wszystkim rannym buntownikom -- mówię zimno, ucinając wszelkie dyskusje. -- No, do roboty! Mikki, Glinka! Pomóżcie odsunąć tę belkę!...

Nie mija nawet pięć minut i wyciągamy rannego buntownika -- a raczej buntowniczkę -- w szarej kurtce. Chyba wielu z nich nosiło je zamiast munduru.

--Chłopaki, patrzcie, jaka laska! -- wyszeptał rozgorączkowany Razdwakriak.

--W dodatku nie jest ranna -- zauważył z zimną krwią Dżonamani, podnosząc dziewczynę za ramiona i oglądając ze wszystkich stron, jakby była kiścią bananów. -- Najwyżej lekka kontuzja.

--Identyfikator? -- zapytałem, w samą porę przypominając sobie o regulaminie.

--Nie ma, dowódco. Chyba wszyscy pozdejmowali.

--Dobrze. Popatrzmy, może ma jakieś złamania...

Pochyliłem się nad dziewczyną i zacząłem ją delikatnie obmacywać, starannie omijając piersi i miejsca intymne. Wyglądało na to, że faktycznie nic jej nie jest.

--Kriak, kajdanki.

--Co, morderco, boisz się? -- usłyszałem nagle. Blade wargi poruszyły się, wielkie brązowe oczy popatrzyły prosto na mnie. Nadal był w nich ból, ale dziewczyna wyraźnie dochodziła do siebie. -- Boisz się? Rannej i bezbronnej kobiety?

Mówiła z akcentem charakterystycznym dla słowiańskich planet.

--Nie jesteś ranna -- poinformowałem ją posępnie. -- Wszystko będzie dobrze.

--I nawet mnie nie powiesz, tylko rozstrzelają... -- próbowała się uśmiechnąć, ale słabo to wypadło. -- Ale i tak nic nie powiem! Słyszycie, oprawcy? Nie powiem! Nawet nie próbujcie!

--To nie nasza działka -- ostudziłem jej zapędy. -- Fatih, Nazar... podnieście ją.

--Dowódco... -- Razdwakriak gorączkowo oblizwał wargi. -- A może ją tak... tego... póki jeszcze ciepła?

--Co jest, Kaczor, sperma ci do głowy uderzyła? -- warknąłem. -- Dość tego gadania. Dziewczynę odprowadzić do grupy jeńców.

--Zaczekaj, dowódco! Dowódco, przecież to jeszcze lepiej... jak krzyczy i się wyrывa...

--Psychopata, słowo daję -- splunąłem. -- Spokój!

--Dowódco! Zaraz, zaraz... no dobra, ty pierwszy, co? Nie szkodzi, no nie, chłopaki?

Wyglądał żałośnie. Jakby zgnilizna, która przeżarła środek jabłka, nagle wyszła na

zewnątrz. Razdwakriak pochylił się ku mnie i przypochlebnie, a jednocześnie z wyraźną groźbą zaglądał mi w oczy.

--Tyle jego, co sobie pogada -- powiedziałem powoli po rosyjsku.

--Co? -- nie zrozumiał Kriak. -- To co, dowódco, przywiążemy ją?

Razdwakriak nigdy nie był mistrzem walki wręcz. Nie uderzyłem go mocno, nie chciałem zrobić mu krzywdy, tylko ogłuszyć. Uważałem jednocześnie, żeby nie uszkodzić celownika -- to draństwo kosztuje straszne pieniądze, nie miałem ochoty płacić potem z własnej kieszeni. Kriak upadł jak worek mąki i przewrócił oczami.

--Wszystko jasne? -- obrzuciłem znieruchomiałą drużynę znaczącym spojrzeniem. -- Nie jesteśmy pospolitym ruszeniem ani zmobilizowanymi ochotnikami. Jesteśmy, do kurwy nędzy, desantem! A tego idiotę -- trąciłem Kriaka noskiem buta -- właśnie uratowałem przed poważnymi nieprzyjemnościami. Koniec dyskusji, dziewczynę do jeńców, Kaczora ocucić.

Drużyna milczała i to milczenie wcale mi się nie spodobało. Nikt się nie odezwał, nawet Makumba, który pierwszy uznał mnie za dowódcę. Dżonamani pochylił się nad Razdwakriakiem, wymacał arterię szyjną, pokręcił głową, wziął medpakiet i przycisnął Kaczorowi do szyi.

--O mało go nie zabiłeś, dowódco -- powiedział z wyrzutem, nie wstając z kolan. Zachowywał się jak lekarz, który, jako człowiek niepodporządkowany, może pozwolić sobie na pewną samowolę. -- Tak nie można... Niechby sobie zerznął dziewczynę. Wielkie rzeczy! Przecież i tak ją sprzątną. Albo sprzedadzą Obcym do laboratoriów. A Kriak nie jest sadystą czy zbrodnicem. Raz-dwa i po sprawie.

--Ach, tak? -- powiedziałem, czując, jak ogarnia mnie zimna wściekłość. -- Kto jeszcze tak myśli? Kto jeszcze ma w nosie honor żołnierza?

--Co to takiego ten honor, dowódco? -- wzruszył ramionami Surendra. -- My tam nie znamy takich słów. Mówili nam, że studiowałeś, a myśmy ledwie osiem klasów skończyli.

Jego sposób wyrażania się przeczył ukończeniu tych „ośmiu klasów”, ale w tej chwili miałem większe zmartwienia.

--Co to, bunt, chłopaki? -- zapytałem spokojnie. -- Nieposłuszeństwo wobec starszego stopniem w czasie wojny karane jest katorgą do dwudziestu lat lub śmiercią.

Przez cały ten czas dziewczyna starała się zachować dumną i niezależną minę, ale marnie jej to wychodziło. Chociaż nie założyliśmy jej kajdanek, nie próbowała uciec. Oddychała płytko, z oczu płynęły łzy, najwyraźniej wbrew jej woli. Skulona, siedziała obok rozrzuconych belek, podwinęła pod siebie nogi w grubych brezentowych spodniach i wysokich wojskowych butach.

Wiedziałem, że nie jest dobrze. Powiniennem był oddać im dziewczynę, którą uważali za należną im zdobycz. Przecież nikt by się nie dowiedział, a ona i tak nie pożyje długo. Jeśli nie wykończą jej na pierwszym przesłuchaniu, to sprzedadzą Obcym. Podobno tak właśnie zrobiono z powstańcami z Uppsali.

Więc dlaczego uderzyłem Kriaka? Dlaczego teraz nastawiam chłopców przeciwko sobie? Ale nie wolno mi się już wycofać. Nie mogą poczuć, że udaje im się manipulować swoim kapralem.

--Dobrze -- powiedziałem. -- Widzę, że będę musiał wlać wam oleju do głowy starym, sprawdzonym sposobem. Kto uważa, że nie mam racji? Że dziewczynę trzeba przelecieć, a

potem zastrzelić, bo i tak będzie to bardziej ludzkie, niż oddać ją kontrwywiadowi?

--Ty to powiedziałaś, dowódco -- odpowiedział za wszystkich Surendra. -- Lepiej będzie, jak my ją stukniemy. Hej, ty! -- zwrócił się do jeńca. -- Chcesz umrzeć szybko i bezboleśnie? A może wolisz się najpierw pomęczyć?

--Surendra -- powiedziałem spokojnie. -- Daję ci dwie sekundy. Albo zakładasz dziewczynie kajdanki, albo odpoczywasz obok Kaczora.

--Tak? -- uśmiechnął się Surendra. On również przywykł uważać się za cwaniaka.

Nie udało mi się rozłożyć go jednym ciosem, musiałem tracić czas na drugi. Surendra przewrócił się na plecy jak ścięte drzewo, a na mnie rzucili się pozostali. Z wyjątkiem Mikkiego, który nadal stał obok dziewczyny, przyciskając ją do ziemi ciężką ręką.

Taką awanturą rządzi tylko jedno prawo -- bij bez namysłu. Jeden cios na każdego, na drugie uderzenie nie będzie już czasu. Fatiha uderzyłem kolbą, potem z rozmachu walnąłem tą samą kolbą w hełm Dżonamaniego. I wtedy okazało się, że nie ma więcej chętnych. Glinka, Nazarian i Makumba byli mądrzejsi, zrezygnowali w samą porę. Mikki nie ruszył się z miejsca.

--No i co? -- krew się we mnie gotowała. -- Druga zmiana?

--Dowódco, wybacz tym idiotom -- powiedział szybko Glinka. -- Diabeł nas chyba podkusił. Ej, wy tam, wstawajcie...

Upłynęło kilka chwil, zanim wszyscy pobici oprzytomnieli. Wyglądali na zawstydzonych.

Mikki z kamienną twarzą założył dziewczynie kajdanki.

I wtedy ona zaczęła krzyczeć -- jakby dopiero teraz zrozumiała, dokąd ją zabierają.

--Stójcie! Poczekaście! Nie trzeba! Zabijcie mnie, proszę, zabijcie mnie! Będą mnie torturowali, a ja... ja nie mogę... nie wytrzymam... Zabijcie mnie! Chcecie mnie przelecieć? To dalej, sama się rozbiore... tylko mnie zastrzelcie, nie prowadźcie mnie na gestapo! Oni rzeczywiście sprzedadzą nas potem Obcym!

--Rusz się -- popchnąłem ją lekko. -- Nic ci nie zrobią. Jeśli na przesłuchaniu wszystko powiesz... cicho bądź, głupia, i poczekaj do nocy -- wtrąciłem po rosyjsku -- to może wszystko będzie dobrze. Nie trzeba się było buntować...

Chyba mnie zrozumiała, bo trochę się uspokoiła. Na szczęście nie obejrzała się, gdy mówiłem po rosyjsku.

Chciałem, żeby umilkła. Żeby przestała krzyczeć. W przeciwnym razie dostanę kulkę w plecy od swoich, a wszystko pójdzie na karb „przypadkowego wystrzału”...

Dziewczyna ucichła, gdy tylko dotarło do niej, co powiedziałem. Czulem się tak, jakby powoli przypiekano mnie w moim pancerzu. „Wszystko w imię wielkiego celu -- słyszę wypływający z pamięci znajomy głos. -- Będziesz zdradzał i ciebie będą zdradzać, będziesz zaciskał zęby i powtarzał sobie, że są takie sytuacje, gdy cel mimo wszystko uświęca środki”...

Drużyna powoli dochodziła do siebie. Jako ostatni wstał Razdwakriak. Surendra, Dżonamani, nawet Fatiha patrzyli na mnie speszeni i zakłopotani. Ale w spojrzeniu Kriaka dostrzegłem czystą, niezmaconą nienawiść.

Odwróciłem się. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będę mógł olać wszystkich Razdwakriaków.

Do miejsca zbiórki żołnierze spędzali jeńców ze wszystkich stron. Buntownicy ledwie szli, wielu trzeba było ciągnąć za ręce, innych nieść na noszach. Prawie wszyscy mieli czerwone opaski -- znak brygady.

Same dzieciaki, po siedemnaście, osiemnaście lat. Rzadko trafiały się dorosłe twarze. Powyżej trzydziestki nie było nikogo. Szare, upaprane gliną, sadzą i krwią szturmówki. Ręcznie wykonane naszywki na wylogach. Ręcznie robione „szpały”^{*}.

Jeńców przyjmowało czterech z Geheime Staatspolizei, ubranych w nieśmiertelne czarne mundury i długie skórzane płaszcze, niewygodne i mało praktyczne, do których tajna policja państwowa była mocniej przywiązana niż szkocka gwardia Zjednoczonego Królestwa do swoich kiltów i beretów.

Teraz należało wykazać się nadgorliwością. Pchnąłem dziewczynę w plecy.

--Kapralu?

Podąłem nazwisko, pluton, kompanię. Otrzymałem standardową pochwałę, zsalutowałem i już miałem odejść, gdy... gdy zobaczyłem zakrwawioną Dalę ze związanymi z tyłu rękami i świeżym sińcem na policzku. Ledwie stała, ale jednak stała -- o własnych siłach, dumnie odpychając ręce próbujących ją podtrzymać żołnierzy.

Panno Święta, Królowo Niebieska, Orędowniczko nasza...

Zmusiłem się, żeby ruszyć z miejsca.

Cóż, nie było w tym nic dziwnego. Dalka należała przecież do brygad, a to brygady przysłały tu te dzieciaki z różnych planet... Po co, w jakim celu? Teraz Dalę, moją Dalę obojętnie wpisują na listę jeńców. Biorą odciski palców. Skanują tęczę. Oczywiście nie miała identyfikatora, ale gestapowcy go nie potrzebują. Pytają zdawkowo o nazwiska, i tak wiedząc, że są fałszywe. Teraz nikomu to nie przeszkadza. Najważniejsza sprawa to przyjąć wszystkich jeńców i zaprotokolować...

Nie pamiętam, jak ruszyłem się z miejsca. Może w samą porę przypomniałem sobie, że miałem jeszcze oczyścić sektor z trofeów, to z znaczy broni, której nie można zostawić na pastwę losu. Wróciłem do swojej drużyny. Tak bardzo pragnąłem, żeby Kriak nie wytrzymał i rzucił się na mnie. Musiałem komuś przywalić. Poczuć pod palcami rozrywane ciało, a na policzkach bryzgi czyjejś gorącej krwi. W takich chwilach nie myśli się o konsekwencjach.

Ale Kriakowi już chyba wszystko wyjaśniono, bo zwrócił się do mnie z unizonymi przeprosinami. Obiecywał poprawę, zwał wszystko na лихо, które go podkusiło, i tak dalej, i tak dalej...

Machnąłem ręką. Kaczor przestał mnie obchodzić.

Odchrząknąłem i kazałem chłopcom brać się do roboty, a sam połączyłem się z oddziałem medycznym. Co byłbym wart jako dowódca, gdybym nie zainteresował się stanem moich rannych?

Chang żył, ale było z nim bardzo źle. Dostał pociskiem rozpryskowym, w dodatku marnej jakości. Kula rozerwała się, ale nie do końca i z mniejszą siłą. Changa powinno było przeciąć na pół, ale na szczęście skończy się na operacji stawu barkowego oraz na implantacjach -- jeśli oczywiście jego ubezpieczenie wojskowe, obliczane na podstawie odnoszonego przez armię pożytku, pozwoli na opłacenie takiej operacji. Jeśli nie, po prostu amputują mu rękę i odeślą chłopaka na emeryturę. Czasami lepiej się kalkuluje płacenie okaleczonemu żołnierzowi skromnej dożywotniej renty, niż doprowadzenie go do porządku. Imperium potrafi liczyć.

Chłopcy odnieśli się do losu Changa z godną najemników obojętnością. Jedyne, co miało dla nich znaczenie, to fakt, że któryś z nich dostanie teraz awans i dodatek do żołdu.

Moja drużyna znosiła na stertę całą znalezioną na polu bitwy broń. Odebrałem Mikkiemu

zapiski. Zacząłem je sprawdzać, ochrzaniać za kiepskie sortowanie trofeów i w ogóle zachowywać się jak na kaprala przystało.

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Nikt nie myślał o śnie. Poruszałem się jak automat, a przed oczami miałem twarz Dalki. Pewnie siniec zaczął już ciemnieć. Pewnie stawiała opór, gdy ją schwyтали. Znając Dalkę... pewnie nie omieszkała użyć zębów i paznokci.

Skląłem Mikkiego za niewyraźny charakter pisma, popędzałem drużynę, przyjąłem nawet kolejne przeprosiny Razdwakriaka, który zdążył już ochłonać, a przez cały ten czas widziałem tylko bladą twarz Dalki.

Bez względu na to, jak bardzo mnie nienawidziła... Bez względu na to, czy chciała mnie poniżyć, a może nawet zabić...

Gdy w końcu „wyczyściłem” nasz sektor, skontaktowałem się z dowódcą plutonu i usłyszałem długo oczekiwane: „Możecie odpocząć”, na wschodzie pojawił się jaśniejący pas. Pokazałem chłopcom gestem, żeby się położyli; padli prawie w miejscu, w którym stali. Nikt nawet nie wspomniał o kolacji.

Chwilę później wszyscy już spali. Ale wiedziałem, że ten sen długo nie potrwa -- już wkrótce żołądek da o sobie znać.

Miałem bardzo mało czasu.

--Fatiejew! Kapralu! -- rozległo się w komunikatorze.

Zacisnąłem pięści. Jasne, kto inny mógł mieć takiego pecha? Tylko ja. Pan starszy sierżant sztabowy we własnej osobie. Nie znalazła się dla niego kula ani mina...

Klaus Maria wynurzył się z przedświtowych ciemności; w pancerzu był niemal kwadratowy. Rzucił okiem na mój śpiący beztrudnie oddział i prychnął:

--Przyznaję, że oszczędzanie sił własnych ludzi jest godne pochwały. Ale dlaczego nie wystawiliście ochrony? Dlaczego nie ma wart? Czego ja cię, kapralu, uczyłem?

--Przepraszam -- pochyliłem głowę. Nie miałem czasu na kłótnie i dyskusje. -- Chłopcy tak się zmęczeni...

--Zmęczeni... -- burknął sierżant. -- Wiem, kapralu. Sam taki byłem. Chwalę was za ofiarność, ale za brak ochrony prawidłowego wypoczynku otrzymujecie naganę. Ustną, bez wpisu do akt. Dobra, Fatiejew, masz szczęście. Porucznik sam rozstawił posterunki w naszym sektorze i sam je patroluje. Możecie spać aż do rana. Dzisiaj inni mieli pecha. Wasza kolej jutro... -- Nagle spowaźniał. -- Słuchaj, Fatiejew... Muszę ci coś powiedzieć. Na osobności. Prywatnie. Tak od serca.

Rany, czy on myśli, że ja mam serce?

--Słucham, panie sierżancie.

--Cóż, jesteś dobrym żołnierzem. A to, co ci powiem... może nawet nie powinieneś tego wiedzieć. Ale prawda zawsze jest lepsza od kłamstwa. Przynajmniej ja tak uważam. Chodzi o twoją dziewczynę. Mam na myśli byłą dziewczynę.

--Mówi pan o Dalii Dżamajte? -- zapytałem możliwie spokojnie.

--Tak. Podala zmyślane nazwisko, zdjęła identyfikator, nawet zmieniła odciski palców. Ale sam wiesz, że z tajną policją nie ma żartów. Rozpoznano ją. Jest w niewoli, Fatiejew. Trzymaj się, dzieciaku. Wiem, że wy, Rosjanie, wszystko bierzecie okropnie poważnie... Słyszałem, że się pokłóciliście, a potem jeszcze ta historia z patrolem. Krótko mówiąc, twoja dziewczyna się doigrała. Chciałbym wierzyć, że to tylko z głupoty. Ale... no, krótko mówiąc, teraz już wiesz.

Mam nadzieję, że nie zamierzasz robić głupstw, że nie zapomnisz o przysiędze i nie polecisz jej uwalniać. Nie chcę tracić porządnego kaprała, nawet jeśli zapomina o wystawieniu wart.

Nieoczekiwanie poklepał mnie po ramieniu i poszedł.

Patrzyłem za nim, dopóki nie straciłem go z oczu. Wtedy zacząłem szybko ściągać pancerz. Nikt z mojej drużyny nie zdjął go na noc -- nie było takiej potrzeby. Pancerz był tak pomyślany, żeby komandos mógł się w nim czuć komfortowo przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ze zdjętego pancerza, helmu i nagolenników bez większego problemu ułożyłem kukłę, mającą imitować śpiącego kaprała Fatiejewa.

To, co chciałem zrobić, nie było zwykłą głupotą. Było przestępstwem. Ale nie mogłem nic na to poradzić.

Dziękuję, starszy sierżancie sztabowy Klausie Mario. Nauczyłeś mnie bezszelestnego skradania się. Nauczyłeś mnie, jak oszukiwać wykrywacze podczerwieni, bez wątpienia umieszczone wokół placu dla jeńców. Skradałem się zgięty w ósemkę, prawie nagi, wysmarowany maścią pochłaniającą ciepłe promieniowanie ciała. Miałem tylko pięć sekund, ale nie myślałem o tym, co będzie dalej. W świadomości niczym rozpalony gwóźdź tkwiła jedna myśl -- tamci nie mogą dostać Dalki. Nigdy. Za żadne skarby. Nawet gdybym się miał smażyć w ogniu piekielnym aż do Sądu Ostatecznego i jeszcze dłużej.

Plac dla jeńców był zwykłym kawałkiem ziemi, pospiesznie otoczonym drutem kolczastym i oświetlonym reflektorami. Wzdłuż ogrodzenia przechadzało się leniwie czterech wartowników.

Czterech. Dużo. W dodatku sami zawodowcy, pierwsza kompania. Arystokracja. Naród panów. Zręczni, silni, dobrze wyszkoleni. Moją jedyną przewagą było to, że to moja dziewczyna siedziała teraz za tym ogrodzeniem.

Dzięki temu, że w pewnym momencie odsunąłem Mikkiego od prowadzenia rejestru trofeów, miałem teraz sześć bagnetów, sześć standardowych bagnetów imperialnych, jakich są miliony. Wprawdzie każdy miał numer, ale i tak nie da się sprawdzić, kto je trzymał w ręku -- włożyłem rękawiczki.

Wartownicy chodzili dwójkami. Widziałem, jak się rozchodzą i znowu schodzą... Odkryłem, że spotykają się przy zaimprovizowanej bramie w ogrodzeniu. Oto moja szansa...

Skoczyłem dokładnie w momencie, w którym wartownicy znowu się zeszli. Bagnety poleciały parami. Precyzyjny lot do upatrzonego celu. Zdarza się, że strzelec, naciskając spust, już wie, że kula znajdzie swój cel. Takie wrażenie miałem właśnie teraz. Bagnet raczej nie jest przeznaczony do rzucania, w tym celu komandosi mają specjalne noże. Ale jeszcze by tego brakowało, żebym użył teraz charakterystycznej broni komandosów!

Czterech wartowników upadło niemal jednocześnie. Idioci, nawet nie opuścili osłon helmów. Pewnie rozkoszowali się miłym chłodem nocy, gdy wreszcie odpuściła gorączka walki, gdy wreszcie stało się jasne, że są cali i zdrowi. Właśnie na to liczyłem.

Ostrza weszły dobrze, na całą długość. Żołnierze umarli od razu. Imperium wypłaci ubezpieczenie ich rodzinom... jeśli mieli rodziny.

Podbiegłem do drutu. Zbici w kupkę, oślepieni reflektorami jeńcy sprawiali żalodne wrażenie. Naturalnie udzielono im pomocy medycznej -- Imperium nie powoduje niepotrzebnych cierpień. Tortury podczas przesłuchania to oczywiście zupełnie inna sprawa.

Drut był pod napięciem. Złączyłem dwa bagnety na podobieństwo nożyc i zacząłem ciąć. Iskry, zapach ozonu. Odsunąłem od siebie dwie linie drutów, by zrobić szerokie przejście. Pomachałem ręką.

Na szczęście nauczyli ich czegoś w tych brygadach. Jeńców było kilkudziesięciu, ale nie rzucili się do ucieczki całą gromadą, czego bałem się najbardziej, i nie zaczęli krzyczeć. W milczeniu, szybko, puszczając przodem dziewczyny, zaczęli wychodzić na zewnątrz. Poczekalem, aż przez zaimprovizowane przejście prześliznie się Dalka i nie pokazując się im na oczy, wróciłem do chłopców. Pierwsza część planu zakończyła się pomyślnie. Pozostawała druga. Najbardziej niebezpieczna i paskudna.

Pobieglem z powrotem, w biegu zdzierając warstwy maści antytermicznej. Włożyłem błyskawicznie mundur, położyłem się i po chwili powoli wstałem, nawet się przeciągnąłem. Niech mnie teraz zobaczą.

Nie mogę uratować wszystkich. Mogę tylko dać im szansę. Reszta w rękach Opatrzności.

Ja, uczciwy kapral Ruslan Fatiejew, wstałem, żeby się odlać, i postanowiłem trochę się przejść. Wtedy zobaczyłem pusty plac, martwych wartowników i uciekających jeńców. A więc ja, uczciwy kapral Ruslan Fatiejew, wiemy złożonej niedawno przysiędze, zaczynam działać tak, jak nakazuje mi obowiązek wobec Jego Wysokości Cesarza.

Podnoszę alarm. Wrzeszczę w eter na wszystkich zakresach. Rzucam się w pogoń. Otwieram ogień.

O tak, dałem uciekinierom wystarczająco dużo czasu, dałem im szansę. Ale nie mogę pozwolić uciec wszystkim. Biorę na siebie rolę Stwórcy -- muszę rozsądzić, kto ma żyć, a kto umrzeć. Wiem, że odpowiem za to. Niewykluczone, że już wkrótce.

Długą serią koszę jednego z biegnących. Jest ranny. Zostaje w tyle. Dwóch towarzyszy łapie go pod ręce. Do nich też strzelam.

Wybaczcie mi, bracia. Wybaczcie, jeśli zdołacie. A jeśli nie zdołacie -- cóż, gdy spotkamy się przed obliczem Pana i popatrzymy sobie w oczy, nie zaprotestuję przeciwko żadnemu z waszych oskarżeń. Niech Bóg zważy cały ciężar mojej winy.

Za moimi plecami budził się obóz. Nerwowe krzyki, podniesione głosy, eter pełen przekleństw, głównie po niemiecku. Komandosi już biegną, ktoś wydaje komendy, uciekinierzy się rozbiegają, ale są słabi i zmęczeni, a większość prześladowców już zdążyła nabrać sił... W duchu przepraszam jeńców za to, co zrobiłem, gdy nagle z porannej mgły odzywa się seria z karabinu maszynowego.

Cekaem wali ze szczytu niewielkiego wzgórza, którego jedno zbocze stromo spada ku rzece. Coś bardzo mocno uderza mnie w ramię i świat gaśnie.

Nie ma nawet bólu. Jest tylko ciemność.

--Odzyskał przytomność, panie majorze.

--Doskonale. Panie doktorze, proszę nas zostawić. Panie kapitanie, pańska...

Słyszę głosy. Moje powieki unoszą się z ogromnym trudem, jakby każda z nich ważyła tyle co średniowieczny most zwodzony.

Sala. Szarość i zieleń i coś czarnego na samym środku, brzydki czarny kleks, niepasujący do reszty obrazu...

Aha. Szpital wojskowy. Izolatka, ale z kratami w oknach. Czyli nie tylko wojskowy, ale jeszcze więzienny?

I człowiek z Geheime Staatspolizei. Ha! Mój dobry znajomy, kapitan. Czyżby obserwował mnie od czasu Zety-5?

Ale teraz patrzy na mnie bez wrogości. Raczej z ciekawością, niemal przyjaźnie.

--Ocknąłeś się, Fatiejew? -- pyta. -- Ocknoles sie, psyjacelu? -- powtarza łamanym rosyjskim.

--Tak jest... panie kapitanie -- wykrztusiłem. Próbuję poruszyć rękami i nogami; chyba wszystko jest na swoim miejscu. Wszystko działa. Prawą rękę mam wprawdzie zabandażowaną, ale na szczęście nie boli.

--Dajmy spokój szarżom -- macha ręką i swobodnie rozsiada się na krześle. Błyszczą wypolerowane do przesady wysokie buty. Teraz już tylko gestapo takie nosi... -- Lekarze dali mi piętnaście minut, więc pozwolisz, że od razu przejdziemy do rzeczy. Prowadzę śledztwo dotyczące ucieczki więźniów z miejsca tymczasowego zatrzymania na... zresztą szczegóły nie są ważne. To nie przesłuchanie, jak widzisz, nie protokoluję, nie ma świadków, możesz mówić swobodnie. Czy dobrze rozumiem, że to właśnie ty zaalarmowałeś obóz?

--Tak jest... -- słowa przychodzą mi z ogromnym trudem.

--Bardzo dobrze. Jak się to stało? -- pyta kapitan serdecznym tonem.

--Wstałem... się odlać... nie chciałem... obok chłopaków... poszedłem... zobaczyłem, że uciekają... włączyłem alarmowe połączenie... zacząłem pościg... otworzyłem ogień...

--Spokojnie, Ruslan, spokojnie. Ja i tak to wszystko wiem. Nagranie tego, co wtedy mówiłeś, mam przy sobie. Więc obudziles się i poszedles... tak?

--Tak jest...

--Gdzie byłeś, gdy spostrzegłeś... eee... fakt ucieczki? Możesz pokazać na mapie? Jakoś udaje mi się utrzymać ołówek.

--Mniej... mniej więcej tutaj, panie...

--Powiedziałem przecież, bez szarż. Więc tutaj?

--Tak... ale nie mam... pewności...

--Nie szkodzi. Zaznaczyłeś mniej więcej i to wystarczy. Dobrze. A teraz dalej. Zobaczyłeś uciekinierów i rzuciłeś się w pogoń, tak?

--Otworzyłem ogień...

--Do kogo?

--Nie wiem... do tych, co byli z tyłu...

--Dlaczego otworzyłeś ogień, Ruslan? Dlaczego nie próbowałeś wziąć ich żywcem?

--Strzelałem w nogi...

--Jasne. Tak jakbyś zapomniał, że kule z mannlicera człowiekowi bez pancerza mogą te nogi oderwać. Gdy do nich dobiegliśmy, już się wykrwawili. Nie udało się ich uratować.

--Przepraszam... panie kapitanie... gotów jestem ponieść...

--Karę? Nie wątpię, Fatiejew, nie wątpię. Zapewne zainteresuje cię fakt, że przypadkowo wśród jeńców była twoja dziewczyna, Dżamajte.

--Wiem o tym, panie kapitanie.

Czyżby udało mi się zaskoczyć gestapowca? Chyba nie.

--Ach tak? A skąd? -- unosi brwi w udawanym zdumieniu. Kiepsko was uczą w tym kontrwywiadzie...

--Pan sierżant...

--Rzeczywiście -- uśmiecha się tajniak. -- Sierżant naprawdę wspomniał, że poinformował cię o wzięciu do niewoli rebeliantki Dżamajte. Co zrobiłeś, gdy już się o tym dowiedziałeś?

--Położyłem się... spać.

--Położyłeś się spać... -- powtarza w zadumie tajniak. -- Co za nieprawdopodobny zbieg okoliczności, Fatiejew. Dowiadujesz się, że twoja dziewczyna jest w niewoli, a w chwilę potem czterech wartowników leży martwych, a jeńcy uciekają. Wiesz, co jest najciekawsze, Fatiejew? To, jak zostali zabici. Wiesz, jak?

--Melduję, że nie wiem -- uchylam się przed pułapką. -- Od razu rzuciłem się w pogoń...

--Nie wiesz? No to ja ci powiem: zostali zabici standardowymi imperialnymi bagnetami, rzuconymi z bliskiej odległości. To znaczy, że zrobił to ktoś, kto podszedł bardzo blisko. Nie wiesz przypadkiem, jak mogło do tego dojść?

Chyba już triumfował. Czy naprawdę jest aż tak głupi? O, nieszczęsne Imperium...

--Panie kapitanie... nasz obóz był słabo pilnowany... wszyscy zmęczeni, nie mieliśmy rezerw... jeden dobrze przygotowany bojownik mógł się łatwo przemknąć... tym bardziej że jeńcy uciekali tam, gdzie czekali na nich pomocnicy... tam, skąd cekaem...

--Ach, tak? -- Chyba jest zadowolony z mojej odpowiedzi. -- Jeden dobrze przygotowany bojownik... No cóż, to możliwe. Mało prawdopodobne, ale przyznaję, możliwe. Czy to wszystko, co wiesz na ten temat?

Kiwam głową. Tajniak wstaje. Nie wygląda na rozczarowanego.

--Dziękuję, kapralu Fatiejew -- mówi już oficjalnym tonem. -- Wasze wyjaśnienia absolutnie mnie satysfakcjonują. Myślę, że gdy tylko lekarze na to pozwolą, poddamy was testom na wariografie. Oczywiście, będzie to czysta formalność... Sądzę, że wówczas śledztwo zostanie ostatecznie zamknięte. Życzę szybkiego powrotu do zdrowia, kapralu. -- Krótkie skiniecie głową i tajniak wychodzi.

Opadam na poduszkę. Po plecach płynie mi strużka zimnego potu. Źle. Bardzo źle. Wariograf, zwany potocznie wykrywaczem kłamstw. Udoskonalony, doprowadzony niemal do ideału. Rejestrujący ze sto parametrów, z wydzielaniem potu, ruchem mięśni oka i drżeniem powiek włącznie. Nie mówiąc już o tak trywialnych rzeczach, jak zmiany tętna i ciśnienia krwi.

Trudno byłoby liczyć, że nie zaczną mnie podejrzewać... Wychodzi na to, że niepotrzebnie zabiłem tamtych biedaków. Teraz nie będę miał nic na swoje usprawiedliwienie, gdy na Sądzie Ostatecznym rzucają mi w twarz gorzkie i sprawiedliwe słowa.

Powoli zamykam oczy. Nie bezsilnie, lecz całkiem świadomie. Nadszedł czas, by przypomnieć sobie wszystko, czego mnie uczono.

Wykrywacz kłamstw. U podstaw jego znaczenia leży ślepa wiarę w naukę, w to, że kombinacja kabli, przewodów i układów elektronicznych potrafi nieomylnie odróżnić prawdę od kłamstwa.

Staram się oddychać równo i głęboko. To tylko maszyna. Głupia, bezmózga maszyna. Można w nieskończoność powiększać moce obliczeniowe przystawionego do wariografu komputera i nic się nie zmieni.

A to znaczy...

Wracałem do zdrowia. Okazało się, że rana nie jest głęboka, na szczęście pancerz osłabił uderzenie. Wkrótce dowiedziałem się, gdzie jestem i co ze mną robią. Znalazłem się w izolatce aresztu tymczasowego naszej rodzimej Geheime Staatspolizei. Formalne oskarżenie brzmiało -

- zdrada.

Ale zanim mnie zaczęto przesłuchiwać, pozwolono wyleczyć ramię. Cały ten czas spędziłem w pojedynczej salce -- czy, jak kto woli, celi -- szpitala. Na spacery mnie nie wyprowadzano, nie zezwalano też na kontakty ze światem zewnętrznym. Cella była maleńka -- trzy metry na półtora, ale zawsze to lepiej niż dwa metry kwadratowe na cmentarzu.

Nie pozwalałem sobie na bezczynność. Robiłem pompki na jednej ręce, póki nie zaczynało mi ciemnieć w oczach. Robiłem też przysiady, poprawiając własne rekordy.

A potem po mnie przyszli.

--A więc -- powiedział tajniak, wprowadzając mnie do pokoju -- tu znajduje się nasz wariograf. Czy też, wyrażając się bardziej naukowo, psychofizjologiczny wykrywacz fałszywych zachowań. Zgodnie z ustawą, przyjętą przez senat imperialny, mam obowiązek zapoznać was, kapralu, z zasadami działania tego urządzenia. Jak wiecie, wykrywacz nie może zdecydować, czy jesteście winni, czy nie. To zadanie sądu. My stwierdzimy jedynie, czy odpowiadaliście na zadane pytania zgodnie ze stanem faktycznym. Zdenerwowanie przed tym testem jest absolutnie naturalne -- uśmiechnął się serdecznie. -- Ja na przykład zawsze się denerwuję. Jak zapewne wiecie, wszyscy pracownicy organów mają obowiązek poddawać się testom. Aparat będzie rejestrował zmiany zachodzące w waszym organizmie podczas zadawania wam różnych pytań. Zwróćcie uwagę na te dwie gumowe rurki. Jedna zostanie umieszczona na waszej piersi, druga w okolicach gardła, aby rejestrować oddech. Te metalowe płytki umieścimy na dłoniach do pomiaru wydzielania potu. A ten niewątpliwie znany wam przyrząd służy do mierzenia ciśnienia. Prócz tego zarejestrowane zostaną ruchy powiek i mięśni oka oraz ruchy palców u stóp. -- Znowu dobroduszny uśmiech. -- Pewnie słyszeliście bajki o tym, że można oszukać przyrząd, napinając i rozluźniając mięśnie nóg? Kiedyś, dawno temu, przy pierwszych, niedoskonałych aparatach faktycznie to działało. Ale od tamtej pory upłynęło wiele czasu i teraz już potrafimy radzić sobie z takimi chwytami. Zresztą przepraszam za te dygresje. Dokończę obowiązkowy wykład, później podpiszecie, że wysłuchaliście wyjaśnień...

A więc zmiany, które zostaną zarejestrowane, to automatyczna odpowiedź waszego ciała. Możecie oczywiście myśleć, że potrafcie kontrolować swój strach, panikę czy zakłopotanie. To się rozumie samo przez się, w końcu jesteście żołnierzem przyzwyczajonym do walki, bywaliście już w sytuacjach ekstremalnych i sądząc po Żelaznym Krzyżu, odnosiliście sukcesy. Nie ma to jednak nic wspólnego z wykrywaczem kłamstw. Możecie zachować zimną krew i zapanować nad swoim strachem, ale nie zdołacie zrobić tego do końca. Wasze ciało tak czy inaczej pokryje się potem, oddech stanie się przyspieszony, a serce zacznie bić szybciej. Gdy skłamię, zostanie to stwierdzone przez aparat.

Gdy dorastaliście, na pewno mówiono wam, że kłamstwo jest rzeczą złą. Kłamanie, ściąganie, rozróbny, podglądanie i tak dalej. Przypomnijcie sobie te przypadki, gdy przyłapano was na kłamstwie w dzieciństwie. Pamiętacie, co wtedy czuliście? Dłonie wilgotnieją, policzki płoną, oddech staje się płytki, a serce wali jak młotem, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Ciało dostosowuje się do sytuacji, odpowiada na stres. To reakcja naturalna i nieuchronna...

Siedziałem na twardym, niewygodnym krześle, a tajniak chodził wokół mnie i mówił, mówił, mówił... Rozejrzałem się dyskretnie. W pokoju umieszczono niezbędne minimum wyposażenia: ciemny stół, obrotowe krzesło, drugie krzesło, przyśrubowane do podłogi (na którym właśnie

siedziałem), wysoki fotel, przypominający dentystyczny, mrugający światelkami wariograf oraz komputer. To wszystko. Aha, jeszcze na ścianie widniało ogromne lustro, niczym w garderobie teatralnej.

--Zanim przejdziemy do testów, chciałbym, kapralu, żebyście zrozumieli jedną ważną rzecz. Wszyscy wiemy, że ludzie nie zawsze są stuprocentowo szczerzy i uczciwi. Bywają przypadki, że z różnych względów lepiej jest dopuścić się niewielkiego kłamstwa. Na przykład lepiej skłamać znajomej kobiecie, że nowa suknia leży na niej cudownie, niż powiedzieć prawdę, że wygląda w niej niekorzystnie i powinna trochę schudnąć. -- Tajniak uśmiechnął się. -
- Musicie jednak pamiętać, że ciało zareaguje na wypowiedziane przez was kłamstwo bez względu na jego kaliber i charakter. Wy wiecie, że skłamaliście, wasza podświadomość wie o tym również i to ona wyda komendę. Podświadomości nie zmusicie do posłuszeństwa. Niestety, nie potrafimy czytać myśli. Możemy tylko rejestrować reakcje fizjologiczne waszego ciała. Maszyna nie wie, w którym momencie kłamię i jaki macie w tym cel. Ona po prostu odróżni kłamstwo do prawdy. Musicie zrozumieć, że dzisiaj powinniście zdobyć się na maksymalną szczerłość. Rozumiecie, kapralu?

--Tak jest, panie kapitanie.

--Bardzo dobrze, kapralu. W takim razie podpiszcie tutaj, że zostaliście zaznajomieni z zasadami testu...

Podpisałem. To i tak nie miało większego znaczenia.

--Będę zmuszony zadać wam bardzo dużo pytań. Niezależnie od ich natury, będziecie odpowiadali tylko „tak” albo „nie”, nic więcej. Wiecie, o co jesteście oskarżeni?

--Tak, panie kapitanie, znam oskarżenie.

--Doskonale. Czy chcecie coś powiedzieć, zanim przystąpimy do testu? Widzę, że coś was gnębi. Nie chcecie ulżyć sumieniu? Mam pełnomocnictwa do wysłuchania „szczerego wyznania win i wyrażenia skruchy”.

--Jestem niewinny, panie kapitanie. Nie mam się do czego przyznawać. Oczywiście, gdyby zastosowano wobec mnie metody... eee... siłowe, przyznałbym się do popełnienia dowolnych przestępstw. Ale przecież wasz wydział przestrzega prawa, a to znaczy, że nie mam się czego bać. Mówię prawdę i tylko prawdę.

--Ach, tak? -- prychnął tajniak. -- Cóż, kapralu, nie jestem sędzią ani śledczym, tylko operatorem wariografu. Ale możecie być pewni, że dzisiaj poznamy prawdę. Rozbierzcie się do pasa, zdejmijcie buty i siadźcie w fotelu. Najpierw muszę skalibrować maszynę. Jednocześnie zademonstruję wam jej efektywność. Każde kłamstwo, nawet najdrobniejsze i nic nieznaczące, zostanie zarejestrowane. Możecie sami się przekonać. Siadajcie, siadajcie. Czujniki ciśnienia... oddechu... tętna... czujniki zmian skórno-galwanicznych... kamery obserwacyjne oczu... dobrze, gotowe. Rozluźnijcie się, kapralu. Uczciwy człowiek nie musi się bać wariografu. Jeśli jesteście niewinni, potwierdzimy to ponad wszelką wątpliwość.

Pstryknęły włączniki. Tego, co działo się na ekranie, rzecz jasna, nie widziałem.

--Tak jak powiedziałem, najpierw kalibrowanie. Pomyślcie jakąś liczbę i zapiszcie ją na kartce, tej, co leży obok waszej prawej ręki. Pomyśleliście? Zapisaliście? Dobrze. Dajcie mi kartkę. Aha, osiem. Dopisuję cyfry od jednego do siedmiu z lewej oraz cyfrę dziewięć z prawej strony. Teraz będę was pytał, czy pomyśleliście liczbę taką a taką, a wy za każdym razem odpowiecie, że nie. Czy to jasne?

--Melduję, że nie, panie kapitanie. A co mam zrobić, gdy poda pan liczbę, którą rzeczywiście pomyślałem i zapisałem?

--Również odpowiecie „nie”. To będzie kłamstwo, niezbędne do skalibrowania aparatu. Rozumiecie, kapralu?

--Tak jest.

--W takim razie zaczynamy.

Odczytywał cyfry głośno i wyraźnie, z dużymi, chyba dwudziestosekundowymi odstępami. Gdy doszedł do cyfry „osiem”, spiął się i odrobinę wstrzymałem oddech. Leciutko napiąłem mięśnie zwieraczy. Te nowe modele na pewno rejestrują ruch nawet mięśni pośladków, należało unikać podobnych manewrów.

Tajniak powiedział „dziewięć”, a potem długo manipulował przy swoim pulpicie, mamrocząc „doskonale, fantastycznie”, niby do siebie, ale tak, żebym słyszał.

--No cóż, kapralu -- wrócił do mnie zza monitora. -- Gratuluję. Macie bardzo klarowne reakcje uczciwego człowieka. Gdy podałem liczbę osiem, a wy skłamałście, tak jak wam poleciłem, wasze ciało oznajmiło głośno „kłamie!” Popatrzcie sami -- pokazał mi duży wydruk. Obok szarej cyfry „osiem” pojawiły się czerwone, niebieskie i zielone „szczyty”, prawie wychodzące poza skalę. -- Widzicie? Teraz przeprowadzimy jeszcze jedną próbę, starą jak świat, ale bardzo skuteczną. -- Wyjął z biurka nierozpieczętowaną talię kart. -- Otwórzcie i potasujcie. Sprawdźcie, czy karty nie są jednakowe... -- tak dawniej okłamywano uczestników eksperymentu. Wstydliva karta historii wariografologii...

Rozpieczętowałem talię. Pięćdziesiąt dwie najwyklejsze karty, plus dwa dzokery i dwie czyste. Przetasowałem.

--Teraz wyciągnijcie kartę, ale nie pokazujcie mi. Wyciągnijcie ją tak, żebyście mieli pewność, że żadne ukryte lusterka nie pozwolą mi jej podejrzeć.

Wyciągnąłem siódmkę pik.

--Pięknie. Teraz postaram się zgadnąć, jaką kartę wyciągnęliście. Na wszystkie moje pytania odpowiadajcie „nie”. Czy to jest figura?

--Nie.

--Czy ma cyfrę?

--Nie (napięcie mięśni, leciutkie wstrzymanie oddechu).

--Czy to dzoker?

--Nie.

--As?

--Nie.

Chwila milczenia.

--Nie ma wątpliwości, wyciągnęliście kartę od dziesiątki do dwójki. Tak... idźmy dalej. Czy to dwójka?

--Nie.

--Trójka?

--Nie...

Kończąc na dziesiątce, tajniak znowu milczał przez jakiś czas, ukryty za potężnym monitorem.

--Wyciągnęliście siódmkę -- oznajmił triumfalnie. -- Pozostaje tylko odgadnąć kolor. Czy

to trefl?

--Nie...

Rzecz jasna, odgadł.

--Siódemka pik! -- ogłosił uroczyście. -- Mam rację, kapralu?

--Tak jest, panie kapitanie. Ani przez chwilę nie wątpilem, że się pan dowie. Słyszałem, że te nowe modele wariografów są bardzo precyzyjne.

--Bardzo dobrze słyszeliście, kapralu, bardzo dobrze. Czy teraz się przekonaliście, że jesteśmy w stanie zarejestrować wasze najdrobniejsze nawet kłamstwo? Nawet takie, które wypowiedzieliście na mój wyraźny rozkaz i które nie przedstawiało dla was żadnego niebezpieczeństwa? Aparat się nie myli. Rozumiecie, co się stanie, jeśli skłamiecie w naprawdę istotnej kwestii?

--Oczywiście, panie kapitanie!

--Jak rozumiem, jesteście gotowi odpowiadać szczerze i mówić wyłącznie prawdę?

--Tak jest, panie kapitanie.

--Dobrze. Przeprowadzimy trzy serie pytań. Nazywacie się Ruslan Fatiejew?

--Tak.

--Pochodzicie z Sywanii?

--Nie.

--Jesteście jedynakiem?

--Nie.

--Zostaliście pozbawieni spadku?

--Tak.

Oddycham równo i spokojnie, to tylko rozgrzewka, pytania, na które nie mogę udzielić fałszywej odpowiedzi. Mięśnie rozluźnione, szczęki uchylone, język spoczywa luźno i swobodnie.

--Łamaliście kiedyś przepisy ruchu drogowego?

--Tak -- szybszy oddech.

--Skłamaliście już kiedyś w swoim życiu?

--Tak.

--Czy można nazwać was uczciwym człowiekiem?

--Tak.

--Braliście kiedykolwiek coś, co do was nie należało?

--Nie -- napięcie, gwałtowne i mocne. Przygryzam język aż do bólu.

--Czy zabijaliście ludzi, nie będąc w wojsku?

--Nie -- rozluźnienie.

--Skłamaliście kiedyś ukochanej osobie?

--Nie. -- Znowu napięcie mięśni, wstrzymanie oddechu na pięć sekund, więcej te współczesne systemy nie potrzebują, a potem powolne rozluźnienie z mimowolnym wydechem, gdy w płucach jest jeszcze dużo powietrza.

--Korzystaliście z nielicencjonowanego oprogramowania?

Oczywiście, że tak! Wszyscy korzystają. Ale nie mogę się do tego przyznać. To pytanie kontrolne, obliczone na obowiązkowe kłamstwo. Więc kłamię, przygryzając język tuż przed odpowiedzią. Ból pomaga wysłać czujnikom sygnał, którego oczekują. -- Nie.

--To wy wypuściliście jeńców?

--Nie -- najważniejsze pytanie. Rozluźnienie.

--Moglibyście podnieść rękę na młodszego stopniem?

Jeszcze jedno pytanie, przy którym powinienem skłamać. Przemoc wobec młodszych stopniem jest surowo wzbroniona przez wszelkie regulaminy, a jednocześnie wszyscy wiedzą, że czasem nie sposób się bez niej obejść. Spodziewają się, że w tej sprawie też skłamię. Nie zawiodę ich.

--Nie.

--Czy uderzyliście kiedykolwiek żołnierza swojej drużyny?

--Nie.

--To wy zabiliście wartowników pilnujących jeńców?

--Nie. -- Mięśnie rozluźnione, równy oddech. Oczy patrzą prosto przed siebie. Nawet mrugam z tą samą częstotliwością co zwykle.

--To wy zabiliście kilku jeńców?

--Tak.

--Mogliście wziąć ich żywych?

Pewnie, że mogłem. Ale znowu oczekuje się ode mnie kłamstwa, więc kłamię. -- Nie.

Ta zabawa trwa jeszcze bardzo długo. Padają najróżniejsze pytania, kilka razy powtarzają się te same, w nieco zmienionej formie. Istotne, kontrolne, nieistotne. Kontrolne, nieistotne, istotne. Wszystkie trzy kategorie pytań testu na wykrywaczu kłamstw. Za każdym razem wykorzystuję te same środki. Reaguję gwałtownie na pytania kontrolne i rozluźniam się przy pytaniach istotnych w rodzaju: „Czy wiecie, kto zabił wartowników?“, „Czy podejrzewacie kogoś o wypuszczenie jeńców?“

Operator dwukrotnie przerywa seans, wyłącza aparat (w każdym razie udaje, że to robi) i wychodzi, by, jak mówi, obejrzeć gotowe już odczyty. Doskonale wiem, że niczego nie wyłącza i moje reakcje nadal są rejestrowane.

Za trzecim razem tajniak zdecydowanie wstaje, łapie swoje krzesło, podsuwa do mojego, siada i niedbale pstrykając jakimś wyłącznikiem mówi, patrząc mi prosto w oczy:

--Wiem, że jesteś winien, kapralu. Widzę, że się specjalnie przygotowywałeś, żeby oszukać mój przyrząd. Powiedz, mam rację? Przecież widzisz, że wyłączyłem zapis...

--Melduję, że nie wiem, o czym pan mówi, panie kapitanie. Mówię prawdę.

Tajniak podpuszcza mnie tak kilka razy. W końcu, gdy według moich wyliczeń mijają mniej więcej trzy godziny, wstaje.

--Hm... -- mówi, wpatrując się w wydruk z udawaną zadumą. -- Nie płacami pensji za to, żeby ignorować moje badania i raporty. Test potwierdza, że nie byliście do końca szczerzy, kapralu.

Milczę. Nie ruszam się z miejsca i pozeram wzrokiem zwierzchnictwo. Najlepszy sposób obrony.

--Milczycie, Fatiejew?

--Melduję, że nie wiem, co odpowiedzieć, panie kapitanie. Mówiłem szczerą prawdę. Nie mam nic więcej do dodania.

Próbował jeszcze kilka razy. Moje odpowiedzi nie zmieniały się.

W końcu machnął ręką.

Strażnicy zaprowadzili mnie do celi.

Spędziłem w niej dwa następne dni. Trzeciego dnia posępni strażnicy wyciągnęli mnie na korytarz. Mógłbym spokojnie ich załatwić -- wprawdzie byli dość potężni, o głowę wyżsi ode mnie, ale nie spodziewali się jakiegokolwiek oporu. Zazwyczaj więźniowie bardzo szybko zmieniają się w posłuszne owce. Gdyby było inaczej, żadne imperium nie przetrwałoby długo. Tym razem zaprowadzono mnie do zwykłej sali przesłuchań, gdzie już czekał na mnie mój kapitan. Wartownicy zostali za drzwiami.

--Siadaj, Fatiejew. -- Krzepiący uśmiech; pewnie w taki sposób uśmiechałby się krokodyl. Posłusznie usiadłem.

--Gratuluje, kapralu. -- Przesunął w moją stronę kilka błękitnych kartek, ozdobionych wymyślnymi pieczęciami. -- Trybunał cię uniewinnił. Znakomicie przeszedłeś test na wykrywaczu kłamstw. Nasz najbardziej doświadczony pracownik stwierdził, że nie stosowałeś żadnych sztuczek i nie próbowałeś oszukać przyrządu. Twoje zeznania zostały potwierdzone przez świadków. Kilku powtórnie schwytanych buntowników niezależnie od siebie zeznało, że próbę uwolnienia podjęli ich towarzysze. Z twoją ręką już wszystko w porządku, drużyna na ciebie czeka, a rozkaz o kolejnym awansie też pewnie niebawem otrzymasz.

--Dziękuję, panie kapitanie!

--Nie dziękuj. Dochodząc prawdy, służymy Imperium. Masz tu rozkaz twojego zwolnienia, polecenie wyjazdu służbowego... Wartownicy cię odprowadzą.

Zasalutowałem w milczeniu, nie wierząc własnym uszom. Tak łatwo kontrwywiad wypuszczał mnie ze swoich łap? Zbyt łatwo... A przecież muszą znaleźć winnych ucieczki więźniów, muszą złożyć raport o podjętych krokach... Jestem takim idealnym kandydatem! W mojej opowieści było wystarczająco dużo luk i słabych miejsc, wystarczyło mnie tylko przycisnąć... Nie zastosowali wobec mnie żadnej metody siłowej!

Chwileczkę, chwileczkę, pomyślałem sobie, gdy milczący strażnicy prowadzili mnie do kancelarii więziennej, gdzie miałem odebrać swoje rzeczy, odznaczenia, dokumenty i całą resztę. A jeśli to sprytne posunięcie taktyczne? Może doszli do wniosku, że torturowany Fatiejew prędzej umrze, niż coś powie? Czy nie lepiej po prostu go wypuścić, żeby sam zaprowadził nas do spiskowców, jeśli rzeczywiście jest agentem nieznanego ośrodka oporu? Zawsze zdążymy zamknąć tego Fatiejewa i stracić go za zabójstwo czterech komandosów. Niech sobie myśli, że jest bezpieczny, że oszukał wariograf. Niech się rozluźni, straci czujność, a wtedy zaprowadzi nas do tego ich sztabu czy centrali...

Bardzo rozsądna decyzja. W końcu niczym nie ryzykują i niczego nie tracą. A może umieścili mi pod skórą jakąś mikropluskwę, taki czujnik, żeby stale wiedzieli, gdzie jestem, z kim rozmawiam, co robię?

Zobaczymy. Kto ostrzeżony, ten uzbrojony.

Wypuścili mnie. Gadatliwy kierowca, wioząc całą grupę świeżo zwolnionych -- głównie z aresztu -- opowiadał, że bunt już stłumiono, że nadciągnęły oddziały wojskowe i Sylwania została spacyfikowana. Wzięto wielu jeńców i teraz będą ich sądzić. Podobno jednak niektórym udało się wyśliznąć. Blokada Sylwani nie była stuprocentowo skuteczna, a rebelianci mieli swoje statki, które, jak się okazało, czekały na wysokich orbitach, a potem zabrały startujące z planety wahadłowce. Wielkie szychy w sztabie -- paplał bez przerwy kierowca -- są bardzo przejęte. We wszystkich bazach na tyłach nie mówi się o niczym innym.

Dobrze mówiło stare powiedzenie, że „gadula to zdobycz dla szpiega”. Skąd buntownicy wzięli statki? Własna flota? Sami je zbudowali? Gdzie? Na tych nielicznych, rzekomo niepodległych planetach, trzęsących portkami przed Imperium? Bo chyba nie dostali w prezencie od Obcych!

Załadowali nas wszystkich na wojskowy transportowiec, który leciał nie na Nowy Krym, gdzie już zdążył powrócić Tannenberg, lecz na Iwołgę. -- Tak nazywaliśmy dużą i bogatą planetę, pełniącą w naszym sektorze rolę węzła komunikacyjnego. Tam miałem czekać na „okazję” na Nowy Krym...

Dziwnie się czułem, gdy nagle znalazłem się z dala od wojny, koszar i swojej drużyny -- prawie jak wolny człowiek. Wprawdzie na Iwołdze kilkanaście razy sprawdzały mnie patrole, ale wszystko -- polecenie wyjazdu służbowego, mundur i tak dalej -- miałem w porządku, więc najbardziej nawet upierdliwy major nie miał się do czego przyczepić.

Na liniowiec na Nowy Krym miałem czekać trzy dni. Zarejestrowałem się w komendanturze, zostawiłem swój chudy worek w malutkim pokoju przyportowego hoteliku i ruszyłem na włóczęgę po mieście.

Iwołga jest dużą i świetnie prosperującą planetą. Nie ma wprawdzie tak ciepłego i łagodnego klimatu jak mój ojczysty Nowy Krym -- przez pół roku panuje tu surowa zima -- za to w ziemi pełno wszelkich możliwych surowców, a pola są bardzo urodzajne. Dzięki temu dość szybko zrezygnowano tu z chlorelli i innych cudów mikrobiologicznej syntezy. Iwołga stała się pierwszą naprawdę samowystarczalną planetą sektora i jako pierwsza dobrowolnie weszła w skład Imperium. Znaczny procent ludności stanowili przedstawiciele „rasy panów”, więc aż mi się w oczach mieniło od różnego rodzaju bawarskich piwiarni, hamburskich jadłodajni i reńskich garkuchni. Na Iwołdze przyciąganie jest nieco wyższe niż na Nowym Krymie, ale można wytrzymać. Co prawda po jakimś czasie czujesz nieodpartą ochotę, żeby, jeśli już się nie położyć, to przynajmniej usiąść.

Nawet mi się tu podobało, choć w powietrzu czuć było smog. Na peryferiach miasta dymiły liczne kominy, jakby nie słyszeli tu nigdy o ochronie środowiska, a po ulicach krążyło, jak na mój gust, zbyt dużo uzbrojonych patroli w pełnym rynsztunku bojowym i pancerzach. Czy działo się coś, o czym nie wiedziałem? I ludzie byli dziwnie przygnębieni. Na twarzach kelnerek i barmanek wykwitwały dyżurne uśmiechy, ale w oczach widniał olów. Zresztą co mnie to obchodzi, nie zamierzam mieć z nimi dzieci...

Trzy dni później odleciałem na Nowy Krym.

W Tannenbergu powitali mnie jak długo oczekiwanego krewnego. Uśmiechali się, poklepywali po ramieniu, nawet dowódca kompanii przystanął i pogratulował mi powrotu do zdrowia oraz awansu. Jak się okazało, wszyscy już znali moją historię. Nasza wspaniała tajna policja państwowa zrobiła ze mnie bohatera. Nie dość, że zdjęto ze mnie wszystkie oskarżenia, to jeszcze wyszło na jaw, że dzięki mnie udało się zatrzymać kilku uciekinierów, co umożliwiło Tannenbergowi zachowanie twarzy. Okazało się również, że czeka na mnie podpisany przez Vallensteina rozkaz, przyznający mi medal „za odwagę”.

Na moim rękawie, pomiędzy rozchodzącymi się jak litera V promieniami naszywki, pojawiła się czteroramienna gwiazdka.

Chłopcy powitali mnie jakby nigdy nic. Żaden nie miał już pretensji o pamiętne mordobicie na Sylwanii, żaden niczego nie wypominał. Chang nadal leżał w szpitalu, zastępstwa jeszcze nie

przysłali. Dowódcy plutonu przybyła kolejna baretkka...

Bunt na Sylwanii, jak powiedział mi potem porucznik, rzeczywiście został bardzo dobrze przygotowany, więc nikogo nie zdziwiło, że powstańcy próbowali uwolnić swoich. Jak się okazało, rebelianci mieli przygotowane wahadłowce, wzlatujące z najbardziej nieoczekiwanych miejsc planety, krążowniki zaś, które je zabierały, również wyłoniły się nagle, jakby znikąd.

--Powiem ci coś, Fatiejew -- porucznik ze złością wypluł źdźbło trawy, które żuł zawzięcie. -- Chyba po prostu nas testowali. Przyjęli walkę, a potem się wycofali. Poświęcili pionki. Ale i my nieźle oberwaliśmy.

--My, panie poruczniku?

--Nie mówię o Tannenbergu. My działaliśmy czysto, no, prawie czysto. Ale w innych oddziałach... -- pokręcił głową. -- Zanim przybyło lotnictwo, zanim to, zanim tamto... Był rozkaz, żeby zdławić bunt, zanim obejmie całą planetę, no to naciskano. My jako samodzielny batalion wyszliśmy z tego obroną ręką, ale 5. Pułk Piechoty Zmechanizowanej dostał niezłego lupnia. Szturmowali miasto i kosmoport, myśleli, że tam zgromadzono cały sprzęt buntowników. Szli niemal ze śpiewem na ustach, a tam każdy kamień strzelał. Ponieśli ogromne straty... Dobra, Fatiejew, zbieraj swoich. Wkrótce przyślą zastępstwo dla dwóch twoich rannych. -- Poklepał mnie po ramieniu jak równy równego i poszedł.

Szyfrogram 60

Salim do Bakłana

Melduję o stanie batalionu Tannenberg po powrocie z operacji „Nocne niebo”. 17.08 batalion dokonał zajęcia strategicznie ważnego mostu na trasie Davenport-Iblis; 21.08 wzięto szturmem umocniony punkt Szmoel. Straty wyniosły: 17.08: zabitych -- 7 ludzi, rannych -- 38. 2.08: zabitych -- 12 ludzi, rannych -- 43. Batalion zlikwidował 454 bojowników przeciwnika, 187 wzięto do niewoli, razem z rannymi. Zdobyte trofea: karabinów szturmowych -- 1187; cekaemów 7.92 mm -- 18; cekaemów 14.5 milimetra -- 6; moździerzy 82 mm -- 10; moździerzy 120 mm -- 1. Zgodnie z oceną sztabu dywizji, działania batalionu zakwalifikowano jako „doskonale” (najwyższy możliwy stopień -- „godne naśladowania”).

Moralno-psychiczny stan składu osobowego -- jest bardzo wysoki. Dowództwu udaje się narzucić kodeks honorowy komandosa oraz wychowywać żołnierzy w duchu imperialnym. Próby pracy propagandowej powinny być, moim zdaniem, prowadzone z niezwykłą wręcz ostrożnością, bez wykorzystywania głęboko wprowadzonych agentów. Proponuję zastosować plan „Wenus”...

Szyfrogram 61

Gładiator do Bakłana

Agent poinformował nas, że na stłumienie drugiej fazy buntu na Sylwanii przerzucono oddziały 20. Korpusu w składzie czterech dywizji, w tym jedną pancerną. Wściekły przekazał, że 192. i 193. dywizje ochronne razem z 63. Brygadą Pancerną i zarządem 59. Korpusu otrzymały rozkaz natychmiastowej dyslokacji na Sylwanię. Na skutek tego południowe krańce sektora są odsłonięte. Jednak 2. Korpus Desantowy, biorący udział w stłumieniu pierwszej fazy powstania na Sylwanii, nie otrzymał żadnych rozkazów wyruszenia czy choćby wprowadzenia podwyższonej gotowości bojowej. Najprawdopodobniej dowództwo stara się stworzyć wrażenie, że nawet regularne oddziały wojskowe i policyjne są w stanie poradzić sobie z wystąpieniami elementów antyrządowych na Sylwanii.

Szyfrogram 62

Baklan do Salima

Wasz meldunek o pobitewnym stanie powierzonego waszej obserwacji oddziału po bitwie został przyjęty, dziękuję za wyczerpujący charakter informacji. W związku z przejściem do drugiego etapu planu „Biomorf” rozkazuję tymczasowo przerwać pracę agenta. Raporty przysyłać tylko w razie przejścia w stan podwyższonej gotowości bojowej.

Szyfrogram 63

Baklan do Gladiatora

Za wszelką cenę utrzymujcie kontakt z Aryjczykiem i Wściekłym. Łączność zostaje przerwana aż do nastąpienia drugiego etapu operacji.

Niedługo po powrocie na Nowy Krym znowu zobaczyłem Gilvy. Pracowała gorliwie w sztabie, nadal zajmując jakieś mało ważne stanowisko, choć chyba nieco mniej mało ważne niż na początku. Trzeba przyznać, że w mundurze było jej bardzo do twarzy. Nie zostało w niej nic z gotowej do świadczenia usług „dziewczynki”. Teraz Gilvy niewiele różniła się od tamtej pani porucznik, która przyjmowała mnie w punkcie werbunkowym.

--Rus! -- Gilvy na mój widok padła mi w ramiona na środku podwórka, tuż przed naszymi koszarami. -- Wróciłeś cały i zdrowy! Bogu niech będą dzięki! Wróciłeś!

--Gilvy... -- wyjąkałem osłupiały. -- Co się dzieje? Pewnie, że cały... skoro jeszcze mnie widzisz!

--Nie o to chodzi! -- Zarzuciła mi ręce na szyję, jakby wcale nie miała zamiaru mnie puścić. Odruchowo położyłem dłonie na jej talii. Wargi Gilvy znalazły się tuż przy moim uchu. -- Mówię o tym, że wyrwałeś się z łap bezpieki. Tu gadali... no, że cię wzięli i trzymają nie wiadomo za co.

--Dokładnie tak było -- odpowiedziałem, walcząc z oszołomieniem. -- Zatrzymali mnie, to prawda. Ale przecież wiesz, że nasze organa nie karzą niewinnych. To była pomyłka, oni też do tego doszli i oczywiście odesłali mnie z powrotem, żebym mógł dalej służyć...

Popatrzyła na mnie dziwnie, odsuwając się odrobinę.

--To co, zajrzysz do mnie kiedyś? Po starej znajomości?

--Czemu nie? Mam nadzieję, że konfitury jeszcze się skończyły.

--Dostałam nową porcję. Od babci... mnie się nie chciało w to bawić!

--No, skoro od babci, to przyjdę na pewno. Możesz być przekonana -- zapewniałem nieszczercze. Nie miałem najmniejszego zamiaru jej odwiedzać. Coś się w niej zmieniło, coś odeszło bez śladu, coś ważnego, bez czego nawet słynne konfitury straciłyby smak. Nie chciałem do niej chodzić. Może byłem zazdrosny o tego oficera, z którym ją kiedyś widziałem?

Znowu zaczęły się rutynowe treningi. Ze zdumieniem dowiedzieliśmy się z oficjalnych informacji, że tłumienie buntu na Sylwanii weszło w drugie stadium i polega na „szeroko zakrojonej akcji poszukiwawczo-wywiadowczej, wylawianiu tajnej agentury rebeliantów oraz jej neutralizacji”.

Wyglądało na to, że nie wszyscy buntownicy opuścili planetę. Część się przyczaiła i gdy elita Reichswehry została zastąpiona oddziałami ochronnymi, płomień powstania zapłonął z nową siłą. Nie tak ostro jak za pierwszym razem, ale jednak. Buntownicy z uporem fanatyków próbowali przykuć siły imperialne do Sylwanii. Nie mogłem tego zrozumieć. Planeta nie miała

szczególnego znaczenia strategicznego, w końcu to nie Iwołga, gdzie zbiegały się korytarze z głębokiego kosmosu; w każdym razie do Iwołgi statkom z Wewnętrznych Planet łatwiej było dotrzeć. Sylwania to wprawdzie bogata planeta, ale z drugiej strony, położona zbyt daleko od pozostałych „niezależnych” planet. Zagadkowa flota zniknęła. O co chodziło tajemniczym koordynatorom buntu na Sylwaniu? Jaki mieli w tym cel?

Jednocześnie miałem wrażenie, że nasz batalion jest trzymany pod kloszem, że ktoś nie chce rzucać nas do przeciągających się walk z rozsianymi na Sylwaniu grupkami powstańców. A przecież żołnierze Tannenberga byli specjalistami od walk z partyzantami!

Szyfrogram bez numeru

POWIETRZE!

Baklan do wszystkich.

Czas, by zadźwięczały kielichy.

--Słuchaj, kapralu, nie myślałeś nigdy o czymś więcej niż stanowisko dowódcy drużyny?

--Melduję, panie kapitanie, że myślałem.

--No i co? -- dowódca mojej kompanii, kapitan Möchbau, odchylił się na oparcie fotela.

--Myślę o tym, żeby złożyć podanie o wpisanie mnie na listę kandydatów do egzaminu na pierwszy stopień oficerski.

--Najwyższa pora, kapralu, najwyższa pora. Twój dowódca plutonu dostanie awans i będzie porucznikiem. Desant się rozszerza, tworzymy nową kompanię. Chodzą słuchy -- Möchbau uśmiechnął się szeroko -- że niedługo przekształcą nas w pułk.

--Panie kapitanie... przecież te informacje są na pewno tajne?

--Te? Nie. Przeciwnie, dowództwo zaleca, by zapoznać z nimi żołnierzy. To przecież świadczy o uznaniu naszych zasług. Jest świadectwem najwyższego zaufania. No, dawaj to swoje podanie. Już, bierz kartkę i pisz, od razu, przy mnie. Nie skończyłeś wprowadzić uczelni wojskowej, ale masz wyższe wykształcenie uniwersyteckie i pokazałeś się w walce z jak najlepszej strony...

--Dziękuję, panie kapitanie.

--Daj spokój, Fatiejew. Wyślemy cię do sztabu dywizji, na Iwołgę. Tam zdasz egzamin. I pamiętaj, masz tu wrócić jako oficer. Nie jesteś stworzony na sierżanta. Dam ci pluton i zobaczymy, jak ci pójdzie. Osobiście uważam, że powinieneś dać sobie radę. Już przygotowałem ci rekomendację. Twój starszy sierżant sztabowy Pferzegtakl również. Czemu się uśmiechasz?

--Przepraszam, wyobraziłem sobie pana sierżanta, jak będzie oddawał mi honory, jeśli zdam egzamin...

--O to się nie martw. Przekaż swoją drużynę zastępcy i do roboty. Masz cztery tygodnie na przygotowanie. Wyruszasz jedenastego.

A więc zasiadłem do regulaminów, podręczników i innych materiałów.

Cel wydawał się bliski jak nigdy dotąd.

Ale oczywiście nie udało mi się dotrzeć na Iwołgę.

Szyfrogram 66

Baklan do wszystkich

W związku z planowym rozwojem drugiej fazy operacji „Biomorf” i nieprzewidzianymi negatywnymi zjawiskami, jakie się przy tym pojawiły, należy podjąć wszelkie kroki w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa.

Tym razem nie wyły syreny, nie wrzeszczały głośniki, a reflektory nie oślepiały nas swoim światłem. Batalion Tannenberg otrzymał rutynowy rozkaz przerzutu. Ładowaliśmy się na transportowce bez ociągania, ale też bez niepotrzebnego pośpiechu. W odróżnieniu od poprzednich takich wypadków, tym razem nikt nic nie wiedział, wszystko odbywało się w najgłębszej tajemnicy. Zawczasu przygotowaliśmy się do dyslokacji i nie był to pospieszny przerzut w rodzaju „łap walizki, bo dworzec odjeżdża”, ale za to w nieznanie. Oficerowie i sztab mieli nieprzeniknione, poważne twarze. W wiadomościach imperialnych kładziono nacisk na znalezione w lasach Sywarii bandyckie kryjówki, obozy i tak dalej. W celu stłumienia

powstania przerzucano znaczne siły, tak przynajmniej wynikało z oficjalnych informacji, jak na przykład ta:

Jak stwierdził nasz wywiad, w jednym z lasów Sylwanii bandyci urządzili sobie doskonale wyposażone „legowisko”... Do ich obozu natychmiast podeszły oddziały piechoty zmechanizowanej pod dowództwem von Wartenburga, czołgiści pod dowództwem Prissa i jegrzy pod dowództwem pana Schylowskiego. Z powietrza nasze dzielne wojska były osłaniane przez myśliwce pod dowództwem pana von Rundsteta.

Bandyci bronili się rozpaczliwie. Dzięki wsparciu, jakiego udzieliły im tak zwane niezależne planety, buntownicy dysponowali współczesnym uzbrojeniem, aż do samobieżnych dział obrony przeciwlotniczej i przeciwpancernych bomb kasetowych.

Jako pierwsi mieli zaatakować wroga piloci von Rundsteta. Prowadzili swoje groźne maszyny na bardzo niskich wysokościach, co zmniejszało ryzyko zarejestrowania ich. Ale chytry i przebiegły nieprzyjaciel wysłał przodem operatorów-kamikadze, którzy otworzyli ogień w chwili, gdy nasze sokoly pojawiły się w ich celownikach. Dzięki umiejętnym manewrom naszym pilotom udało się odciągnąć maszyny od prześladowających ich rakiet. Po wykryciu przeciwnika czołgiści Prissa pragnęli jak najszybciej wejść z nim w kontakt ogniowy i osłonić piechotę, która, jak zawsze, zmuszona była wziąć na siebie główny ciężar walk na tym trudno dostępnym leśnym terenie. Piechota zajęła pozycje, podczas gdy działa pancerne nie pozwalały przeciwnikowi podnieść głów. I oto, na zakończenie, błyskawiczny skok -- wróg zostaje otoczony, jego opór złamany. Piechota już prowadzi jeńców. Nie jest ich wielu, niemal wszyscy rebelianci zginęli, tylko nielicznym udało się prześliznąć przez pierścień okrążenia. Wiemy jednak na pewno, że nie będą zbyt długo cieszyć się tą wolnością. Z takimi dowódcami jak von Rundstet, Priss czy von Wartenburg, możemy wierzyć, że już wkrótce na nieszczęsnej ziemi Sylwanii przywrócone zostanie prawo i porządek naszego Wielkiego Imperium...

A ja nadal nie wiedziałem, co działo się z Dalką. Może do tej pory ukrywa się na Sylwanii, a może udało jej się odlecieć na tamtych zagadkowych statkach? Tak czy inaczej, drogę powrotną na Nowy Krym miała zamkniętą. Została rozpoznana przez tajną policję państwową, więc zatrzymaliby ją podczas pierwszej kontroli. Zablokowano jej konta, nikt nie przyjąłby jej do pracy. Chociaż, z drugiej strony... Skoro inicjatorzy buntu na Sylwanii potrafili wytrasować skądś całą flotę, to może umieją również wyklepać nowe identyfikatory? Operacja zmieniająca linie papilarne też nie stanowi problemu. Takie operacje są wprawdzie nielegalne, ale nie sądzę, by ten fakt miał dla buntowników jakiegokolwiek znaczenie. Dużo trudniej zmienić rysunek tęczówki, ale to też jest możliwe. Jedyne, czego nie da się zrobić, to zmienić kodu genetycznego. Oczywiście, nie sposób przeprowadzić badań genomu w warunkach polowych, trzeba wysłać próbkę do ekspertyzy, to chwilę trwa, ale...

Batalion ładował się do transportowców bez pośpiechu i popłochu, ale żwawo. Miejsca przeznaczenia nie znaleźliśmy, wiedzieliśmy tylko, że na pewno nie będzie to Sylwania. Zauważyłem, że magazyny i arsenały zostały dokładnie opróżnione, wywieziono również cały ciężki sprzęt. Planeta pozostawała praktycznie bez garnizonu. Odchodził stąd cały batalion, od pierwszego od ostatniego człowieka.

Na Gilvy wpadłem jakoś tak przypadkiem. W biegu opowiedziała mi, że zwijają się wszystkie działy sztabu, nawet te, które zawsze, bez względu na okoliczności, pozostawały na Nowym Krymie. „Dziewczynki” i rodziny oficerów przeniesiono do naszych umocnionych

koszar, otoczonych przez kilka rzędów drutu kolczastego, schrony bojowe, pola minowe, rowy przeciwpancerne i inne pułapki.

--Uważaj na siebie, Rus -- powiedziała Gilvy i cmoknęła mnie w policzek. -- Pilnuj, żeby buntownicy cię nie podziurawili...

--Nie podziurawia -- odpowiedziałem odruchowo. -- Drużyna! Co się tak grzebiecie, ciężarne wieloryby? Spóźnimy się na załadunek!...

Moja drużyna zmężniała. Nie ja jeden awansowałem. Ze „starych” stopień szeregowca miał już tylko Razdwakriak. Pozostali byli co najmniej starszymi szeregowymi, a Mikki dociągnął nawet do kaprała.

I znowu był start, trzęsionka, płaskie dowcipy Razdwakriaka, który w ten prymitywny sposób starał się wszystkich przekonać, że wcale się nie boi. Były przymknięte oczy Mikkiego i rozchylone usta Güntera, pierwszego w naszej drużynie rekruta „narodu panów”, który niedawno złożył przysięgę i został przeniesiony do nas z innej kompanii. Chang nadal wędrował po szpitalach.

A potem czekanie na pokładzie „Merony”. Kilka razy mignął mi na horyzoncie znajomy kapitan, który tyle mi obiecywał, ale jakoś nie spieszył się z dotrzymaniem słowa. Tym samym obalał dewizę swojej organizacji, która jakoby nigdy nie rzucała słów na wiatr. Coś tu nie grało. Coś tkwiło, świdrowało, klęło na samym dnie mojej świadomości. To cudowne oczyszczenie mnie z zarzutów i niespełnione groźby tajniaka, rzucone w czasie rozmowy z dowódcą Tannenbergą... Kogoś innego już dawno zgnoiliby na Swaargu albo zwyczajnie rozstrzelali bez długiego śledztwa, z wyroku sądu wojennego. A mnie awansują, chcą wysłać na kursy oficerskie... Coś tu było stanowczo nie tak. I nawet nie miałem się do kogo zwrócić po radę. Nie znajdę jej ani w książkach, ani u żywych ludzi...

Tym razem Tannenberg nie doczekał się zwyczajowej przemowy pułkownika von Vallensteina. Kliper mknął przez przestrzeń i nawet nie transmitowano na okna imitacji lotu z punktu A do punktu B. Ekrany były wyłączone, luki w przedziałach zamknięte na głucho. Siedzieliśmy niczym w olbrzymiej ładowni, nie mając pojęcia, dokąd lecimy. Oficerowie krążyli z ponurymi minami, łamiąc tym samym bojowy regulamin wojsk desantowych, w którym zalecano dowódcom (poczynając od dowódców drużyn), by „w czasie przemieszczania się do teatru działań wojennych spędzali jak najwięcej czasu ze składem osobowym” i, jak to mówią, „jedli i pili z żołnierskiego kotła”.

Gdzieś w przedziałach sztabowych była również Gilvy. A także oddział operacyjny i wywiad. Wszyscy wyruszyli w ten -- określenie samo cisnęło się na usta -- ostatni pochód.

Dzień. Drugi. Trzeci. Żołnierze tracą ducha. Tannenberg nie składał się wprawdzie z rozhisteryzowanych panienek, ale niepewność wykańczała wszystkich. Dla mnie jedynym wyjaśnieniem tego milczenia był fakt, że ani Vallenstein, ani sztab, ani tym bardziej dowódcy kompanii czy plutonów nie znali miejsca przeznaczenia ani postawionego nam zadania. Mogło to na przykład oznaczać, że rzucają nas w pierwszej linii szykowanego ataku, z rozkazem przeprowadzenia desantu na głębokie tyły wroga i zajęcia tam strategicznego terenu. Pytanie brzmiało: z kim mielibyśmy walczyć tym razem? Z brygadami? A może z czymś w rodzaju stworów z Zety-5, które ciągle miałem przed oczami?

Staralem się zrobić wszystko, co w moich siłach, żeby nie pozwolić chłopcom gnić w beczynności. Na statku utrzymywano normalną grawitację, więc ganiałem moich żołnierzy do

siódmym potów, bezwzględny wobec nich i wobec siebie, próbując przeskoczyć -- i tak już bardzo wysokie -- słynne normy desantowców. Chłopcy klęli i złorzeczyli, ale słuchali bez szemrania, nawet Fatih i miłośnik słodkiego lenistwa Razdwakriak. Zapewne wszyscy instynktownie wyczuwali, że próżnowanie w takiej sytuacji równałoby się śmierci. Nietrudno jest oszaleć od tortury oczekiwania.

Piątego dnia głośnik łączności wewnętrznej nieoczekiwanie ożył. Znowu zwracał się do nas von Vallenstein, ale głos miał tak zmieniony, jakby w czasie całego lotu dowódca Tannenberga nie położył się nawet na chwilę.

--*Soldaten...* Dzielni żołnierze Imperium... Moi bojowi przyjaciele... -- Czulem, jak ze wszystkich sił stara się znaleźć jakiś prawdziwie serdeczny zwrot. W końcu mu się udało. -- Bracia i siostry w broni! Wybiła nasza godzina. Ojczyzna spodziewa się po nas czynów niemożliwych. Na razie jeszcze nie trafiło to do informacji ogólnoimperialnych, lecz... wszystkie dane świadczą o tym, że znaleźliśmy się w stanie wojny, wojny z niewiadomym. Być może z Obcymi, lecz nie mamy na to żadnych dowodów. Nasz wróg nie należy do znanych nam Obcych ras. Zwróciliśmy się do tych, których można by, lekko naciągając, określić mianem „sprzymierzeńcy”. Ale nie otrzymaliśmy żadnych informacji. Oznajmili nam, że wiedzą o tych istotach jeszcze mniej niż my, i poprosili, abyśmy podzielili się z nimi wiadomościami. Tym razem nieszczęście dotknęło najbardziej wysuniętą na północ planetę naszego sektora, Omegę-8. Nie sposób opisać tego, co się tam teraz dzieje. Naszym zadaniem jest nakreślić dowództwu panującą tam sytuację. Można to nazwać zwiadem poprzez walkę. Nie będę wam mówił, jak ważne i odpowiedzialne jest to zadanie. Jesteście moimi żołnierzami i rozumiecie to nie gorzej ode mnie. Nie musimy, jak na Zecie-5, zapewniać bezpieczeństwa miejscowej ludności. Nasze zadanie polega na zdobyciu informacji. Z Omegą-8 nie ma łączności od trzech dni. Grupy ratunkowe, wysłane tam natychmiast po rozpoczęciu... eee... wydarzeń, nie wróciły z meldunkiem. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że na planecie nie ma już ludności cywilnej ani Sił Zbrojnych Imperium. Dlatego się nie spieszyliśmy. Nie było sensu się spieszyć. Nastawcie się na okrutną, bezwzględną walkę, może najbardziej okrutną w całej naszej historii. Długo odkładałem tę przemowę, ale wyszliśmy już na orbitę Omegi. Planeta nie odpowiada na wezwania. Milczą nawet automatyczne radiolatarnie. Satelity łączności zniknęły bez śladu. Na nocnej połowie planety nie widać ani jednego światła. Będziemy lądować na głównym kosmoporcie obok ośrodka administracyjnego Omegi-8, Neue Bismarcka. Przygotujcie się, przyjaciele. Lądowanie za godzinę. To wszystko. Tak nam dopomóż Bóg!

Nie ma co, bardzo krzepiąca przemowa. Poczulem nieprzyjemne klucie w piersi. Razdwakriak wyglądał jak własna śmierć, pozostali nie lepiej.

Lądowanie w ciemno, a wróg, jak w najlepszych tradycjach desantu, również nieznan.

Desant przeprowadzono zgodnie ze wszystkimi zasadami sztuki wojennej. Lądowaliśmy pod osłoną dział naszych wahadłowców. Wypadały karbowane drzwi i wrzeszcząca (wrzask dodaje pewności siebie) fala komandosów chlustała z wnętrza transportowca, biegnąc do przodu w takim tempie, jakby chłopcy chcieli pokonać ostrzeliwaną z cekaemów przestrzeń w ciągu kilku sekund.

Przed lądowaniem na Omedze do oblędu wkuwaliśmy schematy budynków kosmoportu. „Czysta” strefa, „brudna” strefa, magazyny paliwa jądrowego i tymczasowe mogiły starych rdzeni uranowych. Nasz pluton powinien natychmiast, bez względu na wszystko, dojść do

budynku, nazywanego tradycyjnie „dworcem lotniczym”. Kosmoterminal i inne toporne neologizmy jakoś się nie przyjęły.

Razem z nami zrzucali również sprzęt. Nikt nie wiedział, co nas czeka na dole. Zdjęcia z satelity nie pokazywały nic niezwykłego, może prócz tego, że Neue Bismarck był kompletnie, całkowicie i absolutnie pusty. Porzucone samochody, puste podwórka... Omega-8 miała dość suchy klimat, niemal całą planetę (z wyjątkiem okolic biegunowych) zajmowały lasostepy i stepy. Ludzie nie zdołali jeszcze stworzyć tu pustyni, na równiku zaś wilgotne oceaniczne wiatry dawały życie prawdziwym dżunglom.

Cała nasza czujność na nic się nie zdała. Nikt nie próbował zaatakować nas w czasie lądowania, nikt do nas nie strzelał, nikomu nie przyszło do głowy, żeby strącić transportowiec jeszcze w atmosferze. Nasze buty głośno tupwały w pustych holach dworca, chrzęściło rozbite szkło i plastik. Z tyłu pozostały strzaskane lady kontroli celno-paszportowej i przewracane meble; gdzieniegdzie na mleczno-kawowych ścianach czerniały plamy sadzy -- ktoś używał tu miotacza ognia. W kilku miejscach widać było ślady kul, ale nic poza tym. Nie doszło tu do poważnej walki, i w ogóle nie wiadomo było, kto się z kim starł. Nie wyglądało na to, żeby kosmoport zaatakowano znieacka, gdy był pełen pasażerów. Najwidoczniej alarm ogłoszono znacznie wcześniej, tłumaczyłoby to brak porzuconych bagaży. Gdy zaczęła się strzelanina, na lotnisku była już tylko ochrona, pospiesznie uzbrojona w to, co wpadło w rękę, między innymi w stare, noszone na plecach miotacze ognia. Ogromne okna nie były zasłonięte workami z piaskiem, nikt też nie zatroszczył się o stworzenie stanowisk karabinów maszynowych, wzniesienie normalnych ogrodzeń czy dostarczenie większej ilości amunicji. Razdwakriak z chłopcami, niemal czolgając się po podłodze pierwszego piętra, znaleźli dwa tuziny wystrzelanych łusek.

Strzelanina skończyła się, nim zdążyła się naprawdę zacząć.

Ogromny plac przed lotniskiem też był pusty. Wiatr przeganiał śmieci, nie widzieliśmy ani jednej maszyny. Tylko wesole żółto-niebieskie wagoniki jednoszynowej kolejki wiszącej zastygły w oczekiwaniu na pasażerów, którzy się nie pojawili...

Nasze kroki załomotały i ucichły. Pododdziały desantu wzięły kosmoport bez jednego strzału. Komunikator oznajmił: „Pierwsza faza operacji zakończona. Czekamy na sprzęt i posuwamy się naprzód”...

Oczywiście nawet cały desant Imperium nie byłby w stanie okupować Omega-8. Jedyne Wewnętrzne Planety mogły pochwalić się miliardem mieszkańców, na większości Zewnętrznych Kolonii nie było nawet dziesięciu milionów. A u nas, w odległych sektorach, rzadkością były planety stutysięczne. Nowy Krym z jego rozsianym po wysepkach i archipelagach milionem ludności był wyjątkiem -- dzięki rajskiemu klimatowi. Naszym zadaniem nie była więc okupacja, lecz uderzenie w węzeł oporu, znalezienie przeciwnika, narzucenie mu walki i zniszczenie go. Po planecie moglibyśmy krążyć choćby całą wieczność...

Czekaliśmy. Chłopcy, nawet Kriak, uspokoili się. Günter opowiadał kretyńskie dowcipy z brodą do pasa, ale napięcie odpuszczało. Aż do wieczora przeleżeliśmy na brzuchach, do obłędu wpatrując się w szary asfaltoplastik lądowiska. Nic się nie działo. Dowództwo nie chciało ryzykować i rzucać oddziałów w nieznane. Desant niespiesznie, wbrew regulaminowi, wyladowywał ciężki sprzęt; saperzy kopali rowy i okopy, lali beton, wznosząc wokół kosmoportu wał umocnień; na niebie roilo się od automatycznych zwiadowców. A my leżeliśmy

na rozłożonych śpiworach i graliśmy w karty na pieniądze. Dowództwo próbowało obciążyć nas pracą, ale nawet oni rozumieli, że zmuszanie żołnierzy do nieprzerwanego kopania rowów przeciwczołgowych nie ma większego sensu.

Trzy dni upłynęły nam na wykańczającym próżniactwie. Wyglądało na to, że wzięliśmy zamach i okazało się, że nie ma kogo uderzyć. Pomyślałem, że pierwsza fala desantu -- czyli my -- dosłownie prosi wroga, żeby nas zaatakował. Jednak wróg okazał się zbyt głupi, a może zbyt mądry, i nie robił nic, mimo że tkwiliśmy tu jak na patelni. Nie uderzył ani zaraz po naszym wylądowaniu, ani później.

Za pierwszą falą przybyła druga -- siły główne. Wspierały nas oddziały wojskowe, dwa pełnokrwiste korpusy. Kosmoport nie milkł ani na chwilę, transportowce przybywały jeden po drugim i ciągniki ledwie nadały ze ściąganiem jeszcze nieostygłych maszyn z lądowisk.

Wylądowano sprzęt 3. Korpusu Pancernego, 6., 7., i 19. Dywizje Pancerne i 168. Dywizję Piechoty. Obok nas przemaszerowały oddziały 42. Korpusu Wojskowego, 39., 161. i 282. Dywizje. A my nadal siedzieliśmy, ochraniając pasy startowe, jakby desant nie miał nic lepszego do roboty...

Korpusy przeszły i przeformowały się. Żołnierze szykowali się do walki, której nadal nie było. Oczami wyobraźni widziałem, jak rwą sobie włosy z głowy intendenci i księżowi, wyceniając przerzut na koniec świata ugrupowania liczącego prawie sto dziesięć tysięcy ludzi, tysiąc czołgów, dwa tysiące samolotów i helikopterów...

Cała ta armada powoli rozpraszala się po okolicy. Sensu w tym nie widziałem za grosz. Na Omedze chyba w ogóle nie było już ludzi. Co się z nimi stało, gdzie znikli -- Bóg jeden wiedział.

Minał tydzień. Gdy doszliśmy do takiej perfekcji w sztuce kopania okopów, że mogliby nas przyjąć na uczelnię techniczną (granica błędu w wyznaczaniu kątów wynosiła jeden stopień, zgodnie z najsurowszymi regułami), wreszcie pozwolono nam odetchnąć. Dowództwo pobawiło się żołnierzami, poprzesuwało na mapie chorągiewki, oznaczające pancerne i zmotoryzowane pulki i bataliony, i postanowiło zrobić wszystkim przerwę na papierosa.

Czy w końcu zwiad coś wypatrzył, czy to satelity coś dostrzegły -- nie wiadomo, wszystko utrzymywano w ścisłej tajemnicy. Ale pewnego naprawdę pięknego dnia załadowali nas do brzucha atmosferycznego transportowca.

Co najmniej dwanaście godzin lotu. A potem, jak za dawnych, dobrych czasów -- skok ze spadochronem. Skok w nieznanie.

Batalion otrzymał jak zwykle mętne i niezrozumiałe zadanie -- przeprowadzić zwiad i działać odpowiednio do sytuacji. Okolica okazała się ładna; niskie, lesiste pogórze, przez które płynęła, zbierając wodę z górskich szczytów, jedna z nielicznych na Omedze rzek. Wyrwała się z wąskich kanionów na bezkresny step i rozlewała się szeroko i władczo, niosąc swoje wody ku pobliskiemu morzu.

Idealne miejsce na miasto. Czemu go tu nie było?

Jak już powiedziałem, lasy na Omedze były rzadkością, podobnie zresztą jak góry. Tutejsze ostępy były wyjątkiem.

--Można by tu zrobić regularny kurort, taki jak pokazują w sieci -- oznajmił Mikki, gdy nasza drużyna wracała do obozu po zrobieniu trzydziestu kilometrów po zwierzęcych ścieżkach. -- Moja siostra ciągle oglądała różne programy o podróżnikach, o nowych miejscach... chciała pojechać nad morze, zbierała pieniądze...

W odróżnieniu od reszty drużyny ja wiedziałem, co stało się z siostrą Mikkiego. Znalazłem to w jego aktach.

--I co, pojechała? -- zapytał chciwie Razdwakriak. Pociąg do płci pięknej rozwijał się nim w sposób patologiczny. -- A tam pewnie...

--Zamknij się, Kriak -- powiedziałem gwałtownie. -- Zmiana tematu. Od twojego gadania o babach można dostać szczękościsku.

Mikki popatrzył na mnie z wdzięcznością. Pewnie nie chciał mówić o tym, jak jego szesnastoletnią siostrę złapały, zgwałcili i zabiły „szczury” z konkurencyjnej bandy. Przypadkiem wpadł na nich patrol policyjny; niektórych wystrzelano na miejscu, resztę aresztowano. Wylądowali z dożywociem na Swaargu, ale siostra Mikkiego już nie żyła.

--Faktycznie, kurort -- przyznał Dżonamani. -- A w lasach pusto. Dowódco, przecież tu powinno być pełno zwierzyny!

Słusznie, Dżonamani, pomyślałem. Pozostało już tylko wyciągnąć ostatni wniosek -- jeśli lażaliśmy dziś cały dzień po zwierzęcych ścieżkach, to gdzie podziali się ci, którzy te ścieżki wydeptali?

--To nic, jutro trzeci pluton ma patrol -- Nazarian spróbował pocieszyć posmutniałego Fina. -- Ich kolej. A my odpoczniemy...

Nadszedł wieczór. Obóz naszego batalionu przypominał teraz miejsce postoju rzymskiego legionu w okresie rozkwitu republiki. Rów, wał, częstokół, równe rzędy namiotów... rutyna wojny. Gdy jeszcze można pozwolić sobie na walkę zgodną z regulami, póki jesteśmy dalecy od tej granicy sił, do której zimą 1941 roku doszły dywizje pancerne „rasy panów” na białych podmoskiewskich polach... Na razie jesteśmy syci, dobrze ubrani i doskonale uzbrojeni. Gotowi na wszystko, pogodziliśmy się ze swoją rolą, weszliśmy w nią i przestaliśmy zauważać, że maszerujemy, śpiewając marsze III Rzeszy...

Nad naszymi głowami zaterkotał fieseler, helikopter wsparcia ogniowego, za nim drugi, trzeci... Maszyny, prawie zahaczając o wierzchołki drzew, poleciały za las. Dziwne, nie wygląda to na zwykły lot patrolowy, pomyślałem leniwie, odwracając się do Mikkiego, żeby powiedzieć coś krzepiącego.

I w tym momencie nad zielonymi koronami drzew zapłonęły czerwono-czarne grzyby. Napalm. I znowu, i jeszcze...

Zawyla syrena. Jakby ktoś jeszcze nie zauważył, że batalion rusza do walki!

Regulaminie, wielki wynalazku ludzkości! Jesteś naszą jedyną podporą w chwilach słabości i niepewności, ty jeden mówisz nam, co mamy robić! Każdy doskonale zna swoje miejsce i żadne wybuchy nie mogą zbić nas z tropu. Biegniemy, a nasze ruchy są tak podręcznikowo wzorcowe, że nic, tylko kręcić materiał szkoleniowy.

Dwa z przelatujących za las trzech helikopterów już wracały. Leciały tak szybko, że wydawało się, jakby za chwilę miały wybuchnąć przegrzane silniki. Strumienie powietrza od kręcących się rozpaczliwie wirników zmusiły nas do pochylecia się. Wtedy za drzewami, tam, gdzie zgodnie z mapami znajdowała się niewielka rzeczna dolinka, rozległ się nowy wybuch, znacznie silniejszy od poprzednich.

--Stracili go... -- wykrztusił Razdwakriak.

W taki właśnie sposób weszli w nasze życie. Nieważne, kim są. Nieważne, czego chcą. Zetknęliśmy się z wrogiem, a mnie serce się ścisnęło od fatalnego przecucia. Piloci

helikopterów nie uciekałoby tak rozpaczliwie przed byle strzelcami...

Batalion zwinął się w kłębek niczym jeź, który wystawia igły. Wiedziałem, że artyleria już dostała cel. Już poszedł -- musiał pójść! -- do Neue Bismarcka pilny meldunek z adnotacją: „Powietrze!!!” Powinny teraz wylecieć z bazy ciężkie FW-210 w otoczeniu zwinnych Bv-190 (Reichswehra z uporem starej damy trzymała się sakramentalnych indeksów oznaczania sprzętu bojowego), dotrzeć na miejsce i zlikwidować to, co załatwiło helikopter i zmusiło do panicznej ucieczki dwa pozostałe.

Artylerzyści szybko udowodnili, że nie biorą darmo żołdu i opracowali na symulatorach komputerowych „ogień zaporowy stały prowadzony do niewidocznego celu”. Za lasem zaczęły wybuchać pociski. Huknęło, rąbnęło, znowu huknęło. Haubice waliły z granicznych punktów wzniesienia. Niemal od razu dołączył do nich moździerz i potworna orkiestra zaczęła łomotać i wyć, rozdzierając niebo i ziemię. Powietrze wypełnił ostry zapach prochu. Liczyłem salwy. Po każdej serii wybuchów ziemia podrzucała nas w górę.

Dwanaście stu pięćdziesięciomilimetrowych haubic w końcu się uspokoiło. Von Vallenstein najwidoczniej uznał; że to wystarczy. I co teraz? Zaryzykuje jeszcze jeden helikopter czy wyśle pieszy zwiad? Niech pluton zwiadowczy pokaże, po co nosi malinowe berety i dostaje dwudziestoprocentowy dodatek do żołdu.

Jednak zdarzyło się to, co musiało się zdarzyć. Batalion posłał przodem swoich zwiadowców, a dodatkowo jeszcze pięć drużyn -- w tym i moją.

Nikt nie wiedział, co zestrzeliło pierwszy z trójki helikopterów. Skrzydłowi nie zdążyli niczego zauważyć. Prowadzący nagle wrzasnął dziko: „Do tyłu! Do tyłu!”, potem rozległ się rozpaczliwy krzyk jego nawigatora: „O Boże!” -- i to był koniec. Helikopter prowadzącego runął w dół, jakby ściągnęły go niewidoczne liny.

O tym, do czego strzelały te helikoptery, poinformowano nas bardzo lakonicznie. Mikki popatrzył na mnie dzikim wzrokiem.

„Niewykluczona obecność anomalnych form życia w rodzaju kontaktu na Zecie-5”.

Aha, coś mi powiedziało z satysfakcją. Miałaś rację. Powrócili. Twoje przecucia były słuszne. Zasłużyłaś na oficerskie gwiazdki. Niechby nawet w tej armii, w której służenie dla człowieka z twojej rodziny jest tak samo nienaturalne jak dla normalnego człowieka współżycie płciowe ze zwierzętami.

Stworzyliśmy krótką, gęstą tyralierę. Widzieliśmy się nawzajem. Byliśmy doskonale uzbrojeni i pewni siebie. Stykaliśmy się już z tym plugastwem i zwyciężyliśmy. Tam, na Zecie. Bardzo było nam ciężko, jednak zwyciężyliśmy. Planeta nadal była nasza. Obce życie nie zdołało uwić sobie na niej gniazda. Nie wiem dlaczego, ale nie dało rady. Nie robi tego również tutaj, bo my, mężczyźni i kobiety noszący *Feldgrau*...

Do licha, ale mnie poniosło! Zacząłem myśleć jak von Vallenstein...

Początkowo las wyglądał całkiem zwyczajnie. Wprawdzie nie były to zwykłe drzewa, ale jednak drzewa; inny kształt liści, inny rysunek na korze, ale ten sam chlorofil w chloroplastach, to samo DNA. Inne podstawy chemiczne, ale niezmienna zasada.

Sucha leśna gleba pod nogami nasiąkała powoli wilgocią, pod butami zaczęło chłupotać, szliśmy teraz po mięsistej, sprężynującej trawie. Zapachniało czymś dziwnym -- jakby podgrzaną odżywką dla kultur bakteriologicznych. Razdwakriak, który w czasie operacji trzymał się blisko mnie, skrzywił się ze wstrętem.

W milczeniu nasunąłem na twarz osłonę i włączyłem filtry. Brzęczyk, ustawiony na wykrywanie ruchu, zapiszczał ostrzegawczo. Cel z przodu nie odpowiadał na zapytanie „swój -- obcy”.

Poinformowałem drużynę. Automatycznie poszedł szybki raport do dowódcy plutonu. Dane umieszczą w komputerze kompanii, potem w batalionowym. Informacje dostaną inne pododdziały, artylerzyści i lotnicy -- na wojnie jak na wojnie, jak będzie trzeba, uderzą na swoich.

Dalem sygnał i drużyna padła plackiem na ziemię. Czujniki wyczuły już to, co było przed nami. Duża, przemieszczająca się powoli gorąca masa, jakieś pięćdziesiąt stopni Celsjusza.

W lesie żałośnie trzeszczały drzewa.

Kolejny potwór? Pancerny gigant, coś w rodzaju starożytnego smoka? Nie problem. Żaden pancerz nie oprze się strumieniowi kumulacyjnemu, żaden smoczy ogień nie poradzi sobie z pociskami termicznymi. Wybiliśmy mnóstwo takich potworów na Zecie-5, z minimalnymi stratami własnymi.

--Drużyna, przygotować się -- powiedziałem samymi wargami.

Trzask. W poprzek niewielkiej polany przewraca się wyrwane z korzeniami drzewo, zielonymi igłami przypominające ziemskie modrzewie, które tak dobrze zaadaptowały się na Nowym Krymie...

Potwór, który wyszedł z gęstwiny, nie przypominał tamtego stwora z Zety-5. Kojarzył się raczej z porowatym, rozpaćkanym ciastem, niedopieczonym chlebem albo z ogromną amebą. Stwór miał widać siłę czolgu; za nim ciągnęła się przesieka -- wyrwane z korzeniami albo połamane drzewa, sterczące ostre pnie i parujący rów półmetrowej głębokości i trzymetrowej szerokości.

Stwór nie okazywał wrogości. Nie wiadomo, czy w ogóle nas zauważył. Najwyraźniej nie był to przedstawiciel fauny endemicznej, lecz właśnie potwór. Ciekaw byłem tylko stopnia jego potworności...

--Kapralu, strzelać wyłącznie na wyraźną komendę -- zasyczał mi w uszach głos von Vallensteina.

Pewnie, że tylko na komendę. Wszystkim ekspertom z kontrwywiadu, siedzącym przy monitorach, teraz aż cieknie ślinka. Pewnie z przyjemnością poświęciliby kilku moich żołnierzy, żeby szczegółowo zbadać procesy trawienne tego monstrum.

„Ameba” parla naprzód, nie wykazując żadnych wrogich zamiarów. W komunikatorze znowu zasyczał Vallenstein:

--Kapralu, macie się rozejść i przepuścić to coś!

Z przyjemnością. Z jakiegoś powodu wcale mi się nie uśmiechała perspektywa wchodzenia w bliski kontakt ogniowy z tym cielskiem. Było w nim coś bezsensownego. Stwór był zbyt gorący, przy pięćdziesięciu stopniach wiele enzymów mogło stracić aktywność. A może to stworzenie z gatunku termofilów, w rodzaju tych bakterii, które żyją i mają się dobrze w wodach gorących źródeł? A może podwyższona temperatura jest sposobem katalizy, z zastosowaniem jakichś nieznanych nam dotąd procesów?

Rozeszliśmy się na boki. „Ameba” przeszła między nami, wzgardliwie ignorując nasze bomby i karabiny. Jakby miała pewność, że nikt jej nie ruszy. Chyba była kompletnie pozbawiona zwierzęcych instynktów.

Stworzenie znikło w gęstwinie, bezlitośnie niszcząc wszystko, co rosło na jego drodze, a my ruszyliśmy dalej. Potwora niech wyśledzą inni. Może nawet schwytają?

Teraz mieliśmy przynajmniej wyraźny punkt orientacyjny. Poruszaliśmy się wzdłuż pozostawionego rowu. Wyglądał paskudnie, wypełniony śluzem, w dodatku ziemia w nim jakby się poruszała. Pomyślałem, że to, co zobaczyliśmy, działało jak siewnik, ale gdy znaleźliśmy się na skraju lasu, zapomniałem o wszystkich amebach na świecie.

Nie było już rzecznej doliny. Nic dziwnego, przecież zrzucano tu napalm, a potem wystrzelono pociski artyleryjskie. A może cele helikopterów znajdowały się bliżej, w lesie? Nieważne.

Ziemia pod naszymi nogami chlupała i mlaskała, nasiąknięta... chciałem powiedzieć, że wodą, ale to nie była woda, tylko jakaś mętna i lepka ciecz, nieprzyjemnie kojarząca się ze spermą. A dalej...

Rzeka znikła. Zamiast wesołego, żwawego strumienia, szemrzącego na wypolerowanych granitowych głazach, ciągnął się pas nie wiadomo czego -- żelu czy może galarety, w kolorze gnojówki i pewnie o zbliżonym zapachu.

Na przeciwległym brzegu czerniały zwęglone resztki helikoptera. Śluz obojętnie lizał pancerne panele, wsuwał się przez otwory okien i płynął dalej, unosząc na powierzchni drobinki sadzy i prochu. Śladów po ostrzale artyleryjskim w ogóle nie było widać. Tylko dwa albo trzy leje, otoczone zwalonymi drzewami.

W strumieniu zauważyłem mnóstwo brązowych pęcherzy, dużych i małych, wewnątrz których coś się poruszało, pulsowało, przemieszczało, oplecione pajęczyną niewyraźnych naczyń, to wzdymających się, to znowu opadających, jakby niewidoczne serce z trudem przepychało przez żyły gęstą krew.

Żeby o tym opowiedzieć, nie wystarczą satelity czy samoloty zwiadowcze. To trzeba zobaczyć na własne oczy.

Setki i tysiące zarodków, setki i tysiące istot. Najróżniejszych. Od pająka do mamuta. Owady, gady, ptaki. I nie da się już powstrzymać tej „rzeki” -- chyba żeby wypalić to święństwo wybuchem jądrowym.

Ogromny „inkubator” nie zwracał na nas żadnej uwagi. Widocznie nie uznał nas za zagrożenie, w odróżnieniu od helikopterów. Faktycznie, nasze karabiny nic by tu nie działały. Gruba warstwa galarety pełniła pewnie rolę pancerza. Ogień wypaliłby górną warstwę, ale nie przedostałby się w głąb. Pociski najwyżej rozchlapią galaretę, hydrodynamiczne uderzenie zniszczy kilkaset pęcherzyzarodników, ale co z tego, skoro szybko pojawią się nowe. W tym wypadku należałoby zastosować bardziej radykalną kurację. Jak w średniowieczu, gdy w razie gangreny pozostawało tylko jedno wyjście -- odciąć zaatakowaną kończynę.

Staliśmy ukryci za drzewami. Nikt nie odważył się usiąść na tej dziwnej substancji, która przesiąkła ziemię. Pancerz to w końcu nie to samo co hermetyczny skafander.

Co w takim razie zniszczyło helikopter?

Z prawej i lewej strony na brzeg rzeki wyszły inne oddziały. Podobnie jak my, tamci też stanęli kompletnie osłupiali, wytrzeszczając oczy na to zdumiewające zjawisko. Myślę, że równie osłupiali byli teraz słynni eksperci. Nie ma rady, trzeba przerzucić na planetę regularną ekspedycję naukową, która będzie pracować długo i uparcie, dopóki nie stanie się jasne, co to za Obcy podrzucili nam takie plugastwo. I co z tymi Obcymi teraz zrobić?

--Uwaga, do wszystkich. -- To Vallenstein. W samą porę, jak przystało na dowódcę. -- Przesuwać się wzdłuż biegu, powtarzam, iść w dół biegu...

Przemieniona w strumień śluzu rzeczka rzeczywiście powinna wpadać do większego strumienia. Nasz obóz stał na brzegu, a my nic nie widzieliśmy. Dobrze, ale w takim razie po co przysyłali tu cały batalion z ciężkim uzbrojeniem? Wystarczyłaby grupa zwiadowcza...

Wyciągnięci w cienką i długą tyralierę szliśmy wzdłuż brzegu. Czoło kolumny znalazło się daleko w przodzie. Strome, porośnięte roślinnością zbocza gwałtownie skręcały; w rzece szalały w tym miejscu najprawdziwsze wiry, teraz strumień galarety sączył się łagodnie i powoli. Nie miał się dokąd spieszyć. Na planetę przybyli nowi gospodarze.

...Ale jeśli tylko przybyli, co się stało z całą ludnością, do licha?!... Rzeka niosąca galaretę z zarodnikami... bardzo interesujące, jasne, warto by się nad tym zastanowić i popracować z pipetką w ręku, ale nie wygląda na to, żeby coś podobnego stało się na Neue Bismarcku...

Skręciliśmy za załom zbocza. Potworny inkubator pobłażliwie pozwalał nam się sobie przyglądać. Widocznie nie stanowiliśmy dla niego zagrożenia. W porządku, ale jaką groźbą był dla niego helikopter? Kilka jego NURS-ów* nie mogło wyrządzić strumieniowi zarodników poważnej szkody. A może jednak?

Za zakrętem zobaczyliśmy jezioro, oczywiście sztuczne. Ktoś wzniósł tu wysoką tamę, głazy podchodziły niemal do brzegów doliny. Mętna galareta wypełniała powstałą czaszę, gdzieś nad powierzchnią sterczały nagie gałęzie drzew. Nie było tu żadnych śmieci. Widocznie potworny bioreaktor trawił każdą substancję organiczną. Helikopter się nie nadawał...

Kiedyś był tu piękny wodospad. Nawet dwa. Teraz okrągłe kopuły wzgórz pośrodku kaskady przemieniły się w najprawdziwszy reaktor. W głębi poruszającej się powoli masy było aż czarno od „jaj” czy raczej pęcherzy zarodnikowych z zewnętrznym źródłem pożywienia. Wyglądało to jak niezliczone macice. Szkoda tylko, że nie wiemy, co się z nich urodzi. I skąd wzięła się tamta ameba, której stanęliśmy na drodze.

O dziwo, odpowiedź na to pytanie otrzymaliśmy niespodziewanie szybko. Pięćdziesiąt metrów ode mnie wypłynął na powierzchnię wielki brązowy pęcherz, drżący z wysiłku i spowity pulsującymi żyłami. Dotknął brzegu, zaczepił się, umocnił, nadał jeszcze bardziej... i pękł z mokrym chlupnięciem. Na brzegu znalazła się brązowa ameba wielkości krowy, która zaczęła niespiesznie oddalać się od inkubatora, z każdą sekundą nadymając się i powiększając. Nieprawdopodobna prędkość akumulacji masy, metabolizm podkreślony do granic możliwości, wydzielanie ciepła jak w solidnym grzejniku. Takiemu wszystko jedno, co zżre. Jak się trafi człowiek, strawi i jego.

Gapiliśmy się, stojąc bez ruchu. Przeciwnik wykryty, tylko co z nim robić?

Ameba spokojnie popęzła w stronę lasu w jakichś swoich amebich sprawach. Już miałem wydać drużynie rozkaz odwrotu -- nie mieliśmy tu nic więcej do roboty, tym reaktorem powinni zająć się naukowcy, a nie żołnierze -- gdy nagle spokój się skończył.

Pewnie coś podobnego zdarzyło się helikopterowi. Jeden z żołnierzy na czele kolumny bezmyślnie wrzucił do galarety leżącą pod nogami gałązkę. Wir pochwyił ją i poniósł do przodu... Ogonki liści ściemniały, same liście szybko pożółkły i zaczęły się rozpadać. I wtedy na powierzchnię wyrwał się, niemal wybuchł, ogromny brązowy pęcherz. To, co jednym nieuchwytnym susem znalazło się na brzegu obok pechowego komandosa, nie dało się opisać.

Jakieś niesamowite kłębowisko kończyn, nieprawdopodobnie szybkie, błyskawicznie reagujące. My też byliśmy niezli, ale ten stwór pewnie zamiast synaps miał bezpośrednie połączenia nerwowe.

Z głośnym chrzęstem odrostki chwytne zacisnęły się wokół pancerza. Stwór, nie odwracając się, odskoczył do tyłu i wpadł w żywą galaretę. Najszybsi z nas zdążyli wystrzelić, ale kule tylko mlasnęły o grząską, oleistą powierzchnię. Chwilę później huknęło pięćdziesiąt mannlicherów, ktoś nawet wystrzelił granat. Nikt nie podbiegł do brzegu galarety. Wszyscy zrozumieli, że chłopak, który do niej wpadł, jest skazany; jedyne, co mogliśmy dla niego zrobić, to wybawić od męczarni.

Tylko ja skoczyłem do przodu. Głupi, atawistyczny impuls, jakiego nie należy przejawiać wśród żołnierzy Reichswehry. O rannego, którego jeszcze da się uratować, biliby się do końca, ale tutaj...

Granat znikł pod powierzchnią, wybuchł w głębi. Żywa galareta zaczęła kipieć. Z mroku wyskoczyły w górę dziesiątki brązowych kul -- potężny organizm zareagował na niebezpieczeństwo. Teraz już wszyscy żołnierze strzelali jak w upojeniu, kule rozrywały wznoszące się zarodniki, niszczyły te, które zdążyły już nabrznieć ciężkimi, spływającymi posoką, limfą i surowicą pęcherzami. Odezwały się granatniki. Któryś z chłopców miał nawet miotacz płomieni i na tafli reaktora zakwitł czarno-rudy wachlarz dymu. Potężny wir krążył coraz szybciej i na galarecie pojawiły się fale. Brązowe pęcherze, bezlitośnie rozstrzeliwane na brzegu rezerwuaru, szybko zmieniły taktykę; odpłynęły na środek stworzonego nie wiadomo czyimi rękoma jeziora i wytrysnęły w górę niczym gejzer. Wśród nich prawie nie było dużych osobników, wyłącznie drobiazg wielkości baniek mydlanych, jakie dzieci puszczają po dziś dzień.

No tak. Nie wolno traktować przeciwnika jak idioty. Chyba jeszcze nikt nie zrozumiał, co tu się zaraz stanie.

--Na głucho! -- wrzasnąłem przez komunikator. „Na głucho” oznaczało maksymalną hermetyzację pancerza. To pozwoli nam utrzymać się przez jakiś czas. Nie wiem, jak szybko te stwory, ze wszystkimi swoimi kwasami, enzymami, katalizatorami i innym świństwem (nie licząc starej, dobrej trucizny) zdołają rozpruć kombinezon bojowy, nastawiony na tryb absolutnej ochrony. Z przodu, z tyłu, w kroczu, pod kolanami oraz na zgięciach znajdują się płytki zmodyfikowanego kevlaru, połączone tak, że praktycznie nie ma szczelin, jak w starożytnych zbrojach rycerskich. W czymś takim nie można wprawdzie pobić rekordu w biegu na setkę, ale zawsze to lepsze niż zwykle drelichy... -- Wycofujemy się! -- krzychałem dalej. Strzelanie nie miało sensu, może pomogłyby tu pociski termiczne albo bomby zapalające, ale... po pierwsze, nie mamy armat.

Moja drużyna wykonała rozkaz natychmiast -- imperialna dyscyplina czasem bywa niezastąpiona. W szalonym tempie biegliśmy pod osłonę drzew, nawet jeśli była to osłona iluzoryczna. Nie przestawałem wzywać dowódców innych drużyn, jednak w odpowiedzi słyszałem tylko przekleństwa.

Idiotci! To już nie odwaga, to głupota! To tak, jakby wyjść na pole startowe z młotem i walić nim w dysze gotowego do startu wahadłowca, czekając, aż zmiecie cię ognisty strumień. Wiedziałem, co się zaraz stanie.

Najpierw rozległo się niezadowolone pokrzykiwanie któregoś ze sztabowców, może

naszego dowódcy kompanii, a potem eter wypełniły wrzaski i odgłosy strzałów. Rozpaczliwe, wydawane w ostatniej chwili, bezsensowne rozkazy utonęły w przerażających krzykach bólu -- bólu, którego nie można znieść, nie da się przeżyć, nie sposób opisać. I niski, triumfalny poszum setek tysięcy przezroczyстых skrzydełek.

--Nie zatrzymywać się! Nie oglądać! -- Niech sobie o mnie myślą, co chcą, nie pozwolę zginąć moim ludziom, nawet jeśli to żołnierze Imperium.

Zapisał detektor. To, co załatwiło desant, pomknęło za nami. Szum narastał, przebijał się przez hełmy i słuchawki. Jak na złość żaden z chłopców nie ma miotacza ognia...

Krzyki ucichły. Rój nie przeoczył niczego -- bo, że to właśnie rój, nie miałem wątpliwości. Teraz lecą za nami... i to jak szybko!

Wcisnąłem guzik komunikatora.

--Sztab! Tu starszy kapral Fatiejew... Sztab, to rój, drapieżna, żywa chmura... Postawcie zapórę! Termiczne pociski, podpalcie ten las w cholerę! W przeciwnym razie wszyscy tu zginemy... Szybko!...

Dopiero teraz się odwróciłem. Zauważyłem je od razu. Jednak zdrowy rozsądek to dobra rzecz. Nie mam prawa tu zginąć, a w starciu z takim wrogiem kule są bezużyteczne. Już lepszy byłby śrut...

Wyglądało to jak krzyżówka chrabąszcza majowego i szerszenia. Dość duże stworzenie, wielkości małej pięści. Żeby pomieścić cały układ komórkowy, zdolny poradzić sobie z takim przeciwnikiem jak my, ciało normalnego owada okazało się niewystarczające.

Granat próżniowy. Królestwo za granat próżniowy!

W tym momencie powietrze nad nami zahuczało, zawyło i zazgrzytało od spadających pocisków. Zieleń koron po prawej stronie przecięła smuga dymu z pocisku raketowego; w miejscu, gdzie między drzewami lecieli nasi prześladowcy, pojawił się ognisty kłęb wybuchu. Ściana ognia wzbila się ponad najwyższe pnie, skrzydlate stworzenia płonęły i spadały na ziemię. Biegliśmy tak szybko, jak pewnie jeszcze nigdy w życiu. Do osiągnięcia takich wyników nie zmusiłby nas żaden pan sierżant.

Pociski nadal leciały, rozrywając się nad ścianami płomienia. Owady albo nie zdążyły, albo nie mogły wznieść się wyżej ze względu na swój ciężar. Tak czy inaczej, za nami pozostał płonący las, a my, zalewając się potem i tracąc oddech, zatrzymaliśmy się dopiero przy pozycjach szykującego się do walki batalionu. Artyleryjska kanonada nie milkła, waliły młotki, a języki płomieni wzbijały się ponad kotliną.

W naszą stronę biegli już dowódca plutonu i kompanii, nawet von Vallenstein, chociaż on akurat nie powinien był porzucać punktu dowodzenia.

Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, czego mam się spodziewać. Ucieczka z pola walki bez rozkazu, bez próby ratowania pozostałych... Mogli mnie od razu zaarrestować.

--Panie pułkowniku, ja...

Zamiast odpowiedzi Vallenstein wyciągnął do mnie rękę.

--Szybko się orientujesz, kapralu. Jak się domyśliłeś, że...

--Na podstawie doświadczenia z Zety-5. Było oczywiste, że wielkie stworzenia są bezużyteczne przeciwko dobrze uzbrojonemu i osłoniętemu pancernemu żołnierzowi. Domyślałem się, że zamiast jednego wielkiego potwora, pojawią się tysiące małych.

--Widzieliśmy, co się tam działo -- powiedział Möchbau. -- Te stworzenia przegryzają...

eee... przepalają...

--Najprawdopodobniej zmiękczaają syntetyczne tkaniny kombinezonu i wtedy atakują. Jeśli kombinezon nie jest nastawiony na tryb absolutnej ochrony...

--To dlatego krzyknąłeś „na glucho”!

--Tak jest, panie pułkowniku...

--Chrabąszcze -- powiedział Vallenstein z dziwną miną. -- Dziękuję, kapralu. Obawiam się jednak... -- urwał gwałtownie, odwrócił się i biegiem pomknął do swojego punktu dowodzenia.

Zrozumiałem, co chciał powiedzieć. Co się stanie z całym batalionem, jeśli nad inkubatorem przestanie buszować ogniste morze i setki tysięcy chrabąszczy spadną na żołnierzy? Nie uratuje nas nawet kombinezon w trybie pełnej ochrony.

W jakiś czas później kanonada umilkła. Możliwe, że artyleria po prostu zaczęła oszczędzać pociski, chociaż, z drugiej strony, po co je oszczędzać, skoro za chwilę może nas nakryć kolejny rój?...

Dowództwo nie siedziało z założonymi rękami. Bez względu na to, jaki był początkowy plan tych, którzy wysłali tu cały nasz batalion, ten plan zakończył się fiaskiem.

Nad odległą krawędzią lasu, udręczonego artyleryjskim ogniem, leniwie unosiły się jaskrawe języki płomienia, słońce zaćmił gęsty czarny dym. Rajski zakątek w przerażającym tempie przemieniał się w piekło.

Vallenstein przemówił do batalionu. Krótko, lecz dobitnie poinformował żołnierzy o nowym niebezpieczeństwie. Rozkazał, żeby ani na chwilę nie osłabiać ochrony kombinezonu. A potem, o dziwo, oznajmił, że wystosował do dowództwa „kategoryczne żądanie natychmiastowego odwołania batalionu Tannenberg z Omegi”.

--Panie poruczniku, proszę o pozwolenie...

--Co, Fatiejew? -- Oczy porucznika Rudolfa wyglądały jak martwe. -- Wiem, co chcesz powiedzieć, kapralu. Nie. Nie mogłeś nic zrobić. Uratowałeś swoich ludzi. Pozostali... po prostu nie posłuchali twoich rozkazów. Uznali, że nie powinieneś im rozkazywać. Trudno im było przyznać, że jakiś tam kapral szybciej zorientował się w sytuacji.

--Nie o tym chciałem mówić, panie poruczniku. -- Podobnie jak na początku służby, byłem teraz ucieleśnieniem subordynacji. -- Chciałem powiedzieć o broni. Te owady są dość duże, więc można by użyć przeciwko nim drobnego śrutu. Wielkokalibrowa śrutówka plus miotacz ognia... Latają niewysoko, więc możliwe, że efektywne okażą się granaty z BCZ próżniowego typu.

--Śrut? Skąd mamy wziąć tyle naboju myśliwskich, w dodatku natychmiast?

--Bardzo pana proszę, panie poruczniku, niech pan poinformuje o tym pomysłe kompetentne osoby z dowództwa.

--Daj spokój, Ruslan. Oczywiście, że poinformuję. Szkoda chłopców. Zginęli bez sensu... Zresztą jeszcze nie wiadomo, czy my dożyjemy do rana -- zakończył obojętnym tonem, absolutnie niepasującym do wypowiedzianych słów.

Popatrzyłem na płonący las. Trzeba stąd zjeżdżać. Bez odpowiedniej broni batalion zginie tu niesławną śmiercią. Bez sensu.

W nocy stwory zostawiły nas w spokoju. Płomień opadł, ogień zgasł, zadławił się w mokrej trawie i gęstych koronach drzew. Nowy rój się nie pojawił.

Chłopcy trzymali się dzielnie, choć wyglądali jak trupy. Mój autorytet urósł do nieprawdopodobnych rozmiarów. Perspektywa heroicznej śmierci w walce z żywą chmurą

jadowitych chrabąszczy nikogo nie bawiła.

--Dowódco... -- zaczął Mikki. -- Dowódco, co teraz będzie? Co my zrobimy?

--Jak myślisz, komandorze, czy artyleria rozwalila te stwory w rzece? -- odezwał się natychmiast Razdwakriak.

--Nie sądzę. To jak z kroplą wody. Podzielisz ją na pół, a ona i tak złączy się w jedną całość, jakby nigdy nic. Jeśli nie znajdziemy źródeł śluzu, nawet bomba jądrowa nam nie pomoże.

--No to wysłać tam lotników! Za coś chyba dostają dodatkowe racje! -- włączył się do rozmowy Nazarian. Najwyraźniej sama myśl o tym, że ktoś może dostawać dodatkową rację, podczas gdy on, Nazarian, zadowala się normalną, sprawiała mu niemal fizyczny ból.

--Samoloty w niczym tu nie pomogą -- oznajmił autorytatywnie Günter. -- Tutaj, Kameraden, trzeba znaleźć źródło.

--Powinno być w jaskini -- powiedziałem. -- Przecież nie są idiotami.

--Kto? -- zapytał Razdwakriak.

--Ci, którzy to wszystko załatwili. Przecież nie zjawilo się tu samo z siebie!

--A jeśli źródło jest w górach? Co wtedy, dowódco? -- zapytał Mikki. -- Zrzucimy bombę i rozwalimy ich w diabły! Wszystkie jaskinie szlag trafi!

--Po pierwsze, to wcale nie jest takie pewne. Po drugie, i tak trzeba będzie wnieść ładunek do środka. Do samego źródła, żeby mieć absolutną pewność.

--Ciekawe, kto miałby go tam wziąć? -- westchnął Razdwakriak. -- Ci biedni saperzy?

--Nie licz na to, Kaczorze -- błysnął białymi zębami Makumba. -- Założę się, że wyślą tam właśnie nas. A konkretnie naszą drużynę. Ty będziesz niósł zapalniki, a...

--Udlaw się, czarnuchu! -- zachnął się Kriak. -- Żeby ci pypeć na języku wyskoczył! Jeszcze wypowiesz w złą godzinę!

--Kamerade Makumba ma absolutną rację -- zauważył melancholijnie Günter. -- Wszyscy powinniśmy być gotowi, by w każdej chwili oddać życie za ukochaną ojczyznę...

--Za jakieś siedemdziesiąt lat proszę bardzo, nie ma sprawy -- prychnął Nazarian. -- Z przyjemnością bym jeszcze chwilę pożył...

--Dajmy temu spokój, chłopcy -- podniosłem rękę. -- Günter ma rację. Źródło najprawdopodobniej znajduje się głęboko w górach. Ktoś odprowadził wodę z lodowych szczytów, wpuścił część pod ziemię, a pod ziemią... pod ziemią umieścił coś w rodzaju termosu-inkubatora, omywanego wodą. Przecież to draństwo nie wzięło się znikąd!

--To może samo się wyczerpie? -- zapytał z nadzieją Mikki.

--Nie liczyłbym na to -- pokręciłem głową. -- Może jest to akcja zakrojona na wielką skalę, polegająca na wyparciu endemicznej flory i fauny?

--Panie kapralu, ja zrozumiałem, ale może inni potrzebują wyjaśnienia?

--Wyjaśnienia... Wyobraźcie sobie nowotwór złośliwy, raka. Komórki namnażają się przez cały czas. Oddzielają się od głównego ogniska, przenikają do krwiobiegu, przenoszą się do innego miejsca, przechodzą przez ściankę narządu, zasiedlają się w nowym miejscu i przerzut gotowy. Gdybym to ja tworzył ten system, postarałabym się o źródło, które by się nie mogło wyczerpać, przy minimalnym zużyciu energii. Krótka mówiąc, to świństwo rozmnaża się wysoko w górach i spływa tutaj. Tamte pęcherze są niczym komórki rakowe... przypomnijcie sobie amebę. Przy okazji, szkoda, że jej nie spaliliśmy. Krótka mówiąc, żeby je załatwić,

trzeba dotrzeć do źródła. I wypalić je tam aż do końca.

Nie pomyliłem się. Rozkaz odnalezienia wszystkich ameb, które wyszły na brzeg, dostaliśmy dosłownie kilka minut później. Batalion zaczął się zwijać. Czekal nas marsz przez step, do miejsca, gdzie na równej, wyschniętej powierzchni byłego jeziora mogły lądować samoloty transportowe. Przy inkubatorze pozostało zaledwie kilka oddziałów. Wcale mnie nie zdziwiło, że wśród nich miał się znaleźć również nasz pluton. Ale najpierw mieliśmy się zająć amebą.

Długo szliśmy jej śladem, prowadzącym przez gęste zarośla. Rów już ostygł, lepki śluz połyskiwał jak szkło. Ślad rozszerzał się powoli, stawał się coraz głębszy. Ameba wyraźnie chciała pokonać pasmo niewysokich pagórków, za którym, w przytulnej dolince, płynęła kolejna niewielka rzeczka.

Komórki rakowe... Przerzuty... -- przemknęło mi przez myśl.

Tym razem szliśmy w kompletnym uzbrojeniu. Połowa drużyny niosła na plecach ciężkie miotacze ognia, druga połowa obładowała się granatami próżniowymi. Pancierz w trybie absolutnej ochrony. Będziemy sływać potem, ale nie ma wyjścia.

Amebę dogoniliśmy w chwili, gdy powoli, ale uparcie, niczym łosoś podczas tarła, pełzła w górę rzeki. Pchała się środkiem, otoczona fontanną rozbryzgów, a za nią...

Za nią ciągnął się mętny ślad galaretowatej masy, z niezliczonymi kropelkami brązowych pęcherzyków.

Nie zdążyliśmy.

Ale chłopcy i tak polali amebę ogniem z sadystyczną przyjemnością.

Powierzchnia galarety zawrzała; pęcherzyki nadymały się i pękały, rzeką płynęły strugi mieszanek zapalającej, ostro pachniało spalonym mięsem. Ameba szarpnęła się, ale nie mogła się oprzeć strumieniowi napalmu. Skłęsła, zamieniła się w czarny niedopalek i pozwoliła się ponieść rzece. Strumień zanieczyszczającego wodę śluzu przestał się sączyć. Pozostało jeszcze to, co już popłynęło w górę rzeki -- małe brązowe pęcherzyki, takie z pozoru niegroźne...

--Za mną! -- machnąłem ręką.

Woda w rzece zagotowała się pod strumieniami ognia. Widziałem, jak niektóre z zarodków próbują wypłynąć, rozpaczliwie wyplątując się z sieci arterii. Niektórym się to udawało. Próbowaly nas zaatakować jakieś bezkształtne potworki, ale byliśmy na to przygotowani -- miotacze ognia powitały w powietrzu te, które zdołały wzlecieć do góry. Inne skakały, niczym wielkie ropuchy, zwinnie odbijając się od śliskiej powierzchni. Spaliliśmy wszystkie i poszliśmy w dół rzeki. Spienione fale zdążyły już rozerwać kleisty jęzor, w którym dojrzewały zaczątki przyszłych przerzutów.

Zatrzymaliśmy się przy progach. Nie było sensu iść dalej. Poinformowaliśmy dowództwo o wykonaniu zadania.

Rutyna. Przybyłem, zobaczyłem, zniszczyłem. Inne formy kontaktu z tymi stworzeniami były po prostu niemożliwe.

Batalion przemieszczał się dalej. Unikaliśmy podchodzenia zbyt blisko ohydnej rzeki. Dowództwo przerzucało lotnictwo, na szczęście dno wyschniętych słonych jezior tworzyło niemal idealne lądowisko. W dolinie powoli dojrzewały zarodniki.

Przylecieli naukowcy i rozbili obóz. W starannie utworzonym wykopie postawili osiem standardowych kontenerów, a następnie wszystko zalali betonem i zasypali ziemią. Nie było

rady, musieliśmy zacząć się liczyć z tymi chrząszczykami, wykluwającymi się w przemiłym bagienku. Wymusiły na nas szacunek.

Ekspedycji badawczo-wywiadowczej (inne, jak wiadomo, w Imperium nie występują) pozostawiono do dyspozycji niewielki oddział -- dwa plutony z bwp. Podejrzewam, że jedynie na tak zwany wszelki wypadek. Zmasowanego ataku i tak nie odparłby żaden batalion, pułk ani dywizja.

Nie rozstawaliśmy się z pancierzami, nastawionymi na tryb całkowitej ochrony. Uginając się pod ciężarem miotaczy płomieni, skradaliśmy się ostrożnie do ohydneho inkubatora, osłaniając naukowców. Badacze, ubrani w prawdziwe kombinezony, ostrożnie wpuszczali do „reaktora” jakieś mechaniczne sondy i tym podobną maszynериę. Rzecz jasna, nikt nie miał zamiaru opowiadać nam o rezultatach badań, ale w czasie jednej z wart zauważyłem, że wyciągane z powrotem sondy są zżarte przez korozję. „Reaktor” szybko nauczył się atakować stal żrącymi kwasami organicznymi. W dodatku musiał dysponować jakimś nieznanym nam katalizatorem -- żaden kwas, nawet najbardziej skoncentrowany, nie zdołałby w takim tempie rozłożyć żelaza.

Może trzeba będzie pokrywać czołgi złotem?

Chodziliśmy również za tamę (najwyraźniej będącą dziełem rąk niewiele różniących się od ludzkich), gdzie był drugi wodospad. W tamie zrobiono kilka otworów, przez które do pustego koryta rzeki wyciekała cienka strużka przezroczystego płynu, wolnego od brązowych pęcherzy i innego draństwa. Zachowując najwyższą ostrożność wzięto płyn do analizy. Jak się okazało, była to woda. Najzwyklejsza woda, z nieco wyższą zawartością substancji organicznych, ale niegroźna, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Tak czy inaczej, dostaliśmy rozkaz stworzenia jeszcze jednej zapory. Podejrzana woda nie powinna rozplýwać się po planecie, której Imperium nie miało zamiaru oddawać bez walki.

Byliśmy bardzo ostrożni i reaktor chyba przestał zwracać na nas uwagę. Poziom śluzu w okrągłym zbiorniku podnosił się nieustannie i, chcąc nie chcąc, snuliśmy domysły, co się stanie, gdy czasa w końcu się wypełni.

Mnie zaś interesowała inna kwestia. Jak to się stało, że dwa zaciekle ostrzały artyleryjskie pozostawiły tamę nietkniętą? Oba brzegi były pokryte dziobami lejów, z lasu zostały jedynie zwęglone pnie, a tama cała. Nie trafił w nią ani jeden pocisk. Zagadka.

Z rzeki cały czas wychodziły nowe ameby. Początkowo jedna dziennie, potem dwie, a tydzień później -- trzy. Tropiono je, odnajdywano i likwidowano, oczywiście w znacznej odległości od bioreaktora. Samoloty transportowe codzienne zrzucały plastikowe kanistry z napalmem.

Niedługo w góry miała wyruszyć ekspedycja na poszukiwanie źródła. Jak było do przewidzenia, padło na moją drużynę. Mieliśmy iść razem z moim starym znajomym panem kapitanem tajnej policji państwowej oraz dwiema dziewczynami w stopniu podporuczników. Obie były blondynkami, jedna naturalna, druga farbowana. Ta ostatnia nosiła staromodne okulary, które wyruszając „w teren”, zamieniła na szkła kontaktowe.

Razdwakriak gapił się na nie jak kot na śmietanę. Ukradkiem pokazałem mu pięść -- nie dla psa kielbasa, w końcu były to badaczki z kontrwywiadu, prawie na pewno rdzenna imperialna szlachta, korzeniami sięgająca Fryderyka Wielkiego.

W ostatniej chwili dołączyła do nas jeszcze jedna dziewczyna. Na jej widok omal nie

przewróciłem się z wrażenia.

Okazało się, że to nie kto inny, tylko Gilvy. W stopniu -- wierzcie lub nie -- Rottenführera, czyli starszego kaprala, na stanowisku operatora obliczeniowego, z przenośnym komputerem i ruchomą anteną łączności. A ubrana była -- coś nieprawdopodobnego! -- w kombinezon taki jak my wszyscy, tylko na rękawie zamiast emblematu sławetnej trzeciej dywizji desantowej Totenkopf nosiła SS, znak Geheime Staatspolizei. Skąd ta przemiana? Kiedy Gilvy zdążyła? Komu tak dogodziła w łóżku? Przecież nie należy do narodu panów, pochodzi z zapomnianej przez Boga planety, na której przy okazji zaprowadzania porządku trzeba było powiesić połowę zbuntowanych lordów. Już samo to nadawało jej status politycznie niepewnej. Skąd więc Gilvy w hermetycznej imperialnej służbie specjalnej? Przecież tych, którzy do niej wstępują, prześwietlają aż do ósmego pokolenia!

Zauważyłem też, że dwie nasze „aryjki” nie traktowały Gilvy jak pariasa czy eksdziewczynki. Przeciwnie, wszystkie trzy o czymś sobie szeptały, od czasu do czasu radośnie chichocząc.

--Milo mi, że się znowu spotykamy, kapralu -- kapitan wyciągnął do mnie rękę jak do równego sobie. -- Cieszę się, że okazaliście się czyści w tamtej historii z jeńcami. Wielu z nich schwytano ponownie... Niestety, nie wszystkich. Dalia Dżamajte, może was to zainteresuje, nadal pozostaje na wolności. Tylko nie udawajcie, kapralu, że jest wam to obojętne.

Kątem oka zauważyłem błysk zainteresowania w oczach rzekomo zajętej swoimi sprawami Gilvy.

--Nie udaję, panie kapitanie. Jak miałem zaszczyt zameldować psychologowi politycznemu, pani kapitan Schulze, byłem niegdyś w bardzo bliskich stosunkach z... obywatelką Dżamajte. Jeszcze zanim wstąpiłem do wojska. Nielatwo otrząsnąć się z takich uczuć.

Kiedys z przyjemnością (i podobno całkiem nieźle) grywałem na scenie teatru studenckiego. Pozostawało mieć nadzieję, że dzisiaj etiudę *Szczerłość*, odegrałem przynajmniej na dostatecznie.

--Rozumiem, rozumiem -- uśmiechnął się serdecznie tajniak. -- W porządku. Ruszamy, panie i panowie. Kapralu, rozumiecie swoje zadanie?

--Tak jest. Wszelkimi możliwymi środkami zapewnić bezpieczeństwo personelu naukowego, nawet za cenę ofiar wśród żołnierzy powierzonej mi drużyny.

--Pięknie. A więc wybieramy się w górę rzeki. Zrobione z samolotów zdjęcia pokazały, że rzeka bierze swój początek w tamtej grocie na zboczu góry. Sądzę, że tam właśnie będziemy musieli dotrzeć. Wasi ludzie przeszli odpowiednie przygotowanie speleologiczne?

--W granicach ogólnego kursu przygotowania wojsk desantowych, panie kapitanie. Nie koncentrowaliśmy się na tym specjalnie, ale myślę, że damy sobie radę.

--Liczę na to, kapralu.

Ruszyliśmy w drogę, starając się nie tracić z oczu wypełnionego galaretą strumienia i jednocześnie zbytnio się do niego nie zbliżać. Prócz miotaczy ognia mieliśmy na wszelki wypadek kilka zrzuconych z samolotów śrutówek. Dowództwo uznało ten pomysł za dobry. Mogliśmy teraz zapolować na niedźwiedzia albo na kaczki, wedle uznania.

Zostawialiśmy za sobą okaleczony ogniem las, wypalony do samej gleby. Jakiś czas później zaczęły się nietknięte pożarem zarośla i ziemia pod naszymi nogami zaczęła cmokać.

--To draństwo przesącza się przez glebę -- wymamrotała ze wstrętem blondynka, pani

porucznik o klasycznym imieniu Greta. -- Trzeba będzie pomyśleć o betonowej tarczy...

--Tylko jeśli nie załatwimy źródła -- odezwał się kapitan. Swobodnie omawiali przy mnie sprawy, które zapewne można by zaklasyfikować jako ściśle tajne. Poczulem się nieswojo. W książkach przygodowych oznaczało to zazwyczaj, że *Lesser Volks* są spisani na straty. -- Kapralu! Wiem, że jesteście biologiem. Spodziewam się po was nie tylko zapewnienia nam ochrony. Jaka jest wasza specjalizacja?

Jakbyś nie wiedział...

--Kontrolowana mutageneza organizmów przydennych, zwanych potocznie pełzakami, z niehistonową strukturą DNA i pozachromosomową lokalizacją części materiału genetycznego.

--Nic a nic nie zrozumiałem -- zaśmiał się tajniak. -- A ty, Gretchen?

--Nie wyglupiaj się -- odparła. -- Wszystko doskonale rozumiałaś. Katedra profesora Breslera? Siemiona Jefimowicza?

--Tak jest, pani porucznik.

--Miałam u niego praktykę.

--U nas? -- Nie uwierzyłem. -- Na Nowym Krymie?

--Nie. Być może nie wiecie, kapralu, ale profesor prowadził kurs wakacyjny na Uniwersytecie imienia Maksa Plancka.

Ho, ho, poważna sprawa... Rzeczywiście nie wiedziałem. Więc stąd te granty Wielkiej Akademii...

--Proszę państwa, o Alma Mater porozmawiacie sobie w dogodniejszej porze -- włączył się do naszej pogawędki kapitan. -- Czy muszę wam przypominać o zachowaniu czujności?

Wspinaczka nie była łatwa. Im dalej, tym działanie śluzu było wyraźniej widoczne. Otaczały nas martwe, jakby zaatakowane zgnilizną drzewa. Liście opadły, gałęzie gnily w miejscu połączenia z pniem, kora schodziła całymi płatami. Śluz nie oszczędził również poszycia; trawa oraz miejscowe odpowiedniki paproci wyglądały jak brązowa masa kompostowa. Nogi więzły niemal do kostek. Postanowiłem zareagować.

--Dobrze by było, gdybyśmy szli bardziej w prawo, panie kapitanie, dalej od strumienia. Tutaj robi się coraz bardziej niebezpiecznie. Nie można wykluczyć, że galareta zareaguje na nas tak samo, jak zareagowała niedawno na rzuconą gałązkę.

--Rozsądny pomysł -- zgodził się od razu tajniak. -- Czterdzieści pięć stopni w prawo, marsz!

Im dalej od wypełnionego kleistą galaretą koryta, tym szło się nam lepiej. Znowu znaleźliśmy się w normalnym lesie. Oczywiście nie takim jak na Sylwanii, ale zawsze. Gleba stała się kamienista, znikły ostatnie ślady śluzu. Chłopcy wyraźnie poweseleli.

Szliśmy tak przez cały dzień, podchodząc coraz wyżej. Zbocze robiło się coraz bardziej strome i coraz gwałtowniej spadało w lewo, do koryta bylej rzeki. Odsunęliśmy się w prawo, i w końcu znaleźliśmy się na linii działu wodnego. Przed nami otworzył się wspaniały, majestatyczny widok -- w tyle pokryte śniegiem stożki gór, dalej, zniżając się łagodnie i przechodząc w step, ciągnęły się zielone zbocza wzniesień podgórze. Pas lasu nie był szeroki, najwyżej na dzień drogi piechotą. Przed nami, wysoko na skałach, piloci helikopterów zdążyli zbudować dla nas obóz, wyladowując prawie tonę zapasów i sprzętu. Rozsądnie wołałem nie pytać, czemu w takim razie przegonili nas na piechotę, zamiast przerzucić helikopterem. I tak usłyszałbym najwyżej, że dowództwo wie lepiej... Może chcieli obejrzeć „własnymi oczami”

całą rzekę?

Śluz stawał się coraz gęstszy. Tu, na górze, rzeka wydawała się niemal brązowa od ogromnej liczby płynących zarodników. Razdwakriak głośno przełknął ślinę.

Leżeliśmy ukryci za ostrymi zębami nawisającego nad brązową galaretą skalnego występu. Stąd było już widać ciemny otwór jaskini, gdzie brał początek zatruty strumień.

--Musimy dojść tam -- powiedział tajniak półgłosem, chowając lornetkę. -- Pamiętajcie, że nasze zadanie nie polega na zniszczeniu źródła. Ten obiekt przedstawia ogromną wartość naukową. Skoro ludzkość zetknęła się z nieznanym wrogiem, naszym obowiązkiem jest zdobyć jak najwięcej informacji. Mam nadzieję, że to wystarczająca odpowiedź na niezadane przez was pytanie, dlaczego po prostu nie wysadzimy tej jaskini. Na przykład sterowaną rakieta czy szybującą bombą, która wybuchłaby może nawet niezbyt głęboko, ale nie na samej powierzchni. Wszystko jasne? Mam nadzieję, że nie macie więcej pytań.

Nikt nie miał żadnych pytań. Makumba podniósł osłonę i spojrzał na mnie z rozpaczą. Jego czarna skóra jakby poszarzała ze strachu. Nikt nie miał ochoty pakować się do jaskini po tym, co stało się z czterema drużynami. Nikt nie przeżył i, niebywała rzecz w historii desantowców, nie udało się odzyskać nawet identyfikatorów. Choć regulamin nakazywał uznać takich żołnierzy za „zaginionych bez wieści”, co pozbawiłoby rodziny należnej zapomogi, dowództwo uznało, że wszyscy oni „polegli w heroicznej walce”. Dawało to dodatek do renty za stratę żywiciela rodziny...

Na noc zatrzymaliśmy się na skale. Wprawdzie strasznie tu wiało, ale wolałem czuć pod sobą granit niż zdradziecko chlupiącą ciecz o niewiadomym składzie. Gilvy, z którą przez cały dzień zamieniłem ledwie kilka słów, zręcznie rozłożyła przenośną antenę i włączyła komputer z szyfratorem. Na panelu zapaliła się fioletowa lampka.

--Jest kanał, panie kapitanie -- zameldowała.

--Wszyscy odejść! -- polecił. -- Szyfrujcie, pani kapral.

Rozkaz to rozkaz. Odeszliśmy, a razem z nami dwie badaczki.

Farbowana blondynka chłodno ignorowała niezręczne zaloty Razdwakriaka, naturalna już krzątała się przy pomalowanej na zielono aluminiowej skrzyni.

Spojrzałem przed siebie. Daleko w dole płynęła rzeką przemieniona w obrzydliwą fermę hodowlaną nieznanymi stworzeniami. Ktoś musiał to wszystko starannie zaplanować...

Przetransportował tu te istoty, skierował strumienie z górskich zboczy w głąb skał, zbudował zapórę, postawił filtry... Ale co się stało z miejscową ludnością?

Postanowiłem zapytać o to tajniaka, gdy już skończył z szyfrogramami. I tak było oczywiście, że zostaniemy tu na noc.

--Ludność? No tak, widocznie wam przekazują absolutne minimum informacji, kapralu. Odnaleźliśmy ich. Nie zniknęli. Po prostu wybuchła panika.

--Ale co ją spowodowało, panie kapitanie?

--Tego już nikt nie zdołał nam powiedzieć -- rzekł z nieprzyjemnym uśmiechem. -- Chyba nie muszę ci mówić, dlaczego?

Poczułem, jak sztywnieją mi mięśnie szczęk, a pięści same się zaciskają.

--Uciekli w panice z miasta, w stepie zostali dogonieni, a wy znaleźliście...

--Cmentarzyska. Pola obgryzionych do czysta szkieletów, kapralu. Porzucone samochody, kolejki... zbudowano tu kilka podwieszonych linii kolejkowych. Wielu kolonistów znaleźliśmy w

miastach.

--I nikt nie przekazał żadnej wiadomości? Nikt nie zostawił informacji? Ani desant, ani... wasi?

Gestapowiec wyglądał prawie jak normalny człowiek. Ręce drżały mu lekko, w kąciu oka pulsowała żyłka.

--Kapralu, wiedziałem, że prędzej czy później o to zapytasz, więc specjalnie poprosiłem o pozwolenie na udzielenie ci tych informacji. O notatkach czy też o ich braku nie mogę nic powiedzieć.

--Nie rozumiem, panie kapitanie -- powiedziałem z całym szacunkiem, na jaki było mnie stać. -- Jeśli zetknęliśmy się tu z czymś niewiadomym, z Obcymi, i od informacji o przeciwniku zależy nasze życie, istnienie całego Imperium... jeśli ojczyzna jest w niebezpieczeństwie... Nawet ja, prosty kapral, urodzony na odległej planecie i nienależący do rasy panów, nawet ja to czuję! Panie kapitanie, pan powinien czuć to samo! Więc dlaczego mamy o tym nie mówić? W końcu byliśmy na Zecie-5, widzieliśmy różne rzeczy. Choćby te dzieci, które...

--Niektóre dane pozwalają założyć -- przerwał mi sucho gestapowiec -- że wielu ludzi, którzy pozostali w miastach, zabiły właśnie tamte potwory, kapralu. Tym razem działały rozsądniej niż na Zecie-5. Szybko się uczą. Garnizon nie zdążył przekazać sygnału alarmowego, nie zdążył zająć pozycji obronnych. Notatki... po prostu nie zdążyli. Ostatnie minuty życia poświęcili walce. Nikt, kapralu, nikt nie zdążył napisać nawet kilku słów. Szukaliśmy wszędzie, licząc na to, że może ktoś miał kamerę, może zdołali coś zarejestrować miejscowi reporterzy, czasem bardziej przewidujący niż kontrwywiad. Na razie, o ile mi wiadomo, nie mamy nic. Ale być może -- uśmiechnął się niewesoło -- mnie również przekazują jedynie absolutne minimum informacji. Sam rozumiesz, nie ja wytyczam granice. -- Odwrócił się. -- Szkielety, kapralu, całe pola szkieletów... -- powiedział cicho. Jego głos znowu wydał mi się prawie ludzki. -- Widziałem w swoim życiu niejedno, ale czegoś takiego... To nie były ciała czy trupy. To były szkielety, jakby leżały tu od wielu lat. Wylizane do czysta. Duże i małe... Znajdowaliśmy całe autobusy z dziećmi. Pewnie chcieli ewakuować je w pierwszej kolejności.

Usłyszałem zgrzyt własnych zębów.

--Panie kapitanie... ja myślę... te istoty...

--Ja też o tym pomyślałem. Dziewczęta również -- skinął głową w stronę swoich towarzyszek.

--Ale jeśli są tak potężne, dlaczego nie załatwiły nas równie szybko jak kolonistów? W końcu mieszkańcy Omegi...

--Byli odważnymi, bystrzymi i pomysłowymi ludźmi. Zgadza się, kapralu. Ja też zastanawiałem się nad rozwiązaniem tej zagadki. Na razie tłumaczę to efektem pierwszego uderzenia.

--Coś bardzo potężnego, ale dość krótko żyjącego, co można wykorzystać jedynie w pierwszej fazie operacji, bo potem następuje błyskawiczna autodestrukcja?

--Czytasz w moich myślach, kapralu. Nie studiowałem u profesora Breslera, ale orientuję się trochę w przedmiocie. Broń biologiczna nowego typu. Możemy fantazjować na temat postaci tych istot czy sposobu zabijania, ale fakt pozostaje faktem. Coś pojawiło się na tej planecie, oczyściło ją z ludzi i dokonało samolikwidacji.

--Niewykluczone, że ten śluz w rzece i brązowe pęcherze to początkowy etap nowej

syntezy -- dodałem. Tajniak skinął głową.

--Teraz rozumiesz, dlaczego nie wolno nam od razu zniszczyć tego cholernego źródła? Musimy spróbować zrozumieć, co to za „broń pierwszego uderzenia”. Przecież Omega nie ogłosiła alarmu, widząc na orbicie obcą flotę. A co jak co, ale to na pewno zdążyliby zrobić.

W tym momencie przyszła mi do głowy pewna myśl, ale tak potworna, że natychmiast rozkazałem sobie o niej zapomnieć. To nie jest możliwe... -- ponieważ jest niemożliwe.

--Dobrze, kapralu. Śpijmy. Jutro czeka nas ostatni odcinek. Jutro wejdziemy do jaskini.

Obudziłem się w środku nocy nie z powodu parcia na pęcherz, lecz czując na policzku dotyk ciepłych palców. Palców Gilvy. -- Cii...Rus!

--Co się dzieje? -- rozespany, nie od razu zauważyłem, że odezwała się po rosyjsku. -- Skąd znasz mój język?

Uśmiechnęła się. Na jej hełmie płonęło małe białe światełko tuż nad krawędzią otworu na twarz, oświetlając oczy. Przyznajmy, bardzo ładne oczy.

--Uczyłam się u was. Lubię uczyć się języków, Rus. O czym rozmawialiście z kapitanem?

--Nie możesz go sama zapytać?

--A ty nie możesz powiedzieć? Jeśli mamy jutro wszyscy zginąć, to wolałabym wiedzieć, od czego, prawda? Może jeszcze nie chciałabym umierać? Mam jeszcze w domu pewne sprawy!

Niemal dosłownie zacytowała *Pieśń kierowców frontowych*. Porządnie uczyłaś się języka, „dziewczyno” Gilvy... Dobrych miałaś nauczycieli...

--Wszystko jedno! Oszalałaś, czy co? A jak nas usłyszą? Przecież wezmą nas za szpiegów!

--Nie bój się. Będziemy udawać, że się kochamy.

--Wariatka! W warunkach bojowych, na oczach innych, zwariowałaś?!

--Dobra, to po prostu powiedz, o czym mówiliście. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, nie?

--Przyjaciółmi... -- warknąłem. -- To już lepiej pogadajmy w imperialnym, bo jeszcze nie daj Boże...

--Dobrze. Tylko mów.

Opowiedziałem. W końcu nie było w tym żadnej tajemnicy, a Gilvy nosiła na kołnierzyku munduru podwójną stylizowaną błyskawicę.

--A jak się znalazłaś w Geheime Staatspolizei? -- spytałem z kolei ja.

Gilvy odpowiedziała nie od razu. Siedziała, obejmując rękami kolana, i coś mamrotała pod nosem.

--Co? Jak się dostałam? -- ocknęła się w końcu. -- Wyróżniłam się i dali mi awans. A potem nagle był konkurs na wolną posadę operatora-szyfranta. No to się zgłosiłam. Wiesz, że potrzebuję pieniędzy. A tu i uposażenie zupełnie inne, i w ogóle... No i praca interesująca, z perspektywami.

--Perspektywami zdechnięcia razem z nami w jaskini -- powiedziałem cicho.

--My nie zdechniemy -- przytuliła się do mnie. Chociaż oboje byliśmy w pancerzach, wydawało mi się, że przez plastik i kevlar czuję ciepło jej ciała. Bardzo atrakcyjnego i pociągającego ciała... wystarczy przypomnieć sobie dawno zapomnianą scenę w jej mieszkaniu. Teraz wszystkie te podwiązki i koronki wydały mi się bardzo podniecające. Cholera... żołnierzu, zaczynacie tracić nad sobą kontrolę?

Zmusiłem się, żeby się od niej odsunąć. Gilvy zaśmiała się cicho.

--Nieźle, nie ma co. Z tym kochaniem się to trochę przesadziłam. W pancerzu człowiek nie da rady. Dobra, dzięki, że mi powiedziałeś, Rus. Teraz przynajmniej wiem, co i jak...

--A co ci kapitan dyktował? -- wyrwało mi się.

--Kapitan?... A... nic szczególnego. Taki już z niego służbista. Zaszyfrowane wiadomości można przesyłać tylko wówczas, gdy przy aparacie znajduje się wyłącznie on i szyfrant, dlatego wszystkich przegania. Takie tam... drobiazgi. Że doszliśmy, że nic się nie działo, że duch bojowy składu osobowego... Różne głupstwa.

Mówiła niemal bez akcentu. I знаła idiomy. Żeby opanować obcy język w takim stopniu, trzeba długo przebywać wśród ludzi, dla których rosyjski jest językiem ojczystym.

--Dziękuję, Gilvy. Nie zapomnę ci tego. A teraz kładźmy się spać. Jutro naprawdę czeka nas ciężki dzień.

Rano chłopcy niechętnie wychodzili z ciepłych śpiworów. Nikt nie zaatakował nas w nocy -- no i nic dziwnego, skoro żywa rzeka pozostała na dole. Za to przed nami, na zboczu, czerniało wejście do jaskini, z której wypelzał śluz, przypominając teraz roztopioną i zastygającą powoli parafinę z brązowymi punkcikami zarodników. Trudno byłoby podać nawet ich przybliżoną liczbę.

--Tam -- powiedział zimno tajniak.

Gilvy i obie panie porucznik szły w środku procesji. Moja drużyna podzieliła się na dwie piątki. Zbocze nie było bardzo strome i nikt nie musiał demonstrować zdolności alpinistycznych.

Zatrzymaliśmy się w odległości dziesięciu metrów od strumienia. W przygotowanym dla nas obozowisku znaleźliśmy mnóstwo wszelkiego rodzaju wyposażenia, więc tajniak ze swoimi blondynkami zaczął się od razu krzątać, składając i łącząc kablami jakieś niewielkie bloki elektroniczne z panelami, gęsto usianymi miniaturowymi przełącznikami i pokrętłami.

--Najpierw zeskanujemy, a potem...

Gilvy też otworzyła swój komputer i podłączyła się do pozostałych. Rozwinęła parasol anteny.

--Pani kapral! -- Głos tajniaka był bardzo oficjalny. -- Jesteśmy już w sieci?

--Tak jest. Łączność ze sztabem została nawiązana.

--Doskonale. Gretchen, Martina?

--Pięć minut, panie kapitanie.

--Daję pięć minut. Kapralu! Potrzebuję jednego ochotnika, który pójdzie do jaskini. Sam rozumiesz...

--Jestem gotów, panie kapitanie.

--O nie! Nie mam zamiaru tracić jedyne go człowieka z głową na karku.

--Panie kapitanie, moi ludzie...

--Przepraszam, kapralu, wyrwało mi się. Ale ty i tak nie pójdziesz. Tu nie chodzi o struganie bohatera. Po prostu trzeba wykonać rozkaz z maksymalną dokładnością. Zadanie polega na umocowaniu tego urządzenia przy wejściu. Jak widzisz, są to samowkręcające się śruby. Tydzień pracy w warsztatach. No, który z twoich sobie z tym poradzi? Możesz śmiało obiecać ochotnikowi medal „za odwagę”.

--O, teraz to już na pewno pójde sam! -- pozwoliłem sobie na żart. Tajniak uśmiechnął się.

--Ty nie pójdziesz na pewno. Powiedziałem, że potrzebuję choć jednego myślącego człowieka. To rozkaz, kapralu.

Wzruszyłem ramionami.

Słyszając o odznaczeniu -- co wiązało się, po pierwsze, z urlopem, po drugie, z gratyfikacją -- zgłosili się wszyscy. Zastanowiłem się chwilę i klepnąłem w ramię Glinkę.

--Dobra, ty pójdziesz. Zrobisz swoje i odpoczniesz. Inni też chcieliby dostać medal.

--Szeregowy, wasze zadanie polega na zamocowaniu tego bloku... -- zaczął wyjaśniać tajniak. Glinka pospieszenie kiwał głową. Z pozoru zadanie wyglądało na dziecinnie proste. Podejść do jaskini. Postawić blok przy kamieniu. Nacisnąć przycisk, znajdujący się z boku urządzenia. Spokojnie wrócić. Obiecać za coś takiego medal oznaczało obrazić wszystkich, którzy dostali go za działania w ogniu walki. Ale z drugiej strony, nie wolno było zapominać o kleistej rzece z pulsującymi w niej brązowymi pęcherzykami. Wiedzieliśmy przecież, do czego są zdolne.

Glinka nerwowo przesunął dłońmi po ciele, jakby sprawdzał, czy pancerz na pewno jest włączony na tryb absolutnej ochrony, poprawił pasy miotacza ognia na ramionach i niespieszonym, spacerowym krokiem udał się w stronę ciemnego otworu. Zanim ciągnęła się lina, przypięta do specjalnych uszu kombinezonu.

--Drużyna -- powiedziałem półgłosem.

Ale oni i tak czekali w pełnej gotowości. Makumba, Kriak, Nazarian i Fatih gotowi byli w każdej chwili ściągnąć Glinkę z powrotem, a Günter, Mikki, Surendra i Dżonamani celowali do śluzu. Pancerz da Glince kilka sekund przewagi. I chociaż napalm-B, którym załadowane były nasz miotacze, nie potrzebuje zewnętrznego źródła dopływu tlenu, może płonąć nawet pod wodą i ciężko go ugasić, mielimy ze sobą gaśnice chemiczne, zdolne stłumić płomień w ułamku sekundy.

Początkowo Glinka szedł zwawo. Ale im bliżej był jaskini, tym krótsze i wolniejsze stawały się jego kroki. Gęsty strumień brązowej cieczy nadal wypływał z ujścia, nie reagując na zbliżającego się człowieka.

W pewnej chwili Glinka zamarł. Do przejścia pozostało mu już tylko dwa metry; zbocze było tu bardzo strome, niemal pionowe, ale było się o co zaczepić. Glinka ani drgnął.

--Szeregowy? -- rzucił z rozdrażnieniem tajniak. -- Czemu się zatrzymaliście?

Glinka nie opowiedział. W komunikatorze słychać było tylko jego ciężki oddech.

--Glinka?

Brak reakcji. Glinka zrobił kilka ostrożnych, niepewnych kroków stroną jaskini. Podciągnął się, znieruchomiał i rozplaszczyl się na skale. Obiema rękami przycisnął blok do w miarę równego odcinka skały. Usłyszeliśmy brzęczenie -- to śruby wkręcały się w kamień. Po minucie brzęczenie ucichło. Glinka zaczął się ostrożnie wycofywać... i wtedy śluz wreszcie zareagował. Wyglądało to tak, jakby ktoś przejechał po nim seria z karabinu maszynowego. Dziesiątki fontann i wyrwijające się w górę, pękające pęcherze z zarodnikami. Nie od razu zrozumieliśmy, co wyklulo się z nich tym razem, ale to coś natychmiast oblepiło Glinkę. Powierzchnia brązowego strumienia nadal wrzała, wyrwały się z niej nowe stworzenia, natychmiast prostowały skrzydła i...

Chłopcy zgodnie szarpnęli za linę. Pozostali tak samo zgodnie zaczęli strzelać. W miejscu, w którym jeszcze przed chwilą było wejście do jaskini, szalał ogień. Glinka tarzał się po ziemi i wyl -- skrupulatny Günter, z sumiennością charakterystyczną dla rasy panów, połał go napalmem od stóp do głowy.

Ku mojemu zaskoczeniu Greta i Martina nie zaczęły piszczeć i nie straciły głowy, lecz gaśnicami chemicznymi stłumiły płomień na Glince. Gilvy nie ruszyła się z miejsca, jej palce nadal fruwały nad klawiszami. Widocznie zapewniała dowództwu bezpośredni przekaz z miejsca wydarzeń. Prawdopodobnie widok robił niezłe wrażenie...

Lecący na nas rój zapalił się w powietrzu i do nas doleciało zaledwie kilka żywych kulek. Obie blondyny pobiegły, by je ugasić. Upadły na ziemię, chwyciły przenośne mikroskopy z kamerami i zapomniały o całym świecie.

Ugasiłmy płomień na Glince. Pożar przy wejściu do jaskini też powoli dogasał. Śluz zabrał plamy napalmu w dół, sycząc, trzeszcząc i kipiąc jak gęsty bulion.

Atakujący nas rój znikł w ognistym szkwale. To był właściwie koniec. Żywy strumień już nie próbował nas zaatakować. Przypominało to błyskawiczną i gwałtowną reakcję systemu immunologicznego, który nie próbuje przeciw wykończyć wszystkich otaczających organizm bakterii i wirusów...

Zdarliśmy z Glinki poczerniały, dymiący pancerz. Chłopak leżał nieruchomo jak manekin i Dżonamani na dzień dobry wstrzyknął mu pięć milimetrów środka przeciwszokowego. Czech jęknął i poruszył się.

--Doskonała robota -- skomentował z zimną krwią tajniak. -- Szeregowy, medal zostanie wam wręczony możliwie jak najszybciej. Operatorze -- to już do Gilvy -- przekażcie do sztabu, co trzeba.

--Tak jest. -- Znowu klikanie klawiszy. -- Pański kod i hasło, panie kapitanie...

Greta i Martina zdążyły się już narozkoszować widokiem zwęglonych szczątków i teraz zajęły się swoimi blokami.

--Panie kapitanie, telekontrola w normie. Zezwala pan na przystąpienie do wykonania?

--Zezwalam -- skinął głową tajniak.

Kucałem obok wracającego do przytomności Glinki (chłopcy pomagali mu przebrać się w zapasowy pancerz) i myślałem, że jeśli żywa rzeka będzie reagować w taki sposób, nigdy nie dojdziemy do źródła...

Chwilowo nie działo się nic szczególnego. Agregat, który Glinka przymocował do skały, wysunął coś w rodzaju peryskopu i obie blondynki wydawały okrzyki zachwytu, pokazując sobie ekran małego polowego komputera. Niewzruszona Gilvy z nieprawdopodobną szybkością tłukła w klawisze, z rzadka zwracając się półgłosem do Grety czy Martiny.

Leżeliśmy za skałami. Oszołomiony Glinka powoli dochodził do siebie. Gdyby nie roztropność blondynek, nie przeżyłby tej historii -- przegrzanie organizmu i po herbacie... Na szczęście mieszanka zapalająca nie przedostała się przez szczeliny pancerza i nie zdążyła przepalić plastiku w tych miejscach, w których ciało nie było osłonięte kevlarowymi płytkami.

Leżeliśmy tak, czekając nie wiadomo na co, a nasze badaczki działały jak w ekstazie, pewnie z powodu napływających coraz szybciej danych. Nie wiem, co przekazywał umocowany przez Glinkę przyrząd, ale...

Jakiś czas później tajniak podszedł i odciągnął mnie na bok. Brązowa rzeka nadal toczyła swe wody, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Klasyczna sytuacja -- żyj i pozwól żyć innym.

--Jakieś pomysły, kapralu? To znaczy na temat przemieszczania się w stronę źródła. Naukowa część ekspedycji zakończy się tutaj.

--Panie kapitanie, przez wejście do jaskini nie przedrzemy się na pewno. To znaczy... możemy spróbować, ale to śmiertelne ryzyko. Tym bardziej że nie tylko musimy sami przejść, ale również przenieść ciężki sprzęt. Poszukałbym przepływu cieków wodnych.

--Bardzo rozsądnie, kapralu. Mamy duże zdjęcie tego zbocza. W tym, tym i tym miejscu koryta strumieni skierowano w głąb skał. Myślisz, że zdołamy tędy przejść?

--W każdym razie będziemy mieli więcej szans niż tutaj. Trochę pomogłoby nam polanie powierzchni galarety napalmem, ale tylko na krótko. Można zrzucić do jaskini zapasowy pancerz, ale ze sprzętem elektronicznym lepiej obchodzić się delikatnie.

--Słusznie -- skinął głową tajniak. -- A co myślisz o tym, żeby przebić wejście z góry? Mamy odpowiednie ładunki. Bo przeciskanie się przez skały razem z wodą jakoś mi się nie uśmiecha. Od dziecka nie lubię ciasnych, zamkniętych przestrzeni.

Pokiwalem głową.

--W takim razie rzeczywiście najlepiej byłoby przebić sklepienie. Tylko...

--Tak, kapralu?

--Myśli pan, że nasi wrogowie nie przewidzieli, że natkniemy się na ich „hodowlę” i spróbujemy ją zniszczyć? Dlaczego więc nie postawili tu strażników? Pozorna dostępność podsuwa myśl o pułapce, panie kapitanie.

--Sztabowi analitycy łamali sobie głowę nad tymi samymi pytaniami, kapralu -- burknął tajniak. -- Z wojskowego punktu widzenia to kompletny absurd. Przecież mogliśmy być kamikadze, niosącymi ładunek jądrowy. Wiemy, że mogą tu być strażnicy... i to bardzo czujni. Nie potrafię zapomnieć o tamtej gałazce -- przyznał się nieoczekiwanie.

--A jak rzuciły się na Glinkę?

--No właśnie... Zresztą, jeśli się do nich nie zbliżamy, to chyba nie reagują. To nasza szansa...

Sklepienie udało się przebić dopiero za trzecim razem. Straciliśmy niemal cały zapas materiału wybuchowego. Jaskinię utworzyły jakieś szczególnie trwale skały, nie od razu poddające się najmocniejszym nawet ładunkom. Gdy ostygły krawędzie otworu, kapitan zdecydowanie machnął ręką.

--Zaczynajcie zejście, kapralu.

Było w jego głosie coś, co mi się nie podobało. Ale rozkaz to rozkaz. Ruszyłem do wybitego otworu.

--Światło. Spuście mnie na linie, chłopcy, tylko bardzo ostrożnie. Niczego nie zrzucać na dół. Te stwory zaatakowały Glinkę, gdy tylko zaczął się zbliżać.

Żółta plama światła na dnie jaskini. Podłoga wydawała się zbyt równa jak na naturalny twór skalny. Strumień śluzu, sączący się powoli w wąskim wyżłobieniu, teraz wydawał się zupełnie brązowy. Nie wisiałem nad samą galaretą, raczej bliżej ściany, którą obejrzałem bardzo uważnie. Nie było na niej nic podejrzanego.

--Spuszczajcie -- wyszeptalem w komunikator.

Szybko osiągnąłem dno. Nadal nic się nie działo. Jaskinia była dość przestronna, a ja znalazłem się pięć metrów od galarety. Galareta pelzła sobie spokojnie i wydawało mi się, że słyszę cichy głos: „Nie podchodź, a nic ci nie zrobimy”.

--Za mną! -- polecilem swoim żołnierzom.

Wszystko poszło idealnie. Jedynym problemem było wciągnięcie przez otwór bagażu

naszych badaczek, ale nawet z tym sobie poradziłyśmy. Zapłonęły latarki, na ścianach zatańczyły żółte kręgi światła.

--Utworzyć kolumnę, idziemy jeden za drugim -- zakomenderował szeptem tajniak. -- Pani porucznik, pani operator... do środka. Kapralu, ty pójdziesz jako pierwszy. Zmierzamy w górę strumienia. Nigdzie nie skręcamy. Działać stosownie do sytuacji.

Ulubiony rozkaz zwierzchników, gdy nie wiedzą, co powiedzieć. „Działać stosownie do sytuacji”. Można by pomyśleć, że będziemy działać niezależnie od niej.

Jaskinia zaczęła się powoli zwięzać. Staraliśmy się iść po swoich śladach, tuż przy ścianie, ale sklepienie zniżało się coraz bardziej, zmuszając nas do garbienia się. Byliśmy coraz bliżej brązowego strumienia.

Galareta płynęła wolno, niczym roztopiona stal. Teoretycznie powinny być tu różne pułapki, wilcze doły i tak dalej -- a przynajmniej jakieś zębate stwory, w rodzaju tego, który wciągnął do reaktora pierwszego komandosa. Ale niczego takiego nie znaleźliśmy. Beztroska? Czy jednak zasadzka?...

Nasłuchiwałem czujnie i bacznie wpatrywałem się w słabo migoczące okienka czujników. Wszystko było w porządku. Czy naprawdę pozwolą nam tak po prostu dojść do źródła? Na jaką odległość musielibyśmy zbliżyć się do strumienia, by zareagował tak jak na Glinkę? Jakoś nie miałem ochoty sprawdzać tego na własnej skórze.

Jaskinia zwięzała się coraz bardziej, sklepienie opadało coraz niżej. Chłopcy zaczęli się denerwować. Podniosłem rękę, zatrzymując kolumnę.

--O co chodzi, kapralu? -- rzucił ostro tajniak. -- Jaka przyczyna zwłoki? -- Nawet teraz używał zwrotów zaczerpniętych z regulaminu.

--Znaleźliśmy się zbyt blisko strumienia, panie kapitanie. Dalsze posuwanie się do przodu wiąże się z dużym ryzykiem.

--No to co? -- rzucił wzgardliwie tajniak. -- Ryzyko to nasz zawód.

--Owszem, ale nie ryzyko dla samego ryzyka -- odparłem ostro, opuszczając zwyczajowe „panie kapitanie”.

Chyba go zatkalo. W każdym razie jego następne pytanie zabrzmiało niemal po ludzku:

--Co wobec tego proponujesz? Odwrót?

--Czy ekipa badawcza jest w stanie stwierdzić, jak daleko jeszcze do źródła? -- zwróciłem się do blondynek. Badaczki nie zareagowały na tak ostentacyjne złamanie dyscypliny.

--Jeśli nasze przypuszczenia są słuszne... zostało jeszcze około stu metrów w linii prostej -- odpowiedziała Martina. -- Umownie krytyczna odległość od strumienia zostanie osiągnięta za jakieś dwadzieścia metrów... jeśli nie pomyliłyśmy się w obliczeniach. I jeśli jaskinia nagle się nie zwięzi.

--Zostańcie tutaj -- zdecydowałem nagle. -- Mikki, Makumba! Przypnijcie mnie i bądźcie gotowi, żeby wyciągnąć.

--Śmiała decyzja, kapralu -- oznajmił pompatycznie tajniak. -- Ojczyzna ci tego nie zapomni.

Nie skomentowałem tego. Poprawiłem pasy miotacza ognia i otrząsałem się.

--Kapralu! -- wyskoczyła nagle Greta. -- Poczekajcie, weźmiecie kamerę. Umocujemy wam na ramieniu...

Kamera tylko mi będzie przeszkadzała, ale nie miałem przecież wyboru.

--Zaczekajcie tu na mnie.

--Nie zrywaj łączności, kapralu! -- zawołał tajniak.

Tak mówi, jakbym mógł sam wyłączyć komunikator...

Już po przejściu kilku metrów musiałem sunąć przy samej ścianie. Brązowy strumień podejrzanie zabulgotał, jakby zaczął wrzeć od wewnątrz. Na powierzchni pojawiły się pękające pęcherzyki, ale na razie były to tylko pęcherzyki powietrza, a nie prawdziwe pęcherze zarodników. Czulem jednak, że wkrótce dojdziemy również do nich. Odruchowo zamarłem, przywierając do ściany, choć wiedziałem, że strumień nie reaguje na ciepło czy ruch. Jakimś cudem galareta wyczuwała samą obecność człowieka. Więc jednak nie zachowywała się jak system immunologiczny...

To było coś znacznie bardziej skomplikowanego. I znacznie bardziej skutecznego.

Jaskinia zwężała się nadal. Tak jak przewidziała Greta, udało mi się przejść nieduży kawałek, ale i tak jakieś czterdzieści metrów więcej niż założyła. Światło najmocniejszej latarki wchłaniała szczelna zasłona ciemności.

--Widzisz je, kapralu?

--Melduję, że nie, panie kapitanie. Macie coś na ekranie?

--Nic. Ciemność. Widzimy strumień, ściany... ale z przodu niczego.

--Idę dalej -- postanowiłem nagle.

Nie mogłem oderwać wzroku od bulgoczącej złowieszczo powierzchni. Jeśli wystrzelę, miotacz ognia powstrzyma na jakiś czas te istoty, ale musiałbym je uprzedzić. Choćby o pół sekundy.

Metr. Jeszcze jeden. Jeszcze pół metra. Pęcherzyków coraz więcej i mam wrażenie, że ohydny zapach wrzącej serwatki przebija się nawet przez szczelną osłonę filtrów. Pancierz znajduje się w konfiguracji maksymalnie przypominającej hermetyczny skafander. Po moim czole spływają krople zimnego potu, strach szarpie wnętrzości niczym pazury ogromnego zwierzęcia.

Po co ja się tu znalazłem? Czy tego wymaga osiągnięcie mojego celu? Oczywiście, kariera i tak dalej, ale martwy na pewno nic nie zdziałam! Wszystko dla ojczyzny, wszystko dla zwycięstwa! -- i moi przodkowie rzucali się na czołgi z granatami, ranni zabijali siebie i swoich towarzyszy, żeby nie trafić do niewoli, a ja boję się zrobić to, co jest jedynym możliwym rozwiązaniem w tej sytuacji.

Mrużę oczy i nagle widzę wszystko bardzo wyraźnie.

Na idące za mną towarzystwo wystarczą trzy szybkie strzały. Ciała można zepchnąć do strumienia i nikt ich nigdy nie znajdzie. Kamerę i sprzęt -- tak samo. No tak, ale jeśli odbywa się bezpośredni przekaz do sztabu... Trzeba najpierw rozbić kamerę, oczywiście przypadkiem. I po wszystkim. Ślady do strumienia. Nikt się niczego nie dowie. Może nawet dadzą mi medal? Iść naprzód to niemal pewna śmierć. Co innego tak jak Glinka, którego ubezpieczała cała drużyna. Ale jeśli będziemy pchali się dalej, tam, gdzie ściany podchodzą niemal do samego strumienia, wtedy moja drużyna, ze mną na czele, zostanie tu już na zawsze. Cóż, wtedy naprawdę wszystko pójdzie na marne...

Poczułem, że chce mi się wyć od nieznośnego, dławiącego bólu w piersi.

Co tak stoisz, Rus? Przed tobą śmierć, straszna i bezsensowna, która nie przyniesie żadnej korzyści twojemu narodowi. To nie to, co zasłonięcie otworu strzelniczego własnym

ciałem czy wyciągnięcie zawleczonego granatu, żeby eksplodować razem z czołgiem, który najjeżdża na twój okop. To śmierć absolutnie bezsensowna i bezmyślna. No, odwróć się, wracaj... tylko najpierw zrób jeden niezręczny ruch, a kruchy okular kamery rozpadnie się w deszcz szklanych bryzgów. Potem wrócisz i trzema precyzyjnymi strzałami pošlesz wszystkich do piekła.

A Gilvy? Gilvy...

Co Gilvy? Zapomniałeś, co ma na wyłogach? Znaczka SS nie dostaje się ot, tak. Teraz Gilvy jest takim samym wrogiem jak tamci. Zabić ją oznacza wyświadczyć ogromną przysługę Nowemu Krymowi i wszystkim, którzy jeszcze czują się Rosjanami, a nie przyczepką do narodu panów.

Przez kilka minut leżałem bez ruchu. Potem, jakby bojąc się tego, co musi nastąpić i próbując odsunąć to, co nieuchronne, choćby na chwilę, znowu podczołgałem się do przodu. Do strumienia zostało dwa metry. Odległość krytyczna, jeśli sędzić po wypadku z Glinką.

Strumień wrze i pieni się, jakby ktoś wsunął wielką turystyczną grzałkę w stęchlą zupę. Pęcherze pęcznieją i pękają. Powietrze, powietrze, powietrze... stop!

Brażowe jajo, oplecione siateczką pulsujących, sięgających w głąb naczyń. Widocznie przez cały ten czas strumień daremnie starał się stworzyć coś zdolnego do walki. Jaja zarodników są tu zbyt małe. Potrzebują przestrzeni i światła... Rozwinąć się do końca mogą tylko tam, na dole, w reaktorze...

Nie wiem, skąd to wszystko przyszło mi do głowy. Ale przyszło.

Brażowy pęcherzyk nadyma się, spływające z niego kropelki śluzu połyskują matowo. Odnoszę wrażenie, że to ręka doświadczanego chirurga zaciska prowadzące do pęcherzyka naczynia i precyzyjnie przecina arterie, tak żeby nie wysączyła się ani kropla. Ale wiem, że żadnego skalpela i żadnego chirurga tam nie ma, jest za to skomplikowany, doskonale wyregulowany cykl reakcji enzymatycznych. Proteazy, aktywatory, inhibitory... katalizatory i różne takie rzeczy. Ten, kto to stworzył -- Bóg albo przyroda -- był prawdziwym geniuszem.

Patrzę na pęcherz jak zahipnotyzowany. Na brązowej powłoczce powstała szczelina, potem następna... skórzaste powłoki rozsuwają się z mokrym cmokaniem i moim oczom ukazuje się stworzenie przypominające znanego mi już chrabąszcza. Ten jednak ma skrzydła wązkie, wielkie, jasnozielone fasetowe oczy, które chyba świecą w ciemności, i wzdęty, pulsujący brzusek, przez który prześwitują zielonobrazowe wnętrza. Istota ma też spore haczykowate szczęki. Poniżej nich podryguje -- jakby z niecierpliwości -- ostra igła żądła, z której spływają żółte kropelki. Istota wypełniona jest trucizną, której nie może w sobie utrzymać.

Patrzmy na siebie. Ja, zakuty w pancerz -- szczytowe osiągnięcie ludzkiej myśli, i przedziwne stworzenie, które przed chwilą wynurzyło się z głębi żyworodnego strumienia w jednym jedynym celu -- aby zabić.

Patrzmy na siebie. W słuchawkach rozlega się krzyk Gilvy, chyba woła: „Strzelaj, Rus!”

Nie reaguję. Stoję i patrzę na owada. Ten powoli rozprostowuje wązkowate skrzydła, z cichym buczeniem wlatuje w górę i zastyga nad krawędzią strumienia. Patrzy na mnie. Ja patrzę na niego.

I wtedy moje ręce robią coś nieprawdopodobnego, jakby chciały jak najszybciej skończyć ze swoim właścicielem. Nigdy bym nie pomyślał, że jestem zdolny do samobójstwa.

A więc moje ręce podnoszą osłonę helmu, nie zwracając uwagi na obłąkany taniec purpurowych światełek ostrzegawczych na wszystkich wskaźnikach. Wydaje mi się, że dociera do mnie czyjś słaby głos na samej granicy słyszalności, a może na samej granicy myśli? Nagle zanurzam się w ten dziwny stan, w którym już kiedyś byłem -- na korytarzu „Merony”, gdy ważyły się moje losy, gdy Vallenstein rozmawiał o mnie z porucznikiem..

Wiem, że muszę podnieść osłonę. O dziwo, nie czuję nieprzyjemnego zapachu, w ogóle nie czuję. Jedyne, co pozostało na tym świecie, to zielone oczy owada-zabójcy półtora metra ode mnie. Trzepocze skrzydłami, ale nie rusza się z miejsca.

Patrzmy na siebie, nieruchomi.

Zaczynam mówić. Nie monologuję w myśli. Po prostu myślę. Rozwijam obrazy, które nie wiadomo skąd wzięły się w mojej pamięci. Widzę starożytny ocean, jeszcze pozbawiony życia. Puste brzegi i pierwsze kłębki żywego śluzu w pasie ciepłych, przybrzeżnych wód. Takie same jak ten, z którego powstał owad. Widzę, jak coraz bardziej złożone staje się to ciało, jak pojawiają się nowe gatunki, przede mną przewija się cała historia ewolucji -- jak przed umierającym człowiekiem podobno przewija się całe jego życie. Widzę historię rodu ludzkiego. Migają wymyślne kształty, jakich nie widziałem w żadnym podręczniku paleontologii. Wybrzuszą się góry i wysychają morza. Istoty walczą o przetrwanie. A przecież wszyscy byliśmy kiedyś tylko kulkami żywego śluzu w pasie przyboju. Walka nie ma sensu. Jesteśmy tym samym. Jesteśmy żywymi stworzeniami.

Owad słucha uważnie. Nie porusza się.

--Ja i ty jesteśmy jednej krwi" -- wypowiadam szeptem zapamiętane w dzieciństwie słowa Mowglięgo. Ja i ty jesteśmy jednej krwi, -- szepczą korowody obrazów w mojej pamięci. Dwa jaszczury rozchodzą się, rycząc na siebie. Nie zrobimy sobie krzywdy. Pterodaktyle rozlatują się w przeciwne strony. Podzielimy zdobycz. Dwa tygrysy szablatozębne kryją się w zaroślach, szczerząc kły. Świat jest wystarczająco duży, by pomieścić nas obu. To nie słowa, to obrazy. Wydaje mi się, że chrabąszcz potrafi odbierać to, co teraz widzę.

Stworzenie nie rusza się. Chyba się zawahało. A ja, powodowany natchnieniem, myślę dalej:

Świat jest ogromny, a ty możesz być wolny. Gigantyczne stepy, trawa, małe jeziora tam, gdzie matka Ziemia wypchnęła na powierzchnię żyły wodne. Możesz żyć. Sam. Nie musisz wykonywać rozkazów.

Wiem, że istota nie zrozumie słów. Po prostu myślę o tym, jak wspaniałą może być lot o poranku nad pokrytymi rosą trawami, jak cudownie byłoby tańczyć w ciepłych promieniach zachodzącego słońca nad stawem, w którym mieszkasz i dajesz życie swoim potomkom, a twój ród nie kończy się nigdy. Łańcuch życia jest wieczny, a w nim miliony ogniów, po co więc niszczyć jedno z nich?...

Nie wiem, co zdoła z tego zrozumieć mój niemy „rozmówca”. Ma przecież jedynie najprostsze połączenia nerwowe, przeznaczone do jednego celu -- znaleźć i zniszczyć. Instynktu samozachowawczego, podobnie jak instynktu przedłużenia gatunku, zapewne nie posiada -- myślę ze spóźnionym zrozumieniem.

Chrabąszcz się nie rusza, a ja czuję -- niczym napływającą falę ciepła -- jego skoncentrowaną nienawiść. Teraz szarpie się dziwnie, jakby trzymały go na uwiecznej niewidocznej nici, i nagle z płynącego spokojnie strumienia wyskakuje szary język śluzu. Otula stworzenie i

zręcznie, niczym język kameleona, wciąga z powrotem. Przez kilka chwil oglądam agonie mojego milczącego rozmówcy -- teraz otacza go coś w rodzaju szarej kapsuły. Już zaczyna działać kwas, rozpuszczając powłoki, obnażając nieskomplikowane wnętrza malej istoty. Strumień unosi miejsce kaźni z dala ode mnie, tracę chrapaszczą z oczu, prąd niesie setki tysięcy nowych pęcherzy.

Przypominało to egzekucję wątpiącego. Ale co też mi chodzi po głowie... Ludzka etyka nie ma tu zastosowania. Prędeej to organizm zniszczył własną komórkę, w której przypadkiem zaczęła się mutacja. System immunologiczny jest nadal silny, szybko rozpoznaje hybrydy, nie dając im żadnych szans...

A ja czuję smutek. Zupełnie jakbym naprawdę mógł... niech to szlag! zaprzyjaźnić się z tym chrząszczem...

Strumień chyba jest zakłopotany. Bzdura, przecież system immunologiczny nie może wpadać w zakłopotanie. Może być chwilowo zdławiony czy osłabiony przy spowolnionych reakcjach. Nie wiem, czy drugi raz uda mi się ta sama sztuczka, więc na wszelki wypadek nie będę ryzykował.

Czołgam się dalej. Słowo daję, zobaczyć źródło i umrzeć.

Zsuwające się ściany spychają mnie coraz bliżej strumienia, na którym nadal pojawiają się pęcherzyki. Brązowe jaja już nie wyskakują. Czyżby uznał mnie za swojego? Nie, to niemożliwe. Może chwilowo, jak w czasie choroby, osłabiła się zdolność organizmu do rozpoznawania wrogów...

Jakieś krzyki w komunikatorze... nie odpowiadać, nie odpowiadać... teraz jestem zarodnikiem, płynącym w warstwie ciepłego śluzu... niczym więcej...

Niczym więcej.

Na razie mnie przepuszcza. Wydaje mi się, że czołgam się nieskończenie długo. Sekundy, sekundy, sekundy... Nie jestem sobą. Jestem małym brązowym pęcherzykiem. Niczym więcej.

Za mną zamyka się łagodnie zasłona mroku. To coś w rodzaju szczelnego roju malutkich owadów, które nie zwracają na mnie uwagi. Ich zadanie polega na stworzeniu zasłony. Nie zaprogramowano ich na nic innego.

I wtedy w niewielkiej grocie zobaczyłem źródło.

Niestety, nie był to połyskliwy artefakt z innej planety. Nie była to niewiadoma.

Mieliśmy rację. To ameba. Potężna, nabrzmiała kula, spoczywająca w kamiennym basenie. Z góry przez wąskie szczeliny sączy się woda. Powierzchnia ameby, niemal czarna, wrze i faluje. Przez szeroki otwór w ścianie basenu wypływa produkt -- brązowy śluz. Zarodniki są jeszcze bardzo małe, wielkości ziarenek kawioru.

Nie ruszam się. Zamieram, wciskam się w podłogę. Nie mam tu nic więcej do roboty. Trzeba po prostu złapać jedną taką amebę, posadzić ją w cysternie i niech sobie naukowcy badają ją do upojenia.

Włączam komunikator.

--Widzicie mnie? Macie sygnał?

Milczenie. Komunikator jest martwy. Zablokowali łączność? Czy te muszki spełniają również rolę ekranu?

Co mam zrobić? Spalić źródło? Czołgać się z powrotem?

Nie ruszyło mnie...

Przez jakiś czas zwlekam, w końcu odwracam się zdecydowanie. I słusznie, wystarczy ominąć żywą zasłonę, by łączność pojawiła się znowu.

--Kapralu! Fatiejew! Kapralu! -- wrzeszczy tajniak.

--Tak, panie kapitanie...

--Do licha, *Donnerwetter!* Ależ nas nastraszyłeś!

--Ośmielę się zameldować, panie kapitanie, że znalazłem źródło. Zapis prowadziłem cały czas. Ale obawiam się, że nie zdołamy do niego podejść.

--A z tym stworzeniem... jak ci się udało?

--Potem, panie... -- odpowiadam samymi wargami. Nad powierzchnię strumienia wyskakują nagle trzy duże, wielkości pięści, stworzenia, bardzo podobne do naszych chrząszczy.

Nieruchomieją, ale stworzenia nie atakują. A ja zaczynam widzieć jaskinię ich oczami. Widzę samego siebie z boku, przytulonego do brudnej, mokrej skały. Ciągną się ku mnie brązowe i czerwone żyły, wiją się jak węże, unoszą nad powierzchnią śluzu. Powinny wciągnąć z powrotem wyskakujący pęcherz, nakarmić, ściągnąć na łono ciepłego śluzu...

Za owadami rzeczywiście ciągną się czerwone nitki, jak za pociskami smugowymi.

Zakołysałem się i skoczyłem do przodu, jakby za chwilę miała pode mną wybuchnąć mina przeciwczołgowa. Powierzchnia strumienia naprawdę eksplodowała -- ale tym razem moja drużyna trzyma w pogotowiu miotacze ognia. Nawet blondynki, nawet pan kapitan i Gilvy nie stoją bezczynnie.

Nad moją głową przelatuje ognisty płaszcz, zmiata nadlatujące chrząszcze i te osobniki, które podążyły za nimi. Powierzchnia strumienia przemienia się w morze płomieni.

--Zjeżdżamy! -- wrzeszczę i chwytając skrzynie naszych badaczek, rzucamy się biegiem do wyjścia. Ja i Mikki biegniemy jako ostatni, hojnie polewając jaskinię ogniem. Strumień kipi i wydaje mi się, że słyszę długie, wysokie, pełne bólu wycie.

Wylatujemy z jaskini jak z procy, pędzimy w górę zbocza, jak najdalej od strumienia, byle do obozu -- tam przynajmniej mamy zapas mieszanki zapalającej w gotowych do użycia kanistrach.

Za nami już wszystko wrze. Z dołu, z wąwozu, tam, gdzie strumień rozlewał się szerzej i zwalniał swój bieg, dobiegły nas znajome trzaski -- tak rozpadały się brązowe pęcherze tego dnia, gdy pięć niczego niepodjrzewających drużyn podeszło do brzegu inkubatora.

Jeszcze nigdy w życiu nie biegliśmy tak szybko. Nawet wtedy, gdy uciekaliśmy przed mającą za chwilę spaść zasłoną artyleryjską.

Nad skałami unosił się rój. Prawdziwy rój. Ale tym razem strumień popełnił błąd. Istoty, które rzucił przeciwko nam, były zbyt duże -- mając wielkość dwóch pięści, stawały się idealnym celem dla śrutu.

Do miotaczy ognia dołączyły śrutówki. Strzelały obie panie porucznik i Gilvy. Rój nadleciał... i zapłonął setkami ognistych kłębków. Otoczyła nas ściana ognia. Podpalając wszystko, co się do nas zbliżało, udało nam się odeprzeć pierwszy atak -- stworzenia nie znały i nie rozumiały zasad sztuki wojennej.

Ale z dołu już nadlatywały nowe. Trzaski złyły się w jeden ciągły huk i zmuszeni byliśmy zacisnąć pierścień, osłaniając się nawzajem, gdy ktoś zmieniał kanistry z napalmem.

To już właściwie był koniec. Wszystko stało w ogniu. Jak mi się zdawało, wkrótce nasi przeciwnicy zorientują się, że atak na powierzchni ziemi nie ma sensu, że wystarczy spaść na

nas góry, a nasze miotacze ognia staną się bezużyteczne...

Łoskot tnących powietrze wirników helikoptera zabrzmiał jak pienia anielskie.

Cztery maszyny runęły z góry -- transportowa i dwa condory wsparcia ogniowego. Dwa helikoptery z rykiem przeleciały nad rojem, zalewając go napalmem. Transportowy o mało nie spadł, zawisając tuż nad powierzchnią ziemi -- wyższa szkoła pilotażu nie wykluczała śmiertelnego ryzyka. Przede wszystkim pchnęliśmy w stronę helikoptera dziewczyny. Nie ma znaczenia, że są porucznikami. Gilvy z tym jej emblematem... zawahałbym się. Nigdy nie zapomnę, co oznacza ten emblemat i jacy ludzie go nosili.

Zdążyliśmy w ostatniej chwili. Runęliśmy na żelazną podłogę kabiny i maszyna uniosła się w górę, chłopcy nie zdążyli nawet zasunąć drzwi. Wznoszące się z doliny stworzenia chyba chciały nas gonić, ale zdezorientowane zakręciły się w miejscu i zaczęły opadać, znikając za drzewami na zboczach.

Helikopter nieoczekiwanie zmienił kurs i poleciał za nimi. Widziałem, jak Greta i Martina zawisły na kapitanie, czegoś od niego żądając. Chwilę później zrozumiałem, o co chodziło. Obie panie porucznik przypadły do iluminatorów z kamerami; mieliśmy okazję zobaczyć, jak zanurzają się w galarecie te chrabąszcze, które nie zdążyły wykonać swojego zadania. Nikt nas nie gonił, nasi przeciwnicy po prostu opadali na kleistą powierzchnię, a szara masa błyskawicznie je wchłaniała. Najwidoczniej galareta nie lubiła strat materiałowych.

Nie będę opowiadał, jak dostaliśmy się do obozu ani co się działo potem. Powiem tylko, że nakręcone przeze mnie ujęcia oglądano tysiące razy. Porucznicy, podporucznicy i kapitanowie podchodzili, żeby poklepać mnie po ramieniu. Ale mojej drużynie nie pozwolono na długie leniuchowanie. Byliśmy teraz największymi twardzielami w batalionie, więc uznano, że schwywanie nowego źródła zarodników nie będzie dla nas żadnym problemem.

Mikki tylko jęknął, gdy przekazałem chłopcom najnowszą wiadomość. Nawet obietnica potrójnego dodatku bojowego za tę operację nie wywołała spodziewanego entuzjazmu.

--Na cholerę mi ta forsa, jak mnie zeżrą? Albo jak mnie Kriak przez pomyłkę spali miotaczem ognia?

--No dobrze, pamiętajcie tylko, że jeśli nie powstrzymamy tych drani tutaj, oni zeżrą wszystkie planety Imperium po kolei -- powiedziałem spokojnie. -- Inni nie dadzą sobie rady. Tylko my dwa razy uciekliśmy rojowi. Trzeci raz też nam się uda.

--To co, nie będziemy niszczyć źródła? -- jęknął Makumba. -- Dlaczego?

--Naukowcy twierdzą, że najpierw trzeba je porządnie zbadać. Nie mogliśmy dojść aż do źródła, a więc trzeba schwytać amebę. Jak ją złapiemy i wsadzimy do słoika, może pozwolą zlikwidować źródło...

Inkubator, z godną podziwu regularnością, wyrzucał na brzeg przyszłe źródła -- ameby. Nasi załatwiali je na odległość, z miotaczy ognia. Nikt nie odważył się do nich podejść.

Musiałem przyznać, że nasze zadanie było naprawdę intrygujące. Ciekawe, jak dowództwo wyobrażało sobie schwywanie kuli o średnicy trzech metrów...

O dziwo, jedyne rozsądne rozwiązanie podsunęła nam Gilvy, która od czasu naszego powrotu ciągle kręciła się wokół mojej drużyny, co powodowało u moich chłopców ostre przypadki uderzenia spermy do głowy. Na szczęście bez żadnych komplikacji -- była „dziewczynka” sprawiała wrażenie chłodnej i niedostępnej, ubierała się skromnie, zresztą sam widok czarnego munduru z dystynkcjami SS na kołnierzyku i rękawie działał na żołnierzy jak

kubel zimnej wody.

--Musimy wykopać dół. Ameby idą po prostej, praktycznie nigdzie nie skręcając. Trzeba określić kierunek i zrobić na ich drodze otwór. Najlepiej użyć materiałów wybuchowych.

--Materiały wybuchowe... wykopać dołek, a potem spowodować wybuch? -- zastanawiałem się głośno. -- Co to musiałyby być za eksplozja, żeby za jednym zamachem wywaliło trzydzieści metrów sześciennych gruntu! Przecież nie wiemy, w którą stronę pójdzie uderzenie!

--Zrobiłam wstępne wyliczenia. -- Gilvy skromnie spuściła oczy, a jej palce opadły na klawiaturę. -- Patrzcie, tu macie mapę. Czerwone linie to trasy wszystkich zarejestrowanych źródeł. Co nam wychodzi?

--Róża wiatrów -- wzruszyłem ramionami. -- Nie widać żadnych wyraźnych preferencji tego czy innego kierunku.

--Zgadza się -- skinęła głową Gilvy. -- A popatrz teraz!

Kliknęła w klawiaturę i pajęczyna ciągnących się w różne strony czerwonych linii znikła. Za to zapłonęły pojedyncze promienie. Najpierw ciemnofioletowe, potem niebieskie, błękitne, zielone i tak dalej.

--To te same linie w rozbiciu na czas. Na początku ameby szły tak... potem tak... ostatnie wektory, te czerwone, ukierunkowane są tutaj.

--Wymacywały drogę...

--Jeśli zrobimy symulację... następna ameba powinna pójść tędy. -- wszystkie linie zgasły i mapę przecięła oślepiająco biała kreska. -- Granica błędu plus minus trzy metry. Pozostaje tylko wyryć doły w tym sektorze.

--To zajmie dwa dni, przy założeniu, że ściągniemy tu wszystkich -- powiedziałem. Ta Gilvy! Poczulem zawiść -- przecież to ja powinienem wpaść na ten pomysł, ja, absolwent uniwersytetu, a nie była „dziewczynka”! -- W dołach umieścimy kontenery. Potem wyciągniemy, oddamy komu trzeba i po krzyku.

Z braku lepszego pomysłu przyjęliśmy ten jako obowiązujący. I tylko jedna sprawa nie dawała mi spokoju -- dlaczego taki, bądź co bądź strategicznie ważny plan, powierza się jakiemuś tam kapralowi i pani operator, byleż żołnierskiej... hm... pocieszycielce? Dlaczego nasi armijni naukowcy zamknęli się w bunkrze i nie wyściubiają z niego nosa? Czyżby chcieli w razie niepowodzenia zwalić wszystko na nas? Nie dostaliśmy nawet pisemnego rozkazu schwytania ameby! W razie czego to my będziemy winni.

Nawet wszechobecny kapitan gdzieś się zapodział...

Przez następne trzy dni kopaliśmy doły. Przepuściliśmy nawet jedną amebę (spalili ją chłopcy z innej drużyny). Sporo wysiłku kosztowało nas wepchnięcie do rowu pustych kontenerów. Przykryliśmy wszystko gałęziami i liśćmi, przysypaliśmy ziemią. Dowolne zwierzę z łatwością ominęłoby naszą pułapkę, ale ameby były prawdziwymi amebami, czyli bezmózgimi cielskami.

Cały czwarty dzień, kiedy to według wyliczeń Gilvy, miała pojawić się „nasza” ameba, spędziliśmy w męczącym oczekiwaniu. A ponieważ nie ma nic bardziej szkodliwego dla żołnierza niż takie czekanie, należało zabić czas tradycyjnymi żołnierskimi „rozrywkami”: pompki na dłoniach, palcach i pięściach, trening walki wręcz, podnoszenie ciężarów i tak dalej. W podobny sposób dowództwo zabawiało żołnierzy od czasów legionów rzymskich.

Zajęci robieniem pompek, nawet nie zauważyliśmy ameby i sława pierwszego odkrywcy

przypadła Gilvy, która akurat nie miała żadnego zajęcia i ku mojemu oburzeniu włóczyła się po bazie... co za porządki! Niemal z przerażeniem stwierdziłem u siebie reakcję typowego sierżanta: żołnierz niezajęty pracą! Coś nieprawdopodobnego!

--Idzie! Idzie! -- krzyczała Gilvy, podskakując i wymachując rękami. Ładna dyscyplina! Czy tak należy uprzedzać towarzyszy o pojawieniu się przeciwnika?

Ameba pęzła radośnie i beztrudko. Żarła i rosła. Bo czego jeszcze potrzebuje taka ameba? Zaraz dotrze do wody i ruszy w górę rzeki, a z nią pociągnie się ogon szarego śluzu, wypełniony małymi brązowymi pęcherzykami.

Bezmyślne rozmnażanie się, rozszerzanie własnej strefy. Nikt nie ochraniał przyszłego źródła, nie towarzyszyła mu armia potworów. Ameba tępo pęzła do wykopanego przez nas dołu i bez żadnych niespodzianek po prostu do niego wpadła.

Zawyla syrena. Zamigotały lampki sygnalizacji alarmowej. Nasi naukowcy w godnym pochwały tempie powyskakiwali z bunkra i omal nie gubiąc butów, rzucili się do kontenera, w którym przelewało się szare cielsko.

Nasza praca dobiegła końca. Nie musieliśmy używać pancerzy ani miotaczy ognia. Kontener z bezcenną zdobyczą wciągnięto do bunkra. Ameba nie stawiała oporu. Nie rozumiała -- i nie mogła rozumieć -- co się z nią dzieje.

Otrzymaliśmy należną nam porcję pochwał i sugestię powrotu do swoich zajęć, czyli robienia pompek. Nie wysyłano nas już na patrole do inkubatora. Imperialna flota umieściła dokładnie nad nami satelitę, który w czasie rzeczywistym przekazywał bez przerwy sytuację w reaktorze. Chwilowo panował tam spokój, poziom śluzu w rezerwuarze podnosił się powoli i tak samo niespiesznie przez filtry w zaporze sączyła się woda. Wydawało się, że system osiągnął niejaką homeostazę.

Minęły kolejne trzy dni. Potem jeszcze cztery. Uplłynął tydzień. Naukowa część ekspedycji nie ruszała się od schwytanej ameby, a my z powodzeniem paliliśmy jej towarzyszki, które z normalną regularnością wypęzły z rezerwuaru. Nuda. Jakby zupełnie o nas zapomnieli...

Z Gilvy widywałem się rzadko. Siedziała i obliczała jakieś szalone równania. Jakie? Tego nikt nam nie meldował. Zresztą moi chłopcy zrozumieliby z nich plusy i minusy. W najlepszym razie.

No więc robiliśmy te swoje pompki, ćwicziliśmy chwyt, od czasu do czasu pełniliśmy wartę oraz oglądaliśmy dozwolone przez cenzurę wojskową wiadomości sieciowe.

Wiadomości imperialne:

Jak donoszą nasi korespondenci...

...Sytuacja na Zecie-5, planecie Ósmego Sektora, wygląda na ustabilizowaną. W ciągu ostatniej doby nie zarejestrowano ani jednego starcia z lemurami. Koloniści wyrażają przekonanie, że Imperialne Siły Zbrojne są w stanie zapewnić im absolutne bezpieczeństwo.

Kadr: żołnierze rzucają na stertę trupy lemurów. Obok pali się ognisko, w którym płoną kopie, luki i kusze lemurów.

...Niewyjaśniona pozostaje sytuacja na planecie Omega-8 również z Ósmego Sektora. Pododdziały desantowe, które wylądowały na planecie, prowadzą intensywne poszukiwania obywateli, którzy przeżyli katastrofę. Ogniska katastrofy biologicznej zostały zlokalizowane i wzięte pod kontrolę, naukowcy właśnie opracowują otrzymane informacje.

W kadrze: grupa ludzi w białych fartuchach o bardzo zafrasowanych twarzach ogląda kolbę z jakimś jaskrawoniebieskim roztworem -- moim zdaniem, rozcieńczonym atramentem.

...W stolicy Jego Wysokość wydał dziś obiad na cześć młodych literatów, malarzy i rzeźbiarzy, absolwentów Akademii Literatury, Malarstwa i Rzeźby imienia Wolframa von Eschenbacha. W swojej przemowie Jego Wysokość podkreślił, że ze względu na rozsianie ludzkości po całej galaktyce, właśnie sztuka powinna być ogniwem łączącym różne planety, często bardzo różniące się pod względem systemów społecznych, tradycji, zwyczajów czy po prostu warunków życia. „Wasza twórczość -- kontynuował Jego Wysokość -- powinna mówić o rzeczach konkretnych, a jednocześnie uniwersalnych, zrozumiałych zarówno dla żołnierza na pierwszej linii, jak i dla robotnika w fabryce czy uczonego w laboratorium. Każdy powinien zobaczyć w waszych pracach coś własnego, a my -- zakończył Jego Wysokość -- imperialny rząd, nie zostawimy bez wsparcia ludzi sztuki, z takim wysiłkiem pracujących na niwie utrzymania jedności ludzkiej rasy"...

--Widzisz, Kriak? -- szturchnął go łokciem Makumba. -- Niby nic, a kasa płynie. Będziemy wspierać, powiedział Jego Wysokość, daj mu Boże zdrowie! Można sobie siedzieć i pisać... albo mazać pędzlem... albo dłubać w kamieniu... To dopiero życie!

--No to na co czekasz? -- zareagował natychmiast Nazarian. -- Do dzieła! Będziesz przedstawicielem pierwotnej sztuki afrykańskiej.

--Nie jestem z Afryki -- obraził się Makumba. -- Tylko z Hyperiona.

--Jaaasne. A skąd się twoi przodkowie wzięli na Hyperionie?

--Chyba wiadomo, że z Ziemi!

--A na Ziemi gdzie żyli? -- zapytał złośliwie Nazarian.

Makumba zawahał się.

--Otóż to. W Afryce -- oznajmił Nazarian tonem znawcy. -- Żyli w Afryce, więc nie zwracaj głowy.

Makumba o mało nie obraził się na poważnie. Musiałem się wtrącić.

--No, co jest, Makumba? Przecież nikt nie wie, co to takiego ta sztuka afrykańska. Ci, którzy wiedzieli, zapomnieli dawno temu. Obojętne co narysujesz, będzie nowe i oryginalne. Zostaniesz odnowicielem tej sztuki. Otrzymasz stypendium Imperatora...

--Jasne, dowódcu -- zamruczał Makumba, ale chyba moje słowa sprawiły mu przyjemność.

-- A stypendium... eee... pewnie, że by nie zaszkodziło...

W taki właśnie sposób płynął nam czas. Żarciki, kawały, mało śmieszne, średnio inteligentne. Marzyłem tylko o jednym -- żeby to wszystko wreszcie się skończyło. Żebyśmy mogli wrócić do domu, na Nowy Krym. Nie chcę teraz myśleć o celach i środkach. Pragnę się wydostać z tej przeklętej planety. Na samą myśl o rezerwuarze zaczynało mnie mdlić.

Tym bardziej że nikt nie miał zamiaru nas, pionków, informować o sytuacji. Nie wiem, jakie wnioski wyciągnięto z tego, że basen, w którym znajduje się pierwotne źródło, jest wyraźnie sztucznego pochodzenia, najprawdopodobniej utworzony przez człowieka. Dlaczego nikt nie pomyślał o tym, żeby zniszczyć źródło w jaskini, wrzucając do niej bombę próżniową? Dlaczego wreszcie nikt nie robi nic z inkubatorem? -- Przecież zalewając go napalmem, wypalilibyśmy wszystko, co organiczne. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? A może naukowcy przekonali dowództwo, że jaskinia i rezerwuar to bezcenne źródła wiedzy i nie należy ich palić, lecz przeciwnie, ochraniać?...

Był wieczór. Moja drużyna miała tego dnia ochraniać teren wokół bazy. W mojej uprzywilejowanej sytuacji dowódcy mogłem sobie przynieść do malutkiej wartowni twardą pryczę. Całą noc miałem obchodzić posterunki, sprawdzać czujność żołnierzy i zajmować się innymi sprawami, szczególnie opisanymi w regulaminie służby wartowniczej. Mieliśmy przed sobą mało przyjemne dwadzieścia cztery godziny w pancerzu włączonym na tryb absolutnej ochrony (teraz nikt już nie zapominał o tym, wychodząc na zewnątrz), z ciężkim tornistrem na plecach i butlą gaśnicy chemicznej u pasa.

Przed wyjściem zrobiłem zbiórkę drużyny. Jak zawsze, trzeba było kogoś ochrzanić (tym razem byli to Kriak i Fatih) za pancerz, którego nie nastawili na absolutną ochronę. Chłopcy zajęli swoje posterunki, a ja wróciłem do wartowni, do zdublowanego pulpitu systemów ochronnych. Na dobrą sprawę, przekroczenie obwodu nie jest takie proste, w końcu to nie pas kontrolny. Ale mimo wszystko stare, dobre wartownie z daszkami są nieśmiertelne. Pewnie tak samo jak biegi treningowe -- od czasów legionów Juliusza Cezara.

Na pierwszy obchód wyszedłem po zapadnięciu zmierzchu. Zaledwie pięć posterunków, cztery po rogach i jeden wysunięty do przodu, w pobliżu inkubatora. Pięć „dwójek”. Jeden pełni wartę, drugi odpoczywa. Potem zmiana.

Nie zdążyłem przejść nawet dwudziestu metrów w stronę posterunku przy inkubatorze, gdy za moimi plecami rozległ się cichy trzask i poczułem pchnięcie w plecy. Zrobiłem przewrót w przód -- na mojej lewej łopatce coś syczało i trzepotało.

Zareagowałem automatycznie. Upadłem, starając się jak najmocniej uderzyć lewą łopatką o ziemię, a prawa ręka już wyciągała nóż. Przyciśnięty napastnik zatrzepotał, skrobiąc pazurami pancerz. Pchnąłem nożem. Coś zapiszczało, usłyszałem mokre chlupnięcie i spode mnie wyskoczyło stworzenie wielkości nietoperza, niezgrabnie ciągnąc za sobą niemal zupełnie odcięte błoniaste skrzydło.

Nie marnowałem na okaleczonego stwora mieszanki zapalającej, po prostu go zdeptałem. Ale dopiero wtedy, gdy podniosłem alarm. Jak się okazało, w samą porę.

W tym samym momencie noc zaszeleściła setkami miękkich skrzydeł. Nad martwym lasem, nad zwęglonymi pniami powoli, niczym w strasznym śnie, unosił się rój. Niewielkie latające istoty, od chrząszcza do nietoperza. Mogły ich być tysiące. Gwiazdy zniknęły, zasłonięte czarnym skrzydłem nadlatującej chmary. Pobiegnę z powrotem.

Już wyły syreny, już krzyżowały się promienie reflektorów, już biegła druga zmiana... Nie rozumieli, co się dzieje, a ja nie zdążyłem wyjaśnić, że takiej potęgi nie pokonają żadne miotacze ognia. Jedyne wyjście była ucieczka. Należało rzucić się do helikopterów -- stały tuż obok, na ogrodzonym placu -- wystartować i polecieć. Dokądkolwiek. Na azymut. Dopóki starczy paliwa w bakach. A potem wylądować i wezwać pomoc...

Karabin maszynowy zaterkotał obląkańczo. Na próżno. Kule nie powstrzymają roju. Ale chyba ci w bunkrze już zrozumieli, co należy zrobić.

Zerwałem się i pochylony pobiegłem z powrotem do wartowni, przez radio wzywając wszystkich swoich chłopców. Nie było już czasu na bohaterstwo, musieliśmy jak najszybciej schować się pod ziemią, skoro nie mogliśmy wylecieć...

Ktoś otworzył ogień z miotaczy. Wiązki płomieni pochwyły wysunięty do przodu odcinek roju i zapaliły go. Na ziemię posypał się deszcz zwęglonych trupków. Ale rój już zakrywał nas niczym parasol, a po ziemi zaczynał sunąć żywy kobierzec...

--Na dół! -- wrzasnąłem do plutonu. -- Na dół!

Dopóki nie przylecą samoloty, tych kilkudziesięciu żołnierzy nie miało tu nic do roboty.

Chłopaki ostrzeliwali się z miotaczy ognia, powoli wycofując w stronę pancernych drzwi bunkra. Z rozbiegu wpadłem w ich szeregi, a w tym momencie wokół bazy zaczęły wybuchać miny. Zaminowaliśmy spory kawał terenu, właśnie na wypadek ataku naziemnego, ale teraz stało się jasne, że tego ataku żadne miny nie powstrzymają.

Staliśmy bardzo blisko siebie. Gardziele miotaczy wypluwały kolejne porcje płomieni. Wokół nas płonęła ziemia, na ziemi płonęli się napastnicy... i wtedy za moimi plecami rozległ się dziki wrzask:

--Zamknęli drzwi! Zamknęli się od środka, skurwiele!

Przyznaję, że poczułem chłód w piersiach. Wszystkiego się spodziewałem, ale nie czegoś takiego...

Ktoś rozpaczliwie kopał w drzwi, ktoś rzucił pomysł, żeby je wysadzić, ale nikt nie miał granatów. Od dawna nie nosiliśmy mannlicherów, tutaj nie było dla nich odpowiedniego celu.

Huk wybuchów z pola minowego nagle się skończył. Strumień, który wyrwał się z reaktora, zmiotł przeszkody za naszymi plecami i teraz płynął prosto na nas.

Niektórym chłopcom puściły nerwy. Trzech albo czterech komandosów rzuciło się do ucieczki. Może liczyli, że biegnąc na oślep przedrą się przez bezkresny rój, może wierzyli w swoje miotacze ognia, a może po prostu stracili zimną krew... Zobaczyliśmy kilka ognistych wybuchów, a potem ogień zgasł, stłamszony masą mokrych ciał. W komunikatorach rozległy się niemal zwierzęce ryki bólu i przerażenia. Nie trwały długo. Przed rojem nie mógł obronić nawet zablokowany „na glucho” pancierz.

Makumba zawył jak wilk. Wszyscy zrozumieliśmy to jednocześnie: nadeszła pora, by umrzeć.

--Chłopcy! Biegniemy do helikopterów! -- zdecydowałem nagle.

Przecież nieraz pilotowałem helikopter... Oczywiście, nie ciężki transportowy, tylko naszą ważkę, ale zawsze.

Rój nasuwał się niespiesznie, jakby rozkoszując się chwilą triumfu nad żalosalną grupką dwunogów.

Tych czterdziestu żołnierzy, którzy jeszcze żyli, rzuciło się zwartą grupą do lądowiska helikopterów. Biegliśmy, strzelając z miotaczy we wszystkie strony i oczyszczając sobie w ten sposób drogę. Musieliśmy biec przez napalm, a to, możecie mi wierzyć, mało przyjemne zajęcie. Czasem sami gasiliśmy ogień -- na szczęście wartownicy mieli ze sobą gaśnice chemiczne.

Rój zaatakował z góry, z boku -- ze wszystkich stron. Ruchliwa zasłona pokryła pancerne drzwi bunkra; grube, wielonogie żmije czy raczej gaśienice, rozbiegły się po dachu schronu.

Płomień i ciemność. Czarny język, stworzony z tysięcy skrzydlatych istot, atakuje z nieba. Strumień płomienia ucina językowi bok, ale pozostała część niczym czarna pończocha chwytła jednego z komandosów, który od razu upadł. Któryś z biegnących za nim żołnierzy polewa nieszczęśnika strumieniem ognia ktoś inny próbuje gasić i przez tę chwilę zwłoki sam staje się zdobyczą roju.

Wijący się na ziemi ludzie, oblepieni żywą, poruszającą się masą. Niektórych zdążamy uratować, inni pozostają na ziemi. Oddział nie może się zatrzymać.

Mikki wrzasnął coś niezrozumiałego -- lewą połowę jego kombinezonu pokryła czarna

ruchliwa zasłona. Odwracam się, naciskam spust i płomień niszczy plugastwo. Fatih gasi płomień, Mikki chwieje się, ale biegnie. Jakieś stworzenie z rozmachu rozbija się o osłonę mojego helmu, płyną żółtozielone strugi, omal się nie przewracam. Ale helikoptery są już na wyciągnięcie ręki. Z naszego oddziału została już tylko połowa, ciągle padają nowi ludzie, giną ci, którzy próbowali im pomóc. Ich ciała błyskawicznie znikają pod czarną masą, a ja wiem, że nie zdołam pomóc moim towarzyszom.

To chyba był pierwszy raz, gdy pomyślałem o chłopakach *Feldgrau* jak o towarzyszach. Nie jak o ludziach, których muszę oszukiwać, których muszę naśladować, spośród których nie mogę się wyróżnić, żeby ocaleć i przeżyć...

Moja drużyna miała nieprawdopodobne szczęście. Pod napalm trafiło tylko trzech, teraz ciągnęliśmy ich do helikoptera. Nigdy jeszcze nie porywałem helikoptera. U nas, na Nowym Krymie, maszyny miały kluczyki jak samochody. Helikoptery bojowe są oczywiście inne, ale i tak musiało tu być jakieś zabezpieczenie przed niedozwolonym startem.

Ku mojemu zaskoczeniu helikoptery stały otwarte (co za karygodne naruszenie regulaminu!), nawet nie zablokowano rozruszników.

Nigdy w życiu... znowu to mówię, ale naprawdę nigdy w życiu nie wykonywałem wszystkich niezbędnych do uruchomienia maszyny czynności w tak zawrotnym tempie. Ręce same biegły po klawiszach i przełącznikach. Ożyły turbiny, zakręciły się wirniki, a rój już tu był, już oblepiał helikopter. Dzielni komandosi odwracali się, zdejmowali helmy i rzygali prosto na podłogę.

Zamruczały silniki, zawirowały łopaty, szatkując nadlatujące stwory. Przeciążony helikopter (ile kilogramów tej żywej koldry wisiało na nim teraz?) z trudem oderwał się od ziemi. Podnosiłem go coraz wyżej, bo nieznaną strachu przed śmiercią stwory z uporem pchały się do osłon wlotów powietrza. Maszyna się trzęsła, turbiny wyły, nie lecieliśmy, lecz pchaliśmy się przez powietrze. Rój został z tyłu. Z całym szacunkiem dla jego twórców, skrzydła owadów nie były w stanie rozwinąć prędkości dwustu kilometrów na godzinę.

Ale małe i duże stworzenia wepchnęły się jednak do środka i silniki zaczynały się dławić. Nie nabieraliśmy już wysokości, nawet jej nie utrzymywaliśmy. Spadaliśmy.

Z tyłu zaczął krzyczeć Mikki. Nawet jego ruszyło. Nagle dotarło do mnie, że pozostali przez cały czas wrzeszczeli jak opętani, a dopiero głos flegmatycznego Fina zagłuszył wszystko jak syrena okrętowa zagłusza klaksony samochodów małowitrazowych.

Mimo wszystko udało nam się odlecieć na sporą odległość i normalnie wylądować -- jeśli wierzyć zegarowi, utrzymywaliśmy się w powietrzu przez całe pół godziny. A potem ciężko spadliśmy wśród stepu, na terra incognita.

Dłuższą chwilę zajęło nam usunięcie z helikoptera „gapowiczów”. Napalm płonął jasno, rozświetlając ciemności nocy. Musieliśmy działać bardzo ostrożnie -- spalenie helikoptera nie byłoby nam na rękę.

Kiedy wreszcie było już po wszystkim i mogliśmy się spokojnie rozejrzeć, okazało się, że uratowało się dziewiętnastu ludzi, z czego dziewięciu z mojej drużyny. Nie było Fatiha. Znikł bez śladu, ale kiedy i jak się to stało, nikt nie potrafił powiedzieć. Każdy z uratowanych żołnierzy miał broń, ale tylko tyle amunicji, ile przy sobie. W helikopterze były dwa stanowiska cekaemów i zapas pocisków -- nic więcej.

Jedyne, co mogliśmy w tej sytuacji zrobić, to włączyć sygnał SOS i czekać, aż po nas

przylecą. Wtedy będziemy mogli policzyć się z tymi, którzy zamknęli drzwi bunkra.

Trudno powiedzieć, ile potworów zniszczyliśmy. Niektóre po prostu znikły w ciemnościach, nagle przestając się nami interesować. Pozostał tylko okopcony, przekrzywiony helikopter, który nam się raczej nie przyda, i my -- dwudziestu ubrudzonych sadzą ludzi. Ponad połowa miała nadpalony pancierz. I wszyscy byli młodszy stopniem ode mnie -- byłem jedynym starszym kapralem, w dodatku z Krzyżem Żelaznym.

Sprawnie zaprowadziłem porządek i dyscyplinę -- w końcu nie byli to rekruci -- i spróbowałem rozeznaczyć się w sytuacji. Na orbicie Omegi-8 wisiały satelity nawigacyjne, dzięki którym dowiedzieliśmy się, że od bazy dzieli nas około stu kilometrów. Do najbliższego osiedla -- byłego osiedla, obecnie wymarłego -- było jakieś sześćset.

Radiostacja w helikopterze ocalała, ale niewiele nam to dawało. Przy jej użyciu nie zdołaliśmy nawiązać łączności ze sztabem głównym w Neue Bismarcku, a nie widziałem sensu, by rozmawiać z tymi, którzy skazali nas na śmierć, zamykając drzwi bunkra.

Chłopcy milczeli ponuro. Czulem, że każdy bez wahania zastrzeliby tamtych tchórzów z bunkra, nawet mając świadomość, że czeka go za to kara śmierci.

Nie mieliśmy z kim nawiązać łączności, więc tylko wysyłaliśmy w eter zwykły sygnał SOS, wiedząc, że zostanie odebrany przez satelity i przekazany do sztabu. Potem po prostu będziemy czekać na pomoc.

Starłem się to wytłumaczyć pozostałym w możliwie przystępny sposób. W końcu zgodnie regulaminem powinienem „utrzymać w stanie gotowości bojowej dowolny pododdział Sił Zbrojnych, który znalazł się pod moim dowództwem”.

Wybraliśmy miejsce i korzystając z tego, co znaleźliśmy w helikopterze oraz z rzeczy, które mieliśmy przy sobie w momencie ucieczki, zorganizowaliśmy obozowisko. Z kabiny dobiegał uspokajający pisk, potwierdzający, że wszystko w porządku, sygnał jest emitowany i pomoc na pewno nadejdzie.

Wystawiliśmy warty. Liczyłem się z tym, że oczekiwanie na grupę ratowniczą może się przeciągnąć, więc postanowiłem, że z nadejściem świtu trzeba będzie zająć się poszukiwaniem źródła, może nawet wykopać coś w rodzaju studni. Mieliśmy koncentraty żywnościowe, ale ani kropli wody.

Minęła noc. W świetle wstającego dnia mogliśmy wreszcie obejrzeć okolicę. Na pofałdowanym stepie mieliśmy doskonałą widoczność na jakieś dziesięć kilometrów -- z wierzchołka rosnącego na szczycie wzgórza samotnego drzewa (nazwałem je dębem ze względu na liście). Choć usilnie wypatrywaliśmy przez lornetkę, nigdzie, ani w pobliżu, ani gdzieś dalej, nie zobaczyliśmy niczego podobnego do rzeki czy strumieni. Zresztą od początku zbyt na to nie liczyliśmy -- skąd miałyby się wziąć woda w nagim stepie? Pozostawało nam tylko jedno: kopać doły.

Po długich poszukiwaniach znaleźliśmy miejsce w niskiej kotlinie, gdzie trawa była bardziej zielona, wyższa i gęstsza niż gdzie indziej. Mięiste liście na soczystych źdźbłach wskazywały na bliskość żyły wodnej.

Szpadle wgryzły się w grunt. Słońce zdążyło już wznieść się dość wysoko i wszyscy usychaliśmy z pragnienia. Kilku żołnierzy rozpięło pancierz -- teraz nie musieliśmy obawiać się roju.

Wkrótce na dnie dołu rzeczywiście błysnęła warstewka wody. Dół wyciskał ją powoli, była

mętna i musieliśmy pić ją przez filtry, ale jednak była to najprawdziwsza woda...

Cisza. Spokój. Beztroska. Bezkrzesne trawiaste stepy, po których jeszcze nie stąpała ludzka stopa, ciągnące się aż po horyzont. Ten rejon Omegi-8 był praktycznie niezamieszkały. Z trudem udawało mi się utrzymać porządek. Po tych wszystkich przeżyciach chłopcy wpadli w prostrację. Mogłem liczyć jedynie na Güntera, Mikkiego i Glinkę.

Przez cały dzień był spokój, aż do zmierzchu. Drewna na ognisko nie znaleźliśmy, musieliśmy więc poświęcić kilka chemicznych pochodni. Zagotowaliśmy wodę, wrzuciliśmy koncentraty. Wspaniale.

Zrobiłem obchód posterunków -- jak tamtej nocy, gdy rój spadł na bazę. Odsunęliśmy obóz od spalonej ziemi w pobliżu helikoptera, zostawiając przy radiostacji dyżurnego. Jeden tkwił na wierzchołku dębu, trzech trzymało wartę wokół obozu. Ale nie przemęczali się specjalnie. Kto miałby nas zaatakować na środku tej pustyni?

I w tym momencie dwa bezgłośnie cienie błyskawicznie wyskoczyły z mroku. Czarne sylwetki były ledwie widoczne na ciemnym tle, ale widziałem, że nie miały skrzydeł, szczęk ani żądeł, lecz zwykłe ręce i nogi. Obok mojej głowy świsnęła pałka, odruchowo zrobiłem unik. Drugi cios trafił mnie w plecy. Zrobiłem przewrót przez ramię, wciskając guzik awaryjnego połączenia:

--Alarm! Alarm! Alarm!

Napastnicy nie byli tchórzami ani słabeuszami. Umieeli walczyć. Zarobiłem jeszcze jeden cios i chociaż pancierz wziął go na siebie, nie udało mi się zerwać na nogi. Moi przeciwnicy byli ostrymi zawodnikami.

O dziwo, nie czulem strachu, raczej zdziwienie -- tak reagowałaby ekspedycja, która by po zdobyciu bieguna północnego dostrzegła dym płynący z komina chatki Świętego Mikołaja. Pusta planeta i nagle siły specjalne. A może przysłano nam ich zamiast pomocy?

Na szczęście zdążyłem zaalarmować oddział. Na niebie zapłonęła oślepiająca rakietą, zaterkotał zabrany z helikoptera karabin maszynowy. Leżąc na ziemi, zdążyłem wymacać wylot miotacza ognia i ku skaczącym na mnie cieniom pomknęła ognista kula. Chyba chcieli wziąć mnie żywcem.

Przygarbiony pobiegłem do swoich. Wystarczył jeden rzut oka, żeby zrozumieć, że już po nas. Na jeden nasz cekaem odpowiadało dziesięć. Na zboczu wzgórza wybuchł pierwszy pocisk z moździerza. Nie będą się z nami cackać, po prostu nas rozwalą, nie dopuszczając do walki wręcz.

Mogliśmy zrobić tylko jedno -- spróbować się przedrzeć. Przeciwnik nie będzie bezpośrednio atakował. Jedyne wyjście to zaatakować samemu.

--Dowódco! -- powitały mnie okrzyki. -- Dowódco! Co to za jedni? Co się dzieje?

--Klin, szybko! -- wrzasnąłem zamiast odpowiedzi. -- Za mną!

Bez względu na to, kim byli napastnicy, na pewno byli wrogami. Najpierw będziemy strzelać, a potem zorientujemy się, do kogo. W każdym razie tamci nie mieli zamiaru z nami rozmawiać. Otworzyli ogień z moździerzy, a my nie mieliśmy nawet jednego małego okopu...

Zaczęliśmy się przedzierać, czym chyba popsuliśmy przeciwnikowi szyki. W każdym razie wezwanie przez niewidoczny głośnik, żebyśmy się poddali (wygłoszone w ogólnieimperialnym z silnym obcym akcentem) utonęło w hałasie i zamęcie.

Czy nasi przeciwnicy nie mieli noktowizorów, czy też z innego powodu, w każdym razie

karabiny waliły pociskami smugowymi gdzie popadło, w dodatku niezbyt celnie. Gdy przed nami zamajaczyły pierwsze ciemne sylwetki, Mikki użył miotacza ognia. Rakieta zgasła i wszyscy przełączyliśmy się na podczerwień, a gdy doszło do walki wręcz, w ruch poszło wszystko, nawet noże. Ku mojemu zdumieniu, pierwszą osłonę przerwaliśmy bez większego trudu. Padliśmy na trawę i teraz czołgaliśmy się rozplaszczeni, nie podnosząc głów. Uczono nas kiedyś taktyki przerywania okrążenia, ale teraz nie w głowie nam były schematy i wykresy. Nie mogliśmy stworzyć ani grupy uderzeniowej, ani grupy pozorującej, ani grupy osłonowej. Nie mogliśmy też skupić ognia ani „uzyskać przewagi na odcinku przerywania okrążenia”. Po prostu rzuciliśmy się do przodu całą grupą. Może ci dwaj zawodowcy, którzy omal mnie nie załatwili, byli tu jedynymi prawdziwymi żołnierzami, oczywiście oprócz nas?

Niestety. Na niebie zapłonęły jednocześnie trzy rakiety oświetlające, zaterkotały wirniki nadlatujących helikopterów -- co najmniej dwa klucze. Znowu rakiety. I jeszcze raz. Zrobiło się prawie całkiem jasno i zrozumieliśmy, że nie uciekniemy. Już zauważyli nas z góry. Nie było tu lasu, w którym można by się ukryć, nie było nic prócz niskiej trawy. Gdy znowu huknął moździerz, zrozumiałem, tej walki nie wygramy. Powoli wstałem, nie podnosząc jednak rąk.

--Dowódco, co ty?! Dowódco!

--Milczeć -- syknąłem. -- Kto chce umierać, proszę bardzo. Czasem lepiej zapomnieć o... -- chciałem powiedzieć „o honorze”, ale ugryzłem się w język. Chyba chłopcy rzeczywiście się szykowali, by „polec za Imperium i ukochanego monarchę”. Ale moje plany nie obejmowały tak zaszczytnej śmierci. A już na pewno nie zamierzałem ginąć z rąk tych, dla których Imperium było wrogiem.

--Kapral Ruslan Fatiejew, trzecia dywizja desantowa! -- krzyknąłem głośno. -- Kim jesteście i czego od nas chcecie?

Może to faktycznie kiepska mowa, Ryszard III czy Juliusz Cezar przemówiliby bardziej kwieciste, a jednak moje słowa odniosły zamierzony skutek. W każdym razie wrogowie przestali strzelać z moździerzy.

Spodziewałem się, że usłyszę coś w rodzaju „rzuć broń, ty imperialna gnido”. Nie wątpiłem, że znowu zetknęliśmy się z powstańcami. Co za idioci, swoją drogą. Przecież rój nie rozróżnia mundurów.

Jednak, ku mojemu zdumieniu, odpowiedziano mi ostro, dumnie i wyzywająco:

--Dowódca 6. Brygady Międzynarodowej Guadalajary Bandera Rossa, Dariana Dark!

A więc weterani wzięli się do roboty! Cóż, nie byłem zaskoczony.

--Co masz mi do powiedzenia, kapralu Ruslanie Fatiejew?

Jak oni lubili pompatyczne słowa i patetyczne hasła! Głos słynnej terrorystki brzmiał tak, jakby grała na scenie antycznego amfiteatru w *Prometeuszu skowanym*...

--Jeśli nie przerwiecie ognia, straciecie wielu ludzi -- powiedziałem. -- Nie mamy zamiaru się poddać. Rozejdźmy się w pokój.

--Nie -- padła dumna odpowiedź. -- Przyjmiemy tylko bezwarunkową kapitulację.

Nietrudno prowadzić pertraktacje, gdy ma się za plecami baterię moździerzy, a przeciwnik jedynie miotacze ognia i prawie puste kanistry z napalmem.

--To twoje ostatnie słowo? -- zapytałem spokojnie. -- Chcesz posłać na bezsensowną śmierć jeszcze więcej ludzi, którzy ci wierzą?

--Z radością oddadzą życie za sprawę wolności! -- usłyszałem płomienną odpowiedź.

Cholerni fanatycy. Po co jesteśmy im potrzebni? Dlaczego takie znaczenie ma dla nich likwidacja grupki źle uzbrojonych, oderwanych od głównych sił żołnierzy? Dlaczego brygady w ogóle wpakowały się w tę historię?

--W takim razie walcie śmiało -- powiedziałem, padając na trawę. W samą porę; chyba przez cały ten czas trzymali mnie na muszce. Nad moją głową zaświstały kule.

Czołgaliśmy się. Pociski moździerzowe wybuchaly tuż obok, powietrze cięły serie z cekaemów, brygadam wyraźnie nie brakowało amunicji. Zahuczały wirniki helikopterów.

I znowu starcie -- walka wręcz -- strzały z moździerzy. Przed nami wyskakiwali z trawy młodzi chłopcy i dziewczęta, oszaleli ze strachu, kompletnie niewyszkoleni. Zwykle mięso armatnie. W pancerz na piersi znowu uderzyła kula; poczułem to niczym uderzenie biczem.

Zabijaliśmy szybko i bezlitośnie. Nie szczędziłem mieszanki zapalającej. Żywe pochodnie z wyciem rzucały się w różne strony i wkrótce milkły.

Może nawet przerwalibyśmy to okrążenie, gdyby nie helikoptery, które zawisły tuż nad naszymi głowami. Padł nasz jedyny cekaemista -- żaden pancerz nie wytrzyma uderzenia pocisku 14,5 mm z uranowym rdzeniem.

--Dobra, poddajemy się -- wykrztusiłem w końcu.

Psiakrew. Po trzykroć, po stokroć psiakrew. Ja naprawdę nie mogę zginąć! Zresztą kto wie, może potem uznano by to za sprytną wymówkę?

Nie rzuciliśmy broni. Szczerze mówiąc, niewielu chłopców w ogóle jeszcze jakąś miało. Niemal wszystkie miotacze ognia miały puste zbiorniki.

--Dowódco... -- w głosie Güntera usłyszałem wyrzut. Jako zdyscyplinowany żołnierz posłusznie wykonał rozkaz starszego stopniem, ale wiedziałem, że wolałby śmierć niż niewolę. Szkoda wobec tego, że nie poderżnął sobie gardła...

Ustawili nas w tyralierę, związali ręce za plecami i popędzili do lądującego właśnie, potężnego helikoptera Grizzli.

Ciekawe... przecież z satelity wszystko powinno być widoczne. Baza, inkubator... powinni to zarejestrować. W sztabie już pewnie ogłosili alarm.

Kazali nam położyć się na podłodze. Do helikoptera wcisnęli się jeszcze strażnicy. Gdybym tylko nie miał związanych rąk... Można by spróbować. Ale dokąd oni nas wiozą? Po co? Rozstrzelać mogli na miejscu. Chcą się czegoś dowiedzieć o inkubatorze?

Tak czy inaczej, ja muszę przeżyć -- nie mam innego wyjścia. Muszę przestać myśleć o celach i środkach. To już mam rozpracowane od dawna. Od dnia, w którym zdecydowałem się wstąpić na służbę Imperium.

Lot nie trwał długo. Helikopter wylądował na podgórzu, w miejscu, z którego w takim trudzie i z takimi stratami wyrwali się niedawno. I co, nikt nie zauważył tych rebeliantów z orbity? A może mają „kreta” w sztabie? W końcu nie ma rzeczy niemożliwych...

Wyrzucili nas z helikoptera. Ciemność zgęstniała jeszcze bardziej. Nieopodal helikoptera transportowego lądowały bojowe, na spotkanie z nami pospieszyli uzbrojeni po zęby powstańcy. Żaden z nich nie miał pancerza, jedynie brezentowe kurtki i czerwone opaski na czole. Za to mannlichery w rękach okazały się nowoczesne i dobrze utrzymane, jakby właśnie wyszły z fabryki. Nie wyglądały mi na zdobyczne.

--Uwaga, jeńcy! -- przemówiła do nas sama Dariana Dark.

Wiele razy widziałem jej twarz na zdjęciach -- nie zapominajmy,

że brygady uważano za organizację legalną i że uczestniczyły one w podpisaniu umowy obywatelskiej, formalnie kończącej wojnę partyzancką na wielu planetach nie tak dawno przyłączonych do Imperium. Darianie można było dać jakieś czterdzieści pięć lat -- nic dziwnego, skoro walczyła z Imperium już jako studentka, i to ze sporym powodzeniem. Dlaczego bezpieka miałaby znieść istnienie legalnej organizacji paramilitarnej? Co ja gadam, ładna mi paramilitarna...

Drobna szczupła kobieta o dziewczęcej figurze bardzo przypominała moją mamę. Miała krótko ostrzyżone włosy, na głowie czarny beret, wyraźnie na wzór Che Guevary, ubrana była w taką samą kurtkę jak pozostali bojownicy. Darianę otaczała ochrona -- osiłki o wyglądzie zbirów, bez śladu uczciwości na twarzach. Tacy jak oni zajmowali się na Nowym Krymie rozbojem w dokach, dopóki Imperium nie zaprowadziło porządku.

--Uwaga, jeńcy -- powtórzyła z wysiłkiem pani dowódca 6. Międzynarodowej Brygady. -- Nie jesteście barbarzyńcami zabijającymi żołnierzy, którzy złożyli broń, wbrew temu, co próbuje wmówić wam wasze dowództwo. Przestrzegamy konwencji genewskiej i haskiej o humanitarnym traktowaniu jeńców wojennych. Gwarantujemy wam wyżywienie i bezpieczeństwo. Nie będziemy stosować tortur, wszystkim potrzebującym udzielimy pomocy medycznej. Po zakończeniu działań wojennych i podpisaniu traktatu pokojowego wszyscy jeńcy zostaną natychmiast wypuszczeni i umożliwi się im przelot na wybraną planetę. W zamian za to, zgodnie ze wszystkimi konwencjami, powinniście podać swoje nazwisko, stopień, stanowisko oraz zadanie. Ci, którzy odmówią udzielenia tych informacji, tym samym postawią się poza ochroną wspomnianych konwencji.

No proszę! Brawo Dariana! Zakończenie działań wojennych i podpisanie traktatu pokojowego! Ha! Prędeż nam kaktus na rękę wyrośnie. Co stanie się z nami, gdy znajdziemy się „poza ochroną konwencji”, mogłem się tylko domyślać. Zresztą, o ile mi wiadomo, Imperium nigdy nie uznało rebeliantów za stronę walczącą. I nigdy nie przestrzegało postanowień konwencji o jeńcach -- po prostu likwidowało ich albo sprzedawało Obcym. Pewnie do laboratoriów.

--Ja, Dariana Dark -- wymówiła swoje nazwisko z francuskim akcentem, co zabrzmiało jak d'Arc, oczywiście nie przez przypadek -- z swej strony gwarantuję wam wszystko, o czym wspomniałam. Musicie tylko dać mi słowo honoru, że nie będziecie próbowali uciekać ani dokonywać aktów przemocy. W przeciwnym razie będziemy zmuszeni was zlikwidować. Konwój! Odprowadzić jeńców do wyznaczonego pomieszczenia. Kaprala Fatiejewa do mnie.

Aha. Dostałem szturchańca kolbą w bok. Miałem na sobie pancerz, w razie czego kula mannlicera powinna ześliznąć się po wygięciu płytek, ale wolałem nie ryzykować.

--Dowódco, trzymaj się! -- krzyknął do mnie Makumba, gdy ich odprowadzali. Pozostali od razu podchwycili: „Trzymaj się, dowódco, trzymaj się, kapralu!”

--Widzę, że cieszy się pan autorytetem wśród swoich podwładnych -- powiedział ktoś po rosyjsku. Obok Dariany stał niewysoki, grubawy mężczyzna, mniej więcej sześćdziesięcioletni. Ta okrągła twarz, nieduże, głęboko osadzone oczy wydały mi się niejasno znajome. Gdzieś go już widziałem... tylko gdzie? -- W domu pańskiego szanownego ojca, oczywiście -- mężczyzna chyba uważał się za niezłego fizjonomistę. -- Niegdyś się przyjaźniliśmy. Ja również jestem z Nowego Krymu. To znaczy, byłem.

--Może jednak porozmawiamy w środku? -- spytała lodowatym tonem Dariana. -- Manuel,

rozwiąż kaprala. Myślę, że nie będzie robił głupstw. Mam rację, kapralu?

Wzruszyłem ramionami, nie zniżając się do odpowiedzi. Rozwiązano mi ręce.

--Dobra, kapralu. Naprzód marsz, w środku pogadamy.

Leśna baza brygady robiła spore wrażenie. Oczywiście w nocnych ciemnościach niewiele mogłem zobaczyć, ale wystarczyło mi tego, co pokazywał kanał podczerwieni. Jakim cudem nie zauważono tego kompleksu z orbity? Jak można było go przegapić? Co prawda byli znakomicie zamaskowani. Ze zdumieniem zauważyłem symulatory działalności przyrody, ściśle tajne urządzenie, o którym poinformowano nas całkiem niedawno, gdy po raz pierwszy znaleźliśmy się w nowosybirskiej bazie Tannenberga. Dostrzegłem również kilka innych nowinek, których przeznaczeniem było oszukiwanie satelitów.

--A co, kapralu, myślałeś, że my to od macochy? -- Dariana mówiła po rosyjsku całkiem nieźle. Prawie nie czuło się akcentu.

Nie odpowiedziałem.

Baza, jak zdążyłem się zorientować, była złożonym kompleksem ukrytych pod zalesionymi wzgórzami budowli. Opancerzone kopuły, kaponiery, działa, pola minowe... nie sposób wyliczyć wszystkich niespodzianek.

Stanęliśmy przed drzwiami, wyglądającymi jak niewinne, pokryte trawą zbocze, przed którymi stały, niwecząc efekt maskowania, draby z osobistej ochrony pani Dark. Weszliśmy do środka i znalazłem się w urządzonym po spartańsku bunkrze sztabu. Ascetyzm wyposażenia przynosił zaszczyt jego właścicielowi. Kilka komputerów, mapa projekcyjna na ścianie, standardowe wojskowe krzesła i stoły. Skromnie, ale nie prymitywnie. Najlepszy dowód, że powstańcy nie mieli problemów z zaopatrzeniem.

Do bunkra, oprócz mnie i Dariany, wszedł również starszawy mężczyzna, którego ciągle nie mogłem rozpoznać. Tylu ludzi przewijało się przez dom mojego ojca...

--Siadaj, kapralu -- poleciała Dariana. Spokojnie odwróciła się do mnie plecami, szukając czegoś w szufladzie biurka. -- Jak wy to mówicie, nie przyszedłeś prosić na wesele. Zaraz przyniosą herbatę. Doceniam wasze narodowe zwyczaje, więc woda będzie z prawdziwego samowara.

--Z samowara na ogół piło się podgrzaną wódkę -- powiedziałem z absolutną powagą. -- Gotowano ją, żeby usunąć zbędne fuzle.

--Gadaj zdrów -- roześmiał się mężczyzna. -- Widzę, że nadal sobie mnie nie przypominasz. Jegor Fiodorowicz Kriwoszejew, były przewodniczący komitetu Dumy Nowego Krymu. Nie pamiętasz?

--Nie -- przyznałem się.

--To nic, poznamy się na nowo. Pozwolisz, że przez wzgląd na damę będziemy rozmawiać w imperialnym. Pani Dark zna wprawdzie rosyjski, ale... Siadaj, siadaj, nie stój tak. Nie podziękowaliśmy ci jeszcze za Sylwanię.

Bez słowa usiadłem przy pustym stole. Matowy plastik wyglądał jakoś martwo i nagle wyobraziłem sobie, jak na tym stole ćwiartują mnie na kawalki. Powoli, metodycznie, bez narkozy. Nie wiem, skąd wzięła się ta straszna wizja, ale potrzebowiałem kilku sekund, żeby ochłonąć.

--Właśnie, dziękujemy za Sylwanię. Gdybyś nie wypuścił wtedy jeńców, trafiliby do laboratoriów Obcych. Tylko dlaczego strzelałeś do pozostałych? Nie rozumiem. Trzeba było

uciec razem z nimi. Wyciągnęliśmy z Sylwanii prawie wszystkich, z wyjątkiem tych, którzy mieli wyjątkowego pecha.

--Nie wiem, o czym pani mówi -- powiedziałem spokojnie. -- Nie mam nic wspólnego z uwalnianiem jeńców. Owszem, brałem udział w pościgu i faktycznie strzelałem. W nogi.

Dariana i Kriwoszejew popatrzyli na siebie. Odniosłem wrażenie, że są zaskoczeni.

--Czegoś tu nie rozumiem... Ruslan -- wymówienie mojego imienia przyszło dowódcy 6. Międzynarodowej z pewnym trudem. -- Znałam niegdyś twojego ojca... wiele lat temu. Otrzymałam absolutnie pewne informacje, że to właśnie ty uwolniłeś jeńców. Czemu twierdzisz, że nie masz z tym nic wspólnego?

Ciekawe, skąd mieli te „absolutnie pewne informacje”? -- przemknęła mi przez głowę myśl. Byłem wtedy bez pancerza, pokryty maskującą maścią, twarz miałem zasłoniętą. Nikt z jeńców nie mógłby mnie rozpoznać. Czy ona mnie podpuszcza? Ale po co?

--Nie wiem, o czym pani mówi, madame. Jedyne, co mogę pani powiedzieć, to że nazywam się Ruslan Fatiejew. Mój numer brzmi tak i tak, zajmuję stanowisko dowódcy drużyny w 5. Plutonie 5. Kompanii Samodzielnego Szturmowo-desantowego Batalionu Tannenberg ze składu 3. Dywizji Desantowej Totenkopf i wykonywałem zadanie dowodzenia ochroną ekspedycji naukowej, badającej pewien artefakt obcego pochodzenia. To wszystko, co mogę powiedzieć, nie łamiąc przysięgi i pozostając w ramach konwencji. Jeśli nie ma pani więcej pytań, prosiłbym o odprowadzenie mnie do moich ludzi.

--Poczekaj, Ruslan -- odezwał się stropiony Kriwoszejew. -- Chcesz przez to powiedzieć, że jesteś tylko zwykłym kapralem armii imperialnej? Kapralem hitlerowskiego Wehrmachtu? Dobrze cię zrozumiałem? A więc my, wrogowie Imperium, jesteśmy twoimi wrogami?

--Adolf Hitler nie żyje od bardzo wielu lat i nie ma nic wspólnego z współczesną armią imperialną -- odpowiedziałem, tak jak nakazywał regulamin. Wiedziałem, że to wierutne kłamstwo, w przeciwnym razie obecna Reichswehra nie kopiowałaby z tak maniakalną starannością struktury organizacyjnej Wehrmachtu...

--To znaczy, że my, międzynarodowe brygady, jesteśmy twoimi wrogami -- powiedziała powoli Dariana. -- A ty wstąpiłeś do armii absolutnie dobrowolnie i twój czcigodny ojciec słusznie uczynił, pozbawiając cię spadku...

--Myśleliśmy, że jesteś nasz -- powiedział bez owijania w bawełnę Kriwoszejew. -- Że wstąpiłeś w ich szeregi na polecenie centrali. Że jesteś szpiegiem. Takim samym, jak... jak wielu innych. Że kłamałeś, mówiąc o uwalnianiu jeńców. Tam była twoja dziewczyna, Dżamajte, dowiedziałeś się o tym i... Czyli jedno z dwojga: albo nam nie wierzysz, albo naprawdę jesteś wrogiem. Brak zaufania do nas byłby głupotą. Znajdujemy się z Imperium w stanie wojny. Likwidujemy ich żołnierzy gdzie tylko się da. Chcemy doprowadzić do tego, że ziemia będzie im się palić pod nogami. Wszędzie, na wszystkich planetach. Wtedy wreszcie wyniosą się na swoje Wewnętrzne Planety, zostawiając nas, Dalekie Kolonie, w spokoju i pozwalając nam żyć tak, jak chcemy. A my chcemy się zjednoczyć, utworzyć demokratyczną federację ludzkości, dać ludziom wolność i...

--Poczekaj -- przerwała mu Dariana. -- Nic już nie rozumiem. Dlaczego nas oszukujesz, kapralu?

--Nie oszukuję was, madame. Odpowiedziałem na pytania, na które byłem zobowiązany odpowiedzieć w ramach konwencji. Co się zaś tyczy pozostałych kwestii, mogę tylko

oświadczyć raz jeszcze: żadnych jeńców nie uwalniałem. Wiedziałem, że... Dżamajte znajduje się wśród nich, ale nie przedsięwziąłem żadnych prób wypuszczenia jej czy innych rebeliantów. To wszystko, co mam do powiedzenia. Proszę zaprowadzić mnie do moich ludzi.

--Pójdiesz do swoich ludzi, gdy uznam, że przyszedł na to czas. -- Dariana zmrużyła oczy. -- Udając twardego imperialnego kaprała zmuszasz mnie, bym poprowadziła rozmowę w inny sposób.

--Proszę pytać, madame. Nie sądzę, by zechciała pani łamać konwencję genewską, haską czy inne, więc nie wiem, w jaki sposób mogę okazać się przydatny.

Dariana i Kriwoszejew znowu popatrzyli po sobie, jakby nadal się wahali i nie mogli zdecydować.

--Chyba że zdecydujecie się wymienić nas na waszych ludzi, których wzięto do niewoli na Sylwanii -- dodałem.

Moi rozmówcy nadal milczeli, wymieniając spojrzenia, jakby oboje zapomnieli języka w gębie. Nic dziwnego -- moje zachowanie kompletnie ich zaskoczyło.

--Podejmiemy jeszcze jedną próbę, kapralu -- odezwała się nagle Dariana. -- Sądzę, że zainteresuje cię wiadomość, że Dalia Dżamajte się uratowała, podobnie jak wielu innych jeńców. Gdyby nie twoja nadgorliwość, ocaleliby wszyscy.

Chyba udało mi się zachować kamienny wyraz twarzy. Niczego już nie naprawię, niczego nie zmienię. A to znaczy, że okazywanie emocji nie ma sensu.

--Nie jest ci chyba obojętne, czy Dalia żyje, czy nie? -- spytała Dariana, przyglądając mi się badawczo.

--Madame, nie odpowiem na te pytania. Oczywiście, może pani zastosować przemoc fizyczną...

--Mamy pełne moralne prawo, żeby jej użyć -- rzuciła ostro dowódca 6. Brygady Międzynarodowej. -- Imperium nie uznaje konwencji o humanitarnym traktowaniu jeńców. Nasi towarzysze są okrutnie torturowani, a tych, którzy nie mogą zeznać niczego interesującego, po prostu się likwiduje. Albo, co gorsza, sprzedaje Obcym. Myślę, że dla ciebie to nie nowina, kapralu?

Milczałem. Dopóki nie okładają mnie palką i nie przypalają papierosami, będę milczał. Gdy przejdą do tortur, zacznę mówić -- żeby uwierzyli każdemu mojemu słowu. Ale w tym celu będę musiał jeszcze trochę wytrzymać.

--Widzę po twoim spojrzeniu, że doskonale o tym wiesz. I ty, Rosjanin, nadal twierdzisz, że włożyłeś ten mundur dobrowolnie?

Dobra, na to pytanie mogę odpowiedzieć.

--Tak jest, madame.

--Aha, więc jednak postanowiłeś się odezwać. To mnie cieszy. Co chcesz nam jeszcze powiedzieć, kapralu?

--To zależy od pytań, madame.

Przez kilka chwil oboje patrzyli na mnie bez słowa. A potem jednocześnie gestem wezwali strażników, którzy zaprowadzili mnie do niskiego, ciemnego, ale suchego i czystego schronu, gdzie siedzieli moi towarzysze niewoli.

--Dowódca! Chłopaki, Ruslan wrócił! Żywy!

--Dowódco, wszystko w porządku? Dowódco, no i co? Dowódco, nic im nie powiedziałeś?

--Spokojnie, chłopcy -- podniosłem rękę. -- Jasne, nic nie powiedziałem. Nikt mnie nie torturował. Tylko... trochę pogadaliśmy.

--I co? Wypuścili cię, dowódco?

--Chyba nie wiedzą, co z nami zrobić -- uspokajalem moich żołnierzy. -- Sami słyszeliście: konwencje, różne takie... Nikt cię, Makumba, nie obedrze z czarnej skóry i nie zrobi z niej bębna. Będzie dobrze, chłopcy. Żyjemy i to jest najważniejsze. Wypijmy za tych, którzy nie doszli. Choćby wodę.

I piliśmy zwykłą wodę. W milczeniu, jak sznapsa. Nikt oczywiście nie pamiętał, że ten zwyczaj nie sięgał korzeniami „heroicznych tradycji Imperialnych Sił Zbrojnych”...

Uspokajalem chłopców, jak mogłem. Szczególnie posępny i mroczny był Günter i jeszcze trzech z narodu panów, z innej drużyny. Chyba myśleli, że będą ich tu żywcem smażyć.

--Wydostaniemy się stąd. Na pewno -- powiedziałem. -- Ale musimy być cierpliwi i nie wolno nam robić głupstw.

--Tobie to dobrze, dowódco -- podniósł głowę Günter. -- Jesteś jednym z nich. A my...

--Jakich „nich”? -- odparłem ostro. -- Dariana Dark to niby Rosjanka? Akurat. To Angielka. A te jej brygady to istna zbieranina.

Günter nie odpowiedział, pokręcił tylko głową.

Mówilem dalej. Wciskałem im jakiś kit. Po prostu nie mogłem ich teraz zostawić sam na sam z niewesołymi myślami. Z własnego doświadczenia wiedziałem, że w takich momentach do głowy przychodzą najgorsze myśli.

Traktowali nas całkiem znośnie, jeśli nie liczyć tego, że byliśmy zamknięci. Na pryzkach leżały wojskowe materace i śpiwory, były też inne wygody, gdzie jednak prowadzali nas pod konwojem. Powoli wszyscy zapadli w ciężki sen.

Tak zaczęła się nasza niewola. Wszystkich chłopaków żołnierzy po kolei wzywali na przesłuchanie, ale wyraźnie traktowali to jako czystą formalność. Chyba nikt nie miał pomysłu, co z nami zrobić. Moje zachowanie pomieszało brygadzie szyki, przynajmniej tak mi się wydawało. Zbiłem ich z pantalyku. Brali mnie za swojego, za działającego w szeregach Tannenberga szpiega, o którym oni, dowódcy oddziałów bojowych, po prostu nie wiedzieli. Tak czy inaczej, zachowali się wyjątkowo głupio.

Prze cały następny dzień nikt się nas nie czepiał. Raz nawet wyprowadzono nas na spacer, a pod wieczór wysłano do noszenia śmieci do spalarni. Oczywiście pod wzmocnionym konwojem.

Kolejne dwa dni były równie mało interesujące. Niektórzy z chłopców zaczęli doszukiwać się w tej niewoli perwersyjnej przyjemności -- żadnych pobudek, żadnych treningów, biegów i szykan sierżanta. Wprawdzie do jedzenia dostajemy standardowe racje polowe, ale można przeżyć.

Czwartego dnia zagonili nas do kopania jakiegoś dołu. Pozorowaliśmy pracę aż do chwili, gdy na krawędzi dołu pojawiła się Dariana w towarzystwie swoich zbirów i oznajmiła, że prawdopodobnie zostaniemy wymienieni na bojowników ruchu oporu, którzy trafili do imperialnej niewoli. Ci, którzy chcą wrócić szybko do domu, muszą się bardziej postarać. W pierwszej kolejności wymienią tych pracowitych.

Nikt nie miał ochoty siedzieć długo w niewoli.

Żaden z członków brygady nie zwracał na mnie uwagi. A ja bardzo chciałem się

dowiedzieć, co właściwie robi słynna przywódczyni międzynarodowych brygad na planecie, na której w niezrozumiały sposób zginęła cała ludność, przestała istnieć cała obrona planetarna, a stacjonujące tu oddziały imperialne zostały wybite do nogi, niczym owce przez stado głodnych wilków.

Żeby zdobyć te informacje, zdecydowałem się pójść znacznie dalej, niż początkowo planowałem. Zwłaszcza że nikt z nas nie wiedział, co dzieje się poza granicami obozu powstańców. Co robią siły imperialne, co się stało w naszej bazie zaatakowanej przez rój, czy ktoś zareagował na nasze wzywanie pomocy? Zresztą co za różnica. Jeśli nawet zareagowali, to teraz mogą sobie oglądać puste miejsce. To znaczy, nie do końca puste. Wystrzelane łuski na trawie, czarne plamy napalmu. Krew. Strzępy ubrań. No i jeszcze to, co zostało z naszego helikoptera.

Wystarczająco dużo, by dobry żołnierz mógł stwierdzić, co się tam wydarzyło.

O ile mogłem się zorientować, powstańcy wcale się nie bali, że zostaną dostrzeżeni przez satelitę. Nie planowali również odpierania ataków roju -- my mieliśmy miotacze ognia na każdym kroku, tutaj nie było ich w ogóle. Rebelianci nie nosili pancerzy. Obserwowali wprawdzie niebo, ale spodziewali się raczej samolotów szturmowych czy transportowców z desantem niż chruszczycy. Rakiety ziemia-powietrze zadzierały w górę ostre nosy. Żeby zbudować bazę z tymi wszystkimi kaponierami, schronami, bunkrami i innymi arcydziełami sztuki inżynierjno-wojskowej, potrzeba było co najmniej kilku miesięcy. Satelity nie mogły nie zarejestrować takich przygotowań. A to znaczy, że dyżurny, którego obowiązkiem było rejestrowanie i informowanie o tych faktach kogo trzeba, zwyczajnie je zignorował. Czyżby brygady miały wtyczki na samej górze? Może nawet w samym sztabie imperialnym? Hm... Przecież brygady są „niekomercyjnymi organizacjami narodowo-patriotycznymi, działającymi w oparciu o dobrowolne datki”. Musieli mieć całkiem niezłych ofiarodawców, hojnych i odważnych. Dawać taką kasę wczorajszym terrorystom! Przecież taki ofiarodawca powinien się spodziewać w każdej chwili, że zainteresuje się nim bezpieczeństwo! Co wtedy?

Najwidoczniej powstańcy i ich sponsorzy wiedzieli, co robią. Nie bali się nikogo i niczego, i nawet niedawny krwawy pogrom na Sylnanii niczego ich nie nauczył.

Tak czy inaczej, musiałem się stąd wydostać i to jak najszybciej. Tylko dokąd? I jak? Na piechotę? Przez całą planetę? To przecież nie kontynent czy kraj, to planeta! Zajęłoby mi to cały rok, którego nie mam. Nie mogę tak ryzykować.

O ucieczce zacząłem myśleć od pierwszej minuty niewoli. Ale nie chciałem się stąd wynosić z pustymi rękami. Jeśli już uciekać, to przynajmniej z łupem. I tak będę się musiał tłumaczyć, dlaczego wydałem rozkaz złożenia broni, zamiast pozwolić, by cały pododdział bohatersko oddał życie za ukochanego monarchę. Powiniennem odkryć w obozie rebeliantów coś naprawdę ważnego. Coś takiego, żeby dowództwu oczy wyszły na wierzch z wrażenia.

Czekałem na szczęśliwy przypadek. Gdy ochrona straci czujność (co jest nieuniknione), coś się na pewno trafi. Brygady nie mają tu lotniska, które zbyt łatwo zarejestrować z orbity. Najprawdopodobniej znowu lądowali razem z ciężkim sprzętem na tych swoich widmowych wahadłowcach, statki odleciały i szukaj wiatru w polu. Tylko po cholere szóstą międzynarodową sterczy tutaj, tysiące kilometrów od jakichkolwiek liczących się miejsc, i czym się właściwie zajmuje?

Rozpatrując wszystkie możliwe warianty, dobry sztabowiec powinien uwzględnić nawet te

najbardziej nieprawdopodobne. Czy brygady mogły być odpowiedzialne za likwidację wszystkich ludzi na Omedze?

Odpowiedź, jasna i wyraźna, brzmi „nie”. Miejscowe siły imperialne, nawet zaskoczone zniemacka, rozdeptałyby ich jak muchy. I żadnemu z kolonistów nie przyszłoby do głowy, żeby uciekać na złamanie karku z Neue Bismarcka, porzucając cały majątek, by potem zginąć w stepie, zaścielając kośćmi rozległe, straszne cmentarzyska bez jednego krzyża. Nigdzie, w żadnych informacjach nie było wzmianki o tym, co było przyczyną śmierci osiedleńców. Gdyby zginęli od kul, zostałyby ślady.

Gdy tak się nad tym zastanawiałem, zaczęły mi przychodzić do głowy najdziwniejsze myśli.

Obserwując życie obozu buntowników, nie mogłem nie zauważyć, że wszyscy wydawali się zajęci czymś bardzo ważnym. Nie chodziło o przygotowanie bojowe, chociaż poświęcono temu trochę czasu. Nie o prace w bazie, prowadzone w granicach niezbędnego minimum. Więc co? Po co tu siedzą? Gubiłem się w domysłach.

„Góra” rebeliantów w ogóle przestała się nami interesować. Dariana się nie pokazywała, nie wzywano nas na przesłuchania. Do nieskomplikowanych prac zaganiali nas niżsi stopniem. Na razie strażnicy nie tracili czujności, choć coraz częściej wśród nich pojawiały się młode dziewczęta, mniej więcej szesnastoletnie. Kriak od razu zaczął się do nich wdzięczyć, jednak wszystkie jego starania spelzły na niczym. Dziewczęta spoglądały na nas z zimną pogardą. Już zdążyli im zrobić pranie mózgu.

Cierpliwie czekałem na swoją okazję i wreszcie się doczekałem. Niestety, nie była to nieuwaga strażników czy niedomknięta kłódka.

Mijał dziesiąty dzień naszej niewoli, gdy nagle do naszego więzienia wkroczyło czterech typków z osobistej ochrony Dariany.

--Ty! -- Najstarszy stopniem wskazał Prochazkę, żołnierza z sąsiedniej drużyny. -- Wstawaj. Pójdiesz z nami.

--Chłopcy! -- zjeżył się od razu Prochazka. -- Jakby co... pamiętajcie o mnie.

--Daj spokój! -- powiedziałem dziarsko. -- Wracaj szybko. Zaczekamy, nie będziemy grali bez ciebie. -- Jak się okazało, któryś z żołnierzy miał w kieszeni talię kart i w wolnym czasie (którego mieliśmy aż nadto) graliśmy w brydża.

Nagle poczułem dziwny niepokój.

Prochazka nie wrócił. Ani za godzinę, ani za dziesięć. Nie wrócił nazajutrz ani jeszcze następnego dnia.

W naszym schronie zapanowała ponura cisza. Zapomnieliśmy o kartach i innych nieskomplikowanych rozrywkach jeńców. Prawie nie rozmawialiśmy. Nie odrywaliśmy wzroku od drzwi. Czego mogła chcieć Dariana od prostego żołnierza? Prochazka nie był nawet kapralem. Zwykły szeregowiec, jakich są tysiące w imperialnym desancie. Czego od niego chcą?!

Trzeciego dnia, gdy Prochazka nie zjawił się na śniadaniu, zdecydowanie załomotałem pięścią w pancerne drzwi naszego więzienia.

--Czego tam? -- zapytała pilnująca nas dziewczyna.

--Zaprowadź mnie do dowództwa. Powiedz, że muszę rozmawiać.

--Zaraz, zaraz. Nie bądź taki szybki. Akurat dowództwo zechce z tobą rozmawiać! --

odezwał się leniwy dziewczęcy głos. -- Jak będą czegoś chcieli, sami cię wezwą.

--Posłuchaj, dziewczynko -- powiedziałem ostro. -- Znam regulamin. Masz obowiązek wezwać dowódcę straży. A on musi przekazać moją wiadomość dalej. Mam ważne informacje. Jeśli tam na górze dowiedzą się, że nie chciałaś ich przekazać, chociaż zgodnie z regulaminem masz obowiązek to zrobić, będziesz miała nieprzyjemności. Dariana to twarda babka.

Za drzwiami zapanowało pełne namysłu milczenie.

--Dobra -- powiedziała w końcu strażniczka z wyraźną niechęcią. -- Powiem..

Chyba rzeczywiście powiedziała, bo już po półgodzinie nerwowego oczekiwania przybyli do nas goście. Ochrona dowódcy 6. Między narodowej.

--No? -- warknął na mnie jeden z osilków, że względu na szczeciniastą twarz kojarzący się nieodparcie z dzikiem. -- Czego chcesz?

--Zaprowadź mnie do dowódcy -- powiedziałem spokojnie. -- Mam ważną informację. Tylko dla niej.

Zerkając na mnie podejrzliwie i z niezadowoleniem, sześciu zbirów wyprowadziło mnie na zewnątrz. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że obóz żył zwykłym, codziennym życiem, ale ja wyraźnie czułem jakieś napięcie, niespokojne, nerwowe oczekiwanie, jakby przed walką. Może wreszcie ich wymacali? Nie... nie można na to liczyć. Zresztą nic nie wskazywało na przygotowania do walki. Urządzenia rozruchowe były przykryte pokrowcami, wokół samochodów z podniesionymi maskami kręcili się umorusani, zdenerwowani mechanicy.

--Tutaj -- pchnięciem w plecy skierowano mnie na próg bunkra dowódcy.

Wewnątrz czekała na mnie Dariana, Kriwoszejew i dwoje ludzi, których nie znałem. Mężczyzna i kobieta, nieco po czterdziestce, szczupli, skupieni i w jakiś sposób nasuwający na myśl tygrysy. Taka postawa była charakterystyczna dla elitarnych grup wywiadu Imperium, Skorzeny'ego i Riesenthala. Widziałem filmy szkoleniowe z ich treningów...

--Co, kapralu, zdecydowałeś się mówić? -- Dariana nie traciła czasu na powitania. -- Przekazano mi, że masz dla mnie ważne informacje. Czekam. I nie próbuj starych gierki, że niby to, co powiesz, przeznaczone jest wyłącznie dla moich uszu. Czekam. Nikt z obecnych stąd nie wyjdzie. Słuchamy. Ciekawa jestem, co takiego skłoniło dzielnego komandosa do złamania przysięgi -- uśmiechnęła się złośliwie.

--Niepokój o los mojego żołnierza -- powiedziałem, patrząc jej twardo w oczy. -- Konwencje zabraniają torturowania i skazywania jeńców wojennych. Jego zniknięcie bardzo martwi mnie i pozostałych żołnierzy.

--A informacja? -- tupnęła nogą zniecierpliwiona Dariana. -- Mów, co miałeś do powiedzenia, a ja... a wtedy wszystkiego się dowiesz. -- Uśmiechnęła się tak, że przeszył mnie dreszcz.

--Chciała pani wiedzieć, czy nie jestem przypadkiem szpiegiem -- odezwałem się chłodno, nie odrywając spojrzenia od Dariany. -- Nie wiem, po co to pani potrzebne. Ale skoro może to pomóc mojemu żołnierzowi, powiem: tak, jestem szpiegiem. Co dalej? Jeśli naprawdę jesteście powstańcami i bojownikami o wolność, nie możecie żądać ode mnie zdradzenia tajnych informacji o hasłach, kontaktach i spotkaniach. Jeśli będziecie nalegać, zrozumieć, że jesteście płatnymi najemnikami Imperium, a wasze brygady mają na celu tylko wylawianie niezadowolonych obywateli, zbieranie ich razem i rzucanie pod gąsienice czołgów. Proste, wygodne i żadnych kłopotów z sądownictwem.

Chyba udało mi się zrobić na nich wrażenie. Już miały rozleć się gniewne okrzyki, ale Dariana szybko podniosła rękę i w bunkrze zapanowała grobowa cisza. Trójka jej współtowarzyszy wstrzymała oddech.

--To, co mówisz, jest dość interesujące -- powiedziała Dariana powoli, chyba nawet trochę złowieszczo. -- Ale tak się składa, że nie mam zamiaru omawiać z tobą spraw mojej brygady...

--Nawet jeśli jestem „swoj”? -- zapytałem z naciskiem.

--Przecież właściwie nic mi nie powiedziałaś! -- klasnęła w rękę. „Nie powiedziałaś...”

Dobry Boże, czy to przedszkole, czy organizacja podziemna?

--Co z moim żołnierzem? -- zapytałem szybko. -- Odpowiadam za nich. To prości chłopcy, nie są winni przestępstw wojennych i po ludzku traktowali jeńców na Sywani...

--Co z twoim żołnierzem? -- zmrużyła oczy Dariana. -- Myślę, że nie powinieneś zadawać takich pytań. Zdarzył mu się nieszczęśliwy wypadek.

--Taak... -- powiedziałem półgłosem. -- Więc wszystkie rozmowy o konwencjach to był zwykły podstęp? Wszystkie te piękne hasła, że nikt nie może być torturowany, że wobec nikogo nie zastosujecie przemocy? Że nie jesteście imperialnymi lajdakami? Czterech moich „rozmówców” uśmiechnęło się tajemniczo.

--Dariana, może mu jednak pokażemy? -- odezwał się Kriwoszejew. -- Myślę, że to pouczający widok, dzięki któremu pozbędzie się złudzeń.

--A więc żeby pozbawić cię złudzeń, dam ci do przeczytania ten oto list, który otrzymałam... z centrali. -- Zręcznie wyjęła z grubej teczki kartkę papieru. Na błękitnym tle widać było równe czarne rzędy liter:

W odpowiedzi na wasze zapytanie nr (wymazano) z dnia (wymazano) oświadczamy: wspomniany Fatiejew, Ruslan Juriewicz, numer imperialny (tu umieszczony mój numer) w kadrach zarządu wywiadu zewnętrznego nie figuruje i nigdy nie figurował. Radzimy odesłać wyżej wspomnianego Fatiejewa R.J. w celu dalszego dochodzenia do (wymazane).

Niedbale rzuciłem kartkę na biurko.

--Myśli pani, że tak od razu wszystko pani powiedzą?

--Mnie by powiedzieli -- powiedziała z naciskiem Dariana. -- Zdarzały się już sytuacje, gdy braliśmy do niewoli naszych towarzyszy, działających pod przykrywką. Centrala zawsze udzielała dokładnych informacji, niczego nie ukrywając. A z tobą, dzielny kapralu, nie wyszło. Nie jesteś żadnym szpiegiem, lecz zwykłym zdrajcą. Zdumiewające, jak Dalia mogła się tobą interesować! Ona jest prawdziwą bohaterką, podczas gdy ty...

Ta niezwykle interesująca dyskusja została niespodziewanie przerwana w bardzo prozaiczny sposób. Zaterkotał komunikator i Dariana chwyciła słuchawkę.

--Dark. Co? Kto? Jakim cudem? Co przedsięwzięliście? Tak, zaraz tam będziemy. Ty -- odwróciła się do mnie -- wracasz do swoich. Ale myślę, że nie na długo.

Radość chłopców z mojego szczęśliwego powrotu szybko zgasła -- wystarczyło im powiedzieć, że już nigdy nie zobaczymy Prochazki. W dodatku wkrótce przyszły po mnie draby z ochrony Dariany.

Bez zbędnych komentarzy wykręcili mi ręce za plecy i powlekli w głąb lasu. Ochroniarze sapali ze złości, ale na propozycję najostrożniejszego z nich, żeby skuć mi nogi, odpowiedzieli wzgardliwym burczeniem. Uznali, że to nie ma sensu i skoro mogę, to lepiej, żebym szedł o własnych siłach. I tak nigdzie nie ucieknę. Stąd jeszcze nikt nie uciekł.

Nie powiem, żeby te słowa obudziły we mnie gorące pragnienie oddania życia za ukochanego monarchę.

Od osłoniętych darnią bunkrów i schronów w stronę zarośli prowadziła szeroka wydeptana ścieżka. Często z niej widać korzystano, gałęzie na obrzeżach były połamane. Później ścieżka przeszła w wąski rów pomiędzy dwoma wzgórzami. Przed sobą, na pokrytym bujną roślinnością zboczu, dostrzegłem szary, betonowy łuk wejścia do podziemi. Znowu bunkier?

Z ciemności doleciał znajomy zapach i w jednej chwili wszystko zrozumiałem. Powiniennem był uciec w tej właśnie chwili, ale nie zdecydowałem się, a potem było już za późno. Chyba po prostu ciągle nie docierało do mnie, że ludzie mogą być zdolni do czegoś takiego.

Weszliśmy do środka. Od wejścia w głąb bunkra ciągnęła się wąska dróżka, wyłożona plastikowymi płytami. Wewnątrz było coś w rodzaju jaskini czy obszernej kawerny. Sklepienie wzmocniono łukowatymi kratownicami, odległy koniec jaskini ginął w półmroku. Światła ciągnęły się w głąb na setki metrów. Na dole, jakieś pięć metrów pod nami, coś pluskało i bulgotało, ohydnie syczało i paskudnie ciamkało.

Znajomy odór strumienia śluzu znów uderzył mnie w nozdrza. Zmusiłem się, żeby spojrzeć w dół i... omal nie zwymiotowałem. Co się ze mną dzieje, przecież nie jestem egzaltowaną panienką!

--Przyprowadźcie go tutaj! -- usłyszałem ostry głos Dariany.

Stali z przodu, zbici w ciasną grupkę pod osłoniętą siatką lampą. Dariana Dark, Kriwoszejew i ta dwójka, którą ochrzciłem „tygrysem” i „tygrysićą”. Był jeszcze ktoś, kogo początkowo nie poznałem. U ich stóp widniała wąska drabinka, prowadząca na dół. Nie było żadnych krat, żadnych siatek ochronnych, nic. Tylko niewysokie poręcze.

Zbliżenie się do nich kosztowało mnie sporo wysiłku. Niby nad sobą panowałem, ale z drugiej strony, ciało to niestety prymitywna konstrukcja. Lipopolisacharydy -- i trzęsą cię dreszcze, stary, dobry kwas acetylosalicylowy -- i spada ci temperatura. Hormony wydzielają się poza twoją kontrolą, jeśli oczywiście nie jesteś jogą. Właśnie te przeklęte hormony o mało nie przemieniły mnie w szmacianą lalkę, zwisającą bezwolnie na rękach konwojentów.

Dariana cierpliwie postukiwała o wysoką cholewę buta szpicrutą. Dokładnie taką samą szpicrutą, jaką noszą imperialni oficerowie do munduru galowego, tylko bez czarno-żółto-czerwonej pętli przy rękojeści.

Legendarny dowódca 6. Brygady Międzynarodowej i szpicruta? Interesujące zestawienie...

Postawili mnie przed Darianą i jej zaufanymi. Dopiero teraz mogłem przyjrzeć się twarzy piątej osoby w tej grupie. Nawet się nie zdziwiłem.

--Cześć, Dalia. Widzisz... chociaż przed śmiercią się spotkaliśmy...

Patrzyła mi w oczy. Zmieniła się. Schudła, miała zapadnięte oczy z czerwonymi obwódkami. Płakała? Chyba nie przeze mnie? Po co ta stuknięta Dariana ściągnęła tu Dalię? Co to za melodramatyczne sceny? Zresztą ci wariaci z brygad zawsze zachowują się tak, jakby byli na scenie... „Śmierć powinna być piękna!” A przecież piękna śmierć jest niemożliwa...

--Witaj, Rus. Chciałam ci podziękować za to wtedy, na Sylwanii... to przecież byłeś ty?

Czy miałem klamać, patrząc jej w oczy? Na sekundę przed tym, jak zrzucą mnie do reaktora? Jaka to teraz różnica? Powiem jej prawdę. Niczego bardziej nie pragniesz, jak tego, żeby Dalia przestała myśleć o tobie jak o wrogu, zdrajcy bez czci i wiary. Przecież chcesz,

żeby ci wybaczyła, prawda?

„Nie przed ludźmi, lecz przed sobą będziesz czysty” -- powiedział kiedyś Tolstoj.

Pokręciłem głową -- ludzie stojący obok Dalki mogą pracować dla Imperium.

--Nie, Dalio. Nie uwolniłem jeńców. Ścigałem ich. Kilku... zabiłem. Ale strzelałem w nogi. --
Specjalnie przeszedłem na imperialny i zobaczyłem, jak jej ramiona opadają i zaczynają
podrygiwać. Dalka zdjęła czarny beret i zasłoniła nim twarz.

A ja czuję się tak, jakby serce miało mi pęknąć, zaraz, w tej chwili.

Kriwoszejew robi krok w moją stronę i mocno ujmuję mnie za łokieć.

--To dla mnie bardzo bolesne, Ruslanie, ale nie mamy innego wyjścia. Proces musi trwać.

Dariana dała ci ostatnią szansę... i jej także -- skinał głową w stronę Dalki. -- Nam jest
wszystko jedno, kogo wysyłamy na przeróbkę. Na miejscu tego pierwszego żołnierza...

Prochazka, tak?... mógł znaleźć się każdy. Teraz twoja kolej. Psy potrzebują krwi. Muszą
wiedzieć, kto jest wrogiem.

--Jak one to rozpoznają? Jak odróżniają? -- Głos mi drży mimo wszelkich wysiłków.

--A to, przyjacielu, absolutnie nie twoja sprawa -- mówi ostro „tygrys”.

--Ostatnie życzenie skazańca spełniano nawet w lochach inkwizycji -- mówię z patosem. --

Czy ci, którzy walczą z Imperium, okażą się bardziej nieludscy niż Torquemada*?

--Puste słowa -- rzuca zniecierpliwiona „tygryśca”. -- Kończ z nim, Dariana. Nie ma czasu.

--Dalio -- głos Dariany, ignorującej „tygryścę” i zwracającej się do płaczącej Dalki, brzmi bardzo łagodnie. -- Dalio, masz wybór. Chciałabym, żeby on pozostał przy życiu, na przeróbkę możemy wysłać innego żołnierza. Tym, którzy są tam na dole, jest wszystko jedno. Ale już teraz wiesz, że on nie jest szpiegiem. Jest zdrajcą, zdrajcą twojego narodu i naszej sprawy. Zdrajcą wolności. Nie różni się niczym od pozostałych. Przynajmniej oni nikogo i niczego nie zdradzili. To zwykli żołnierze, służą za żarcie i żołd. Jaka jest twoja decyzja? I tak będziemy musieli któregoś tam wysłać. Reakcja jest prawie zakończona, niedługo powinien zacząć się poród, i to we wszystkich źródłach. Decyduj. Darować mu życie? Chociaż, z drugiej strony, z przyjemnością...

Co takiego Dariana zrobiłaby z przyjemnością, nie dowiedziałem się. Skoczyłem w dół z uczeptionym moich ramion konwojentem, wybawiając Dalię od koszmaru wyboru.

W moich uszach gaśnie jej straszny krzyk. Krzyczy po rosyjsku. Moje imię...

Chciałem zabrać ze sobą Darianę. Jak już ginąć, to przynajmniej z tą sadystką i psychopatką. Nie wyszło. „Tygrysy” zagroziły mi drogę z godną pochwałą szybkością i zręcznością. A więc teraz razem z konwojentem przechylałem się przez niskie poręcze i z wysokości pięciu metrów spadałem w ciepłe, kołyszące się żywe bagno.

Plusk i zanurzam się cały. Śluz. Smród. Coś sunie po mojej nagiej ręce, coś obejmuje mnie za szyję. Odpycham się nogami od dna, próbuję się wynurzyć... Coś mnie dusi, zaciska się na gardle, wymacuję węzowate ciała i z nagłą, nie wiadomo skąd wziętą siłą, zrywam je niczym przegniłą linę. W górę, w górę! Muszę złapać oddech!

Rozrywam śliskie objęcia i wypływam tam, gdzie niczym małe słońca świecą mętne żółte lampy. Znowu słyszę krzyk -- obok mnie szamocze się, wymachując rękami, jakaś czarna postać, pokryta ruchliwym dywanem, na którym wzdymają się blade pęcherze. Mój konwojent?

Dalka krzyczy strasznie i dziko, wrywając się z rąk „tygryśców”. Chcę do niej sięgnąć, powiedzieć, że żyję, że jeszcze nic nie jest stracone... Dlaczego ciągle żyję, nie wiem, ale reaktor, czy co to właściwie jest, nie zwraca na mnie uwagi. Nagle czuję, że mogę płynąć, jeśli to w ogóle możliwe w tym ciepłym kisielu. Trzydzieści siedem stopni Celsjusza -- optymalna temperatura dla przeważającej większości reakcji enzymatycznych...

Sunie w moją stronę coś w rodzaju wielkiego, pływającego krzewu, poruszającego frędzlami niezliczonych macek. Wygląda jak gigantyczna promienica. Wydaje mi się, że widzę zagadkowe, pokryte bielmem oko, które utkwilo we mnie martwy wzrok. Szykuję się do walki, ale promienica mnie ignoruje. Zmierza prosto do charczącego i bulgoczącego konwojenta. Słowo daję, że czuję do niego coś na kształt współczucia.

Nurkuję. Chyba nadarza się doskonała okazja ucieczki. Nie wiem, dlaczego jeszcze nie zostałem przerobiony na kompost czy rozłożony na atomy. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nurkuję na samo dno. Częściowo płynę, częściowo brnę przez śluz. Wokół mnie wiją się węzowate ciała, roi się od dziwnych stworzeń, które nie zwracają na mnie uwagi. Odplacam im tym samym.

Zostaję pod wodą -- czy raczej śluzem -- tak długo, jak to tylko możliwe. Potem wynurzam się przy przeciwległej ścianie basenu. Ciemno. Słyszę krzyki na mostku. Dalka zachłystuje się

placzem, Dariana wrzeszczy jak opętana. Bardzo dobrze. Dopóki są zajęci sobą...

I właśnie w tym momencie niektórzy postanawiają zająć się również mną. A ja z przerażającą łatwością rozrywam oplątujące mi gardło macki i znowu nurkuję. Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnąłem żyć. Muszę przeżyć i muszę się stąd wydostać. Nie pozwolę, żeby nakarmiono tego potwora moją drużyną. Niech lepiej chłopcy służą Imperium.

Brodząc po dnie i szamocząc się w gęstym, żywym bulionie, sunę wzdłuż cementowej ściany zbiornika. Głosy powoli milkną w oddali. Nie słychać już krzyków ochroniarza. Ostrożnie podnoszę głowę i widzę, jak członkowie brygady odchodzą, jak Dalka, niemal niesiona przez Kriwoszejewą, co chwila odwraca głowę w stronę basenu.

W końcu udaje mi się wejść na pomost. Przecinam zbiornik i wspinam się po plastikowych, śliskich schodkach. Widzę, że zostawiam za sobą mokre ślady, więc zawracam, nie chcę iść do wejścia. Jeszcze by tego brakowało, żebym zdradził swoją obecność.

Kroczę jak automat. Nie mogę uwierzyć, że mimo wszystko żyję. Spływają ze mnie strumienie śluzu. Przystaję pod lampą i zauważam, że śluz jest pełen małych brązowych ziarenek... Opadam na kolana i zaczynam wymiotować.

Wstaję, gdy spazmy mijają. Już nie idę, lecz czołgam się po deskach pomostu. Z kieszeni szturmówki wypadają mi białe, bezokie robaki. Sam ich widok doprowadziłby do hysterii cały żeński klasztor. W końcu, po długim wysiłku, docieram do odległego końca inkubatora. Pomost się tu kończy, jednak w górze widać coś w rodzaju szybu wentylacyjnego. Nie zastanawiam się, jak szalone jest to, co robię, i wdrapuję się na poręcz. Balansuję na nich chwilę (podziękujmy kochanemu panu sierżantowi za nasze szczęśliwe dzieciństwo!) i skaczę w górę, chwytając żelazne okucia. Podciągam się, wypycham głową ocynkowaną klapę i bez sił wypadam na pokryte kwiatami i trawą zbocze wzgórza. W tej chwili wydaje mi się ono prawdziwym rajem.

Podczołguję się dalej i dopiero teraz pozwalam sobie na utratę przytomności.

Gdy w końcu doszedłem do siebie, była już noc. Noce na Omedze-8 są piękne. Ciche i bezchmurne, a duże jasne gwiazdy ozdabiają nieboskłon niczym płaszcz czarnoksiężnika. Nie czułem ani głodu, ani pragnienia. Śluz wysechł na moim ubraniu, przemieniając się w szklistą masę; zdechli mało apetyczni mieszkańcy basenu, którzy zdecydowali się mi towarzyszyć. Staram się na nich nie patrzeć. W sztywnym, chrzęszczącym ubraniu i przemoczonych butach odchodzę jak najdalej stąd. Dokąd? Tego jeszcze sam nie wiem. Nie mam nic. Kompletnie nic. Ani noża, ani zapalek, ani zapalniczki. Oczywiście, komandos powinien przeżyć nawet w takiej sytuacji, w przeciwnym razie nie byłby komandosem. A ja nadal miałem na sobie buty komandosa, w których, jeśli się chce, można schować niejedno.

Na początek postanowiłem odgrodzić się od bazy 6. Brygady Międzynarodowej w najskuteczniejszy i najprostszy sposób -- odległością. Szedłem prawie całą noc, orientując się po gwiazdach i górskich szczytach, które czerniały na tle rozgwieżdżonego nieba.

W środku nocy natknąłem się na niewielki strumień. Długo i starannie wachalem wodę, sprawdzając, czy niesie w sobie zarazę, i dopiero wtedy postanowiłem się napić. Rękami zdarłem korę, zdjąłem kołpaczek ochronny z ostrej stalowej skuwki na sznurowadle i nadciąłem kilka gałęzi. Gotów byłem obejść się bez tego, ale w końcu miałem szczęście -- jedno z drzew zapłakało gęstą, kleistą żywicą. Po chwili z kory zrobiłem całkiem znośny czerpak, którym nabrałem wody.

Zatrzymałem się tu. Do rana zbudowałem szałas. Bardzo chciałem uprać mundur, ale nie

mogłem się na to zdobyć -- wiedziałem, że wystarczy jedno małe ziarenko, by uruchomić niezrozumiałe mechanizmy obcego rozwoju i po jakimś czasie na brzeg wyjdzie nowa ameba.

Nawet udało mi się rozniecić ogień starą, dobrą metodą -- za pomocą tarcia. Spływały ze mnie siódme poty, ale w końcu rozpalilem ognisko. Od razu zrobiło się bardziej sympatycznie.

Zastanawiając się, co robić dalej, doszedłem do wniosku, że muszę wrócić i uwolnić chłopców. Te brygady są bardziej niebezpieczne niż wszyscy Obcy razem wzięci. Jakim cudem dorwali się do tego paskudztwa, do rojów, źródeł i tak dalej, to już nieważne. Byli zwykłymi zdrajcami. Zdradzili pamięć tych, którzy dawno, dawno temu ginęli pod Guadalajarą i Madrytem. Członków prawdziwych międzynarodowych brygad. Czy ci tutaj myśleli, że mają w rękach cudowną broń? Że zmiotą całą armię Imperium i przywrócą, jak się zwykle mówi, wolność, równość i braterstwo?

Wielkie dzięki, już to widzieliśmy.

Pozostawało jeszcze jedno pytanie, które bałem się sobie zadać.

Dlaczego przeżyłem? Jak to się mogło stać? Dlaczego mojego towarzysza niedoli zutilizowano w ciągu kilku chwil, a mnie zignorowano? W dodatku to nie był pierwszy przypadek. Najpierw „Merona” i podsłuchana rozmowa. Jaskinia ze „źródłem”. A teraz jeszcze to. Przyznaję, że poczułem się nie tyle nieswojo, co koszmarnie i podle. Miałem ochotę się zabić.

Siedziałem przy tłym się ognisku, dorzucając patyki, i myślałem.

A więc brygady wystraszyły skądś nieprawdopodobną, wstrząsającą technologię. Któryś z lingwistów czy badaczy kosmofolkloru ziemskich osiedleńców pewnie pamięta o Prekursorach, Starożytnych, Wędrowcach, Tytanach -- nadawano im różne imiona. Potężna rasa bogów, która odeszła -- według różnych wersji legendy -- do innej metagalaktyki, do innego wymiaru, a może po prostu popełniła zbiorowe samobójstwo, bo ich honor został w ten czy inny sposób splamiony (szczególnie popularne zakończenie tego mitu na planetach „samurajskich”).

Od dawna nie wierzę w bajki. Nie ma i nigdy nie było żadnych Prekursorów. Istnieją różne rasy Obcych, mniej lub bardziej potężnych. Nowa technologia może pochodzić wyłącznie od którejś z nich. I znowu: chociaż nasze wiadomości o Obcych są bardzo skąpe, wyobrażenie sobie, że któraś z ras celowo szukała wrogów scentralizowanej władzy wśród ludzi oraz wynalazła (nie zostawiając żadnych śladów) i udostępniła im tę technologię, jakoś mi nie pasowało. Zbyt naciągane. Obcy są logiczni i racjonalni. Umieją dodać dwa do dwóch. Jeśli postawili sobie za zadanie pokonać ziemską cywilizację, to znacznie prościej i bardziej efektywnie załatwiliby to dzięki zwykłej przewadze militarnej. A te obrzydliwe, sztuczne organizmy... A może nie mam racji, może Obcy rzeczywiście zdecydowali się pokonać nas w taki zawyły sposób? Przecież to tałatajstwo, które zobaczyłem na Omedze, przy całej swojej potędze, różnorodności, przy całej pomysłowości morderczych narzędzi, nie jest zdolne do międzygwiazdnych przelotów. Zapewne odbyło się to za pośrednictwem powstańców, skoro ci mieli własne statki. Imperium starannie kontroluje przestrzeń wokół swoich gwiazd. Punkty hiperprzestrzennych przejść nie jest trudno zarejestrować. Nie przypadkiem dawno temu zapomnieliśmy o kosmicznych piratach. Na Nowym Krymie kwitło w swoim czasie zwyczajne piractwo na morzu; piraci grabili przetwórnice rybne i gospodarstwa morskie.

Coś tu jest nie tak, myślałem, siedząc przy ognisku. Brakuje jednego ważnego elementu. Chwilami wydawało mi się, że już zrozumiałem, na czym polega cały numer, ale w ostatniej

chwili myśl wyślizgiwała się, rozbijając o nowe pomysły.

Zbyt wiele pytań. Zbyt mało odpowiedzi. Zbyt mało wiem, żeby wyciągać wnioski. Na razie moje najważniejsze zadanie to wrócić i wyciągnąć moich żołnierzy. Nawet najgorszy zbrodniarz wojenny zostaje skazany po sprawiedliwej rozprawie, a śmierć grożąca Kriakowi, Makumbie, Surendrze i innym była gorsza niż powieszenie.

Tak być nie może. Nie wiem, kto stoi za tym wszystkim, ale nie potrafię przyznać, że skoro oni walczą przeciwko Imperium, to są razem ze mną. Na wojnie zdarzają się różne rzeczy, okopów nie kopie się w białych rękawiczkach, ale...

Ruszyłem w drogę powrotną, mimo woli coraz bardziej przyspieszając kroku. Skrzypiało pokryte wyschniętym śluzem ubranie, ale na takie szczegóły nie zwracałem już uwagi.

Do bazy rebeliantów dotarłem następnej nocy. Nie ma co, fajny spacer. Długo leżałem ukryty w zaroślach, patrząc i przede wszystkim nasłuchując -- w zaroślach nie zobaczyłbym zbyt wiele. Słyszałem niezbyt głośne pokrzykiwania. Latarni nie widziałem; pewnie ze strachu przed szerokokątnymi kamerami satelitarnymi, rejestrującymi wszystko na wszystkich możliwych zakresach.

Więc jednak nie są tacy beztroscy. Jednak się pilnują. I chwała Bogu, bo już zacząłem wierzyć, że ich macki sięgają aż do samego sztabu generalnego.

Zacząłem działać, gdy zupełnie się ściemniło. Niebo, podobnie jak wczoraj, iskrzyło się mnóstwem bardzo jasnych gwiazd i wydawało mi się, że ich światło leciutko rozprasza mrok. Przeskakiwałem od krzaka do krzaka, z łatwością unikając wartowników -- gówniarze, czego ich nauczyli? Nie musiałem nawet używać zrobionej z giętkiej witki garoty. Bardzo dobrze. Po co zabijać te dzieci? Teraz żałowałem, że kilku z ich towarzyszy zginęło z mojej ręki, gdy brali nas do niewoli. Żałowałem, ale nie pozwalałem, by to uczucie mnie osłabiło. Wojna jest okrutna. Wszystko może się zdarzyć. Czasem pociski rozrywają się wśród swoich. Trudno.

Szybko znalazłem właściwy bunkier. Pamięć mnie nie zawiodła. Przed wejściem nudził się wartownik -- młoda dziewczyna. Spod bejsbolówki wysuwał się długi koński ogon.

Do diabła. Spróbuję ją ogłuszyć. Może zabić? Moja odporność psychiczna też ma swoje granice. Nie w walce, nie zablakana kulą, tylko z zimną krwią, od tyłu, sznurem...

Długo czekałem na odpowiedni moment. Dziewczyna na pewno nie miała kluczy, już prędzej miał je rozprawdzający warty albo Dariana. Chociaż raczej nie ona, to dowódca warty jest zobowiązany do posiadania kluczy. Przecież któryś z jeńców może chcieć pójść do toalety albo spróbuje skończyć ze sobą i trzeba będzie natychmiast sprowadzić sanitariuszy.

Reszta była prosta. Dziesiątki, setki razy przerabialiśmy to na zajęciach praktycznych czy manewrach. Sami ochranialiśmy magazyny strategiczne przed wrogimi szpiegami i dywersantami albo przeistaczaliśmy się w zrzuconą na tyły wroga grupę dywersyjno-zwiadowczą i zdejmowaliśmy wartowników. Zaszedłem wartowników od tyłu i korzystając z ciemności, za jednym zamachem „wylączyłem” rozprawdzającego i drugiego powstańca, który był z nimi. Dziewczyna-wartowniczką osłupiała i nawet nie zdążyła krzyknąć. Wysłałem ją na odpoczynek tym samym sposobem, co Razdwakriaka na naszym pierwszym „prawdziwym” torze przeszkód...

Klucz rzeczywiście się znalazł. W ciągu ostatnich dni miałem nieprawdopodobne szczęście. Przeżyłem pod rojem, wydostałem się z reaktora i jeszcze teraz znalazłem klucz. Powiedziałbym nawet, że taki fart nie wróży na dłuższą metę nic dobrego, ale w tym momencie

nie myślałem o ewentualnych pułapkach.

Moje dramatyczne pojawienie się wśród ciemności nocy chłopcy przyjęli, powstrzymując się od okrzyków radości. Wydostaliśmy się z kaponiery, a dalej... dalej mieliśmy tylko jedno wyjście, dokładnie takie samo jak wtedy w naszej bazie -- helikoptery. Odlecieć jak najdalej stąd. Dokądkolwiek. Chciałbym, żebym mój dziwny dar pozwolił osłonić przed rojem moich chłopców...

Dobrze wyszkolony komandos z łatwością przejdzie niezauważony przez obóz powstańców, gdzie wyszkolonych ludzi można policzyć na palcach jednej ręki. Szliśmy spokojnie, bez zbędnych efektów specjalnych, nikogo nie zabijając. Związaliśmy jedynie trójkę wartowników, a potem otworzyliśmy drzwi hangaru. Tutaj na starą modłę zamykano helikoptery na jakieś antyczne kłódki. Nie wiem, kto wydał tak genialny rozkaz, ale bardzo nam to pomogło. Startery były na swoim miejscu. Cudo.

Obóz obudził się, gdy już rozgrzałem silniki i podniosłem maszynę w powietrze. Spóźnione strzały. Terkot cekaemów. Pudło. Znowu pudło. Cóż, brakuje tu pana sierżanta, który by ich pogonił za taką strzelaniną...

Nasz helikopter był doskonale uzbrojony; nie bez złośliwej radości włożyłem kilka pięciocalowych ładunków do innych maszyn stojących na polu startowym. Niewielki fajerwerk na pamiątkę. Nie trzeba było karmić moimi ludźmi wstrętnych, oślizłych stworów. Już jako dziecko nie lubiłem węży. Nawet nieszkodliwych zaskrońców, którymi bawiło się całe moje rodzeństwo. A już rzucanie im ludzi na pożarcie... co to, to nie.

Naszemu startowi towarzyszyły fontanny płomieni. Brygady nie miały pojęcia o podstawowych zasadach bezpieczeństwa, paliwo trzymali tuż obok amunicji. Kolejno wybuchły trzy maszyny. A czego się spodziewaliście, jeśli łamiąc wszelkie zasady, trzymacie helikoptery z podwieszonym uzbrojeniem?

Polecieliśmy na północ. Pociągniemy, dopóki starczy paliwa, a potem pójdziemy piechotą. Nie wierzyłem już w sygnał SOS.

Wirnik terkotał miarowo. Chłopcy poklepywali się po ramionach, szczęśliwi, że udało im się uciec. Nie opowiadałem im o losie Prochazki, wspomniałem tylko, że zastrzelono go przy próbie ucieczki. Nie mówiłem też nic o potwornym inkubatorze. Lepiej, żeby nikt poza mną nie wiedział na razie o tych rozrywkach międzynarodowych brygad. Ciekawe, jak imperialna bezpieka mogła dopuścić do tego, że brygady tak urosły w siłę? Pod nosem czujnych tajniaków! Legalna organizacja! Coś mi się tu bardzo nie podobało. Gotów byłem nawet uwierzyć, że brygady to jedynie pułapka dla nonkonformistów, skazanych na „eliminację przez eksterminację”. Ale wówczas Imperialowie nie dopuściliby do tego masowego mordu, jaki miał miejsce na Omedze-8. A może uznali to za dopuszczalne straty? Może brygady tylko udawały, że dały się oswoić? Mogłem się tak zastanawiać do upojenia...

Udało nam się wyjść ze strefy rażenia systemów przeciwlotniczych powstańców. Teraz lecieliśmy tuż nad ziemią, lawirując i ukrywając się za rzeźbą terenu. Modliłem się w duchu, żeby Dariana nie miała na orbicie własnego satelity i stacji naprowadzania na podstawie jego danych...

Drugi raz w ciągu ostatnich dni uciekaliśmy helikopterem, tym razem w stronę imperialnych oddziałów. Musieliśmy do nich dotrzeć. Nawet bez helikoptera. Nawet gdyby przyszło nam iść cały rok.

Paliwa było sporo. Transportowy śmigłowiec, przerobiony na półbojową maszynę, mógł spokojnie unieść czterdziestu ludzi i przelecieć prawie pół tysiąca kilometrów. Miałem nadzieję, że to wystarczy. Oznaczało to wprawdzie, że potem pozostanie nam do przejścia jeszcze kilka tysięcy, ale dla desantu to normalka. Musimy się tylko stąd wynieść...

Ranek powitaliśmy jeszcze w powietrzu. Paliwa zostało nam na pół godziny lotu, zaczynałem myśleć o lądowaniu. Lecieliśmy nieopodal gór i mimo woli przypomniałem sobie o małych istotkach, które czekały na swój czas, o tysiącach, a może milionach pęcherzyków, płynących powoli w ciepłym, otulającym je śluzie... Cóż, wychodzi na to, że pomyślałem w złą godzinę.

Nie wiem, czy to przypadek, czy może po stwierdzeniu naszej ucieczki Dariana zwolniła bezpiecznik swojej broni, w każdym razie gdy słońce podniosło się wysoko, zobaczyliśmy nad odległym lasem podejrzany dym. Nakierowałem wizjer, obraz posłusznie rósł, punkty stawały się coraz większe -- aż zobaczyłem krążące nad lasem tysiące różnorodnych stworzeń. Rój w najbardziej skoncentrowanej i pewnie najbardziej agresywnej postaci. Za drzewami, z głębi lasu biła jakby gigantyczna fontanna. Wyobraziłem sobie, jak dziesiątki tysięcy pęcherzyków wypływa jednocześnie na powierzchnię, jak puchną i pęcznieją, jak gorączkowo pulsują żyły, starając się przepompować odpowiednią ilość krwi czy też jej odpowiednika. Rój gęstniał i rósł w oczach, wznosił się coraz wyżej, w jego masie zaczynał rodzić się ruch, stworzenia wirowały w strasznym tańcu, niebo ciemniało od lecących w górę tysięcy ciał. Widocznie wypełnił się inkubator i teraz zaczynał się najbardziej interesujący etap. Biolog, jaki nadal tkwił we mnie, dałby wiele, żeby móc popatrzeć na to z bliska.

Z boku wydawało się, że rój jest całkowicie zajęty własnymi sprawami. Istoty nie zwracały na nas uwagi. Musiałem przyspieszyć -- szybciej, szybciej, jak najdalej stąd!

Ale przed nami, tam, gdzie górski łańcuch płynnie skręcał na zachód, przecinając naszą trasę, nad zielonymi koronami drzew ujrzałem cztery następne żywe trąby powietrzne.

No, no, rebelianci nieźle się napracowali. Kiedy zdążyli to zrobić? I dlaczego nikt nie zobaczył tego z orbity? Dlaczego nie wypalił pociskami jądrowymi? Nie zrozumieli? Nie chcieli niszczyć planety? Precyzyjne trafienia pozwoliłyby nie dopuścić do totalnej katastrofy. W każdym razie nie doszłoby do zimy nuklearnej.

Pięć żywych słupów przed nami. Sześć... siedem... osiem... Załatwili wszystkie tutejsze strumienie. A my? Czy my byliśmy ślepi? Gapiliśmy się na jedną rzeczkę, nie dostrzegając tego, co działo się wokół nas. A może wszystko było tak dobrze ukryte, że nawet słynny imperialny wywiad niczego nie dostrzegł?

Zawróciliśmy. Paliwa było coraz mniej, a ja nie mogłem ryzykować z dwudziestoma chłopcami na pokładzie. Wylądowałem, gdy tylko zapaliła się lampka ostrzegawcza. Stanęliśmy w zacisznej kotlinie, na tyle jednak szerokiej, by mogła się w niej zmieścić taka maszyna jak nasz śmigłowiec. Wyszliśmy i długo patrzyliśmy na bezradny helikopter. Wymontowaliśmy z niego wszystko, co tylko mogło się przydać. Mieliśmy przed sobą długą drogę. W łączność już nie wierzyliśmy. Zbyt precyzyjnie trafili na nas poprzednim razem ludzie z szóstej międzynarodowej...

Długie godziny monotonnej drogi. Rozciągnięci w tyralierę, szliśmy stepem. Regulamin zalecał wprawdzie utworzenie patroli: bocznej i przedniej, ale przymknąłem oko na to karygodne złamanie instrukcji, które doprowadziłoby pana sierżanta do zawału.

Słońce było coraz wyżej. Odległe słupy żywego dymu nadal wirowały w oddali. Szliśmy w ponurym milczeniu. -- Wszyscy zdawali sobie sprawę, jak nikłe są nasze szanse na wydostanie się stąd. Naszym głównym wrogiem była teraz odległość, a nie powstańcy czy rój. Odległość. Tysiące kilometrów przez suche stepy. Ze wszystkimi niewygodami marszu bez wyposażenia, w brezentowych kurtkach. Poprzednim razem popełniliśmy błąd, który kosztował Prochazkę życie. Jeśli trzeba, będziemy iść i rok. Ale dojdziemy. Na pewno dojdziemy.

Wieczorem musieliśmy skrócić w stronę gór. Tutaj, w stepie, nie było ani kropli wody. Kopaliśmy doły, ale pozostawały suche. Trawa była niska i pożółkła. Musieliśmy zawrócić tam, gdzie nad wzgórzami wirowało sześć gigantycznych żywych stożków. Tam zieleniły się lasy, więc musiała być woda.

Gdy dotarliśmy do pierwszych drzew, czuliśmy pragnienie tak silne, że mieliśmy ochotę się powiesić. Czy ci cholerni rebelianci zagarnęli wszystkie spływające z gór strumienie? Wszystkie zamienili na reaktory i inkubatory? Nie chciało mi się w to wierzyć.

W końcu jednak znaleźliśmy strumyk. Płynął w niebezpiecznej bliskości od podstawy roju, ale mimo wszystko zawierał tylko wodę. Ogłosiłem postój. Wszyscy się denerwowali, nawet niewzruszony Mikki i spokojny Günter.

Oczywiście nie mieliśmy zamiaru pchać się w stronę tego cyklonu, zwłaszcza bez porządnej broni i pancerzy. Ukryliśmy się w gęstym poszyciu i postanowiliśmy przeczekać. Musieliśmy przecież zaopatrzyć się w wodę na drogę.

Chłopcy położyli się spacja nadal byłem niespokojny. Coś nie pozwalało mi zasnąć, nie pozwalało uciec w zapomnienie. Komandos powinien umieć odpoczywać i regenerować siły w każdej sytuacji. A ja... przewracałem się z boku na bok, gapilem na nocne niebo, a sen nie przychodził. Męczyłem się tak całą noc, wreszcie o świcie nie wytrzymałem. Wstałem i zacząłem się ostrożnie skradać przez zarośla. Tam, gdzie -- wiedziałem to dokładnie -- nad pustym inkubatorem wirował czarny lej. Czulem się tak, jakby prowadził mnie jakiś zew, nie tłumiąc jednak mojej woli. Nadal byłem sobą. Człowiekiem. Ruslanem Fatiejewem, który musi, po prostu musi zobaczyć, co tak naprawdę dzieje się nad tamtym zbiornikiem. Jakby tkwiła we mnie jakaś szalona pewność, że nic mi się nie stanie, że nic mi się nie może stać. Wiedziałem jednoróż jest zbyt pochłonięty sobą, by mnie zauważyć. Jeśli tylko nie zacznę rzucać granatami (których nie miałem), nikt mnie nie zaczepi. Szalony pomysł, jeśli się nad tym dłużej zastanowić, ale w tamtej chwili ufałem intuicji.

I zobaczyłem. Nie przez cyfrową lornetkę, lecz na własne oczy. Z bliska. Zobaczyłem coś nieprawdopodobnego. Zobaczyłem to, czego nie widział nigdy żaden człowiek. I miałem nadzieję, że nigdy nie zobaczy.

Tutaj też kiedyś płynął strumień. Kreślił meandry pomiędzy wzgórzami, pienił się na pływaczach. Teraz trójkątny zbiornik pomiędzy wzgórzami zamknęła szeroka tama. Widać było w tym rękę człowieka -- nad krawędziami wznosił się potężny wał bloków z metaloplastiku. Standardowy imperialny materiał budowlany.

Gęsty brązowy śluz sięgał prawie do krawędzi. Teraz wrzał, ale chyba to, co miało się wykluć, już to zrobiło -- pęcherze pękały wprawdzie, ale były puste. W głębi coś się przelewało, od czasu do czasu tuż pod powierzchnią odrażającego stawu nabrzmięwało coś jak garb. Mogłem się jedynie domyślać, jakie stwory chodzą teraz po dnie, od czasu do czasu unosząc się w górę.

Żywe tornada krążyły nad koronami drzew -- najwyraźniej całe to plugastwo wyleciało właśnie z inkubatora. Wirujcie sobie spokojnie, wcale nie chcemy, żebyście się nami zajmowały, nie pogniewamy się, jeśli nawet nie spojrzycie w naszą stronę...

Nie spojrzały.

Czarna, żywa trąba powietrzna unosiła się wysoko. Powoli zacząłem rozróżniać wirujące stworzenia -- owady wielkości pięści, duże ptaki w rodzaju orła, wielkie ważki, przypominające żyjące w karbonie metrowe owady. W powietrzu stworzenia dokonywały przeformowania, robiły jakieś skomplikowane manewry, łącząc się w różnorodne klucze, tworząc zagadkowe szyki. Im dłużej im się przyglądałem, tym większą miałem pewność, że trudno byłoby znaleźć dwie identyczne istoty. Oczywiście nie widziałem szczegółów, ale dostrzegłem, że wszystkie stwory, niezależnie od rodzaju i rozmiaru, mają wzdęty brzuch. Miałem wrażenie, że z trudem utrzymują się w powietrzu. Ich pełen gracji taniec, niespieszny, majestatyczny ruch hipnotyzował mnie. My, żalosne strzępki prymitywnej protoplazmy, wcale ich nie interesowaliśmy. One były protoplazmą zorganizowaną, uporządkowaną i maksymalnie efektywną.

Jedyne, co mogłem zrobić, to patrzeć na to wszystko. Wróg rósł w siłę, pomnażał swoje zastępy, a ja nie potrafiłem nic zrobić.

W moim umyśle zatlila się kusząca myśl -- gdybym teraz skoczył do stawu, nic by mi się nie stało. Jestem chroniony. Nie mogą mi nic zrobić.

To było jak pewność dziecka, że przed nocnymi strachami najlepiej chroni kołdra naciągnięta na głowę.

Rój powoli przyjmował kształt regularnego leja. Nie miałem pojęcia, ile było tych istot i po co je zebrano.

Wstawało słońce. Robiło się jasno, odpelzały nocne cienie, ale zło, które powstało z nieznanymi piekielnymi otchłani, nie bało się dziennego światła. Zahipnotyzowany, ciągle patrzyłem na to widowisko. Gdy pierwsze promienie słońca musnęły powierzchnię inkubatora, śluz gwałtownie zawrzał. Jakby ktoś postawił na silnym ogniu zagotowaną niedawno wodę.

Pęcherzyki rosły i pęczniały, staw zaczął falować, jakby miotał się w nim jakiś potwór. Inkubatorem wstrząsnął gwałtowny skurcz -- ja też drgnąłem jak od bólu zęba. Rozległ się syk, chlupot i poziom śluzu zaczął szybko opadać, jakby ktoś wyjął korek z wanny.

Wylonilo się coś potwornego. Dzika, nieprawdopodobna kombinacja -- pod powierzchnią śluzu kryły się organy wewnętrzne jakiejś gigantycznej istoty. Teraz to wszystko kłębiło się, poruszało, przelewało... Ze wszystkich stron zbiornika, niczym ściany ogromnej prasy, dosuwały się do siebie czarne, chyba pancerne płyty. Wyglądało to tak, jakby zasuwał się dach gigantycznego hangaru raketowego. Słyszeć było burczenie, bulgotanie i wycie. Śluz, który opadł na dno, teraz znowu unosił się do góry w miarę zamykania pancernego dachu. Wiedziałem, że jestem świadkiem narodzin nowej, wyjątkowej, zdumiewającej istoty, którą miałoby się ochotę nazwać macicą. Słowo wypłynęło z pamięci samo, jakby ktoś usłuźnie je podpowiedział. Przywarłem do ziemi, bojąc się podnieść wzrok. Gdy przemogłem lęk, zobaczyłem na dnie stawu stworzenie przypominające olbrzymiego żółwia. Czarne łuskowate płyty zsunęły się już, w szczelinach między nimi wrzał brązowy śluz, zastygając ze zdumiewającą szybkością i tworząc dziwne kształty. Nie widziałem ani głowy, ani łap -- tylko ogromny czarny grzbiet.

Myślałem, że to ostatni akt sztuki, ale myliłem się. Czarne płyty rozsunęły się lekko, otwierając coś w rodzaju szerokich zwieraczy, zasłoniętych trzeszczącymi błonami. I te otwory zaczęły wsysać chmury skrzydlatych istot. Czarny lej wsuwał się w głąb macicy, stworzenia w ścisłym porządku układały się wewnątrz potwornego żółwia. Niebo nad moją głową znowu było czyste.

Przez ostatnie minuty zagryzałem wargi do krwi -- tak silny był ten zew. Moje miejsce było tam, w środku... w przytulnym wnętrzu, gdzie mógłbym czekać, aż nadejdzie czas...

To, co stało się potem, było po prostu nieprawdopodobne. Ogromne cielsko o średnicy setek metrów, tysiące ton żywej wagi, zaczęło się uroczyście unosić do góry. Odsłoniło się dno, pokryte kałużami śluzu, w których coś się wilo. Widocznie o kimś zapomnieli.

Cielsko się unosi, obok mnie przepływają pokryte smoczą łuską boki. Widać brzuch. Zdumiewające, ale dostrzegam pod nim setki krótkich, podkulonych łap, grubych jak kolumny Opery Imperialnej. Po co łapy istocie, która umie latać bez skrzydeł? Kto wie...

Zmniejszając się powoli, bestia znikła w niebie. Nastal ranek. Wstrząśnięty widowiskiem wróciłem lasem do żołnierzy.

Nikom nie powiedziałem o tym, co się wydarzyło. To było zbyt niewiarygodne. Antygravitacja w czystej postaci. Owszem, my również nauczyliśmy się nią posługiwać; na naszych statkach nie stosujemy przecież nieważkości. Ale żeby prosto z ziemi ku gwiazdom...

--Wstajemy, chłopcy. W drogę. Jak ktoś mądrze powiedział w pewnej książce, żeby dojść, trzeba iść.

--W jakiej to było książce, dowódco? -- zainteresował się Kriak.

--Nie pamiętam -- skłamałem. -- Czytałem ją dawno temu, w dzieciństwie.

Dwa kolejne dni szliśmy wzdłuż wygiętego górskiego grzbietu. Czarne, denerwujące leje znikły bez śladu i tylko ja wiedziałem, co się z nimi stało. Z mroków pamięci wypłynęło słowo „transformer”. Uległy transformacji i odeszły. W górę, aż poza niebo, jak powiedzieliby szamani przedpotopowych troglodytów. Potężna moc posłużyła wyniesieniu ohydnych stworów poza granice atmosfery. Mimo woli przypomniałem sobie o „bronii pierwszego uderzenia”. Bronia, którą można wykorzystać tylko raz...

Widocznie czegoś takiego użyto tutaj, na Omedze-8. Wykorzystali ją w całej pełni, likwidując wszystkich należących do ludzkiej rasy. A potem broń przestała istnieć. Nie wiem jak. Nie wiem dlaczego. Mogę się tylko domyślać -- krótko żyjące formy bojowe, efektywność w zamian za długowieczność. Trzeźwy rachunek i rozsądna wymiana. W tym czasie, w odległych miejscach planety, w cichych i mętnych strumieniach ciepłego śluzu, dojrzewała druga zmiana. Chciałbym spojrzeć w oczy temu biologowi molekularnemu, który to wszystko wymyślił. Stworzył schematy przesyłu sygnałów, zasady regulacji genów, pozaplatal łańcuchy DNA i tak dalej. Profesor Siemion Bresler bez wahania oddałby prawą rękę za możliwość pracy tutaj, zwłaszcza gdyby pobyt sponsorowała imperialna bezpieka. „Z dowolnego humusu można wyekstrahować perłę -- mawiał. -- Trzeba tylko prawidłowo utworzyć równanie transformacji”.

Zastanówmy się... Żadna żywa istota nie jest zdolna do sterowania grawitacją. Do tego potrzebne są diametralnie inne technologie. Jeśli jednak ten gigant z taką łatwością wznosi się w powietrze... No, studencie Fatiejew, jak rozwiąże pan ten elementarny problem na poziomie pierwszego roku czy raczej absolwenta? Bardzo prosto. Pod inkubatorem zakopujemy w ziemi czarną skrzynkę -- jakiś antygravitacyjny alfabetagamma-tron -- a z czasem stworzenie

wchłonie ją w siebie i oplecie nerwami. Wtedy już może startować. Inna sprawa, czy taki kolos potrafi wejść w hiperprzestrzeń? To już byłaby przesada. Wszystkie międzygwiazdne statki znanych ludzkości obcych ras są ogromne. To zrozumiałe. Na przerwanie liniowości potrzebna jest ogromna energia. My możemy to zrobić dzięki energii termojądrowej. A oni? Nie wiadomo.

Tak czy inaczej, macice odeszły. Przyznaję, że zrobiło mi się nieswojo. Jeśli megażółwie rzeczywiście zdolne są do nawigacji w przestrzeni... jeśli potrafią odszukać planety... Żadne imperium nie zdoła im się oprzeć, choćby dysponowało najsilniejszą armią. Horda różnorodnych stworów, z którymi nie można prowadzić negocjacji ani zawrzeć pokoju, po prostu zmiecie nas z powierzchni planet. Chyba że...

Chyba że kontrolę nad nimi sprawują czerwone brygady. Tak naprawdę wcale nie są czerwone. Zhańbili dobre imię międzynarodowych brygad... Może wtedy, aresztując przywódców rebeliantów, udałoby się powstrzymać inwazję.

Nie miałem już wątpliwości, że to nie bunt, tylko właśnie inwazja. Inwazja Obcych. Chciałbym wierzyć, że rebelianci rzeczywiście kontrolują te stwory. Przecież nie na darmo zaprogramowali bestie na ludzkie mięso, nie na darmo nakarmili je nieszczęsnym Prochazką. Być może pierwsze uderzenie okazało się zbyt silne i rebelianci odrobinę się przeliczyli. Wtedy okazało się, że ciepły kisiel trzeba zasilać jeńcami. A wszystko to w imię wolności, równości i braterstwa. Jasne, Imperium nie jest lepsze i wcale go nie gloryfikuję -- w końcu sprzedawanie jeńców Obcym to też nic przyjemnego.

Wyobraziłem sobie, jak macice unoszą się nad planetą. Jest ich mnóstwo, może dziesiątki, może nawet setki. Nasza flota, szykująca się do „gwiazdnych wojen”, na pewno je przegapi. Albo nie zdoła odpowiednio zareagować.

Westchnąłem. Wyobraźnia rysowała apokaliptyczne obrazy -- miliardy brązowych pęcherzy, pływających w spokojnych wodach Nowego Krymu... Buczące w powietrzu niszczycielskie roje, przeciwko którym ludzka broń jest prawie bezsilna. I ostatni uciekinierzy, w panice chwytający płaczące dzieci, rzucający się do samochodów i naiwnie wierzący, że jeszcze mogą się uratować. Ale przed rojem nie ma ratunku. Twórcy żywych tornad wszystko dokładnie wyliczyli. Ludzkie ciało jest zbyt doskonale. Nie ma już takiej choroby, która zabijałaby błyskawicznie, ani takiej, na którą nie znaleźlibyśmy lekarstwa. Gdy od czasu do czasu wybuchały dziwne epidemie, w sieci podnosił się krzyk, że Obcy użyli broni biologicznej przeciwko ziemskiej cywilizacji. Typowe idiotyzmy. Zazwyczaj okazywało się, że to na jakiejś planecie zbyt opieszale zadziałała służba medyczna. Ale tutaj, na Omedze, użyto broni, i to takiej, przed którą ludzkość nie zdoła się uchronić. Ach, gdybyż to były takie potwory jak na Zecie-5! Tamte można było zastrzelić, rozerwać na strzępy pociskiem, zmiażdżyć gąsienicami ciężkiego czołgu. Ludzie wytłukliby choćby całą armię takich stworów z pieśnią na ustach -- podobnie jak starli z powierzchni Zety-5 milionowe zastępy nieszczęsnych lemurów, które prawdopodobnie znajdowały się pod kontrolą tychże potworów.

Ale na razie szliśmy przez pusty step. Wlekliśmy się w oczekiwaniu na cud, choć tak naprawdę nikt z nas nie wierzył, że zdołamy pokonać te tysiące kilometrów dzielące nas od Bismarcka...

Jednak czasem sprawdzają się stare powiedzonka. Rzeczywiście nie ma tego złego, a także szczęście bywa w nieszczęściu. Piąty dzień wędrówki przez step. Góry powoli się wycofywały, a mnie martwiło tylko jedno -- skąd weźmiemy wodę, gdy grzbiet górski rozplynie

się w południowej mgielce.

Potem... potem już było jak bajce, gdy do zagubionych dzieci nagle zlatuje z nieba anioł stróż. Na niebie pojawił się jasny, rosnący szybko punkt; niebawem, szalejąc z radości, stwierdziliśmy, że to transportowy, orbitalny wahadłowiec. Widocznie dowództwo postanowiło złamać swoje zasady i mimo wszystko wylądować maszynami z przestarzałym napędem jądrowym poza kosmoportem.

Chłopcy skakali i wrzeszczeli jak opętani. W końcu musiałem ich uciszyć:

--Spokój, do cholery! Jesteście desantem czy bandą gówniarzy?

Do wahadłowca podchodziliśmy bardzo ostrożnie, w obawie przed silnym promieniowaniem. Było tam mnóstwo najbardziej egzotycznych izotopów, a my nie mieliśmy na sobie pancerzy, chroniących przed radioaktywnością.

Z wahadłowca wysunął się długi pomost, robiąc przejście przez zanieczyszczony odcinek. Szliśmy po nim niczym rycerze Okrągłego Stołu, wracający do zamku Camelot po poszukiwaniu świętego Graala.

--Ruslan! -- podporucznik, nie, już porucznik, Rudolf podszedł i wyciągnął do mnie rękę, zanim zdążyłem wyprężyć się na baczność i zameldować regulaminowo.

Poklepał mnie po ramieniu i rzucił:

--Co się tak prężysz... podporuczniku. No, chłopcy, nie grzebać się tak. Na miejsca, przypiąć się i startujemy!

Jak wszystkie cuda, ten też miał bardzo proste wyjaśnienie. Sygnał SOS został jednak odebrany. Partia poszukiwawcza poleciała na miejsce, ale nic nie znalazła.

--Zupełnie nic, panie poruczniku?

--Rudolf. Zapominasz, Ruslan, że teraz też jesteś oficerem?

--Przepraszam... Rudolf. Faktycznie zapominam... ale co się mogło stać? Była przecież walka... widzieliście helikopter?

--Nie było żadnego helikoptera.

--Pewnie zdołali naprawić silniki.

--Możliwe. Krótko mówiąc, jedyne, co znaleźliśmy, to trawa. Żadnych płam napalmu, kompletnie nic.

--A zdjęcia z orbity?

Rudolf zająknął się.

--Hm... Dowództwo floty... jakby to powiedzieć... nie dość skutecznie zareagowało na nasze pytania. Wiecznie brakuje im satelitów i wahadłowców, więc... ale zdjęcia z satelity jednak wykonano.

--No i co? Zobaczyli coś?

--Absolutnie nic. Ani ludzi, ani bunkrów. Nasi przyjaciele mają solidne maskowanie. Po pogromie naszej bazy nikomu nawet do głowy nie przyszło, że ktoś mógł ocaleć. Prócz... no, sam rozumiesz.

Ściągnąłem brwi. Wszyscy, którzy przeżyli, do końca życia nie zapomną zamkniętych pancernych drzwi. -- A oni... wszyscy ocaleli?

--Nie wszyscy -- powiedział twardo Rudolf. -- Myślę, że będzie ci miło to usłyszeć.

Stworzenia oblepiły bunkier i przewierciły się przez beton. Nim nadeszła pomoc, wielu zdążyło zginąć.

Pokiwałem głową. Teraz nie to było najważniejsze... ale rzeczywiście poczułem dziwną satysfakcję. Sprawiedliwości stało się zadość. Nie udało im się przeczeć pod betonem i pancernem.

--Pomoc przybyła -- ciągnął porucznik -- a rój w końcu odszedł. Do tego swojego, eee... gniazda zmij.

--Wypalili inkubator?

Rudolf skinął głową.

--Do dna. Strategiczne bombowce. Pięciotonowe bomby. Wszystko, co tylko mieli, prócz głowic jądrowych. Została goła ziemia w promieniu pięciu kilometrów.

--A jaskinia? Źródło w jaskini?

--Piętnaście kierowanych rakiet próżniowych. Pół góry rozwalili. Szkoda, rzeka była piękna. Teraz jest tam pustynia.

--A dane? Dane ekspedycji?

--Nie mam do nich dostępu, Ruslan. Ale sądzę, że ocalały. Rój nie pochłonął przecież pancernych sejfów z dokumentacją. Może po prostu nie rozumiał, co to takiego. Za to wszystkie komputery zniszczono ze szczególną starannością. Mam wrażenie, że te stworzenia wiedziały, co to takiego komputer i do czego służy. Albo ktoś nimi sterował, pomyślałem.

--A inne reaktory? Po drodze naliczyliśmy jeszcze sześć sztuk na podgórzu.

Rudolf posępnie pokręcił głową.

--Na zdjęciach nic nie ma. Tylko las.

--Maskowanie...

--Chciałbym zobaczyć to maskowanie. W końcu nie chodzi o ukrycie czołgu, tylko jeziora wielkości boiska do piłki nożnej. Sześć sztuk, mówisz? O, cholera. Dobre nowiny, nie ma co.

--Mam jeszcze lepsze.

Opowiedziałem mu o macicach. O potworach, które tak łatwo wystartowały w kosmos z powierzchni planety, bez żadnych silników czy innych drobnostek. O macicach, które wchłonęły w siebie tysiące istot, niepotrzebujących czasu na metamorfozę i rozwój, od razu gotowych do walki. To właśnie te stwory oczyściły Omegę z ludzi. I załatwiły to tak, jak nie zdołałaby żadna ekspedycja karna.

Oczy Rudolfa zwężały się powoli. Dosluchał do końca i westchnął:

--*O, mein Gott...*

Sprawa zataczała coraz szersze kręgi. Jak się okazało, uratowanie nas zawdzięczaliśmy faktowi, że flota zdołała jednak umieścić na odpowiedniej orbicie odpowiedniego satelitę. Na jednym ze zdjęć wypatrzył nas dyżurny oficer, powiadomił kogo trzeba i wysłano oddział ratunkowy. Normalka. Po wysłuchaniu naszej opowieści cały batalion natychmiast zrobił nalot na bazę powstańców, a raczej na to, co z niej pozostało -- puste kaponiery, porzucone schrony i bunkry. Wewnątrz nie było nic, wszystko wypalone do cna -- rebelianci też zastosowali bomby fosforowe. W największej jaskini też już było pusto -- tam pewnie działali ze szczególnym zapalem. Batalion niczego nie znalazł i wrócił.

Dzień i noc przesłuchiwały nas całe brygady śledczych. Wywiad zapomniał, czym jest sen i spokój. Wszystkich sprawdzono wykrywaczem kłamstw. W stronę gór poleciały oddziały zwiadowcze, które potwierdziły moje słowa -- przynajmniej o tyle, że naliczyli sześć inkubatorów, które przegapił zwiad kosmiczny. Sześć pustych stawów, czy -- jak kto woli --

jezior, z wyschniętym śluzem na dnie.

Niestety, żaden z chłopców nie mógł potwierdzić moich wiadomości o macicach. I pewnie nie ominęłyby mnie długie badania psychiatryczne, gdyby nie informacje z orbity. Kontrolerzy ruchu wahadłowców zarejestrowali start macic. Pojawiły się nagle na radarach i równie nagle znikły. Wysłane na zwiad statki wróciły z niczym. Wtedy uznano -- chwała za to dowództwu floty! -- że trzeba przyjąć najbardziej szalony ze wszystkich możliwych wariantów, w rodzaju: załóżmy, że z samolotu wypadła cegła i całe miasto wyleciało w powietrze.

Dowództwo założyło, że Obcy uciekli przez „krecią norę” i teraz mogą pojawić się wszędzie, w dowolnym punkcie naszego sektora. My nie umiemy jeszcze wchodzić do tych przejść. Nie działa tam technika rozrywania przestrzeni. Umiemy wprawdzie użyć łomu, ale gdy trzeba posłużyć się kluczykiem, nie dajemy rady.

Po tym fakcie zacząłem szanować przeciwnika. Generalowie i admirałowie nie bali się śmieszności. Nie bali się też kłopotów (delikatnie mówiąc), które czekałyby ich, gdyby niczego nie znaleźli.

Poddali mnie wszelkim możliwym testom. Sprawdzali mnie, sprawdzali operatorów, a nawet przyrządy, które zarejestrowały start i wyjście macic w atmosferę. Sprawdzali aż do chwili, gdy na przekazanych przez satelitę zdjęciach dostrzegli sześć rozmytych cieni, wznoszących się nad górami Omegi-8.

Ale od momentu startu macic do chwili, gdy zdjęcia satelitarne trafiły na biurko odpowiedniej osoby, minęło kilka dni. Pewnie w wyniku jakichś technicznych problemów; trzeba przyznać, że były one Obcym bardzo na rękę.

Nie wspomniałem tylko o swojej przygodzie z reaktorem. Nie potrafiłem powiedzieć, że międzynarodowe brygady są w jakiś sposób powiązane z macicami.

Wśród rebeliantów nadal była Dalka.

Nie miałem wątpliwości, że Dariana Dark zdołała uciec. Przypominała mi starą, doświadczoną wilczycę, przywódczynię stada, która zawczasu wyczuwa niebezpieczeństwo i znajduje wyjście z każdej trudnej sytuacji. Zawsze zdąży skoczyć na sekundę przed reakcją myśliwego. Jeśli Dark miała gdzieś gotowe do startu wahadłowce, to powinny zostać po nich ślady startu. Nie jest trudno je znaleźć, imperialni żołnierze na pewno tego dokonają, ale do tego czasu wahadłowce już zabierze krążownik do złudzenia przypominający krążowniki floty imperialnej, zaopatrzone we wszelkie sygnały rozpoznawcze, bez problemu odpowiadający na zapytania „swoj-obcy”, podający kody dostępu i spokojnie, niezauważalnie odlatujący sobie gdzieś w bok. A na tym krążowniku, w magazynie ciężkich izotopów czy głowic jądrowych, będzie coś w rodzaju inkubatorów, gdzie w ciekłym azocie drzemią zarodniki, czekając, aż nadejdzie ich czas.

Tak naprawdę żadne macice nie są tu potrzebne. Ba, mogłyby nawet zaszkodzić całej sprawie. Łatwiej je zarejestrować, poza tym ze względu na swoje rozmiary są bardziej wystawione na ciosy. To nie to, co małe brązowe pęcherzyk, wrzucony do stawu, tylko gigantyczne monstrum. A my, ludzie, potrafimy sobie poradzić z potworami. Robimy to od zawsze, od czasów, gdy neandertalczyki zabijali mamuty kamieniami...

Sprawa brygad wcale nie jest taka oczywista. Broń pierwszego uderzenia, która na razie istnieje tylko w mojej wyobraźni, znacznie łatwiej wyhodować na samej planecie. A może konieczna jest swego rodzaju masa krytyczna, którą zapewnia zarzucenie planety od razu

wieloma macicami? Może. Skąd mam wiedzieć?

Powiedzieć czy nie powiedzieć dowództwu o brygadach? Jeśli powiem, ludzie, z którymi powinienem właściwie walczyć ramię w ramię przeciwko Imperium, całymi tysiącami powędrują na katorgę. W dodatku, jak zawsze, imperialny wywiad wyłapie tylko szeregowych członków. Przywódcy ukryją się, uciekną albo wykupią. I wezmą ze sobą te zarodniki, które podobno kontrolują. I wszystko będzie się toczyć dalej. Z każdym miesiącem będzie rosła liczba pustych, usłanych szkieletami planet.

Z drugiej strony, moje milczenie to wyrok śmierci dla tysięcy, a nawet milionów ludzi. Jeśli cała potęga Imperium zaatakuje startujące z planety macice, osobniki w rodzaju Dariany Dark będą kontynuować swoje -- nomen omen -- dzieło. Dzieło ciemne i niszczycielskie, którego nie usprawiedliwia nawet walka o wolność.

Nie po to wstąpiłem do armii, żeby pracować na emeryturę. Przyszedłem tu, by walczyć o wolność mojej planety i mojego narodu tak, jak to rozumiem. Ale nie mogę okupić mojego zwycięstwa hekatombami niewinnych ofiar. Brzmi patetycznie, ale co zrobić. Wstydzimy się wielkich słów, a przecież to właśnie one oddają najwyższe i najczystsze idee.

Wahałem się. Moje słowa będą wyrokiem dla brygad. Imperium zacznie polować na ich członków jak na dzikie zwierzęta. Własne rodziny zwrócą się przeciwko nim. A może Imperium właśnie na to czeka? Na wojnę domową tu, na peryferiach, żeby raz na zawsze zniszczyć ostatnie ośrodki oporu w imię nowego, imperialnego porządku?

Nie powiem, żeby ta świadomość pomogła mi podjąć decyzję.

Tymczasem rzeczywiście awansowano mnie na podporucznika. Uratowanie żołnierzy przed rojem i wyrwanie ich z niewoli potraktowano jako zdanie egzaminu na oficera. Pomiąłem wszystkie stopnie podoficerskie i dostałem patent polowy, który i tak będę musiał potwierdzić w akademii po zakończeniu działań bojowych. Poza tym odznaczyli mnie kolejnym żelastwem.

Moja drużyna zmniejszyła się. Chang nadal błąkał się po szpitalach wojskowych, Fatih zginął. W ramach uzupełnienia przeszło do nas dwóch szeregowców, z tych, którzy uratowali się przed rojem. Ich drużyny już nie istniały, nawet dowódca zginął. Dołączył do nas Peter (też z rasy panów) i Norweg Torvald.

Podporucznik, nawet posiadający jedynie patent polowy, nie powinien dowodzić drużyną -- to jest zadanie dla sierżanta -- lecz plutonem. W czasie pokoju za nic nie powierzyliby mi plutonu, ale pokój się skończył, ktoś wbił Imperium zatrutą strzałę w bok i potężny zwierz zaczął się budzić z uśpienia. Bataliony przekształcano w pulki. Wszyscy czekali na ogłoszenie stanu wojennego, oddziały kadrowe spodziewały się masowego napływu ochotników.

Jako pierwszy pogratulował mi awansu sierżant Klaus Maria Pferzegtakl. Taki był przy tym poważny i uroczysty, że o mało mnie nie zemdlilo. Zgodnie z regulaminem przeszedł na krok marszowy, gdy tylko znalazł się sześć metrów ode mnie, trzasnął obcasami i podrzucił dłoń do skroni z takim zapalem, jakby salutował Jego Wysokości Cesarzowi.

--Panie poruczniku! Pozwoli pan, że wyrażę swoje najszczerze gratulacje. Ośmielam się wyrazić nadzieję, że będzie pan znakomitą podporą naszego zasłużonego ruchu.

--Spocznij, sierżancie -- odsalutowałem. -- Bardzo proszę, bez szarż.

Klaus Maria uśmiechnął się szeroko i podał mi dłoń.

--Naprawdę się cieszę, że do tego doszedłeś, Rus. Zawsze wiedziałem, że z ciebie dobry

żołnierz. Wy, Rosjanie, wszyscy jesteście dobrymi żołnierzami, jak się was odpowiednio zdenerwuje.

--Dziękuję... Klausie Mario.

Chyba sądził, że wzruszę się jego słowami. Mój Boże... Nic dziwnego, że tak długo jest starszym sierżantem sztabowym. Ze względu na wysługę lat może zdobyć jedynie dodatkowy, specjalny stopień dla takich jak on. Coś w rodzaju starszego starszego sierżanta.

Ale do oficerskich pagonów nie dopuszczają go na odległość strzału z armaty.

Wydawało się, że czas przyspieszył swój bieg. W Neue Bismarcku roilo się od ludzi i sprzętu. Dwa korpusy pospiesznie zwijały manatki, szykując się do ewakuacji. Nie było już z kim walczyć, nie było kogo chronić. Na planecie pozostał jedynie niewielki oddział, mający się zająć poszukiwaniem powstańców oraz ich baz. Wzmocniony, zmotoryzowany pułk z samodzielnym batalionem ciężkich czołgów -- wystarczy na każdą brygadę.

A tymczasem we wszystkich programach sieciowych zaczęto nadawać marsze. Zniknęły zabawne przerywniki przed wiadomościami; teraz na wszystkich kanałach, na wszystkich stronach powiewały flagi, huczały helikoptery, przeszkody pokonywali waleczni czołgiści.

Wiadomości imperialne, wydanie specjalne (www.kaiserreich.req):

--Jak oświadczył w dniu dzisiejszym minister spraw wewnętrznych, sytuacja w Ósmym Sektorze Imperialnym nadal pozostaje napięta. Akcje powstańców nabierają coraz większego rozmachu. Działalność elementów wywrotowych, działających pod osłoną legalnych organizacji, spowodowała zamieszki na wielu planetach, zwłaszcza na centralnej planecie Ósmego Sektora, znanej jako Iwołga.

W kadrze: typowy obrazek ulicznych burd. Płonące samochody, rozbite witryny, przewrócone słupy, zniszczone automaty handlowe i tak dalej.

--Wśród ludności rozprzestrzeniane są defetystyczne pogłoski, stwierdził pan minister, informacje niesprawdzone i nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Do ich rozpowszechniania przyczyniają się również tak zwane wolne środki masowego przekazu, dodał. Nasi ludzie przywykli ufać słowu elektronicznemu, przyzwyczaili się uważać za prawdę to, co pojawia się na stronach sieciowych pod znanymi witrynami. Pewne osoby, twierdzi pan minister, wyraźnie nadużywają cierpliwości Jego Wysokości i pobłażliwości komitetu cenzury, w ostatnich latach skupiającego się głównie na szkolnych podręcznikach, aby przeprowadzić unifikację programów humanistycznych. Podawane są niesprawdzone i sprzeczne wiadomości, pochodzące rzekomo z planety Omega-8. Imperialne Siły Zbrojne oskarża się o użycie broni biologicznej, przy czym informacje -- a raczej dezinformacje -- oscylują między stłumieniem w ten sposób walk wyzwoleńczych kolonistów a awarią w tajnej fabryce produkującej taką broń. Zostałem uprawniony do oświadczenia, że to wszystko plotki, próba rozerwania monolitycznej jedności narodu Imperium. Tragedia, do której rzeczywiście doszło na planecie, nie ma nic wspólnego z działaniem jakichkolwiek imperialnych organów władzy. W rzeczywistości mamy tu do czynienia z inwazją Obcych.

Zmiana obrazu. Teraz widzimy jedno z cmentarzysk na Omedze-8. Spiker mówi powoli i ze smutkiem:

--Widzicie państwo jeden z wielu bezimiennych cmentarzy na planecie. Koloniści dotarli do tego miejsca różnymi środkami lokomocji -- widać porzucone samochody, motocykle, nawet rowery. Prowadząca dochodzenie prokuratura generalna uważa, że ludzie zostali tutaj

spędzeni. Można sobie wyobrazić, co czuli w tych ostatnich momentach, zagrożeni atakiem potwornych istot, najstraszliwszych, jakie można sobie wyobrazić. Liczyli na ratunek, ale nawet współczesna technika nie mogła pokonać takiej odległości błyskawicznie. Poległ cały garnizon planetarny Omegi-8. Jak wyraził się naczelnik biura RSCHA Ósmego Imperialnego Okręgu, generał brygady Maksymilian von Pandenburg, cytując: „Nie ma żadnych danych świadczących o tym, że zakwaterowane na Omedze-8 oddziały 404. Pułku Grenadierów w najmniejszym choćby stopniu uchybiły obowiązkowi wobec Jego Wysokości Cesarza oraz Ojczyzny”.

Na Omedze-8 nie ma już ludzi, których Imperialne Siły Zbrojne mogłyby bronić. Jednak przebiegły wróg zdołał przeniknąć do naszej przestrzeni kosmicznej. Na skutek chwilowej przewagi technicznej nieprzyjaciela jego statki zdołały wejść w hiperprzestrzeń nieopodal nieszczęsnej planety. Gdzie uderzą następnym razem? Tego nie wiemy. Część wojskowych uczonych wyraża opinię, że Obcy mogli wykorzystać tak zwane „krecie nory” w przestrzeni, do których wejście wymaga znacznie mniejszych ilości energii. Nasi specjaliści pracują nad tym problemem, jednak na razie nie rozwiązali kwestii wejścia i nie uporali się ze zjawiskiem, że korzystający z takiej „nory” statek może lecieć tylko w jednym kierunku, bo nawigacja w hiperprzestrzeni staje się niemożliwa. Nie możemy podać do wiadomości publicznej hiperprzestrzennych wektorów tych „nor”, znanych już naszym badaczom, bo informacje te są ściśle tajne. Możemy natomiast zapewnić, że wszystkie są zlokalizowane w granicach jednego okręgu imperialnego i nie prowadzą do Wewnętrznych Planet, nie mówiąc już o Ziemi. Metropolie nie muszą się więc niepokoić. A teraz przerywamy nasz komentarz, by powtórnie nadać przemowę Jego Wysokości Cesarza Wilhelma III.

Kamera pokazuje ubranego w mundur galowy cesarza -- szczupłego mężczyznę o prawdziwie aryjskiej twarzy. Doświadczony historyk sztuki nie dostrzegłby żadnego podobieństwa do portretów Habsburgów czy Hohenzollernów. Cesarz znajduje się w swoim gabinecie, którego wygląd jest znany całemu Imperium. Na ścianie za plecami imperatora -- portrety Fryderyka Wielkiego i Ottona von Bismarcka.

--Obywatele! Rodacy! *Kameraden!* Dzięki czujności naszych dzielnych Sił Zbrojnych możemy zdecydowanie obwieścić, że przebiegły wróg zewnętrzny dokonał zamachu na nietykalność naszych świętych granic. Także nie mniej przebiegły i tchórzliwy wróg wewnętrzny postanowił wykorzystać chaos wojny z Obcymi do własnych celów.

Planeta Ósmego Sektora, zwaną potocznie Omega-8, została zaatakowana przez nieznaną Obcych. Cała ludność cywilna padła ofiarą krwiożerczych agresorów. Dzielne oddziały naszej Reichswehry walczyły bohatersko i poległy w nierównej bitwie. Cześć ich pamięci.

Korzystając z mojej władzy, ofiarowanej mi przez całą ludzką populację, ogłaszam wprowadzenie w przestrzeni Imperium stanu wojennego...

Powiedzmy sobie szczerze, że to przede wszystkim zwykła propaganda. Na przykład ten fragment o dzielnych oddziałach Reichswehry. Wszystko oczywiście było ściśle tajne, ale podobno załatwili ich po prostu w czasie snu. W każdym razie chłopcy, którzy brali udział w kopaniu rowów i układaniu w nich rozpoznanych szkieletów, mówili, że niemal wszyscy żołnierze zakwaterowanego na Omedze-8 404. Samodzielnego Pułku Grenadierów zginęli we własnych łózkach.

Pozostałe punkty imperatorskiej przemowy też nie wyróżniały się oryginalnością. Jak nie wiesz, co masz robić, zajrzyj do regulaminu. Jak się okazuje, tę złotą zasadę każdej armii stosują również koronowane głowy. Stan wojenny w całym Imperium i tryb nadzwyczajny w naszym Ósmym Sektorze. Zakaz zebrzań, pochodów i wieców. Cenzura sieci. Natychmiastowa zsyłka na Swaarg za otwieranie stron w sieci bez licencji. Za dawnych dobrych czasów zapewne ogłoszono by natychmiastową mobilizację rezerwistów, ale w naszym Imperium nie istnieje żadna gwardia narodowa czy inne formy uzbrojonej milicji. Skierowano więc odezwę do wszystkich „młodych patriotów”, aby dobrowolnie wstępowali do szeregów sił zbrojnych. W tym celu utworzono nawet nowe punkty werbunkowe. Oddziały kadry oficerskiej należało rozszerzyć zgodnie z wymogami sytuacji.

Tannenberg również przeformowano. Oczywiście, jak na zwykły batalion sześć kompanii (włączając kompanię ciężkiego uzbrojenia) to trochę dużo. Wydano więc rozkaz, by Tannenberg stał się samodzielnym desantowo-szturmowym pułkiem szczególnego przeznaczenia. Plutony zredukowano do trzech drużyn plus dowódca i obsługa kierowanej broni raketowej, przez wzgląd na tradycję zwaną przeciwpancerną. Kompania liczyła teraz trzy plutony desantowe i pluton ciężkiego sprzętu (dwie załogi). Batalion składał się z dwóch kompanii, plutonu medycznego, plutonu zwiadu, plutonu saperów i lekkiej baterii. Jeden „stary” batalion rozszerzono, tworząc trzy nowe, z których każdy składał się z dwóch kompanii. W przyszłości w każdym batalionie miała powstać trzecia kompania. Pułk liczył siedemdziesięciu pięciu oficerów, siedmiu administratorów, czterystu dziewięćdziesięciu trzech sierżantów i dwa tysiące czterystu siedemdziesięciu czterech szeregowych. W sumie nieco ponad trzy tysiące. Tannenberg zawsze był dość liczny batalionem, ale teraz mogliśmy stanowić połowę prawdziwego pułku.

Macice startujące z powierzchni planety po prostu znikły -- rozplynęły się w przestrzeni. Flota przeszukiwała peryferie Omegi, nie robiąc sobie jednak wielkich nadziei. Na Iwołdze z rozkazu gauleitera ogłoszono nie tylko stan wojenny, ale również okupację. Zawieszono działalność urzędów i organizacji, których istnienie „nie jest niezbędne do zapewnienia prawidłowego funkcjonowania planety”. Zaczęto tworzyć oddziały Volkssturmu, czyli niewyszkolonego pospolitego ruszenia. Jedyne, co mogliby zrobić ci ochotnicy w starciu z rojem, to masowo polec. Tak jak umarli ludzie na Omedze-8.

Armia wycofywała się na Iwołgę. Część floty pozostała w przestrzeni Omegi-8.

Do Iwołgi szliśmy całą naprzód. Jak zwykle nic nie wiedzieliśmy, nikt nas o niczym nie informował. Chłopcy po raz tysięczny omawiali wszystkie plotki, zasłyszane w czasie załadunku w kosmoporcie Neue Bismarcka.

Szedłem właśnie korytarzem do kubryku mojej drużyny, gdy ujrzałem zjawę. Zjawa miała na sobie czarny mundur z podwójnym S na kołnierzyku i do złudzenia przypominała Gilvy. Oslupiałem. Nikt nie poinformował nas, jak skończyła się tamta historia z rojem i bunkrem. Tym samym bunkrem, do którego nas nie wpuszczono.

W odróżnieniu ode mnie, Gilvy wcale nie była zdumiona. Zaśmiała się radośnie, rzuciła mi się na szyję i mocno ucałowała.

--Gratuluję... panie podporuczniku -- uśmiechnęła się figlarnie, oglądając mnie od stóp do głów. -- Pewnie powinnam ci teraz oddawać honory?

Koszarowa etykieta nakazywałaby zacytowanie dowcipu o oddawaniu honorów w ruchu,

ale darowałem sobie.

--Dzięki za gratulacje, Gilvy. Szkoda, że nie masz tu swoich konfitur, moglibyśmy od razu to uczcić.

--I tak możemy -- roześmiała się. -- To co, mogę jak dawniej mówić do ciebie Ruslan, bez dodawania „panie poruczniku”?

--Możesz. Gilvy, słuchaj, powiedz mi, co się wtedy...

Sposepniała i odwróciła wzrok. Westchnęła ciężko i ostrożnie odsunęła nieregularnie długi pukiel włosów, spadający na szyję poniżej lewego ucha. Zobaczyłem brzydką bliznę -- purpurowy ślad, otoczony krwawymi niteczkami naczynek. Dziwna szrama, trochę przypominająca narośl. -- To... stamtąd?

--A jak myślisz? Wdarły się do środka... żywa chmura, jadowite chrząszcze, muchy i jakieś skrzydlate szcury... Zaatakowały nas. Było ich tak dużo, że po prostu wszystkich przykryły.

--A pancerz?

--Pancerz też nie chroni przed wszystkim, Rus... Pewnie użyły kwasu.

--Kevlar jest odporny na wszelkie kwasy, Gilvy.

--Cóż, widocznie na ich kwasy nie. Wszyscy krzyczeli, biegali... Nie trwało to długo. Ktoś się zdążył zastrzelić. Inni zostali rozerwani dosłownie na strzępy. Pewnie dziwisz się, jakim cudem przeżyłam? Nie mam pojęcia. Moje zwierzchnictwo nie daje mi spokoju. Testują, badają, sprawdzają... i dalej nic nie wiedzą. Ja też nie wiem, Rus. Pamiętam, że piszczalam, że wcisnęłam się pod stół i pomyślałam, że to już koniec... Ale tylko raz ugryzło mnie coś w szyję, za to tak mocno, że straciłam przytomność. Jak się ocknęłam, grupa ratunkowa już tam była. To ślad po tym ugryzieniu -- znowu dotknęła szramy. -- Cztery razy operowali i znowu będą ciąć. Podobno rana była zanieczyszczona obcym aktywnym materiałem biologicznym.

--To dlaczego wypuścili cię z kwarantanny?

--Prześwietlili mnie, pokłuli... Bali się, że może się we mnie rozwinąć zarodek. Ciągłe pobierali próbki do analizy, już myślałam, że wypompują ze mnie całą krew. I nic nie znaleźli.

--No, to chyba jasne -- powiedziałem. -- Te stwory na pewno mają specyficzny metabolizm, ogromne tempo rozwoju. Taki zarodnik już dawno zeżarłby cię od środka.

--Lekarze mówią to samo, Rus -- wargi jej zadrżały. -- Pewnie kłamią. Chcą mnie uspokoić...

--Gilvy, gdyby mieli jakiegokolwiek podejrzenia, nie wypuściliby cię z kwarantanny -- powiedziałem z przekonaniem. -- Trzymaliby cię pod kroplówką albo po prostu... uśpili. Sama wiesz, jakie to zagrożenie.

--Aha... -- pociągnęła nosem. -- Też tak to sobie tłumaczę. Muszę myśleć, że nie ma we mnie żadnej zarazy, bo inaczej byśmy tu nie rozmawiali. Dobra, dajmy temu spokój, pogadajmy o czymś weselszym. Nie wstąpiłby pan do mnie, panie poruczniku? Po starej znajomości?

--Żeby sobie poczytać książkę? -- uśmiechnąłem się. Porucznik, nawet z patentem polowym, mógł się już nie obawiać kontroli pani kapitan Schulze.

--Chociażby. Komu jestem teraz potrzebna z taką ozdobą?

--Nie wiesz, czy ktoś przeżył z tych, co byli w bunkrze?

--Z dziesięć osób. Też wszyscy pogryzieni, tak jak ja. Jakoś się wygrzebali. Tylko źle się to goi -- poskarżyła się.

--Do wesela się zagoi -- powiedziałem odruchowo, a Gilvy od razu sposepniała.

--Rus, kto wie, czy dożyjemy jutra... Skoro taki potwór wyrwał się na wolność...

--To nic, Gilvy. -- Czy naprawdę nie potrafiłem wymyślić nic bardziej oryginalnego? -- To nic, damy radę. My, ludzie, zawsze dawaliśmy sobie radę i szliśmy naprzód. Jeszcze nikt nas nie powstrzymał. A jakieś tam roje... spalimy i po krzyku. W ostateczności poświęcimy jedną planetę.

--Aha... Pójdę już, Rus. Wybacz, służba.

Pożegnaliśmy się. Coś w niej chyba pękło, gdy przeżyła własną śmierć pod rojem.

Gdy w końcu dotarliśmy do Iwołgi i wyszliśmy z hiperprzestrzeni, w eterze rozbrzmiewały krzyki przerażenia i paniki.

Macice dotarły do Iwołgi przed nami. I już wylądowały.

Wydarzenia, które rozegrały się na planecie przed naszym przylotem, mogliśmy obejrzeć jedynie na monitorach. Na Iwołdze, mimo ogłoszenia całkowitej ewakuacji kobiet, dzieci i starców, mimo równie totalnej mobilizacji wszystkich zdolnych do noszenia broni, pozostała spora grupa reporterów, którzy nie zważając na nic, nagrali pojawienie się Obcych. Z chaosu szalejącego w sieci my, oficerowie Tannenberga, z pewnym trudem wyłowiliśmy informację, że macice wyprzedziły nas o dwa dni.

System dalekiego wykrywania znowu je przegapił mimo całkowitej gotowości bojowej. Macice były prawie niewidoczne dla radarów.

Nie udało się przechwycić i zniszczyć Obcych w przestrzeni, chociaż na orbicie Iwołgi wisiały wszystkie wolne statki floty. Dziesięć czarnych, żywych bolidów, zamkniętych w pancerzu, wyszło z nicości w realną przestrzeń, wyhamowało płynnie i z godnością, bez pośpiechu zaczęło lądować. Ani atmosfera, ani wysoka temperatura przejścia nie stanowiła dla nich problemu, najwyraźniej nie musiały wytracać prędkości i jeśli nawet hamowały, to dopiero tuż przed kontaktem z powierzchnią planety. Spadły do oceanów Iwołgi i ukryły się pod wodą, nie ujawniając się przez czterdzieści osiem godzin.

Iwołga praktycznie nie miała regularnej floty wojennej -- nie była tu potrzebna. Po wodach planety pływało jedynie kilka fregat patrolowych, ochraniając szczególnie cenne ładunki i walcząc z ewentualnymi piratami. I tylko czyjejś przezorności, albo przeciwnie, tępemu przestrzeganiu regulaminu, należało zawdzięczać wyposażenie fregat w broń do walki z potencjalną flotą podwodną piratów. Teraz te jednostki, przeciążając turbiny, zmierzały do miejsc lądowania macic, rozrzuconych wzdłuż równika planety w niedostępnych głębiach oceanicznych. Nie wiedziałem tylko, co statek, uzbrojony w jedno pięciocalowe działo automatyczne z różnorodnymi zestawami rakietowymi, mógł zdziałać wobec macicy, która zeszła na głębokość pięciu kilometrów...

Na takiej głębokości macice były stosunkowo bezpieczne, tyle że nie miały tam pola do popisu. Mogły wprawdzie przygotowywać swoją wyspecjalizowaną armię, ale o wypuszczeniu chmury czy roju nie mogło być mowy. W tym celu macice musiałyby wyjść na ląd albo przynajmniej wypłynąć na mieliznę.

Miejsca ich zanurzenia były znane i już wisiały nad nimi satelity. W przedziałach „Merony” wszyscy dyskutowali na jeden temat -- czy należy wymierzyć cios nuklearny. Uderzyć głowicą termojądrową o mocy stu pięćdziesięciu megaton -- nic łatwiejszego, tylko co stanie się z oceanami planety po detonacji dziesięciu takich ładunków?

Imperium zawsze bardzo ciężko przeżywało najmniejsze nawet straty terytorialne.

Podejrzałem, że mając do wyboru masową rzeź z wątpliwymi szansami na zwycięstwo i utratę planety, bez wahania wybierze to pierwsze.

Nie pomyliłem się. Na nieszczęsną Iwołgę, która już wkrótce miała stać się polem bitwy, zaczęto przerzucać sprzęt. Czołgi, samoloty szturmowe, bombowce, samoloty dalekiego zasięgu, kutry głębinowe...

Niedawno powstały pułk Tannenberg otrzymał na I woldze pierwsze uzupełnienia bojowe. Ochotnicy, którzy wstąpili do naszych szeregów, pochodzili stąd. Posępni, skoncentrowani, niewiele rozumiejący, ale gotowi walczyć do końca. Było ich bardzo wielu. Przyjęliśmy ludzi, z których dopiero trzeba zrobić żołnierzy.

Ja, podporucznik Fatiejew, dowodziłem teraz plutonem. Mikki, Glinka i Nazarian -- drużynami. Opanowany i powściągliwy Günter stworzył wraz z Torvaldem i Peterem wspaniałą obsługę baterii rakiet. Dostarczono nam moździerz i śrutówki. Ulepszano pancerze, poddając je działaniu wszelkich kwasów -- organicznych i nieorganicznych, w obecności najróżniejszych katalizatorów. Tak jak można się było spodziewać, my, czyli jedyny pluton, który przeszedł chrzest bojowy na Omedze-8, mieliśmy przyjąć na siebie pierwsze uderzenie Obcych.

Przygotowaliśmy się bardzo starannie. Dostaliśmy nową broń, nową amunicję i nowe pancerze. Połowa Imperium pracowała na tę nową wojnę; na Wewnętrznych Planetach ludziom znowu przypominano o istnieniu kartek, talonów i racji żywnościowych. Naturalne produkty zastąpiono wytworami biosyntezy -- brykietami chlorelli i innymi świństwami, po które człowiek sięga jedynie wtedy, gdy gnębi go głód.

Nasz pułk przerzucono nad morze, do małego miasteczka portowego, którego nazwa -- Peenemünde -- zdążyła się już zadomowić w wiadomościach imperialnych.

Wkraczając do czystego i schludnego miasteczka, nasza kolumna mogła obserwować dobiegającą końca ewakuację cywili. Autobusy wypełnione zawodzącymi kobietami i płaczącymi dziećmi wyruszały jeden za drugim, kierując się na niewielkie miejscowe lotnisko. Nastolatki z miejscowego gimnazjum odmówiły wyjazdu -- widocznie niczego bardziej nie pragnęły, niż znaleźć się w wirze prawdziwej wojny. Trzeba było ich wpychać do autobusów na siłę.

Mężczyźni zostali. Ci, którzy jeszcze nie wstąpili do szeregów armii imperialnej, tworzyli Volkssturm. Zawsze wątpiłem w sens podobnych pomysłów. Tłum niewyszkolonych ochotników, nie mający nie tylko normalnej broni, ale co najważniejsze, pancerza, rój zlikwiduje w ciągu kilku chwil. Ale kto by tam słuchał zwykłego podporucznika, nawet odznaczonego Żelaznym Krzyżem?

Wyznaczyli nam sektory obrony, jakbyśmy czekali na wrogi desant morski. Volkssturm z entuzjazmem kopał rowy -- żadnego bardziej odpowiedzialnego zajęcia nie można im było powierzyć. Tannenberg szkolił swoich nowicjuszy...

Nadchodziły niepokojące wieści, dostaliśmy rozkaz szykowania się do walki. Macice wypoczęły na dnie oceanu i teraz powoli przemieszczały się w stronę lądu. Peenemünde znalazło się na trasie aż dwóch.

Podobno dowództwo próbowało zaatakować przyczajone na dnie macice pospiesznie opracowanymi nowymi typami torped głębinowych. Niestety, okazało się, że nie są w stanie naruszyć czarnego pancerza.

Sztab pospiesznie przygotowywał drugi atak, wychodząc z założenia, że skoro nikt nie

zlikwidował praw fizyki, to cały problem polega wyłącznie na zbyt małym ładunku wybuchowym. Rozgorączkowani eksperci proponowali, żeby użyć torped jądrowych (zachowanych jeszcze z dawnych czasów), ale admiralicja się nie zgodziła.

Chyba mają tu wszystko wyliczone, myślałem wieczorem, oglądając bez zarzutu wykopane rowy i okopy mojego plutonu. Wszystko zgodnie z planem -- tylko czy najlepszy plan przyda się na coś w walce z takim wrogiem?

Zapewne twórcy macic przewidzieli ewentualne próby zniszczenia ich superpotężnymi bombami, stąd ta odporność... Zresztą, jeśli macice mają własne źródło energii, pozwalające im wzlatywać z powierzchni planety i wchodzić do hiperprzestrzennych tuneli, to pewnie wyposażono je również w generator pola siłowego. Macice staną się bezbronne -- na krótką chwilę -- tuż po otwarciu pancerza i wypuszczeniu słynnej broni pierwszego uderzenia. Wprawdzie nad nami wiszą satelity, dzień i noc dyżurują chłopcy ze zwiadu radarowego, ale ten moment będzie zbyt krótki, żeby go w pełni wykorzystać i zbombardować macicę. Znacznie więcej szans na właściwe wykorzystanie tej chwili mieliśmy my, komandosi.

Dwie macice, płynące w stronę Peenemünde, w ciągu dwudziestu czterech godzin pokonały sześćset kilometrów. Zapewne już jutro dotrą do brzegu, a my przyjmiemy na siebie pierwsze uderzenie.

Ostatnia noc przed walką. Nowicjusze nie spali, za to Mikki chrapał bohatersko, wychodząc z rozsądnego założenia, że druga taka okazja do wyspania nieprędko się trafi. Wielu żołnierzy się modliło. Ja też.

Było mi tak ciężko na duchu, że nawet modlitwa nie pomagała. Nie czułem ulgi i pocieszenia, nie widziałem światła, nic prócz czarnych skłębionych chmur, śmierci i rozpacz...

O świcie ożyły oficerskie komunikatory i nienaturalnie twardy głos pułkownika Vallensteina powiedział tylko dwa słowa:

--Są tutaj.

Na lewo od nas, na wschodzie, powoli wstawało miejscowe słońce. Tafla morza była gładka i majestatyczna. Lekki przybój lizal złocisty piasek plaży -- Peenemünde służyło jako kurort. Ale błękit zlewającego się z niebem morza był pusty. Deski windsurfingowe nie cięły wody, motorówki amatorów połowu ryb głębinowych nie zostawiały pianistych śladów, jachty nie kołysały się na falach. Morze było martwe. Czekaliśmy, niczym Perseusz, na pojawienie się morskiego potwora, tylko w odróżnieniu od niego, nie mieliśmy odciętej głowy Meduzy -- swoistego *ultima ratio regum**. *Za to zwykłych dział mieliśmy pod dostatkiem.*

--Panowie oficerowie! -- rozległ się w komunikatorze głos Vallensteina. -- Są już cztery kilometry od brzegu. Dowództwo zaczyna przygotowanie artyleryjskie. Wszyscy do schronów! Minuta!

--Minuta! -- wrzasnąłem do swojego plutonu. -- Wszyscy do schronów! Schować się! Schować się! Mikki, do cholery! Zabierz swoich! Kriak! Gdzie leziesz, ofermo?

Zostało piętnaście sekund, gdy wskoczyłem do swojego schronu i przypadłem do okularu lornety nożycowej.

Nad naszymi głowami rozwijano właśnie rulony cienkiej, żaroodpornej sieci -- dzięki niej sztab generalny mógł zorganizować całą operację. Naciągano ją nad okopami tak, żeby nie przeszkadzała w strzelaniu. Musieliśmy tylko pogodzić się z faktem, że w czasie używania miotaczy mieszanka zapalająca będzie kapiała na nas.

Człowiek, kto zaplanował całą tę operację i poważnym głosem oświadczył: „Zsynchronizujemy zegarki”, mógł być z siebie dumny. Artyleria, rakiety, bombowce wykonały rozkaz z dokładnością do ułamka sekundy.

Huknął grom i na morzu wzbily się w górę białe słupy piany. Huknęło drugi, trzeci, piąty raz, a potem już łomotało bez przerwy. Spadały pociski. Wyobraziłem sobie, jak dygoczą z wysiłku, otulając się kłębami błękitnego dymu, sześć- i ośmiocalowe działa pancerne; jak wysoko zadzierają lufy; jak z prowadnic wylatują rakiety... Widocznie za naszymi plecami skoncentrowano co najmniej dywizję artyleryjską.

Minęło pięć, dziesięć, piętnaście minut, a kanonada nie milkła. Pas szalejącego piekła o szerokości pół kilometra. Artylerzyści mogli działać bardziej precyzyjnie, ale chyba się asekurowali. Z powietrza pewnie było widać znacznie więcej, niż mogliśmy dojrzeć z naszych pozycji. Teraz powoli koncentrowali ogień, przesuwając go coraz bliżej brzegu.

Na stanowiskach artyleryjskich lecą na boki puste skrzynki po amunicji. Kanonierzy starają się jak mogą. Celują w biały świetlny punkt, nie mając pojęcia o efekcie swoich działań. Słyszą tylko w komunikatorach nieubłagany głos, rozkazujący coraz bardziej obniżać celownik. Rozwścieczony „bóg wojny” wali w gigantyczny bęben, setki luf wypluwają ogień, raz po raz rozbrzmiewają wryte w pamięć komendy:

--*Feuerbereit!*

--*Zweihundert, eins Schuss, frei!!!*

--*Abgefeuret!*

--*Vierzig rechts, eins Schuss, frei!!!*

--*Abgefeuret!*

I tak dalej. Morze wrzało od spadających i rozrywających się pocisków, jednak, ku mojemu rozczerowaniu, nie padły komendy obniżenia celownika, czyli przybliżania do brzegu punktu upadku pocisku. Stwory sunęły po dnie i chyba nie miały zamiaru zwalniać. Szaleńczy ogień nie robił na nich najmniejszego wrażenia.

Mimo woli sięgnąłem do komunikatora. Jeszcze chwila i czarne pancerze wynurzą się z wody. Wtedy muszą się otworzyć. Jeśli w tym momencie nakryje je artyleria...

Setki dział metodycznie ostrzeliwały morską taflę. Białe słupy wody, piany i dymu wlatywały w górę coraz bliżej nas, a zmierzające do brzegu macice czuły się świetnie, wcale nie mając zamiaru ginać w strasznych męczarniach.

--Uwaga -- odezwałem się półgłosem do komunikatora. -- Ogień otwierać tylko na komendę. Słyszycie, chłopaki? Na komendę!

Gwałtownie załomotało mi w piersi, jakby serce próbowało się przebić przez żebra. Poczulem silny ból; coś kazało mi wyskoczyć ze schronu, biec do przodu, do tego, co wynurzało się z morza, żeby połączyć się z tymi istotami, stać się jedną z nich...

Gdy pociski rozrywały się już w pasie przyboju, ogień nagle przerwano. Z wody wynurzyły się dwa olbrzymie garby; czarne lśniące kopuły uniosły się nad powierzchnię. Były zupełnie nieuszkodzone, jakby nie atakowała ich, nie oszczędzając amunicji, cała dywizja artyleryjska. Strumienie piany sływały w dół, rozbijając się o wystające, ostre krawędzie... I wtedy w „żółwia” uderzyła jednoczesna salwa ze wszystkich dział. Woda, powietrze -- wszystko zmieniło się w ocean ognia. Od huku na chwilę ogłuchłem, nie pomogły żadne tłumiki drgań. Schron się zatrzęsł i odrzuciło mnie od lornety.

Po takim ciosie nic nie mogło przetrwać. Macicom nie pomógłby żaden pancerz. Jeśli tylko tych potworów nie chroni coś znacznie silniejszego...

Po tej salwie zapanowała cisza. Stworzenia były zbyt blisko naszych pozycji. Przez głowę przemknęła mi myśl: po co my tu w ogóle siedzimy, czy nie lepiej poczekać, aż czarne pancerze się otworzą i dopiero wtedy zaatakować z całej siły raketami, pociskami i bombami?

--Maski -- szepnąłem do komunikatora.

Pancerne płyty zaczęły się rozsuwać. Wcale nie w męce, nie w żadnych skurczach -- rozeszły się lekko i bezgłośnie. Nad morzem, nad udręczoną plażą strzeliły w górę czarne słupy. W tym samym momencie morze znowu zawrzało -- w ślad za dwoma gigantami szły oddziały karzelków. Nie tak potężne, ale znacznie groźniejsze. Stworzone, by zabijać. Nie znające niczego prócz śmierci.

Nie miałem czasu sprawdzić, z jakich stworów składają się roje ani kto maszeruje w szeregach pieszych napastników, które wyrzucały z siebie macice.

Komunikator zasyczał, zatrzeszczał i przez szумы i zakłócenia przebił się ledwie słyszalny głos kapitana Möchbaua. Nie mogłem zrozumieć, co mówi, ale sens i tak był oczywisty.

Otworzyć ogień ze wszystkiego, co może strzelać.

Pewnie z powietrza musiało to nieźle wyglądać. Pospiesznie wykopane umocnienia ziemne, zwykle okopy i transzeje mogą stać się najprawdziwszą twierdzą, jeśli broni ich nieustępliwa piechota. W tym momencie każda szczelina, każdy okop, każde miejsce, w którym leżeli bojownicy Tannenberg, wszystko plunęło ogniem.

Świadomość, niczym kamera cyfrowa, zarejestrowała obraz nim zatopila go fala ognia. Dwa ogromne, mokre, czarne garby, połyskujące w słońcu, wznoszące się nad wodami niczym biblijne lewiatany. Kipiąca piana wokół nich -- to nadchodzą, nerwowo przebierając licznymi odnóżami, dziwne krzyżówki krabów z pajakami, widać też płaskie, łuskowate grzbiety jakichś podejrzanych krokodyli... A w powietrzu huczy miliardami skrzydeł rój, ten sam rój, który zmiotł naszą obronę na Omedze-8. Ten sam, przed którym nie można uciec ani się ukryć. Różnorodne stworzenia, chrząszcze, ważki, ptaki, wydęte zielonożółte brzuszki -- jak stado, które zeszło z obrazów Hieronima Boscha.

Zaatakowali nas z góry i od czola. Żywy strumień popłynął w prawo i w lewo, jakby próbując nas oskrzydlić.

Jednocześnie nad nami zapłonęło powietrze. Dowództwo wykorzystało ten moment, używając wszystkich możliwych rodzajów broni, nie wyłączając gazów. Nad naszymi głowami z trzaskiem pękały granaty gazowe. Byliśmy w maskach, nasz pancerz wzmocniono do ostatnich granic, więc mogliśmy przeżyć w obłokach gazów paraliżujących, najsilniejszych, jakie tylko wymyśliła ludzkość. Niestety, rój także przeleciał przez znajdujące się na jego drodze chmury trucizn, nie doznając najmniejszego uszczerbku. Nadal zwycięsko huczały miliardy skrzydeł. Te stwory, które podeszły zbyt blisko, powitaliśmy miotaczami ognia i pociskami rozrywającymi -- pękały w powietrzu niczym granaty. Pocisk nie ma zbyt dużej mocy, ale potrafi zniszczyć kruche skrzydła.

Trzeba przyznać, że byliśmy nieźle przygotowani do tego ataku. Nasze zadanie polegało na ściągnięciu roju na siebie. Nie da się użyć przeciwko niemu czołgów -- wyłącznie żołnierzy w pancerzach, zwinnych i zwrotnych, którzy mogli otoczyć się szczelną ścianą wybuchów i płomieni. Sieć nad okopami wytrzyma jeszcze jakiś czas, pozwoli nam ściągnąć na siebie

wszystkie stworzenia, nakryć macice ostrzałem ciężkiej artylerii...

Mój celownik pokazywał zintegrowany obraz pola walki. W końcu byłem teraz dowódcą plutonu. Moi chłopcy należycie powitali rój.

Wybierałem cele. Prócz roju były tu jeszcze krabokrokodyle i pająki, a wiedziałem, że one są mniej odporne. Właśnie do nich walił teraz Günter z towarzyszami. Po pierwszym granacie spodziewałem się prawdziwego pogromu w szeregach wroga, jednak krokodyloraki biegły dalej i tylko jeden zaczął lekko kuleć.

--Günter! Kumulacyjnym! -- krzyknąłem.

--*Jawohl! Peter! Da bist du ja!... Schuss! Sei ja vorsichtig!... Zielen! Frei!!*

Pocisk kumulacyjny może przebić trzysta milimetrów stalowego pancerza. Chityna, czy co one tam na sobie miały, nie wytrzymała. Stworzenie zostało rozerwane od środka, ale dolna część biegła jeszcze przez jakiś czas, ciągnąc za sobą czerwono-niebieskie wnętrzości, rozciągnięte na ładnych kilka metrów.

Rój, który spadł na nas z góry, napotkał rozrywające się w jego gąszczu pociski gazowe, pociski zapalające, strumienie ognia i inne niespodzianki.

Wokół nas płonęło już niemal wszystko. Chłopcy, powstrzymujący rój ogniem, nie mogli się tu długo utrzymać.

Rój zmienił taktykę, ale i tak nie mógł liczyć na zbyt wiele -- z bliskiej odległości niszczonego bezlitośnie miotaczami ognia. Jeśli nawet stworzeniom udało się oblepić kogoś z chłopców, wiedzieliśmy już, jak zareagować. Strumień z miotacza ognia, sekunda przerwy, strumień z gaśnicy chemicznej. I po krzyku.

Rój szykował się do odwrotu, jakby rozumiał, że teraz się nie przebije i nie pokona naszej osłony. Można było odnieść wrażenie, że niewidoczny głównodowodzący postanowił, iż straty przy ataku frontalnym są zbyt duże, i stworzenia uniosły się wyżej, poza zasięg naszej broni. Za to krabokrokodyle, aligoraki i inne potworki biegły nadal. Podczas gdy my strzelaliśmy w rój, im udało się podejść bardzo blisko. W dodatku wyglądało na to, że do tej pory nie poniosły żadnych strat.

Dalem wskazówki plutonowi. Zwykle granaty tu nie pomogą, skorupy tych stworów mogłyby załatwić jedynie działa przeciwpancerne. Użyliśmy pocisków wielkokalibrowych -- cały przysługujący nam przydział amunicji. Pierwsze dwie salwy przerzedziły szeregi atakujących, jednak pozostałe potworki biegły nadal, a kilka z nich, te najszybsze albo najbardziej fartowne, zaczęły szczękami i pazurzystymi łapami rozdzierać naciągniętą nad okopami siatkę i wrywać podtrzymujące ją żelazne pale, wkopane głęboko w ziemię. Pociski rozrywały stworzenia na kawałki, ale ich miejsce zajmowały wciąż nowe.

W tym momencie dowództwo uznało, że walka rozwiązała wszystkie problemy. Möchbau wykrzyczał nam rozkaz wycofania się, i to jak najszybciej, dopóki nie upiekliśmy się w swoich pancerzach, bo...

Reszta jego słów utonęła w trasku zakłóceń.

Czy warto wspominać, że wykonaliśmy rozkaz z godną najwyższego uznania gorliwością?

Rój chyba zorientował się, co się dzieje, ale nie zdążył już runąć w dół ze swojej bezpiecznej wysokości.

Znowu odezwała się artyleria, a jednocześnie nad morze i las ze wszystkich stron nadleciały eskadry samolotów szturmowych. Nasze puste okopy ostrzelały tak, jakby mimo

wszystko użyto taktycznej broni jądrowej.

Cały brzeg znikł w szalonym wirze wybuchów. Wystrzelone przez samoloty szturmowe rakiety rozrywały się w gęstwie lecącego roju, a tam, gdzie jeszcze przed chwilą widać było czarne garby macic, skierowano główne uderzenie ciężkiej artylerii.

Tłumiki starały się uratować mój słuch.

Zatrzymaliśmy się dopiero na peryferiach Peenemünde. Tutaj nie było już siatki chroniącej przed rojem, za to powinny na nas czekać samochody opancerzone. Nie czekały.

--Gdzie one są? -- zawył któryś z nowicjuszy. Nawet nie skarcilem panikarza; jak nas tu dopadnie rój, to się nie pozbieramy.

Artyleria robiła swoje; za naszymi plecami dzień zamieniał się w noc, a tam, gdzie jeszcze przed chwilą była plaża, w niebo wbijał się czarny, gęsty dym i rude płomienie. Chyba płonęła tam nawet woda. Z wiszącego w powietrzu roju zostały jedynie żalosne strzępy, uciekające teraz we wszystkich kierunkach. Jeden z takich strzępów przeleciał nad nami, zawrócił z buczeniem, niczym malutkie, ale doskonale zorganizowane wojsko, i zaatakował.

Teraz już stworzenia nie próbowały się uratować. Teraz atakowały, próbując zabić chociaż jednego z nas.

Pluton zdążył się przeformować. Mimo wszystko był to desant imperialny, który nawet z Razdwakriaka zdołał zrobić coś na kształt człowieka.

Powitaliśmy ich miotaczami ognia -- paskudne, przerośnięte żuki, metrowe ważki, malutkie pterodaktyle i ogromne nietoperze. Zaatakowana płomieniami część stworzeń zapłonęła, spadając na czyste, wychuchane chodniki czarną tłustą sadzą, ale druga część mimo wszystko dorwała się do nas.

Aż do tej chwili mój pluton nie poniósł żadnych strat. Z okopów wyrwaliśmy się wszyscy, osłaniając siebie i stanowiska raketowe. Teraz sześciu czy siedmiu chłopców upadło; otulał ich od stóp do głów szeleszczący, żywy dywan. Nie miałem czasu, żeby dokładnie przyglądać się temu, co wyczyniały te istoty na zaatakowanym człowieku, ale przypominało to niesamowity obraz z obląkanej fabryki: aparatura nastawiona na zniszczenie pancerza. Zapewne te skrzydlate stworzenia były wąsko wyspecjalizowanymi elementami skomplikowanego, samoregulującego się mechanizmu, przypominającego ten, który funkcjonował w każdej żywej komórce.

Wiedzieliśmy, co robić. Przyda się nie tylko ogień, ale i śrut -- drobny śrut na kaczkę, który nie przebije pancerza. Oczekaliśmy chwilę i strzeliliśmy. Idealnie czysty chodnik pod naszymi nogami pokrył się krwawą miazgą.

Gaśnice już stłumiły na leżących żołnierzach płonący napalm, ale pod szarym proszkiem widać było duże, wielkości dłoni, dziury wytopione na pancerzach. Żaden z leżących nie poruszył się. Żaden nie jęknął.

Sanitariusze przybyli natychmiast, ale wszyscy wiedzieliśmy już, że tamci nie żyją. Jakim cudem rój zdążył ich zabić?

Podnieśliśmy ciała i zaczęliśmy się wycofywać. W naszą stronę jechały właśnie spóźnione transportery opancerzone; już otwierały drzwi, wpuszczając nas do swojego bezpiecznego wnętrza.

Martwi żołnierze leżeli na pancernej podłodze, przysypani, niczym popiołem, szarym proszkiem gaśniczym. Na piersi chłopca, który leżał najbliżej mnie, ziała dziura w pancerzu

wielkości półtorej dłoni, pokryta proszkiem przemieszanym z krwią. Przyjrzałem się z bliska -- w ranie coś poruszało się obrzydliwie, jakby zdążyły się już tam zagnieździć robaki.

Ten widok mnie zahipnotyzował. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem ramienia nieboszczyka -- miał na imię Eugeniusz, chyba był Polakiem, i trafił do nas z ostatniego uzupełnienia. Nasze kombinezony miały zamontowane mnóstwo pożytecznych urządzeń w rodzaju termometrów -- zerknąłem na wskaźniki, wyświetlające się w lewym dolnym rogu osłony hełmu i w tej samej chwili wrzasnąłem, każąc kierowcy zatrzymać wóz.

Pancerz biedaka przegrzał się do pięćdziesięciu stopni. A to znaczyło, że jego ciało osiągnęło pięćdziesiąt pięć albo pięćdziesiąt siedem stopni Celsjusza -- ulubioną temperaturę ameb.

Wyobraziłem to sobie bardzo realistycznie. Nieszczęsny chłopak, zabity w mgnieniu oka wstrzyknięciem jakiejś neurotoksyny, zamienia się w idealny inkubator. Wystarczy jedynie odrobinę go podgrzać za pomocą przyspieszonej katalizy rozpadu substancji organicznych, czy też, mówiąc po prostu, gnicia.

Oczywiście nie spodziewałem się, że z rany na piersi Eugeniusza wyskoczy gadzi leb z ostrymi zębami rodem ze starych horrorów, ale nie chciałem pozostawać razem z zarażonym trupem w zamkniętym wnętrzu przedziału bwp. Pluton i tak stracił zbyt wielu ludzi w ciągu tych kilku sekund walki. Mogłem się tylko domyślać, co by się stało, gdybyśmy zetknęli się z rojem na otwartej przestrzeni, bez siatki nad głową...

Wóz zastygł, wzbijając kurz gąsienicami. Omal nie zarył przodem w ziemię. Ożył komunikator.

--O co chodzi, poruczniku? -- To Möchbau.

--Pozbywamy się ciał, panie kapitanie. Są zarażone. Teraz to inkubatory roju. -- Nie miałem czasu na wdawanie się w szczegóły, na szczęście dowódca kompanii rozumiał mnie natychmiast.

--Wyrzucaj! Natychmiast! Zaraz podjadą ścierwojady... -- dokończył niezbyt zrozumiale.

--Pluton! -- zakomenderowałem. -- Wszystkie ciała wyrzucamy na drogę. Szybko.

Pancerne drzwi! To rozkaz!

--Panie poruczniku... -- któryś z żołnierzy próbował protestować, nic dziwnego, przecież „desant nie porzuca swoich, żywych ani martwych”, ale w komunikatorze odezwał się głos sierżanta Klausego Marii:

--Nie słyszałeś porucznika, przyjacielu?...

O dziwo, po tym nieskomplikowanym pytaniu nie było więcej chętnych do dyskusji.

Nie wyrzucaliśmy trupów -- położyliśmy je na drodze. W eterze kanału dowództwa przekrzykiwały się głosy mojego dowódcy batalionu, kapitana Möchbaua, i dowódcy kompanii -- porucznika Rudolfa. Często wspominało o tych niezrozumiałych ścierwojadach i trupowozach. W końcu porucznik zwrócił się do nas:

--Zadanie zostało wykonane. Macice nakryto i zniszczono trafieniem bezpośrednim.

Wnętrza rozrzuciło w promieniu kilometra. -- Nie mógł się powstrzymać i prychnął: -- Potem był jeszcze jeden napalmowy nalot. Rój też został zniszczony. Według danych sztabu w powietrzu nie ma innych rojów. Wycofujemy się. Potem nas przerzucają. Czekam na raporty i listę strat. To wszystko. Bez odbioru.

Dowództwo odciągnęło Tannenberga kilkadziesiąt kilometrów od brzegu, aż do

miejscowego lotniska. Pułk załadował się do ciężkich trzystutonowych Zygrydów. Rój faktycznie zostawił nas w spokoju.

Co to są ścierwojady i trupowozy, miałem się dowiedzieć już wkrótce.

Z Peenemünde pułk przeniesiono w pobliże stolicy Iwołgi, do małego miasteczka uniwersyteckiego. Było tu cicho, zielono i przytulnie. Z czyjegoś kaprysu budynku uniwersytetu zbudowano w kształcie stylizowanego zamku krzyżackiego, lokując przysadzistą twierdzę w malowniczej dolinie pomiędzy dwoma porośniętymi jodłą wzgórzami. Ściany twierdzy mrugały wesoło do wschodzącego słońca dziesiątkami szerokich okien, szklane dachy hojnie wpuszczały światło do audytoriów i czytelni... Wspaniały uniwersytet. Znacznie większy od naszego w Nowym Sewastopolu. Zresztą my nie stylizowaliśmy swoich uczelni na bastiony wojny krymskiej...

Najnowsze wieści poznałem dopiero w kasynie dla oficerów (świętej zasady podziału żołnierzy na oficerów, podoficerów i szeregowców przestrzegano z całą surowością nawet teraz), mieszczącym się w jednym z budynków uniwersytetu. Oficjalne informacje dowództwa stały się bardzo skąpe -- najlepszy dowód, że sprawy zaczęły bardzo źle wyglądać.

Kasyno oficerskie zorganizowano w pośpiechu w sali klubu studenckiego. Niemal wszystkich studentów ewakuowano, jak wyjaśnił mi żołnierz z opaską ochotnika przed wejściem. Przelotnie pomyślałem, że ta biała szmatka raczej nie pomoże biedakowi (który nie mógł wziąć broni do ręki z powodu przekonań religijnych), jeśli przyjdzie mu się spotkać z rojem.

W środku wszystko urządzono w stylu uniwersytetu w Heidelbergu -- masywne belki sufitowe z ciemnego dębu, flagi cechów, sztandary gildii studenckich i tarcze z emblematami poszczególnych wydziałów. Wąż i czara to medycy, inkunabul i gęsie pióro -- lingwiści i filolodzy, i tak dalej. Oryginalność i pomysły własne najwyraźniej nie były tu w modzie. Przy barze dziewczęta-wolontariuszki nalewały panom oficerom piwo -- jedyny alkohol, na jaki zezwalał regulamin.

Zobaczyłem Rudolfa Möchbaua i jeszcze kilku znajomych. Rudolf wstał i pokiwał mi ręką - - w drugiej trzymał litrowy kufel piwa.

--Siadaj, Ruslan. -- Möchbau przesunął się trochę. -- Wolfgang! Zarządź tam jakieś piwo dla porucznika Fatiejewa. *Und bitte, gib mir die Zeitung!*

Wolfgang (niedawno otrzymał stopień porucznika z prawdziwym, a nie połowym patentem) rzucił mi złe spojrzenie, ale nie śmiał sprzeciwić się kapitanowi. No, już, zasuway, tyczko imperialna, *schneller!* Na razie nie powierzyli ci plutonu, mianowali tylko, odpowiednio do zdobytego dyplomu, dowódcą baterii kierowanych pocisków raketowych. Teraz pewnie myślisz, że to przez jakiegoś Ruska. Złość Wolfganga sprawiała mi szczerą, choć nie całkiem chrześcijańską przyjemność.

--Słyszałeś nowiny, Rus? -- odwrócił się do mnie Rudolf. -- Znaleźli tylko dziewięć macic. Dziesiąta nie wypłynęła.

--A pozostałe?

--Pozostałe wylazły na brzeg -- rzucił sucho Möchbau.

Zadawanie pytań starszemu stopniem byłoby nie na miejscu, nawet w tak nieformalnej sytuacji. Dlatego poczekałem, aż Norbert Schramm, porucznik i dowódca drugiej kompanii w naszym batalionie, huknie kuflem w stół. -- I wymiotły do czysta dwa pulki -- rzucił.

--Nasze? -- No proszę, już mogę powiedzieć „nasze” bez żadnego wysiłku!

--Nie. 35. Piechoty. 109. i 111. Pułk. 5. Korpus Armijny.

Czekałem na ciąg dalszy.

--Rój przerwał siatkę -- oznajmił spokojnie Möchbau. -- Jakby go uprzedzono o naszym fortelu. Najpierw przeszły duże stworzenia, które wystrzelano, ale sieci już były zerwane. Potem spadł rój.

--A macica?

--Macicę załatwili -- powiedział sucho kapitan. -- Rezerwą samolotów szturmowych. Dowódca sto jedenastego zdążył ściągnąć ogień na siebie. Spalili rój... razem z pułkiem. Przeżyli pojedynczy żołnierz.

Möchbau ciskał słowami, niczym kamieniami. Pozostali zamilkli. Jeszcze nie umieli przyjmować wiadomości o stratach z obojętnością prawdziwych zawodowców. Armia imperialna, a tym bardziej jej oddziały elitarne, już dawno nie poniosła tak ciężkich strat w tak zwanym składzie osobowym.

--Niech im ziemia lekką będzie -- powiedział półgłosem Rudolf i jego słowa rozładowały atmosferę. Jakby wszyscy tylko na to czekali. Poruszyli się i zaczęli rozmawiać. Odsunęli pienujące się kufle i sięgnęli do wielkich ołowianych talerzy z podobiznami rycerzy i smoków, na których leżały plasterki wędzonej kielbasy.

Poświęcono dwa pułki (ocalało jedynie kilkuset ludzi) i spalono macicę. Rój, a przynajmniej znaczna jego część, ocalał. Znalazł wilgotne i ciepłe nadmorskie lasy i osiadł tam, ukrywając się przed wzrokiem obserwatorów. Teraz nad tymi lasami wisiały, wymieniając się często, klucze samolotów szturmowych i bombowców. Z baków lał się napalm długimi czarno-ognistymi pasami. Krążyły pogłoski, że lotnictwo raz po raz prosiło o zezwolenie na użycie taktycznych pocisków jądrowych i za każdym razem otrzymywało odmowę.

A jednak mimo strat w 35. Dywizji, panował nastrój uroczysty i podniosły. Zniszczono dziewięć macic, a wojska w okopach zmusiły pancerne stwory do otworzenia się. Gdyby w pobliżu nie było żołnierzy -- a więc potencjalnej zdobyczy -- czarne „żółwie” po prostu pozostałyby zamknięte i żadne pociski nie mogłyby wyrzucić im krzywdy. Naciągnięte nad pozycjami siatki z tytanowego żaroodpornego stopu mogły powstrzymać rój na czas, którego potrzebował desant i artyleria, żeby zadać wrogowi miazdzący cios.

Z żarem omawiano manewry roju. To nie były prymitywne stworzenia, gotowe umrzeć na rozkaz nieznanego nam mózgu, lecące bezmyślnie na ścianę ognia. Przeciwnik wyraźnie oszczędzał swoją broń i, jak dowodzi śmierć siedmiu żołnierzy z mojego plutonu, oszczędzał ją nie na próżno.

--Ruslan! Przy okazji, widziałeś rozszyfrowany zapis? -- odwrócił się do mnie Möchbau. Pokręciłem głową. -- Zobacz koniecznie. W końcu jesteś specem, ciekaw jestem, co o tym powiesz.

--Gdzie mam obejrzeć, panie... Dietrich?

--A, *Donnerwetter*... Wolfgang! Analityka z projektorem do mnie. Migiem!

Biedny Wolfgang. Nieźle się dzisiaj nabiega. Obawiam się, że mnie znienawidzi, zanim się to wszystko skończy.

Sierżant szyfrant przybył z zaplombowaną walizką. Wysłuchał dowódcy batalionu, zasalutował i rozłożył projektor.

--Widok nie należy do najprzyjemniejszych -- uprzedził półgłosem Rudolf. -- Ale...
przyjrzyj się, Rus. My, wojacy, nie studiowaliśmy tak dokładnie ksenobiologii.

Zerknąłem na niego -- czyżby sobie ze mnie kpil? Żeby imperialny porucznik, zawodowy żołnierz, z kasty zawodowych żołnierzy narodu panów, tak po prostu uznał wyższość jakiegoś tam Rosjanina? Ale nie, Rudolf nie kpil. Naprawdę we mnie wierzył.

Zapis był dobry. Niemal każdy z nas miał na helmie specjalnie zamocowane miniaturowe kamery. Nalegał na to oddział naukowy kontrwywiadu. Uznali, że jeśli dokładnie i szczegółowo nakręcimy atak roju, będziemy mogli... Zwyczajne brednie, w imię których tak często wysyła się ludzi na pewną śmierć.

--O, tutaj, Ruslan -- powiedział Möchbau. -- Uważaj od tego miejsca. O... rój już atakuje... nakrywa twoich...

Chłopców rozpoznałem jedynie po numerach osobistych i dystynkcjach -- polaryzujące osłony helmów były opuszczone, pancerz szczelnie zamknięty.

--Sierżancie! Zwolnić! -- rozkazał dowódca batalionu.

Teraz mogłem obejrzeć każde stworzenie oddzielnie. Trudno było znaleźć dwie jednakowe istoty. Stwory nie spadały na nas chaotycznie, lecz atakowały w surowym szyku bojowym -- wszystkie te chrząszcze, ważki i inne organizmy, do których bardzo pasowało określenie „plugastwo”.

Zrobiło mi się zimno i zabolало mnie serce, gdy zobaczyłem, jak stwory rozkładają skrzydła i oblepiają moich chłopaków. Jak się okazało, wszystkie bestie miały wysuwające się przyssawki, którymi starały się przywrzeć do pancerza. Widziałem, z jak nieprawdopodobną szybkością wystrzeliwują oślizgłe języki, jak splatają się, łączą i przerastają nawzajem naczynia krwionośne; jak otwierają się jakieś pęcherze, przypominające układy trawienne; jak stwory tworzą skomplikowany, ale skuteczny układ, najprawdopodobniej przeznaczony do zniszczenia pancerzy komandosów. A pancerz nie jest przecież z tytanu i nawet wzmocnione płytki nie mogą znieść naporu roju, bezsilne wobec nieznanym nam systemów błyskawicznej katalizy. Jedyne, co możemy zrobić, to przywdziać tytanowe zbroje.

Zrównałem kroki w mroku trasy

ciężkim marszem rosyjskiej rasy

Po oczy zakutej w pancerz.

--Jeszcze wolniej, Wolfgang -- rozległ się głos Möchbaua.

Tak, rój działał jak maszyna. Doskonała, precyzyjna, skomplikowana maszyna, która nie знаła zakłóceń -- tak samo, jak nie zna ich pojedyncza komórka ludzkiego ciała -- i pracowała na najwyższych obrotach. Ogień miotacza zmiotł stwory z ciał moich towarzyszy już po sekundzie, a jednak ta sekunda im wystarczyła.

Broń pierwszego uderzenia. Nieprawdopodobnie złożona, wymagająca kolosalnej precyzji i -- w sensie dosłownym -- żywego komputera, sterującego wszystkimi manewrami. Nic dziwnego, że pulki stacjonujące na Omedze-8 nie wytrzymały tego ciosu.

--Co o tym sądzisz, poruczniku? -- podszedł do nas Vallenstein. -- Proszę panów oficerów o pozostanie na swoich miejscach. To nieoficjalna pora. -- Znowu odwrócił się do mnie. -- A więc?

Powiedziałem: żywy system, idealnie skonstruowany, ale krótko żyjący. Właściwie po otworzeniu się macic powinniśmy po prostu się wycofać -- prawdopodobnie po kilku godzinach wszystkie te żuki i ważki zdechną same.

--Brzmi rozsądnie -- powiedział urywanym głosem pułkownik. -- Bardzo chciałbym, żeby to była prawda. Jednak ci chłopcy, którzy palą lasy na wschodzie, raczej się z tobą nie godzą. Istoty nie mają zamiaru umierać. Wpadają tylko w śpiączkę. Badacze zbierali je niemal gołymi rękami.

--Niemożliwe! -- wyrwało mi się.

--Masz wątpliwości? Ja też -- skinął głową pułkownik. -- Może byś poszedł i pogadał z tymi mądralami, co? Potem wygłosisz pogadankę swoim żołnierzom. Najważniejsza rzecz to nie bać się wroga, a żeby się nie bać, trzeba go lepiej poznać.

Nie zgodziłem się z tym twierdzeniem, ale kierowany zdrowym rozsądkiem, wolałem nie wyrażać na głos swoich wątpliwości.

--Na wydziale biologii stworzono polowy ośrodek naukowo-badawczy -- oznajmił Vallenstein. -- Badają rój. Wszystko, co się tylko da. Wszystko tam jest ściśle tajne i bez przepustki nie da rady, ale podpiszę ci polecenie. Myślę, że nie odmówią.

Tak też się stało. Otrzymałem zezwolenie na podstawie uzasadnienia porucznika: „zapoznanie się z ostatnimi badaniami naukowymi w celu zdementowania irracjonalnych lęków składu osobowego metodą dyskusji”. Taki właśnie wytwór wojskowej biurokracji widniał na mojej przepustce, razem ze wszystkimi niezbędnymi hologramami i podpisami, zabezpieczonymi wszelkimi metodami przed podrobieniem.

Wewnętrzne budynki wydziału biologii również były ochraniające, lecz nie przez ochotników miejscowej milicji i nawet nie przez piechotę. Stacjonowała tam Waffen SS, która do tej pory trzymała się swojej budzącej grozę nazwy. Imperium sporo przejęło po swoim przodku, III Rzeszy, usuwając jednak zbyt jednoznaczne symbole, na przykład swastykę. Nasza 3. Desantowa, mimo zachowania nazwy Totenkopf, nie należała przecież do SS i runy w kształcie błyskawicy nie hańbiły naszego munduru.

Wartownicy obwąchali moją przepustkę ze wszystkich stron, wsunęli do skanera, jakby mogli, to by ją pewnie polizali i nadgryźli. W końcu mnie przepuścili, wyraźnie rozczarowani, że nie ma się do czego przyczepić.

Przydzielili mi przewodnika, studencika w staromodnych okularach. Pewnie, tak jak moja siostra Swietłana, nie uznawał starożytnych szkieł kontaktowych ani nowomodnych wymysłów w rodzaju optyki światłowodowej czy bezpośredniego neuroprzekazu.

--Panie podporuczniku, jestem szczęśliwy, że mogę pomóc... Nadgorliwy biedak naprawdę był pełen zapału, o mało nie wyskoczył ze swoich okularów. Cóż począć, naród panów.

--Ochotnik?

--Ochotnik Peter Stoss, panie poruczniku.

--Posłuchaj, Peter. Muszę przekazać to moim żołnierzom, więc chciałbym wiedzieć, czy doszłście już, jak one niszczą pancierz?

Szliśmy powoli szerokim widnym korytarzem. Zgodnym chórem wyły centryfugi, niegłośnie szumiały lodówko-zamrażarki, na parapecie obracał się stojak z plastikowymi probówkami przymocowany czarną gumką recepturką. Przez otwarte drzwi widać było stół, na którym piętrzyły się naczynia z kulturami bakterii oraz butelki ozdobione kawałkami kolorowej taśmy samoprzylepnej, z niezrozumiałymi dla niewtajemniczonych napisami: „NAOAc”, „TE 10:0,1”, „10xTBE” i tak dalej.

--Widzi pan, panie poruczniku, ostatnio prawie wszyscy nas o to pytają. Nawet Jego

Wysokość -- studencik skinął głową w stronę wiszącego na ścianie portretu cesarza. Wilhelm III patrzył na nas surowo i wymagająco, jakby chciał mnie zapytać: „Dlaczego się tu płaczesz, pozostawiając bez opieki moich wiernych żołnierzy?”

--I co odpowiadacie Jego Wysokości?

--Czy pan orientuje się w naszej specjalności? -- zapytał ostrożnie student, rysując coś palcem w powietrzu.

--Ukończyłem Wydział Biologii Uniwersytetu Nowokrymskiego -- odpowiedziałem sucho.

Mój przewodnik już chciał wykrzywić pogardliwie usta -- że niby te prowincjonalne uczelnie nadają się jedynie do produkowania kadr nauczycieli biologii ogólnej, niezdolnych do odróżnienia restryktazy od polimerazy -- ale w porę sobie przypominał, że miałem na ramionach pagony porucznika, a on tylko opaskę ochotnika.

--W takim razie opuszczę wstęp -- próbował szybko zatrzeć swoje niezręczne zachowanie.

-- Krótko mówiąc, doszliśmy do wniosku, że przebicie pancerza rój osiąga dzięki użyciu nieznanym nam katalizatorów. Te stworzenia wykorzystują kwasy organiczne, coś w rodzaju soków żołądkowych. -- Student od czasu do czasu zapominał się i prezentował wersję dla wojskowych, nie mających pojęcia o biologii molekularnej. -- Jest to co najmniej czteropoziomowy system. Proszę, panie poruczniku. Zrobiliśmy niewielki schemat...

Schemat był kolorowy i holograficzny. Chłopcy się postarali, chyba dla wydziału sztabu generalnego...

--Pierwsza faza ataku: skoncentrowanie się na obiekcie. Przeanalizowaliśmy wszystkie zdjęcia... Gdyby nie wy, nie mielibyśmy nic.

W milczeniu skinąłem głową, czując narastający ucisk w gardle. Tak jak podejrzewałem, wykorzystali nas w charakterze przynęty, jednocześnie prowadząc chronometraż i nagranie. A czego innego można się było spodziewać po Imperium? Poświęć małe, żeby uratować duże. Zasada mniejszego zła. Szkoda tylko, że nieżyjącym chłopakom z mojego plutonu ta świadomość w niczym nie pomoże. Ani ich rodzinom -- jeśli mieli rodziny.

--Proszę zwrócić uwagę, panie poruczniku, z jaką szybkością wysuwają przyssawki. To niemal prędkość dźwięku.

--Jakie mięśnie byłyby do tego zdolne? -- nie wytrzymałem.

--Proszę sobie wyobrazić, że zamiast mięśni ma pan przelotowy silnik raketowy na paliwo ciekłe. -- Student znowu przełączył się na wykład dla zawodowych żołnierzy. -- Zadziałają tylko raz.

--Jak to raz? Wobec tego tych stworów powinno być znacznie więcej!

--To nie jest pojedynczy system przyssawek -- wyjaśnił chłopiec. -- Znajdowaliśmy egzemplarze z trzema, czterema, a nawet pięcioma kompletami. A każdy do jednej walki. Prócz tego... to szczególnie interesujące, panie poruczniku... Najprawdopodobniej mają coś w rodzaju lotnych warsztatów, żeby w razie czego dokonywać odpowiednich napraw. Mogą się wymieniać doświadczeniami. Dla nich to nic trudnego... chyba nawet nie podejrzewają istnienia antygenów zgodności tkankowej. Żadnych problemów z transplantacją. System immunologiczny doprowadzony do absolutnego prymitywizmu, obliczony na krótkotrwałe przeciwdziałanie infekcji. Próbuje znaleźć patogen...

--To było najlepsze rozwiązanie -- wyrwało mi się.

--Tak... Przepraszam, panie poruczniku, odeszliśmy od tematu. A więc stadium pierwsze:

przyssanie się. Proszę zwrócić uwagę, że powstają co najmniej dwa ogniska przeniknięcia przez pancerz. Ale te stworzenia niewiele działają. Wtedy nadchodzi druga i trzecia fala.

--Jak tłumaczycie ich różnorodność? Dla czterech fal ataku, jeśli każdą falę uważać za jedną funkcję, wystarczyłyby cztery wyspecjalizowane gatunki, a tych tutaj jest całe mnóstwo!

-- Wskazałem głową na ozdabiające ściany niezliczone zdjęcia.

--Jeszcze do tego nie doszliśmy -- stropił się ochotnik. -- Profesorowie uważają, że mamy do czynienia z powstającym na ofierze pseudożywym organizmem. Wszystkie istoty mają wąską specjalizację, w odróżnieniu od jadowitych chrząszczy, z którymi, jak rozumiem, zetknęliście się na Omedze-8.

--Rozsądne -- przyznałem.

--Popatrzmy dalej, panie poruczniku. Desant drugiej fali. Proszę zwrócić uwagę, jak zamocowują się na osobnikach, które już się przyssały. To również kwestia ułamków sekund. A teraz najciekawsze. Połączenie naczyń i przewodów tego, co my nazywamy „gruczołami bojowymi”.

Na zdjęciu o wysokiej czułości widać było, jak spod łuskowatych pancerzy wysuwają się zwinne przewody, łączą się pospiesznie i błyskawicznie przerastają się nawzajem.

--Lipazy działają w ich przypadku niczym woda królewska. Wstrząsające tempo. Każda taka rurka to albo arteria, albo przewód gruczołu. Teraz wszystkie przyssane stworzenia połączone są w jeden układ. Wtedy przybywa trzecia fala, dostarczająca... nazwijmy to... paliwa i amunicji. Oto one. Różne rodzaje osobników. Sądzimy, że dostarczają różnych substancji. Osiadły... lądują na głównych „magistralach”... Aha! Widział pan? Zaczęły opróżniać baki, jeśli mogę się tak wyrazić. Teraz żołądki...

Stwory, które wylądowały jako pierwsze, wyrzucały z siebie narządy trawienia wewnętrznego. Poszło wszystko, co zostało dostarczone. Wysoka temperatura, kataliza...

W komputerowym modelu pancerz topi się błyskawicznie -- niezwykle trwałe kevlar, wytrzymujące bezpośrednio trafienie pocisku z przeciwpancernym rdzeniem rozplywa się niczym воск!

--A teraz etap czwarty -- w głosie studenta slychać nieukrywany wstręt. Nawet on patrzył na to z trudem. -- Wprowadzenie masy zarodników do ciała ofiary, razem z neurotoksynami, szczepami bakterii szybkiego rozkładu, komórkami-superproducentami proteaz oraz maszyną, podgrzewającą ciało do odpowiedniej temperatury i utrzymującą odpowiednią konsystencję środowiska. Och, przepraszam, panie poruczniku, w tym momencie zawsze zaczyna mnie mdlić... krótko mówiąc, rozpuszczają ofierze wnętrzości. Wszystko gnije. Rzecz jasna, mechanizmy są inne, ale istota pozostaje bez zmian. A tutaj mamy zarodniki...

Powiększył obraz. Znajome brązowe pęcherzyki słabo kołysały się w półpłynnej kaszy, szybko powiększając rozmiar. Już przylgnęły do nich arterie -- to włączyły się inne istoty, coś w rodzaju „mikromacie”.

Tego już nie udało się nam obejrzeć.

--Na tym etapie zazwyczaj otwiera się do roju skoncentrowany ogień -- wyjaśnił pozieleniały student. -- Zewnętrzna warstwa była niszczona, jednak to, co w środku, pozostawało...

--Na Omedze-8 potrzebowały znacznie więcej czasu, żeby się rozwinąć -- zauważyłem. -- W ciele rozwijają się od razu?

--To jeszcze badamy -- stropił się znowu student. -- Wysyłamy samochody-chłodnie, które przywożą zarażone ciała... Ciężka praca, panie poruczniku, i bardzo niebezpieczna...

--O, na pewno -- przyznałem. -- Macie w ogóle jakąś hipotezę?

--Naturalnie. Nawet kilka. Pierwsza, że początkowo twórcy liczyli na inne zwierzęta, być może jakieś jaszczury, zakute w kościany pancerz, wtedy rozwój w ciele ofiary miałby sens -- wyjaśnił z poważną miną student. -- Druga, że dla normalnej metamorfozy potrzebują dość dużo czasu. Można więc założyć rozwój w grupie specyficznego gatunku, nie tyle letalnego, co również zdolnego do ataku, na przykład na niechronioną ludność cywilną. Skinąłem głową.

--A ośrodek? Znaleźliście coś w rodzaju ośrodka? Moi chłopcy pytają przede wszystkim o to. Co mamy atakować? Oto jest pytanie, że pozwolę sobie na parafrazę klasyka...

Student wyraźnie nie znał Szekspira i puścił moją uwagę mimo uszu.

--Nie, panie poruczniku. Jeśli rojem ktoś steruje, to nie z... to znaczy, chcę powiedzieć, że nie ma żadnego ośrodka, który można by zbombardować i wszystko się rozsypie. To układ przypominający system immunologiczny. Przecież mózg nim nie steruje.

--Ale gdyby zniszczyć mózg...

--Oczywiście, panie poruczniku. Wiemy, gdzie ma go człowiek. Rój go nie posiada.

--Bardzo krzepiąca nowina -- warknąłem.

W drodze powrotnej zobaczyłem mięsowozy -- były to długie ciężarówki z naczepami-chłodniami. Powoli wjeżdżały na podwórze korpusu, przypominając ogromne robaki. Z wewnętrznej windy towarowej wyskakiwali ludzie w najprawdziwszych skafandrach i wyciągali czarne plastikowe worki, pokryte szronem. Bezceremonialnie zrzucali je na wózki i niczym pracowite mrówki, wciągali do otwartej paszczy windy. Było w tym coś z mrowiska, żywiącego się padliną -- zdechłymi gąsienicami na przykład. Wzdrygnąłem się -- wszystko rozumiem, taka praca, że nie ma miejsca na uczucia i emocje, różnych rzeczy się człowiek naogląda, po prostu wszystkiego się może odechcieć... Ale żeby tak się z ciałami obchodzić? To przecież nie po chrześcijańsku.

Nie było żadnych dobrych wiadomości dla chłopców w plutonie czy oficerów w batalionie. Zetknęliśmy się z zupełnie nowym wrogiem, który potrafił nieprawdopodobnie szybko i skutecznie dostosowywać się do zmienionych warunków. Dziewięć macic zniszczono, broń pierwszego uderzenia nie zadziałała, ale ostatni, dziesiąty potwór zaczął się gdzieś na dnie oceanu i cała cholerna sfera satelitów, które w pośpiechu zrzucano na orbitę, nie potrafi go odnaleźć.

Zastanawiałem się jeszcze nad jedną kwestią: czym zajmują się teraz brygady międzynarodowe? Co robi moja ulubienica Dariana Dark? I... i Dalka? Co łączy je z tym stadem potworów? Odpowiedzi na te pytania nie podsunie mi żadne centrum badawcze...

Musiałem się sam przed sobą do czegoś przyznać: cieszę się, że naszymi wrogami nie są ludzie. Drugiego takiego ataku jak na Szwecji nie przeżyję. Po prostu się powieszę, jak Judasz.

A jednak pierwsza część planu została wykonana. Otrzymałem stopień oficera. W Imperium znaczy to bardzo wiele, nawet jeśli ma się jedynie połowy patent, który trzeba dopiero potwierdzić w akademii.

Minęło kilka dni, potem tydzień, po nim miesiąc. Pułk Tannenberg nadal sterczał na Iwoldze, z której statki floty imperialnej ewakuowały niemal całą ludność cywilną. Rozkaz

ewakuacji wykonywano bez szemrania, chociaż słyszało się czasami głosy, że cholerni imperialni nie wiadomo po co wysiedlają porządných ludzi i w ogóle robią niepotrzebne zamieszanie.

Tak się złożyło, że znowu zacząłem spotykać się z Gilvy. Ona również awansowała, została plutonowym, pracowała jako starszy szyfrant i szefowała trzem młodziutkim ochotniczkom, studentkom wydziału matematyczno-fizycznego miejscowego uniwersytetu.

Lubiłem z nią porozmawiać. Pani kapitan Schulze od dawna nie zawracała mi głowy głupotami na temat regularnego życia płciowego, a sama Gilvy to pojawiała się moim wojskowym życiu, to znikwała. Czasem szliśmy ramię w ramię, jak na Omedze, czasem nas rozdzielało na długie miesiące. Teraz ona siedziała w sztabie pułku nad swoimi agregatami szyfrującymi. Niezbyt interesująca i pasjonująca praca, jeśli mam być szczery. Ale Gilvy najwyraźniej to odpowiadało, skoro, podobnie jak ja, robiła karierę. Wtedy myślałem, że mamy kompletnie różne cele.

--Jak sądzisz, Rus, powstrzymamy ich?

Siedzieliśmy w dawnym studenckim barze, Tannenberg nadal ochraniał planetę. Na Iwoldze panował spokój, a w sieciach już nie trąbiły fanfary. Nie usypiano jednak czujności obywateli Wielkiego Imperium, nie uspokajano ich, starano się jedynie zapewnić, że bezpośrednie zagrożenie chwilowo minęło. Musimy zachować czujność, powtarzali spikerzy w wiadomościach, prowadzący liczne talk-show czy programy publicystyczne. Jego Wysokość wydawał dekret za dekretem, rozciągając strefę „sytuacji nadzwyczajnej”, choć bezpośredniego zagrożenia, jak twierdzono, nie było. Na Iwołgę wciąż przybywały nowe transportowce z rezerwistami, nowi rekruci składali przysięgę, przechodząc przyspieszony kurs „nowego bojownika”. Tannenberg pod względem liczebności stał się prawdziwym pułkiem, choć biorąc pod uwagę przewagę rekrutów, nie mógł już być tym elitarnym batalionem, którym był, gdy po raz pierwszy włożyłem mundur z czaszką na rękawie.

--A jeśli nie powstrzymamy? -- Wzruszyłem ramionami. -- To ty jesteś w sztabie, Gilvy, ty wiesz lepiej. Są jakieś nowiny, które do nas nie dochodzą?

--Właśnie w tym rzecz, że nigdzie nic nie dochodzi, Rus. Cisza jak w grobowcu. Na mojej planecie też tak było... tuż przed powstaniem. Gdy zbierali siły „dzicy” lordowie -- ci, których nie załatwiono za pierwszym razem, też panowała taka cisza. Niby wszystko w porządku, a tu nagle...

--No tak. Przecież w końcu nie znaleźli dziesiątej macicy -- powiedziałem.

Gilvy jednym haustem dopiła piwo.

--Już nawet zaczęła mi się śnić w nocy. Szczególnie -- zaśmiała się -- gdy śpię sama.

--Czyżbyś miała takie problemy? -- odpowiedziałem, dostosowując się do jej tonu. -- Może w sztabie brakuje przystojniaków?

--Nie wyglupiaj się. -- Gilvy nagle przytuliła się do mojego ramienia. -- Myślisz, że zapomniałam, jak przychodziłeś do mnie, żeby sobie posiedzieć i ukryć się przed kapitan Schulze? -- znowu zachichotała. -- A potem chodziłeś do Marie. Dziwny jesteś, Rus.

--Jestem, jaki jestem. -- Ja też dopiłem piwo.

--Zazdroszczę tej twojej Dalce -- przyznała się nagle. -- I nawet jestem o nią zazdrosna. Sama nie wiem, dlaczego. Chciałabym, żeby mnie tak ktoś kochał. Ja mu przy ludziach daję w pysk, a on i tak... -- dodała nieoczekiwanie po rosyjsku.

--Czy najważniejsze jest to, żeby można było dać chłopakowi w twarz? -- odpowiedziałem w imperialnym. -- To się liczy? Żeby sobie zadrwić?

--Nic nie rozumiesz. -- Jej ramię nadal przywierało do mojego. -- Mam na myśli, że gdybym miała takiego chłopaka, zdmuchiwałabym pył z jego stóp.

--A on?

--Gdyby kochał naprawdę, robiłby to samo -- oznajmiła twardo.

--Posłuchaj, o co ci chodzi? Sama wiesz, że ja się na takiego faceta nie nadaję.

--I to jest właśnie problem -- powiedziała ze smutkiem. -- Nie brakuje chętnych, żeby wskoczyć do łóżka. Ale żeby naprawdę...

--Gilvy, to prawda stara jak świat. Tego problemu nie miała chyba tylko Ewa.

--Czy z tego powodu przestaje być prawdą? -- wzruszyła ramionami Gilvy.

--Może i nie. Ale po co o tym mówić?

--Bo ty umiesz słuchać. Wy, Rosjanie, wszyscy umiecie słuchać. Pewnie dobrzy z was spowiednicy...

--Nigdy nie próbowałem -- zauważyłem. -- No to co, idziemy? Późno już, kończy mi się czas wolny. Muszę być w plutonie przed ciszą nocną.

--Chodźmy do mnie -- powiedziała nagle. -- Dość tego udawania.

--Gilvy... -- pokręciłem głową. Naprawdę była bardzo ładna. Naprawdę była moim przyjacielem. Zapewne... -- Gil, ja nie mogę. Jesteś piękna, ale...

--Ale byłem żołnierską dziwką? -- warknęła, ze złością mrużąc oczy.

--Co to ma do rzeczy? -- wymamrotałem bezradnie. Poddaję się, gdy ktoś używa takich argumentów.

--Ciagle ją tak kochasz?

--Tak -- powiedziałem i w tym samym momencie zrozumiałem, że to nieprawda.

Coś we mnie pękło. Jakby ta cholerna czaszka, niczym kawałek czarodziejskiego zwierciadła Królowej Śniegu, wpadła mi do oka i wreszcie dotarła do serca. Pomyślałem o Dalce... i poczułem jedynie smutek. Tak się myśli o dobrym przyjacielu, który żyje, ale odjechał daleko stąd i już nigdy więcej się go nie zobaczy.

Gilvy uśmiechnęła się, podeszła, przechyliła głowę i dotknęła czołem mojego policzka. Poczulem zapach perfum w jej włosach -- jak dawno nie czulem takiego zapachu! Dalka gardziła perfumami, twierdząc, że pachnideł, i w ogóle kosmetyków, używają jedynie sprzedajne kobiety.

--Przecież mnie pragniesz -- zachichotała cicho Gilvy.

To była szczerza prawda. Ale walczyłem ze sobą niczym święty Antoni, kuszony przez ojca kłamstwa.

--Ciało jest słabe i grzeszne. -- Odsunąłem się od niej. -- Niech zatriumfuje duch...

Gilvy westchnęła i również się odsunęła. Popatrzyła na mnie dziwnie i tak samo dziwnie powiedziała:

--Gdybyś tylko wiedział, gluptasie... -- Z rezygnacją machnęła ręką i poszła. Podreptałem w miejscu i też wyszedłem. Nie mogłem nic na to poradzić. Pragnąłem Gilvy, ale kochałem Dalkę. Nawet jeśli to, co się stało, rzuciło cień na moją duszę. Cóż, nie można pozostać czystym, wkładając imperialny mundur i maszerując w rytm brawurowych dźwięków marsza Horsta Wessela.

Mam przecież chłopców z plutonu, pomyślałem. I kto wie, może uda mi się wlać im trochę oleju do głowy, sprawić, że zrozumieją, czemu tak naprawdę służą, jakiemu potworowi, utrzymywanemu przy władzy czysto ludzkim pragnieniem pokoju, stabilizacji i bezpieczeństwa, pragnieniem dumy ze swojej rasy i swojej planety? Na razie mamy swoje zadanie, jeszcze nie skończyliśmy z rojem, a na dnie oceanu Iwołgi leży macicą potworna bomba biologiczna, gotowa wybuchnąć w każdej chwili, rodząc -- kto wie, jaką potworność?

Wyobraziłem sobie czarnego kolosa, wielkości dwóch boisk do piłki nożnej, zaczajonego na głębokości kilku kilometrów, wypuszczającego cienkie nici receptorów zewnętrznych; wyobraziłem sobie, jak leży i słucha, słucha, słucha... łowiąc najłżejsze drgania, wszystkie fale, wszystkie zakresy, analizując, porównując... Dziwni ludzie odparli pierwszy atak. Ale potęga, z którą się zetknęliśmy, nie znała pojęcia „klęska”. Mogła przemienić w swoje narzędzia wszystko -- nawet ludzi.

Ale na razie rozkoszowaliśmy się spokojem. Wróg pozwolił nam odetchnąć. Imperium zalało Iwołgę wojskami. Teraz skoncentrowała się tu cała 1. Armia Pancerna, duma i chluba Reichswehry. Wszystkie te pamiętne nazwy, od których powinien zaczerwienić się podręcznik historii: Grossdeutschland, Leibstandarte, Viking, Totenkopf, Das Reich, Florian Heier, Książę Eugeniusz i Nordland w składzie: Flandem, Dänemark, Norwegen... Cały 2. Korpus Desantowy Haussera, cały 1. Korpus Pancerny, przerzucony z Zety-5, elitarny 48. Korpus Knobelsdorffa... Wojska napływały na Iwołgę, wszystkie kosmoporty były zapchane po dach, od emblematów mieniło się w oczach...

Tym razem, w odróżnieniu od wydarzeń na Zecie-5, nie miałem wrażenia, że cała ta potęga rozpędza się na próżno. Nikt nie widział linii frontu, jednak nieublaganie nadciągał dzień, gdy przetnie ona planetę niczym smagnięcie bata. Czulem to całym sobą.

Byliśmy gotowi. Wszystkie pułki i dywizje. Mnóstwo pocisków, rakiet, kul i wszystkiego, co tylko mógł wymyślić mózg wojskowego intendenta. Utworzone w wyznaczonych miejscach polowe piekarnie i pralnie, magazyny i oddziały pocztowe, warsztaty remontowe i szpitale, sztaby i punkty łączności -- wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Panowie oficerowie byli w podniosłym nastroju -- skoro wróg zwleka z atakiem, najprawdopodobniej atak nie nastąpi. A ja nie mogłem zapomnieć o dziurach w pancerzu...

Pancerze również doskonalono. Po walce pod Peenemünde wielu chłopaków zaczęło z własnej inicjatywy podpinać do podszewki kombinezonu tytanowe płytki, wynajdując je gdzie się tylko dało. Przywożono nowe kombinezony, pancerny plastik pospiesznie zastępowano czymś metalizowanym. Ale mój pluton i tak nie miał najmniejszej ochoty na rozstawanie się z tytanem. Na nieoficjalnym czarnym rynku płytki osiągnęły zawrotną cenę...

Spędziliśmy na Iwołdze trzy długie miesiące. Powoli cichła histeria w sieci. Nie było też nic słyhać o losie brygad, chociaż nie wydano oficjalnego dekretu o ich delegalizacji i rozpędzeniu całego towarzystwa. Widocznie władze uznały za wystarczające wprowadzenie prawa o stanie nadzwyczajnym, zabraniającego wszelkich zebrzań i wieców oraz spotkań partii politycznych i organizacji niekomercyjnych. Z tego spisu wykluczeni zostali (na mocy specjalnej listy uzupełniającej) filateliści, numizmatycy i inni miłośnicy kolekcjonowania rzeczy różnych oraz wycinania laubzegą.

Nie miałem również żadnych informacji o Dalce. Cisza i spokój. Taka sielanka, podczas której zaczęliśmy się nawet przyzwyczajać do nieco podwyższonej grawitacji na Iwołdze,

trwała aż do pewnego jesiennego dnia, gdy nocą zawyły syreny i głos oficera dyżurnego posępnie wychrypiał przez głośnik:

--To nie jest alarm ćwiczebny.

Najbardziej zdumiał mnie fakt absolutnego braku plotek, pogłosek czy jakichkolwiek przecieków. Nie byliśmy przecież w kosmosie i od przedziału sztabu nie oddzielała nas pancerna przegroda. W sztabie było wystarczająco dużo szyfrantów, łączników i tak dalej, którzy, odpowiednio poinstruowani, zwykle przekazywali zainteresowanym zaaprobowany przez dowództwo pakiet informacji.

Nie załadowali nas do liniowców. Pułk przemieszczał się o własnych siłach, pancerną kolumną marszową, osłoniętą z góry lotnictwem. Przeciwnik musiał być gdzieś niedaleko.

Na południe od miasteczka uniwersyteckiego ciągnął się sielankowy pejzaż usiany farmami, na których były i czekały zapomniane albo specjalnie zostawione psy. Wierne stróżki pamiętały o swoim obowiązku, ale czy pamiętali o nim ci, którzy z zimną krwią porzucili zwierzęta?

Im dalej szliśmy po szerokiej, niemal bezdrzewnej równinie, wśród łagodnych wzgórz, tym bardziej zajadle stawało się szczekanie. Farm wokół było mnóstwo. W tym rejonie wszystko -- aż do reaktorów włącznie -- ukryto pod ziemią, na zewnątrz pozostawiając jedynie hodowlę biomasy. I wszędzie upiornie były psy.

Nie wytrzymał. Kolumna się zatrzymała, wyrwaliśmy kłódkę z najbliższej zagrody i wielki pies, owczarek niemiecki, z tych, co to nie boją się ani zwierzęcia, ani człowieka, przypadł do moich nóg niczym przerażony szczeniak. Nie chciał odejść. Wskoczył na pancerz bwp i pojechał z nami. Na obroży widniało jego imię -- Książę.

--Dobra, zostaniesz z nami -- poklepałem psa po karku.

Tego dnia przy pułku powstała najprawdziwsza psiarnia. Wszystkie psy -- silne, zdrowe stróżujące brytany, były śmiertelnie wystraszone. Tulili się do żołnierzy i żałośnie skamlały. Potrzebowały tylko jednego -- być z człowiekiem. Być może instynktownie czuły, że ci dwunożni w swoich dziwnych maszynach, tak niepodobnych do traktorów i półciągarówek farmerów, nie porzucą, nie cofną się i nie zdradzą.

Wieczorem doszliśmy do działu wodnego. Weszliśmy na wzgórze i zobaczyliśmy przed sobą otwartą przestrzeń, płynnie obniżającą się na południe i południowy wschód. Trzy kilometry od nas środkiem doliny płynęła rzeka w otoczeniu łąk i niewielkich nadrzecznych zagajników. Jeszcze dalej widać było miasteczko i prowadzącą do niego szosę. Wokół, niczym skrawki materiału, leżały pola. Nigdzie nie było żywego ducha.

Jesteśmy w Scytii, na krawędzi świata

Doszliśmy już do ogromnej pustym...

--zapraǳiałem powtórzyć za starożytnym autorem. My również staliśmy na krawędzi pustyni. Pustyni, z której odeszli ludzie, a teraz ich śladem napływa zupełnie inna siła.

Dostaliśmy komendę „zawracać”. Natychmiast, bez zastanowienia. Pomyślałem, że pewnie w miejscu, do którego chcieli nas wysłać, było już po wszystkim. Nie byliśmy tam już potrzebni.

--Fatiejew!

Zebrał nas dowódca kompanii, porucznik Rudolf.

--Gówniana sprawa, moi panowie. Dziesiąta macica ocknęła się, jak się tego spodziewaliśmy. Ale wywiad znowu się zagapił i teraz mamy nowe zadanie: ściągnąć na siebie

możliwie jak największe siły nieprzyjaciela, czyli rój i wszelkie naziemne bydlaki. Macica nie traciła czasu i wyhodowała ich całe mnóstwo. Krótko mówiąc, dowództwo poderwało wszystkie samoloty, które teraz palą wszelkie skupiska roju. Ale te cwaniaki ukrywają się, maskują i wylazą dopiero wtedy, gdy mają przed sobą żywą siłę. To znaczy nas. Dlatego rozkaz brzmi: okopać się, osłonić siatką i przyciągnąć nieprzyjaciela do siebie. Obiecali nam wsparcie z powietrza. Rój, sądząc z doświadczeń z Peenemünde i innych miejsc, nie wytrzyma systematycznego niszczenia. Nie wiadomo, jak długo mamy się utrzymać, ale dowództwo nie chce ani spalić Iwołgi, ani jej oddać. Rój leci teraz prosto na nas. Czasu mamy niewiele, a nie ma sensu iść dalej. Tam są ich miliony. Powitamy ich tu, na tej rubieży.

Rozkaz zakopania się pod ziemię wykonaliśmy bez pudła. Pułk okopywał się i naciągał siatkę nad rowami łącznikowymi i w pośpiechu wykopanymi transzejami. Noc zastała nas wprawdzie nie w „polowej twierdzy”, ale w każdym razie nie w szczerym polu.

A rano wyszedł do nas Vallenstein i odczytał rozkaz: utrzymać się aż do ostatniego żołnierza.

Przeciwnik przeszedł do ofensywy. Nasze zadanie bojowe brzmi: nie dopuścić, by nieprzyjaciel przedarł się do ważnych ośrodków... -- brzmiał rozkaz, jakbyśmy mieli przed sobą zwykłego wroga. Muszę przyznać, że nie rozumiałem, w czym rzecz, dopóki nie zobaczyłem tego wszystkiego na własne oczy.

Był jesienny ranek. Staliśmy pośrodku pustkowia, niczym pomnik ludzkiej determinacji -- determinacji sztabowców, którzy na pewno spisali nas na straty.

Nasze przebywanie tutaj nie miało sensu, ale wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy. Na wojnie trzeba atakować, przebijać się do ważnych ośrodków przeciwnika, otaczać i zmuszać do kapitulacji jego armię, albo bronić się do upadłego, nękając rwącego się do przodu wroga; ewentualnie wycofywać się na z góry upatrzone pozycje, szykując się do kontrataku. Tak mówiły podręczniki. Ale żadna z tych propozycji nie miała zastosowania tutaj.

Najpierw usłyszałem krzyki. Odruchowo zaciągnąłem na oczy osłonę helmu, włączając wizor. W dwudziestopięciokrotnym powiększeniu nad odległymi lasami zamajaczyły szare słupy, jakby wzbijał się poderwany wiatrem pył. Szare kolumny podążały w naszą stronę, łączyły się i oto nasuwał się na nas szczelny front, szybko zmieniając kolor z szarego na czarny. Jak okiem sięgnąć, na całe kilometry w lewo i w prawo nie było widać nic, oprócz nadciągającej żywej fali.

--Na miejsca! -- wrzasnąłem. Co innego mogłem zrobić? W końcu byłem tylko prostym podporucznikiem i zwykłym dowódcą plutonu...

Chłopcy -- zarówno weterani: Mikki, Glinka, Makumba, jak i nowicjusze -- w pośpiechu wykonali rozkaz. Jeśli była to taka sama chmura jak w Peenemünde, to jeszcze nic straconego, zdołamy się obronić... Choć osobiście wolalbym walczyć, siedząc w betonowej kaponierze, której otwory strzelnicze zaciągnięte są gęstą siatką.

Dlaczego dowództwo nie pozwoliło nam zająć tamtego miasteczka? Ściągnęlibyśmy rój na siebie i spalili to draństwo...

Tak sobie wtedy myślałem. I oczywiście, zgodnie z odwieczną wojskową tradycją, kląłem głupotę zwierchników.

Rój nadciągał nieuchronnie. Nie rozwijał jednak prędkości samochodu wyścigowego i pokonanie dzielącej nas odległości zajmie mu najmarniej pół godziny. Jeśli Vallenstein nie jest

głupcem...

Pułkownik głupcem nie był. W tej samej chwili odezwało się całe ciężkie uzbrojenie pułku.

Nowe pociski powietrzno-próżniowe. Pociski kasetowe, zostawiające za sobą obłoki rozchodzącego się w różne strony płomienia. Horyzont zasnuł się czarnym dymem, ale roju to nie powstrzymało -- i powstrzymać nie mogło. Pozostawało czekać, aż ci, którzy nią sterują, podliczą straty i zdecydują, że stały się niedopuszczalne. Nasze zadanie polega na tym, żeby pozostać przy życiu do chwili, gdy ta granica zostanie osiągnięta.

W niebie potężniał grzmot. Z łagodnego błękitu ponad rojem wynurzyły się trzy samoloty szturmowe. Henschele przeleciały z maksymalną prędkością, ale zadanie wykonały -- horyzont wybuchł czarnymi grzybami eksplozji. To musiał być jakiś nowy wynalazek; nawet najcięższe wyrzutnie raketowe kaliber 280 milimetrów nie dawały takiego efektu. Pułkowa bateria ciężkiego uzbrojenia starała się jak mogła, ale skutki były nieporównywalne.

Wszystko zasnuwał dym. Wybuchł gigantyczny pożar i poza płomieniami niewiele dało się zobaczyć. Trudno było zrozumieć, czy rój dalej się posuwa, czy się zatrzymał. Płonęło wszystko, nie wyłączając powietrza. Pułkowe działa przerwały ostrzał; ludzie stracili orientację, gdzie lecą pociski.

Na wschodzie pojawiła się kolejna trójka szturmowców. Powtórzyły uderzenie i cały pas długości pięciu kilometrów przemienił się w morze ognia. Nie mogło tam nic ocaleć. W komunikatorach huknęło: „*Hoch, hoch, hoch, heil!*” Niektórzy z chłopców uwierzyli w łatwe zwycięstwo.

Gdy szturmowce zrzuciły bomby i schowały się za szczelną zasłoną dymu, zaczęły się unosić w górę dziwne kule, szybko niknące w gęstniejących obłokach.

Jedna, druga, trzecia... Dziesięć. Dwadzieścia. Trzydzieści.

Próbowałem wziąć jedną z nich na cel, ale nic z tego nie wyszło. Kanał podczerwieni dostał kręćka z powodu piekła, jakie rozpętało się na ziemi, a kanał optyczny błyskawicznie tracił cel, gdy tylko krył się on w chmurach. Nad naszymi głowami przemknęło kilka rakiet przeciwlotniczych. Wlokąc za sobą szare treny dymu, pociski leciały do miejsca, gdzie schowały się kule. Vallenstein prowadził chyba ogień „po powierzchniach” -- chociaż w tym wypadku należałoby raczej powiedzieć „po stycznej” -- słusznie podejrzewając, że kule mogą okazać się czymś w rodzaju dawnych balonów obrony przeciwlotniczej, wiszących nad miastami w czasie II wojny światowej. Nie wiem, czy Vallensteinowi udało się coś osiągnąć, za to gdy na niebie pojawił się trzeci oddział henscheli, kule ujawniły się w całej swojej krasie.

Widocznie dowództwo nie zdążyło przekazać Luftwaffe tej nowej informacji. Może zresztą satelity mogły zarejestrować te przekłete pęcherze nawet w chmurach... ale było już za późno.

Wyglądało to tak, jakby samolot szturmowy, z góry, z obłoków został zaatakowany przez szarego potwora. Prawdopodobnie maszyna po prostu wbiła się w rozciągniętą między niebem a ziemią szarą sieć, ściągając na siebie pęcherze. Chwilę później prowadzący znikł w chmurze eksplozji. Pozostała dwójka zdążyła skręcić -- pewnie zadziałała automatyka -- ale jedyne, co osiągnęli, to odroczenie na chwilę własnej śmierci. Pajęczyna okazała się zbyt gęsta i zbyt szczelna. Pewnie nie była metalowa, więc radary jej nie wykryły... albo może wykryły, ale dopiero wtedy, gdy nic już nie dało się zrobić.

Trzy wybuchy, trzy ogniste kleksy na niebie. I martwa cisza w okopach Tannenberga. Na

horyzoncie nadal płonął ogień, ale widać było, że rój przeformował swoje szeregi, otrząsnął się po pierwszym szoku. Szybko reagował na nowe zagrożenie. Dziesiąta macica nie na darmo leżała tak długo na dnie oceanu.

Na razie mogliśmy jedynie patrzeć, jak działa artyleria, zwykła i raketowa. W punkcie dowodzenia pewnie zacisnęli zęby, w sztabie eskadry zapadła ciężka cisza. Przed chwilą straciliśmy trzech pilotów i trzy maszyny, ale działa muszą strzelać dalej, inaczej w tych okopach polegnie cały Tannenberg.

Rój sunął na nas szerokim, wgiętym półksiężycem. Już zostawił za sobą strefę szalejącego ognia i miałem wrażenie, że jego szeregi porządnie się przerzedziły. Nie widziałem, co się dzieje na ziemi -- zbyt dużo dymu. Samoloty spisały się na medal. Szkoda tylko pilotów... Uczciwie zapracowali na swoje Krzyże Żelazne. I podwójne renty dla rodzin.

Nad tym, dlaczego właściwie nie zajęliśmy miasteczka za rzeką, zastanawiałem się aż do chwili, gdy zobaczyłem, jak po kolei wałęsały się tam domy, jakby burzone olbrzymią siłą. W wizorze ujrzałem, jak z kłębow szarego betonowego pyłu powoli wyłania się ciemna postać. Wyszła, przesunęła w bok płaską głowę wielkości łyżki buldożera i znowu skryła się w białym pyłe.

W punkcie dowodzenia również zauważyli nowe stworzenie. Naprowadzający celowniczy zadziałali doskonale, kolejna salwa uderzyła dokładnie w miejsce, w którym stało wśród rozkruszonych żelbetonowych płyt. Pociski rozwalaly resztki ścian i pruły żywe ciało, na wszystkie strony leciały odłamki kamienia i pancerza.

I znowu, jak w Peenemünde, do naszych pozycji przysuwał się front -- artylerzyści starali się dogonić nadciągający rój i te istoty, które szły po ziemi. Przez dym i ogień maszerowały dzielnie jakieś stwory, przypominające te krabokrokodyle, które załatwiliśmy granatami kumulacyjnymi na morskim brzegu. Te bardziej pechowe przemieniały się w obłoki rozpalonej protoplazmy, ale pozostałych to nie powstrzymało.

Dzisiaj rój pójdzie na całość, zrozumiałem to z lodowatą jasnością. Na chwilę ujrzałem wydarzenia z tamtej strony „barykady”. Patrzyłem milionami oczu i widziałem żalostną grupkę skazanych ludzi. Skazanych od momentu, gdy znaleźli się na drodze Siły.

Co się ze mną dzieje? Wściekły wałęsałem pięścią w ziemię. Skąd się to we mnie bierze? Jak mogło się pojawić?

To były moje ostatnie myśli przed wydaniem komendy: „Ognia!” Rój zawisł nad naszymi głowami, zasnuł niebo drobną siateczką. Zgęstniał mrok. Chwała Bogu, że oni nie mają...

Pomyślałem o bojowych środkach trujących i ręka sama znalazła odpowiedni klawisz komunikatora, niezawodny sygnał alarmu chemicznego. W walce może nie być czasu, żeby nasunąć maskę, alarm zrobi to za nas. Pomyślałem i nacisnąłem guzik, chociaż wszystkie wskaźniki uspokajająco pokazywały „zero”. Ale wiedziałem już, co stanie się za chwilę.

Wyprzedziłem rój zaledwie o kilka sekund, ale w takiej sytuacji sekunda równa się wieczności. Rój pękł, wyrzucając z siebie kłęby mgły w ohydny kolorze gnojówki. Lunął na nas rzęsy żółty deszcz. Zawył brzęczyk alarmu chemicznego, ale my byliśmy już przygotowani.

Rój z rozpędu spadł na siatkę, na naszych pancerzach zasyczały krople, ale kombinezon się nie poddawał. Rozbity na pary i trójki pluton powitał rój miotaczami ognia. Stwory płonęły wesolo, nie gorzej niż pod Peenemünde. Próbowaly przerwać siatkę, ale bezskutecznie.

Trzepoczące ciała, polane płynnym ogniem. Rozpalone przyssawki, dygoczące mięśnie, drżące membrany i zwieracze. Szybciej! Szybciej! Wszystko za szybkość! Szybciej żyć, szybciej zabić, szybciej umrzeć -- dzikie prawo dzikiego roju.

Teraz stworzenia umierały płonąc, a ich ciała z sykiem zwijały się w ogniu, rozpadając na węgielki. Pluton trzymał się dzielnie, Mikki dobrze ustawił swoich chłopców, osłaniając stanowiska ciężkiego uzbrojenia. Niedawni rekruci też nieźle się trzymali i nie tracili przytomności umysłu, nawet Razdwakriakowi udawało się nie wdepnąć w żadne kłopoty.

Pomyślałem, że wystarczy mieć mocne nerwy i dużo napalmu. Świat wokół nas zasnuł gryzący dym, połączony z ciężkim odorem palonych ciał. Zżerane przez płomień, nadal rwały się do przodu, sięgając do oczek sieci, wyciągając do nich macki i odrostki.

Było ich coraz więcej. Gdzieniegdzie pod ognistą płachtą zaczęła niknąć osłaniająca nas sieć. Na tamtym brzegu nadal rozrywały się pociski; osłona baterii pułkowych trzymała się nie gorzej od naszej.

Powoli wokół mnie zaczęła się tworzyć martwa strefa. Nie dlatego, że byłem jakimś niesamowitym szczęściarzem i superpogromcą roju czy choćby błyskotliwym dowódcą plutonu. Rój mnie unikał. Omijał mój okop, atakując wszędzie, tylko nie tu.

Stworzenia falą sunęły na nasze stanowiska. Chłopcom robiło się za gorąco -- już płonęło niemal wszystko wokół i obsługa ledwie nadążała z gaszeniem podchodzącego zbyt blisko płomienia. Günter ze szczerego serca częstował rój granatami rozrywającymi bliskiego zasięgu, pozostali robili to samo. Dopóki jest sieć, dopóty jesteście nietykalni, a przynajmniej prawie nietykalni. Ale gdy podejda tamte olbrzymy... Rój wyraźnie był za słaby, żeby przerwać cienkie, ale bardzo trwałe nici z żaroodpornego stopu tytanu. Ale gdy pojawią się te giganty, które burzyły domy za rzeką...

Wskazówki zegarka zatrzymały się. Nadal odpieraliśmy atak, ale kończyła nam się mieszanka zapalająca. Przed walką każdemu plutonowi wydano potrójny zestaw, ale kontenery i skrzynie pustoszały z przerażającą szybkością. Jeszcze pół godziny tych bachanalii i będziemy tu mieli kłopot.

Nie wiedziałem tylko, że stanie się to znacznie wcześniej. Że dadzą nam posmakować prawdziwego żaru.

Eter wypełniały rozpaczliwe przekleństwa. Kanały dowództwa zachłystywały się krzykiem -- w jakimś miejscu rój jednak przedarł się przez siatkę i skazany na śmierć oddział wezwał ogień na siebie. Sąsiadujący z nimi żołnierze pospiesznie zasłaniali rowy łącznikowe dodatkowymi siatkowymi tarczami.

Jeśli dobrze rozumiałem, użyto nas jako żywej przynęty. Rój nie reagował na technikę. Atakował, tylko widząc ludzi. Gdy już dowództwo uzna, że spaliliśmy wystarczającą część roju, dostaniemy rozkaz ładowania się do bwp. Tym razem samochody stały tuż przy naszych stanowiskach bojowych, nie musieliśmy nigdzie biec. Ciekawe tylko, czy rój zacznie atakować te żelazne pudelka, do których się schowamy. I czy atak będzie skuteczny.

A może wycofa się, pozwalając, by załatwili go inni bojownicy?

Gdy chłopcy zaczęli meldować, że kończy im się amunicja i zostaje tylko „nietykalna rezerwa”, wywołałem przez komunikator dowódcę kompanii.

Porucznik Rudolf odpowiedział od razu.

--Do wozów, chłopaki -- warknął przez kanał ogólny, żeby wszyscy go usłyszeli. -- My już

zrobiliśmy swoje. Wycofujemy się.

Chyba miał rację. Zrobiliśmy, co do nas należało. Napór roju osłabł. Nie wiedziałem, jak to wygląda na innych odcinkach, ale zdaje się, że straty były w granicach strat dopuszczalnych, jak wyraziłby się sztabowiec. Mogłem się tylko domyślać, jaki smród unosi się nad naszymi okopami. Cuchnąca mieszanka ciężkiego, gryzącego dymu, wypuszczonego przez rój na początku ataku, i swąd palących się ciał. Wskakiwaliśmy do zbawczego wnętrza bwp, obsługa stanowisk ogniowych zwijała się jak mogła, celownicy i działonowi zajmowali swoje miejsca. Artyleria umilkła i zaraz potem rój wycofał się zupełnie.

Dopiero teraz, patrząc w górę, pomyślałem, że porządnie go przerzedziliśmy. Z zasłaniających słońce obłoków zostały smętne resztki, które mogły już tylko trzepotać żałośnie skrzydełkami -- jeśli któremuś zostały skrzydła. Gdzie ten szum miliardów skrzydeł, gdy rój szykował się do ataku? Gdzie setki tysięcy istot, idealnie wyregulowanych elementów nieprawdopodobnie złożonej maszyny? Płoną i dymią na naszej siatce. Gdzie zastępy szczękonogich stworzeń? Rozerwane pociskami fugasowymi, poszatkowane szrapnelami. Żadna armia potworów nie oprze się zmasowanemu nalotowi artylerii, pomyślałem z satysfakcją. Ci żołnierze, którzy wpuścili rój w głąb kontynentu, to musiały być zwykłe leszcze. A może puściły im nerwy. My wytrwaliśmy. I dlatego żyjemy i zwyciężyliśmy. Już niedługo to my będziemy atakować. Jeśli będzie trzeba, zalejemy napalmem pół planety. Zawsze to lepsze niż taktyczne pociski jądrowe.

Wycofywaliśmy się, z godnością schodząc z pozycji. Zwyciężyliśmy. Rój to tylko stado bezmózgich stworzeń, smażących się na naszej siatce jak na ruszcie. Szkoda, że nie mamy takich generatorów, które pozwoliłyby na puszczenie przez nią prądu. Wtedy moglibyśmy po prostu siedzieć i zachwycać się krajobrazem. Niewykluczone, że w końcu dowództwo na to wpadnie. Może świadomie odciąga nas teraz w stronę stolicy? Falszywa defensywa ma na celu wywabienie resztki roju -- albo rojów, jeśli jest ich kilka. A potem siatka, kilka porządných reaktorów... Sam zgłosiłbym się wtedy na przynętę, nawet bez pancerza. Może to rozochoci rój jeszcze bardziej?

Tak sobie myślałem, gdy Tannenberg, mrużąc setkami silników niczym wielki, syty smok, wyruszył w drogę powrotną. W moim plutonie nie było strat. Mogliśmy się wreszcie rozluźnić odstresować i zacząć wrzeszczeć.

Naiwni, zarozumiali ludzie... Usłyszałem to niczym szept tysięcy istot, jakby potężny chór zaczął złowieszczy recytatyw. Nie słowami, słów nie było, w każdym razie ja ich nie rozumiałem. Wychwytałem jedynie sens.

Znowu to samo, znowu to samo! A przecież zabroniłem sobie o tym myśleć, zrzucając wszystko na tak wstydliwą dla żołnierza cechę -- wrażliwość...

Ale bez względu na to, czy będę o tym myślał, czy nie, to wszystko było: i swoisty ochronny krąg wokół mnie podczas tej walki, i koszmarny reaktor Dariany Dark, który nie wyrządził mi krzywdy...

Samochód o mało się nie rozpadł od krzyków moich chłopców. Kriak podskakiwał, jakby chciał wybić głową pancerny właz. „Chłopcy, ciszej. Chłopcy, uspokójcie się. Proszę. Nie rozkazuję, proszę. Broń w pogotowiu. Szykować się! Szykować się, mówię!”

Popatrzyli na mnie ze zdumieniem, niechętnie przysunęli się do otworów strzelniczych. Ostry ból, jakby ktoś z całej siły uderzył mnie w plecy batem. Wóz przechyla się, silnik

wyje, gąsienice młocą powietrze, kierowca krzyczy coś w łączności wewnętrznej, maszyna sunie w dół, przechylając się coraz bardziej na bok, a ja krzyczę: „Na glucho!” Już wiem, że wszystko przepadło, że czas zwycięstwa dobiegł końca i teraz to my będziemy kąpać się we krwi.

Łączność została przerwana. Trzask zakłóceń. Przypomniałem sobie Omegę-8. Uderzenie. Maszyna zastygła, leżąc już prawie na boku. Oddział zamarł. Nie było słyhać żadnego dźwięku, żołnierze chyba przestali oddychać.

Szybka kontrola sytuacji. Wszyscy cali, łączności nie ma, komunikatory milczą. Porozmawiać możemy tylko ze sobą. Milczy kierowca, oddzielony od nas pancerną przegrodą. Kilka razy w nią uderzyłem, nacisnąłem guzik sygnalizacji alarmowej -- bez efektu. Kretyńscy konstruktorzy nie przewidzieli awaryjnego otwierania wjazdu z przedziału desantowego do przedziału sterowania... Wjazdów pierwszego przedziału nie da się także otworzyć z zewnątrz. Może kierowca jest ranny, może tylko stracił przytomność? Jak go wyciągnąć? Przywarłem do otworu strzelniczego. Gdzieś bardzo daleko rozlegały się strzały, huki i łomoty -- pułk nie poddawał się bez walki.

--Nic nie robić! -- krzyknąłem na chłopców, którzy już się wspinali do górnego wjazdu awaryjnego. -- Pośpiech jest konieczny tylko przy łapaniu pcheł! -- Nie rozumieli, ale przestali pchać łapy tam, gdzie nie trzeba.

Zasadzka. Pomysł tak elementarny i tak stary, jak sama wojna. Podczas gdy my walczyliśmy z rojem, jakieś krety spokojnie nas ominęły, ryjąc wilcze doły na naszej drodze. Poczekali, aż kolumna wjechała na pole i wywołali eksplozję.

--Zamknąć otwory strzelnicze -- przypomniałem sobie. -- Włączyć układ filtrowentylacyjny!

Zdażyłem w ostatniej chwili. Za burtą coś zbulgotało, coś chlupnęło, jakby do naszego dołu wiano cysternę wody. Sprytnie, cholera. Sprytnie i skutecznie.

--Czekać! -- wrzasnąłem, widząc, że spanikowany Razdwakriak skacze do górnego wjazdu. Muszą zacząć przypuszczać, że nie żyjemy. Wtedy odejdą, a my wypłyniemy. Bez osłony sieci jesteśmy właściwie martwi. Otwarta przestrzeń, step, szeroka droga i my jak na dłoni; znakomity cel dla tego potwornego młota, który zaraz na nas spadnie.

Już mnie nie obchodzi, że ludzie obok mnie mają na rękawie złowieszczą srebrną czaszkę. --Czekać -- powtórzyłem spokojniej. Chlupot wody za burtą nie jest najlepszym środkiem uspokajającym. Możecie mi wierzyć.

Dół nie był głęboki, więc woda wkrótce nas nakryła. Czekaliśmy, aż bulgotanie wreszcie ucichnie.

--Dolny wjazd!

Chlusnęła woda. Poziom podniósł się do kolan, do pasa...

--Macie włączony tlen? Broń zahermetyzowana? Zabraliście amunicję?

Nie zaszkodzi jeszcze raz o wszystkim przypomnieć.

Nowe kombinezony wyposażono w małe aparaty tlenowe z pochłaniaczem dwutlenku węgla. Lepiej nie zapędzać się w nich na większe głębiny, ale jak na ten rów były w sam raz. Trenowaliśmy wypływanie z zatopionego transportera opancerzonego, więc teraz byłaby to bułka z masłem, gdyby nie perspektywa spotkania z rojem.

Gdy wóz poszedł na dno, otworzyliśmy górny wjazd. Przez wodę przeświecało słońce.

Nie spieszyłem się. Stałem w zatopionej maszynie i patrzyłem w górę. Chyba panował spokój. Na niebie nie było widać żadnych bestii, ziemia nie drżała od tętentu wielkich potworów. Najlepiej byłoby przesiedzieć pod wodą aż do wieczora, ale to kompletnie nierealne. Zabraknie nam rezerw.

Bardzo powoli uniosłem głowę nad powierzchnię. Nic. Krawędź dołu, do którego wpadł bwp, była dość wysoko. Wspiąłem się na górę. Boże...

Nie było już rozciągniętej na kilka kilometrów kolumny pulku. Zamiast niej zobaczyłem głęboki rów, poprzecinany pasami ziemi. Żadnego samochodu na powierzchni. Co gorsza, wzdłuż rowu, czy raczej kanału, co kilkanaście metrów wznosiły się ogromne czarne cielska, przypominające gigantyczne kalmary, tylko zakute w pancerz. Wyglądały jak skupieni nad rzeką potężni wędkarze. -- Macki wsunięte do ciemnej wody powoli wyciągały zatopione maszyny.

Cały pulk? -- przemknęła mi przez głowę paniczna myśl. Cały pulk, całe trzy tysiące ludzi wpadło bezsensownie do czarnej wody, nie wyrządzając wrogowi najmniejszej krzywdy?

Mieliśmy szczęście. Najbliższy „wędkarz” ulokował się ze trzydzieści metrów od nas. Nawet stąd widziałem okrągłe błyszczące oko, obramowane śliskimi zmarszczkami skóry. Oko miało rozmiar koła ciężkiej wywrotki.

Obok mnie wynurzyli się chłopcy. Rozejrzałem się. Z żadnego innego samochodu nikt nie wypływał.

„Wędkarz”, ten najbliżej nas, już zdążył wyciągnąć na brzeg opleciony czarną pajęczyną macek bwp. Zamarłem, widząc numer na burcie. To mój pluton. Drużyna Mikkiego, jechali tuż za nami.

--Günter! Granat! -- Z trudem udało mi się mówić normalnym głosem.

Niemiec pojawił się obok mnie, skąpymi, precyzyjnymi ruchami zdzierając z granatnika kołpaki izolacyjne.

--Zaczekaj, aż postawi na ziemi -- syknąłem, chwytając Güntera za ramię. -- Do brzegu, do brzegu! -- rozkazałem pozostałym.

Brzegi kanału roily się od zwierzyny -- najróżniejszej i jak podejrzewałem, wąsko wyspecjalizowanej. Do „wędkarza” podszedł drugi stwór, wyglądający jak nóż hydrauliczny na nóżkach. Potężne kościane kleszcze podejrzanie przypominały cylindry hydrauliczne.

Będą go otwierać. Wszystko mają dokładnie przemyślane. Zatopić samochody, a potem otworzyć jeden po drugim jak konserwy. Bwp ma pancerz kompozytowy, wytrzymujący ostrzał pociskami kumulacyjnymi, ale to przecież nie ciężkie tygrysy, no i nie mają tarcz siłowych.

--Günter, przygotuj drugi granat. Ustaw opóźnienie zapalnika. Kriak, nasadkowy!

--Co nasadkowy?

--Granat, cymbale! Załóż na lufę granat nasadkowy!

Ja i Günter nadal staliśmy na zatopionym bwp. Nie mogłem odejść, dopóki istniała szansa, że kierowca żyje. Jego przedział nie był zatopiony. Może po prostu go ogłuszyło...

Tymczasem stwór rzeczywiście opuścił wyciągnięty wóz na ziemię. Do bezradnie zadzierającego lufę działa samochodu od razu przysunął się nóż, żarłocznie szczękając kleszczami.

--Ognia!

Günter był doskonałym strzelcem. Z dwudziestu pięciu metrów wpakował granat dokładnie

w czarne, okrągłe oko wędkarza. Rozległ się cmokający dźwięk, jakby ktoś z rozmachu wbił widelec w galaretę. Dopiero potem nastąpił wybuch.

--Kriak!

A jednak udało mi się nauczyć go czegoś. Trafił w połączenie pomiędzy głowotulowiem i odwłokiem „noża”.

Kościana konstrukcja z kleszczami po prostu rozpadła się na kawałki. „Wędkarz” wściekle machał mackami. W miejscu lewego oka ział lej dwumetrowej głębokości. Z rozerwanych naczyń tryskała czerwona krew. Pewnie wykorzystują hemoglobinę tak samo jak my...

Miałem nadzieję, że Mikki domyśli się i włączy silnik. Ale albo coś im się zepsuło, jak nam, albo ogłuszyło czy też zabiło kierowcę, bo samochód nawet nie drgnął, choć nikt go już nie trzymał.

--Rój! -- wrzasnałem. Pole wokół nas roilo się od nieapetycznych istot, od drobnicy po giganty. W naszą stronę biegło ze dwadzieścia bestii -- od dużego psa do ziemnowodnego wieloryba... gdyby wieloryb wpadł na pomysł wyhodowania sobie łap.

Chłopcy wydostawali się na brzeg i zrywali izolację z broni. Z dumą zauważyłem, że nikt nie porzucił mannlicherów ani miotaczy ognia, ani kanistrów z napalmem. Byliśmy gotowi do walki. Szkoda tylko, że prawie już nie mieliśmy ciężkiego uzbrojenia...

Ranny „wędkarz” nadal mlócił mackami i kręcił ohydną głową. Teraz przypominał uszkodzony dźwig. Nie wydał ani jednego dźwięku. Najwidoczniej w jego zastosowaniu nie przewidziano strun głosowych.

Biegiem rzuciliśmy się do wozu Mikkiego. Jeśli uda się go otworzyć... jeśli ktoś tam przeżył...

--Mikki! Odezwij się!

--Ruslan, to ty?! -- Fin z wrażenia pominął stopień swojego dowódcy.

--Otwórz włazy! Żyjecie?

--Tak jest! Już otwieram!

Władowaliśmy się do środka. Zrobiło się tam trochę, no cóż, ciasno. Za to odezwał się kierowca. Jednak żył!

--Uruchom silnik! -- krzyknąłem, sprawdzając automat ładowania. Wszystko w porządku. Stupięciomilimetry pocisk wsunął się do ładownicy.

--No, trzymajcie się teraz, sukinsyny! -- syknąłem, pospiesznie celując, i nacisnąłem spust.

Bwp podskoczył. To tylko w starych filmach wojennych czołgi mkną przez pole walki, a ich lufy od czasu do czasu pluja błękitnym dymem, strzelając oczywiście pociskami ćwiczebnymi. Wystrzelenie prawdziwego ciężkiego pocisku odrzuca wóz do tyłu. Ustawilem opóźnienie zapalnika i puszczone niemal nad ziemią pocisk zrykoszetował, wybuchając pod przemiłą grupką bestii, które zmierzały w naszą stronę, by zgotować nam gorące powitanie. Niewiele po nich zostało, a ja już celowałem w najbliższego „wędkarza”, który wyciągnął z kanału kolejny wóz.

Wzdłuż całego rowu rozgrywał się ostatni akt tragedii. Widziałem, jak „wędkarz” nie rozplatając macek, bez wysiłku podsunął samochód opancerzony „nożycom”, jak kleszcze zaczepiły o górny właz, jak tłoiki popelzły w dół, drżąc z napięcia -- wymyślona przez człowieka stal poddała się. Z niezwykłą zręcznością „nożyce” pruły pancierz wzdłuż podstawy wieżyczki.

„Wędkarz” oderwał niepotrzebny kawałek metalu i do środka runęła horda drobnych stworów, podobnych do tych z roju, tylko bez skrzydeł. Wystrzeliłem, ale zdążyliśmy już nabrać prędkości i stabilizator sobie nie poradził -- wybuch nastąpił nieco z boku. „Nożyce”, które przyjęły na siebie główne uderzenie, zamieniło w kupkę szczątków, czarny pancerz wędkarza posiekało odłamkami, co chyba niezbyt przeraziło giganta.

W niektórych miejscach żołnierzom udało się wydostać z zalanych wodą samochodów. Te wozy, które postanowiły przeczekać, wyjmowano i otwierano, a wtedy do akcji wkraczała drobnica.

Najgorzej mieli ci na zwykłych ciężarówkach, na otwartych platformach z działami... Oni na pewno nie przeżyli. Tu i ówdzie na trawie leżały nieruchome ciała w pancerzach. To ci, którzy wydostali się z rowu po to, by zginąć w nierównej walce.

Nasz bwp jechał wzdłuż kanału, plując ogniem. Niestety, nawet nasze pociski nie mogły rozwalić „wędkarza”. Widocznie ten stwór składał się ze swoistych pancernych płyt.

Naszyc chłopców, wyskakujących z rowu, wychodzących z samochodów, dobijała chmara potworów. Nasz przeciwnik nie gardził również prymitywnymi narzędziami w rodzaju szczęk, żądeł czy pazurów. Na szczęście chityna tych stworzeń nie mogła stawić oporu ciężkim pociskom, a napalm błyskawicznie wypalał im oczy.

Zabraliśmy wszystkich chłopców, których mogliśmy. Rozwaliliśmy trzech „wędkarzy” i tuzin „nożyc”. Zasobnik amunicyjny opustoszał, równie szybko kończyły się taśmy do karabinów maszynowych. Nadal nikt nas nie atakował. Najwidoczniej zrozumieli, że na siłę czołgu nie wezmą, a z pułapki już się wyrwali.

Gdy widzieliśmy, że w gdzieś jednak dochodzi do walki, rzucaliśmy się w tamtą stronę, wyciskając z silnika ile się tylko dało. Zabieraliśmy tych, których udało się uratować i powoli robiło się nas coraz więcej. Gdy bwp zaczął przypominać ludzkie mrowisko, zatrzymaliśmy się i rozstrzelaliśmy pięcioma pociskami kolejną słodką parkę -- „wędkarza” i „nożyce”, stojące obok wyłowionego niedawno samochodu. Ludzie w nim żyli.

Dzięki temu mieliśmy już dwa wozy.

Nie wiadomo, jak skończyłoby się to starcie, gdyby nie nadeszła pomoc. Z potwornym rykiem przeleciał nad nami klucz samolotów szturmowych. Szare kule „sterowców” nie zdążyły wzlecieć i stwory na równinie zaczęły tonąć w rozplywającym się morzu ognia. Kilka minut później rozległ się niski, basowy ryk dziesiątków silników -- to pojawiły się czołgi, niskie, przysadziste królewskie tygrysy. Rozwinęły tyralierę i ruszyły ku nam, przeczesując step i zabijając wszystko, co się ruszało i nie nosiło munduru imperialnego. „Wędkarze” zaczęli się spieszyć, ale było już za późno. Czołgi sunęły niczym lawina, nie podejmując zbędnego ryzyka, po prostu z daleka rozstrzeliwały pociskami i kierowanymi rakietami powolne giganty, które w bezpośrednim starciu mogłyby przewrócić tygrysa do góry gąsienicami.

Co się działo pod pancerzem i na pancerzu dwóch „moich” bwp, trudno opisać. Panowała tak wrzawa, jakby skazańcom odczytano niespodziewane ulaskawienie.

Chyba rozproszyły się wreszcie zakłócające łączność chmury komarów, bo w komunikatorze rozległ się stłumiony głos dowódcy czołgistów, pewnie po raz setny powtarzającego wezwanie. Widocznie dopiero teraz dostał wiadomość od radiooperatora, że nasza aparatura odpowiada.

Uratował nas 503. Samodzielny Batalion Pancerny, batalion König-Tiger, przeznaczony do

przerywania pasów umocnień i pokonywania głębokiej obrony. Dzisiaj to oni musieli pomóc nam.

Ale nie było czasu na radość. Chcieliśmy ocalić jak najwięcej naszych, zanim wróg zbierze siły i rzuci do walki rój.

Wyciągnęliśmy sporo samochodów, ale znaleźliśmy w nich tylko trupy. Jedni się udusili, innym udało się wypłynąć, ale zginęli w walce, jeszcze inni postanowili przeczekać pod bezpiecznym pancernem -- po to, żeby stać się zdobyczą naziemnych stworów. Ciała tych żołnierzy, którzy na pancerniach mieli wytopione dziury, po prostu paliliśmy miotaczami ognia. BREM-y* krzątały się jak mrówki, wyciągając dźwigami te samochody, których nie dało się wyciągnąć na holu.

Dopiero wieczorem można było się zorientować w sytuacji i ocenić straty. Naszym oczom ukazał się straszny obraz totalnego pogromu. Pułk stracił ponad połowę żołnierzy. Z trzech tysięcy przeżyło niecałe tysiąc pięćset. Bwp nadawały się do użytku, ale ciężarówki trzeba było porzucić. Dowódca 503. batalionu, śmiertelnie zmęczony major, nie pozwolił nam na zbyt długi odpoczynek. Sztab ogłosił powszechną ewakuację wojsk z Iwołgi. Uznano, że dalszy opór grozi zbyt wysokimi stratami w ludziach. Flota otrzymała zadanie niewypuszczenia macic w kosmos, armia miała powrócić na miejsca stałej dyslokacji. Chociaż, jak stwierdzili ponuro czolgiści, niespecjalnie miał kto wracać.

Imperialna armia przeżyła na Iwołdze krwawą łaźnię.

Ostatnie dni, jakie spędziliśmy na planecie, zwały się w jeden koszmarny ciąg. Nie pozwolono nam na odpoczynek. Broniliśmy kosmoportu, skąd jeden po drugim startowały przeciążone wahadłowce. Mimo wszystko dowództwo nie użyło broni jądrowej. Głupcy, pomyślałem. Czyżby liczyli, że jeszcze tu wrócą? O Iwołgę trzeba było albo walczyć do ostatniego żołnierza, albo utopić planetę w ogniu, nie szczczędając nikogo i niczego.

Poległa cała trzecia drużyna mojego plutonu -- chłopcom nie udało się wydostać z zatopionej maszyny, może zaklinował się wąż. Weteranów, tych, z którymi zaczynałem służbę prawie dwa lata temu, zostało niewielu. Wśród uratowanych w sztabowym bwp była Gilvy -- sam byłem zdziwiony swoją radością, gdy znalazłem jej nazwisko na liście ocalałych. Żył również pułkownik von Vallenstein; ledwie powstrzymano go od samobójstwa. Adiutant w ostatniej chwili wybił mu z ręki walthera.

Imperialna armia przeżyła prawdziwy pogrom. Tannenberg mógł uznać, że miał szczęście; w innych pułkach i dywizjach przeżył zaledwie jeden żołnierz na dziesięciu. Zmuszeni do porzucenia całego ciężkiego uzbrojenia, wycofywali się w stronę stolicy, początkowo ostrzeliwując się i próbując zachować porządek. Im jednak dalej, tym ich ucieczka stawała się coraz bardziej rozpaczliwa i beznadziejna. Nowi gospodarze Iwołgi polowali na nas jak na dzikie zwierzęta -- my robiliśmy to samo. Nikt nie wiedział dokładnie, ilu naszych chłopców, próbujących przeczekać pandemonium w leśnej głuszy, zostało w tych lasach na zawsze i jaki spotkał ich los.

Najlepsza, elitarna 1. Armia Pancerna została rozgromiona. Zdolność do walki zachowały jedynie nieliczne oddziały. Tannenberg, 503. Batalion Pancerny, Batalion Zwiadowczy Viking, składający się, zgodnie ze starą tradycją, głównie z Finów, Duńczyków i Norwegów... Straty liczone w setkach tysięcy. Czołgi, samoloty szturmowe, działa -- wszystko trzeba było porzucić. Sztab nie ratował techniki, lecz ludzi.

Gdy odpłynął strumień wycofujących się wojsk, gdy zaczęto nakładać pokrowce na karabiny, a satelity pokazywały niezliczone hordy istot, planowo zaciskających pierścienie wokół stolicy, w imperialnych wiadomościach pojawiło się coś nowego. Gdy to usłyszałem, zachciało mi się wyć z rozpacz.

Wiadomości imperialne:

--W celu najbardziej efektywnego rozmieszczenia sił na froncie, sztab generalny naszych walecznych sił zbrojnych podjął decyzję o wycofaniu wojsk z planety Iwołga, centralnej planety Ósmego Sektora, gdzie od początku inwazji toczyły się walki z Obcymi. Po odniesieniu kilku błyskotliwych zwycięstw, o których nasz kanał informował na bieżąco, a ich bohaterów nasi telewidzowie mieli okazję oglądać, dowództwo uznało dalsze przebywanie naszego kontyngentu na Iwołdze za niecelowe. Zarażona planeta została odizolowana.

Dowiedzieliśmy się również, że Obcy podjęli próbę nieoczekiwanego lądowania na planecie Nowy Krym. Cały stacjonujący tam garnizon opuścił planetę, wyruszając na Iwołgę. Na szczęście uderzenie groźnego wroga nie miało tu takiej siły jak na Omedze-8; przerażające straty wśród ludności cywilnej tej planety rozpały nieprawdopodobną wściekłość w sercu każdego obywatela, oddanego Imperium i tronowi. Na planecie Nowy Krym wroga powitały uzbrojone oddziały Volkssturmu, do których przyłączyły się tak zwane międzynarodowe brygady -- organizacje militarno-patriotyczne o kierunku alternatywnym, działające zgodnie z ustawą Jego Wysokości Cesarza „o pluralizmie i jawności”. Ludność Nowego Krymu mężnie walczyła z agresorem i z powodzeniem odparła jego atak...

W odróżnieniu od wszystkich innych reportaży nie było tu obrazu, pokazano jedynie mapę Ósmego Sektora i „widokówki” z Nowego Krymu, najwyraźniej wykonane na długo przed wojną.

Straciłem apetyt i nie mogłem spać. Macice na Nowym Krymie! Strumień zarodników w Zatoce Północnej! Boże, co się dzieje?!

Towarzysze nie zdążyli poklepać mnie pocieszająco po ramieniu, bo zostałem wezwany do pułkownika Vallensteina.

Po całej tej historii z zasadzką Vallenstein bardzo się zmienił. Wyglądał jak żywy trup.

--Siadaj, poruczniku. Nie miałem okazji, by podziękować ci za...

--Panie pułkowniku...

--Dobra, przecież mówię, żebyś usiadł, bo będziemy teraz mówić o czymś zupełnie innym. Siadaj. Wiem, że nie palisz, ale ja zapalę. Ostatnie prawdziwe hawańskie cygaro. Specjalnie trzymane na taką właśnie... okazja, prawda? Dobre określenie. Na taką właśnie okoliczność.

--Słucham, panie pułkowniku!

--Ruslan... Myślę, że chciałbyś o tym wiedzieć. Nowy Krym oraz inne imperialne planety Ósmego Sektora ogłosiły niepodległość. Utworzono Federację Trzydziestu... trzydziestu planet tak zwanych „niepodległych” oraz tych, które niedawno odłączyły się od Imperium.

Milczałem. Bylem zszokowany. Cele, w imię których poszedłem walczyć, w imię których wstąpiłem w szeregi „dzielnego” Wehrma... to znaczy, przepraszam, Reichswehry, przestały istnieć. A mój ojciec tyle razy powtarzał, krocząc po gabinecie i waląc pięścią w dłoń: „Żeby tylko gorące głowy nie wyskoczyły przed czasem... żeby nie zawałyły całej sprawy”...

--Chciałbyś pewnie również wiedzieć, że niezależność została ogłoszona zgodnie ze wszystkimi zasadami sztuki wojennej. Po głosowaniu w waszym parlamencie... Duma, *richtig*? Planeta przeprowadziła referendum. Rzecz jasna, elektroniczne. Rezultaty: dziewięćdziesiąt osiem procent za.

Milczałem. Zbyt dobrze wiedziałem, jakie mogą być tego konsekwencje.

--Ale muszę ci powiedzieć, Ruslanie, że najbardziej natchnioną mowę wygłosił w

parlamencie twój szanowny ojciec. Nie spuszczał głowy. On do ostatniej chwili przekonywał kolegów deputowanych, żeby się opamiętali i nie igrali z ogniem. Nigdy bym nie przypuścił, że człowiek, który wydziedziczył syna i wypędził go z domu, jest zdolny do czegoś takiego.

--Wygłosił przemowę przeciwko odłączeniu się od Imperium? -- udałem zdumienie. W rzeczywistości wcale mnie to nie zdziwiło. Ha... Walily się wszystkie nasze plany. Najpierw ta idiotyczna wojna, zorganizowana albo rzeczywiście przez Obcych, albo przez międzynarodowe brygady, teraz to bezsensowne odłączenie się... Wszystko, nad czym pracowaliśmy, rozpadło się w proch, waliło w gruzy.

Zacisnąłem zęby.

--O tak, i to bardzo płomienną -- skinął głową Vallenstein. -- Jak na członka frakcji Prawo i Porządek imperialnego Bundestagu przystało. To skrajni konserwatyści, jak może pamiętasz. W milczeniu skinąłem głową.

--Nie mamy wystarczających sił, aby natychmiast stłumić bunt siłą -- wyskandował pułkownik, patrząc mi prosto w oczy. -- I nie wiemy, co tak naprawdę wydarzyło się na Nowym Krymie. Volkssturm powstrzymał inwazję macicy! Ha! Słyszac tak bezczelne kłamstwo, sam diabeł by się zaczerwienił.

--Co się tam właściwie stało, panie pułkowniku?

--Na to pytanie odpowiesz nam właśnie ty, Ruslanie -- westchnął ciężko Vallenstein i wstał.

--Ja? W jaki sposób?

--W jaki sposób... -- uśmiechnął się krzywo pułkownik. -- Widzisz, Ruslanie, obaj dobrze wiemy, że tobą już dawno powinno się zająć gestapo.

--Dlaczego, panie...

--Bo od początku uważali, że pracujesz dla wywiadu ruchu oporu -- wypalił Vallenstein, nie spuszczac ze mnie przenikliwego spojrzenia.

--Ruchu oporu? Ma pan na myśli międzynarodowe brygady, panie pułkowniku? Ale przecież one...

--Oczywiście, wkrótce stało się jasne, że nie pracujesz dla brygad. -- Vallenstein usiadł znowu, ale nie przy biurku, lecz w fotelu naprzeciwko mnie, jakby chciał podkreślić nieoficjalny charakter rozmowy. -- Bezpieka zawsze próbuje wykopać coś w oddziałach, na których czele stoi rodowita arystokracja -- dodał nie bez dumy. -- Tym razem im się nie udało. Nic nie znaleźli. Bardzo długo mnie przekonywali, że jesteś agentem nieznanego, „prawdziwego” ruchu oporu, którego celem jest jakoby pokojowa transformacja Imperium w jakąś amorficzną konfederację. Niespecjalnie w to wierzyłem, a oni nie mogli zdobyć żadnych dowodów.

Czułem, jak po plecach spływa mi pot.

--Informacje, że nie współpracujesz z brygadami Dariany Dark czy osobami pokroju tej damy, przyszły z samej góry. Tajniacy szukali głębiej. Twój postępek na Sylwanii uznaliby za najlepszy dowód... gdyby nie był aż tak idiotyczny.

--Na Sylwanii? -- uniosłem brwi.

--Gdy uratowałeś swoją dziewczynę. Doskonała robota, Ruslanie, przyjmij moje gratulacje. Po tym fakcie zajęto się tobą poważniej. Ale nie zrobiła tego bezpieka, lecz ja i moja własna służba bezpieczeństwa. Doskonale poradziłeś sobie z tym głupim wykrywaczem kłamstw. Tajniacy wierzą w tę maszynę jak w Pana Boga. Ale ja nadal uważałem za nieprawdopodobne, że jeńców na Sylwanii uwolnili inni powstańcy. Nie miałem wątpliwości, że

to byłeś ty. Oczywiście dobry agent powinien bez zmruczenia oka patrzeć na egzekucję własnej matki. Zachowałeś się nieprofesjonalnie, co po raz kolejny przekonało mnie, że jesteś prawdziwym bojownikiem za idee i że wstąpiłeś do imperialnej armii, aby zrobić karierę, wspiąć się w górę, a potem... Nie wiem. Zabójstwo Imperatora? Wysłanie w powietrze sztabu generalnego? Istota twojej operacji pozostaje dla mnie niejasna. Nikomu nie wysyłałeś szyfrogramów i doniesień, więc uznałem, że twoje zadanie jest zadaniem strategicznym. Chodzi o coś więcej, o naprawdę głębokie wejście w nasze szeregi. Może chodziło o wywiad wojskowy? Nie o idiotów i oprawców z gestapo, zadających szyku w swoich czarnych płaszczach, niczym sadomasochiści, lecz o prawdziwy wywiad. Planowanie i strategia. Rozgałęzione operacje zapewniające stabilność Imperium. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Daleś się poznać jako świetny żołnierz, z przyjemnością cię awansowałem. Okazałeś się doskonałym dowódcą. Kiedy dostałeś patent, właściwie mógłbyś poprosić o przeniesienie do wywiadu wojskowego. Byłoby to zrozumiałe i usprawiedliwione. Gdybyś tak zrobił, może przedsięwziąłbym odpowiednie kroki, aby uniemożliwić twoją operację. Ale ty zwlekałeś, coraz bardziej rozpalając moją ciekawość. Wyprowadziłeś ludzi spod roju. Wydostałeś się z łap Dariany Dark, a wierz mi, z delikatnych rączek tej damulki udaje się wyrwać tylko nielicznym. Mógłbym zacząć podejrzewać, że jednak współpracujesz z brygadami, ale moje źródła raz po raz odrzucały taką możliwość. Ja również nie jestem skłonny do rozpatrywania jej na serio. -- Popatrzył mi poważnie w oczy. -- Bileś się jak prawdziwy żołnierz, Ruslanie. Rosjanie zawsze umieli walczyć na śmierć i życie, gdy przyparto ich do muru. Nie rozumiał tego ani Zygmunt, ani Karol XII, ani Napoleon, ani Hitler... Mnóstwo żołnierzy z Tannenbergą zawdzięcza ci życie. Nie znam twojego celu, ale jak widzę, nie polega on na tym, żeby wciągnąć chłopców w pułapkę. Subtelne oddziaływanie, agenci wpływu... może to był właśnie twój cel. Możliwe, że ty i twoi stronnicy chcieliście zdobyć większe prawa dla Nowego Krymu, może jakieś ulgi i przywileje, jakieś imperialne subsydia... rozszerzenie autonomii... Nie wiem. I szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć. Wybacz mi ten przydługi monolog, ale był niezbędny. -- Vallenstein pochylił się i wlepił we mnie zimne szare oczy. -- Za to, co tu usłyszałeś, można dostać dożywotnią katorgę z pozbawieniem tytułu, majątku oraz degradacją. Dlatego słuchaj uważnie, co ci proponuję -- pułkownik zrobił przerwę, napił się wody. Denerwował się, mimo swojego słynnego opanowania. -- Jeśli zacznie się rozpad Imperium, jeśli planety jedna po drugiej będą ogłaszać autonomię... sam wiesz, czym to grozi. Obcy załatwią nas w krótkich abcugach. Nikt nie przeżyje. Jak na Omedze-8.

--Panie pułkowniku... -- zacząłem ostrożnie.

--Tak? -- Popatrzył na mnie przelotnie. -- Chcesz coś powiedzieć, Ruslanie?

--Nie mam zamiaru do niczego się przyznawać, panie pułkowniku -- powiedziałem lodowato. -- Ale podobnie jak pan uważam, że w tej trudnej godzinie Imperium musi zachować jedność. Nie mam nic do zarzucenia mojemu ojcu. Proszę mi powiedzieć, czy dobrze zrozumiałem, że ma pan dla mnie jakieś specjalne zadanie?

--A więc dobrze, Ruslanie -- powiedział Vallenstein po chwili milczenia. -- Tak, ja oraz... pewna grupa wyższych oficerów, którzy przeżyli tę jatkę, moich współtowarzyszy, którzy myślą tak jak ja... rzeczywiście chcemy zaproponować ci pewne zdanie.

--Słucham, panie pułkowniku.

--Przestań wreszcie z tymi szarżami, Ruslan! W każdym razie dzisiaj. Chcę, żebyś

zrozumiał, że nie jesteście moimi wrogami. Przynajmniej nie teraz. Przecież nawet odłączenie się Nowego Krymu, gdyby tylko zdarzyło się w innych okolicznościach, nie wydałoby mi się tak potworne. Imperium za bardzo się rozrosło. Centrum nie jest w stanie kontrolować wszystkich procesów zachodzących na odległych peryferiach... ale to temat na zupełnie inną rozmowę. Przejdźmy do rzeczy. Pozwolisz, że najpierw przedstawię ci nasz pomysł, a potem... potem zdecydujemy, co z tobą zrobić.

--Słucham, panie... panie Vallenstein.

--Bardzo potrzebujemy naszego człowieka na Nowym Krymie. Nie chodzi o zwykłego agenta, agentów mamy... a przynajmniej mieliśmy... pod dostatkiem. Jednak kilka dni temu wszystkich diabli wzięli. Żaden się nie odzywa. Podejrzewam, że stoi za tym twoja dobra przyjaciółka, milady Dariana. Przypuszczam również, że... -- machnął ręką gestem beznadziei - ...dobrze, zagrajmy w otwarte karty. Wygląda na to, że brygady mają solidną osłonę i agentów wpływu w najwyższych sferach zarówno Sztabu Generalnego, jak i Ministerstwa Obrony. Ktoś ich chroni. Po twoim powrocie z Omegi powinni wyjąć brygady spod prawa, a jednak do tego nie doszło. Dlaczego? Niestety, zwykłemu pułkownikowi, nawet noszącemu znakomite nazwisko arystokracji, który ma znajomości i układy, nie udało się tego dowiedzieć. Podejrzewam, że Dariana poznała już nazwiska naszych informatorów na Nowym Krymie. Dlatego potrzebujemy kogoś nowego. Kogoś, kogo absolutnie się nie spodziewają. Ty jesteś idealnym kandydatem. --
Ja, panie puł...

--Powiedziałem bez szarż!

--Przepraszam. Naprawdę myśli pan, że jestem idealny?

--Oczywiście -- wzruszył ramionami Vallenstein. -- Urodziłeś się tam i wychowałeś. Jesteś synem szanowanego człowieka. Wprawdzie wydziedziczył cię i tak dalej, ale sądzę, że jeśli przyjdiesz, padniesz mu do nóg i powiesz, że zdezerterowałeś na wieść, że twoja ojczyzna jest wolna, ojciec wybaczy synowi marnotrawnemu.

Słuchałem oszołomiony.

--Zalóżmy, chociaż znając mojego ojca...

--Następnie będziesz musiał znaleźć tych, którzy stoją za tą niezależnością -- powiedział ostro Vallenstein. -- I zorientujesz się, co to za historia z tymi macicami. Były tam, czy nie były... A jeśli naprawdę były, w co nie wierzę, to jak udało się je pokonać? Skoro już mowa o strategii, twoje podstawowe zadanie polegałoby na unieważnieniu tej idiotycznej deklaracji. „Umiarkowani” powinni doprowadzić do ponownego głosowania. Wówczas Imperium nie zdecyduje się wkroczyć na planetę. Uzna, że zdrowe siły Nowego Krymu poradziły sobie same. Rozumiesz? Musimy się dowiedzieć, kto stał za tym pomysłem! -- Ze świstem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

--Panie pułkowniku -- powiedziałem powoli, nie zwracając uwagi na demonstracyjny grymas Vallensteina. -- Jeśli się zgodzę, będzie to oznaczało, że moje życie od tej chwili jest w pana rękach. Nie dlatego, że popełniłem te wszystkie rzeczy, o których pan przed chwilą mówił, lecz dlatego, że ja również uważam wyzwolenie Nowego Krymu za okropny błąd i gotów jestem zrobić wszystko, żeby go naprawić. Ale dezercja w warunkach bojowych... Za to czeka mnie rozstrzelanie bez śledztwa i sądu.

--To jest właśnie ryzyko, na które musisz się zdecydować -- oznajmił spokojnie Vallenstein. -- Musisz postawić wszystko na jedną kartę. Masz prawo odmówić, ale ja, Joachim

von Vallenstein, uroczyście przysięgam, że wtedy doprowadzę do przeniesienia cię do najbardziej odległego garnizonu, jaki tylko uda mi się znaleźć w Imperium. Nie grożę ci śmiercią czy torturami, bo jesteś silnym i dzielnym człowiekiem, nie boisz się nieuchronnego końca i z radością oddasz życie za ojczyznę... Wybacz mi patetyczne słowa. Jedyne, co mogłoby cię ruszyć, to klęska grożąca twojej misji. W imię tej misji zdecydujesz się na wszystko. A jeśli słuchałeś mnie uważnie i dobrze zrozumiałeś, nie mogłeś nie dojść do wniosku, że ja również oddaję swój los w twoje ręce. Przecież nie uda nam się zrobić tak, żebyś trafił na Nowy Krym niezauważony. W sektorze podjęto nadzwyczajne środki bezpieczeństwa i wszystkie podejrzane wahadłowce z, powiedzmy, starymi kodami są niszczone bez ostrzeżenia. Nie mogę ryzykować i czekać, aż dotrzesz do Sewastopola swoimi kanałami. Wypiszę ci delegację na starą bazę Tannenberga. Podamy standardowy cel: wykonanie rozkazów dowództwa. Dowiedziałem się, że mimo stanu wojny łączność towarowa między planetami sektora jest nadal utrzymywana. Teraz polecimy na Kappę-4, stamtąd wciąż kursują chłodnicowce na Nowy Krym. Wyruszysz jednym z nich. Kosmoport Nowego Krymu jest kontrolowany przez międzynarodowe brygady, więc nieprzyjemności zaczną się już tam. Ale będziesz musiał iść przebojem. Będziesz uciekinierem, dezerterskim. Ogłoszą, że jesteś poszukiwany, pozbawią cię odznaczeń i zdegradują. Nie przejmuj się tym, postaram się to odsunąć jak tylko się da. W ostateczności załatwię, żeby ta informacja dotarła do brygad, a nie do komendantur polowych -- uśmiechnął się niewesoło. -- Na swojej planecie będziesz działał odpowiednio do sytuacji. Nie wątpię, że kontrwywiad już szykuje się do przerzucenia na Nowy Krym tabunu swoich zbirów. Nie wątpię również, że Dariana wylapie ich wszystkich zaraz po wylądowaniu. Więc uważaj... -- otworzył wąską szafę i wyjął standardowy plecak komandosa, w jakim nosi się suchy prowiant, amunicję i „zestaw typu survival”. -- Masz tu cywilne ciuchy, Ruslan. Dezerterscy nie przybywają na ojczystą planetę w mundurach z odprutymi naszywkami.

Patrzyliście na siebie przez stół w milczeniu.

--Broń... Myślę, że to zdobędziesz już w domu. Znasz jakieś mety czy ci podać? Mam jeszcze z czasów sewastopolskich pewien sympatyczny spis...

--Znam, panie pułkowniku, dziękuję. Dezerterscy, jak pan słusznie zauważył, nie przybywają do domu w mundurze i w pełnym rynsztunku. Zdobędę wszystko, co będzie mi potrzebne. Mam jeszcze tylko jedno pytanie, panie pułkowniku...

--Łączność? Oczywiście -- powiedział Vallenstein. -- Polecisz na Syberię, ukryłem tam coś niecoś. Jak to mówią Anglicy, *just in case*. Odnajdziesz w bazie Michaela. Znasz Michaela?

--Kto by nie znał Michaela, panie pułkowniku... to nasz szef kompanii. Można powiedzieć, że jest pierwszy po starszym sierżancie sztabowym Klausie Marii...

--Doskonale. Zajrzysz do niego i przekażesz pozdrowienia ode mnie.

Mówił tak, jakby nie miał najmniejszych wątpliwości, że Michaelowi nie mogło się nic stać bez względu na rozmaite perturbacje. Brygady mogły zaatakować bazę, włamać się do arsenału i wreszcie spalić wszystko do imentu -- ale szef kompanii Michael, niczym duch armii, po prostu musiał przeżyć.

Pozegnaliśmy się. Pułkownik wyciągnął rękę, uściskał mi dłoń i powiedział po rosyjsku:

--Powodzenia, bracie.

Oczywiście z nikim więcej się nie żegnałem -- dezerterscy nie mówią do widzenia. Nic ze sobą nie wzięłem -- dezerterscy są potrzebne zupełnie inne rzeczy. Miałem podpisaną przez

Vallensteina i dowódcę sztabu delegację oraz inne dokumenty, na usprawiedliwienie przed bezpieczeństwem, gdybym zdecydował się wrócić.

Tannenberg opuszczał orbitę Iwołgi, planeta pozostawała we władzy wroga. Co się teraz działo tam na dole, mogłem się jedynie domyślać. Potworne istoty zapewne pożrą całą endemiczną biosferę. Zamiast mórz i oceanów będzie śluz i pływające w nim, czekające na porę transformacji, miliardy miliardów zarodników. Od czasu do czasu nowe macice będą startować z powierzchni planety, wzlatując w niebo...

Stop, przerwałem te myśli. To jedyna rzecz, której nie da się wytłumaczyć w ramach teorii naukowej. To było zwyczajnie niemożliwe. Żywych silników odrzutowych nikt jeszcze nie wymyślił, zresztą i tak są nierealne. Można wyhodować kostny pancerz, ale nie stal na odrzutowe dysze. Zresztą, sądząc po wylocie z Omegi-8, nie wyglądało na to, by stwory używały czegoś prócz własnej antygravitacji. Ale skąd brała się ta antygravitacja? Do głowy przychodziło mi tylko jedno głupie wyjaśnienie -- ktoś musiał podrzucić odpowiedni aparat, w dodatku obcego pochodzenia. Pytanie, czy była to jednorazowa zabawka i co się z nią stało, gdy nasza artyleria i lotnictwo rozpieprzyły na atomy dziewięć macic. A może to coś potrafi się podładować? Albo ma na przykład wieczne źródło zasilania? Lepiej o tym nie myśleć...

Ze skazanej Iwołgi, nad którą jak sępy wisały krążowniki floty, lecieliśmy na Kappę. Kappa-1 i Kappa-2, planety-bliźniaczki stosunkowo niezbyt odległej gwiazdy naszego sektora. Trochę mniejsze od Ziemi i Nowego Krymu. Mało przyjemna ekosfera, ale co zrobić. Wylądowaliśmy na głównej planecie gromady, Kappie-4, kolejnej siostrze Ziemi, gdzie już poradzono sobie z całą agresywną fauną. W odróżnieniu od Kappy-1 i Kappy-2, tutaj można było chodzić bez masek tlenowych i biofiltrów.

Jak powiedział Vallenstein, stąd kursują na Nowy Krym towarowo-pasażerskie chłodnicowce. Teraz już musiałem schować głęboko swoją delegację i udawać dezertera.

Na Kappie-4 huczało jak w ulu. Co chwila lądowały tu wahadłowce, niczym postrzelone ptaki. Brakowało miejsc w orbitalnych szpitalach floty, było wielu rannych, niektórzy bardzo ciężko. Tutaj trzymano cały sprzęt, jaki udało się uratować (a raczej jego resztki), ocalałe pułki przeformowywano w bataliony... Zresztą, co tam pułki! Z Dywizji Seidlitz zostało trzystu ludzi, z Floriana Heiera pięciuset. Stracili całą artylerię i ciężkie uzbrojenie, rozproszyli się w nieprzebytych lasach i teraz pojedynczo wydostawali się z Iwołgi. Nie wiedziałem, jak długo będą ich szukać grupy ratunkowe ani ilu będzie musiało podzielić los planety.

Bez trudu zgubiłem się w nerwowym tłumie. Na ulicach dzielnicy przyportowej, gdzie z powodu stanu wojennego zamknięto wszystkie knajpy, kilka razy sprawdzały mnie patrole, nie bacząc na pagony porucznika, ale nie mieli się do czego przyczepić.

Szedłem między składami i magazynami. Standardowe wyroby imperialne, przedmioty z aluminium, wszystko otoczone nieodzownym drutem kolczastym z nielicznymi, kołyszącymi się na wietrze latarniami. Podejrzane miejsce. To właśnie tutaj mieścił się punkt przejścia na pole startowe dla cywili. Imperium ostro kontrolowało wszystkie rejsy, więc oczywiście nie kupowałem biletu. Musiałem znaleźć szypra albo supercargo i namówić go, żeby zabrał mnie na pokład. Nielegalnie.

Nie miałem już na sobie munduru z czaszką na rękawie, tylko starą znoszoną bluzę żołnierską, jakie nosił cały margines. Wygodna, mocna i łatwo dostępna na czarnym rynku -- intendenci, nie bacząc na kary, handlowali mundurami na całego. Ten proceder trwał od zarania

dziejów.

Tutaj, na stosunkowo niewielkim polu zapasowym, stały statki. Pilnowano ich, rzecz jasna, ale niebyt gorliwie. Komu przyszłoby do głowy, żeby wysadzać je w powietrze? Nawet brygadam nie było to do niczego potrzebne. Tutaj, w budynku terminala towarowego, znalazłem otwartą mimo późnej pory knajpę. Uprzedzono mnie o tym. Łasego na łatwy zarobek szypra należało szukać właśnie tam.

Przelotnie pomyślałem, że gdyby bezpieka chciała, zamknęłaby tę spelunkę bardzo szybko. Skoro do tej pory tego nie zrobili, to znaczy, że była im potrzebna. Iluzja wolności. Długi łańcuch dla wściekłego psa.

Niespiesznie podszedłem do baru. Wykonany był, jak można się było spodziewać, z przepiłowanych na pół potężnych dębowych beczek. Bywalcy knajpy rzucali mi czujne spojrzenia. Przesiadujące tu towarzystwo na pewno miało powody, by nie lubić imperialnych szpicli.

Potrzebnego mi człowieka zauważyłem od razu, zresztą trudno byłoby go nie zauważyć. Był jakby uosobieniem marzenia oficera operacyjnego -- w rubryce „znaki szczególne” nie wystarczyłoby miejsca na umieszczenie wszystkiego, co wyróżniało tego mężczyznę.

Lewe oko zasłaniała mu najprawdziwsza piracka opaska, od lewej skroni do wargi ciągnęła się nierówna blizna. Dół twarzy skrywała ruda broda. Wszystko w jego wyglądzie było przesadne -- blizna zbyt poszarpana, opaska za bardzo rzucająca się w oczy, broda zbyt charakterystyczna.

Zamówiłem dwa piwa i nie pytając o pozwolenie, przysiadłem się do „pirata”.

--Pozdrowienia od Hugona -- zacząłem, patrząc uważnie w jedyne oko mojego rozmówcy.

--Witam -- burknął, oglądając mnie od stóp do głów. -- Hugo mnie uprzedzał. Kasę przyniosłeś?

--Przyniosłem -- skinąłem głową i delikatnie przysunąłem przyniesioną ze sobą torbę do jego krzesła. „Pirat” nawet nie drgnął, jedynie lekko uniósł brew, a torbę od razu złapał jakiś chłopiec, który wyskoczył z ciemnego kąta jak diabeł z pudełka. Przez kilka chwil mierzyliśmy się wzrokiem, potem „piratowi” przekazano widać coś przez mikrokomunikator. Pieniądze, które przyniosłem, były prawdziwe -- wyłącznie niskie nominały, różne serie i oczywiście nieznaczone.

--W porządku -- powiedział chłodno mój rozmówca. -- Gdzie cię zawieźć, człowieku?

--Na Nowy Krym -- odparłem krótko.

--Załatwione -- padła równie lakoniczna odpowiedź. -- Jutro idzie w tamtą stronę łajba.

Ron cię zawiezie. Noc spędzisz tutaj. Przypilnujemy cię.

Wzruszyłem ramionami.

--Jak sobie chcecie.

--Chcemy, chcemy... Chciałbym jeszcze wiedzieć, skąd znasz Hugona.

--Kontaktowaliśmy się już wcześniej -- lekko uniosłem brwi na znak zdumienia.

--Gdzie, kiedy, w jakich okolicznościach?

--Na Iwoldze. Przed... przed tym wszystkim. Wieźliśmy niezadeklarowane pelzaki. Hugo... pomógł nam.

Hugo był informatorem w miejscowym urzędzie celnym. Skąd znał go Vallenstein i jak zdołał zastraszyć, nie miałem pojęcia.

--Aha -- chrząknął „pirat”. -- To już coś... Datę pamiętasz? Podalem datę. Na razie wszystko przebiegało zgodnie ze ściągawką Vallensteina.

--Dzięki, człowieku. -- Mój rozmówca wstał. -- Ron! Odprowadź faceta. Jutro się zobaczymy. O świcie. Spadamy stąd o 7.00. Na razie, gościu drogi.

Noc spędziłem w jakiejś strasznej norze, pomiędzy dwoma zardzewiałymi kontenerami, wypchanymi przegniłymi, zatłuszczonymi szmatami. Zmusiłem się do zaśnięcia. Podczas gdy ja będę spał, tamci mnie przeświecą. Nie chodziło o dokumenty, ale dno ma swoje prawa, swoje metody i swoje pojęcia.

O świcie przyszedł po mnie ten sam pętaś, Ron; patrzył spode łba jak mały wilczek. Nie zadawał pytań i w ogóle nie tracił słów, po prostu potrząsnął mnie za ramię i znacząco kiwnął głową.

„Pirat” powitał mnie przed wyjściem z hangaru. Ponury drab za jego plecami bez słowa rzucił mi zwinięte ubranie -- kombinezon załogi obsługi technicznej. Do bluzy już przypięto kartę identyfikacyjną. Byłem wstrząśnięty jej jakością -- wszystkie pieczęcie odtworzono z nieprawdopodobną precyzją.

--Cała reszta też jest w porządku -- zapewnił mnie „pirat”. -- Do łajby zaraz podejdzie brygada remontowa. Wejdiesz na pokład razem z nimi. Dalej już się sam zorientujesz.

--Dzięki -- powiedziałem szczerze.

--Nie ma za co, człowieku. Nie mamy teraz zbyt wielu chętnych do podróży na Nowy Krym. Ani się obejrzymy, a zlecą się tam czarni i zetrą wszystko na proszek...

--Zobaczymy -- zmrużyłem oczy.

--Zobaczymy -- zgodził się kontrabandzista. -- Ja to zobaczę, człowieku, na ekranie, ale ty, obawiam się, w naturze. Żebyś potem nie żałował, że za te pieniądze nie wyruszyłeś w jakieś inne miejsce. Mógłbym ci to załatwić.

Pokręciłem głową.

--Twoja sprawa, ale i tak uprzedzę kapitana. Tacy jak ty, rzeczowi i spokojni, mogliby mi się bardzo przydać. Zastanów się i wróć. Znajdzie się tutaj dla ciebie robótka.

--Dziękuję. Pomyślę o tym.

--Pomyśl, człowieku, pomyśl... O, twoja brygada już daje sygnał. Zasuwasz. Powodzenia.

--Dzięki -- rzuciłem na pożegnanie.

Przez kontrolę przeszliśmy zdumiewająco łatwo. Ciężarówka-warsztat, pamiętająca znacznie lepsze czasy, podjechała pod brzuch wahadłowca. Ostatni raz wsunęliśmy nasze karty do skanera. Nieogolony wartownik mętnym wzrokiem obejrzał migoczące na ekranie symbole.

Cholerny skandal, pomyślałem. Nie tylko jednego dezertera, ale całą kompanię można by stąd wywieźć i nikt by nawet okiem nie mrugnął. A może wszyscy mają w tym swój mały interes -- z uporem wierzą, że do nich na pewno nie dotrze wojna?

Załoga zajmowała swoje miejsca, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Tylko jeden mężczyzna z naszymi bosmana przez zęby poradził mi, żebym zjeżdżał na swoje miejsce i się przypiął. Woląłem się z nim nie klócić.

Wahadłowiec połączył się już z czekającym na orbicie chłodnicowcem, a ja nadal nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Kappa-4 została z tyłu. Pełna wojska i policji Kappa, na której wprowadzono stan wyjątkowy! Albo Vallenstein zadziałał również tutaj, albo Pan Bóg usłyszał moje modlitwy.

Nie będę opisywał drogi na Nowy Krym. Jakimś cudem stara łajba miała w porządku wszystkie przepustki, kody i hasła. Nie wiem, jak nawigatorzy dogadali się z kontrolą lotów, być może wszyscy byli na utrzymaniu starego jednookiego bandyty.

Droga dłużyla się niesamowicie. Nie miałem nic do roboty, a załoga trzymała się ode mnie z daleka. Robiłem tu niby za starszego pomocnika młodszego sprzątacza. Bilet zapewniał mi „przejazd”, ale bez wyżywienia, musiałem zadowolić się kostkami koncentratów.

Bez żadnych przygód i niespodzianek dotarliśmy do Nowego Krymu w ustalonym terminie.

Formalnie Imperium ogłosiło blokadę zbuntowanych planet, ale nie miało dość sił ani środków, żeby wcielić to w życie. Statki nadal krążyły na Omega-8 i Iwołgą w oczekiwaniu na nowe macice. Nowe eskadry floty przestrzennej jeszcze nie przybyły z Planet Wewnętrznych. Nikt nie miał najmniejszego zamiaru nas sprawdzać czy zatrzymywać. Bez żadnych przygód, rutynowo prosząc o zezwolenie na lądowanie, nasza łajba odłączyła cztery wahadłowce. Byłem na jednym z nich.

Nowy Krym powitał mnie łagodnym wiatrem i głęboko niebieskim niebem. Sunęły po nim białe puszyste chmury, a na wysokim maszcie powiewała biało-niebiesko-czerwona flaga. Z sąsiedniego masztu znikł sztandar Imperium, zamiast niego powieszono nowy: niebieskie tło i czarna sylwetka lecącego żurawia w żółtym kręgu. Najwidoczniej flaga nowej federacji...

Wahadłowce zastygły. Bosman, który odezwał się do mnie przed startem, znowu znalazł się obok.

--Zaraz zaczniesz się kipiść -- warknął ze złością. -- W razie czego morda w kubek, ja będę gadał, jasne? Przyjadą pewnie ci z międzynarodowych brygad, kompletnie im szajba odbiła... -- machnął ręką, wyraźnie nie chcąc wdawać się w szczegóły.

Rzeczywiście zaczęła się rewizja, tylko zamiast imperialnej policji i celników pojawili się młodzi, krzepcy chłopcy w pospiesznie uszytych półwojskowych mundurach, z malinowymi naszywkami na kołnierzach. Wszystkich nas spędzili do jednego pomieszczenia, a za przezroczystymi, rozsuwającymi się drzwiami czterech ich kolegów odprawiało czary nad wielkim stacjonarnym skanerem.

Z pewną obawą wpatrzyłem się w ich twarze, ale na szczęście nikogo nie znałem. Chwała Bogu! Jeszcze by tylko brakowało, żeby w mojej własnej ojczyźnie powiesili mnie za szpiegostwo.

Mężczyźni długo patrzyli każdemu w oczy, przeciągle, ze złością. Każdą kartę wsuwali do skanera kilkanaście razy, obracali w rękach, oglądali pod światło, oświetlali ultrafioletem i w ogóle wyglądali się jak mogli.

W końcu nas przepuścili i znalazłem się w domu.

W domu...

Jak bardzo odzwyczailem się od tego powietrza, od zapachu morza, od szeleszczących na morskim wietrze liści, od syren małych kutrów, które do tej pory zajmowały się połowem na dziko... Zapomniałem, co to znaczy iść ulicami Nowego Sewastopola bez munduru czy drelichów i gapić się na nogi dziewcząt -- w końcu nie jestem już teraz obrońcą Imperium. Jestem zwykłym człowiekiem, który dosłownie i w przenośni wynurzył się ze smrodliwego bagna i wrócił do domu.

Wśród nielicznych rzeczy, jakie miałem ze sobą, był swoisty amulet -- małe skórzanym woreczek, który nosiłem na szyi obok krzyżyka. W woreczku ukryłem klucz. Zwyczajny

metalowy klucz. Staromodny przedmiot, który już niemal wszędzie wyszedł z użycia, ustępując miejsca magnetycznym albo chipowym kartom.

Nie musiałem iść daleko, tylko do najbliższej przechowalni bagażu, gdzie obywatelom w razie potrzeby wynajmowano różne skrytki: od niewielkiego sejfu do całego hangaru.

Otworzyłem drzwi wejściowe. Znalazłem właściwą skrytkę.

Wiedziałem, że zamki szyfrowe czy kodowe byłyby bezpieczniejsze, ale... cóż, człowiek bywa nieco staromodny, nawet wówczas, gdy bycie staromodnym jest absolutnie niewskazane.

Do zamka skrytki pasował ten sam klucz, którym otworzyłem drzwi wejściowe. Rzecz jasna, innych skrytek nie mógłbym nim otworzyć.

Wynajęta tuż przed zaciągnięciem się do armii skrytka była prawie pusta. Leżał tam tylko jeden tani telefon komórkowy.

Szybko wystukałem numer. Odczekałem pięć sygnałów i rozłączyłem się. Zadzwońłem ponownie i odczekałem pięć sygnałów. Znowu się rozłączyłem.

Załatwione.

Nie miałem zamiaru kusić losu, włócząc się po głównych ulicach i placach miasta. Zbyt wielu ludzi mogłoby pamiętać o wstąpieniu Rusłana Fatiejewa w szeregi walecznych sił zbrojnych. Szedłem przed siebie, coraz bardziej oddalając się od centrum. Nie czulem zmęczenia, nie zwracałem uwagi na głód czy pragnienie i patrzyłem, patrzyłem, patrzyłem...

Miasto się zmieniło. Wyglądało tak, jakby rozprostowało ramiona, zrzuciło dławiący ciężar. Nigdzie nie został nawet ślad po Orle z Wieńcem i Słońcem. Specjalnie nadłożyłem drogi, żeby wstąpić na plac Soborowy, do sztabu garnizonu Sił Zbrojnych Imperium, planeta Nowy Krym. Ciągnęło mnie tam, jak w starych kryminalach ciągnie mordercę na miejsce zbrodni.

Nad posępny budynek z czerwonego granitu nie było już czerwono-czarnego sztandaru z białym kręgiem pośrodku. Dumny orzeł, zapożyczony od rzymskich legionów, nie prostował już skrzydeł. Na fasadzie, nad wąskimi szczelinami okien widniały źle wyczyszczone ślady sadzy. Widocznie był tu pożar, ale budynek nie ucierpiał zbyt wiele. Na schodkach przed wejściem sterczało dwóch patrolowych -- małolaty mogły mieć po szesnaście lat. Widać było, jak puchną z dumy, że dali im karabiny. Ciekaw jestem, czy z tych eksponatów muzealnych w ogóle można strzelać... Może przewiercono im lufy?

W budynku trwał remont. Postąłem chwilę, przyglądając się krzątaniu robotników (wszyscy jak jeden mąż nosili na ramieniu biało-niebiesko-czerwone opaski), odruchowo przeżegnałem się na widok złotych kopuł soboru...

Powoli szedłem dalej, zastanawiając się, co się stało z tamtą blondynką z punktu werbunkowego. Przeżyła czy nie? Poddawała się, licząc na łaskę zwycięzców i błagając o litość, czy w milczeniu i zaciekle ostrzeliwała się do ostatniego pocisku, z zimną krwią posyłając ostatnią kulę we własną skroń?...

Szedłem i myślałem o tej dziewczynie i o innych żołnierzach Imperium, którzy pozostali na planecie po tym, jak Tannenberg wyruszył na Omegę-8. Mieszkańcy Nowego Krymu za nic nie wyrzadziliby krzywdy żonom czy dzieciom oficerów, ale za Darianę Dark bym nie ręczył.

Nowy Sewastopol sprawiał odświeżające, niemal beztrudne wrażenie, ale wśród przechodniów przeważali ludzie w podeszłym wieku. Wielu miało na sobie mundury z trójkolorowymi opaskami na rękawach. Liczne sklepy, zwłaszcza handlujące drogimi meblami,

eleganckimi samochodami czy innymi ekskluzywnymi towarami, były zamknięte. Przed sklepami z artykułami spożywczymi, które przetrwały mimo presji supermarketów, ze zdumieniem zobaczyłem kolejki -- milczące kolejki kobiet. Nigdy w życiu nie widziałem na Nowym Krymie niczego podobnego. Podejrzewam, że nie zanotowały czegoś takiego również nieoficjalne, niezaangażowane kroniki Nowej Rosji...

Zauważyłem, że ludzie popatrują na mnie wilkiem. Nic dziwnego, młody chłopak, bez trójkolorowej opaski... Czyżby nie był z nami?...

Pospiesznie wycofałem się z głównych ulic.

Noc zastała mnie za miastem. Miałem sporo imperialnych marek, jednak pierwsze obserwacje sklepów Nowego Sewastopola uświadomiły mi, że korzystanie z tego bogactwa nie ma sensu. Dariana Dark zdążyła wprowadzić do obiegu nową walutę.

Nie kuśmy losu.

Szedłem dalej. Wyspa, na której leży Nowy Sewastopol, jest stosunkowo nieduża -- jadąc dobrym samochodem, można ją objechać w ciągu dwóch dni po przybrzeżnej szosie. Nieco dalej od brzegu, wśród lesistych wzgórz, stał nasz dom. Autostradą godzina do stolicy. Mama nigdy nie lubiła hałasu wielkiego miasta, zresztą wielu bogatych ludzi mieszkało poza granicami Nowego Sewastopola.

Byłem prawie pewien, że ojciec jest w domu.

Dziewięćdziesiąt kilometrów przez znajome miejsca, gdzie znasz każdą ścieżkę, to drobiazg dla wyszkolonego piechura. Szedłem równym krokiem, oszczędzając siły. Czwartego dnia pod wieczór (według miejscowego kalendarza był piątek) stanąłem przed ogrodzeniem naszego domu.

Nie byłem tu ponad dwa lata. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Zadbane klomby i ogródki skalne, posypane żółtym piaskiem ścieżki. Wymyślne wieżyczki, zadaszone tarasy... Nawet potężny samowar, wokół którego w dawnych, szczęśliwych czasach zbierała się cała rodzina, nadal połyskiwał w promieniach zachodzącego słońca wypolerowanymi miedzianymi bokami.

Długo czailem się w cieniu krzaków bzu. Po terenie leniwie wałęsały się nasze psy. Poznałem niemal wszystkie, z wyjątkiem jednego, bardzo młodego. Od czasu do czasu psy zerkały w moją stronę, ale nie odzywały się -- w końcu byłem tu panem.

Ściemniło się. Noce na Nowym Krymie są łagodne i ciepłe. Od pobliskiego morza wiał lekki wietrzyk, z oddali, z portu słychać było syreny wielkich kontenerowców. Przyplłynęły z dalekich wysp, przywiozły mrożone i żywe pelzaki. Skoro na planetę nadal kursują łajby, to pewnie coś ze sobą zabierają. Przypuszczam, że mój jednooki znajomy robi na kontrabandzie pelzaków niezłą kasę, a w najlepszych restauracjach Berlina niewzruszony *maître d'hôtel* z zimną krwią powiada bywalcom, wysoko postawionym urzędnikom i innym arystokratom, że w ich zakładzie nigdy nie zdarzają się „przejściowe braki”, bez względu na rozmaite niespodzianki.

Okna były ciemne.

Zerknąłem na zegarek. Najwyższy czas.

Psy skoczyły na mnie radośnie. Piszczwały, wijąc się przy moich nogach, podskakiwały, próbując polizać mnie po twarzy. Pozwalałem im na to; nigdy nie mogłem zrozumieć, czego właściwie ludzie się brzydzą. Dla oddanego człowiekowi stworzenia to właściwie jedyny sposób, by wyrazić swoją miłość.

Drzwi nie są zamknięte. Wpadłem na pierwsze piętro, starając się nie rozglądać na boki; wolalem unikać wspomnień.

W gabinecie ojca okna były szczelnie zasłonięte.

--Witaj -- powiedziałem, wchodząc.

Ojciec odwrócił się, czekał na mnie w swoim wielkim obrotowym fotelu, jakby nic się nie stało.

--Witaj, synu -- powiedział półgłosem. Pstryknięcie i zapłonęła stara lampa. Dopiero teraz mogłem zobaczyć, jak postarzał się mój ojciec przez te dwa lata. Gdy odchodziłem, można go było wziąć za mojego starszego brata. Teraz ten czterdziestosiedmioletni mężczyzna wyglądał na sześćdziesiątkę. -- Witaj w domu. Siadaj. Zjesz coś? Lepiej nie rozmawiać na pusty żołądek.

--Tato...

--Domyśliłem się -- powiedział ze smutkiem. Sięgnął do szuflady, wyjął tytoń, starą fajkę i zaczął ją starannie nabijać, jakby wypełniał jakiś rytuał. -- Jednak cię rozgryźli i próbowali zwerbować. Sądzę, że się zgodziłeś. Teraz wysłali cię na Nowy Krym, dla zachowania pozorów ogłaszając, że zdezerterowałeś. Mam rację?

--Prawie.

--W którym miejscu się pomyliłem? -- Pstryknęła stara zapalniczka, zrobiona z łuski dwudziestotrzymilimetrowego pocisku.

--Nie rozgryźli mnie. To prywatna inicjatywa Vallensteina.

Brwi ojca podjechały w górę.

--Zaskoczyłeś mnie, synu. Zapewne drugi raz w życiu.

--Kiedy zaskoczyłem cię po raz pierwszy?

--Gdy zaakceptowałeś mój pomysł i napisałeś scenariusz pamiętnego rodzinnego obiadu... - ojciec się wzdrygnął.

--Przecież wszystko poszło dobrze, prawda? Nikt nie miał cienia podejrzeń. Nawet mama nie zawiodła.

--Ale wychodzi na to, że wszystko na próżno -- rzucił ojciec. -- Wybacz, Rus. Nie powinienem był ci przerywać. Opowiadaj od początku.

Słuchał mnie bardzo uważnie, nie ujawniając emocji. Ja również nie ujawniałem swoich. Po tej pamiętnej „radzie rodzinnej” między nami pojawił się jakiś mur; słowa zostały wypowiedziane, nawet jeśli to ja je wymyśliłem. Teraz obaj udawaliśmy całkowicie pochłoniętych „naszą sprawą”.

Opowiedziałem ojcu o Zecie-5 i dzieciach-potworach. O milionach lemurów, które nieustraszenie szły na ścianę naszego ognia i ginęły, bezsensownie i głupio.

--Nie bezsensownie -- przerwał mi ojciec, marszcząc brwi. -- One też się uczyły. Wypróbowały nową taktykę. Lemury to istoty społeczne, niestety, bardzo podatne na działania podstawowych środków psychotropowych. Później sprawdza się sterowanie zewnętrzne. -- Zaśmiał się sucho. -- Sądzę, że to stworzenie z antenami... Cóż. -- Po twarzy ojca przebiegł cień. -- Widzę, że ja również będę ci musiał wiele opowiedzieć.

--Czy o czymś nie wiedziałem, ojcze? -- spytałem ostro. -- Wysłałeś mnie na tę akcję, nie mówiąc wszystkiego?

--Właśnie, synu. -- Ojciec rozpałał fajkę, widziałem ciemnoczerwony kwiatek słabego ognika. -- Nie powiedziałem ci wszystkiego. Miałem nadzieję... taki już nasz rosyjski zwyczaj...

że jakoś to będzie. Że się uda. Ale się nie udało. -- Gniewnie uderzył ręką w biurko.

--Tato -- powiedziałem bardzo spokojnie. -- Chyba lepiej będzie, jeśli powiesz mi, o co chodzi. W końcu mam prawo wiedzieć...

Ojciec popatrzył na mnie dziwnie, jakby próbował zrozumieć, gdzie tu jest ukryty haczyk.

--Są takie prawa, z których lepiej nie korzystać.

--Zaryzykuję -- powiedziałem twardo. Zaczynał mnie męczyć ten słowny ping-pong. Gdy wymyślaliśmy tę akcję, wszystko między nami wyglądało inaczej. Wtedy byliśmy przyjaciółmi, rozmawialiśmy jak równy z równym. A teraz widziałem, że ojciec mi się przygląda, ocenia, sprawdza, co można mi powiedzieć, a czego nie... Chyba nie myśli, że mnie faktycznie zwerbowali?

--Dobrze -- powiedział wreszcie po chwili milczenia. -- Wprawdzie miałem nadzieję, że to nie wyjdzie na jaw... ale skoro tak...

Jego głos był zimny jak lód.

--Tato -- spróbowałem znowu. -- Zrozum, ja...

Ojciec gwałtownie podniósł głowę. Ze zdumieniem dostrzegłem w jego oczach coś jakby wrogość.

--A więc... -- powiedział urywanym głosem. -- Posłuchaj, jak to było. Biomorfy są...

--Przepraszam, co?

--Biomorfy. Tak je nazwaliśmy, gdy przypadkiem natrafiliśmy na nie na Nowym Krymie, na Syberii...

Czułem się, jakby podłoga rozstąpiła mi się pod nogami.

--Co takiego?!

--Znaleźliśmy to, co później otrzymało nazwę „biomorf” -- powtórzył cierpliwie ojciec. -- Byliśmy młodzi, naiwni, Nowy Krym dopiero zaczęto kolonizować... Minęło tak niewiele czasu, a już na planecie nie ma wolnego miejsca. Ja i mama... oraz Dariana Dark wędrowaliśmy, docierając do najbardziej ukrytych i niedostępnych zakątków wyspy i...

--Dariana Dark? Znasz Darianę Dark? -- Otworzyłem usta ze zdumienia. Jednak wtedy nie kłamała.

--Oczywiście. Ruch oporu rodził się przede wszystkim tutaj, na Nowym Krymie. Stworzono kilka ośrodków, żeby zmniejszyć prawdopodobieństwo wpadki, ale biomorfy znaleziono właśnie tutaj. Szukano później na wielu pogranicznych planetach, ale bez powodzenia.

--Czym są biomorfy, ojczu? -- spytałem, czując chłód w piersi.

--Biomorfy to, mówiąc najogólniej, podręczny zestaw „złóż to sam”. System, który można zaprogramować, zdolny do adaptacji i transformacji, potrafiący przyswoić dowolny materiał genetyczny. Istnieją bardzo duże różnice w biochemii, ale ludzkie DNA doskonale się transkrybuje. Synteza białek działa podobnie, chociaż rozpoznanie kodu genetycznego i sama synteza budowane są w oparciu o inne mechanizmy. Poświęciliśmy temu sporo czasu...

--Jak one wyglądały?!

--Szara galaretowata masa -- odparł ojciec, patrząc mi w oczy. -- Niepozorna galareta, z której można stworzyć szablastożębnego tygrysa, gdybyś tylko miał na to ochotę.

--Jak stworzyć? -- wyrwało mi się.

--Dość proste teoretycznie, znacznie trudniejsze w praktyce -- wzruszył ramionami ojciec.

-- Potrzebny jest wyjściowy materiał genetyczny. Stosunkowo szybko zrozumieliśmy, jak wykorzystywać te czy inne rodziny genów, jak osiągnąć normalny rozwój. Wszystko okazało się nie tak znowu trudne. Zupełnie jakby... -- zamilkł, dobierając słowa. -- Jakby ktoś specjalnie stworzył to coś dla naszego, ludzkiego poziomu wiedzy. Zaczęliśmy eksperymentować i wkrótce zrozumiałem, że to puszka Pandory. Wydawało nam się, że przy niewielkim wysiłku można stworzyć żołnierza... żołnierza doskonałego.

--Poczekaj -- ścisnąłem głowę rękami. Myśli skakały niczym pijane zające w kapuście. -- Kiedy to robiliście? Kiedy znaleźliście? Gdzie badaliście? Jak stwierdziliście, że...

--Opowiem ci -- przerwał mi ojciec.

I opowiedział. Krótkimi, precyzyjnymi zdaniami, jakby występował przed radą dyrektorów albo na dorocznym zebraniu akcjonariuszy.

Biomorfy znalazł pies. Pies mojego ojca, o imieniu Poznaj. Szare kule leżały w głębokim dole, przykrytym gałęziami świerka. Żaden tajemny sarkofag czy świątynia Starożytnych w głębi gór, lecz zwykły dół, prawdopodobnie niedawno wykopany. Gałęzie obłamano na krótko przed odkryciem tego znaleziska. Dariana Dark, wtedy jeszcze młodziutka, początkująca terrorystka, jako pierwsza zaczęła nalegać, żeby poważnie zająć się biomorfami. Przez kilka lat prowadzono zaawansowane badania, w tajemnicy, pod przykrywką innych tematów, w nowokrymskim i wielu innych uniwersytetach na oddalonych planetach. Los uśmiechnął się do naukowców już na samym początku. Rezultaty eksperymentów były jednoznaczne, wszystko szło jak po maśle, nie było problemów ani z sekwencją, ani z klonowaniem, ani z ekspresją genów. Jakby komuś bardzo zależało, by młodym badaczom się powiodło.

To były początki nowego ruchu oporu, jak mawiano wówczas z patosem. Powstawał jednocześnie na kilku planetach pogranicznych, które nie straciły jeszcze swoich praw i nie znalazły się pod żelaznym butem Imperium. Wtedy jeszcze nie istniała totalna i powszechna kontrola, w kosmosie nadal latali niezależni handlowcy, a na peryferiach zamieszkaną przez ludzi przestrzeni ciągle pozwalano na rozmaite swobody.

Badania nad biomorfami przeciągały się, jednak Darianie Dark udało się rzecz praktycznie niemożliwa -- zapewniła tej sprawie absolutną tajność. Niewielu ludzi wiedziało, nad czym faktycznie pracują.

Zaledwie pięć osób rozumiało, co tak naprawdę znaleziono. Dzięki tej operacji Dariana -- śmiała, bezczelna i zdecydowana -- zdobyła ogromny autorytet. Później jakby odsunęła się od problemu biomorfów i zajęła otwartym terrorem. Stała się idolem wielu młodych ludzi na niezależnych planetach, które, jedna po drugiej, znalazły się we władzy Imperium...

--Gdybyśmy wtedy wiedzieli... -- ojciec uderzył pięścią w otwartą dłoń. -- Dariana owinęła nas sobie wokół palca, wszystkich, nawet mnie. Nikt nie sądził, że ona... i jej frakcja będzie kiedyś potrzebowała biomorfów. Badania szły swoją koleją, zaczęto się interesować kwestiami teoretycznymi: skąd pochodzą biomorfy, jak się znalazły na Nowym Krymie, czy są artefaktami kosmicznego pochodzenia, jakie warunki mogły doprowadzić do ich powstania i tak dalej. Sam rozumiesz, takie tam gadanie naukowców...

Rozumiałem.

--Po jakimś czasie Dariana cicho i bez zbędnego szumu zabrała potrzebną jej ilość aktywnych składników... tak wtedy nazywaliśmy biomorfy. Nie urządziła pokazowych walk, nikogo nie usunęła i wychodziła ze skóry, żeby pokazać, jak niewiele obchodzi ją to znalezisko.

Mało to artefaktów na kosmosie? Niestety, są całkowicie bezużyteczne dla wielkiej sprawy walki o wolność... Krótko mówiąc, zrobiła wszystko, żebyśmy utracili czujność. Poza tym, mieliśmy dość własnych problemów. Nikt z nas nie nauczył się produkować z szarej galarety biorobotów, posłusznych i nieustraszonych. -- Ojciec wykrzywił wargi w grymasie, jakby nienawidził samego siebie.

--Wychodzi na to, że rój i macice są dziełem pani Dark -- byłem wstrząśnięty.

--Zapomniałeś, że nie zdążyłeś mi o tym wszystkim opowiedzieć? No już, słucham, teraz ty mów, a ja, stary, sobie zapalę.

Opowiadałem o stepach i górach Omegi-8. O jaskini i źródle. O roju i zestrzelonych helikopterach, ataku roju i naszej ucieczce. O niewoli (ojciec wzdrygnął się) i wreszcie o reaktorze.

Palce ojca wbiły się w poręcz fotela. Uniósł się lekko i popatrzył mi w oczy przenikliwym wzrokiem.

A ja, jak mówią pisarze, ponownie przeżywałem tamte straszne chwile. Widziałem twarz Dalki, którą Dark chciała związać ze sobą krwią, słyszałem jakby z boku swój własny głos, słyszałem świst powietrza w uszach i czułem lepki ciepły śluz, który otulił moje ciało...

--Nie ruszyły cię... -- powiedział martwym głosem ojciec.

--Nie ruszyły. Dlaczego masz taką minę? Czy ty coś wiesz? Tato!

Pewnie jeszcze długo mógłby zaprzeczać i upierać się przy swoim. W końcu nie miałem żadnych dowodów, jedynie niejasne podejrzenia.

--Jura, powiedz mu -- rozległ się za moimi plecami głos mamy. -- Śmiało. To silny i dzielny chłopak. Wytrzyma.

--Mama? -- wymamrotałem. Nie powinno jej tu być!

--Dobrze, sama mu powiem -- powiedziała twardo, podchodząc do mnie. -- Ruslan, my... ja...

--Podjęto próbę stworzenia żołnierza doskonałego -- wyszeptał ojciec. -- Ale tylko my zrozumieliśmy, że potrzebny jest do tego ludzki genom...

--Tylko my przypadkiem właściwie dobraliśmy stymulatory -- powiedziała mama, patrząc mi prosto w oczy. -- Jako jedyni zrozumieliśmy, że zarodnik potrzebuje ciała kobiety, żeby przeżyć.

--I potem... stworzyliśmy cię -- jęknął ojciec. -- Sperm... komórka jajowa...

--A potem ja cię nosiłam dziewięć miesięcy. I urodziłam w bólach. Jesteś człowiekiem, Ruslan. Jesteś moim synem. Ale masz w sobie geny biomorfa.

Patrzyła na mnie i już wiedziałem, że wszystko, co zostało tu powiedziane, to szczerą prawdą.

--Mój Boże, jak to możliwe? Cięża...

--Zapomniałeś, że z wykształcenia jestem również neonatologiem? -- spytała mama.

Nie jestem człowiekiem... nie jestem człowiekiem...

--Jesteś człowiekiem -- smagnął mnie jej głos.

Jestem biomorfem. Taką samą amebą jak ta, które paliliśmy miotaczami ognia. Ludzki genom... Jak, dlaczego? Ja nie chcę... Zbawcza podłoga uderzyła mnie w twarz.

--Mówiłem ci... -- to ojciec.

--To silny chłopak. Wytrzyma. -- Nieznoszący sprzeciwu głos mamy.

Powoli otworzyłem oczy. Nadal byłem w gabinecie ojca. Zasłonięte okna, ciemna noc. Ciemność płynie jak woda, stuka w szyby, skrobie bezcielesnymi rękami. Każdy dźwięk brzmi teraz niczym grom. Nade mną pochylają się moi rodzice. Rodzice... Ojciec dał mi swoje nasienie, a mama mnie wynosiła. Jak mogli coś takiego zrobić? Jak mogli?

Nie wiem dlaczego, ale teraz właśnie to wydawało mi się najważniejsze.

--Jak? -- Wychrypiałem.

--Po prostu jak matka zastępcza -- odpowiedziała sucho mama. -- Nie mów głupstw. Genetycznie jesteś naszym synem, wykaże to każda ekspertyza. A że znaleźliśmy sposób, by uczynić cię nietykalnym dla roju... to nasze małe know-how, o którym Dariana Dark wcale nie musi wiedzieć. Nie jesteś mutantem, nie masz czegoś takiego jak transformacja bojowa i podczas walki nie wyrosną ci macki. Po prostu rój traktuje cię jak swego. A my... My wychowaliśmy cię jak naszego syna. Sam wiesz najlepiej, czy była jakaś różnica między tobą a twoim rodzeństwem.

--Oni... też?

--Nie -- powiedziała chłodno mama. -- Oni są zwyczajni. Ty jesteś nie tylko naszym synem, ale również naszą nadzieją. Zaryzykowaliśmy i okazało się, że mamy rację. Jeśli chcesz, możesz nas znienawidzić. To prawda, podjęliśmy decyzję za ciebie. Nikt nie pytał cię o zdanie ani o radę. Ale mieliśmy świadomość, że takich ludzi jak Dark nic nie powstrzyma. Postanowiliśmy wykuć własną broń. Mamy nadzieję... mieliśmy nadzieję, że wychowamy cię na prawdziwego człowieka. Na Rosjanina.

Patrzyli na mnie oboje: mama z absolutnie niekobiecą bezwzględnością, o jaką nigdy bym jej nie podejrzewał; ojciec przeciwnie, z bólem i żalnością. Chyba z trudem powstrzymywał łzy.

--Nas też nikt nie pytał, czy chcemy walczyć z Imperium. Nikt nie pytał mnie, czy chcę przyjąć do własnej macicy kawałek... obcej protoplazmy. -- Opanowała się z trudem. -- Tak było trzeba. W imię naszej sprawy. Mogliśmy tylko zrobić to, a potem żyć dalej... i każdego dnia, rok po roku, patrzeć ci w oczy, w oczy mądrego, wspaniałego chłopca... sąsiadki tak mi zazdrościły... i myśleć: na co ja go skazuję? A więc wstań, Rus. Wstań. Leżenie na podłodze i rozczulanie się nad własnym losem nie ma sensu. Żałuj raczej tych, którzy zginęli przez Rój. Tych, których Dark żywcem rzuciła na pożarcie swoim potworom. Albo tych, których zmiażdżyły imperialne czołgi podczas szturmU Utrechtu. Wstawaj, synu. Musimy porozmawiać o wielu sprawach.

Przez chwilę wydawało mi się, że przede mną stoi druga Dariana Dark.

Wstałem. Patrzyłem tępo na własną rękę, jakbym się spodziewał, że zaraz przemieni się w wsiany przyssawkami śliski wyrostek, jak u tamtych dzieci na Zecie-5. A co jeśli one również były eksperymentem? Czyjaś próba powtórzenia... mnie? A może wcale nie jestem jedynym egzemplarzem?

Musiałem mieć dziki, przerażony wzrok, bo mama westchnęła i przysiadła obok mnie, jak wtedy, gdy byłem dzieckiem i chorowałem. Zdarzało się to bardzo rzadko, ale czasem dopadała mnie jakaś infekcja. Mama strasznie się denerwowała i bardzo bała nawet najłżejszych objawów. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego.

--Mamy mało czasu, Rus. Trzeba działać. Dark jest teraz u władzy, ale się nie pokazuje. Ona i jej współbojownicy dowodzą tą ordą potworów, chociaż tak naprawdę już nikt nimi nie kieruje.

Drgnąłem. A jeśli ja przestanę słuchać samego siebie?!

--Przenieśli tutaj macicę, umieścili ją na Syberii, a potem triumfalnie rozstrzelali na oczach przerażonych ludzi. Potem nikt już nie miał najmniejszych wątpliwości, kto tu rządzi. Dark chyba szczerze wierzy w to, że po doświadczeniach z Iwołgi Imperialowie nie ośmielią się pokazać tu nosa. Tam, gdzie są macice, mogą pomóc jedynie bomby wodorowe, z zimą jądrową w konsekwencji. Imperium będzie wołało odizolować zarażone planety, licząc, że uda się je odbić później, po stworzeniu odpowiednich technologii, czyli nowej broni. Dark i jej kompani blokady się nie boją, nauczyli się znajdować dziury w każdej sieci. Sądzą, że Imperium będzie zmuszone zostawić ich w spokoju, a oni tymczasem stworzą swoją federację czy konfederację tak zwanych wolnych planet.

--To wszystko, ojcze? To wszystko, o czym potrafią myśleć?

--Myślę, że tak. Dark i jej współbojownicy są taktykami, ale nie strategami. Wyliczyli sytuację na trzy posunięcia naprzód, to wszystko. Wszystkie ich działania są przewidywalne, jeśli tylko skorzysta się z pewnego algorytmu. Mają świra na punkcie teorii odciągania sił. Uważają, że mały oddział, który się przemknie niezauważony, potrafi dokonać rzeczy wielkich. Pod warunkiem że uwaga przeciwnika będzie skupiona na poważnej operacji, a wszyscy jej uczestnicy będą święcie wierzyć, że to właśnie jest główne uderzenie. Sylwania i cała reszta była tylko próbą sił, odwróceniem uwagi Imperialów. Mając biomorfy do dyspozycji, Dariana wzięła się do sprawy na poważnie. Nie mam pojęcia, co mogłoby ją teraz powstrzymać.

Ramiona ojca opadły bezradnie. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby był aż tak zagubiony.

--Ludzie stracili rozsądek -- ciągnął półgłosem, kołysząc się niczym w transie. -- Stracili rozeznanie. Wrzeszczą: „Wolność, wolność!”, nie rozumiejąc, że jest cena, której nie wolno płacić nawet za wolność. Dark uważa Imperium za skoncentrowane zło, a ja pod wieloma względami się z nią zgadzam. Ale nadal uważam, że ten cel nie usprawiedliwia środków, a raczej usprawiedliwalby, gdyby chodziło o osobisty wybór moralny jednostki, lecz gdy na jedną kartę stawia się istnienie całej planety... -- pokręcił głową z goryczą, podniósł wzrok i popatrzył mi w oczy. -- Teraz wiesz już wszystko. Kim jesteś, jak i dlaczego się to wszystko stało... Pewnie chcesz nadal zadawać pytania i to raczej nie o Imperium, lecz o siebie. Mam rację?

--Oczywiście... tato -- powiedziałem z pewnym wysiłkiem. Ojciec wyczuł to i ledwie zauważalnie ściągnął brwi.

--Jesteś człowiekiem -- powtórzyła mama ostro i władczo. -- Człowiekiem stworzonym z nieco odmiennego materiału. Doskonalszym od innych. Pamiętaj, że masz w sobie nasze geny. Nie jesteś Obcym. Jesteś człowiekiem. Różnica niepowodująca różnic nie jest różnicą.

--Dlaczego, dlaczego, mamgo?! -- nie wytrzymałem. -- Dlaczego to zrobiliście? Z góry zaplanowaliście, że kiedyś trzeba będzie stawić czoła tym biomorfom i zdecydowaliście...

--Możesz się śmiać -- przerwała mi mama -- ale ja naprawdę to przewidziałam. Biomorfy są niebezpiecznym i wcale nieprzypadkowym znaleziskiem. Zbyt niebezpiecznym, by można je zostawić w niewłaściwych rękach. Nie wierzyłam i nie wierzę w kryształowo czystych ludzi, którzy raczej umrą na torturach, niż cokolwiek zdradzą. Nie wątpiłam, że biomorfy trafią do rąk Imperialów albo tych, którzy z nimi walczą. Czasem i jedni, i drudzy są jednakowo odrażający.

--Jak możesz tak mówić!? -- wyrwało mi się. -- A ci, którzy płonęli w czołgach na łuku Kurskim, a ci...

--Oni są święci -- władczo ucięła mama. -- Nic dziwnego, że istniał zwyczaj, by na polach walk budować świątynie na cześć tych świętych, którzy zrodzili się na ziemi rosyjskiej. Wszystkich świętych, rozumiesz? Oni walczyli uczciwie. W normalnym życiu mogli być grzesznikami albo szlachetnymi filantropami, ale umarli śmiercią męczenników. A tutaj... Dark walczy z Imperium, nie rozumiejąc, że zniszczyć tego kolosa można jedynie uderzając od środka. I taki właśnie mieliśmy plan. Nie byłeś jedynym... -- Nie byłem jedynym... biomorfem?

--Człowiekiem o pewnych cechach biomorfa byłeś tylko ty -- wtrącił się ojciec. -- Oprócz ciebie w szeregi imperialnej armii wstąpiło jeszcze kilku chłopców z podobnym celem. Oczywiście, nie na naszej planecie, to wzbudziłoby podejrzenia... ale nawet wśród rasy panów są tacy, którzy niezbyt lubią imperialne porządki.

Westchnąłem ciężko. Bolała mnie głowa. To nowe uczucie... Pomyślałem nagle, że bardzo dawno nie chorowałem. I że szybko, szybciej niż inni, przywykłem do „imperialnych porządków”. Nieludzka część mnie nie spowodowała -- niestety -- że stałem się niepokonaną maszyną śmierci, ale dała mi pewną przewagę nad innymi. Nadal wielu rzeczy nie rozumiałem. Wychodziło na to, że moi rodzice, jako młodzi ludzie, zdołali zaplanować, ba, z powodzeniem przeprowadzić skomplikowany biotechnologiczny eksperyment, który nawet teraz, po trzydziestu z górą latach, każdemu wydobyłby się fantastyką. Jak to zrobili?

--Metodą prób i błędów -- powiedziała pośepnie mama. -- Zresztą nie było to nic trudnego. Wystarczyły standardowe podręczniki o klonowaniu i przeszczepach embrionów. Kuracje hormonalne dla matki zastępczej znane są, jak zapewne wiesz, od dawna.

Słuchając tych wyjaśnień, przez cały czas miałem wrażenie, że to ktoś inny, znacznie bardziej potężny, zaplanował wszystko i zatroszczył się o to, żeby aborygeni bez trudu mogli urzeczywistnić wszystkie swoje zamierzenia.

Zapadła cisza.

--No, głowa do góry -- mama pogłaskała mnie po włosach. -- Głowa do góry, Rus. Strata Moskwy...

--Wiem, wiem. Nie oznacza jeszcze straty Rosji -- mruknąłem.

--Właśnie. Musimy przechwycić Dark i zniszczyć to plugastwo, które wyhodowała.

--Gdzie?

--Stary fort -- powiedział ojciec. -- Szósty bastion artyleryjski. Są tam. Wiem, że Dark rozstrzelała jedną pustą macicę, ale chowa w zanadrzu coś znacznie większego. Potrzebuje sił do inwazji, jeśli się na to zdecyduje.

--Na co?

--Żeby zaatakować przestrzeń Wewnętrznych Planet -- wyjaśniła zjadliwie mama. -- Tak trudno samemu ruszyć głową?

--To jest całkiem prawdopodobne. -- Ojciec znowu zaczął rozpalać wygasłą fajkę. -- Skoro okazała się wystarczająco mądra, żeby zaplanować rój...

--Więc to jednak jej wytwór? -- zdumiałem się.

--Nie ma pewności -- przyznała się mama. -- Ja wierzę, ojciec nie bardzo, że macice i inne draństwo to efekt realizacji programu, jaki ktoś umieścił w biomorfach.

--Ktoś... gdzieś... -- westchnął ojciec. -- Sam wiesz, Rus, że prawdziwy naukowiec nie ma prawa zadowolić się taką odpowiedzią. Musimy wiedzieć, kto, jak i dlaczego zaprogramował w ten sposób biomorfy. Co sprawia, że macice są zdolne do międzyplanetarnych podróży?

Przecież to zupełnie nieprawdopodobne. Ten ich start z planety, opisany przez ciebie... jak to było możliwe? Kataliza i cała reszta mieści się jeszcze w granicach reguł. Ale te międzygwiazdne podróże są bardzo podejrzane.

--Właśnie -- skinęła głową mama. -- Obiekt biologiczny nie może posiadać zdolności antygrawitacyjnych. Takie są fakty. A to znaczy...

--To znaczy, że musi być jakiś artefakt -- dodał tata.

--Mniej więcej. Artefakt obcego pochodzenia.

--No dobrze, ale skąd miałby się wziąć? -- nie ustępował ojciec.

--Och, Jura, tyle razy już o tym mówiliśmy i nigdy nie doszliśmy do żadnych wniosków...

--W takim razie dajmy temu spokój -- zakończył tata. -- Na razie musimy zrobić coś z Darianą, a to, obawiam się, będzie trudniejsze niż wyrwanie się z Omegi.

Zajęliśmy się omawianiem planu.

Nie miałem czasu, żeby polecieć na Syberię i odszukać słynnego Michaela. Ojciec postanowił działać szybko. Póki Imperium nie przysłało swoich oddziałów, Nowy Krym miał szansę uniknąć termojądrowego bombardowania.

Ojciec postanowił wykorzystać w tej akcji swoich ludzi, którzy pracowali dla niego od wielu lat. Technicy, inżynierowie, lekarze i tak dalej -- ludzie twardzi, odważni i inteligentni. Inni nie zagrzewali u nas długo miejsca.

Ojciec zebrał ich i wygłosił płomienną mowę -- był w tym mistrzem. Stronnicy ojca, podobnie jak on, nie przepadali za Darianą Dark, więc gdy ojciec zapytał, czy są ochotnicy, zgłosili się wszyscy.

Grupa uderzeniowa składała się z pięćdziesięciu bojowników. Nie mogli się oczywiście równać z imperialnym desantem, ale z drugiej strony, nie były to też dzieciaki z międzynarodowej brygady. Poza tym nie porywali się z motyką na słońce; w magazynach ojcowskich włości znalazło się sporo różnego dobra... Próbowałem odpędzić upartą myśl o tym, ilu z nich nie wróci już do domu.

Oczywiście, o mnie nic nie wiedzieli. Ja miałem działać samodzielnie.

Szósty bastion artyleryjski znajdował się za miastem. Jedyne podobieństwo Nowego Sewastopola do starego polegało na tym, że mieliśmy tu długą zatokę, która niczym kindżał wbijała się w płaski brzeg. Nie było żadnych gór wokół zatoki, dlatego też w celu obrony przed atakiem z morza (a historia Nowego Krymu знаła najprawdziwsze pirackie ataki) na wysuniętych cyplach stworzono bastiony i baterie, jako dodatek do Fortu numer 30 Maksym Gorki.

Szósty bastion był tak naprawdę zdjętym z kół starym kompleksem raketowym. Transportery już dawno zaginęły w mrokach niepamięci, ale kontenery z raketami i urządzenia przeladunkowe ocalały. Na niewysokim wzgórzu, z którego roztaczał się doskonały widok na trzy strony świata, co pozwalało obserwować morze na wiele mil, zrobiono wykop. Następnie zalano go betonem, przykryto stalowymi dwuteownikami, dorzucono jeszcze trochę betonu i pancierz. Na otwartych wieżach postawiono kontenery. Potem dodano kaponiery, na wypadek, gdyby przeciwnik jednak wysadził tu desant i chciał wziąć bastion szturmem. Szósty bastion wykorzystano między innymi wtedy, gdy powolnicy (takim dumnym mianem określali się najzwyklejsi złodzieje) próbowali zająć miasto.

Od tamtej pory bastion stał pusty. Imperialowie położyli kres rozbojom, nielicznym

ocalałych piratów zesłali na Swaarg, a szósty bastion rozbili. Kazamaty i kaponiery stały się mekką miejscowej dzieciarni, mimo surowych zakazów rodziców. My, chłopcy, ani przez chwilę nie wątpiliśmy, że pod najgłębszymi artyleryjskimi piwnicami szóstego bastionu ciągną się zapomniane przez wszystkich przejścia, łączące w jedną sieć wszystkie stare umocnienia Nowego Sewastopola, budowane w tym samym okresie co miasto. Krążyły plotki o szczęściarzach, którzy odszukali tajemne drzwi do tego systemu, zwanego „zagadką carów”. Długo nie mogłem rozumieć, skąd się to wzięło i co tu mają do rzeczy jacyś carowie.

Tajemnicze mury rodziły legendy. Nawet w moich czasach dwunastolatki opowiadały sobie szeptem okropne historie o Czarnym Rakietowcu, porzuconym przez swoich towarzyszy, który od tamtej pory pojawia się w bastionie, wróżąc czyjąś rychłą śmierć.

I na tym bogactwie położyła łapę Dariana Dark.

Leżałem w zaroślach. Nowy Krym ma bardzo bogatą florę i noc pachniała wonią traw; fale aromatów kołysały się nad moją głową i wydawało mi się, że to malutkie krasnoludki z dziecięcych bajek rozwiązały swoje czarodziejskie woreczki, wypuszczając na wolność zdumiewające zapachy. Przede mną, w słabym świetle gwiazd, widniał garb wzgórza baterii. Rozbrojony, bezpieczny, ulubione miejsce zabaw nastolatków, przypominał teraz tamtą macicę, koszmarny twór Bóg wie jakiego umysłu, nieproszonego gościa, który wyrwał się z chłodu i ciemności wszechświata.

Zabijałem te stworzenia na Zecie-5, Omedze-8 i Iwoldze, i tak samo będę zabijał je tutaj. Krąg się zamyka, wróciłem do miejsca, w którym zacząłem swoją drogę; wąż wbil zęby we własny ogon.

Mijał czas, gwiazdy przesuwaly się powoli. Czekalem. Zanim wejdę do środka, ojciec i jego oddział muszą wykonać swoje zadanie.

Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że szósty bastion nie jest pilnowany -- ale to tylko złudzenie. Nic więc dziwnego, że gdy z mroku wypłynęły czarne widma powracających łódek, ciemność na brzegu zahuczała seriami cekaemów.

Już czas. Dariana połknęła przynętę. Łódki były oczywiście puste, ojciec i jego ludzie zaatakują z zupełnie innej strony, gdy Dark będzie już pewna, że rozgryzła nasz podstęp.

Tak się właśnie stało. Jakiś czas później odgłos strzałów rozległ się z zupełnie innej strony. Z dala od brzegu, w głębi lądu zagrzmiał huk wybuchu i zapłonął pomarańczowy ogień, od razu pochłonięty przez dym. Jeszcze jeden wybuch. I jeszcze jeden.

Podczołgałem się do przodu.

Zobaczyłem znajomą stertę kamieni. Nic się tu nie zmieniło albo zmieniało się zbyt wolno. Jeśli tylko Dariana nie jest głupia i jeśli miała w swojej świcie „naszych”, to wszystkie chłopięce przejścia okażą się zaplombowane. Na wszelki wypadek wziąłem odpowiednią ilość plastiku, który pomoże mi przebić szyb w najtwardszej skale.

Serie wystrzałów były coraz głośniejsze. Do obląkanego chóru dołączały coraz to nowe karabiny. Można by pomyśleć, że szósty bastion szturmują właśnie cała armia.

Chłopcy Dariany Dark nie kazali przeciwnikowi długo czekać na odpowiedź. W otworach strzelniczych raz po raz pojawiały się rozbłyski. Sądząc po charakterystycznych trzaskach, brygada używała wszystkiego, czego tylko mogła, nie wyłączając niezawodnych dział.

Zmusiłem się do usunięcia z głowy myśli o ojcu i jego towarzyszach, którzy znaleźli się teraz w krzyżowym ogniu, i czczołem się dalej. Tam jest górka kamieni, a tu wąska nisza --

gdy miałem naście lat, wydawało mi się, że to prawdziwa jaskinia, teraz ledwie się w nią wcisnąłem. „Tajemny” kamień w głębi niszy odwrócił się posłusznie, odsłaniając gardziel studni. Wymacałem zardzewiałe klamry, wsunąłem się do środka i zacząłem schodzić.

Po trzech metrach natknąłem się na betonową ścianę. Zgodnie z przewidywaniami, przejścia nie było.

Żeby rozwalić przegrodę, zużyłem niemal cały plastik. Chcąc ukryć moje pirotechniczne ćwiczenia, dopasowywałem czas detonacji do szczególnie głośnych wystrzałów na górze -- specjalnie uzgadnialiśmy z ojcem „grafik” wyjątkowo mocnych efektów. Wychodziłem na powierzchnię, schodziłem z powrotem na dół, patrzyłem na sekundnik, w odpowiednim momencie naciskałem guzik detonatora, wracałem na górę i tak w kółko.

W końcu się przebiłem. Na moje szczęście ci, którzy z robili zator, niespecjalnie się starali. Zszedłem niżej; czołgałem się przez jakiś czas poziomym kolektorem i znowu zanurkowałem w wąską gardziel biegnącego w dół szybu.

Poczułem bijące stamtąd ciepło. To by znaczyło, że wentylatory wewnątrz „twierdzy” mimo wszystko działały.

Szczeble pod moimi rękami chwiały się, skrzypiąc zdradziecko. Zdaje się, że z tego przejścia od dawna nikt nie korzystał, bo widać było grubą warstwę kurzu. Świetnie -- jest nadzieja, że Dariana i jej akolici nie wiedzą o tej sztolni.

Dwadzieścia metrów wędrówki w dół i znalazłem się w ciasnym pomieszczeniu. Niegdyś mieściło się tu coś w rodzaju pulpitu sterującego zasuwami kilkunastu podobnych gardzieli. Obrońcy baterii korzystali z nich, gdy robiło się naprawdę gorąco. Niestety, później niemal wszystkie zostały zniszczone przez Imperialów. Jakim cudem ocalało to jedno przejście, pozostanie tajemnicą.

Z pomieszczenia prowadziły trzy korytarze, zamknięte ciężkimi pancernymi drzwiami. Niegdyś czyszczony do połysku brąz kół ryglujących, które spokojnie mogłyby znaleźć się na mostku „Chwały”, pozieleniał, ze szprych zwisał mech. Rozejrzałem się ostrożnie -- chyba nikt nie wchodził tu od lat. Nic dziwnego, skoro wyjście na powierzchnię było zalane betonem...

Rozwaliłem wiszące na drzwiach staroświeckie kłódki z imperialnymi numerami inwentaryzacyjnymi. Gdy do szóstego bastionu przyszli nowi gospodarze, przede wszystkim skrupulatnie pozamykali wszystko, co się tylko dało.

Z samymi drzwiami już nie było problemu; stare, lecz doskonale wyregulowane mechanizmy nie zawiodły. Otworzyłem drzwi i ujrzałem długi ponury korytarz. Przy ścianach i pod sufitem ciągnęły się girlandy kabli. Żadna z lamp się nie paliła.

Szedłem powoli, odruchowo odczytując pokryte pajęczyną tabliczki na ścianach: Magazyn nr 1, Magazyn nr 2 i tak dalej. Od czasu do czasu natrafiałem na poprzeczne galerie -- znajdowałem się w tak zwanej gospodarczej części bastionu. Jako chłopiec nigdy się nad tym nie zastanawiałem, dopiero teraz przyszło mi do głowy, że ta pajęczyna tuneli i przejść była bardzo potrzebna tej niewielkiej baterii obrony brzegowej, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę konieczność utrzymania tu garnizonu osłonowego, a nie tylko zwykłej obsługi dział do naprowadzania, ładowania i strzelania.

W maleńkich słuchawkach nadal słyszałem strzelaninę.

Gdy ciemność korytarzy rozproszyło migotanie słabej lampy, zdjąłem okulary noktowizora i zobaczyłem chłopców z brygady. Dwóch szesnastoletnich smarkaczy podpierało ściany obok

opuszczonej kraty. Wyglądali na bardzo nieszczęśliwych -- nic dziwnego, na górze trwa walka, ich towarzysze biją się z jakimiś imperialnymi najmitami, a oni muszą tkwić tutaj!

Nie marnowałem na nich kul. W końcu byli tylko zagubionymi i okłamanymi dziećmi. Granat policyjny huknął pod ich nogami, wypływając gęste kłęby gazu, ale nie był to trujący „bez”, lecz „spokój nocy”. Chłopcy upadli na siebie, wypuszczając z rąk karabiny. Dobra rzecz ten „spokój nocy”, szkoda tylko, że wyłącza ludzi jedynie na pół godziny -- większa dawka byłaby śmiertelna.

Teraz miałem do dyspozycji już tylko dokładnie wyliczony odcinek czasu. Musiałem znaleźć Dark. Ojciec proponował mi, żebym po prostu wrzucił do podziemi fortu starą, dobrą bombę próżniową, żeby wypalić nawet powietrze na galeriach, ale nie zgodziłem się. Większość znajdujących się tu dzieci nie zasługiwała na taki los.

Sam byłem zdumiony, że pamiętam tyle szczegółów. Zapamiętałem wszystkie zakręty, przejścia i korytarze. Zauważyłem, że stare tablice rozdzielcze zostały zastąpione nowymi zintegrowanymi panelami; wszędzie migaly czerwone oczka diod, pod sufitem wisiały girlandy nowych lamp. Było pusto. Prawie cała ochrona jest teraz na górze i walczy z „imperialnym desantem” -- ojciec zadbał o to, żeby zapchać eter odpowiednimi szyfrogramami na odpowiednich częstotliwościach. Nie mieliśmy wątpliwości, że wywiad radiowy Dariany stoi na wysokim poziomie.

Zatrzymałem się przed kolejną śluzą. Wyostrzone zmysły mówiły mi, że tam, w nieprzeniknionej ciemności, skupili się moi... krewniacy. Pragnąłem jak najszybciej złożyć im wizytę.

Przez te ostatnie kilka godzin udało mi się nie myśleć o tym, kim jestem. W wyjaśnieniach rodziców wyczuwałem jakieś niedomówienia, będę musiał przy okazji zrobić sobie badania krwi. Ciekawe swoją drogą, że lekarze wojskowi, którzy zakładali mi kartę, robili mapy genetyczne, badali grupę krwi i tak dalej, przegapili ten „obcy dodatek”. Trudno w to uwierzyć. Jeśli biomorfy tak się od nas różnią, te różnice muszą być widoczne. Dobra, będę miał jeszcze czas, żeby się nad tym zastanowić.

Po raz pierwszy strzeliłem na trzecim poziomie, obok piwnic artyleryjskich. Tu już było za dużo ludzi, granaty by nie zadziałały wystarczająco szybko. Nakręcony na lufę tłumik dał mi dwie sekundy, dwie bezcenne sekundy; żaden z wartowników nie zdążył nacisnąć przycisku alarmowego, nie zdążył przekazać wiadomości pozostałym.

Pięciu chłopców i dziewczyna. Przechodząc obok ciał, starałem się nie patrzeć. Straszna zapłata za życie innych. Kolejny niezmywalny grzech na moim sumieniu. Za bardzo przywykłem do naciskania spustu...

Kolejne pancerne drzwi, tym razem z zamkiem kodowym. Nie mając czasu na zabawę z elektronicznym wytrychem, użyłem plastiku. Głuche uderzenie i w stalowej płycie, pod którą były ukryte zamki, pojawiła się dziura. Pociągnąłem do siebie ciężkie drzwi i stanąłem oko w oko z Darianą Dark.

Moje przecucie mnie nie zawiodło. Tutaj, na najniższym poziomie podziemnego fortu, trzymano niegdyś zapasy wody pitnej. Zobaczyłem wywiercony szyb, zardzewiałe cysterny i potężny betonowy zbiornik, wypełniony znajomą do bólu, brązową masą. Pływały w niej jakieś szare skrzepy, połączone cienkimi nićmi. Widać było coś w rodzaju sieci.

Poczułem się tak, jakby ktoś uderzył mnie w głowę. Straszny, przeszywający ból...

Miliardy bezcielesnych głosów krzyczały niezrozumiale. -- Odebrałem coś w rodzaju nieodpartego imperatywu -- żeby rzucić się w dół, w tę czekającą spokojnie masę, stać się jej częścią, połączyć się z nią...

Dariana Dark była chyba jeszcze bardziej zdziwiona niż ja. Oczy dosłownie wyszły jej z orbit, wyszczerzyła brzydko zęby, przypominała teraz zaszczutą wilczycę, która nie ma się już dokąd cofnąć.

Ale patrzyły na mnie nie tylko przerażone oczy Dariany, również trzy czarne lufy -- zarówno oblakana przywódczyni, jak i dwóch jej popleczników trzymało w rękach broń. Niezapomnianego Jegora Kriwoszejewa poznałem od razu, ale twarz drugiego, który stał nieco z tyłu, niknęła w półmroku.

Miałem dużo szczęścia. Skoro miałem przed sobą troje dobrze uzbrojonych ludzi, to przynajmniej jedna ich kula powinna znaleźć swój cel. Ale Kriwoszejew nie stanął na wysokości zadania, Dariana też stropiła się na krótką chwilę i w ten sposób pozostał mi właściwie tylko jeden przeciwnik.

Jegor Fiodorowicz na mój widok krzyknął cienko i szybko się przeżegnał. Widocznie uznał mnie za zjawę.

Drugi mężczyzna nie stropił się i nie przestraszył -- wystrzelił od razu i bez wahania. Niczego innego się po nim nie spodziewałem. Jednak częściowo osłaniała mnie Dariana, częściowo Kriwoszejew, i dzięki temu, mimo pękającej z bólu głowy, zdążyłem skoczyć, przewrócić Darianę i nacisnąć spust.

Mężczyzna miał pod kurtką kamizelkę kuloodporną, jednak moja kula uderzyła go w pierś i odrzuciła na niskie ogrodzenie zbiornika. Próbował utrzymać równowagę, wymachując rękami, ale mimo wszystko spadł w dół. Nawet nie zdążył krzyknąć.

Kriwoszejew natychmiast rzucił pistolet i usiadł na podłodze, płacząc i obejmując głowę rękami. Z całej siły walnąłem kolbą próbującą wstać Darianę i kopniakiem posłałem oba pistolety do zbiornika.

Rozległy się dwa ciche pluśnięcia.

--A teraz sobie porozmawiamy -- wykrztusiłem. Miałem wrażenie, że głowa rozpadnie mi się na kawałki, pęknie niczym przejrzała dynia.

Wyjąłem dwie pary kajdanek, skułem Dark i jej utrzymanka.

--Pogadamy?

--Ruu... Ruslan... Błagam cię, na rany Chrystusa... Zlituj się. Nie bierz na siebie takiego grzechu... nie zabijaj bezbronnego i związanego...

--Mogę cię rozkuć. Spróbujemy się w walce wręcz? -- zaproponowałem złośliwie.

--Bój się Boga, Rus! Móglbym być twoim ojcem, jak mam się z tobą bić? Zaklinam cię, zlituj się! Błagam cię na wszystko, daruj mi życie...

Próbowal podczołgać się do mnie, chyba po to, żeby objąć moje nogi albo całować brudne buty.

--Nie ponizaj się, Jegor, miejże trochę godności -- syknęła Dark po rosyjsku, prawie bez akcentu.

--Niecił pani każe swoim ludziom się poddać, Dark. Wszyscy zostaną rozbrojeni i wypuszczeni. Nikogo nie skrzywdzimy. Te nieszczęsne dzieciaki nie są nam potrzebne. Interesuje mnie tylko to, co dojrzeza w tym przytulnym basenie.

Dark uśmiechnęła się wzgardliwie. Jak na jeńca ze skutymi na plecach rękami trzymała się bardzo dobrze.

--Nie wydam takiego rozkazu, zjawo z tamtego świata. To żołnierze wolności. Znają swój obowiązek.

--A jak sprawa wolności poradzi sobie bez wielkiej, szalonej, legendarnej Dariany Dark? -
- zapytałem zjadliwie. -- Na miejsce martwych dziewcząt i chłopców...

--...których pewnie mordowałeś dzisiaj z zimną krwią...

Zignorowałem jej słowa.

--...przyjdą nowi. Przecież chodzi tylko o szybkość prania mózgow. Ale jeśli zbląkana kula żywego trupa Rusłana Fatiejewa, zjawy z tamtego świata, zakończy rewolucyjną drogę Dariany Dark, co stanie się ze sprawą, której ona służy?

--Myślałby kto, że puścisz mnie wolno, jeśli odpowiem na twoje pytania!

--Nienawidzę zabijania. Jak już mówiłem, czeka cię sąd. Ale nie sąd imperialny, lecz nasz, sąd Nowego Krymu. A tu na razie nie zniesiono kary śmierci... mówię oczywiście o tych przypadkach, które podlegają jurysdykcji naszej administracji, na podstawie prawa o rozgraniczeniu pełnomocnictw. Wyciągnę was stąd. Oboje. Natychmiast. Potem będziemy załatwiać inne sprawy.

--Dziękuję ci, mój drogi... -- Dariana nadal trzymała fason -...ale ja podlegam sądownictwu Imperium. Nie popełniłam żadnych przestępstw przeciwko Nowemu Krymowi, jeśli nie liczyć tego, że dałam wolność narodowi tej planety -- zakończyła pompatycznie. Pewnie wyobrażała sobie, że odgrywa rolę Ifigenii albo Antygony.

--Imperialny sąd... cóż, zapewne liczysz na to, że do niego nie dojdzie -- powiedziałem. -- Nieoczekiwany atak terrorystów na konwój więźniów, ucieczka... takie rzeczy się zdarzają. Ale wtedy będzie już jasne, że Dariana Dark pracowała dla tajnych służb Imperium. Afera! Brygady kontrolowane przez bezpieczeństwo! Od dawna krążyły takie plotki, a oto potwierdzenie...

--Mów, nie przeszkadzaj sobie -- wysyczała Dark. -- Zaraz przyjdą tu moi chłopcy...

--Nie tak zaraz -- powiedziałem. -- Na razie są trochę zajęci na górze...

Powiedziałem to i natychmiast zapragnąłem ugryźć się w język -- w tej samej chwili na pulpicie pod ścianą zamigotało kilka lampek. Dobiegający z niewielkiego głośnika zdenerwowany głos zaczął wywoływać „panią dowódcę”. Chciał złożyć pilny raport.

--Powiedz, że jesteś bardzo zajęta -- warknąłem.

--Już się rozpędziłam -- uśmiechnęła się.

--Będę zmuszony cię uderzyć -- uprzedziłem.

--Jakoś to wytrzymam. Pamiętaj, że potrzebujesz mnie żywej i nie możesz zabić! --
Ostatnie słowa prawie wykrzyczała.

To była prawda, faktycznie wolałbym jej nie zabijać. Zdecydowałem nawet, że w ostateczności porzucę Kriwoszejewą i wyciągnę tylko ją. Jeszcze chwila i znajdą zabitych wartowników...

Krzyki za drzwiami potwierdziły słuszność moich domysłów. Już znaleźli.

Zdażyłem podeprzeć drzwi dwoma kawałkami dwuteowników i zaklinować łom w szprychach rygła otwierającego drzwi. Teraz chłopcy musieliby użyć materiału wybuchowego, a na to nie zdecydują się od razu.

--No i co teraz? -- W głosie Dariany pobrzmiwał triumf. -- Moi chłopcy już tutaj są.

Radzę ci się poddać, Fatiejew.

--Dziękuję, nie skorzystam -- uciałem. -- Mam inny pomysł. Zaczernię trochę płynu z tego fascynującego zbiornika i starannie poleję nim pani brzuch, pani Dark. Potem, jak sądzę, będziemy mieli okazję obejrzeć niezwykle zajmujące widowisko.

Oczy Dark zwięzły się.

--Nie wiem, jak wtedy przeżyłeś, draniu, ale przeżyłeś. A to znaczy, że ja też mam szansę. Trzeba przyznać, że twarda z niej baba.

Za pancernymi drzwiami dało się słyszeć krzyki i strzały; drzwi drżały, ale poddałyby się najwyżej podnośnikowi hydraulicznemu. A wysadzenie w powietrze...

Szarpnąłem Darianę w swoją stronę, popatrzyłem jej w oczy i pociągnąłem ją do wyjścia, nie zwracając sobie głowy galanterią.

Przykułem ją do unieruchomionego rygla i krzyknąłem w stronę dziury w drzwiach:

--Wasza przywódczyni jest przykuta do drzwi: Nie radzę używać materiałów wybuchowych, bo zmienicie ją w zapiekankę. Niech im pani sama powie, pani Dark, bo chłopcy gotowi mi nie uwierzyć...

Dławiąc się z nienawiści, Dariana potwierdziła moje słowa.

Krzyki za drzwiami umilkły.

--Cóż, widzę, że będziemy musieli rozmawiać tutaj -- wzruszyłem ramionami. -- W takim razie jestem zmuszony podjąć pewne kroki. Spróbuję z nim. -- Wskazałem skulonego Kriwoszejewa, który w tej samej chwili zaczął tak wrzeszczeć, że zatrzęsły się ściany. Podeszedłem do krawędzi zbiornika, poszukałem wzrokiem jakiegoś czerpaka i dostrzegłem zardzewiałe, niemal rozpadające się ze starości naczynie na długiej rączce.

Brązowa powierzchnia sprężynowała, nie chciała wpuścić w siebie żelaza. Rozerwałem jednak zaschniętą warstwę na wierzchu i wbilem zardzewiałą czerpak z przegniłą rączką w galaretowatą masę niczym miecz w ciało smoka.

Szedłem powoli, patrząc uważnie na Kriwoszejewa. Facet wył histerycznie, krzyczał i wierzgał nogami, skrobiąc obcasami beton. Wytrzeszczone oczy patrzyły na mnie z przerażeniem, twarz nabrzmiała krwią, z ust popłynęła strużka śliny. Spojrzałem w dół -- no tak, spodnie w kroku pociemniały. Zresztą nie musiałem nawet patrzeć; zapach, jaki doleciał do mnie chwilę później, był całkiem jednoznaczny.

Być może w innych okolicznościach zacząłbym mu współczuć. Gdyby na przykład był dowódcą brygady, mężnie walczył z Imperialami i dopiero teraz, w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, w ostatniej chwili dał plamę. Być może to by mnie powstrzymało; może przerwałbym tę grę, wiedząc, że mam przed sobą człowieka, który pobłądził, który naprawdę nie wiedział co robi, a więc mogę go postraszyć, ale przecież nie zabić. Ale ja miałem pewność, że ten tchórz, który teraz zanosi się wraskiem, o wszystkim doskonale wiedział. Znał cały potworny plan, wiedział, jak powstają macice i ich zawartość, wiedział, że potrzebują świeżej ludzkiej krwi jak psy konwojentów, które muszą co jakiś czas rozerwać kogoś na strzępy, upić się jego krwią, poczuć rozszarpywane ciało na kłach...

Przyciągnąłem Kriwoszejewa do krawędzi betonowej misy, tak żeby Dark widziała wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Mężczyzna rozplaszczyl się na podłodze, nie przestając wyc, pluć śliną i błagać. Chyba powoli tracił rozum z przerażenia. Jego słowa stawały się niezrozumiałe, a oczy zasnuwała mgielka szaleństwa.

Dariana patrzyła na to wszystko z posepną miną, ale spokojnie. Mimo woli poczułem do niej szacunek. Twarda kobieta, szkoda tylko, że sadystka.

--Wszystkooo! Poowieem! -- wrzeszczał ochryple Kriwoszejew. Widocznie doskonale wiedział, co się z nim stanie po kontakcie z brunatną cieczą.

Wyjąłem dyktafon i włączyłem nagrywanie.

--Mów, Jegor. Chętnie posłucham.

Czerpak demonstracyjnie trzymałem na widoku.

Czegóż ja się nie dowiedziałem!

Plan był prosty i jasny: stworzyć broń biologiczną, której nie da rady cała ludzka technika. Podstawą miały być biomorfy. Podatną jak wosk żywą masę dręczono tak długo, aż pewnego pięknego dnia w pewnym laboratorium badacze wpadli na pomysł, żeby użyć ukierunkowanego, wysokoenergetycznego promieniowania. Nie wiem, czego się właściwie spodziewali, ale efekt był wstrząsający: masa zaczęła przekształcać się w to, co później nazwano macicą. Późniejsze odkrycia były już tylko kwestią czasu; prawa i zasady transformacji zrozumiano niedługo później. Nikt nie tworzył macic ani systemu ataku, aktywna protoplazma, która wpadła ludziom w ręce, wszystko robiła sama. Pozostawało już tylko stworzyć inteligentny plan i wcielić go w życie.

Słuchałem tej opowieści i na usta cisnęło mi się pytanie: co przez te wszystkie lata robił imperialny wywiad? Czy aż tak przywykli do myśli, że brygady międzynarodowe to przytułek dla ludzkich odpadków, potencjalnych powstańców i rebeliantów? A może ktoś w najwyższych kręgach władzy osłaniał całe to przedsięwzięcie, licząc, że pewnego dnia zdoła wykorzystać zarówno brygady, jak i biomorfy do własnych celów. Teoretycznie takim człowiekiem mógłby być Reichsführer SS. Czyżby chciał przeprowadzić przewrót pałacowy? Nie, to zbyt przekombinowane... Chociaż... kto wie?

--Zeta-5 -- przerwałem Kriwoszejewowi. -- Opowiedz mi o Zecie-5.

Nadal nie dawały mi spokoju tamte dzieci, które musieliśmy zabić. Musiałem się dowiedzieć, czy były to transformowane ludzkie istoty, czy też skutecznie zakamuflowane biomorfy.

--To... to... -- Kriwoszejew zadrżał -- kiedy próbowaliśmy stworzyć nowe formy... nie potwory, nie koszmary... chcieliśmy połączyć biomorfy z ludzkimi komórkami jajowymi... Nie udało się... czegoś brakowało...

Drgnąłem. A więc nie tylko moi rodzice zajmowali się takimi rzeczami!

--Nie udało się -- ciągnął nieszczęsny, rozciągnięty na betonie człowiek. Tak bardzo się spieszył, tak bardzo się bał, że nie zdąży okupić swojego życia! -- Za to udało nam się co innego. Próbowaliśmy stworzyć osobniki sterujące... zdolne kontrolować psychikę...

Przypomniałem sobie stworzenie z antenami.

--Na Zecie-5 próbowaliśmy... poradzić sobie sami. Z tym, co stworzyliśmy... żeby nie korzystać z macic i całej reszty.

--A gdy się nie udało -- przerwałem mu -- popędziliście na rzeź nieszczęsne lemury.

--Tak -- przyznał Kriwoszejew. -- Istoty, które stworzyliśmy, okazały się mało efektywne. Dążyliśmy do stworzenia żołnierza doskonałego. Marzyliśmy o armii milionów bojowników-ludzi, a otrzymaliśmy... Pani Dark osobiście rozstrzelała winnych. A więc na Zecie... mieliście do czynienia z kontrolowanymi przez nas lemurami... -- Nie, idioto! Chodzi mi o dzieci! Czy one...

--To nasze najskuteczniejsze próby połączenia człowieka i biomorfa. Nic lepszego nie osiągnęliśmy... zgodność tkankowa pozostawiała wiele do życzenia. Próbowaliśmy również zastąpić usunięte narządy biomorfami i tu osiągnęliśmy pewien sukces, chociaż nie mogę powiedzieć, żebyśmy otrzymali efektywne modele...

--A potem nie pozostało wam nic innego, jak pójść przetartym szlakiem i wykorzystać podsunęte wam macice?

Dygoczący Kriwoszejew kiwnął głową.

--Jakim cudem przemieszczają się z planety na planetę? Nie dziwi mnie, że waszym ludziom udało się przewieźć zarodniki zwykłymi statkami rejsowymi, kontrola jest przeważnie czystą formalnością. Ale jak macice mogą startować z planety? Jak mogą przemierzać kosmos? Jak odnajdują te swoje tunele w hiperprzestrzeni?

Kriwoszejew zadrżał jeszcze mocniej. Po jego twarzy i szyi splotywał pot. Pewnie wypoci dzisiaj z pięć kilo.

--To... to nie nasze... nie nasze...

--Wierzę. Gdyby były wasze, już byłoby po nas. Z takimi technologiami starlibyście Imperium na proszek bez pomocy biomorfów. Więc skąd...

Spanikowany Kriwoszejew popatrzył na przykuta do drzwi Dark. Chyba znalazł się między młotem a kowadłem. Jeśli odpowie, a ja daruję mu życie, potem policzy się z nim Dariana. Jeśli nie odpowie -- wtedy ja go załatwię, i nie dość, że od razu, to jeszcze w najstraszniejszy sposób, jaki tylko on, Kriwoszejew, mógł sobie wyobrazić.

Zwyciężył strach przed zagrożeniem bezpośrednim. Nie bacząc na złowieszcze syki Dariany: „milcz, draniu, bo cię tak załatwię, że reaktor wyda ci się rajem!”, Kriwoszejew zaczął mówić:

--Każda macica miała generator...

--Jaki generator? -- drażylem. -- Skąd?

--Nie wiem... generatory antygravitacji. Potężne...

--Tyle to i ja wiem! Skoro potrafiły unieść w górę taką maszynę... Skąd to wzięliście, gadaj!

--Dostaliśmy...

--Gdzie? Kiedy? Od kogo?

To widocznie była ta największa tajemnica. Kriwoszejew bał się panicznie zarówno mnie, jak i Dariany, ale jeszcze bardziej bał się powiedzieć.

--Ja... ja ich nie widziałem. Oni... oni... ona... tylko ona... była z nimi...

--Kto??!! -- wrzasnąłem.

--Yyy... -- Kriwoszejew próbował przepchnąć słowa przez zaciskające się wbrew jego woli zęby. Twarz mu poczerwieniała, potem zsiniała.

Tymczasem za pancernymi drzwiami trwała gorączkowa krzątanina. Chłopcy przynieśli chyba gazową spawarkę i mieli zamiar pruć drzwi.

W końcu Kriwoszejew zdradził tę straszną tajemnicę. Przyznaję, że spodziewałem się czegoś innego. Nastawilem się na opowieść o złych Obcych, których największym marzeniem było wymazanie ludzkości z pamięci wszechświata.

--Nastąpił kontakt... po tym, jak... jak udało nam się otrzymać macice. Przylecieli do laboratorium...

Usłyszałem zdumiewającą historię: jak dziwny aparat, a może nawet żywa istota, wylądowała nocą w laboratorium, w którym otrzymano pierwszą macicę. Aparat przypominał jajo pokryte grubą, pomarszczoną skórą, nie wyszły z niego żadne zielone ludziki, a sam aparat do rana uległ rozkładowi. Pozostało po nim pięć wielkich brązowych kokonów. Gdy ludzie Dariany ostrożnie podeszli do „obiekta”, zademonstrowano im coś w rodzaju przedstawienia z żywymi figurkami -- instrukcja użytkowania kokonów z dokładnym opisem umieszczenia ich w miejscach, na których miały być hodowane macice. Po bliższych oględzinach okazało się, że kokony przypominają w dotyku metal.

W ten oto prosty sposób Dariana Dark weszła w posiadanie antygrawitatorów -- jedyne go elementu, który nie mógł zostać wyhodowany czy otrzymany metodą syntezy. Po pierwszej przesyłce nastąpiły kolejne i wkrótce ruch oporu miał setki antygrawitatorów. Ku rozczarowaniu badaczy, wszystkie próby użycia ich w celu niezgodnym z przeznaczeniem kończyły się kląpą -- nieznaną technologią posłuszną była jednej sterującej woli. Z kolei otworzenie grawitatora spowodowało potworną eksplozję, która zniszczyła połowę budynku uniwersytetu. Z trudem udało się skierować śledztwo na fałszywy trop -- w tym samym korpusie mieścił się wydział chemiczny, gdzie właśnie prowadzono badania nad najnowszymi mieszankami wybuchowymi.

Sporo czasu poświęcono ostatecznemu opracowaniu samej techniki wojny. Początkowo powstańcy zdecydowali się wystąpić tylko z tym, co stworzyli sami. Zadziałał instynkt samozachowawczy rasy -- nie przyjmować śmiertelnie niebezpiecznych prezentów od Obcych. Później zmienili taktykę, uznając, że potrafią kontrolować macice. Poza tym stwory były idealną armią do inwazji -- po pierwsze, były niepokonane, po drugie, potrafiły zniszczyć każdego wroga, a po trzecie, w odpowiednim czasie umierały same, niezdolne do rozmnażania się czy normalnego życia. Tak jak przypuszczałem, była to broń biologiczna, stworzona w jednym jedynym celu -- zabić wszystkich, którzy się od niej różnili.

Mimo wytężonej pracy uczeni nie znaleźli sposobu ochrony przed macicami i rojem. Było tylko jedno wyjście -- poczekać na autodestrukcję piekielnych zastępów, a następnie bez przeszkód zająć „ziemie wyzwolone”.

Po klęsce operacji na Zecie-5 kierownictwo głęboko zakonspirowanej centrali zdecydowało, że nie ma sensu dłużej czekać: wydawało się, że Imperium z dnia na dzień rośnie w siłę, że w ludziach, oglupionych względnym bezpieczeństwem i komfortem, umiera pragnienie walki i oporu. Zaplanowano operację „Biomorf”...

Milczałem, wstrząśnięty opowieścią. Dariana pluła i syczała, za pancernymi drzwiami w skupieniu pracowali jej chłopcy, a ja... a ja musiałem się stąd zmywać. Odejść w jedyny sposób, jaki mi pozostał. Nie przeceniałem swoich sił, wiedziałem, że nie przebiję się przez kilkadziesiąt żądnych mordy bojowników, nawet zasłaniając się Darianą. Postrzał w nogę nie będzie wprawdzie śmiertelny, ale wystarczy, żeby uniemożliwić mi ucieczkę. Miałem tylko jedno wyjście.

--Wielkie dzięki za interesującą opowieść -- powiedziałem do Kriwoszejewa, wylewając zawartość czerpaka do basenu. -- Z przyjemnością wziąłby cię ze sobą, ale obawiam się, że nie zechcesz przejść ze mną tej drogi...

--Poczekaj -- wycharczał Kriwoszejew. -- Poczekaj... zastrzel ją... zabij... Inaczej ona zrobi mi coś takiego...

To prawda. Kriwoszejew był tchórzem i lajdakiem, ale przecież ukazał mi brakujące elementy mozaiki. Zasłużył na życie.

Podniosłem pistolet i odwróciłem się do Dark. Już się nie szarpała, po prostu zwisała na łańcuchu, przykutym do poziomej miedzianej obręczy. Patrzyła na mnie spode łba, a w jej wzroku była wściekłość rannej wilczycy.

--Strzelaj, szczeniaku -- wysyczała. -- Strzelaj, padalcu... Szkoda, że ja...

Nie dokończyła. Nacisnąłem spust i już wiedziałem, że chybiłem. Kula trafiła Darianę w prawe ramię, obok obojczyka. Trysnęła krew i ciało kobiety szarpnęło się, z chrzęstem uderzając o pancerne drzwi. Głowa bezsilnie opadła na pierś.

Pozostawało już tylko wykonać kontrolny strzał. To znaczy podejść bardzo blisko, przystawić lufę do karku i nacisnąć spust. Innymi słowy -- z zimną krwią dobić nieprzytomną, bezbronną kobietę. Obląkaną kobietę, która samym faktem swojego istnienia zagrażała życiu tysięcy ludzi. Należało ją zastrzelić jak wściekłego psa, przecież dla zwierzęcia wścieklizna to też choroba, a nie świadome działanie. Nacisnąć spust i uratować dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi, których ta psychopatka rzuci na stos. To prawda, że jej idee były na początku szczytne i chlubne, ale w rezultacie doprowadziły ją do starannie ukrywanego szaleństwa...

Ale ja do tej pory zabijałem tylko w walce, nigdy nie zdarzyło mi się być katem. Dariana Dark otrzymała święty dar życia od Boga... Dlaczego miałbym go jej odbierać, skoro z Jego woli pierwsza kula chybiła?

A jednak podszedłem do niej i pewnie rozwalilibym jej głowę, gdyby nie to, że w tym momencie drzwi poddały się spawarce i wierni kontynuatorzy dzieła Dariany Dark wydali triumfalny okrzyk.

Wystrzeliłem i rzuciłem się do ogrodzenia zbiornika. Moja kula trafiła ją w pierś, ale nie strzeliłem po raz trzeci. Miałem nadzieję, że ta rana okaże się śmiertelna.

Zostało mi kilkanaście sekund. Wrzasnąłem do Kriwoszejewa, który nadal nic nie rozumiał i nawet zaczął mi dziękować:

--Jazda, spieprzać stąd, wszyscy! Mam bombę! Zaraz rozpęta się tu piekło!

Kriwoszejew pozieleniał.

A ja, nie tracąc więcej czasu, jednym susem pokonałem niskie ogrodzenie -- i znalazłem się w objęciach ciepłej masy przyszłego biomorfa. Nie mogłem ryzykować. Zaraza musiała być zniszczona w zarodku. W skrytości ducha liczyłem, że madame Dark spokojnie umrze z upływu krwi, zanim zdążą ją odratować, albo że bomba wybuchnie, nim rozepną jej kajdanki.

Sprężysta brązowa masa zamknęła mi się nad głową i moja ludzka świadomość przygasła. Do mózgu napłynął strumień wizji, tak wyraźnych i silnych, że omal nie krzyknąłem z bólu -- zachowanie umiejętności ludzkiego myślenia było prawdziwą męką.

Widziałem wszechświat. Miliardy miliardów światów, planet, gwiazd i galaktyk. Widziałem niezrozumiały obraz planety, od bieguna do bieguna pokrytej czarną cieczą. Na powierzchni pływały ogromne, żywe wyspy; widziałem liczne skupiska macic powoli unoszące się nad planetami, czarna woda splywała im po bokach, niczym krew matki z rodzącego się niemowlęcia. Widziałem armady macic w kosmosie, pogrążone w głębokim śnie, wirujące niczym pas asteroid wokół obojętnych gwiazd; widziałem rzeczy, których nie potrafiłem zrozumieć. Widziałem siłę inwazji, ale nie rozumiałem, co nią kieruje. Widziałem ogromne, żywe statki, tysiące razy większe od macic, powoli i majestatycznie wynurzające się z „krecich

nor" i opadające na powierzchnię planet. Nie widziałem tylko jednego -- tych, którzy sterowali tymi niezliczonymi zastępami.

Ale nie miałem wątpliwości, że istnieją. Że istnieją te małe, zielone ludziki, które wypowiedziały nam bezlitosną wojnę. Wojnę bez żadnego powodu, wojnę prowadzącą do likwidacji naszej rasy. Było w tym coś z obojętnej potęgi, z jaką system immunologiczny naszego ciała atakuje znajdujących się we krwi „agentów” -- obce bakterie i wirusy. Organizm również nie prowadzi pertraktacji z wrogami i nie wyznacza linii demarkacyjnych. On po prostu walczy aż do końca i albo zwycięża, albo ginie w nierównej walce, kapitulując pod naporem przerzutów.

Posłuchałem instynktu. Płynąłem, a może brnąłem w brązowej cieczy, na przemian opadając na dno i wynurzając się. Wiedziałem, że z tego zbiornika musi być jakieś wyjście. Że zobaczę światło dnia. Muszę. Nie mam prawa tu pozostać, bo już wiem -- Imperium czeka wojna. Najstraszniejsza wojna, jaką znała ludzkość.

Brakowało mi powietrza, dusiłem się. Bomba z tykającym mechanizmem została daleko z tyłu i teraz trwała walka pomiędzy mną a bezdusznym sekundomierzem. Muszę znaleźć wyjście. Muszę. Nie może go nie być...

Gdy, kompletnie wyczerpany z sił, wydostałem się wreszcie ze smrodliwej rury, ciemność za moimi plecami wybuchła jak tysiąc słońc.

Miałem szczerą nadzieję, że nie wszystkie dzieciaki 6. Brygady Międzynarodowej tutaj zginęły.

Teraz musiałem jeszcze znaleźć ojca.

Bo czaszka, którą nosiłem na rękawie, miała teraz wyruszyć w najdalszą ze wszystkich dróg -- ku niebu.

Dallas, 2000-2001

Ciąg dalszy dylogii *Imperium ponad wszystko* w tomie drugim *Czaszka na niebie*

**Abteilung* (niem.) -- batalion składający się z mniej niż pięciu kompanii. *Bataillon* -- batalion składający się z pięciu kompanii (przyp. aut.)

* *Sztandary w dłoń, SA rusza na akcję,*

Równe szeregi, spokojny, mocny krok

Towarzysze walk z czerwonymi i z reakcją

Są z nami tu, choć ich nie widzi wzrok.

(Przekład Joanna Sokół).

Pierwsze strofy pieśni, którą Horst Wessel stworzył w 1929 roku, a która stała się hymnem bojowym ruchu narodowosocjalistycznego. Autor przeprasza wszystkich, których obrazilo przytoczenie tych strof w książce, jednak w danej sytuacji były one absolutnie konieczne (przyp. tłumacza i autora).

* *Pierwsze strofy Straży na Renie.* Autor uznał za stosowne nie tłumaczyć tekstu pieśni (przyp. aut.)

**Ragnarök*, mit. germ. koniec świata bogów, który nastąpi po ich tytanicznej walce z olbrzymami; w wyniku tej walki świat i siedziba bogów spłoną, zgasną gwiazdy i słońce, ziemię zaś pochłonie morze. Następnie z morza wyłoni się nowa ziemia i wtedy nastanie nowa szczęśliwa era (przyp. tłum.)

* *Ochlokracja* -- ustrój, w którym władza należy do tłumu; rządy motłochu (przyp. tłum.)

* *5 VII-23 VIII 1943 rozegrała się bitwa pod Kurskiem -- jedna z głównych bitew Armii Czerwonej w II wojnie światowej na froncie radziecko-niemieckim i największa bitwa jednostek pancernych. Dowództwo radzieckie przewidując kierunki uderzeń niemieckich, przygotowało obronę tzw. łuku kurskiego; w rejonie Prochorowki doszło do wielkiej bitwy pancernej, z obu stron brało w niej udział ok. 1500 czołgów. Zwycięstwo pod Kurskiem umożliwiło wojskom radzieckim rozwinięcie ogólnego natarcia strategicznego w celu wyzwolenia Zagłębia Donieckiego i wyjścia nad Dniepr; bitwa ta była ostatnią, nieudaną próbą uchwycenia inicjatywy strategicznej przez Niemców (przyp. tłum.)*

* *Tygrysie, błysku w gąszczach mroku,*

Jakiemu: nieziemskiemu oku

Przyśniło się, że noc rozświecili

Skupiona groza twej symetrii?

Fragment wiersza *Tygrys* Williama Blake'a w przekładzie Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.).

* *ISS* -- *Internal Security Service* (Wewnętrzna Służba Bezpieczeństwa), oficjalna nazwa kontrwywiadu imperialnego.

**Befehlspanzer* (niem.) -- czołg dowódcy (przyp. aut.)

**Kraftfahrtruppen* (niem.) -- wojska zmotoryzowane (przyp. aut.)

**Muspell* -- w *Eddzie*, najstarszym zabytku literatury skandynawskiej, pochodzącym z Islandii zbiorze pieśni o tematyce mitologicznej -- kraina wiecznego ognia, którą władał olbrzym Surt (przyp. tłum.)

* *Homestead Act* (ang.), amer. ustawa o osadnictwie, uchwalona w 1862 r. przez Kongres; przyznawała każdemu obywatelowi po ukończeniu 21. roku życia prawo do uzyskania z ziem publicznych na niezamieszkanach zachodnich obszarach USA działki o powierzchni 160 akrów za niewielką opłatą (przyp. tłum.).

* PZRK -- (ros. *pierienosnoj zenitno-rakietnj kompleks*) -- przenośny raketowy zestaw przeciwlotniczy.

* Szpały -- metalowe dystynkcje starszych oficerów Armii Czerwonej do 1943 roku (przyp. tłum.).

* NURS -- (ros. *nieuprawliajemyj rieaktiwnyj snariad*) -- niekierowany pocisk raketowy (przyp. tłum.).

* *Tomás de Torquemada* (1420-1498), hiszpański duchowny, dominikanin, wielki inkwizytor. Główny organizator inkwizycji hiszpańskiej, nadał jej charakter policji ideologicznej, stworzył sieć trybunałów i opracowywał dla nich instrukcje (przyp. tłum.).

* *Ostatni argument królów* -- napis na francuskich armatach za czasów Ludwika XIV, wprowadzony przez kardynała Richelieu. Ten sam napis powtórzył później na pruskich działach polowych Fryderyk II.

* BREM -- (ros. *broniewaja remontno-ewakuacjonnaja maszina*) - remontowo-ewakuacyjny samochód opancerzony; ruchomy warsztat.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-18

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[Czierep na rękawie](#)

[POWIETRZE!](#)

[Ciąg dalszy dylogii Imperium ponad wszystko w...](#)